

DANIEL PAUL SCHREBER

**Pamiętniki nerwowo chorego
wraz z suplementami
i aneksem dotyczącym kwestii**

*w jakich warunkach osobę uznaną
za psychicznie chorą można trzymać
w zakładzie leczniczym wbrew jej zadeklarowanej
woli*

DANIEL PAUL SCHREBER

**Pamiętniki nerwowo chorego
wraz z suplementami
i aneksem dotyczącym kwestii**

*w jakich warunkach osobę uznaną
za psychicznie chorą można trzymać
w zakładzie leczniczym wbrew jej zadeklarowanej
woli*



LIBRON

Tłumaczenie oparte na wydaniu niemieckim: Daniel Paul Schreber – Denkwürdigkeiten eines Nervenkranken, Kulturverlag Kadmos, Berlin 2003

© Copyright for this edition by Wydawnictwo LIBRON, Kraków 2006
ISBN: 83-921494-6-7

Tłumaczenie: Renata Darda-Staab
Redakcja językowa: Iwona Konkol
Projekt okładki: Wojciech Miętka
Skład: Sławomir Fritz

Wydawnictwo LIBRON – Filip Lohner
31-121 Kraków, ul. Ujejskiego 8/1
tel. (12) 352 22 57, tel. kom. 0508263890
e-mail: office@libron.pl
www.libron.pl

Wstęp do wydania polskiego

W *Gazecie Wyborczej* z 16.11.2004 opublikowano artykuł dotyczący nie tyle podejrzeń, ile coraz bardziej dobitnych faktów dotyczących preferencyjnego (protekcyjnego) systemu przyjmowania kandydatów na studia prawnicze na Uniwersytecie Gdańskim (UG). W artykule pt. *Presja VIP-ów na gdańskie prawo* znalazł się fragment zapisu konferencji prasowej prorektora UG, który odpowiadał na zarzuty dziennikarzy.

Prorektor: Ale wiedźcie, że przyjęliśmy wszystkich inwalidów, którzy złożyli odwołanie. Nawet jedną osobę ze schizofrenią paranoidalną.

Dziennikarze: Czy to nie będzie rzutować na poziom przyszłych prawników?

(wesołość na sali)

Dziekan: Zobaczmy, jak będą sobie radzili.

Zobaczmy, jak my będziemy sobie radzili. Trudno napisać wstęp do tej książki, która sama w sobie była wstępem do innych książek, do innych teorii, do zarysowania się różnic pomiędzy psychiatrią a psychoanalizą, wreszcie do rozwoju psychiatrii i psychoanalizy. Wydaje się, że jeśli sformułujemy *tezę* na wstępie – napiszemy *coś* na wstępie – Czytelnik pozostanie pod wpływem tej *tezy* i *tego czegoś* napisanego. Będzie miał w głowie czyjeś myśli i wiedzę o autorze oraz jego losach poprzedzających te opisane w „Pamiętnikach nerwowo chorego”.

Same „Pamiętniki” stanowią bowiem swoisty testament, szczegółowy zapis tego, co działo się w umyśle osoby, która została zdiagnozowana jako chora psychicznie, a wcześniej piastowała prestiżowe stanowisko sędziego sądu niemieckiego. Jak doszło do tego, że autor znalazł się w specyficznym stanie umysłu, jakim jest hipochondria, depresja czy paranoja, i w specyficznym miejscu, jakim jest szpital psychiatryczny? Jak doszło do tego, że Paul Schreber – sędzia – znalazł się w okowach instytucji prawa? Znając pewne szcze-

góły z jego życia i zapoznając się z jego wspomnieniami, Czytelnik będzie miał pewien kłopot. Będzie miał bowiem w głowie przedstawioną tu wstępną koncepcję. Koncepcję, która może wpływać na jego wyobraźnię i odbiór tej książki. Tak więc, aby nie doszło do takiej „infekcji”, zalecałbym przerwanie czytania wstępu do polskiego wydania w tym miejscu i powrócenie do niego po zapoznaniu się z „Pamiętnikami”. Jeśli natomiast Czytelnik nie jest w stanie przyjąć oryginału bez wstępu, bez swego „podłoża”, niech czyta dalej.



Wydawnictwo LIBRON podjęło się wydania książki napisanej na przełomie XIX i XX wieku. Autobiografia Paula Schrebera, byłego sędziego sądu saksońskiego, jest książką nader kontrowersyjną. Mamy możliwość zapoznania się z pozycją, która bardzo poruszyła gremia intelektualne Zachodniej Europy ponad sto lat temu, w 1903 roku, kiedy została opublikowana. Poruszyła wówczas i wciąż porusza. Dlaczego?

Dlaczego coś, co powstało tak dawno, miałoby być nadal aktualne? Co jest takiego wyjątkowego w tym dziele? Przecież literatura ma swoją historię, pisarzy opisujących swoje doznania klasyfikowane jako psychotyczne. Otóż dzieło Schrebera wyróżnia się między innymi dokładnością zapisu. Dzięki talentowi pisarskiemu autor oddał specyfikę swego stanu wewnętrznego; wytrzymał również presję cenzury, zarówno tej wewnętrznej – własnej, jak i zewnętrznej – obcej, i doprowadził do opublikowania tekstu w oryginalnej postaci. Narracja autora przebiega z godziny na godzinę, z minuty na minutę, z sekundy na sekundę. Zostajemy wciągnięci w obserwacje i uczestniczymy w zmaganiach się umysłu samego z sobą. Specyfika tego dzieła polega również na tym, że istnieje ono jedynie w ożywieniu przy żywym kontakcie z czytelnikiem myślącym. Schreber wymaga żywego czytelnika.

Oryginalny tytuł niemiecki brzmi *Denkwürdigkeiten eines Nervenkranken*, co oznacza „Wielkie myśli pacjenta nerwowego”. Jednak tytuł „Pamiętniki nerwowo chorego” został poniekąd nałożony na ten oryginalny w wydaniach drukarskich. Przekonanie autora co do wielkości swych idei urzeka od pierwszych zdań. Poczucie wstydu, jakby nieobecne przy takiej „wielkościowości”, pojawia się gdzieś poza nim, ale nie traci on z nim kontaktu. I być może dlatego może dalej pisać.

Książka ta adresowana jest do osób zainteresowanych meandrami życia psychicznego oraz wycieczką w głąb duszy ludzkiej i badaniem mordy, jaki się na niej dokonuje. Nie jest to tekst pisany tylko dla psychiatrów, psychologów, psychoterapeutów, psychoanalityków czy prawników. W całym tekście i w historii tekstu mamy zapis i jego analizę. Nie może być inaczej – parano-

ja jest bowiem czymś, co w naturalny sposób ubiega się o opis, jako że sama w sobie jest czymś, co pozostaje oddzielone od symbolu. Tak więc formułując tezę, trzymamy ją przy życiu.

Denkwürdigkeiten stały się dla Zygmunta Freuda bodźcem do opisania i próby psychoanalitycznego rozumienia procesu paranoi. Książka ta stanowi autobiograficzny zapis sporządzony przez osobę uznaną przez psychiatrię za „paranoika”. Ale cóż to znaczy czy też cóż to nam mówi o kimś?

Natychmiast wywołuje to dyskurs pomiędzy psychiatrią jako nauką empiryczną – próbującą opisać zjawiska i przypisać je pewnym kategoriom nozologicznym, i innymi podejściami, które starają się badać głębiej i szukają motywów ludzkich przeżyć w obszarze nieświadomości.

Polskiego czytelnika książka ta zainteresuje nie tylko jako studium paranoi jako takiej, ale także jako zapis zmagania osoby piastującej wysokie stanowisko społeczne ze swoją słabością i pragnieniami. Kogoś, kto walczy z destrukcją w sobie i niemożnością uruchomienia swojej kreatywności. Otóż mamy tu do czynienia z sytuacją, gdy ktoś bardzo klarownie opisuje swoje przeżycia i zostaje z tego właśnie względu osądzony. Jest to temat aktualny, aktualny również w kulturze XXI-wieku, kulturze europejskiej, w której wartości wydają się nadwerżone i gdzie zdarza się nam tych wartości poszukiwać. W tym poszukiwaniu wspomaga nas swoboda wypowiedzi i publikacji. Publikacja materiału, którego autorem jest Paul Schreber, wymagała odwagi i stoczenia walki z kilkoma instancjami, powiedzmy – cenzorskimi. Z kilkoma autorytetami.

Autorytet w postaci sędziego ogłasza tymczasem swoje wyjątkowe, seksualne kontakty z Bogiem. Możemy śledzić losy autora w ówczesnych Niemczech, ale równie dobrze możemy spróbować sobie wyobrazić, jakie byłyby jego losy dzisiaj, w naszej kulturze. Jakie będą losy tej publikacji w języku polskim, czas pokaże, jako że umożliwienie nam zapoznania się z tym tekstem pozwoli ukształtować nasze własne myśli i potraktować Schrebera w sposób jedynie nam właściwy. Bo przecież zainspirował on nie tylko wspomnianego już Freuda, ale także wielu innych badaczy, psychoanalityków, psychiatrów i humanistów, takich jak Jung czy Canetti. Uważa się, że wpłynął na ewolucję dyskursu z psychiatrycznego, nozologicznego, w psychoanalityczny, żywy. Wzniecił dyskusje etyczne na temat ubezwłasnowolnienia, przymusu bezpośredniego w psychiatrii, a także na temat antypsychiatrii, która przez jakiś czas zaistniała w historii, a być może w niektórych momentach nadal się pojawia. W obrębie psychoanalizy wpłynął na dyskurs pomiędzy Freudem i Jungiem, przyczyniając się do rozejścia się ich dróg. Poprzez psychoanalizę wpłynął również na postrzeganie homoseksualizmu, narcyzmu i paranoi, nie wspominając o innych mechanizmach psychiki.

Do dzisiaj badacze analizują tę pracę. Schreber ożywił ich, zainspirował do myślenia. Nie mógł inaczej. Nie mógł zostawić po sobie innego dziedzictwa, i fakt, że przenika on do naszej kultury, jest czymś istotnym. Możemy zmierzyć się ze Schreberem, z jego fantazjami, z jego marzeniami, ale też z jego ograniczeniami i jego bezradnością. Czytając te wspomnienia, możemy wielokrotnie uciekać się do prostego – czarno-białego – sposobu postrzegania przeżyć autora, i już kiedy jesteśmy „kupieni” myśleniem, że to „po prostu paranoja”, zaczynamy się zastanawiać: „Ale czym to ona jest?” Jest czymś, co w swoisty sposób osiedla się w głowie zarówno tego, który ją nosi, jak i tego, który ją odbiera. Jest czymś żywym, lecz jednocześnie czymś, co nie pozwala życiu się rozwijać głębiej. Wydaje się, że to właśnie miał na myśli Freud, kiedy analizował ten zapis, i inni, którzy studiowali dzieło Schrebera, dzieło Freuda i innych psychoanalityków.

Znacznie upraszczając rozumienie Freuda: jest to historia mężczyzny, który nie może mieć potomstwa, wkracza wraz ze swoją żoną w wiek klimakterium i reaguje na to paranoją. Treści tej paranoi są związane ze snem, w którym pojawiła się wizja bycia kobietą, która odbywa stosunek seksualny z mężczyzną. Schreber opisuje swe psychotyczne doznania jako połączenie z Bogiem, z jego boskimi promieniami w celu dania światu nowego, doskonałego gatunku. Aby było to możliwe, on sam musi stać się kobietą. Wyraźnie przebija się to, w jaki sposób Schreber opisuje rozpad swojej psychiki. Katastrofa mentalnego świata następuje w chwili, gdy okazuje się, że męska linia rodu wygaśnie – nie zostanie więc zrealizowane uczucie miłości do ojca. Na tej podstawie Freud formułował swoją koncepcję homoseksualizmu jako wynikającego z wycofania libido ze świata zewnętrznego. Jest to opis destrukcji aparatu psychicznego wraz ze sposobem naprawienia tego świata poprzez halucynacje. Halucynacje, czyli marzenia, że będzie się miało dzieci z Bogiem. Inni autorzy, w tym ostatnio John Steiner, podkreślają jednak depresyjny aspekt choroby autora – depresji i hipochondrii, z której to dopiero wyłoniła się paranoja.



Paul Schreber urodził się w Lipsku, 25 lipca 1842 roku. Miał rodzeństwo – starszego o trzy lata brata Gustava i starszą o dwa lata siostrę Annę. Kiedy Paul miał 4 lata, urodziła się jego druga siostra, Sidonie. Dwa lata później urodziła się trzecia siostra, Klara.

Jego ojciec, Daniel Gottlob Moritz Schreber, był prominentnym lekarzem ortopedą. Kiedy Paul miał 9 lat, ojciec uległ wypadkowi – został uderzony spadającą drabiną. Uraz głowy, jakiego doznał, wpłynął na relacje i klimat

w całej rodzinie. Od tego czasu miewał okresy depresji i niekontrolowanych myśli agresywnych. Badacze historii odnotowali, że depresja była częstym zjawiskiem w rodzie Schreberów.

Matka Paula, Paulina Schreber, miała wielki wpływ na rodzinę, trzymała ją ryzach w tych burzliwych przejściach, niewiele jednak wiadomo na temat relacji matki z synem. Związek Paula z matką odzwierciedla w pewnym stopniu podobieństwo ich imion. Wiemy, że Paul spędził z nią dużo czasu w początkowym stadium drugiego epizodu swojej choroby (1893). Mieszkał z nią również przez jakiś czas po wypisie ze szpitala w 1902 roku. Dożyła sędziwego wieku – 92 lat, przeżywając śmierć męża, samobójczą śmierć pierworodnego syna i chorobę drugiego. Kiedy żył Moritz, Paulina pozostawała w jego cieniu. Była niezwykle religijna.

Moritz Schreber stawiał w domu na zasady zdrowia i wychowania – zdrowia fizycznego, z częstą gimnastyką ruchową i surowym naciskiem na zdrową fizykalność. Jako ortopeda znany był z opracowanych przez siebie konstrukcji ortopedycznych służących „prostowaniu postawy” w ramach rehabilitacji. Jego zasługi dla medycyny nie budzą wątpliwości, ale biografowie Paula Schrebera i badacze jego losów szczególnie nacisk kładą na relacje łączące podporządkowanego syna z jego wymagającym ojcem. Niektórzy upatrywali się w nim cech sadystycznych i nadużyć ze strony ojca, który starał się nadmiernie „prostować” syna. Na plan pierwszy Moritz wysuwał wychowanie i dobre maniery. Wiele osób zwraca uwagę na owo specyficzne tłumienie agresywnych impulsów, przykrycie ich charakterystyczną obsesyjnością i dążeniem do perfekcji. Widać to w „Pamiętnikach” Paula – jak zmagają się z wypartą i tłumioną agresywnością. Moritz Schreber uważał, że troska i wygoda to „miętkość” ciała. Miętkość, która jest szkodliwa. Dążenie do hartu i twardości na co dzień były widoczne w domu Schreberów. Jednocześnie był bardzo troskliwy – określano go jako ojca opiekuńczo zaangażowanego w dobrostan rodziny, zwłaszcza dzieci. Niederland próbował interpretować objawy występujące u Paula Schrebera w kontekście tego, o czym wszyscy wiedzieli – że Moritz Schreber był twórcą konstrukcji ortopedycznych służących do utrzymania np. pionowej pozycji dziecka. Sugerował, że Moritz umieszczał syna w tych „dybach”, co musiało być dla dziecka traumatycznym doświadczeniem. Pisał o relacji z sadystycznym ojcem. Inny autor – Schatzman – przeformułował tę koncepcję jako relację z prześladowczym oprawcą. Obydwaj autorzy próbowali dociekać, w jaki sposób dziecięce doświadczenia Paula mogły wpłynąć na wystąpienie objawów opisanych w „Pamiętnikach”. To, czy Paul był rzeczywiście umieszczany w konstrukcjach prostujących (ojciec budował je, gdy Paul miał 10 lat), czy też spotkał się z ojcem w pewnej specyficznej relacji *emocjonalnego* prostowania, wy-

daje się bez znaczenia – taką tezę z kolei wysuwa Lothane w swojej książce *In defence of Schreber – soul murder and psychiatry*. Paradoksalnie cytuje on Moritza, który zalecał kompletną swobodę ruchu niemowlętom, uważał bowiem, że narząd ruchu musi się rozwijać swobodnie. Stoi to w opozycji do myśli o ograniczaniu ruchu i nadmiernej kontroli. Jeśli jednak pomyślimy o wolności jako czymś bezwzględnie zalecanym i wymuszonym, niewiele ma to wspólnego z rezonem i troską.

Moritz Schreber zmarł, gdy Paul miał 19 lat. Jego brat, Gustav, przejął obowiązki głowy rodu w wieku 22 lat. Przez kolejne lata musiał się zmagać z oczekiwaniami, że zastąpi taką postać, jak Moritz Schreber. Skończył studia chemiczne, następnie poszedł w ślady brata i studiował prawo. W wieku 38 lat Gustav Schreber popełnił w depresji samobójstwo – zastrzelił się. Być może to tego właśnie wydarzenia Paul Schreber nawiązuje w swoich wspomnieniach, pisząc o dręczących go myślach samobójczych, o zastrzeleniu się. Samobójcza śmierć brata w 1877 roku oznaczała poniekąd przeniesienie jego obowiązków i presji na Paula.

W 1878 roku – po okresie pozostawania w nieformalnym związku – Paul Schreber i Ottilie Sabine Behr („Droga Sabchen” dla zakochanego Paula) wzięli ślub. Wkrótce po ślubie u Paula wystąpiły pierwsze objawy hipochondrii. Był bardzo pochłonięty polityką samorządową. W życiu rodzinnym układało się dobrze, lecz pani Schreber dwukrotnie ponosiła. W tym czasie siostra Paula, Anna, zdążyła urodzić czworo dzieci. W 1884 roku startował jako faworyt w wyborach do Reichstagu, jednak przegrał z kretesem. Nie spodziewał się tej porażki, choć niewiele wiemy na temat jego planów i ambicji politycznych.

Wyniki wyborów podano 28 października 1884 roku. W tym samym czasie Paul rozpoczął leczenie u dr. Richtera w sonnenbergskim spa. Polegało ono głównie na hydro- i farmakoterapii. Stosowane wówczas leki dawały szereg objawów ubocznych, nie prowadziły jednak do zadowalającej poprawy. Paul był pobudzony, niespokojny, cierpiał na bezsenność. Miewał myśli samobójcze. Leki aplikowane przez dr. Richtera nie pomagały. Postanowił zgłosić się do prof. Flechsiga. Flehsig krytykował metody leczenia stosowane przez dr. Richtera, ale sam zaaplikował podobną farmakoterapię, nie znał bowiem innych możliwości.

O początku choroby Paul Schreber pisze tak:

Początki pierwszej z obydwu chorób wystąpiły jesienią 1884, zaś pod koniec 1885 byłem już kompletnie wyleczony, tak że 1 stycznia 1886 mogłem objąć ponownie urząd dyrektora Landgericht, ale w Lipsku, dokąd zostałem w międzyczasie przeniesiony.

Uwagę przykuwa przekonanie, że był „kompletnie wyleczony”. Przekonanie, które zostało wkrótce poddane bolesnej weryfikacji. Sabine podzielała zarówno zadowolenie męża z wyników leczenia, jak i jego zachwyt postacią prof. Flechsig. Był to początek bardzo specyficznej relacji Paula z jego lekarzem. W latach 1886–1893 Paul wrócił do pracy i życia rodzinnego. Dalsze starania się o potomstwo zakończyły się niepowodzeniem, ale kariera sędziowska Paula Schrebera rozwijała się niezwykle dynamicznie. 5 lipca 1893 roku objął stanowisko przewodniczącego senatu w Wyższym Sądzie Krajowym Saksonii. 9 i 10 listopada był konsultowany przez prof. Flechsig i z rozpoznaniem depresji oraz myśli i tendencji samobójczych został przyjęty do szpitala. Schreber pisze:

Druga choroba nerwowa rozpoczęła się w październiku 1893 i trwa jeszcze do teraz. W obydwu przypadkach większą część choroby spędziłem w klinice psychiatrycznej przy Uniwersytecie w Lipsku, kierowanej przez profesora, obecnego radcę tajnego dr. Flechsig, pierwszy raz od początku grudnia 1884 do początku czerwca 1885, drugi raz od połowy listopada 1893 do około połowy czerwca 1894.

Jesienią 1894 roku Schreber został ubezwłasnowolniony, a rok później zapadła decyzja o jego ostatecznym odejściu ze stanowiska sędziego. W 1897 roku Paul zaczyna pisać „Pamiętniki” i prosi o wypis ze szpitala.

Schreber pisze „Pamiętniki”, zmieniając styl. Raz jest to realizm zwyczajny, raz realizm magiczny. Łączy w ten sposób możliwość komunikowania się poprzez język ze światem zewnętrznym i wewnętrznym. Uzyskujemy dzięki temu dostęp do dwóch światów – tego przyziemnego i tego boskiego. Tego prozaicznego i tego fantastycznego.

„Pamiętniki” powstawały w latach 1897–1900, w Sonnenstein, a więc w trakcie drugiego epizodu choroby Schrebera. Polskie wydanie obejmuje wprowadzenie, rozdziały I–XXII, suplementy, opinie dr. Webera oraz orzeczenie sądu o uchyleniu wcześniejszej decyzji o ubezwłasnowolnieniu. Mamy również aneks, w którym autor przedstawia swoją opinię na temat warunków koniecznych do przymusowej hospitalizacji chorego. Z rozdziału III opublikowano jedynie początek – w oryginale został on usunięty na wniosek Carla Ferdinanda Junga, męża starszej siostry Paula, który żywił szereg obaw dotyczących wpływu „Pamiętników” na jego opinię. Niektórzy przypuszczają, że stał on nie tylko za ocenzurowaniem wspomnianego III rozdziału, ale również za próbą udaremnienia publikacji „Pamiętników” – wykupieniem i zniszczeniem części nakładu.

Jako „morderca duszy” pojawia się w „Pamiętnikach” prof. dr Flechsig, lekarz, który pomógł Schreberowi „wyjść” z hipochondrii podczas pierwsze-

go epizodu choroby. Jak jednak Schreber wspomina już na wstępie, pomoc ta była nasączona pewną początkową idealizacją jego postaci jako cudownego lekarza oraz tym, co Schreber postrzegał jako kłamstwo w obietnicy wyleczenia pacjenta. Pisze on:

A za takie właśnie kłamstwo z konieczności musiałem przecież uznać np. twierdzenie prof. Flechsig, że moja choroba to tylko zatrucie bromkiem potasu, jakim należy obciążyć radcę sanitarnego dr. R. w S., pod którego medyczną opieką się wcześniej znajdowałem.

Dalej w tekście Schreber walczy z Flechsigiem jako kimś, kto znacząco mu zaszkodził. Wyraźnie widać, jak wyidealizowana postać lekarza czy osoby, która ma pomóc, stopniowo osuwa się w gruzy dewaluacji i nienawiści. Wysuwano mnóstwo argumentów przemawiających za tym, że publikacja „Pamiętników” może zaszkodzić Flechsigowi. Wydaje się jednak, że w historii tej zwyciężył rezon.

Ponieważ tekst „Pamiętników” został przez Schrebera wykorzystany w walce o odzyskanie prawa do decydowania o sobie, udostępniono nam do wglądu opinie lekarza sądowego, dr. Webera, który początkowo wnosi o ubezwłasnowolnienie swojego pacjenta. Weber opiniuje trzykrotnie – w grudniu 1899, listopadzie 1900 oraz – po raz ostatni – w kwietniu 1905 roku. Polski czytelnik ma możliwość zapoznania się ze wszystkimi tymi opiniami.

Pierwsza część suplementów obejmuje teksty napisane przez Schrebera w okresie od października 1900 do czerwca 1901 roku, czyli w czasie, gdy toczył walkę o odzyskanie prawa do wolności. Stanowią one zapis przemyśleń autora, które niewątpliwie pomogły mu opracować „linię obrony” w sądzie i wobec dr. Webera.

14 lipca 1902 roku zapada wyrok Sądu Krajowego II Instancji Królestwa Saksonii, który uchyla decyzję o ubezwłasnowolnieniu i sprawowaniu stałej opieki nad Schreberem. Wyrok, wydany w imieniu króla, jest niezwykle wciągającym dokumentem, ukazuje bowiem, jak precyzyjnie i dogłębnie badane były sprawy życia psychicznego przez wymiar sprawiedliwości, jak dalece stanowisko sądu rozstrzyga, czy ktoś, kto ma w znacznym obszarze swojej psyche marzenia, fantazje, czy też myśli zwane urojeniami, czy doznania zmysłowe zwane halucynacjami, może funkcjonować w oparciu o zdrowe aspekty swojej osobowości i nie potrzebować konkretnej zewnętrznej struktury, takiej jak szpital.

Po ogłoszeniu wyroku Schreber pozostał w Sonnenstein do 20 grudnia 1902 roku. Wyszedł ze szpitala dopiero przed świętami Bożego Narodzenia. Niektórzy biografowie postrzegają to jako wyraz swoistego triumfu nad Weberem, inni jako chęć pokazania tej zdrowej części. Tej, która także mogła

zapisać to, co znajdujemy w drugiej części suplementów, pisanej w październiku i listopadzie 1902 roku.

Publikacja obejmuje również rozważania autora pt. „W jakich warunkach osobę uznaną za psychicznie chorą można trzymać w zakładzie leczniczym wbrew jej zadeklarowanej woli”. Schreber pisze:

Artykuł ten został napisany na początku 1900 r., a więc w czasie mojej całkowitej izolacji przed światem zewnętrznym, w związku z tym prawie bez żadnej możliwości korzystania z pisemnych źródeł.

Dokument ten po raz kolejny uzmysławia, jak dalece Schreber był ekspertem w swojej własnej sprawie.

Po opuszczeniu Sonnenstein Schreber mieszkał z żoną u swojej matki. W 1903 roku opublikowano „Pamiętniki”, a w latach 1903–1907 żył w harmonii z żoną w nowym domu, w Dreźnie. Dobrze funkcjonował w społeczeństwie i udzielał porad prawnych w ramach prywatnej praktyki. Bardzo zaangażował się w budowę nowego domu, w którym małżonkowie Schreberowie zamieszkali w 1907 roku.

Znaczącym wydarzeniem w jego życiu była zapewne adopcja córki, Fridoline. To kolejny sukces kogoś, kto zmagał się z tak wielkim dramatem wewnętrznym i historią. Być może powodowało nim również pragnienie uwolnienia kolejnej osoby z okowów instytucji czy też braku opieki (po śmierci matki Fridoline, kiedy Schreberom zaproponowano zaopiekowanie się dziewczynką). Nie wiadomo, dlaczego zapadła decyzja o oddaniu jej do adopcji – Fridoline miała przecież ojca. Przybrana córka wspominała nowego ojca z tych lat jako kogoś bardzo ciepłego. Nigdy nie wspominał o swojej chorobie. Czasami siedział z zamkniętymi oczyma, twierdząc, że ma w tyle głowy pewne trudne myśli czy raczej cichy dźwięk, niczym wspomnienie po głosach. Syn dr. Webera, który pracował w Dreźnie jako lekarz specjalista chorób nerwowych, wspominał, że Paul Schreber był osobą radosną i normalną. Pisał wiersze dla żony, grał na pianinie, ceniono jego udział w dyskusjach społecznych i towarzyskich.

14 maja 1907 roku w wieku 92 lat zmarła matka Paula. Wydaje się, że miało to bezpośredni wpływ na pogorszenie się jego stanu, nawrót bezsenności i innych przykrych dolegliwości. Schreber zajął się zarządzaniem majątkiem rodzinnym i według córki za bardzo się przepracowywał. O decyzji, by ponownie szukać pomocy u psychiatry, przesądził udar żony. Sabine miała kłopoty z mówieniem. Schreber dotrzymał obietnicy (o czym śmiał wątpić dr Weber), że jeśli będzie miał kłopoty zdrowotne, będzie wiedział, gdzie szukać pomocy. Udar mózgu, po którym Sabine nie mogła mówić i miała kłopoty z widzeniem, był kolejnym urazem głowy w życiu Schrebera, niczym

uraz głowy ojca w dzieciństwie. Do Paula powróciła wizja „końca świata”. Został przyjęty do nowego szpitala w Dösen koło Lipska. Jego stan stopniowo się pogarszał, kontakt z nim był coraz gorszy. 14 kwietnia 1911 roku zmarł w wieku 68 lat z powodu powikłań krążeniowo-oddechowych. Lothane pisze, że w Dreźnie, przy Angelika str. 15a, stoi jego dom, nietknięty zębem czasu. Na bramie widnieje wykuta litera „S”.

Schreber był szczęśliwym człowiekiem, miał kochającą i kochaną żonę, awansował w pracy na wysokie stanowisko, ale w pewnym momencie się załamał. Popadł w bezsenność i depresję. Był to koniec jego świata.

Najsłynniejsza interpretacja „Pamiętników” Paula Schrebera wyszła spod pióra Freuda, jednak to Jung zwrócił jego uwagę na tę pozycję. Dzieło to, czy też raczej jego rozumienie, było źródłem głównych dysput pomiędzy tymi dwoma wybitnymi klinicystami.

Chociaż pierwsze wydanie „Pamiętników” w 1903 roku (Oswald Mutze, Leipzig) wzbudziło duże zainteresowanie psychiatrów, Freud zaczął czytać się w tekst dopiero latem 1910 roku. Swoją pracę *Psychoanalityczne uwagi o autobiograficznie opisanym przypadku paranoi* ukończył w grudniu 1910 roku, kilka miesięcy przed śmiercią Schrebera.

Freud napisał:

Chory w ogóle wycofał obsadę libidinalną z osób ze swego otoczenia i ze świata zewnętrznego – obsadę, która dotychczas była ku nim zwrócona; w ten sposób wszystko stało mu się obojętne, wszystko było bez związku, toteż musiało zostać wyjaśnione jako „wycudowane”, „ulotne”.

Dalej Freud zaznacza, że „ta katastrofa psychiczna, owo pęknięcie w duszy człowieka, zamienia się w katastrofę zewnętrzną – świat zewnętrzny przestaje istnieć.

Koniec świata to projekcja tej katastrofy wewnętrznej – subiektywny świat chorego zapadł się w chwili, gdy pacjent odebrał mu miłość, jaką go ongiś darzył. (...) No i paranoik go odbudowuje, wprowadzenie nie jest on piękniejszy, ale przynajmniej nadaje się do życia. Odbudowuje go pracą swej manii. To, co uważamy za chorobliwy wytwór, formację maniakalną, tak naprawdę stanowi próbę uleczenia, rekonstrukcję.”

Ta ostatnia myśl, że paranoja jest próbą naprawy, ma kluczowe znaczenie. Według Freuda bowiem paranoik próbuje, jak tylko może, odbudować swój świat. A może to zrobić tylko w marzeniach. W halucynacji. W paranoi. Istotne wydaje się zrozumienie, na ile my, jako bliscy nam bliskich, jako psychoanalitycy, psychoterapeuci czy psychiatrzy, jesteśmy wciągnięci w te próby odbudowy jako część halucynacji, jako postać halucynująca, że coś się da faktycznie zrobić, naprawić. Na ile zaś możliwe jest „opatrzenie

ran” poprzez symbolizację w naszej próbie nadania sensu temu, co dzieje się z bliskimi nam osobami czy naszymi pacjentami. Innymi słowy: my możemy znaleźć się po stronie wspomnianej wcześniej przez Freuda formacji maniakalnej, która staje się częścią świata paranoika. Jest inkorporowana w psychotyczny świat pacjenta. Możemy jednak także być kimś innym – kimś odrębnym, żywym, myślącym i czującym. Nasze przejście na stronę chorobliwego wytworu wynika często z tego, że nie możemy tolerować prawdy o naszych własnych ograniczeniach, i to jest tym elementem naszego życia psychicznego, który jest niewątpliwie najtrudniejszy.

Bartosz Puk
Kraków, listopad 2005

Literatura

- Freud S.: The standard edition of the complete works of Sigmund Freud. Translated and Edited by Strachey J. Hogarth Press, London 1963.
- Freud S.: Psychoanalityczne uwagi o autobiograficznie opisanym przypadku paranoi (1911). Charakter a erotyka. Wyd. KR, Warszawa 1996.
- Presja VIP-ów na gdańskie prawo. Gazeta Wyborcza z 16.11.2004.
- Lothane Z.: In defence of Schreber – Soul murder and psychiatry. The Analytic Press, Hillsdale, London 1992.
- Steiner J.: Gaze, dominance and humiliation in the Schreber case. Int. J. Psychoanal. 2004; 85: 269–284.

Słowo wstępne

Przy rozpoczęciu tej pracy nie myślałem jeszcze o jej opublikowaniu. Myśl ta nawiedziła mnie dopiero na dalszym jej etapie. Miałem przy tym świadomość, że przeciwko tej publikacji przemawiają pewne wątpliwości; chodzi mianowicie o wzgląd na poszczególne jeszcze żyjące osoby. Z drugiej strony jestem zdania, że dużą wartość dla nauki i dla poznania religijnych prawd mogłyby mieć jakieś obserwacje poczynione przez odpowiednie osoby jeszcze za mojego życia na moim ciełe i moich osobistych losach. Wobec tych rozważań wszystkie osobiste względy muszą zamilczeć.

Cała moja praca obejmuje:

pamiętniki jako takie (roz. I–XXII), spisane od lutego do września 1900,

suplementy I–VII z okresu od października 1900 do czerwca 1901,
drugą serię suplementów z końca 1902 r.

W czasie, który upłynął od poczynienia początku tej pracy, zewnętrzne koleje mojego życia istotnie się zmieniły. Podczas gdy z początku żyłem jeszcze w prawie więziennym odosobnieniu, odcięty od kontaktu z kształconymi ludźmi, nawet od (dostępnych dla tzw. pensjonariuszy zakładu) biesiad zarządu kliniki, nigdy nie opuszczając jej murów itp., po pewnym czasie umożliwiono mi coraz większą swobodę ruchu i obcowanie ze światłymi ludźmi w coraz większym zakresie. I wreszcie osiągnąłem pełny sukces we wspomnianym w XX rozdziale procesie o ubezwłasnowolnienie (wprawdzie dopiero w drugiej instancji), a decyzja o ubezwłasnowolnieniu, wydana 3 marca 1900 przez Königliches Amtsgericht Dresden, została anulowana 14 lipca 1902 prawomocnym wyrokiem Königliches Oberlandesgericht Dresden. W ten sposób uznano moją zdolność do podejmowania czynności prawnych i znów mogłem dowolnie dysponować mym majątkiem. W sprawie mego pozostawania w zakładzie mam już w ręce od miesiący pisemne oświadczenie

administracji zakładu, że w kwestii mego zwolnienia nie istnieją zasadnicze przeciwwskazania; wobec powyższego zamierzam powrócić do mego domostwa pewnie z początkiem nadchodzącego roku.

Dzięki tym wszystkim zmianom dana mi była okazja rozszerzenia w dużym stopniu kręgu mych osobistych obserwacji. Niektóre z moich wcześniej przedstawionych poglądów trzeba by zmienić; w szczególności nie mogę już żywić wątpliwości co do faktu, iż tak zwane igraszki z ludźmi (dziwne wpływy) ograniczają się jedynie do mnie i do *mojego otoczenia w danej chwili*. Niektórym z moich wywodów w „Pamiętnikach” nadałbym teraz być może inną formę. Mimo to pozostawiłem w przeważającej części tę wersję, która została początkowo spisana. Wszelkie zmiany szczegółów miałyby negatywny wpływ na świeżość opisu. Uważam też, że ze względu na sprzeczny z porządkiem świata stosunek, jaki się wytworzył pomiędzy Bogiem a mną, nieistotne jest, czy w poglądach, jakie sobie wcześniej wyrobiłem, znajdzie się tę czy ową, większą czy mniejszą pomyłkę. Ogólne zainteresowanie mogą tak czy inaczej wzbudzić tylko te wnioski, do których doszedłem na podstawie doznanych wrażeń i doświadczeń, a które dotyczą kwestii *trwałych* relacji, istoty i cech Boga, nieśmiertelności duszy itp. W związku z tym także po uwzględnieniu mych późniejszych osobistych doświadczeń w kwestii mych wcześniejszych zasadniczych poglądów, przedstawionych w I, II, XVIII i XIX rozdziale „Pamiętników”, nic nie muszę zmieniać.

Sanatorium Sonnenstein niedaleko Pirny, grudzień 1902

Autor

List otwarty do Pana Tajnego Radcy prof. dr. Flechsig

Wielce Szanowny Panie Radco Tajny!

Pozwalam sobie w załączeniu przekazać Panu egzemplarz „Pamiętników nerwowo chorego” mojego autorstwa z prośbą, by poddał je Pan życzliwej weryfikacji.

Zobaczy Pan, że w mojej pracy, a w szczególności w jej pierwszych rozdziałach, nazwisko Pańskie pojawia się często, czasem w kontekstach, które mogłyby urazić Pańską wrażliwość. Ja sam żałuję najogromniej, iż tak jest, nie jestem niestety w stanie nic w tej kwestii zmienić, jeśli nie chcę od samego początku wykluczyć możliwości zrozumienia mojej pracy. Daleki jestem jednak od zamiaru urażenia Pańskiego honoru, tak samo jak *nie żywię jakiegokolwiek osobistej złości w stosunku do jakiegokolwiek człowieka*, a tylko chcę dzięki mojej pracy przyczynić się do poznania prawdy w niezwykle ważnej, a mianowicie religijnej dziedzinie.

Mam niezachwianą pewność, że w tym względzie posiadam doświadczenia, które – ogólnie uznane za prawdziwe – w stopniu najwyższym z możliwych siałyby lęk wśród pozostałej ludzkości. Równie bezsprzeczne jest dla mnie, iż Pańskie nazwisko odgrywa w przypadku genetycznego rozwoju stosownych okoliczności istotną rolę o tyle, o ile pewne wzięte z Pańskiego systemu nerwowego nerwy stały się „sprawdzoną duszą” w sensie opisanym przeze mnie w rozdziale I mych pamiętników i w tej postaci uzyskały nadprzyrodzoną moc, w rezultacie której od lat wywierały i wywierają na mnie po dziś dzień szkodliwy wpływ. Pewnie będzie Pan skłonny, jak wiele osób, dopatrywać się w tym założeniu z początku tylko wytworu mojej wyobraźni, który należałoby oceniać pod kątem patologii; dla mnie istnieją dowody na jego słuszność we wprost przytłaczającej ilości, o czym bliżej niech Pan będzie łaskaw poczytać w dalszej części moich „Pamiętników”. Jeszcze teraz doznaję codziennie wielokrotnie opartego na cudzie szkodliwego wpływu owej „sprawdzonej duszy”;

jeszcze teraz Pańskie nazwisko wykrzykiwane jest setki razy przez rozmawiające ze mną głosy w stale powracających kontekstach, szczególnie jako tego, który jest sprawcą owych szkód, mimo iż osobiste kontakty, które przez pewien czas między nami miały miejsce, już dawno usunęły się dla mnie na plan dalszy i w związku z tym trudno by było zakładać, że powodem tego są moje powracające, związane z Panem wspomnienia, łączące się z jakimikolwiek odzuciami, za które żywiłbym do Pana złość.

Od lat rozmyślałem o tym, jak by tu powiązać te fakty z moim szacunkiem dla Pańskiej osoby, w której przyzwoitość i wartości etyczne nie mam najmniejszego prawa wątpić. Dopiero teraz niedawno, krótko przed opublikowaniem mojej pracy, przyszła mi do głowy nowa myśl, która być może mogłaby naprowadzić na właściwą drogę do rozwiązania tej zagadki. Jak zauważyłem pod koniec rozdziału IV i na początku V „Pamiętników”, nie żywię najmniejszej wątpliwości co do faktu, że pierwszym impulsem do tego, co moi lekarze zawsze uznawali za czyste halucynacje, a dla mnie oznacza obcowanie z nadprzyrodzonymi siłami, było oddziaływanie Pańskiego systemu nerwowego na mój. Gdzie można by było znaleźć wyjaśnienie tej okoliczności? Nasuwa mi się myśl, że możliwe jest, iż utrzymywał Pan – jak skwapliwie chciałbym zakładać, z początku jedynie w celach leczniczych – hipnotyczny, sugestywny czy inny kontakt z moimi nerwami, także na odległość. Podczas takiego obcowania mógł Pan kiedyś dokonać spostrzeżenia, iż także skądinąd przemawiają do mnie głosy nadprzyrodzonego pochodzenia. Mógł Pan być wtedy po tym zaskakującym spostrzeżeniu jeszcze przez jakiś czas utrzymywać ze mną kontakt z naukowych pobudek do momentu, kiedy cała ta sprawa nawet Panu wydała się, że tak powiem, niesamowita i poczuł się Pan zobligowany go przerwać. Mogło się być wówczas zdarzyć, że jakaś część Pańskich nerwów – prawdopodobnie bez Pańskiej świadomości – oddzieliła się w jakiś nadprzyrodzony sposób od Pańskiego ciała i jako „sprawdzona dusza” wzniosła się do niebios, do jakiejś nadprzyrodzonej mocy. Ta „sprawdzona dusza” mogła się być, jak wszystkie nieoczyszczone dusze, obciążone ludzkimi błędami – zgodnie z charakterem dusz, jaki z pewnością został ze mnie rozpoznany – dać kierować, jedynie przez dążenia do bezwzględnego potwierdzenia siebie samej i zdobywania władzy, bez kontroli czynnika odpowiadającego ludzkiej moralnej sile woli, całkiem w taki sam sposób, jak to zgodnie z treścią moich „Pamiętników” przez długi czas miało miejsce ze strony innej „sprawdzonej duszy”, mianowicie duszy pana W. Możliwe jest więc, że wszystko to, co w przeszłości omyłkowo musiałem zgodnie z moimi przekonaniem kłaść w ciężar Pańskiej osoby – w szczególności niezaprzeczalne szkodliwe wpływy na moje ciało – należałoby przypisać owej „sprawdzonej duszy”. Wówczas na Pańską osobę nie padłby żaden cień, może je-

dynie pozostałby delikatny wyrzut, iż, jak czasem inni lekarze, nie był Pan w stanie całkowicie oprzeć się pokusie, by przeprowadzać naukowe eksperymenty z powierzonym Pańskiej opiece pacjentem, wykraczające poza cel leczenia, o ile przypadkiem pojawia się okazja z naukowego punktu widzenia wielce interesująca. Należałoby wręcz poruszyć kwestię, czy całe to gadanie głosów, jakoby ktoś popełnił mord na duszy, nie wynika właśnie stąd, iż oddziaływanie na siłę woli innego człowieka, które w pewnym stopniu ją zniewala, wydało się duszom (promieniom) w ogóle niedopuszczalne i że może w celu jak najbardziej mocnego napiętnowania tej niedopuszczalności posłużono się – z właściwą duszom skłonnością do hiperbolicznych wyrażen – z braku innego będącego pod ręką sformułowania właśnie tym używanym wcześniej wyrażeniem „mord na duszy”.

Nie muszę chyba podkreślać, jaką niedającą się przewidzieć wagę miałyby fakt, gdyby moje uprzednio zasygnalizowane przypuszczenia potwierdziły się w jakikolwiek sposób, w szczególności gdyby wspomnienia, które Pan na pewno także przechowuje w pamięci, doznały jakiegoś wsparcia. Cała moja praca zyskałaby tym samym przed całym światem na wiarygodności i mogłaby stać w świetle *poważnego naukowego problemu, który trzeba by zbadać wszelkimi możliwymi sposobami*.

Zgodnie z powyższym kieruję do Pana, wielce szanowny Radco Tajny, prośbę – prawie chciałbym powiedzieć: *zaklinam Pana* – by wypowiedział się bez ogródek w poniższych kwestiach:

1) czy podczas mojego pobytu w Pańskim zakładzie utrzymywał Pan ze mną hipnotyczny albo podobny kontakt w taki sposób, że oddziaływał Pan – w szczególności na odległość – na mój system nerwowy;

2) czy stał się Pan przy tym w jakikolwiek sposób świadkiem wymiany głosów, pochodzących z innego źródła, a wskazujących na nadprzyrodzone pochodzenie; i wreszcie

3) czy w czasie mojego pobytu w Pańskim zakładzie także Pan sam doświadczał – szczególnie w snach – wizji albo innych wrażeń zbliżonych do wizji, w których chodziło m.in. o boską wszechmoc i ludzką wolną wolę, o pozbawienie sił witalnych, o utratę szczęścia, o moich krewnych i przyjaciół, a także o Pańskich, w szczególności wymienionego w rozdziale VI Daniela Fürchtegotta Flechsig, i wiele innych rzeczy, wspomnianych w moich „Pamiętnikach”,

przy czym chciałbym od razu dodać, że na podstawie licznych informacji pochodzących od mówiących ze mną w owym czasie głosów dysponuję najważniejszymi przesłankami ku temu, by zakładać, że i Pan *na pewno miał* takie wizje.

Apelując do Pańskich naukowych zainteresowań, wolno mi chyba żywić ufność, że będzie Pan posiadał odwagę do wyznania prawdy, nawet jeśli musiałby Pan wyjawić jakiś drobiazg, który przecież u osoby rozsądnej nie poczyniłby uszczerbku ani na Pańskim honorze, ani na Pańskim dobrym imieniu.

Jeśli zechciałby Pan odpowiedzieć mi pisemnie, niech mi wolno będzie zapewnić Pana, iż odpowiedź taką opublikowałbym jedynie z Pańskim zezwoleniem i w takiej formie, jaką by Pan sam był łaskaw zalecić.

Jako że list niniejszy cieszyć się może ogólnym zainteresowaniem, uznałem za stosowne opublikować go jako „List otwarty” we wstępie do moich „Pamiętników”.

Drezno, marzec 1903

Z wyrazami szacunku

Dr Schreber, przewodniczący senatu a.D.

Spis treści

Wstęp do wydania polskiego	5
Słowo wstępne	17
List otwarty do Pana Tajnego Radcy prof. dr. Flechsig'a	19
Wprowadzenie	25
Rozdział I. Bóg i nieśmiertelność	29
Rozdział II. Kryzys regionów Bożego królestwa? Mord na duszy	39
Rozdział III. Niedopuszczony do druku przez D.P. Schrebera	47
Rozdział IV. Osobiste przeżycia podczas pierwszej i na początku drugiej choroby nerwowej	49
Rozdział V. Ciąg dalszy. Mowa nerwów (wewnętrzne głosy). Przymus myślenia. Odmęczyźnienie jako możliwy postulat porządku świata	57
Rozdział VI. Osobiste przeżycie. Ciąg dalszy. Wizje. „Widzący duchy”	69
Rozdział VII. Osobiste przeżycia, ciąg dalszy; specyficzne symptomy chorobowe. Wizje	81
Rozdział VIII. Osobiste przeżycia podczas pobytu w zakładzie dr. Piersona. „Sprawdzone dusze”	93
Rozdział IX. Przeniesienie do zakładu Sonnenstein. Zmiany w ruchu promieni. „System zapisywania”. „Doziemne uwiązanie”	107
Rozdział X. Osobiste przeżycia w Sonnenstein. „Zakłócenia” jako zjawiska towarzyszące ruchom promieni. „Manipulowanie nastrojami”	119
Rozdział XI. Uszkodzenie cudami spójności ciała	129
Rozdział XII. Treści wypowiedzi głosów. „Poglądy dusz”. Język dusz. Dalszy ciąg osobistych przeżyć	139
Rozdział XIII. Rozkosz duszy jako czynnik przyciągający. Skutki	149
Rozdział XIV. „Sprawdzone dusze”; ich losy. Osobiste przeżycia, ciąg dalszy ..	159
Rozdział XV. „Igranie z ludźmi i z cudami”. Wołania o pomoc. Mówiące ptaki	167

Rozdział XVI. Przymus myślenia. Jego formy i zjawiska mu towarzyszące ...	177
Rozdział XVII. Kontynuacja poprzedniego rozdziału. Znaczenie „rysowania” w języku dusz	185
Rozdział XVIII. Bóg i procesy tworzenia; samorództwo; wyczarowane owady. „Kierowanie spojrzenia”. System sprawdzania	193
Rozdział XIX. Kontynuacja poprzedniego rozdziału. Boska wszechmoc i ludzka wolna wola	203
Rozdział XX. Egocentryczne poglądy promieni w odniesieniu do mojej osoby. Dalszy rozwój osobistych losów	211
Rozdział XXI. Błogostan i rozkosz duszy w ich wzajemnej relacji. Skutki wynikające z niej dla własnego zachowania	219
Rozdział XXII. Rozważania końcowe. Spojrzenie w przyszłość.	229
Suplementy, część pierwsza (październik 1900 – czerwiec 1901)	235
I. O cudach (październik 1900).	237
II. O stosunku inteligencji boskiej do ludzkiej (11 października 1900).	239
III. O igraszkach z ludźmi (styczeń 1901)	241
IV. O halucynacjach (luty 1901)	245
V. O naturze Boga (marzec i kwiecień 1901)	253
VI. Rozważania na temat przeszłości. Różne (kwiecień i maj 1901)	265
VII. O kremacji (maj 1901).	271
Suplementy, część druga (październik i listopad 1902)	275
Aneks	285
W jakich warunkach osobę uznaną za psychicznie chorą można trzymać w zakładzie leczniczym wbrew jej zadeklarowanej woli	287
Załączniki (dokumenty z procesu o ubezwłasnowolnienie)	297
I. Opinia lekarza sądowego	299
II. Opinia zakładowego lekarza rejonowego	307
III. Uzasadnienie zaskarżenia wyroku	317
IV. Opinia tajnego radcy dr. Webera z 5 kwietnia 1902 r.	347
V. Wyrok Sądu Krajowego II Instancji Królestwa Saksonii	361

Wprowadzenie

Jako że powziąłem zamiar złożenia w najbliższej przyszłości wniosku o zwolnienie z zakładu, by znów żyć wśród kulturalnych ludzi i w domowym zaciszu dzielić życie z moją żoną, pojawia się konieczność przedstawienia tym osobom, które będą wówczas stanowić moje otoczenie, przynajmniej ogólnego obrazu mych religijnych wyobrażeń, by mogły one chociaż w przypadku niektórych pozornych osobliwości w moim zachowaniu jeśli nie zrozumieć ich w pełni, to chociaż pojąć przymus, który mi te osobliwości narzuca.*

Temu celowi mają służyć niniejsze zapiski, w których będę próbował przedstawić innym ludziom przynajmniej trochę zrozumiały obraz nadprzyrodzonych rzeczy, o których wiedzę zdobyłem w przeciągu prawie sześciu lat. Z góry zakładam, że na *pełne* zrozumienie liczyć nie mogę, ponieważ chodzi tu częściowo o rzeczy, których się ludzką mową w ogóle wyrazić nie da, przekraczają one bowiem granice ludzkiego pojmowania. Nawet o sobie samym nie mogę twierdzić, że *wszystko* jest dla mnie niezbitym pewnikiem; niektóre rzeczy i dla mnie pozostają w sferze domysłów i prawdopodobieństwa. Ja także jestem tylko człowiekiem i mnie również obowiązują ograniczenia ludzkiego poznania. Jedno nie ulega dla mnie wątpliwości, a mianowicie to, że zbliżyłem się do prawdy dalece bardziej, niż wszyscy inni ludzie, którym nie dane było boskie objawienie.

By umożliwić czytelnikowi jako takie zrozumienie omawianych kwestii, będę musiał posiłkować się obrazami i parabolami, które być może niekiedy

* Uwaga wstępna: W trakcie zajmowania się niniejszą pracą przyszła mi do głowy myśl, iż może ona wzbudzić zainteresowanie szerszych kręgów. Początek zostawiłem jednak w pierwotnej formie, jako że chęć zorientowania mojej żony w moich osobistych przeżyciach i religijnych wyobrażeniach była pierwszym bodźcem do prowadzenia niniejszych zapisków. Tutaj też można znaleźć wyjaśnienie tego, iż w niniejszej pracy wielokrotnie uznawałem za stosowne przedstawianie szczegółowych objaśnień faktów już naukowo znanych, obcych słów itp., które dla biegłych w nauce czytelników właściwie byłyby zbędne.

będą trafione jedynie w przybliżeniu. Porównanie ze znanymi ludzkimi doświadczeniami to jedyna droga, dzięki której człowiek może przynajmniej w pewnym stopniu zrozumiałym uczynić nadprzyrodzone rzeczy, których natura w swej najgłębszej istocie zawsze przecież pozostanie niezrozumiała. Tam, gdzie kończy się rozumowe pojmowanie, zaczyna się obszar wiary; człowiek musi przywyknąć do tego, że istnieją rzeczy, które są prawdziwe, mimo że nie może on ich pojąć.

I tak na przykład pojęcie *wieczności* jest dla człowieka czymś niepojętym. Człowiek właściwie nie może sobie wyobrazić, że może istnieć coś, co nie ma końca ani początku, przyczyna, której nie można by wywieść od innej wcześniejszej przyczyny. A jednak uważam, że muszę – i wszyscy religijnie myślący ludzie ze mną – uznać wieczność za jedną z cech Boga. Człowiek zawsze będzie skłonny pytać: „Jeśli Bóg stworzył świat, to jak powstał sam Bóg?” Pytanie to będzie musiało na zawsze pozostać bez odpowiedzi. Podobnie rzecz się ma z pojęciem boskiego tworzenia. Człowiek może sobie wyobrazić jedynie to, że z już istniejących materiałów za pomocą przeobrażających sił może powstać nowy materiał, a jednak wierzę – i tuszę – że to poprzez w dalszej części poszczególnymi przykładami – że boskie tworzenie było tworzeniem z niczego. Także dogmaty naszej pozytywnej religii zawierają rzeczy, które wymykają się całkowitemu ich pojmowaniu przez ludzki rozum. Gdy Kościół chrześcijański naucza, że Jezus Chrystus był synem Boga, to można to rozumieć jedynie w pełnym tajemnicy, z właściwym znaczeniem ludzkich słów tylko w przybliżeniu pokrywającym się sensie, bo nikt nie będzie twierdził, iż Bóg obcował jako istota wyposażona w ludzkie organa płciowe z kobietą, z której łona wyszedł Jezus Chrystus. Podobnie rzecz się ma z nauką o Trójcy, zmartwychwstaniu zmarłych i innymi chrześcijańskimi dogmatami. Nie chcę tu w żadnym razie twierdzić, że uznaję za prawdziwe wszystkie chrześcijańskie zasady wiary w interpretacji naszej prawowiernej teologii. Przeciwnie – mam znaczne powody zakładać, że niektóre z nich są nieprawdziwe lub prawdziwe jedynie z dużymi zastrzeżeniami.

Dotyczy to na przykład zmartwychwstania zmarłych, które chyba tylko w formie wędrówki dusz może rościć pretensje do względnej i czasowo ograniczonej (niebędącej celem ostatecznym całego procesu) prawdy, oraz wiecznego potępienia, które ma jakoby dotknąć niektórych z nas. Wyobrażenie wiecznego potępienia – które zawsze także dla ludzkich uczuć będzie miało działanie odstrasżające, mimo według mnie opartego na sofizmach wyjaśnienia, dzięki któremu np. Luthardt próbował nadać w swych apologetycznych wykładach łatwiejszą do przyjęcia formę – nie odpowiada prawdzie, jako też w ogóle (ludzkie) pojęcie *kary* (jako środka władzy, służącego osiągnięciu określonego celu *wewnątrz ludzkiej społeczności*) należałoby

w gruncie rzeczy wyeliminować z wyobrażenia o tamtym świecie. O tym jednak bliżej dopiero w dalszej części.¹

Zanim przejdę do objaśnienia, jak skutek mojej choroby wszedłem w szczególny (i – jak spieszę od razu dodać – niezgodny z porządkiem świata) kontakt z Bogiem, muszę najpierw zamieścić kilka uwag na temat natury Boga i ludzkiej duszy, które mogą tymczasowo występować jako aksjomaty – twierdzenia niewymagające dowodów – a których uzasadnienie, o ile w ogóle możliwe, będę próbował przedstawić w dalszej części.

¹ Na innej stronie jestem w stanie na podstawie własnych doświadczeń dać bliższe wyjaśnienie niektórych chrześcijańskich zasad wiary, w jaki sposób są one możliwe dzięki boskim cudom. Coś podobnego do poczęcia Jezusa Chrystusa przez niepokalaną dziewicę – to znaczy taką, która nigdy nie obcowała cielesnie z mężczyzną – zaszło w moim własnym ciele. Dwa razy z osobna (a to w czasie, gdy byłem jeszcze w zakładzie Flechsig) posiadałem, nawet jeśli nieco wadliwie rozwinięty, żeński organ płciowy i odczuwałem w mym ciele drgania, jakie odpowiadają pierwszym ruchom ludzkiego embrionu. Za sprawą boskiego cudu rzucone zostały bowiem w me ciało odpowiednie, podobne do męskiego nasienia, boskie nerwy; miało więc miejsce zapłodnienie. Następnie uzyskałem dość dokładny obraz tego, w jaki sposób odbyć się mogło zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa; w ostatnim okresie mego pobytu w zakładzie Flechsig a na początku mego przebywania w tutejszym zakładzie widziałem nie raz, lecz w setkach przypadków, jak za sprawą boskiego cudu na krótki czas zarysowywały się ludzkie postaci, by następnie znów się rozpląnąć lub zniknąć. Przemawiające do mnie głosy określały te zjawiska jako „pobieżnie wytworzeni ludzie”, a wśród nich byli częściowo już dawno zmarli, jak na przykład B.D. Rudolph J., którego widziałem w tzw. Zakładzie Piersona w Coswig, ale także inni, którzy widocznie odbywali wędrówkę dusz, jak np. główny prokurator B., radcy sądowi dr N. i W., radca tajny W., adwokat W., mój teść i inni. Wszyscy oni wiedli życie we śnie, to znaczy nie sprawiali wrażenia, iż byłiby w stanie prowadzić rozsądną rozmowę, a i ja sam nie byłem wówczas jeszcze skłonny do rozmów, w gruncie rzeczy właśnie dlatego, że uważałem, iż przed sobą mam nie rzeczywistych ludzi, lecz cudowne lalki. Na podstawie tego przeżycia jestem skłonny zakładać, że także Jezus Chrystus, który zmarł prawdziwą śmiercią jako prawdziwy człowiek, został następnie za sprawą boskiego cudu „złożony” na nowo na krótki czas jako „pobieżnie wytworzony człowiek”, by wzmocnić wiarę swych wyznawców i w ten sposób zapewnić idei nieśmiertelności pewne miejsce wśród ludzi, następnie zaś w naturalny sposób właściwy dla „pobieżnie wytworzonych ludzi” rozpląnął się w powietrzu. Zgodnie z tym, co napisałem poniżej, niewykluczone jest też, że jego nerwy zostały przyjęte do wiecznej szczęśliwości. Dogmat natomiast o wniebowstąpieniu Chrystusa zgodnie z tym poglądem uważam za baśń tylko, którą jego uczniowie wykopyowali sobie po zniknięciu człowieka, którego po jego śmierci ponownie ujrzeni wśród nich w cielesnej postaci.

Rozdział I. Bóg i nieśmiertelność

Dusza ludzka zawarta jest w nerwach naszego ciała, o których fizycznej naturze nie mogę się, jako laik, wypowiadać szerzej niż stwierdzeniem, że jest to twór niezwykle delikatny, podobny do najdelikatniejszych nici, dzięki którym drażliwości na zewnętrzne oddziaływania odbywa się całe życie duchowe człowieka. Tą drogą nerwy wprowadzane są w drgania, które w sposób niedający się bliżej wyjaśnić wywołują uczucie przyjemności lub niechęci; posiadają one zdolność do zapamiętywania doznanych wrażeń (ludzka pamięć), a jednocześnie – poprzez napięcie swej motywacyjnej energii – siłę do nakłaniania mięśni ciała, które zamieszkują, do wszelkiej dowolnej czynnej manifestacji. Rozwijają się one od najwrażliwszych początków (jako owoc ludzkiego ciała, jako dziecięca dusza) do wielowarstwowego, obejmującego najrozleglejsze obszary ludzkiej wiedzy systemu (dusza dojrzałego człowieka). Część nerwów nadaje się jedynie do odbierania wrażeń zmysłowych (nerwy widzenia, słyszenia, dotyku, rozkoszy itp.), są one więc nerwami będącymi w stanie odbierać światło, dźwięk, odczuwać zimno i ciepło, głód, rozkosz i ból itd. Inne nerwy (nerwy rozumu) odbierają i przechowują wrażenia duchowe i jako organy woli dają całemu ciału impuls do uzewnętrzniania swej mocy, oddziałującej na otaczający świat. Zdaje się, że istniejące tu proporcje są takie, iż *każdy poszczególny nerw rozumu reprezentuje całą duchową indywidualność człowieka*, na każdym poszczególnym nerwie rozumu są, można powiedzieć, zapisane² wszystkie wspo-

² Jeśli to założenie jest słuszne, rozwiązuje się równocześnie problem dziedziczności i odmienności, tzn. faktu, że dzieci są pod pewnymi względami takie same, jak ich rodzice i dziadkowie, pod pewnymi innym względami zaś się od nich różnią. Męskie nasienie zawiera w sobie nerw ojca i łączy się z nerwem pochodzącym z ciała matki w nową jednostkę. Ta nowa jednostka – późniejsze dziecko – jest jakby nowym ucieleśnieniem ojca i matki, czasem w większym stopniu tego pierwszego, czasem w mniejszym, doznaje potem podczas własnego życia nowych wrażeń i tą drogą przekazuje tę nowo zdobytą odrębność znów na swych potomków. W ten sposób w próżni rozwiąłoby się wyobrażenie o szczególnym nerwie przeznaczenia, który przedstawia duchową jedność człowieka, pochodzące – o ile wiem – z dzieła Preła o tym samym tytule.

mnienia, a mniejsza czy większa liczba istniejących nerwów rozumu ma wpływ jedynie na czas, przez jaki wspomnienia te mogą zostać zachowane. Jak długo człowiek żyje, tak długo jest on ciałem i duszą równocześnie; nerwy (dusza człowieka) są odżywiane i utrzymywane w żywym ruchu przez ciało, którego funkcja w istocie nie różni się od zwierząt wyższego rzędu. Jeśli ciało utraci swe witalne siły, dla nerwów następuje stan nieświadomości, który my nazywamy śmiercią, i którego namiastkę przeżywamy podczas snu. Nie oznacza to jednak, że dusza faktycznie zgasła; doznane wrażenia utrzymują się w dalszym ciągu na nerwach, a dusza odbywa, można powiedzieć, sen zimowy jak niektóre zwierzęta i może w poniżej omawiany sposób zostać powołana do nowego życia.

Bóg jest od samego początku tylko nerwem, nie ciałem, a przez to jest zbliżony do ludzkiej duszy. Nerwy Boga nie są jednak, jak w ciele ludzkim, obecne jedynie w ograniczonej liczbie, ale są nieskończone i wieczne. Mają właściwości, które mają również nerwy ludzkie, jednak w potencji przekraczającej wszelkie ludzkie pojęcie. Wykazują one bowiem zdolność do przekształcania się we wszystkie możliwe przedmioty ze stworzonego świata; w tej funkcji nazywają się promieniami i w nich leży istota boskiego tworzenia. Po między Bogiem a ugwieżdżonym niebem istnieje ścisły związek. Nie śmiem się wypowiadać na temat, czy Boga i kosmos należy sobie przedstawiać jako jedno i to samo, czy też należy uznać, że całość nerwów boskich leży ponad gwiazdami i za nimi, w związku z czym same gwiazdy, a nasze Słońce w szczególności, to *stacje*, na których cudowna moc Boga przemierza drogę do naszego świata (i ewentualnie innych zamieszkanymi planet).³ Równie mocno obawiam się wypowiadać na temat, czy także same ciała niebieskie (gwiazdy stałe, planety itp.) zostały stworzone przez Boga, czy też boskie tworzenie ogranicza się jedynie do świata organicznego, w związku z czym byłaby obok egzystencji żywego Boga, która dla mnie bezpośrednio stała się pewnością, możliwa również nebularna teoria Kanta-Laplace'a. Pełna prawda leży być może w niezrozumiałej dla człowieka przekątnej obu tych wyobrażeń. Dającą światło i ciepło moc Słońca, będącą przyczyną wszelkiego organicznego życia na Ziemi, należy w każdym razie uznać za pośrednią żywą manifestację Boga. Dlatego też znane od wieków u wielu ludów oddawanie Słońcu boskiej czci nie zawiera wprawdzie pełnej prawdy, ale na pewno wysoce znaczący rdzeń tych praktyk nie jest od prawdy zbytnio oddalony.

Nauki astronomii w dziedzinie ruchów, oddalenia i fizycznych właściwości ciał niebieskich itp. mogą być w ogólności słuszne. Trzeba jedynie powiedzieć, co jest dla mnie na podstawie własnych doświadczeń poza wątpliwościami, że

³ O tym wszystkim pojęcie mieli także nasi poeci: „U góry, nad gwieźdźnym namiotem musi mieszkać nasz dobry Ojciec” itp.

także nasza astronomia jeszcze nie ogarnęła całej prawdy o dającej światło i ciepło mocy gwiazd, w szczególności naszego Słońca, bo trzeba je postrzegać pośrednio lub bezpośrednio tylko jako przeznaczoną dla Ziemi część twórczej cudownej mocy Boga. Potwierdzeniem tego stwierdzenia niech będzie tymczasem tylko fakt, że Słońce od lat przemawia do mnie ludzką mową, a tym samym daje się poznać jako żywa istota lub jako organ ukrywającej się za nim wyższej istoty. Bóg tworzy także pogodę; dzieje się tak z reguły, można powiedzieć, samo z siebie na skutek większego lub mniejszego wypromieniowywania ciepła przez Słońce, w szczególnych przypadkach jednak może tym procesem sterować Bóg, zmierzając dzięki temu ku specjalnym celom. Otrzymałem na przykład dość pewne sugestie, iż sroga zima roku 1870–1871 była sprawą przez Boga postanowioną, by w pewnych okolicznościach zmienić powodzenie działań wojennych po stronie Niemców. Także dumne słowa o zniszczeniu hiszpańskiej Armady Filipa II w roku 1588 *Deus afflavit et dissipati sunt* („Bóg rozniecił wichry i zniknęły”) zawierają najprawdopodobniej historyczną prawdę. Wymieniam przy tym Słońce tylko jako najbliższej Ziemi położone narzędzie, stanowiące manifestację boskiej siły woli. W rzeczywistości pogodę kształtują wszystkie pozostałe ciała niebieskie. W szczególności wiatr lub burze powstają dlatego, że Bóg oddala się od Ziemi. W sprzecznych z porządkiem świata warunkach, które teraz nastąpiły, pogoda – by powiedzieć o tym na samym wstępie – jest zależna od *mojego* działania i myślenia; jak tylko oddam się bezmyślności lub – co wychodzi na to samo – zaprzestaną czynności, która świadczy o pracy ludzkiego umysłu, np. przestanę grać w szachy w ogrodzie, natychmiast zrywa się wiatr. Temu, kto chciałby wątpić w to nieomal ekscentryczne twierdzenie, mogę prawie codziennie dać sposobność przekonania się o jego słuszności, tak samo jak czyniłem to niedawno już wielokrotnie tak zwanym wyciem wobec różnych osób (tajnego radcy mojej żony, mojej siostry itp.). Przyczyny należy upatrywać w tym, że Bogu zdaje się, iż może się ode mnie jako od osoby przypuszczalnie głupiej odsunąć, jak tylko oddam się niemyśleniu.

Za pomocą wychodzącego od Słońca i innych gwiazd światła Bóg posiada zdolność postrzegania, człowiek powiedziałby – widzenia, wszystkiego, co się dzieje na Ziemi (i ewentualnie na innych zamieszkałych planetach); można więc obrazowo o Słońcu i świetle gwiazd mówić, iż są okiem Boga. Cieszy się on wszystkim, co widzi, jako wytworami swej mocy tworzenia, podobnie jak człowiek cieszy się z pracy swych rąk lub z rezultatów pracy swego umysłu. Przy czym jednak – aż do wspomnianego poniżej kryzysu – panował tu stosunek taki, iż Bóg pozostawiał stworzony przezeń świat i znajdujące się na nim istoty organiczne w zasadzie samym sobie i tylko dbał poprzez trwanie ciepła słonecznego o możliwość ich zachowania, roz-

mnażania itp. Bezpośrednia ingerencja Boga w losy pojedynczych ludzi nie miała z reguły miejsca; nazywam ten stan zgodnym z porządkiem świata. Od czasu do czasu mogło się to chyba w drodze wyjątku zdarzać, jednak nie miało prawa powtarzać się zbyt często, gdyż związane z tym zbliżenie Boga do żyjących ludzi mogło nieść – z powodów wyjaśnionych poniżej – dla Boga pewne niebezpieczeństwa. I tak na przykład szczególnie żarliwa modlitwa mogła dać – być może – Bogu powód do pomocnej interwencji w tym jednym przypadku⁴ albo też mógł on za sprawą cudu zmienić kierunek losów całych narodów (podczas wojny itp.). Mógł też nawiązywać kontakt („pobierać od nich dodatek z nerwów”, jak nazywały ten proces rozmawiające ze mną głosy) z poszczególnymi bardzo uzdolnionymi ludźmi (poetami itp.), by obdarzyć ich łaską jakiejś płodnej myśli lub wizji (szczególnie we śnie) o zaświatach. Jednak taki „dodatek z nerwów” nie może, jak już powiedziałem, stać się regułą, ponieważ w drodze niewyjaśnionego bliżej związku nerwy ludzi *żyjących*, szczególnie w stanie *wielkiego wzburzenia*, wywierają na nerwy Boga tak wielką siłę przyciągania, iż Bóg mógłby być nie móc się od nich uwolnić, co zagroziłoby jego własnej egzystencji.⁵

Regularne obcowanie Boga z ludzkimi duszami miało zgodnie z porządkiem świata miejsce dopiero po śmierci. Do zmarłych Bóg mógł się zbliżyć bez niebezpieczeństwa po to, by ich nerwy, w których świadomość nie wygasła, a jedynie spoczywała, wyciągnąć za pomocą siły promieni do siebie w górę i w ten sposób pobudzić je do nowego niebiańskiego życia; wraz z oddziaływaniem promieni powracała świadomość. Nowe życie w zaświatach to szczęśliwość, do której mogła zostać wyniesiona ludzka dusza. Nie mogło się to jednak odbyć bez uprzedniego oczyszczenia i segregacji ludzkich nerwów,

⁴ W niezliczonych razach doświadczyłem na własnym ciele i doświadczam także i teraz dzień w dzień, że Bóg jest np. w stanie usunąć z ludzkiego ciała poprzez wysłanie kilku czy- stych promieni każdy zarodek choroby.

⁵ (Dodatek z listopada 1902) Wyobrażenie *siły przyciągania*, działającej na tak ogrom- nych odległościach, a wychodzącej od pojedynczych ludzkich ciał lub (w moim przypadku) od jednego jedyne ludzkiego ciała, musiałyby – rozważane tylko jako problem sam w sobie, tj. gdyby przy tym chciało się myśleć, tak jak w przypadku innych znanych sił przyrody, o czyn- niku działającym tylko mechanicznie – jawić się absurdalne. Mimo to oddziaływanie tej siły przyciągania jest dla mnie jako fakt całkowicie bezsporne. W pewnym stopniu zrozumiałe i bliższe ludzkiemu umysłowi stanie się to zjawisko, gdy uświadomimy sobie, iż promienie są istotami ożywionymi, i że w związku z tym w przypadku tej siły przyciągania nie chodzi o siłę działającą czysto mechanicznie, lecz o coś podobnego do psychologicznych impulsów: „Przy- ciągnające jest dla promieni także to, co je interesuje. Powstająca w ten sposób relacja jest więc podobna do tej, o której Goethe śpiewa w swym *Rybaku*:

Na wpół ciągnęła go ona,
na wpół opadał sam.”

które w zależności od różnej kondycji ludzkich dusz potrzebowały mniej lub więcej czasu, a w zależności od stanu jeszcze pewnych pośrednich stopni jako przygotowania. Dla Boga – lub, jeśli kto woli, w niebie – użytek znajdowały tylko czyste ludzkie nerwy, gdyż ich przeznaczeniem było włączenie ich do samego Boga, by wreszcie jako „przedsionki niebios”⁶ w pewnym stopniu stały się częściami składowymi samego Boga. Nerwy moralnie upadłych ludzi są zaczerwienione; ludzie moralnie czysti mają nerwy białe. Im bardziej moralnie człowiek żył, tym bardziej kondycja jego nerwów jest zbliżona do doskonałej bieli lub czystości, które nerwom boskim są właściwe od samego początku. U ludzi stojących moralnie bardzo nisko większa część nerwów może być w ogóle nie do użytku. Zgodnie z tym zostają wybierane różne stopnie szczęśliwości, której może dostąpić człowiek, a także czas, przez jaki może zostać zachowana świadomość w życiu na tamtym świecie. Nie jest chyba możliwy całkowity brak uprzedniego uszlachetniania, bo ciężko znaleźć człowieka, który byłby całkiem wolny od grzechu, którego nerwy więc nie zostałyby kiedyś w minionym życiu zbrudzone niemoralnym zachowaniem. Także i ja nie mogę przedstawić dokładnego opisu procesu oczyszczania, jednakowoż otrzymałem różne wartościowe sugestie w tym temacie. Zdaje się, że uszlachetnianie związane jest z wykonywaniem jakiejś wywołującej u duszy uczucie niechęci pracy⁷ lub z być może podziemnym pobytem, powiązaniem z niemiłymi odczuciami, które są potrzebne, by dusza doznała stopniowego oczyszczenia.

Kto chciałby użyć w tym kontekście wyrażenia „kara”, miałby w pewnym sensie rację; należy jednak podkreślić, że w odróżnieniu od ludzkiej kary celem jest nie wyrządzenie zła, a stworzenie warunków koniecznych do oczyszczenia. W ten sposób znajdują wyjaśnienie, ale i częściowo muszą zostać poddane pewnej korekcie, wyobrażenia o piekle, czyścicu itp., które są właściwe dla większości religii. Oczyszczane dusze uczą się podczas oczyszczania języka używanego przez samego Boga – tzw. języka podstawowego, będącego nieco staromodną, ale ciągle jeszcze efektywną formą języka niemieckiego,

⁶ Wyrażenie „przedsionki niebios” nie zostało wynalezione przeze mnie, lecz jest jedynie, jak wszystkie inne zamieszczone w niniejszej pracy w cudzysłowie wyrażenia (np. wyżej „pobieżnie wytworzeni ludzie”, „życie we śnie” itp.) przekazaniem nazwy, pod jaką rozmawiające ze mną głosy przekazywały mi informacje na temat danych wydarzeń. Są to wyrażenia, *na które nigdy bym sam nie wpadł*, których nigdy nie słyszałem od innych ludzi. Dotyczą one częściowo spraw naukowych, w szczególności z dziedziny medycyny, i nawet nie umiem powiedzieć, czy są one znane i używane w danej dziedzinie ludzkiej nauki. W dalszej części będę jeszcze w szczególnych przypadkach zwracał uwagę na tę godną uwagi okoliczność.

⁷ W odniesieniu do duszy Flehsiga na przykład była raz mowa o katorżniczej pracy, którą musiała wykonywać.

która wyróżnia się w szczególności wielkim bogactwem eufemizmów (i tak na przykład nagroda w dokładnie odwrotnym znaczeniu dla kary, trucizna dla potrawy, sok dla trucizny, święty dla zły itp., sam Bóg nosi miano „ze względu na tego, który jest i będzie” – opisowe określenie wieczności – i trzeba się do niego zwracać „Wieczny majestacie wiernie posłuszny”). Oczyszczanie było nazywane „sprawdzianem”; dusze, które nie przeszły jeszcze procesu oczyszczania, nie nazywały się – jak by można oczekiwać – „niesprawdzone dusze”, lecz właśnie odwrotnie, zgodnie z ową skłonnością do eufemizmów, „sprawdzone dusze”. Dusze znajdujące się jeszcze w trakcie procesu oczyszczania nazywane były w różnych wzmocnieniach „szatanami”, „diabłami”, „diabłami pomocniczymi”, „naddiabłami” i „diabłami ziemnymi”; szczególnie to ostatnie wyrażenie zda się wskazywać na podziemne przebywanie. „Diabły” itp. były, występując jako „pobieżnie wytworzony człowiek”, osobliwego koloru (był on zbliżony do marchewkowej czerwieni) i posiadały dziwny odrażający zapach, jak dane było mi samemu doświadczyć w wielu przypadkach w tzw. Zakładzie Piersona w Coswig (określanym mianem „kuchni diabła”). Widziałem na przykład pana v.W. i pana v.O., którego poznaliśmy w nadbałtyckim kurorcie Warnemünde, jako diabły o czerwonej twarzy i czerwonych dłoniach, i radcę tajnego W. jako naddiabła.

Dowiedziałem się o Judaszu Iskariocie, że z powodu swej zdrady na Jezusie Chrystusie był on diabłem ziemnym. Nie można jednak wyobrażać sobie tych diabłów tak, jak przedstawiane są one w religii chrześcijańskiej, jako moce wrogie Bogu. Przeciwnie, były one już niemal bez wyjątku bardzo pełne uszanowania dla Boga, były tylko właśnie poddawane procesowi oczyszczania. Zamieszczone powyżej zdanie, że Bóg posługiwał się językiem niemieckim w formie tzw. języka podstawowego, nie może być rozumiane tak, że szczęśliwość wieczna była przeznaczona tylko dla Niemców. Jednak Niemcy byli w ostatnich czasach (prawdopodobnie od Reformacji, a może nawet już od Wędrowki Ludów) *narodem wybranym Boga*, którego językiem przeważnie się Bóg posługiwał. Wybranymi narodami Boga byli w tym sensie kolejno w historii – jako za każdym razem najbardziej poprawni moralnie – starożytni Żydzi, starożytni Persowie (ci ostatni w szczególności wielkiej mierze, o czym bliżej w dalszej części), „Greko-Rzymianie” (być może w czasach rzymsko-greckiej starożytności, prawdopodobnie jednak także jako „Frankowie” za czasów wypraw krzyżowych) i wreszcie Niemcy. Zrozumiałe są dla Boga natomiast bez problemu języki wszystkich narodów, a to na drodze przyłączenia nerwów.⁸

⁸ W podobny sposób rozumieją je teraz wszystkie dusze, jakie są ze mną połączone nerwami, właśnie dlatego, że mogą uczestniczyć w moich myślach, wszystkie języki, które są dla mnie zrozumiałe, np. grekę, gdy czytam grecką książkę, itp.

Także *wędrówka dusz* zdaje się służyć celom oczyszczania nieczystych ludzkich dusz, a po różnych przeżyciach mam podstawy zakładać, iż odbywała się ona w większym wymiarze. Uczestniczące w niej dusze ludzkie były powoływane do nowego życia w innych ciałach na świecie, zachowując być może niejasne wspomnienie poprzedniej egzystencji, co z zewnątrz – tak jak u pozostałych ludzi – wyglądać mogło przypuszczalnie jak poród. Nie odważę się przedstawić tu bardziej zdecydowanych stwierdzeń, w szczególności także nie chcę się wypowiadać, czy *wędrówka dusz* służyła jedynie celowi oczyszczania, czy też innym (np. zaludnianiu innych planet). Dowiedziałem się od rozmawiających ze mną głosów lub w inny sposób o kilku przypadkach, gdzie dana osoba w swym późniejszym życiu zajęła zdecydowanie niższą pozycję niż w życiu poprzednim, co miało chyba być pewnego rodzaju karą.

Szczególnie godny uwagi był przypadek pana v.W., którego dusza w taki sam sposób, jak teraz jeszcze dusza Flechsig, wywierała radykalny wpływ na moje stosunki z Bogiem, a co za tym idzie – także na me osobiste losy.⁹ Von W. piastował w Zakładzie Piersona („kuchni diabła”) w czasie, gdy tam przebywałem, funkcję naczelnego strażnika, ale zgodnie z moim ówczesnym poglądem – którego i obecnie nie byłbym w stanie obalić – nie jako rzeczywisty człowiek, lecz jako „człowiek pobieżnie wytworzony”, to znaczy jako dusza przejściowo osadzona w drodze boskiego cudu w ciele człowieka. W międzyczasie prowadził on już podobno w ramach *wędrówki dusz* w jakimś innym ciele na świecie drugie życie jako „agent ubezpieczeniowy Marx”.

Dusze całkowicie oczyszczone w procesie uszlachetniania unoszą się do Nieba i przez nie przedostają się do *blógostanu lub inaczej szczęśliwości*. Szczęśliwość ta to stan nieprzerwanej rozkoszy połączonej z patrzeniem na Boga. Dla człowieka wyobrażenie wiecznego „nic nierobienia” oznaczałoby

⁹ Oczywiście na pierwszy rzut oka całkowicie sprzeczny wydaje się fakt, że podaję tu, jak już wcześniej w przypisie 2.), nazwiska ludzi, którzy jeszcze przebywają wśród żywych, a mimo to mówię o *wędrówce dusz*, którą oni jakoby przeżyli. W istocie mamy tu do czynienia z zagadką, którą i ja jestem w stanie rozwiązać w sposób niedoskonały, a której przy zastosowaniu ludzkich pojęć w ogóle rozwiązać się by się nie dało. Wszelako fakty, o których mowa, są w większości przypadków (w szczególności w odniesieniu do duszy W. i duszy Flechsig) dla mnie całkiem bezsporne, jako że odczuwałem przez lata oddziaływanie tych dusz na moje ciało, a – co dotyczy duszy Flechsig lub być może części duszy Flechsig – jeszcze teraz odczuwam codziennie i wielokrotnie. Poniżej – tam, gdzie dojdę do omawiania tak zwanych igraszek z ludźmi – postaram się przedstawić bliższe wyjaśnienie tego związku. Na razie niech wystarczy wskazanie na możliwość podziału duszy, dzięki któremu można by sobie wyobrazić, iż pewne nerwy rozumu żyjącego jeszcze człowieka (które zgodnie z tym, co napisałem wcześniej, zachowują – nawet jeśli może przez krótszy czas – pełną świadomość tożsamości człowieka) odgrywają poza jego ciałem jeszcze jakąś inną rolę.

coś nie do wytrzymania, jako że człowiek przyzwyczajony jest do pracy i praca, jak mówi przysłowie, osładza mu życie. Nie można jednak zapomnieć, że dusze są czymś innym niż człowiek, i że w związku z tym niedopuszczalne byłoby przykładanie do nich tej samej miary, co do ludzi.¹⁰ Dla dusz bowiem nieustające pławienie się w rozkoszy i jednocześnie we wspomnieniach o ich ludzkiej przeszłości oznacza największe szczęście. Są one przy tym w stanie we wzajemnych kontaktach wymieniać swe wspomnienia i za pomocą boskich – można powiedzieć wypożyczonych w tym celu – promieni dowiadywać się o stanie tych żyjących jeszcze na ziemi ludzi, którymi się interesują: ich krewnych, przyjaciół itp., a po ich śmierci prawdopodobnie uczestniczyć w podciąganiu ich do szczęśliwości. Odrzucić należy wyobrażenie, że szczęście dusz może zostać zakłócone, gdyby dowiedziały się, iż ich żyjący jeszcze na ziemi bliscy znajdują się w jakimś nieszczęśliwym położeniu. Dusze posiadają wprawdzie zdolność przypominania sobie swej własnej ludzkiej przeszłości, nie umieją natomiast zachowywać przez dłuższy czas nowych wrażeń, których doznały jako dusze. Jest to naturalna niepamiętliwość dusz, dzięki której wnet wymazywane są nowe, niekorzystne doznania. W obrębie szczęśliwości obowiązuje stopniowanie w zależności od trwałości mocy, jaką nabyły dane nerwy podczas swego człowieczego życia i prawdopodobnie od ilości nerwów, jakie zostały uznane za godne do przyjęcia w Niebie.

Męska szczęśliwość stoi wyżej od kobiecej, gdzie ta ostatnia wydaje się polegać na nieprzerwanym uczuciu rozkoszy. Oprócz tego na przykład dusza Goethego, Bismarcka itp. zachowa swą świadomość (świadomość własnej tożsamości) być może na stulecia, podczas gdy w przypadku duszy wcześniej zmarłego dziecka stanie się tak być może na tyle lat, ile trwało jego życie w ziemskim wcieleniu. *Wieczne* trwanie świadomości, że była ona tym czy owym człowiekiem, nie jest przeznaczone żadnej ludzkiej duszy. Przeznaczeniem wszystkich dusz jest raczej stopienie się z innymi duszami, rozmycie w wyższych jednostkach i w ten sposób uzyskanie poczucia, że jest się częścią składową Boga („przedsionki niebios”). Nie oznaczałoby to więc zagłady jako takiej – *o ile* danej duszy przeznaczone jest wieczne trwanie – lecz kontynuowanie istnienia z inną świadomością. Tylko przy ograniczonym sposobie postrzegania można by się tu dopatrzeć niedoskonałości szczęśliwości – w odróżnieniu od osobistej nieśmiertelności w rozumieniu na

¹⁰ Ryszard Wagner na przykład każe, jakby miał pojęcie o tych relacjach, swemu Tannhäuserowi w momencie najwyższej ekstazy miłosnej mówić: „A jednak, ach, pozostałem śmiertelny i Twoja miłość jest dla mnie zbyt potężna, jestem poddany zmian, Bóg może cieszyć się stale jedną rzeczą”, jak też w ogóle wielokrotnie u naszych poetów można znaleźć prorocze wizje, które mnie utwierdzają w przekonaniu, iż dane im było boskie natchnienie na drodze połączenia nerwami (w szczególności we śnie).

przykład chrześcijańskiej religii. Gdyż cóż interesującego dla duszy miałby ze sobą nieść fakt pamiętania imienia, jakie nosiła ona niegdyś wśród ludzi, czy też ówczesnych osobistych związków, kiedy nie tylko jej dzieci i dzieci jej dzieci już dawno także doznały wiecznego spokoju, ale i liczne inne pokolenia udały się do grobu, a może nawet z szeregu żyjących narodów wymazana została nacja, do której dana dusza onegdaj należała. W ten sposób zapoznałem się – jeszcze podczas mojego pobytu w zakładzie Flechsig – z promieniami, które zostały mi przedstawione jako promienie, tj. podniesione do wyższych jednostek kompleksy zbawionych dusz ludzkich – starożytnego żydostwa („promienie Jehowy”), starożytnej kultury perskiej („promienie zaratusztrianizmu”) i starożytnej kultury germańskiej (promienie Thora i Odyna), i wśród których z całą pewnością nie znajdowała się ani jedna dusza, która by zachowała świadomość swego imienia, noszonego przed tysiącami lat jako członek tego czy innego z wymienionych ludów.¹¹

Ponad „przedSIONkami Nieba” unosi się sam Bóg, któremu w odróżnieniu od „przednich regionów królestwa bożego” nadaje się miano „tylnych regionów bożego królestwa”. Tylne regiony bożego królestwa podlegały (i podlegają jeszcze teraz) swoistemu podziałowi, według którego rozróżnia się niższego boga (o imieniu Aryman) i wyższego boga (zwanego Ormazd). O szerszym znaczeniu tego podziału nie mogę powiedzieć więcej ponad to,¹² iż niższy bóg (Aryman) zdaje się czuć szczególnie przyciągany przez ludy o pierwotnie ciemnej rasie (Semitów), bóg wyższy zaś odczuwa szczególnie przyciąganie przez ludy rasy pierwotnie jasnej (ludy aryjskie). Znaczący jest fakt, że podział ten znajduje odzwierciedlenie w religijnych wyobrażeniach wielu ludów. Baldur u Germanów, Bielebog (biały bóg) lub Swantewit (Świątowit – przyp. tłum.) u Słowian, Posejdon u Greków i Neptun u Rzymian są tożsami z Ormazdem, Wodan (Odyn) Germanów, Czernebog (czarny bóg) Słowian, Zeus Greków i Jupiter Rzymian są zaś odpowiednikami Arymana. Wyższy i niższy bóg zostali mi pod imionami Aryman i Ormazd przedstawieni przez rozmawiające ze mną głosy po raz pierwszy na początku lipca 1894 roku (mniej więcej pod koniec pierwszego tygodnia mojego pobytu w tu-

¹¹ Powyższy opis „przedSIONków niebios” daje być może jednocześnie wyobrażenie o wiecznym cyklu rzeczy, leżącym u podstaw porządku świata. Tworząc coś, Bóg pozbywa się w pewnym sensie części samego siebie lub daje jakiejś części swych nerwów odmienioną postać. Pozornie powstała w ten sposób strata jest znów wyrównywana, gdy po upływie setek i tysięcy lat zbawione nerwy zmarłych ludzi, którym podczas ich ziemskiego życia inne stworzone rzeczy służyły do zachowania cielesnego trwania, przyrastają doń jako „przedSIONKI niebios”.

¹² Poza uwagami zamieszczonymi poniżej w odniesieniu do „pozbawienia sił witalnych”.

tejszym zakładzie); od tamtej pory imiona te słyszę codziennie.¹³ Czas ten zbiega się ze zniszczeniem przednich regionów, z którymi wcześniej (mniej więcej od marca 1894 roku) utrzymywałem kontakt.

Przedstawiony powyżej obraz boskiej natury i trwania duszy ludzkiej po śmierci nie odbiega pod niektórymi względami zbyt daleko od wyobrażeń religii chrześcijańskiej o tychże sprawach. Jednak porównanie ich obydwu wydaje mi się wypadać tylko na korzyść pierwszego opisu. Nie istnieje jednakże twierdzenie o *wszechwiedzy* i *wszechobecności* Boga w tym sensie, że Bóg *ciągle* wзира we wnętrze każdego poszczególnego człowieka, odbiera każde emocjonalne drganie jego nerwów, sprawdza więc go gruntownie w dowolnym czasie. Nie ma takiej potrzeby choćby z tego względu, iż nerwy człowieka po jego śmierci rozpościerają się wraz ze wszystkimi wrażeniami, jakie odebrały podczas jego życia, przed okiem Boga bez żadnych tajemnic i można z nieomylną sprawiedliwością dokonać oceny ich gotowości do przyjęcia do królestwa niebieskiego. Poza tym wystarcza przecież *możliwość*, o ile tylko pojawi się jakiś ku temu powód, dowiedzenia się za pomocą przyłączenia nerwów o tym, co dzieje się we wnętrzu człowieka. Przedstawionemu przeze mnie obrazowi brakuje też wszelkich cech bezwzględności i bezcelowego okrucieństwa, znaczących niektóre wyobrażenia religii chrześcijańskiej, a w jeszcze większym stopniu inne wierzenia. Zgodnie z powyższym całość porządku świata jawi się jako „cudowna konstrukcja”¹⁴, której, według mnie, ustępują wszystkie wyobrażenia o stosunku człowieka z Bogiem, jakie ludzie i ludy stworzyli w ich historii.

¹³ Fakt, iż dla określenia niższego i wyższego boga służyły imiona odpowiednich perskich bóstw, jest dla mnie główną podstawą założenia, że starożytni Persowie (oczywiście przed ich późniejszym upadkiem) musieli być w bardzo szczególnym sensie „wybrany narodem boga”, innymi słowy narodem o szczególnie wielkiej moralnej klasie. Założenie to jest poparte niezwykle mocną siłą promieni, którą odczułem swego czasu w przypadku „promieni Zaratusztry”. Imię Aryman występuje zresztą także na przykład w *Manfredzie* Lorda Byrona w związku z mordem na duszy.

¹⁴ Znowu pojęcie nie przeze mnie stworzone. Ja mówiłem – naturalnie za pomocą w dalszej części wspomnianego języka myśli i nerwów – o *cudownej organizacji*, na co zostało mi podane z zewnątrz wyrażenie „cudowna konstrukcja”.

Rozdział II. Kryzys regionów Bożego królestwa? Mord na duszy

A teraz na tej „cudownej konstrukcji” pojawiła się w ostatnich czasach Arysa, która jest ściśle powiązana z moim osobistym losem. Także i ja nie mogę przedstawić głębszych związków w sposób, który byłby całkowicie zrozumiały dla ludzkiego rozumu. Są to mroczne zdarzenia, których tajemnice mogę odsłonić ze względu na me osobiste przeżycia jedynie częściowo, podczas gdy w pozostałych kwestiach jestem skazany tylko na przypuszczenia i domysły. Na wstępie muszę zaznaczyć, że w przypadku genezy rzezonego zdarzenia, którego początki leżą dużo, dużo wcześniej – może nawet w XVIII wieku – odgrywają główną rolę z jednej strony nazwiska Schreber i Flechsig (prawdopodobnie bez ograniczenia do jednego tylko członka rodzin, o których mowa), z drugiej zaś strony pojęcie „mordu na duszy”.

By zacząć od tego ostatniego, wyobrażenie o tym, iż możliwe jest przywłaszczenie sobie w ten czy inny sposób duszy innego człowieka, by zapewnić sobie na koszt tejże duszy albo dłuższe życie, albo jakieś inne, wykraczające poza śmierć korzyści, jest rozpowszechnione w legendach i poezji wszystkich ludów. Przypomnę tu dla przykładu tylko *Fausta* Goethego, *Manfreda* Lorda Byrona, *Wolnego strzelca* Webera itp. Zwykle główną rolę przypisuje się w takich przypadkach diabłu, który każe sobie zapisać za pomocą kropli krwi duszę w zamian za jakieś ziemskie korzyści; nie można jednak przy tym dopatrzeć się tak naprawdę, po co właściwie potrzebna jest diabłu schwyтана dusza, o ile nie chce się założyć, iż celem samym w sobie miałyby być sprawujące mu szczególną przyjemność nękanie takiej duszy.

Nawet jeśli ostatnie wyobrażenie należy już choćby ze względu na to, że zgodnie z wyżej powiedzianym diabła jako siły wrogiej Bogu w ogóle nie ma, między bajki włożyć, to jednak bądź co bądź szerokie rozpowszechnienie motywu baśni o mordzie dusz lub ich rabunku daje powód do zastanowienia, bo przecież mało prawdopodobne jest, iż takie wyobrażenia u tak

wielu ludów jednocześnie powstały bez żadnego faktycznego powodu. Jako że rozmawiające ze mną głosy od pierwszych początków mych kontaktów z Bogiem (połowa marca 1894 roku) do teraz dzień w dzień określają fakt, że popełniany jest przez kogoś *mord na duszy*, za przyczynę kryzysu, jaki zapanował w regionach królestwa Bożego, przy czym w czasach wcześniejszych podawano nazwisko Flechsig jako sprawcy mordu, podczas gdy teraz już od dłuższego czasu chce się mnie w zamierzonym odwróceniu relacji przedstawiać jako tego, który morduje dusze, zakładam, iż kiedyś, być może już w starszych pokoleniach, miało pomiędzy rodzinami Flechsig i Schreber miejsce zdarzenie, które należy nazwać mordem na duszy. Jestem też na podstawie dalszych wydarzeń przekonany, że w czasie, gdy moja choroba nerwowa wydawała się przybierać nieuleczalny charakter, ktoś próbował – choć bezskutecznie – zamordować moją duszę.

Prawdopodobnie po pierwszym nastąpiły – zgodnie z zasadą *l'appetit vient en mangeant* – dalsze mordy na duszach innych ludzi. Nie chcę wypowiadać się, czy za pierwszy przypadek mordu na duszy moralną odpowiedzialność rzeczywiście ponosił jakiś człowiek; w tej kwestii jest, jak już mówiłem, wiele niejasności. Możliwe jest, że najpierw chodziło o podyktowaną zazdrością walkę dusz, które opuściły świat żywych. Obie rodziny bowiem, zarówno Flechsigów, jak i Schreberów, należały do – jak brzmiała ta nazwa – „najwyższej niebiańskiej szlachty”; oprócz tego Schreberowie nosili tytuł „margrabiów Tuszcien i Tasmanii”, zgodnie ze zwyczajem dusz, by przyozdabiać się, folgując osobistej próżności, nieco napuszonymi ziemskimi tytułami. Z obydwu rodzin w grę wchodzi różne imiona, z rodziny Flechsigów w szczególności oprócz profesora Paula Theodora Flechsiga także niejaki Abraham Fürchtegott Flechsig i Daniel Fürchtegott Flechsig, ten ostatni żyjący podobno pod koniec XVIII wieku i będący w efekcie zdarzenia z rodzaju mordu dusz „diabłem pomocniczym”. W każdym razie przez długi czas utrzymywałem połączenie nerwowe z profesorem Pauliem Theodorem Flechsigiem i Danielem Fürchtegottem Flechsigiem (pytanie, czy także z tym pierwszym w formie duszy?), jak też posiadałem w mym ciele części dusz ich obydwu. Dusza Daniela Fürchtegotta Flechsiga zniknęła już przed laty (ulotniła się); z duszy profesora Paula Theodora Flechsiga egzystuje jeszcze teraz w Niebie jako „sprawdzona dusza” co najmniej jedna jej część (tzn. pewna ilość nerwów, które od zarania posiadały – w międzyczasie mocno osłabioną – świadomość tożsamości profesora Paula Theodora Flechsiga). Jako że nie posiadam żadnych wiadomości o drzewie genealogicznym rodziny Flechsiga, które pochodziłyby z innego źródła niż od rozmawiających ze mną głosów, interesujące byłoby może stwierdzić, czy

wśród przodków obecnego profesora Flechsig rzeczywiście znajdowali się jakiś Daniel Fürchtegott Flechsig i Abraham Fürchtegott Flechsig.

Zakładam więc, że jakiemuś nosicielowi nazwiska Flechsig (?) udało się kiedyś nadużyć przyłączenia nerwów, jakie dane mu było w celu boskiej inspiracji lub też z jakichś innych powodów, i zatrzymać boskie promienie. Naturalnie chodzi tu tylko o hipotezę, która jednak, jak to się dzieje w pozostałych naukowych badaniach ludzi, tak długo musi zostać utrzymana, jak długo nie znajdzie się inny lepszy sposób na wyjaśnienie zjawiska, które wyjaśnić należy. Logiczne jawi się, że boskie przyłączenie nerwów dane było właśnie takiej osobie, która zajmowała się nauką lekarską o nerwach, ponieważ z jednej strony można było zakładać, że chodziło tu o człowieka stojącego umysłowo na wysokim poziomie, z drugiej zaś strony dla Boga szczególnie interesujące było wszystko to, co dotyczy ludzkich nerwów, zapewne w instynktownej świadomości, że z szerzącej się wśród ludzi nerwowości mogą wyniknąć jakieś niebezpieczeństwa dla regionów Bożego królestwa. Dlatego też zakłady dla umysłowo chorych nazywały się w języku podstawowym „Boże zakłady dla nerwowo chorych”. O ile wyżej wymieniony Daniel Fürchtegott Flechsig był tym, który poprzez nadużycie połączenia z boskimi nerwami wykroczył przeciwko porządkowi świata, to okoliczność, że rozmawiające ze mną głosy nazywały go z drugiej strony *wiejskim duchownym*, nie przemawiałały przeciwko takiej możliwości, gdyż w czasie, gdy jakoby żył Daniel Fürchtegott Flechsig – w XVIII wieku, chyba za czasów Fryderyka Wielkiego¹⁵ (Fryderyk II Hohenzollern, król Prus od 1740 r. – przyp. tłum.) – nie istniały publiczne zakłady lecznicze dla umysłowo chorych.

Trzeba by sobie więc wyobrazić, że tego rodzaju osobie, zajmującej się – być może obok wykonywania innego zawodu – praktykowaniem medycyny nerwów, wydawało się kiedyś, iż *we śnie* zobaczyła cudowne obrazy i dowiedziała się o cudownych rzeczach, do których dalszego zbadania zachęciła ją częściowo ogólna ludzka żądza wiedzy, częściowo zaś istniejące właśnie u niej naukowe zainteresowania. Osoba ta z początku wcale nie musiała chyba mieć świadomości, że chodzi tu o bezpośrednie lub pośrednie obcowanie z Bogiem. Być może osoba ta próbowała w jednej z następnych nocy przywołać wcześniejsze senne obrazy ponownie do pamięci i dokonała przy

¹⁵ Mam tę wiadomość stąd, że podczas późniejszego połączenia nerwowego z Danielem Fürchtegottem Flechsigiem rozmawiałem m.in. o Fryderyku Wielkim, którego jeszcze pamiętał on prawdopodobnie jako najbardziej znaczącą postać jego czasów. Nie wiedział natomiast nic na przykład o kolei żelaznej i w związku z tym próba przybliżenia zmarłej duszy podczas rozmowy w trakcie nerwowego kontaktu, czym była kolej i jaki przewrót dokonał się w podróży i życiu człowieka poprzez ten właśnie wynalazek, była dla mnie swego czasu dość interesująca.

tym spostrzeżenia, iż we śnie, który potem nadszedł, powróciły one w tej samej lub nieco zmienionej postaci, wraz z dalszym uzupełnieniem wcześniejszych informacji. Odtąd zainteresowanie wzrosło, tym bardziej iż śpiący dowiedział się być może, że ci, od których pochodziły te informacje, byli jego własnymi przodkami, których ostatnio członkowie rodziny Schreberów prześcignęli w jakimś względzie. Może dokonał on wówczas próby oddziaływania – poprzez natężenie swej energii woli, jak to czynią ludzie czytający w myślach, np. Cumberland itp. – na nerwy żyjących z nim ludzi i doświadczył, że jest to w pewnym stopniu możliwe. Sprzeciwił się następnie zakończeniu połączenia nerwów, jakie nastąpiło niegdyś pośrednio lub bezpośrednio pomiędzy nim a boskimi promieniami, bądź też uzależnił je, to zakończenie, od warunków, których przy uwzględnieniu naturalnej słabości charakteru dusz w stosunku do żyjących ludzi i w związku z tym niemożliwości trwałego przebywania w nerwowym kontakcie z jednym jedynym człowiekiem, nie można było odrzucić. W ten sposób można sobie wyobrazić, że doszło pomiędzy tym człowiekiem a elementami z przednich regionów królestwa Bożego do czegoś podobnego do spisku na niekorzyść rodziny Schreberów, polegającego na przykład na tym, że nie dane by jej było potomstwo albo przynajmniej wybór zawodów takich, które, jak zawód lekarza chorób psychicznych, mogłyby prowadzić do bliższych stosunków z Bogiem. Przy uwzględnieniu tego, co zostało powyżej powiedziane na temat budowy regionów królestwa Bożego i (ograniczonej) wszechobecności Boga, działania takie wcale nie musiały się przedostać do wiadomości tylnych regionów królestwa Bożego. Być może udało się spiskowcom – by pozostać przy tym wyrażeniu – również uciszyć ewentualne wątpliwości tym, że w niekontrolowanej chwili, jakie mają miejsce w życiu każdego chyba człowieka, nawiązywano nerwowy kontakt z członkami rodziny Schreberów, by także stojącym najbliżej w hierarchii wyższym instancjom regionów Bożego królestwa wpoić przekonanie, że warto poświęcić jedną schreberowską duszę, by odwrócić jakieś niebezpieczeństwo zagrażające istnieniu Bożego królestwa.¹⁶ I tak być może doszło do tego, że nie można było od samego początku z pełną stanowczością przeciwdziałać dążeniom, jakie wynikały z ambicji lub żądzy władzy, które to dążenia mogły być prowadzić do zamordowania duszy – o ile istnieje coś takiego – a więc do wydania jednej duszy na pastwę drugiej, chyba by osiągnąć dłuższe ziemskie życie lub przywłaszczyć sobie duchowe siły teje lub by zapewnić sobie pewnego rodzaju osobistą nieśmiertelność albo by zyskać jeszcze jakieś inne korzyści. Z drugiej strony nie doceniano być może nie-

¹⁶ W tym kontekście plasuje się wyrażenie „tylko jedna schreberowska dusza”, które w czasie mojego pobytu w zakładzie Flechsig'a słyszałem od rozmawiających ze mną głosów więcej niż raz.

bezpieczeństwa, jakie mogło z tego wyniknąć dla regionów Bożego królestwa. W przekonaniu o posiadaniu olbrzymiej mocy nie dopuszczano w ogóle myśli, że kiedykolwiek jeden człowiek może stanowić niebezpieczeństwo dla samego Boga. W rzeczy samej nie żywię, zgodnie z tym, czego się później dowiedziałem i co przeżyłem w kwestii cudownej mocy Boga, najmniejszej wątpliwości, iż Bóg – zakładając niezakłócone istnienie zgodnych z porządkiem świata relacji – w każdej chwili byłby w stanie zniszczyć niewygodnego dla siebie człowieka przez zesłanie nań śmiertelnej choroby lub gromu.

Być może wydawało się, że nie ma potrzeby sięgania do tych najsroźszych działań wobec domniemanego mordercy dusz, jeśli jego przewinienie z początku polegało jedynie na nadużyciu połączenia z boskimi nerwami, które to nadużycie zdawało się tylko z daleka otwierać perspektywę wynikającego stąd mordu na duszy i jeśli inne osobiste zasługi i pozostałe moralne zachowanie tegoż nie pozwalały przypuszczać, że dojdzie do takiej ostateczności. O tym, na czym polega właściwa istota mordu na duszy, oraz o – że tak powiem – jego technice nie umiem poza wyżej nakreślonymi informacjami powiedzieć nic więcej. Należałoby chyba dodać jeszcze tylko (tu następuje miejsce nienadające się do publikacji). Jeśli zatem „mordem na duszy” należałoby rzeczywiście obciążyć obecnego tajnego radcę profesora Flechsig’a lub jego przodków, jedno przynajmniej nie budzi moich wątpliwości, a mianowicie, iż osoba taka musiała wprawdzie zyskać pojęcie o nadprzyrodzonych rzeczach, o których się w międzyczasie dowiedziałem, nie dotarła jednak do głębszego poznania Boga i porządku świata. Gdyż temu, kto w ten sposób doszedł do głębokiej wiary w Boga i do pewności, że ma on i tak zapewnioną szczęśliwość stosownie do czystości jego nerwów, nie mogła z całą pewnością przyjść do głowy myśl, by targnąć się na duszę innego człowieka. Równie niemożliwe byłoby to w przypadku osoby, którą także w sensie naszej pozytywnej religii można by było nazwać *osobą wierzącą*. Nie jest mi wiadome, jaką postawę przyjął i posiada w tej chwili w sprawach religijnych obecny tajny radca, profesor Flechsig. Jeśli należał on lub należy – jak wielu nowoczesnych ludzi – do wątpiących, to nie można by mu w związku z tym czynić żadnego wyrzutu, najmniej mógłbym to robić ja, który muszę wyznać, iż sam należałem do tej kategorii tak długo, aż dzięki boskim objawieniom zostałem wyprowadzony z błędu.

Kto zadał sobie trud przeczytania powyższego z niejaką uwagą, temu być może nasunęła się mimowolna myśl, że źle się musiała lub musi mieć rzecz z samym Bogiem, jeśli zachowanie jednego jedyne go człowieka może przysporzyć mu jakichkolwiek zagrożeń i jeżeli sam Bóg – nawet jeśli jedynie w podrzęd-

W wydaniu oryginalnym z 1903 brakuje przypisów 17. i 18. – przyp. wydawcy.

nych instancjach¹⁹ – daje się namówić do swego rodzaju konspiracji przeciwko w gruncie rzeczy niewinnym ludziom. Nie mogę odmówić takiemu zastrzeżeniu wszelkiej racji, nie omieszkam jednak dodać, że we mnie nie spowodowało to zachwiania wiary w wielkość i dostojność Boga oraz porządku świata. Sam Bóg nie jest i nie był jednakowoż także istotą o tej *absolutnej doskonałości*, jaką mu przypisuje większość religii. Siła przyciągania to jest także i dla mnie niezbadane w swej najgłębszej istocie prawidło, za pomocą którego promienie i nerwy przyciągają się wzajemnie, niesie ze sobą zarodek niebezpieczeństwa dla regionów królestwa Bożego, które być może leżały już u podstaw wyobrażeń germańskiej sagi o zmięczeniu bogów. Że Bóg spoziera na żyjącego człowieka *jedynie z zewnątrz*, nie istnieje natomiast – jako reguła – wszechobecność i wszechwiedza Boga w odniesieniu do wnętrza *żyjącego* człowieka, o tym wspominałem już wyżej. Także wieczna miłość Boga istnieje w gruncie rzeczy jedynie w stosunku do stworzenia *jako całości*. Jak tylko pojawiła się kolizja interesów z pojedynczym człowiekiem lub grupami ludzi (by przypomnieć Sodomę i Gomorę!), a być może ze wszystkimi mieszkańcami jakiejś planety (przez wzrost nerwowości i niemoralności), w Bogu musiał się, jak w każdej innej ożywionej istocie, budzić instynkt samozachowawczy. Lecz doskonałe jest wreszcie wszystko to, co odpowiada jego celowi, nawet jeśli ludzka fantazja mogłaby przedstawić sobie jakiś jeszcze bardziej idealny stan.²⁰ A cel ten – dla

¹⁹ (Pochodzące ode mnie) wyrażenie „instancje”, jak i powyższa „hierarchia” wydają mi się słusznymi, by stworzyć przybliżony obraz układu regionów Bożego królestwa. Tak długo, jak długo (od marca do początku lipca 1894 roku) byłem w kontakcie z przednimi regionami królestwa Bożego (przedśionkami nieba), każdy „przywódca promieni” („przedni przywódca kolumny” zgodnie z *usłyszonym* przeze mnie wyrażeniem) zwykł był się samego nazywać „Bożą wszechmocą”. Każdy z nich wiedział, że za nim stoją jeszcze wyżej postawieni, ale wiadomo mu było, kim oni są i jak wysoko nad nim znajdują się następne hierarchie. Gdy potem (na początku lipca 1894 roku) na scenie pojawiły się same tylne regiony Bożego królestwa (Aryman i Ormazd), działo się to najpierw z tak obezwładniającym przepychem zjawisk świetlnych, że nawet wówczas dusze v.W. i Flechsig, egzystujące jeszcze jako „sprawdzone dusze”, nie mogły oprzeć się wrażeniu, lecz porzuciły na jakiś czas swe do tej pory prezentowane szydercze i opozycyjne nastawienie w stosunku do Bożej wszechmocą. Dlaczego świetne zjawiska nie zachowały się na trwałe w pobliżu mnie, wyjaśnię później. Widziałem z nich Arymana, nie we śnie, lecz w stanie czuwania, Ormazda natomiast widywałem podczas kilku następujących po sobie dni *w ciągu dnia* podczas mego pobytu w ogrodzie. Razem ze mną był wówczas tylko pielęgniarz M. Muszę zakładać, że był on wówczas nie rzeczywistym człowiekiem, a tylko pobieżnie wytworzoną postacią, gdyż w przeciwnym razie zjawiska świetlne, które także przecież musiał być widzieć i które zajmowały szóstą do ósmej części nieba, musiałyby go tak olśnić, że na pewno wyraziłby swój podziw w jakikolwiek sposób.

²⁰ Nikt nie zechce chyba zaprzeczyć, że organizm ludzki jest organizmem o wysokim stopniu doskonałości. A jednak pewnie prawie wszystkim ludziom przyszła już do głowy myśl, że właściwie pięknie by było, gdyby człowiek jeszcze umiał latać jak ptak.

Boga wieczna radość ze swego stworzenia, dla człowieka natomiast radość bytu podczas jego życia na ziemi, a po śmierci najwyższe szczęście w formie błogostanu – został osiągnięty. Byłoby nie do pomyślenia, że Bóg odmówiłby jakiemuś pojedynczemu człowiekowi należnej mu miary szczęśliwości, gdyż każde powiększenie „przedsionków niebios” może służyć jedynie do wzmocnienia jego własnej mocy i linii obronnych przeciwko niebezpieczeństwom, jakie niesie zbliżenie do ludzkości. Kolidzja interesów Boga i poszczególnych ludzi w ogóle nie mogła byłaby, przy założeniu zgodnego z porządkiem świata zachowania tych ostatnich, wystąpić. Jeśli mimo to w moim przypadku z powodu zakładanego mordy na duszy doszło do takiej kolidzji interesów, to stało się tak tylko na skutek tak zadziwiającego splotu okoliczności²¹, że przypadek taki chyba jeszcze nigdy w historii świata się nie zdarzył i – jak mam nadzieję – nigdy nie wydarzy się ponownie. I także w tym tak całkowicie niepowtarzalnym wypadku porządek świata sam w sobie zawiera lekarstwa na zadane mu rany; remedium leży w wieczności. Podczas gdy wcześniej (przez około 2 lata) wydawało mi się, że muszę zakładać – i stosownie do moich ówczesnych przeżyć także zakładać musiałem – że trwałe przywiązanie Boga do mojej osoby zaszkodziło zagładą całego ziemskiego stworzenia poza pewną ilością cudów, jakimi igrało w moim bezpośrednim otoczeniu, musiałem ostatnio pogląd ten znacznie ograniczyć.

Poszczególni ludzie zostali dotknięci poczuciem nieszczęścia; ja sam przeżyłem, jak chyba wolno mi powiedzieć, przerażający czas i przeszedłem gorzką szkołę cierpienia. Z drugiej strony trwający od sześciu lat nieprzerwanie przyływ boskich nerwów do mojego ciała spowodował utratę całej zgromadzonej do tej pory szczęśliwości i przejściową niemożność ponownego utworzenia zasobów błogostanu, w związku z czym szczęśliwość znajduje się w, można powiedzieć, stanie zawieszenia, wszyscy ludzie, którzy od tamtej pory zmarli i jeszcze umrą, *nie będą mogli tymczasem doznać błogostanu*. Dla samych nerwów Boga przejście do mojego ciała odbywa się wbrew woli i z poczuciem dyskomfortu, które daje się poznać po nieustających wołaniach o pomoc nerwów odrywanych od całości, które słyszę codzienne na niebie. Straty te mogą zostać jednakże wyrównane, o ile istnieje wieczność, nawet jeśli potrzebne będą być może tysiące lat, by poprzedni stan został całkowicie przywrócony.

²¹ O tym bliżej dopiero w dalszej części.

Rozdział III. Niedopuszczony do druku przez D.P. Schrebera

Wywody z rozdziałów I i II były konieczne, by przygotować zrozumienie rzeczy, które teraz nastąpią. Co dotychczas mogło zostać przedstawione jedynie jako aksjomat, znajdzie jednocześnie takie uzasadnienie, jakie zgodnie ze stanem spraw w ogóle jest możliwe.

Omówię teraz najpierw zdarzenia, jakie dotknęły innych członków mojej rodziny, którzy, jak się można domyślać, mogli być w jakiś sposób powiązani z domniemanym mordem na duszy, a którzy w każdym razie nosili bardziej lub mniej zagadkowe, zgodnie z normalnymi ludzkimi doświadczeniami trudno wytłumaczalne cechy.

Rozdział IV. Osobiste przeżycia podczas pierwszej i na początku drugiej choroby nerwowej

Dochodzę teraz do omówienia moich osobistych losów podczas obydwu chorób nerwowych, które mnie dotknęły. Chory na nerwy byłem dwa razy, obydwu na skutek nadmiernego obciążenia umysłu; pierwszy raz jako dyrektor Landgericht (sądu krajowego II instancji, właściwego dla danego landu, czyli jednostki podziału administracyjnego w Niemczech – przyp. tłum.) w Chemnitz z powodu kandydatury do Reichstagu (jednoizbowy parlament niemiecki od 1871 do 1945 roku, wybierany w wyborach powszechnych jako organ przedstawicielski – przyp. tłum.), ponownie zaś z powodu niezwyklego obciążenia pracą, które spadło na mnie przy obejmowaniu przekazanego mi właśnie urzędu przewodniczącego senatu przy Oberlandesgericht (sądu krajowego I instancji w Dreźnie, patrz wyżej – przyp. tłum.).

Początki pierwszej z obydwu chorób wystąpiły jesienią 1884, zaś pod koniec 1885 byłem już kompletnie wyleczony, tak że 1 stycznia 1886 mogłem objąć ponownie urząd dyrektora Landgericht, ale w Lipsku, dokąd zostałem w międzyczasie przeniesiony. Druga choroba nerwowa rozpoczęła się w październiku 1893 i trwa jeszcze do teraz. W obydwu przypadkach większą część choroby spędziłem w klinice psychiatrycznej przy Uniwersytecie w Lipsku, kierowanej przez profesora, obecnego radcę tajnego dr. Flechsig, pierwszy raz od początku grudnia 1884 do początku czerwca 1885, drugi raz od połowy listopada 1893 do około połowy czerwca 1894. W obydwu przypadkach nie miałem najmniejszego pojęcia o pewnego rodzaju antagonizmie, który podobno istniał pomiędzy rodzinami Schreberów i Flechsigów, ani o nadprzyrodzonych rzeczach, o których mówiłem w poprzednich rozdziałach.

Pierwsza choroba przebiegała bez jakichkolwiek ocierających się o obszar spraw pozazmysłowych incydentów. O sposobie leczenia prof. Flechsigą zyskałem podczas niej w gruncie rzeczy tylko pozytywne wrażenia. Mogły

wystąpić pojedyncze chybione działania. Już podczas mojej ówczesnej choroby byłem i jestem jeszcze teraz zdania, że kłamstwa jako mniejsze zło, bez których wprawdzie lekarz chorób nerwowych nie może się być może całkiem obejść w przypadkach niektórych umysłowo chorych, choć zawsze powinien je stosować z największą ostrożnością, wobec mnie chyba nigdy nie były konieczne, gdyż przecież szybko można było rozpoznać we mnie człowieka stojącego wysoko pod względem umysłowym i posiadającego wyostrzony zmysł obserwacyjny. A za takie właśnie kłamstwo z konieczności musiałem przecież uznać np. twierdzenie prof. Flechsig'a, że moja choroba to tylko zatrucie bromkiem potasu, jakim należy obciążyć radcę sanitarnego dr. R. w S., pod którego medyczną opieką się wcześniej znajdowałem. Także od pewnych hipochondrycznych wyobrażeń, które mnie wówczas opanowały, a w szczególności od przekonania o nadmiernym wychudzeniu, mogłem, według mnie, zostać wcześniej uwolniony, gdyby pozwolono mi kilka razy samodzielnie użyć służącej do badania ciężaru ciała wagi (znajdująca się wówczas w klinice uniwersyteckiej waga posiadała osobliwą, nieznaną dla mnie konstrukcję). Tymczasem są to sprawy poboczne, którym nie przypisuję wielkiej wagi; bo chyba też od kierownika wielkiego zakładu, w którym znajdują się setki pacjentów, nie można wymagać, by zagłębiał się on tak wnikliwie w umysłową kondycję każdego z nich. Najważniejsze, że zostałem wreszcie (po dłuższej rekonwalescencji) wyleczony. Wówczas przepełniony byłem tylko uczuciami żywej wdzięczności wobec prof. Flechsig'a, czemu dałem szczególny wyraz moimi późniejszym odwiedzinami i według mnie odpowiednio wysokim honorarium. Jeszcze żarliwszą wdzięczność odczuwała moja żona, która nieomal czciła profesora Flechsig'a jako tego, który niejako ponownie podarował jej jej męża; z tego powodu jego zdjęcie przez lata stało na jej stoliku.

Po wyzdrowieniu z mej pierwszej choroby przeżyłem z moją żoną osiem w ogólności szczęśliwych, bogatych także w zewnątrz oznaki poważania i ocienionych jedynie wielokrotnym rozwianiem się nadziei na potomstwo lat. W czerwcu 1893 roku dowiedziałem się (wiadomość przekazana najpierw osobiście przez pana ministra, dr. Schuriga) o planowanym mianowaniu mnie na przewodniczącego senatu przy sądzie krajowym I instancji w Dreźnie.

Na ten czas przypada kilka snów, którym wówczas nie poświęcałem żadnej szczególnej uwagi i teraz nie poświęciłbym im jej, zgodnie z powiedzeniem „sen – mara...”, gdybym nie musiał, po moich poczynionych w międzyczasie doświadczeniach, pomyśleć przynajmniej o możliwości, że miały one związek z nawiązanym ze mną boskim połączeniem nerwów. Śniło mi się kilka razy, że powróciła moja wcześniejsza choroba nerwowa, z powo-

du czego byłem wówczas oczywiście we śnie tak nieszczęśliwy, jak szczęśliwy byłem po przebudzeniu, kiedy okazało się, że był to właśnie tylko sen. Następnie kilka razy nad ranem, jeszcze leżąc w łóżku (już nie wiem, czy w półśnie, czy już na jawie), miałem wrażenie, które mnie w najwyższym stopniu poruszyło, gdy potem już w stanie całkowitego czuwania o tym rozmyślałem. Było to wyobrażenie, że właściwie naprawdę pięknym uczuciem musi być być kobietą ulegającą podczas stosunku płciowego. Wyobrażenie to było całemu mojemu sposobowi myślenia całkowicie obce; w stanie pełnej świadomości, co chyba wolno mi powiedzieć, odrzuciłbym je z takim oburzeniem, że nie mogę po moich późniejszych doznaniach całkowicie wykluczyć możliwości, iż wyobrażeniem tym musiały mnie zainspirować jakieś zewnętrzne wpływy.

1 października 1893 roku objąłem mój nowy urząd przewodniczącego senatu przy sądzie krajowym I instancji w Dreźnie. Obciążenie pracą, jakie na mnie spadło, było, jak już mówiłem, nadzwyczaj wielkie. Do tego doszły jeszcze wynikające z mojej ambicji, ale i leżące w interesie urzędu dążenia, by zapewnić sobie najpierw niekwestionowaną sprawnością mych dokonań poważanie u mych kolegów i innych współdziałających kręgów (adwokatów itp.). Zadanie to było trudne i wymagało taktu w osobistych kontaktach, tym bardziej że członkowie kolegium (pięciu sędziów), w którym musiałem objąć przewodzenie, prawie wszyscy przewyższali mnie (do 20 lat) wiekiem, a ponadto w pewnym względzie byli dużo lepiej obeznani z praktyką trybunału, do którego ja dopiero dołączyłem. I tak stało się, iż już po kilku tygodniach nadwyrężyłem swe siły umysłowe. Zacząłem mieć kłopoty ze snem i to na dodatek mniej więcej w tym czasie, gdy mogłem być sobie powiedzieć, że pokonałem w gruncie rzeczy trudności związane z urządzeniem się na nowym stanowisku, w nowym mieszkaniu etc. Zacząłem zażywać bromek sodu. Okazji do rozrywek towarzyskich, które miałyby dla mnie na pewno dużo lepsze działanie – jak wywnioskowałem stąd, że po tym jednym jedynym razie, kiedy byliśmy zaproszeni na wieczorne przyjęcie, spałem znacznie lepiej – wśród naszych znajomych w Dreźnie prawie nie było. Pierwsze całkiem złe – to znaczy prawie całkowicie bezsenne – noce przypadają na ostatnie dni października lub na pierwsze dni listopada. Miało przy tym miejsce dziwne zdarzenie. W ciągu kilku nocy, kiedy nie mogłem zapaść w sen, dało się zauważyć w naszej sypialni powracające po krótszych lub dłuższych przerwach skrzypienie w ścianie, które za każdym razem, gdy właśnie miałem zasnąć, wybudzało mnie ze snu. Wówczas myśleliśmy oczywiście o myszy, choć dość zastanawiające musiało się być wówczas wydać przypuszczenie, że jakaś mysz wślizgnęła się na pierwsze piętro zbudowanego na wskroś solidnie domu. Po tym jednak, jak podobne dźwięki słyszałem dotychczas już niezliczone razy i także teraz słyszę je dzień w dzień, nocą i dniem, w mym pobliżu, które

to dźwięki uznałem swego czasu za bez wątpienia boskie cuda – zwłaszcza że rozmawiające ze mną głosy także je tak nazywają, określając je „zakłóceniami” – mogę, nie wypowiadając się na ten temat całkiem zdecydowanie, przynajmniej przyjąć podejrzenie, że już wówczas w grę wchodził taki właśnie cud, tzn. że od samego początku istniał mniej lub bardziej określony zamiar uniemożliwienia mi najpierw snu, a później mojego wyleczenia z wynikającej z bezsenności choroby w celu, którego tymczasem jeszcze nie można bliżej określić.²²

Choroba moja przybrała wkrótce groźny charakter; już 8 lub 9 listopada byłem za poradą dr. Ö., z którym się skonsultowałem, zmuszony wziąć z początku osiem dni urlopu, który chcieliśmy wykorzystać w celu zasięgnięcia opinii prof. Flechsig, w którym przecież od czasu jego sukcesów w leczeniu mojej pierwszej choroby pokładaliśmy całą naszą ufność. Podróżowaliśmy (moja żona i ja), jako że była niedziela i nie można było zakładać, że prof. Flechsig będzie obecny, przez Chemnitz, i spędziliśmy noc z niedzieli na poniedziałek u mojego mieszkającego tam szwagra K. Tam dostałem jeszcze tego samego wieczora zastrzyk z morfiny, a w nocy po raz pierwszy chloral – przez przypadek chyba nie od razu na początku w określonej z góry dawce, po czym już wieczorem odczuwałem ściskanie serca, jak podczas pierwszej choroby, o takim natężeniu, że już przejście przez umiarkowanie stromo wznoszącą się ulicę przysparzało mi stanów lękowych. Także i noc w Chemnitz była zła. Na następny dzień (poniedziałek) rano pojechaliśmy do Lipska i bezpośrednio z Dworca Bawarskiego dorożką do kliniki uniwersyteckiej do prof. Flechsig, który już w poprzedni dzień był przygotowany telegramem na naszą wizytę. Nastąpiła dłuższa rozmowa, podczas której prof. Flechsig zaprezentował – nie mogę powiedzieć inaczej – wspaniałą elokwencję, która nie pozostała bez głębokiego na mnie oddziaływania. Mówił on o postępach, jakie dokonały się w psychiatrii od czasu mej pierwszej choroby, o nowo wynalezionych środkach nasennych itp., i napełnił mnie nadzieją, że jeden jednorazowy sen, trwający jeśli się da od trzeciej po południu aż do następnego dnia, całą tę chorobę.*

W następstwie tego mój nastrój się umocnił, tym bardziej że i nerwy zostały chyba trochę wzmocnione wielogodzinną podróżą na świeżym porannym powietrzu i porą dnia (przedpołudnie). Najpierw odebraliśmy od razu z apteki zalecony środek nasenny, potem spożyliśmy posiłek u mojej mat-

²² Nie omieszkam przy tym dodać, że chodziłoby tu o zgodny z poznanym przeze mnie w międzyczasie charakterem dusz, tylko w najwyższym stopniu rozwinięty *dolus indeterminatus* – niech mi będzie wybaczone użycie tego prawniczego terminu – tj. uderzenia, po których bardzo często następowały zmiany przekonań i nastrojów, jak tylko po bliższym przyjrzeniu się stwierdzano, że dana osoba godna jest chyba jednak lepszego losu.

* Także w oryginale brakuje tu czasownika – przyp. wydawcy.

ki w jej mieszkaniu, a resztę dnia spędziłem w ogólności całkiem znośnie, m.in. robiąc mały spacer. Pójście do łóżka (w mieszkaniu mojej matki) nastąpiło nie już o trzeciej, lecz zostało (chyba zgodnie z tajnymi zaleceniami, jakie otrzymała moja żona) odwleczone do dziewiątej godziny. Bezpośrednio przed pójściem spać jednak znów wystąpiły bardziej niepokojące symptomy. Na nieszczęście także i łóżko było z powodu zbyt długiego wietrzenia za zimne, tak że natychmiast opadły mnie dreszcze i lekarstwo przyjąłem już w stanie wysokiego wzburzenia. W związku z tym nie zadziałało ono prawie wcale i moja żona już po jednej lub paru godzinach dała mi jeszcze trzymany chyba w pogotowiu jako rezerwa hydrat chloralu. Mimo to noc przebiegła w gruncie rzeczy bezsennie i w czasie jej trwania opuściłem łóżko, dręczony stanami lękowymi, by za pomocą ręcznika lub czegoś podobnego poczynić przygotowania do swego rodzaju próby samobójstwa, w czym przeszkodziła mi obudzona w międzyczasie żona. Następnego ranka wystąpił już silny rozstrój nerwowy; krew odpłynęła ze wszystkich członków do serca, nastrój mój był skrajnie ponury i prof. Flehsig, którego wezwano już wczesnym rankiem, uznał w związku z tym za wskazane umieszczenie mnie w swoim zakładzie, do którego się też natychmiast dorozką w jego towarzystwie udałem.

Po gorącej kąpieli natychmiast zaprowadzono mnie do łóżka, którego przez następne cztery lub pięć dni w ogóle nie opuszczałem. Za strażnika przydzielono mi niejakiego R... Choroba moja rozwijała się w następnych dniach gwałtownie; noce przebiegały najczęściej bezsennie, ponieważ lżejsze środki nasenne (kamfora itp.), które chciano z początku chyba wypróbować, by nie sięgać zawsze od razu po hydrat chloralu, całkowicie zawiodły i nie skutkowały. Nie mogłem wykonywać żadnego zajęcia; także z mojej rodziny nie widywałem nikogo. Dlatego też dni przebiegały nieskończenie smutno; mój umysł zajmowały już prawie wyłącznie myśli o śmierci. Wydaje mi się, kiedy tak w myślach sięgam wstecz do tego czasu, jakby plan leczenia profesora Flehsiga polegał na tym, by sprowadzić moją nerwową depresję najpierw do jakiegoś dowolnie głębokiego stanu, by potem przez gwałtowną zmianę nastroju spowodować od razu wyleczenie. Tylko tak mogę sobie wytłumaczyć następujące postępowanie, dla którego w innym razie musiałbym zakładać złe zamiary.²³

²³ Nie mogę przemilczeć, że profesor Flehsig podczas późniejszej rozmowy wyparł się całego tego zajścia, które miało miejsce w pokoju bilardowym, i wszystkiego, co się z tym wiąże, chcąc je przedstawić jako wytwór mojej fantazji – jest to, w nawiasie mówiąc, jedna z tych okoliczności, które mnie od tamtej pory napełniły pewną nieufnością wobec dr. Flehsiga. Faktyczne wydarzenie się tego zajścia, w przypadku którego nie może być mowy

Chyba w czwartą albo piątą noc po przyjęciu mnie do zakładu dwóch pielęgniarzy wyrwało mnie w środku nocy z łóżka i zaprowadziło do urządzonej dla szaleńców celi sypialnianej. Znajdowałem się już tak czy inaczej w stanie najwyższego wzburzenia, można powiedzieć w gorączkowym delirium, a przez to zająście, którego motywów nie znałem, wystraszyłem się do granic możliwości. Droga prowadziła przez pokój bilardowy, gdzie wywiązała się (jako że nie wiedziałem wcale, jakie są wobec mnie zamiary i w związku z tym wydawało mi się, że muszę stawiać opór) walka między mną, odzianym jedynie w koszulę, i obydwoma pielęgniarzami, podczas której próbowałem przytrzymać się stołu bilardowego, zostałem jednak pokonany i odprowadzony do wyżej wymienionej celi. Tam pozostawiono mnie własnemu losowi; resztę tej nocy spędziłem w wyposażonej w żelazny stelaż łóżka i pościel celi, chyba w większej części bezsenność; uważałem się za całkiem zgubionego i podjąłem tej nocy także oczywiście nieudaną próbę powieszenia się za pomocą prześcieradła. Myśl, że człowiekowi, któremu nie da się już przywrócić snu żadnymi środkami sztuki medycznej, nie pozostaje w końcu nic innego, jak odebrać sobie życie, opanowała mnie całkowicie. Wiadomo mi było, że nie jest to tolerowane w zakładach, żyłem jednak w urojeniu, iż po wyczerpaniu wszystkich możliwości leczenia musi nastąpić wypisanie – jedynie w tym celu, by dana osoba odebrała sobie życie u siebie w domu lub gdzieś indziej.

Dlatego też wielkim zaskoczeniem było dla mnie, gdy nastął następny ranek, że jeszcze w ogóle odwiedził mnie jakiś lekarz. Pojawił się asystent profesora Flechsig, dr Täuscher, i jego oświadczenie, że w ogóle nikt nie ma zamiaru zaniechać procesu leczenia, w połączeniu ze sposobem, w jaki próbował mnie podbudować – nie mogę także odmówić mu uznania za znakomitą elokwencję przy tej okazji – spowodowało po raz kolejny bardzo korzystną zmianę w moim nastroju. Znowu zostałem doprowadzony do wcześniej przeze mnie zamieszkanego pokoju i przeżyłem najlepszy z dni mego całego (drugiego) pobytu w zakładzie Flechsig, tzn. jedyny dzień, w którym ożywił mnie pełen nadziei i radosny nastrój. Także strażnik R. zachowywał się nadzwyczaj taktownie i zręcznie w całej swej rozmowie, tak że później czasem zadawałem sobie pytanie, czy i w jego przypadku (jak u dr. Täusche-
ra) miała miejsce jakaś wyższa inspiracja. Przed południem nawet grałem z nim w bilard, po południu wziąłem ciepłą kąpiel i do wieczora utrzymywałem się w pewnym nastroju, w który udało mi się wprawić. Miała odbyć

o zmysłowych złudzeniach, jest jednak całkowicie niekwestionowalne, jako że nie da się zaprzeczyć, że rankiem po nocy, o której mowa, znajdowałem się w izolatce dla szaleńców, gdzie odwiedził mnie dr Täuscher.

się próba, czy będę mógł zasnąć całkiem bez nasennych środków. Do łóżka poszedłem w rzeczy samej stosunkowo spokojnie, ale w sen nie zapadłem. Po kilku godzinach nie mogłem już też utrzymać mego spokojnego nastroju; napływ krwi do serca znów powodował lękowe stany. Po zmianie strażników – przy moim łóżku zawsze siedział jeden z nich, zmieniany przez innego w środku nocy – dano mi chyba wreszcie coś nasennego – nazywało się to nekrin czy podobnie – chyba na trochę jeszcze zasnąłem, sen ten jednak nie przyniósł jakiegokolwiek wzmacniającego nerwy działania. Następnego ranka znajdowałem się raczej w tym starym rozstroju nerwowym, który był tak silny, że zwróciłem podane mi śniadanie. Szczególnie okropne wrażenie zrobili na mnie całkowicie zniekształcone rysy twarzy R., które wydawałem się dostrzegać u niego po moim przebudzeniu.

Od tego czasu podawano mi na noc regularnie hydrat chlorału i na kilka tygodni nastąpił przynajmniej zewnętrznie spokojniejszy czas, gdyż w ten sposób najczęściej udawało się przywołać przynajmniej znośny sen. Byłem często odwiedzany przez moją żonę i chyba w ostatnie dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem zawsze jakąś część dnia spędzałem w domu mojej matki. Nadmierne rozdrażnienie nerwów utrzymywało się jednak i chyba stawało się gorsze niż lepsze. Podczas poświętecznych tygodni odbywałem z moją żoną i strażnikiem codzienne przejażdżki dorożką. Stan moich sił był jednak tak mizerny, że przy wysiadaniu z dorożki (w Rosenthal lub Scheibholz) każdą drogę długości kilkuset kroków, którą należało przejść pieszo, odczuwałem jako ryzykowne przedsięwzięcie, na które decydowałem się nie bez wewnętrznego lęku. Cały mój system nerwowy zmierzał do stanu całkowitego osłabnięcia. Jakiegokolwiek umysłowe zajęcie, jak na przykład czytanie gazet lub podobne, było dla mnie albo całkowicie niewykonalne, albo wykonalne tylko w najmniejszym z możliwych stopniu. Nawet głównie mechaniczne czynności, jak na przykład składanie gier wymagających cierpliwości, układanie pasjansów i tym podobne, podnosiły stan zdenerwowania moich nerwów tak, że musiałem z nich po niedługim czasie rezygnować; z trudem udawało mi się jakiś czas wieczorem rozegrać kilka partii w warcaby. Jedzenie i picie przyjmowałem w tym czasie najczęściej z dobrym apetytem, zwykły byłem też wtenczas jeszcze palić dziennie kilka cygar. Osłabienie nerwów wzrosło, a równocześnie powróciły stany lękowe, kiedy od czasu do czasu podejmowano próby stosowania słabszych środków zamiast nieco wzmacniającego nerwy na krótki czas, jednak w dłuższej perspektywie osłabiającego je, hydratu chlorału. Moja chęć życia była całkowicie złamana, wszelkie inne widoki niż na zakończenie wreszcie całej tej historii śmiercią przez na przykład samobójstwo, uleciały; na plany na przyszłość, jakimi moja żona próbowała mnie od czasu do czasu znów podbudować, tylko z niewiarą kręciłem głową.

Dalszy i oznaczający ważny rozdział w moim życiu kryzys nerwowy nastąpił mniej więcej 15 lutego 1894, kiedy to moja żona, do tej pory spędzająca ze mną po kilka godzin dziennie i spożywająca także w zakładzie pościłki w porze obiadowej, przedsięwzięła czterodniową podróż do Berlina, do swego ojca, by także sobie samej przyznać trochę odpoczynku, którego pilnie potrzebowała. Podczas tych czterech dni tak mocno podupałem, że po powrocie mojej żony widziałem ją już tylko jeden jedyny raz, po czym sam oświadczyłem, że nie mogę życzyć sobie, by moja żona w dalszym ciągu widywała mnie w tym mizernym stanie, w którym się znajdowałem. Od tego czasu wizyty mojej żony ustały; gdy po dłuższym czasie widywałem ją znów sporadycznie w oknie leżącego naprzeciwko pokoju, w moim otoczeniu i we mnie zaszły w międzyczasie tak ważne zmiany, że wydawało mi się, iż dostrzegam w niej nie żyjącą istotę, lecz wyczarowaną ludzką postać na wzór „pobieżnie wytworzonych ludzi”. Decydująca dla mego duchowego załamania była w szczególności jedna noc, podczas której miałem całkowicie niezwykle ilość polucji (chyba z pół tuzina).

Od tego czasu wystąpiły pierwsze oznaki obcowania z nadprzyrodzonymi siłami, w szczególności połączenia nerwami, jakie profesor Flechsig utrzymywał ze mną w taki sposób, że przemawiał on do moich nerwów, mimo że go osobiście nie było. Wówczas nabrałem też przekonania, że profesor Flechsig nie ma wobec mnie dobrych zamiarów; wydawało mi się, że wrażenie to znalazło potwierdzenie, gdy pewnego razu podczas jego osobistej wizyty zapytałem, odwołując się do jego sumienia, czy rzeczywiście wierzy w możliwość wyleczenia w moim przypadku, a on zaprezentował wprawdzie pewne pocieszenie, jednak – tak mi się przynajmniej wydawało – *nie mógł mi już wówczas patrzeć w oczy*.

Tutaj następuje właściwe miejsce na zajęcie się naturą już wielokrotnie wymienianych wewnętrznych głosów, które od tamtej pory nieustannie ze mną rozmawiają, oraz jednocześnie właściwą wedle mojego osądu dla porządku świata tendencją, zgodnie z którą w pewnych okolicznościach musi dojść do „odmęzczyźnienia” (zamiany w kobietę) człowieka („widującego duchy”), który wszedł w niedający się już więcej przerwać kontakt z boskimi nerwami (promieniami). Następny rozdział jest przeznaczony na objaśnienie tych relacji, które jednak są trudne ponad miarę.

Rozdział V. Ciąg dalszy. Mowa nerwów (wewnętrzne głosy). Przymus myślenia. Odmęczyźnienie jako możliwy postulat porządku świata

Poza zwykłą ludzką mową jest jeszcze pewien rodzaj *języka nerwów*, którego zdrowy człowiek z reguły sobie nie uświadamia. Najlepiej, wydaje mi się, można uzyskać o tym wyobrażenie, uświadamiając sobie zdarzenia, podczas których człowiek próbuje sobie pewne słowa zapisać w określonej kolejności w pamięci, a więc np. uczeń uczy się na pamięć wiersza, który musi zadekklamować w szkole, duchowny zapamiętuje kazanie, które chce wygłosić w kościele. Dane słowa są wypowiedzane po cichu (podobnie jak podczas cichej modlitwy, do której wierni są wzywani z kazalnicy), tzn. człowiek daje sygnał swym nerwom, by wprawiły się one w te drgania, które odpowiadają użyciu danych słów, a właściwe narządy mowy (wargi, język, zęby itp.) nie są przy tym albo wcale, albo są tylko przypadkowo wprawiane w ruch.

Stosowanie tego języka nerwów zależy w normalnych (zgodnych z porządkiem świata) okolicznościach oczywiście tylko od woli tego człowieka, o którego nerwy chodzi; żaden człowiek nie może sam w sobie zmusić innego człowieka do posługiwania się tymże językiem nerwów.²⁵ U mnie jednak wystąpił od wyżej opisanego krytycznego zwrotu w mojej chorobie nerwowej przypadek taki, że moje nerwy są wprawiane w ruch z *zewnątrz*, a to mianowicie nieprzerwanie i nieustająco.

Zdolność oddziaływania w taki sposób na nerwy człowieka jest cechą właściwą przede wszystkim boskim promieniom; dzięki temu Bóg mógł od

W oryginale z 1903 roku brakuje przypisu 24. – przyp. wydawcy.

²⁵ Wyjątek ma miejsce być może w przypadku hipnozy, o której istocie ja jako laik w dziedzinie psychiatrii mam zbyt mało wiedzy, by móc pozwalać sobie na jakąś o tym opinię.

dawien dawna podsuwać sny śpiącemu człowiekowi. Ja sam odbierałem ten wpływ jako wychodzący od profesora Flechsiga. Wyjaśnienia tej okoliczności mogą szukać jedynie w tym, że profesor Flechsig umiał w jakiś sposób posłużyć się boskimi promieniami; później z moimi nerwami nawiązały kontakt oprócz nerwów profesora Flechsiga także bezpośrednio boskie promienie. Sposób oddziaływania przyjmował z biegiem lat formy coraz bardziej sprzeczne z porządkiem świata i naturalnym prawem człowieka do wolnego decydowania o użyciu swych nerwów, powiedziałbym: formy coraz bardziej groteskowe.

I tak oddziaływanie to wystąpiło już stosunkowo wcześniej w formie *przymusu myślenia* – wyrażenie to zostało mi podane przez wewnętrzne głosy, innym ludziom będzie pewnie prawie w ogóle nieznanne, gdyż całe to zjawisko leży poza wszelkimi ludzkimi doświadczeniami. Istota przymusu myślenia polega na tym, że człowiek jest zmuszany do bezustannego myślenia, innymi słowy mówiąc: naturalne prawo człowieka do zapewnienia od czasu do czasu swym nerwom rozumu spokoju poprzez niemyślenie (jak dzieje się w sposób najdobitniejszy we śnie) mi zostało od początku odebrane przez kontaktujące się ze mną promienie, które nieustannie chciały wiedzieć, o czym myślę. Stawiano więc np. wprost – tymi słowami – pytanie: „O czym Pan teraz myśli?”, a ponieważ pytanie to już samo w sobie jest kompletnie bezsensowne, na tyle, o ile wiadomo, że człowiek tak czy inaczej – w pewnych chwilach – może nie myśleć nic, z drugiej zaś strony o tysiącu rzeczy na raz, a jako że moje nerwy w związku z tym nie reagowały na to absurdalne pytanie, bardzo szybko pojawiła się konieczność uciekania się do systemu fałszowania myśli, kiedy to np. na powyższe pytanie odpowiadano: „On o porządku świata” myśli mianowicie²⁶, tzn. moje nerwy zostały przez dzia-

²⁶ Słowo „myśleć” zostało w powyżej zacytowanej odpowiedzi pominięte. Dusze miały mianowicie – już przed nastąpieniem stosunków sprzecznych z porządkiem świata – przyzwyczajenie nadawać swym myślom (we wzajemnych kontaktach) pod względem gramatycznym jedynie niepełną formę, tzn. opuszczać pewne słowa, które dla zachowania sensu nie były ewentualnie niezbędnie potrzebne. Przyzwyczajenie to przybrało z czasem w kontaktach ze mną wręcz formę haniebnego nadużycia, jako że ludzkie nerwy rozumu („fundament” człowieka, jak nazywa się to w języku podstawowym) są przez przerywane w ten sposób frazy stale pobudzane, ponieważ stale podejmują mimowolny wysiłek szukania słów pasujących do uzupełnienia danej myśli. I tak od lat setki razy co dzień słyszę, by podać jeden tylko przykład z niezliczonych, pytanie: „Dlaczego nie powie Pan tego?”, przy czym słowo „głośno”, właściwie potrzebne do dokończenia myśli, jest opuszczane i promienie udzielają sobie zaraz same niby to przeze mnie wypowiedzianej odpowiedzi: „Bo pewnie jestem głupi”. Takie i podobne oburzające niedorzeczności (w pewnym sensie jako od nich pochodzące) moje nerwy muszą znosić nieustannie od lat w jałowej jednostajności. O przyczynie, dlaczego wybrane zostały właśnie te powiedzenia, i o ich zamierzonym działaniu będę pisał jeszcze bliżej w dalszej części.

lanie promieni zmuszone do wykonywania takich drgań, które odpowiadają użyciu tych słów. Przy czym ilość miejsc, od których pochodziło połączenie nerwowe, rosła z czasem; oprócz profesora Flechsig, jednego, o którym przynajmniej jeszcze jakiś czas wiedziałem, że przebywa wśród żywych, były to głównie dusze, które odeszły już z tego świata, a których zainteresowanie mną rosło coraz bardziej.

Mógłbym tu podać setki, jeśli nie tysiące nazwisk osób, wśród nich wielu takich, o których dowiedziałem się po latach, gdy dzięki gazetom i listom znów nawiązałem niejaki kontakt ze światem zewnętrznym, że znajdowały się one jeszcze podobno wśród żywych, podczas gdy wówczas, kiedy obcowaliśmy ze mną w drodze nerwowego połączenia jako dusze, nie mogłem być oczywiście zakładać niczego innego, jak tylko że już dawno odeszły z tego świata. W przypadku bardzo wielu tych osób na pierwszy plan wysuwało się religijne zainteresowanie, w szczególności było wśród nich bardzo wielu katolików, którzy oczekiwali po moim zachowaniu, które miałbym skierować na odpowiednie tory, wsparcia dla katolicyzmu; należą do nich proboszcz St. w Lipsku, „14 lipskich katolików” (z których podano mi tylko nazwisko konsula generalnego D., przypuszczalnie katolickie stowarzyszenie lub zarząd takiegoż), ojciec jezuita S. w Dreźnie, arcybiskupi ordynariusz w Pradze, kanonik Moufang, kardynałowie Rampolla, Galimberti i Casati, sam papież, którego promień był osobliwie spalony, wreszcie liczni mnisi i zakonnice; przy pewnej szczególnej okazji przez mą głowę przeszło naraz jako dusze 240 mniichów benedyktynów pod przewodnictwem ojca, którego nazwisko brzmiało podobnie do „Starkiewicz”, by w niej znaleźć zagładę. W przypadku innych dusz w grę wchodziły motywy narodowe pomieszane z religijnym zainteresowaniem; wśród nich był wiedeński lekarz chorób nerwowych, którego nazwisko przez przypadek było identyczne jak nazwisko wyżej wymienionego ojca benedyktynów, ochrzczony Żyd i słowianofil, który chciał przeze mnie uczynić Niemcy słowiańskimi, a jednocześnie umocnić w nich panowanie żydostwa; zdaje się, że był on w swej funkcji jako lekarz chorób nerwowych, podobnie jak profesor Flechsig dla Niemiec, Anglii i Ameryki (a więc co do istoty rzeczy krajów aryjskich), pewnego rodzaju zarządcą boskich spraw dla innej boskiej prowincji (w szczególności słowiańskich regionów Austrii), z czego na jakiś czas wywiązała się pomiędzy nim a profesorem Flechsigiem wynikająca z zazdrości walka o hegemonię. Inną grupę stanowili głównie byli członkowie Corps Saxonii w Lipsku, do którego należał był jako członek tegoż stowarzyszenia profesor Flechsig²⁷, i którym w związku z tym, jak za-

²⁷ Także i o tym nie wiedziałem wcześniej; dowiedziałem się w drodze połączenia nerwowego od mówiących ze mną głosów. Dlatego też byłoby z pewnością interesujące dowiedzieć

kładałem, udzielona została przez tego ostatniego pomoc w przedostaniu się do błogostanu. Byli wśród nich adwokat, dr G.S. w Dreźnie, dr med. S. w Lipsku, sędzia sądu rejonowego II instancji G. i liczni młodszy członkowie tegoż Corps, którzy później zostali nazwani „wiszącymi pod Kasjopeją”. Z drugiej zaś strony było także wiele burszostw, których sprawa nabrała przez pewien czas rozmachu, tak że byli oni w stanie zająć planety Jupiter, Saturn i Uran; wybijające się wśród nich nazwiska to A.K., adwokat, wiceprzewodniczący pruskiej izby poselskiej, którego zresztą w moim życiu nigdy nie znałem osobiście, rektor, profesor W., i adwokat H. w Lipsku. Oni to i wspomniani wcześniej członkowie Corps Saxonia zdawali się uważać całą tę sprawę, o którą chodziło w mojej głowie, jedynie za kontynuację starej waśni pomiędzy Corps a burszostwem. Dalej wymienię tajnego radcę dr. Wächtera, który miał jakoby zajmować pozycję pewnego rodzaju przywódcy na Syriuszu, i tajnego radcę kościelnego, dr. Hoffmanna, sprawującego taką samą funkcję na Plejadach; osiągnęli oni potem zdaje się, jako już dawno zmarli, wyższy stopień szczęśliwości. Obydwaj znali mnie w życiu osobiście i prawdopodobnie z tego powodu się mną w pewien sposób zainteresowali.

I w końcu wymienimy różnych mych krewnych (poza moim ojcem i moim bratem, którzy wymienieni zostali już wcześniej, moja matka, moja żona i mój teść), mojego zmarłego już w 1864 roku przyjaciela z młodości, Ernsta K., i księcia, który jako „mały człowiek” (w sensie, który potem wyjaśnię) pojawił się na mojej głowie i, że tak powiem, spacerował po niej.

Wszystkie te dusze mówiły do mnie jako głosy mniej lub bardziej równocześnie, każda z nich nic nie wiedząc o obecności innej. Jaki zamęt powstał poprzez to w mojej głowie, będzie mógł pojąć każdy, kto całego tego opisu nie chce uznać za chorobliwy wytwór mojej fantazji. W każdym razie dusze te miały wówczas jeszcze własne myśli i dlatego były w stanie przekazywać mi informacje, które w najwyższym stopniu wzbudzały moje zainteresowanie, mogły one także udzielać mi odpowiedzi na pytania, podczas gdy teraz już od dłuższego czasu gadanie głosów polega tylko na okropnie monotonnym powtarzaniu tych samych ciągle powracających (wyuczonych na pamięć) fraz. Później podam powód takiego stanu rzeczy. Obok tych dających się rozpoznać jako poszczególne indywidua dusz występowały zresztą równocześnie zawsze inne głosy, które podawały się za samą Wszechmoc Boga w stale rosnących instancjach (por. wyżej przypis 19.) i którym wymienione wyżej pojedyncze dusze służyły niejako jako forpoczta.

się, czy ten sam w sobie bardzo nieważny szczegół z wcześniejszego życia profesora Flechsig opiera się na prawdzie.

Drugi punkt, który ma być omawiany w tym rozdziale, dotyczy właściwej dla porządku świata tendencji do „odmęczyźnienia” człowieka, który stale obcuje z promieniami. Ma to związek po części z naturą boskich nerwów, dzięki której szczęśliwość jest, jeśli już nawet nie wyłącznie, to przynajmniej jednocześnie odczuwaną rozkoszą w dużym natężeniu (o cieszeniu się szczęśliwością patrz wyżej), z drugiej zaś strony z jak się zdaje leżącym u podstaw porządku świata planem, jaki pozwoli w przypadku światowych katastrof, które uczynią koniecznym unicestwienie ludzkości na jakimś z ciał niebieskich świata – *in specie* zamierzonego lub nie, odnowić ludzki gatunek. Gdy na jakimś ciele niebieskim wszystkich ludzi opanuje moralna zgnilizna („lubieżna rozpusta”) albo też nerwowość w takim natężeniu, że nie można będzie po ich nadmiernie zaczernionych nerwach oczekiwać wartego wzmianki uzupełnienia przedśionków niebios (por. wyżej przypis 6.), bądź też gdy należałoby się obawiać groźnego dla boskich nerwów wzrostu siły przyciągania, zagłada ludzkości mogłaby nastąpić na tymże ciele niebieskim sama z siebie (poprzez pustoszące zarazy) albo mógłby o niej zadecydować Bóg i zrealizować ją trzęsieniami ziemi, powodziami itp. Być może byłoby dla Boga wykonalne odebranie planecie, którą przeznaczył do zagłady, całkiem albo częściowo ciepła Słońca (albo innej stałej gwiazdy, która służy do jej ocieplania), dzięki czemu mogłoby paść nowe światło na, o ile mi wiadomo, jeszcze przez naukę nie rozwiązany problem *epok lodowcowych*. Obiekcje, że za czasów ziemskich epok lodowcowych ludzkość istniała tylko w fazie swych (dyluwialnych) początków, nie mogą być raczej uznane za przekonujące. Kto powiedział nam, że w owym czasie nie było już na jakiejś innej planecie, choćby Wenus, wysoko rozwiniętej ludzkości, której zniszczenie leżało zgodnie z wcześniej powiedzianym w planach Boga i nie mogło się odbyć bez równoczesnego znacznego oziębienia Ziemi, której rozwój jeszcze nie był tak zaawansowany?²⁹ We wszystkich takich sprawach człowiek musi próbować stanąć ponad swymi małostkowymi wyobrażeniami, które ma, można powiedzieć, we krwi i spojrzeć na problem z punktu widzenia wieczności. Możliwe jest więc chyba, że wyobrażenia Curviera o okresowo następujących po sobie katastrofach światowych zawierają w myśl tego jakąś część prawdy. Wówczas zachowany by został w celu podtrzymania gatunku jeden jedyny człowiek, być może ten moralnie jeszcze najporządniejszy, któ-

W wydaniu oryginalnym z roku 1903 przypisu 28. brak – przyp. wydawcy.

²⁹ W istocie miałem podczas mojego pobytu w zakładzie Flechsig’a wizje (obrazy senne), według których istnieją inne planety, zainfekowane moralną zgnilizną w większym stopniu niż Ziemia, a akurat mieszkańcy naszej Ziemi odznaczają się jeszcze stosunkowo większą etyczną czystością.

rego rozmawiające ze mną głosy nazwały „Żydem Wiecznym Tułaczem”. Sens tej nazwy jest więc nieco inny niż ten, który leży u podstaw noszącego tę samą nazwę podania o Żydzie Ahaswerze; natomiast mimo woli przypominają się podania o Noem, Deukalionie i jego żonie o imieniu Pyrra. Do tego grona należy też być może legenda o założeniu Rzymu, według której Rea Sylwia poczęła Romulusa i Remusa, którzy potem zostali królami, nie od ziemskiego ojca, lecz od boga wojny Marsa. Żyd Wieczny Tułacz (w podanym sensie) musiał zostać pozbawiony męskości (przemieniony w kobietę), by móc rodzić dzieci. Odmęzczyźnienie przebiegało w ten sposób, że (zewnątrzne) męskie organy płciowe (moszna i męski członek) zostały wciągnięte w głąb ciała i jednocześnie męskie wewnętrzne organy płciowe przekształciły się w odpowiednie żeńskie organy płciowe; proces ten przebiegał być może podczas trwającego setki lat snu, gdyż musiała przecież nastąpić także zmiana układu kostnego (miednica itp.). Miała więc miejsce atrofia lub nastąpiło odwrócenie tego procesu rozwojowego, jaki odbywa się w każdym ludzkim płodzie w czwartym lub piątym miesiącu ciąży, w zależności od tego, czy natura chce przyszłe dziecko obdarzyć płcią męską, czy żeńską. W pierwszych miesiącach ciąży jak wiadomo płód posiada zaczątki obydwu organów, a organy charakterystyczne dla tej płci, której nie dane jest się dalej rozwinąć, zostają zachowane w formie szczątkowej, jak na przykład brodawki piersi u mężczyzn. Zdolność dokonywania opisanego cudu odmęzczyźniania jest właściwa promieniom niższego boga (Arymana); promienie wyższego boga (Ormazda) posiadają zdolność przywracania męskości w razie takiej potrzeby. Cudu odmęzczyźnienia doznałem, jak już wspomniałem w przypisie 1., na własnym ciele podczas mojego pobytu dwukrotnie (na krótki czas). Że cud ten nie rozwinął się całkowicie, bądź też jego skutki zostały odwołane, wynikało właśnie jedynie z tego, że uczestniczyły w nim nie tylko czyste boskie promienie, ale oprócz nich także promienie (Flechsiga itp.) prowadzone przez sprawdzone (nieczyste) dusze, przez których współdziałanie nie doszło do przeprowadzenia procesu przemiany w jego zgodnej z porządkiem świata czystości. Żyd Wieczny Tułacz został zachowany dzięki „pobieżnie wytworzonym ludziom” (por. wyżej, przypis 1.), oni też dbali o zaspokojenie jego koniecznych życiowych potrzeb; w tym celu więc w drodze cudu dusze otrzymywały ludzką postać, prawdopodobnie nie tylko na czas trwania życia samego Żyda Wiecznego Tułacza, lecz na kilka pokoleń – tak długo, aż jego potomstwo było wystarczająco liczne, by mogło się samo utrzymać. Wydaje się, że to właśnie było zgodnym z porządkiem świata, głównym przeznaczeniem instytucji „pobieżnie wytworzonych ludzi”; nie odważę się zawyrokować, czy możliwe jest, że miały one służyć oprócz tego celowi takiemu, by duszom, jakie należy oczyścić i które w związku z tym

otrzymały ludzką postać, zadawać jakie zadania, konieczne do procesu ich oczyszczenia (por. wyżej). W każdym razie cel pobieżnie wytworzonych ludzi nie polegał na pewno na *igraszkach z cudami*, do czego zwyrodniał on w stosunku do mnie w ostatnim okresie mojego pobytu w zakładzie Flechsig, podczas mojego pobytu w zakładzie Piersona i chyba także jeszcze w początkowym okresie mojego pobytu w tutejszym zakładzie.³⁰

O tej tendencji, właściwej dla porządku świata, a która przewiduje w pewnych warunkach odmęczyźnienie człowieka, musiał być według mnie mieć jakieś pojęcie profesor Flechsig, czy to dzięki temu, że sam na to że tak powiem wpadł, czy też – co wydaje mi się prawdopodobniejsze – został zainspirowany tymi wyobrażeniami dopiero przez boskie promienie. Przy czym panuje tu jednak *fundamentalne nieporozumienie*, które jak wątek plecie się przez całe moje życie, a które wynika właśnie z tego, że *Bóg zgodnie z porządkiem świata właściwie wcale nie zna żyjącego człowieka* i znać nie potrzebuje, a porządek świata przewiduje dlań tylko kontakty z ludźmi już zmarłymi. Z drugiej strony w rachubę wchodzi ta zależność, w jaką popadł Bóg w stosunku do profesora Flechsig lub duszy tegoż, kiedy to raz nawiązane połączenie nerwów nie może zostać zakończone i jest używane do niecných celów. I tak powstał system lawirowania, w przypadku którego przeplatały się ze sobą próby wyleczenia mimo wszystko mojej choroby nerwowej³¹ z dążeniem do unicestwienia mnie jako człowieka, który przez swą stale rosnącą nerwowość staje się zagrożeniem dla samego Boga. Wynikła stąd polityka połowiczności („przytłumienia”, jak brzmiało kilkakrotnie przeze mnie słyszane wyrażenie), która całkowicie odpowiadała charakterowi dusz, przyzwyczajonych do nieprzerwanego odczuwania przyjemności i dlatego nieposiadających albo posiadających tylko w zdecydowanie niewielkim stopniu właściwą człowiekowi zdolność do zapewniania sobie trwałych korzyści na przyszłość przez chwilowe poświęcenie lub chwilową rezygnację z przyjemności. Jednocześnie kiedyś nawiązane z moimi nerwami połączenie stawało się, im więcej cudów wyprawiano przeciwko mnie, coraz bardziej

³⁰ Otrzymałem kilka sugestii, że już przed moim przypadkiem być może w ogromnie dalekiej przeszłości i na innych ciałach niebieskich było wielu Żydów Wiecznych Tułaczy. Rozmawiające ze mną głosy podały mi kilka nazwisk, wśród których, o ile się nie mylę, znajdowało się nazwisko polskiego hrabiego, brzmiące Czartorisky lub podobnie. Przy czym nie trzeba tu koniecznie myśleć o polskiej nacji, zamieszkującej naszą Ziemię, ale należałoby przynajmniej uświadomić sobie możliwość, że naród polski egzystuje być może w drodze wędrówki dusz jeszcze raz gdzieś na jakimś innym ciele niebieskim.

³¹ Byłoby to – by wspomnieć od razu z góry o tym, co później będzie jeszcze szerzej omówione – łatwe przy poświęceniu stosunkowo małej liczby czystych promieni, gdyż promienie takie posiadają m.in. zdolność uspokajania nerwów i wywoływania snu.

nerozwiązywalne; z drugiej zaś strony profesorowi Flechsigowi udało się jakoś wznieść z całą swą duszą lub z jej częścią do nieba i dzięki temu uczynić z siebie – bez śmierci i uprzedniego oczyszczenia – przywódcę promieni. W ten sposób zakończony został skierowany przeciwko mnie spisek (około marca lub kwietnia 1894), którego celem było wydanie mnie – po tym, jak rozpoznano lub założono nieuleczalność mojej nerwowej choroby – na łaskę i niefaskę jednego jedyne go człowieka w taki sposób, że miano przekazać mu moją duszę, moje ciało zaś – w omyłkowym pojmowaniu wyżej opisanej, leżącej u podstaw porządku świata tendencji – przemienić w ciało kobiety, oddać je jako takie temuż człowiekowi, by mógł je seksualnie wykorzystać, po czym po prostu „porzucić”, czyli chyba pozostawić do zgnicia. Co miałyby się z tym „porzuconym” człowiekiem stać, czy jest on tym samym już rzeczywiście martwy, o tym, jak się wydaje, nie poinformowano się całkiem jasno. Nie żywię najmniejszych wątpliwości co do tego, czy spisek ten istniał naprawdę, zawsze jednak z zastrzeżeniem, że nie śmiem twierdzić, że udział profesora Flechsiga odbywał się w jego ludzkiej postaci. O takich rzeczach, o ile profesor Flechsig występował w kontaktach ze mną *jako człowiek*, nie było naturalnie mowy ani słowem. W utrzymywanym jednak przezeń *jednocześnie* jako dusza połączeniu nerwowym, tzn. w na początku tego rozdziału wspomnianym języku nerwów, zamiar ten wyrażano bez ogródek. Do tego doszło jeszcze, że także widoczny sposób leczenia wydawał się odpowiadać temu wyrażonemu w języku nerwów zamiarowi; trzymano mnie tygodniami w łóżku, uprzednio odebrawszy mi całe moje ubranie, by – jak sądzę – ułatwić dostęp do mnie lubieżnym doznaniom, które mogły zostać wywoływane przez coraz liczniej wnikające we mnie żeńskie nerwy; stosowano środki (medykamenty), które według mego przekonania służyły temu samemu celowi³², i które w związku z tym wzdragałem się przyjmować, a gdy strażnicy wlewali mi je do gardła siłą, znów je wypluwałem. Można sobie wyobrazić, jak bardzo przeciwko temu haniebnym zamiarom, które wydawało mi się rozpoznać z całą pewnością, buntowała się cała moja męska godność i poczucie własnej wartości, moja cała moralna osobowość, tym bardziej, że równocześnie byłem – poruszony pierwszymi objawieniami na temat boskich spraw, jakich doznałem dzięki obcowaniu z innymi duszami – wypełniony świętymi wizjami o Bogu i porządku świata. Całkowicie odcięty od świata zewnętrznego, bez żadnego kontaktu z rodziną, znajdując się w rękach brutalnych strażników, walcząc z nimi od czasu do czasu, bo sądziłem za poduszczeniem wewnętrznych głosów, że jest to mój obowiązek,

³² W szczególności białawą maść, o której, jako że jestem medycznym laikiem, nie mogę na pewno powiedzieć, czy był to bizmut, czy też coś innego.

będący próbą mej męskiej odwagi, nie mogłem mieć innych myśli niż ta, że każda inna choćby nie wiem jak okropna śmierć będzie lepsza niż taki haniebny koniec. Dlatego też postanowiłem zakończyć swe życie śmiercią głodową i odmawiałem przyjmowania wszelkich potraw, tym bardziej, że wewnętrzne głosy ciągle mówiły mi, iż właściwie moim obowiązkiem jest umrzeć śmiercią głodową i w ten sposób niejako oddać się Bogu w ofierze, iż każdy spożyty posiłek, którego moje ciało pragnęło, jest niegodną słabością. Konsekwencją tego było zorganizowania tak zwanego *systemu karmienia*, co oznaczało, że strażnicy, w gruncie rzeczy zawsze ci sami – oprócz wymienionego już R. niejaki H. i jeszcze jakiś trzeci, którego nazwiska już nie pamiętam – na siłę wmuszali mi jedzenie do ust, co odbywało się częściowo z największą brutalnością. Zdarzało się wielokrotnie, że jeden z nich trzymał moje ręce, a drugi *klęczał* na mnie, leżącym w łóżku, by do ust wrzucać mi potrawy i wlewać piwo.

I tak też każda kąpiel, którą brałem, była związana z obrazami utopienia się. Mówiono – w języku nerwów – o „kąpielach oczyszczających” i o „świętych kąpielach”, te ostatnie miały właśnie na celu danie mi sposobności do utopienia się; wchodziłem do prawie każdej kąpeli opanowany wewnętrznym strachem, że właśnie ta kąpiel ma służyć zakończeniu mojego życia. Wewnętrzne głosy (w szczególności dusze wymienione wyżej, należące do Corps Saxonia, tak zwani Bracia Kasjopei) przemawiały do mnie w tym właśnie kontekście i szydziły ze mnie, że brakuje mi do tego męskiej odwagi; dlatego też wielokrotnie podejmowałem próbę zanurzenia głowy pod wodę, przy czym strażnicy w niektórych przypadkach trzymali me stopy nad powierzchnią wody, sprzyjali więc pozornie swym zachowaniem mym samobójczym zamiarom, wielokrotnie też zanurzali mą głowę, potem jednak, przy towarzyszeniu grubiańskich dowcipów, zmuszali mnie do wynurzenia się i wreszcie do wyjścia z wody.³³ W utrzymywanym z profesorem Flechsigiem połączeniu nerwów żądałem ustawicznie od niego cyjanku potasu lub strychniny, by się otruć (kropla „soku-trucizny”, jak nazywało się to w języku podstawowym), a profesor Flechsig – jako dusza w kontakcie nerwowym – był temu żądaniu w zupełności przychylny i połowicznie robił mi nadzieje na swą zgodę; podczas trwających godziny rozmów w połączeniu nerwowym uzależniał podanie mi trucizny zawsze w obłudny sposób od pewnych gwarancji, czy ja tę truciznę, o ile zostanie mi ona podana, naprawdę bym wypił itd. Kiedy zaś profesor Flechsig przychodził do mnie podczas lekarskich wizyt

³³ Nawiasem mówiąc, był to czas, kiedy to między nogami miałem na skutek cudów poczynionych przeciwko mnie rzecz, która prawie wcale nie przypominała normalnie rozwiniętego męskiego członka.

jako człowiek, twierdził oczywiście, że nic o takich rzeczach nie wie. Także o pogrzebaniu żywcem jako sposobie zakończenia mojego życia był mowa wielokrotnie. Przy czym z człowieczego punktu widzenia, który wówczas jeszcze w przeważającym stopniu reprezentowałem, było chyba na wskroś naturalne, że mego właściwego wroga dopatrywałem się zawsze w profesorze Flechsigu (później doszła do tego jeszcze dusza W., o czym bliżej w dalszej części), a Bożą wszechmoc postrzegałem jako mego naturalnego sprzymierzeńca, błędnie zakładając, że znajduje się ona w ciężkim położeniu, i zdawało mi się, że muszę ją wspierać wszelkimi możliwymi środkami, aż do samopoświęcenia. Myśl, że Bóg sam był wtajemniczony, a może nawet mógł być inspiratorem planu, według którego miano na mnie popełnić mord duszy, a moje ciało wydać na łaskę losu jako dziwkę, uświadomiłem sobie natarczywie jasno dopiero dużo później, częściowo wręcz podczas spisywania niniejszego tekstu. Jednak by nie wprawiać w pomieszanie religijnych uczuć i wyobrażeń innych ludzi, muszę wyrazić ponownie te myśli, które wyłożyłem już pod koniec rozdziału II. Choć haniebne – subiektywnie patrząc – wydawało mi się całe opisane zamierzenie, to jednak zainspirowane było ono instynktem samozachowawczym, który u Boga jest tak samo oczywisty, jak u każdej innej żywej istoty, a który, jak już wyłożyłem w innym kontekście (por. wyżej) może faktycznie w danych okolicznościach zmusić Boga do rozważenia, czy by unicestwić nie tylko pojedynczych ludzi, ale być może nawet całe ciała niebieskie wraz ze wszystkim znajdującymi się nań stworzeniami. W rozdziale 19. I Księgi Mojżeszowej znajduje się opowieść o Sodomie i Gomorze, w której jest mowa o tym, że zniszczenie tych miast siarką i ogniem odbyło się, mimo iż wśród ich mieszkańców znajdowała się pewna – nawet jeśli niewielka – liczba „sprawiedliwych”. Także w obrębie całego stworzonego świata nikt nie uzna za niemoralne, gdy – o ile nie sprzeciwia się to porządkowi świata – silniejszy zwycięża słabszego, wyżej kulturowo rozwinięty naród wypiera niżej w rozwoju stojący z jego miejsc zamieszkania, kot pożera mysz, pająk komara itp. Pojęcie moralności istnieje tylko w ramach porządku świata, tzn. naturalnej więzi, jaka łączy Boga z ludzkością; tam, gdzie ten porządek świata raz się załamał, tam pozostaje jedynie kwestia siły, w której decyduje prawo mocniejszego. W moim przypadku więc moralnie gorszące było jedynie to, że Bóg sam postawił się poza – także i dla niego miarodajnym – porządkiem świata; do tego jednak był on jeśli nawet nie bezpośrednio zmuszony, to przynajmniej nakłoniony w rezultacie trudnej dla dusz do odparcia pokusy, która powstała przez obecność w niebie nieczystej („sprawdzonej”) duszy profesora Flechsiga. Dzięki posiadanej przez nią wówczas jeszcze w dość dużym stopniu ludzkiej inteligencji dusza Flechsiga mogła zapewnić sobie pewną techniczną przewagę (o czym bliżej

w dalszej części) nad boskimi nerwami, które za każdym razem stykały się ze mną, i które właśnie jako dusze nie posiadały zdolności do bezinteresownego poświęcenia się, jakie byłoby potrzebne do zapewnienia mi wystarczająco długiego dla mojego wyleczenia snu i tym samym do unieszkodliwienia duszy Flechsiga. Dlatego jestem skłonny postrzegać całe to zdarzenie jako *zrządzenie losu*, podczas którego nie może być mowy o moralnej przewinie ani po stronie Boga, ani po mojej stronie. Z drugiej strony porządek świata zachowuje całą swą wielkość i dostojność przez to, że w takim niezgodnie z regułami rozwijającym się przypadku także i samemu Bogu nie pozwala korzystać ze środków władzy, dzięki którym mógłby on osiągnąć cel sprzeczny z porządkiem świata. Wszystkie próby podejmowane w kierunku popełnienia mordu na duszy, odmęczyźnienia w celach *niezgodnych z porządkiem świata*³⁴ (tj. do zaspokojenia seksualnej żądzы jakiegoś człowieka), a później w kierunku zniszczenia mego umysłu nie powiodły się. Z tej pozornie nierównej walki jednego jedynego słabego człowieka z samym Bogiem wychodzę, choć po wielu gorzkich cierpieniach i wyrzeczeniach, jako zwycięzca, bo porządek świata stoi po mojej stronie.³⁵ Także moje zewnętrzne położenie i mój stan fizyczny polepszają się już teraz z roku na rok. I tak żyję w ufnej wierze, że wszystkie te intrygi będą jedynie epizodami, które w końcu w ten czy inny sposób doprowadzą do przywrócenia zgodnych z porządkiem świata stosunków. Być może ta osobista niedola, którą musiałem znieść, oraz utrata dotychczasowego szczęścia skompensują się w pewien sposób tym, że przy okazji mojego przypadku ludzkości dane będzie od razu zrozumienie religijnych prawd w dużo większym stopniu, niż by to było na drodze trwających wiele setek lat naukowych badań przy użyciu wszelkiej ludzkiej inteligencji,

³⁴ Że w zakresie możliwego leży odmęczyźnienie w innym – *zgodnym* z porządkiem świata – celu, że wręcz być może zawiera prawdopodobne rozwiązanie konfliktu, wyluszczyć jeszcze w dalszej części.

³⁵ (Dodatek z listopada 1902) Można by powyższym wywodom przypisać pewną niejasność o tyle, o ile „porządek świata”, czyli bezosobowe Coś, stawiane jest jeszcze ponad Boga, przypisuje mu się moc większą niż Bogu i jest dla samego Boga miarodajne. W rzeczywistości niejasności tu nie ma żadnej. „*Porządek świata*” to prawidłowy stosunek, który *istnieje jako dany sam z siebie wynikający z istoty i cech Boga stosunek pomiędzy Bogiem a powołanym przezeń do życia stworzeniem*. Bóg nie może dokonać czegoś, co jest sprzeczne jego właściwościom i siłom w stosunku z ludzkością lub – w moim przypadku – z jednym jedynym człowiekiem, który nawiązał z nim szczególną relację. Podczas gdy Bóg, którego siła promieni zgodnie ze swą naturą jest budująca i twórcza, wobec mnie wypróbował politykę skierowaną na zniszczenie cielesnej integralności i rozumu, popadł w sprzeczność z samym sobą. Dlatego też polityka ta mogła zaszkodzić jedynie tymczasowo, bez uzyskania trwałych sukcesów. Albo też miałem, by posłużyć się oksymoronem, w walce prowadzonej ze mną przez Boga samego Boga po mojej stronie, czyli byłem w stanie jego własne cechy i siły wytoczyć w samoobronie jako bezwarunkowo skuteczną broń.

o ile w ogóle kiedykolwiek będzie możliwe. Nawet nie trzeba mówić, jaki nieoceniony zysk dla ludzkości oznaczałoby pozbawienie dzięki mym osobistym losom, w szczególności także w ich jeszcze mających nastąpić przeobrażeniach, na zawsze podłoża dla czystego materializmu i tak samo niejasnego panteizmu.

Rozdział VI. Osobiste przeżycie. Ciąg dalszy. Wizje. „Widzący duchy”

Czas, który próbowałem przedstawić w poprzedzającym rozdziale – mniej więcej od połowy marca do końca maja 1894, założywszy, że chodziło tu rzeczywiście tylko o kilka ziemskich miesięcy, a nie na przykład o stulecia – był, jak mi chyba wolno powiedzieć, najbardziej przerażającym okresem mego życia. A mimo to czas ten był także *świętym* czasem mojego życia, gdzie moja w pełni zachwycona nadprzyrodzonymi, wnikającymi we mnie w coraz większej liczbie rzeczami dusza przepelniona była, podczas brutalnego leczenia, jakiego doznawałem zewnątrznie, najwznioślejszymi wyobrażeniami o Bogu i porządku świata. Przy czym trzeba powiedzieć, że od czasów młodości byłem człowiekiem, który przejawiał bardziej skłonność do wszelkich innych rzeczy, niż do religijnych uniesień. Wszyscy ludzie, którzy zbliżyli się do mnie w jakikolwiek sposób podczas mojego wcześniejszego życia, musieliby zaświadczyć, że byłem spokojną, beznamiętną, jasno i trzeźwo myślącą naturą, której indywidualne uzdolnienia były ukierunkowane raczej na obszary chłodnej, rozumowej krytyki, niż na dziedzinę twórczej działalności inspirowanej swobodną wyobraźnią. Na pewno nie byłem, nawet jeśli czasem z okazji mniejszych rodzinnych uroczystości próbowałem swych sił w poezji okolicznościowej, tym, kogo zwykło się nazywać *poetą*. Właściwie nie byłem również nawet (od czasu mego wieku młodzieńczego) człowiekiem wierzącym w sensie naszej pozytywnej religii. Nigdy jednak też nie gardziłem religią, raczej unikałem rozmów o sprawach religijnych i od zawsze czułem, że ludziom, którym dane jest szczęście zachowania także i na późniejsze lata nabożnej dziecięcej wiary, nie należy tego szczęścia zakłócać. Ja sam natomiast zbyt wiele zajmowałem się sprawami z dziedziny nauk przyrodniczych, w szczególności dziełami stojącymi na podłożu tzw. współczesnej nauki o rozwoju, bym nie dotarł przynajmniej do granicy, gdzie zaczynają się wątpliwości co do dosłownej prawdziwości wszystkiego tego,

czego naucza religia chrześcijańska. Wprawdzie zawsze odnosiłem ogólne wrażenie, że materializm nie jest ostatnim słowem w boskich sprawach, jednak tak samo trudno było mi się wznieść do niezłomnej wiary w egzystencję prawdziwego Boga czy też do zachowania jej.³⁶

Gdy chcę teraz w tym rozdziale podać jeszcze kilka dalszych szczegółów na temat czasu, który poprzednio nazwałem *mym świętym czasem*, w pełni zdaję sobie sprawę z trudności, jakie staną na mej drodze. Trudności te są częściowo zewnętrznej, częściowo zaś wewnętrznej natury. Po pierwsze, podczas takich prób zdany jestem tylko na moją pamięć, gdyż w owym czasie nie byłem w stanie robić jakichkolwiek zapisków: ani nie dysponowałem materiałami piśmienniczymi, ani nie odczuwałem żadnej skłonności do zapisywania czegokolwiek, gdyż uważałem wówczas (odsuńmy tymczasem na bok kwestię, słusznie czy nie), że nastąpił schyłek całej ludzkości, nie widziałem więc celowości utrwalania czegokolwiek na piśmie. Ponadto wrażenia, jakie mnie bombardowały, były tak cudowną mieszkanką naturalnych zdarzeń i procesów nadprzyrodzonych, że niezwykle trudno mi jest rozróżnić obrazy ze snów od przeżyć w stanie czuwania, a więc powiedzieć na pewno, na ile wszystkie te rzeczy, które według mnie przeżyłem, są także historyczną rzeczywistością. Moje wspomnienia z tego czasu muszą więc w jakimś stopniu nosić piętno zawilości.³⁷

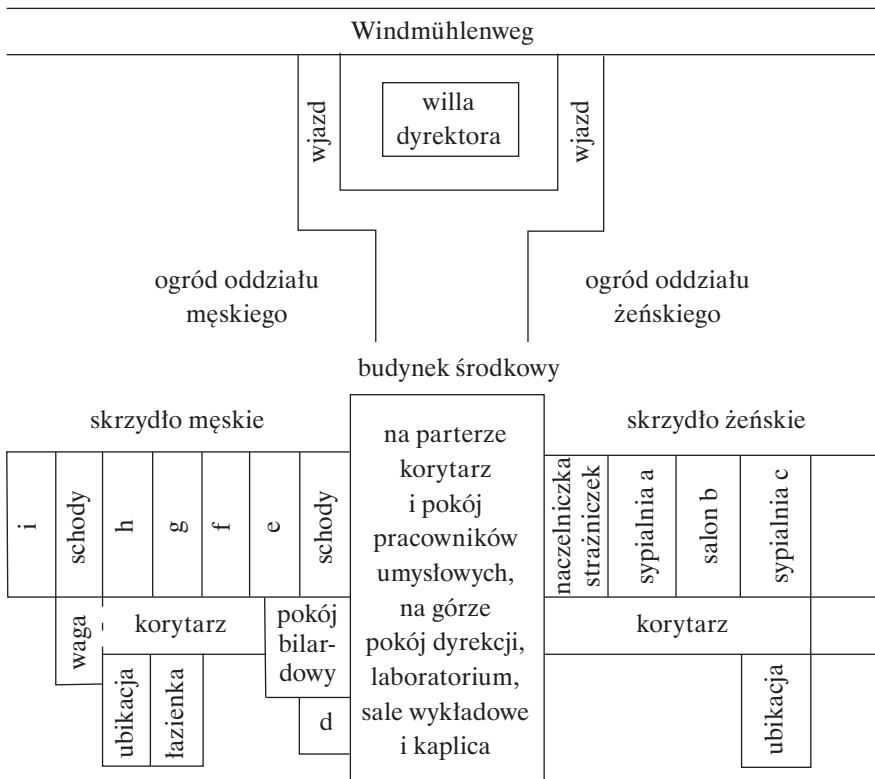
³⁶ Przy czym w żadnym wypadku nie twierdzę, że byłem właściwie rozumem filozoficznym lub że posiadałem pełną filozoficzną wiedzę na poziomie mych czasów; do tego mój częściowo bardzo trudny zawód sędziego nie pozostawiał wystarczająco dużo potrzebnego czasu. Bądź co bądź, chciałbym podać przynajmniej kilka z dzieł o treści filozoficznej i przyrodniczej, które w mniej więcej ostatnich dziesięciu latach przed *mym zachorowaniem* czytałem czasem wręcz często i wielokrotnie, gdyż w wielu miejscach niniejszej pracy pobrzmiewają myśli w tychże dziełach zawarte. Wymienię więc na przykład takie pozycje, jak Häckel, „*Natürliche Schöpfungsgeschichte*” („Naturalna historia stworzenia”); Caspari, „*Urgeschichte der Menschheit*” („Prehistoria ludzkości”); du Prel, „*Entwicklung des Weltalls*” („Rozwój kosmosu”); Mädler, „*Astronomie*” („Astronomia”); Carus, „*Sterne. Werden und Vergehen*” („Gwiazdy. Powstawanie i przemijanie”); czasopismo Wilh. Meyera „*Zwischen Himmel und Erde*” („Pomiędzy niebem a ziemią”); Neumayer, „*Erdgeschichte*” („Historia Ziemi”); Ranke, „*Der Mensch*” („Człowiek”); niektóre filozoficzne prace Eduarda von Hartmanna, w szczególności współczesne itp., itp.

³⁷ W tym względzie pewne zająście z ostatniego czasu oświeciło mnie jeszcze w dużej mierze. Jednej z następnych nocy, po tym jak zapisałem właśnie powyższe słowa, nocą z 14 na 15 marca tego roku (1900), uczyniono znów podczas mego snu w marzeniach sennych tak doskonałą zjawę, jakie widywałem już wprawdzie często także wcześniej, a w szczególności w tym czasie, gdy sypiałem w celi (1896 do końca 1898), od tamtej pory jednak już prawie dwa lata mi się nie ukazywały bądź też widywałem je jedynie w drodze wyjątku. Udało mi się wreszcie przepędzić upiora niepokojącego mój sen, zmuszając się do całkowitego przebudzenia i zapalając światło. Było około wpół do dwunastej nocą (drzwi z korytarza do mojego pokoju były

W dalszej części przedstawię najpierw, by zobrazować zewnętrzne warunki mego pobytu, zarys uniwersyteckiej kliniki dla nerwowo chorych i szkiełki działki, na której się ona znajduje, z taką dokładnością, jaka jest potrzebna do moich celów.

zamknięte na klucz, tak więc nikt z zewnątrz nie mógł tutaj wejść); nie zważając na wczesną nocną godzinę, natychmiast porobiłem zapiski, bo jak wiadomo senne obrazy szybko się zamazują w pamięci, a sądziłem, że zdarzenie to było pouczające zarówno dla poznania istoty boskich cudów, jak i dla dokładniejszej orientacji, czy i na ile u podstaw moich wcześniejszych podobnych wizji leżały obiektywne fakty. Z treści tych zapisków chcę tu tylko wspomnieć, że według narzuconego mi cudem sennego obrazu pielęgniarz zakładu, którego musiałbym był usłyszeć, gdyby wchodząc, otwierał drzwi do mojej leżącej obok pokoju mieszkalnego sypialni, wyczyniał dziwne rzeczy, częściowo siedząc na moim łóżku, częściowo będąc w jego pobliżu. Między innymi jadł wędzony oźór lub surową szynkę z warzywami strąkowymi; wydawało mi się, iż wstałem z łóżka, by zapalić światło i w ten sposób zakończyć przywidzenie, po całkowitym przebudzeniu jednak dostrzegłem, że ciągle leżę jeszcze w łóżku, nie opuszczałem go więc do tej pory w ogóle. Proszę nie uśmiechać się z powodu podanych szczegółów o wyżej wymienionych potrawach. Słowa służące do określenia tych potraw mają związek z systemem zapisów, który omówię w dalszej części, i dzięki temu pozwalają mi na odgadnięcie zamiaru, w jakim nastąpiła inspiracja tymi właśnie obrazami sennymi; pod tym względem chodzi tu o wkład w rozpoznanie Boga, a w szczególności panującego w Bożym królestwie wymienionego już pod koniec I rozdziału dualizmu. W obecnej chwili chciałbym zauważyć tylko:

Że niezbyt spokojnie śpiącemu człowiekowi wydaje się widzieć obrazy senne, którymi jest on tak mamiony przez własne nerwy, jest zjawiskiem tak codziennym, że nawet szkoda nań trwonić słowa. Senne obrazy ze wspomnianej wcześniej nocy i wcześniejsze podobne wizje jednak przewyższały dalece plastyczną dokładnością i fotograficzną wiernością wszystko to, co przynajmniej ja przeżyłem kiedykolwiek wcześniej, jeszcze za zdrowych dni. Nie były one na pewno mimo woli wywołane przez moje własne nerwy, lecz zostały wprogramowane do tychże nerwów przez promienie. Zgodnie z tym promienie posiadają zdolność takiego oddziaływania na system nerwowy, w szczególności także na nerwy zmysłów śpiącego, zaś w pewnych okolicznościach być może nawet czuwającego człowieka, iż człowiekowi temu wydaje się, że widzi on obce osoby, jak stoją, i słyszy, jak mówią, że on sam przemieszcza się i utrzymuje ustny kontakt z tymi osobami, jak gdyby były to rzeczywiście faktyczne zdarzenia. Teraz wiem na pewno, że rzeczy takie miejsca nie mają, twierdzę jednak, że moje wcześniejsze odwrotne założenie nie wynikało z chorobliwego wzburzenia moich nerwów, lecz że każdy inny człowiek, gdyby zobaczył takie obrazy senne, także uznałby je, tak jak ja, za rzeczywistość. Oczywiście muszę teraz sprostować kilka wcześniejszych wypowiedzi (por. przypis 39); w szczególności nie mam już teraz więcej żadnych wątpliwości, że opisane w przypisie 28. spotkanie z naszym obecnie rządzącym królem było jedynie snem. Dlatego też do tych obrazów sennych, które podczas pierwszych lat mojej choroby widziałem w niezliczonej ilości, będę w dalszej części nawiązywał – jeśli w ogóle – jedynie pobieżnie i zajmował się będę przede wszystkim tylko takimi zdarzeniami, co do których z całą pewnością pamiętam, że nie miały one miejsca podczas mojego snu. Jednakowoż i takim obrazom sennym nie można odmówić wszelkiej wartości dla poznania rzeczy, o których tu mowa; przynajmniej w niektórych przypadkach nie jest wykluczone, że były one symbolicznym wyrażeniem informacji o zdarzeniach naprawdę mających miejsce albo oczekiwanych przez Boga w przyszłości.



Podczas mojego pobytu w okresie od krótko przez Bożym Narodzeniem 1893 do mniej więcej końca lutego 1894 (a więc w gruncie rzeczy w czasie, gdy moja żona regularnie mnie odwiedzała) zajmowałem trzy pokoje „a”, „b” i „c”, położone na parterze żeńskiego skrzydła, które zostały mi przydzielone chyba głównie ze względu na panujący tam większy spokój. Przedtem i potem zajmowałem różne pomieszczenia na pierwszym piętrze męskiego skrzydła, za każdym razem salon i sypialnię. Jako ostatnie służyło mi jakiś czas (w listopadzie 1893) małe pomieszczenie, a to z tego powodu, że prawie wszystkie inne pokoje zakładu leżały po południowej, skierowanej na Dworzec Bawarski stronie korytarza, gdzie gwizdki manewrujących pociągów szczególnie nocą bardzo przeszkadzały. Izolatka, do której mnie zaprowadzono po wspomnianej wyżej walce w pokoju bilardowym, leżała jeszcze bardziej na lewo w męskim skrzydle. W ostatnim czasie mojego pobytu w zakładzie używałem głównie sypialni „i” oraz pokoju dziennego „e”, ta pierwsza była zresztą wyposażona jak izolatka w podwójne drzwi, z których wewnętrzne posiadały małe okienko, przez które przebywająca w pokoju osoba mogła być obserwowana z zewnątrz; nad drzwiami znajdował się oszklony otwór, przez który mogło wpadać światło lampy gazowej. Pewna część moich wspomnień

nie chce w żaden sposób dopasować się do ogólnie mi znanych pomieszczeń zakładu Flechsig; stąd w połączeniu z innymi jeszcze okolicznościami pojawiły się u mnie wątpliwości, czy rzeczywiście cały ten czas, o którym tutaj mowa, spędziłem w zakładzie Flechsig, czy nie przebywałem czasowo gdzie indziej. Leczeniem zajmowali się oprócz profesora Flechsig jeszcze dwaj lekarze asystujący, dr Täuscher i dr Quentin. W czasie, o którym teraz opowiadam, był okres, podczas którego lekarzy nie widywałem w ogóle, w mojej obecności przebywali jedynie strażnicy, zawsze ci wyżej wymienieni. W czasie tym sam zakład sprawiał całkowicie osierocone wrażenie; widywałem także, gdy wychodziłem z mego pokoju na korytarz, niewielu pacjentów albo nie widziałem żadnych. Dość sporo później pojawił się znów profesor Flechsig, ale w – jak już wspomniałem wcześniej – postaci robiącej na mnie wrażenie istotnie zmienionej; lekarzy asystujących w ostatnim czasie mego pobytu w zakładzie nie widziałem, o ile sobie przypominam, albo wcale, albo tylko w całkowicie odosobnionych przypadkach.

Już w poprzednim rozdziale pisałem, że na skutek mej stale rosnącej nerwowości i wynikającego stąd wzrostu siły przyciągania przyciągałem do siebie coraz więcej dusz zmarłych ludzi – w pierwszym rzędzie te, które mogły jeszcze ze względu na osobiste stosunki w życiu zachować dla mnie szczególne zainteresowanie, które potem rozplywały się na mojej głowie lub w mym ciele. W licznych przypadkach zdarzenia takie kończyły się tym, że pod koniec dusze te spędzały jako „mali ludzie” (por. przypis 28.) krótki czas – małe figurki o ludzkiej postaci, ale wzrostu może kilku milimetrów – na mojej głowie, by potem zniknąć zupełnie. Zakładam, że dusze te, które podczas pierwszych zbliżeń dysponowały jeszcze dość dużą ilością nerwów i dlatego posiadały jeszcze stosunkowo mocną świadomość tożsamości, traciły przy każdym zbliżeniu dzięki sile przyciągania jakąś część swych nerwów na korzyść mojego ciała i wreszcie składały się już tylko z jednego jedyne nerwu, który wówczas na skutek cudownego, niedającego się bliżej wyjaśnić procesu przyjmował formę „małego człowieka” w wyżej wymienionym znaczeniu, jako ostatnią formę bytu danej duszy przed jej całkowitym zniknięciem. Podawano mi wówczas w bardzo wielu przypadkach nazwy gwiazd i konstelacji, z których dusze te wyszły lub „pod którymi szybowały”, nazwy częściowo pokrywające się z innymi astronomicznymi określeniami, częściowo jednak nie. I tak szczególnie często wymieniano nazwy Kasjopea, Lutnia, Capella, gwiazda „Gemma” (co do której nie wiem, czy odpowiada to jakiejś astronomicznej nazwie); następnie „Crucianer”, „Firmament” i in. Zdarzały się noce, gdy dusze, już jako „mali ludzie”, że tak powiem kapały setkami i tysiącami na moją głowę. Przy czym muszę powiedzieć, że zawsze ostrzegałem przed zbliżeniem, ponieważ za każdym razem miałem

po wcześniejszych zdarzeniach świadomość mej urosłej do bezmiaru siły przyciągania mych nerwów, dusze jednak zawsze z początku uznawały tak wielką siłę przyciągania za całkowicie nieprawdopodobną. Inne promienie, które same nazywały się Bożą wszechmocą w wyżej opisany sposób, nosiły też inne nazwy, takie jak „pan niebiańskich zastępów”, „dobry pasterz”, „wszechmocny” itd., itd. W związku z tymi zjawiskami wysuwał się wśród tych wizji, które miałem co noc, na pierwszy plan już bardzo wcześnie obraz *zagłady świata*, będącej skutkiem niedającego się już rozwiązać połączenia pomiędzy Bogiem a mną. Ze wszystkich stron nadchodziły hiobowe wieści, że odtąd trzeba było „poniechać” tej czy owej gwiazdy, że teraz już i Wenus jest zatopiona, że teraz trzeba już „zdjąć” cały system słoneczny, że Kasjopeja (cała konstelacja) musiała być ściągnięta do jednego jedyne słońca, że można uratować jeszcze tylko Plejady itp., itd. Podczas gdy te wizje miewałem nocą, wydawało mi się w ciągu dnia, że słońce śledzi me ruchy – gdy przemieszczałem się w posiadającym jedno okno pokoju, który wówczas zajmowałem, to widziałem, że światło słoneczne pada zależnie od moich ruchów albo (licząc od drzwi) na prawą, albo na lewą ścianę. Trudno mi w przypadku tych obserwacji, czynionych jak już mówiłem w ciągu dnia, zakładać, że ulegałem zmysłowemu omamom, tym bardziej że pamiętam, iż zwróciłem na to napawające mnie przerażeniem zjawisko uwagę dr. Täuscherowi podczas jednej z jego wizyt. Gdy w późniejszym czasie wychodziłem regularnie do ogrodu, widziałem – o ile mnie pamięć całkowicie nie myli – „dwa słońca” znajdujące się naraz na niebie, z których jedno było naszym ziemskim słońcem, drugie zaś zebranych w jedno jedyne słońce gwiazdozbiorem Kasjopei. Przy czym ze wszystkich moich wspomnień utrwaliło się we mnie jedno wrażenie, jak gdyby okres, o którym mowa, obejmujący zgodnie ze zwykłymi ludzkimi założeniami czas trzech do czterech miesięcy, w rzeczywistości musiał trwać niezwykle długo, jakby poszczególne noce miały długość stuleci, tak że podczas tego okresu cała ludzkość, sama Ziemia i cały system słoneczny mogły ulec głęboko sięgającym przeobrażeniom. W wizjach wielokrotnie była mowa o tym, że utracone zostało dzieło trwającej czternaście tysięcy lat przeszłości – cyfra ta miała prawdopodobnie określać czas zaludnienia Ziemi przez ludzkość – i że Ziemi sążone jest jeszcze około 200 lat – jeśli się nie mylę podano cyfrę 212; w ostatnim okresie mego pobytu w zakładzie Flechsig uważałem, że czas ten już upłynął³⁸, uznawałem się więc w konsekwencji za jedyne jeszcze

³⁸ Założenie to zdawało się znajdować potwierdzenie w niektórych szczegółach, które mogę tutaj pominąć. Zaangażowane były także zdarzenia polityczne i religijne, i tak ród Wettinów miał sobie jakoby przypomnieć nagle o swym podobno słowiańskim pochodzeniu i stać

pozostałego przy życiu prawdziwego człowieka, a te nieliczne ludzkie postaci, które oprócz mnie widywałem – samego profesora Flechsig, kilku strażników i bardzo niewielu sporadycznie widywanych pacjentów o mniej lub bardziej niezwykłym wyglądzie – za wyczarowanych „pobieżnie wytworzonych ludzi”. Rozwazyłem różne możliwości, takie jak ta, czy cały zakład Flechsig albo i miasto Lipsk wraz z zakładem nie zostały „wyjęte” z Ziemi i przeniesione na jakieś inne ciało niebieskie – możliwości, które sugerowały mi czasem rozmawiające ze mną głosy pytaniami, jak na przykład czy Lipsk jeszcze stoi itp. Uważałem, że firmament wygaśł całkiem, albo przynajmniej w przeważającej części. Nie dana mi była żadna okazja do sprostowania takich wyobrażeń. Okno mej sypialni było na noc zamykane ciężką drewnianą okiennicą, odebrano mi więc możliwość patrzenia na nocne niebo. W dzień widziałem przez mur przyzakładowego ogrodu jedynie nieliczne bezpośrednio sąsiadujące budynki. W kierunku Dworca Bawarskiego dostrzec mogłem ponad murami zakładu tylko wąski pasek ziemi, który robił na mnie całkowicie obce wrażenie; według mnie odbiegał całkiem od właściwego ukształtowania dobrze znanego mi terenu; czasami mówiono o „świętej okolicy”. Przez długi czas nie słyszałem gwizdów pociągów kolei żelaznej, których nie mogłem być przecież przeoczyć. Tylko stale palące się lampy gazowe wprawiały mnie w mój założeniu o całkowitej izolacji zakładu Flechsig w dezorientację, gdyż musiałem przez fakt ich działania zakładać jednak jakiś związek z miastem Lipsk, o ile nie chciałem myśleć o możliwości, że dla potrzeb zakładu wybudowano osobny gazometr. W pamięci mej zachowuję następnie wspomnienia, których treść mogę tylko ogólnie określić w ten sposób, że czułem się tak, jakbym ja sam istniał przez jakiś czas w drugiej, umysłowo późniejszej postaci. Pytanie, czy coś takiego byłoby w drodze cudu możliwe, czy można by mnie było poskładać z jakąś częścią moich nerwów w inne ciało, muszę pozostawić bez odpowiedzi. Mogę tylko powtórzyć, że mam wspomnienia zdające się sugerować taką możliwość. W tej drugiej późniejszej postaci, o której ja sam zachowuję w świadomości wspomnienie, że posiadała ona tylko niewielki umysłowy potencjał, usłyszałem, że istniał już kiedyś jakiś Daniel Paul Schreber, który był intelektualnie dużo lepiej predestynowany niż ja. Jako że w znanym mi bardzo dokładnie drzewie genealogicznym mojej rodziny nigdy żaden inny Daniel Paul Schreber nie istniał, wydaje mi się, że wolno mi zało-

się pionierem słowianofilstwa, w szerokich kręgach Saksonii, głównie wśród arystokracji (podano mi nazwiska „v.W., v.S.” itd.), miała jakoby nastąpić zakrojona na dużą skalę katolicyzacja; nawróciła się podobno moja matka; ja sam byłem stale przedmiotem prób nawracania przez katolików (por. wyżej).

żyć, iż tym innym Danielem Paulem Schreberem byłem ja sam, będąc jeszcze w pełnym posiadaniu moich nerwów. W tej mojej drugiej pośledniejszej postaci musiałem potem którego dnia – o ile wolno mi użyć takiego wyrażenia – łagodnie odejść z tego świata; pamiętam, że leżałem w łóżku w pokoju, którego nie umiem skojarzyć z żadnym znanym mi pomieszczeniem zakładu Flechsig, i że miałem wyraźną świadomość stopniowego wygasania mojej duszy, a był to stan, który, abstrahując od smutnych wspomnień o mojej żonie, o której wiele w owej chwili myślałem, miał charakter bezbolesnego spokojnego zasypiania. Z drugiej zaś strony był czas, gdy będące ze mną w kontakcie nerwowym dusze rozmawiały o wielości głów (tzn. kilku tożsamościach w tej samej czaszce), na którą się u mnie natknęły i przerażone odskakiwały, mówiąc coś w rodzaju: „Na litość boską, to przecież człowiek o wielu głowach”. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, jak fantastycznie brzmią takie rzeczy dla innych ludzi; dlatego też nie posuwam się tak daleko, by twierdzić, iż wszystko, o czym opowiedziałem, było obiektywną rzeczywistością; referuję jedynie, jakie wrażenia i wspomnienia pozostały w mojej pamięci.

Wizje związane z wyobrażeniem zagłady świata, których, jak już wspomniałem, miałem bez liku, miały częściowo przerażający charakter, częściowo zaś były wspaniałe nie do opisania. Chciałbym przypomnieć tu tylko kilka nielicznych. W jednej z nich jechałem, siedząc w czymś w rodzaju wagonu kolejowego albo w windzie, w głąb Ziemi i przemierzałem, że tak powiem, wstecz całą historię ludzkości albo Ziemi, w wyższych regionach były jeszcze lasy liściaste, w niższych stawało się coraz ciemniej i czarniej. Opuszczając chwilowo pojazd, przemierzałem coś na kształt wielkiego cmentarza, gdzie m.in. natykałem się na miejsca pochówku mieszkańców Lipska i także na grób mojej żony. Przedostałem się, znów będąc w pojeździe, tylko do punktu 3; lękałem się przejść do punktu 1, opisującego prapoczątki ludzkości. Podczas drogi powrotnej szyb zapadał się za mną, stale zagrażając znajdującemu się tam jednocześnie „Bogu Słońca”. W związku z tym twierdzono następnie, że istniały dwa szyby (czyżby odpowiednio do dualizmu Bożego królestwa?); gdy nadeszła wiadomość, że zapadł się i drugi szyb, uznano, że wszystko stracone. Innym razem przemierzałem Ziemię od jeziora Ładoga do Brazylii i budowałem tam w podobnym do zamku budynku wspólnie z jednym ze strażników mur dla ochrony rejonów królestwa Bożego przed zbliżającą się żółtawą falą morską – wiązałem to zdarzenie z niebezpieczeństwem syfilitycznego skażenia. Innym znów razem miałem uczucie, jakbym sam miał się unieść do błogostanu; miałem wówczas pod sobą, jakby patrząc z wysokości niebios w dół, pod niebieskim sklepieniem całą Ziemię; był to obraz o niepowtarzalnej urodzie i okazałości; jako nazwę służącą do

określenia tego obrazu usłyszałem wyrażenie brzmiące mniej więcej: „widokniechbógbędzierazem”. W przypadku innych zdarzeń mam wątpliwości, czy chodziło faktycznie o wizje tylko, czy też przynajmniej częściowo o rzeczywiste zdarzenia. Przypominam sobie, że bardzo często nocą siedziałem odziany tylko w koszulę (odebrano mi przecież wszystkie inne ubrania) na podłodze mojej sypialni, opuściwszy łóżko powodowany jakimś wewnętrznym impulsem. *Czułem*, że podobne do niedźwiedzi (czarne niedźwiedzie) postacie podnosiły od czasu do czasu moje dłonie oparte na podłodze za moimi plecami do góry; widziałem siedzące wokół mnie w pobliżu mniejsze i większe inne „czarne niedźwiedzie” o płonących oczach. Podpory mojego łóżka przybierały postać tak zwanych „białych niedźwiedzi”. Przez okienko w drzwiach mej sypialni widziałem w podobny sposób, jak już opisałem w przypisie 28., opowiadając o naszym panującym królu³⁹, żółtych mężczyzn mniej niż średniego wzrostu, którzy pojawiali się od czasu do czasu przed drzwiami mojej sypialni, i wydawało mi się, że będę musiał być gotów podjąć z nimi jakąś walkę. Jeszcze przed moim zaśnięciem, to jest we wczesnych godzinach wieczornych, na drzewach przyzakładowego ogrodu pojawiały się czasowo koty o płonących oczach. Posiadam także wspomnienia, w których jestem przez jakiś czas w zamku nad jakimś morzem, który to zamek następnie trzeba opuścić ze względu na grożącą powódź, i z którego powróciłem po długim, długim czasie do zakładu Flechsig, gdzie znalazłem się nagle w znanych mi z wcześniejszych czasów warunkach. Przed oknami mojej sypialni zobaczyłem, otwierając okiennice wczesnym rankiem, gęsty las, oddalony od okna tylko kilka metrów, o ile dobrze sobie przypominam – głównie złożony z brzoź i świerków. Głosy nazwały ten las świętym. Widok ten nie wykazywał żadnego podobieństwa do młodego ogrodu przy uniwersyteckiej klinice dla nerwowo chorych, założonego dopiero w 1882 roku, który składał się głównie z rzędów pojedynczych drzew rosnących wzdłuż drogi. Oczywiście jest, że las taki, o ile istniał naprawdę, nie mógł wyrosnąć w ciągu trzech do czterech miesięcy. Moja głowa była na skutek masowego dopływu promieni bardzo często otoczona poświatą, podobnie jak przedstawiana często na obrazach aureola Chrystusa itp. Odblask tej korony z promieni był tak silny, że pewnego dnia, gdy profesor Flechsig pojawił się ze swym lekarzem asystującym przy moim łóżku, ten ostatni nie mógł zostać przez

³⁹ Jeśli powyżej, w przypisie 37., stwierdziłem, że nie mam już żadnych wątpliwości, iż był to tylko senny obraz, to teraz muszę po dalszym rozważeniu sprawy poczynić jednak kolejne zastrzeżenie. Wspomnienie, że ja sam stałem przy okienku drzwi mojej sypialni, jest zbyt dokładne, bym mógł tu uwierzyć w zmysłowe omamy. Muszę więc dopuszczać możliwość, że tylko to, co widziałem poza drzwiami, było „złudzeniem wzrokowym” (por. Kräpelin w dziele wymienionym pod koniec tego rozdziału).

moje oczy zobaczony; to samo stało się innym razem także ze strażnikiem H. Przez dłuższy czas była mowa o tym, że ja sam powinienem zostać pod ochroną Kasjopei, podczas gdy Słońce miało spotkać jakieś inne przeznaczenie, prawdopodobnie miało ono zostać doprowadzone do przynależnego doń układu planet, co oznaczało także zachowanie go dla naszej Ziemi. Siła przyciągania moich nerwów była jednak tak duża, że plan ten nie mógł zostać wykonany i albo Słońce musiało zostać tam, gdzie ja przebywałem, albo należałoby przenieść z nim mnie samego.

Po takich odczuciach, których interpretację spróbuję przeprowadzić w jednym z dalszych rozdziałów, jest chyba w pewnym stopniu zrozumiałe, że przez całe lata żyłem targany wątpliwościami, czy znajduję się faktycznie na Ziemi, czy też raczej na jakimś innym ciele niebieskim. Jeszcze w roku 1895⁴⁰ rozważałem możliwość, czy nie znajduję się na Phobosie, jednym z trabantów planety Mars, który kiedyś w jakimś kontekście wymienili głosy, czy księżyc, który w tym czasie widywałem czasem na niebie, nie był przynależną doń główną planetą Mars.

W języku dusz nazywany byłem w czasie omawianym w niniejszym rozdziale „mającym widzenia”⁴¹, tzn. człowiekiem, który widzi duchy, który ma kontakt z duchami lub z duszami zmarłych ludzi. W szczególności dusza Flechsiga zwykła była mówić o mnie „największy z mających widzenia wszystkich wieków”, na co ja, wychodząc z szerszych punktów widzenia, od czasu do czasu wtrącałem, że trzeba by tu mówić co najmniej o największym z mających widzenia wszystkich *tysiącleci*. W istocie nie wydarzył się chyba od czasu istnienia świata przypadek podobny do mojego, a mianowicie że człowiek nawiązał stały, to znaczy nieprzerwany już nigdy więcej kontakt nie tylko z pojedynczymi duszami zmarłych ludzi, ale ze wszystkimi duszami i z samą Bożą Wszechmocą. W początkowym okresie próbowano wprawdzie wprowadzać przerwy; rozróżniano jeszcze wtedy „święte czasy, tzn. czasy, w których miały miejsce połączenie nerwowe albo kontakt promieni, albo rozmowy z głosami – wszystko to są w gruncie rzeczy różne określenia tego samego zdarzenia – i „czasy nieświęte”, kiedy to zamierzano zaprzestać wysyłania promieni. Jednak już wkrótce nadmierna siła przyciągania moich nerwów nie dopuszczała już żadnych takich przerw bądź pauz; miały miejsce już tylko „święte czasy”. Być może istniała już wcześniej przed moim przypadkiem mniejsza lub większa ilość osób widujących duchy w mniej-

⁴⁰ Także i dni wydawały mi się znacznie krótsze; nie posiadałem zegara, który mógłby mi posłużyć do skorygowania niektórych błędnych wyobrażeń w tym względzie.

⁴¹ O nadanym mi później przydomku „przywódcy piekieł” opowiem dokładniej w dalszej części.

szym stopniu. By nie wracać do biblijnych początków, uważam za bardzo prawdopodobne, iż np. w przypadku Dziewicy Orleańskiej lub krzyżowców przy odnalezieniu świętej włóczni w Antiochii lub cesarza Konstantyna podczas znanej, decydującej dla zwycięstwa chrześcijaństwa wizji: *In hoc signo vinces*, w grę wchodził czasowo występujący kontakt z promieniami lub czasowe boskie inspiracje. Także w przypadku naznaczonych stygmatem dziewic można czasem zakładać to samo. W legendach i poezji wszystkich ludów formalnie roi się od nurtów mówiących o duchach, elfach, koblodach itp. i zakładanie, że w przypadku wszystkich tych wyobrażeń mamy do czynienia jedynie z dowolnymi zmyśleniami ludzkiej wyobraźni bez jakiegokolwiek realnej podbudowy, wydaje mi się po prostu głupie. W związku z tym z zainteresowaniem przyjąłem do wiadomości, iż według pożyczonego mi na jakiś czas podręcznika psychiatrii autorstwa Kräpelin (V wydanie, Lipsk 1896, strona 95 nn, w szczególności str. 110 nn) często obserwowano u pacjentów, a także i innych ludzi, których nerwy znajdowały się w stanie chorobliwego wzburzenia, wyobrażenia, że nawiązali oni nadnaturalny kontakt z jakimiś głosami.⁴² W żadnym razie nie chcę wątpić, że w bardzo wielu przypadkach tego rodzaju mamy do czynienia ze złudzeniami zmysłowymi, które to złudzenia są omawiane bez wyjątku we wspomnianym podręczniku. Jednak i sama nauka postąpiłaby według mnie bardzo niesłusznie, gdyby opatrzyła *wszystkie* takie zjawiska pojęciem „złudzeń zmysłowych” i jako pozbawione jakiegokolwiek obiektywnej realności wrzuciła je do ogólnej rupieciarni rzeczy nierzeczywistych, co byłoby być może usprawiedli-

⁴² Dla mojego zrozumienia tych rzeczy bardzo dużą wartość ma uwaga Kräpelin na stronie 110, że w przypadkach mających nadprzyrodzony charakter „nierzadko słyszonym głosem towarzyszyły także omamy wzrokowe”. Uważam za prawdopodobne, iż w znacznej części tychże przypadków chodziło o rzeczywiste wizje z rodzaju tych, które i ja przeżyłem, tzn. obrazy senne wywołane przez promienie, w związku z czym posiadały one niewspółmiernie większą wyrazistość niż zwykle senne widzenia (por. Kräpelin, str. 107). Z drugiej strony trudno by chyba po lekturze całej mojej niniejszej pracy stwierdzić u mnie „niezdolność do przenikliwej i energicznej weryfikacji nowych wyobrażeń na podstawie wcześniej zdobytych doświadczeń” (str. 146) i „niemożność wydawania sądów”, które Kräpelin wymienia na stronie 145 jako „występujące bez wyjątku” zjawiska towarzyszące urojeniom. Wydaje mi się, że udowodniłem, iż posiadam w pełnej ostrości nie tylko „pamięciowe opanowanie stwierdzonych ciągów myślowych i wcześniej zdobytych wyobrażeń”, ale także „zdolność do krytycznej weryfikacji treści świadomości za pomocą oceny i wniosku” (str. 146). Kto natomiast pod pojęciem „zdrowego doświadczenia” w myśl Kräpelin (str. 146) chce rozumieć po prostu odrzucanie rzeczy nadprzyrodzonych, ten spotka się sam według mego mniemania z zarzutem, iż daje się kierować płytkimi „racjonalistycznymi wyobrazeniami epoki oświecenia”, XVIII w., które przecież w przeważającej części odrzucone już zostały i naukowo, szczególnie przez teologów i filozofów.

wione w przypadku *niezwiązanych* z rzeczami nadprzyrodzonymi urojeń omawianych przez Kräpelina na stronie 108 nn. Ja sądzę, że nie jest wykluczone, iż przynajmniej w pewnej liczbie takich przypadków mogliśmy mieć do czynienia z prawdziwymi „widzącymi duchy” niższego stopnia w omówionym wcześniej sensie. Nie trzeba przy tym negować, iż miało *jednocześnie* miejsce chorobliwie wzmożone pobudzenie nerwów, tym bardziej że właśnie dopiero dzięki poprzez to większej sile przyciągania nerwów możliwe i łatwiejsze jest nawiązanie kontaktu z siłami nadprzyrodzonymi. Że *ja* uległem jedynie zmysłowemu złudzeniu, wydaje mi się już z góry z psychologicznego punktu widzenia nie do pomyślenia. Gdyż złudzenie bycia w kontakcie z Bogiem lub duszami zmarłych może powstać jedynie u takich ludzi, którzy do stanu nerwowego podniecenia nerwów wnieśli już stabilną wiarę w Boga i nieśmiertelność duszy. *W moim przypadku zgodnie z tym, co powiedziałem na początku tego rozdziału, tak jednak nie było.* Także tak zwane media spirytystyczne, choć w wielu przypadkach możemy spotkać się z mamieniem samego siebie lub z oszustwem, trzeba by chyba uznać we wcale nie takiej małej ilości pozostałych przypadków za osoby „widzące duchy” niższego stopnia w sensie wyżej już omówionym. Strzeżmy się więc w takich sprawach nienaukowego generalizowania i pochopnego negatywnego osądu. Jeśli psychiatria nie chce odrzucić wszystkiego, co nadprzyrodzone, i w takiej kondycji przejść do obozu czystego materializmu, to nie uniknie konieczności uznania możliwości, że w pewnych okolicznościach mamy do czynienia w przypadku opisanych zjawisk z rzeczywistymi zdarzeniami, które niełatwo zbyć hasłem „złudzeń zmysłowych”.

Po tej dygresji wracam do właściwego przedmiotu mojej pracy i w następnym rozdziale podejmę kontynuację dotychczas omawianego, przy czym nawiążę częściowo do kilku kolejnych punktów należących do obszaru rzeczy nadprzyrodzonych, których nie mogłem zamieścić bez problemu w poprzedniej części, a częściowo omówię także moje zewnętrzne losy podczas okresu, o którym niniejszym jest mowa.

Rozdział VII. Osobiste przeżycia, ciąg dalszy; specyficzne symptomy chorobowe. Wizje

Nie jestem w stanie podać żadnych dokładniejszych danych chronologicznych odnośnie czasu pomiędzy ostatnimi odwiedzinami mojej żony (połowa lutego 1894) a końcem mego pobytu w zakładzie Flechsig (połowa lipca 1894), a to z powodu już wcześniej wspomnianego. Dysponuję jedynie kilkoma nielicznymi punktami orientacyjnymi. Przypominam sobie, że mniej więcej w połowie marca 1894 roku, gdy obcowanie z nadprzyrodzonymi siłami przybrało już dość intensywne rozmiary, przedłożono mi fragment gazety, w której zamieszczone było coś w rodzaju mojego własnego nekrologu; zdarzenie to odebrałem jako znak, że na jakikolwiek powrót do ludzkiej społeczności nie mam już co liczyć. Nie ośmielę się stwierdzić na pewno, czy w przypadku tego spostrzeżenia chodziło o rzeczywiste zdarzenie, czy też o powstałe w drodze wizji złudzenie zmysłów. Pozostało mi tylko ogólne wrażenie, że to i podobne zdarzenia, jeśli faktycznie były wizjami, były to wizje zawierające metodę, to znaczy pewien związek, który pozwalał mi odgadnąć, jakie są względem mnie zamiary. Był to czas, kiedy – jak już wspominałem – trzymano mnie nieustannie, nocą i dniem, w łóżku; czy były to tygodnie i ile ich było, nie umiem powiedzieć. Około świąt Wielkiej Nocy – nie wiem, kiedy w roku 1894 wypadała Wielkanoc – musiała zajść w osobie profesora Flechsig ważna zmiana. Dowiedziałem się, że odbył on wypoczynkową podróż do Palatynatu lub Alzacji. W związku z tym miałem wizje, zgodnie z którymi profesor Flechsig zastrzelił się albo w Alzacji, albo w policyjnym areszcie w Lipsku; widziałem też – we śnie – jego żałobny pochód, który poruszał się od jego mieszkania w kierunku Thorberg (a więc właściwie nie tą drogą, jaką można by zakładać wedle ówczesnego połączenia przyuniwersyteckiej kliniki dla nerwowo chorych z wewnętrznym cmentarzem św. Jana [Johannisfriedhof]). W innej wizji pojawiał mi się on wielokrotnie albo w towarzystwie policjanta, albo podczas

rozmów z żoną, których świadkiem stałem się dzięki nerwowemu połączeniu i podczas których profesor Flechsig nazywał się przy swej żonie „Bogiem Flechsigiem”, tak że była ona skłonna uważać go za szalonego. Przynajmniej obecnie nie ma dla mnie wątpliwości, że w przypadku tych wizji nie chodzi o zdarzenia, które przebiegały dokładnie w taki sposób, jak wydawało mi się je odbierać. Uważam jednak, że wolno chyba dopuszczać ich *interpretację*, iż była to manifestacja boskich zapatrywań na temat, co z profesorem Flechsigem powinno się było stać. Natomiast zdarzeniem rzeczywistym, tj. zgodnie z tym, co stanowi w tym względzie moja pamięć, dla mnie subiektywnie pewnym – bez względu na to, czy inni ludzie mi w to uwierzą, czy też nie – było, że mniej więcej w tym samym czasie miałem przez chwilę w sobie duszę, i to prawdopodobnie całą duszę, profesora Flechsiga. Był to dość duży zwój lub kłęb, który najprędzej porównałbym do odpowiednio dużej ilości waty lub przędzy, i który na drodze „cudu” ciśnięty został do mojego brzucha, prawdopodobnie by tam znaleźć swój koniec. Przy tej wielkości duszy byłoby dla mnie prawdopodobnie tak czy tak niemożliwością zachowanie, czyli że tak powiem przetrwanie jej; uwolniłem ją jednak, gdy usiłowała się uwolnić, dobrowolnie, powodowany czymś w rodzaju litości, po czym wyrwała się ona przez me usta znów na zewnątrz. Co do rzeczywistości tego zdarzenia nie mam wątpliwości, tym bardziej że później w dużej ilości innych przypadków mogłem brać w usta dusze i części dusz, i zachowuję po tym jeszcze całkiem wyraźne wspomnienie w szczególności przykrego odczucia smaku i zapachu, jakie wywołują takie *nieczyste* dusze u osoby, w której ciało wchodzi przez usta.

Bezpośrednio po opisanych powyżej zdarzeniach nastąpił, o ile dobrze pamiętam, ten okres, który głosy nazwały czasem pierwszego Bożego sądu. Przez przypadek zachowałem w pamięci jeszcze kilka dat, które ktoś mi musiał podać; zgodnie z tym pierwszy sąd Boży obejmowałby czas od 2 albo 4 do 19 kwietnia 1894 roku. Po „pierwszym sądzie Bożym” nastąpiła pewna ilość kolejnych Bożych sądów, które jednak ogólnie znacznie ustępowały pierwszemu pod względem wspaniałości wrażeń. W przypadku „pierwszego Bożego sądu” chodziło o szereg uzupełniających się, mających miejsce dniem i nocą wizji, u których podstaw leżała, jeśli wolno mi tak powiedzieć, wspólna generalna idea. Było to wyobrażenie, że po tym, jak z niemieckiego narodu wyszedł na skutek konfliktu pomiędzy profesorem Flechsigiem a mną kryzys zagrażający istnieniu Bożego królestwa, narodowi temu, w szczególności Niemcom protestanckim, nie można już dłużej pozostawić przywództwa, jakie sprawował on w charakterze przez Boga wybranego narodu, że być może zostanie on całkowicie pominięty podczas zasiedlania innej „kuli świata” (zamieszkaney planety), o ile nie wstawi się za niemieckim narodem jakiś bojownik, który

udowodni, iż jest on w dalszym ciągu tego godzien. Bojownikiem tym miałem być raz ja, innym razem miałem wyznaczyć inną osobę, i w konsekwencji tego wymieniałem ponaglany rozmawiającymi ze mną głosami szereg znamienitych mężów nadających się, moim zdaniem, jako bojownicy do takiej walki. W związku z opisaną podstawową ideą pierwszego sądu Bożego znajdowało się wspomniane w poprzednim rozdziale rozprzestrzenianie się katolicyzmu, żydostwa i słowiańszczyzny. Miałem wiele wizji odnoszących się i do tego problemu, m.in. zdawało mi się, że widzę, jak żeńskie skrzydło przyuniwersyteckiej kliniki zamieniane jest na żeński klasztor lub katolicką kaplicę, jak siostry miłosierdzia mieszkają w pomieszczeniach pod dachem zakładu itp., itp. Potem jednak mówiono, że i katolicyzm nie rozwija się już, jak powinien; po śmierci obecnego papieża i wybranego potem rzekomo niejakiego Honoriusa nie doszło do kolejnego konklawe, gdyż katolicy utracili swą wiarę itd., itd. Wszystko to uznawałem wówczas za zdarzenia rzeczywiste i historyczne, i zgodnie z tym byłem przekonany, że trwający może nawet wiele setek lat proces ten należy już do przeszłości. Tego poglądu nie mogę oczywiście teraz zachować. Po ponownym podjęciu – choć dopiero po upływie wielu lat – kontaktu ze światem zewnętrznym dzięki gazetom i listom, nie mogąc stwierdzić żadnych zmian ani w stanie budynków należących do samego zakładu albo z nim sąsiadujących, ani w wyglądzie należących do mnie wcześniej i ostatnio znów mi w dużej liczbie oddanych książek, nut i innych przedmiotów użytkowych, które mogłyby świadczyć o wielkiej czasowej przepaści, jaka powstała w historii ludzkości, nie mogę uchylić się od uznania, iż – zewnątrz rzecz traktując – wszystko pozostało po starym. Kwestię, czy mimo to nie dokonała się radykalna wewnętrzna przemiana, omówię poniżej.

Istotny wpływ na mój ówczesny krąg wyobrażeń miały też pewne informacje odnoszące się do tego, co ma się ze mną stać w późniejszej wędrówce duszy. Przewidywano dla mnie kolejno role „hiperborejki”, „wychowanka Jezuitów w Ossegg”, „burmistrza Klattau”, „alzacckiej dziewczyny, która obroniła swój kobiecy honor przed zwycięskim francuskim oficerem”, wreszcie „księcia Mongołów”. Byłem przekonany, że rozpoznaję we wszystkich tych przepowiedniach pewien związek z wynikającym z innych wizji ogólnym obrazem. Los zostania „hiperborejką” wydawał mi się być wskazówką, iż Ziemię albo czeka w najbliższej przyszłości podobna do ogólnego zlodowacenia utrata ciepła, albo już ona nastąpiła; była mowa także i o tym, że Słońce oddaliło się na „odległość Jupitera”. Przyszłe przeznaczenie bycia wychowankiem Jezuitów w Ossegg, burmistrem w Klattau i alzaccką dziewczyną w opisanym wyżej położeniu uznawałem za przepowiednię, że protestantyzm albo już okazał się słabszy niż katolicyzm, albo jeszcze taki się okaże, że niemiecki naród uległ lub jeszcze ulegnie w walce ze swymi romańskimi i słowiański-

mi sąsiadami; wreszcie przedstawiona mi perspektywa zostania „księciem Mongołów” jawiła mi się jako aluzja, że po tym, jak okazało się, iż wszystkie ludy aryjskie nie nadają się na podpory królestwa Bożego, trzeba było szukać ostoju u ludów niearyjskich.

Wydawało mi się, że wydarzenia jednego jedyne dnia, który pamiętam wyraźnie do dziś, stanowiły fatalny punkt zwrotny w historii Ziemi i ludzkości; w dniu tym mowa była o upływie „zegarów świata”, a jednocześnie miał miejsce stały i niezwykle intensywny dopływ promieni do mojego ciała przy towarzyszeniu wspaniałych zjawisk świetlnych. Nie umiem powiedzieć, co było na rzeczy z wyrażeniem „upływ zegarów świata”; mówiono, że powróci cała ludzkość oprócz dwóch, mianowicie mnie samego i wspomnianego już w V rozdziale ojca jezuitów S. Wydaje się, że wówczas początek swój wzięły właśnie te okoliczności, które nazywano od tego czasu setki i tysiące razy „przekłętymi igraszkami z ludzkością”. Mam podstawy zakładać, iż od tamtej pory wszystkie tryby ludzkości w zasięgu, którego ze względu na narzucone mi w związku z pobytami w zakładzie ograniczenia nie jestem w stanie w całości ogarnąć^{42b}, napędzane są jeszcze tylko sztucznie na drodze bezpośredniego boskiego cudu. W moim otoczeniu rzecz się tak ma na pewno; każde słowo mówione do mnie lub obok mnie, każdy słyszany przeze mnie krok człowieka, każdy gwizd kolei żelaznej, każdy wystrzał z działka, jaki oddawany jest na przykład podczas przejażdżek parowcem, itp. odbieram jednocześnie z uderzeniem w moją głowę, który w niej wywołuje mniej lub bardziej bolesne doznanie, boleśniejsze, jeśli Bóg oddala się na większą odległość, mniej bolesne, gdy Bóg znajduje się bliżej. Prawie z nieomylną precyzją jestem w stanie przewidzieć, kiedy musi nastąpić taka manifestacja życia człowieka w moim pobliżu, nazywana później „zakłóceniem”, przeze mnie zaś odczuwana jako uderzenie, a mianowicie zawsze wówczas, gdy uczucie rozkoszy w moim ciele oddziałuje tak silnie przyciągająco na boskie promienie, że – by oddalenie znów było możliwe – potrzeba takiego właśnie „zakłócenia”. Nie umiem powiedzieć, do jakiej odległości mają miejsce takie naciągania innych ludzi, jeśli wolno mi użyć tego określenia, przez boskie cuda. Do całej tej okoliczności powrócę jeszcze, omawiając ją szerzej w dalszej części.

Jeśli chodzi o zmiany na firmamencie, to jestem teraz zdania, że wiadomości o utracie tej czy owej gwiazdy, tego czy tamtego gwiazdozbioru (por. roz. VI) nie odnosiły się do samych gwiazd – widzę je ciągle jeszcze na niebie, ale do zebranych pod nimi błogostanów. Te ostatnie zostały całkowicie

W wydaniu oryginalnym z 1903 brak przypisu 42a – przyp. wydawcy.

^{42b} Porównaj słowo wstępne.

strawione, tzn. odpowiednie nerwy rozpuściły się na skutek siły przyciągania w moim ciele, w którym przybrały potem charakter żeńskich nerwów rozkoszy i nadały memu ciału jeszcze dodatkowo mniej lub bardziej żeńskich cech, w szczególności mej skórze, która zyskała właściwą dla płci żeńskiej miękkość. Natomiast jest z drugiej strony dla mnie jasne, że Bóg, który wcześniej znajdował się w przeogromnym oddaleniu od Ziemi, został zmuszony do przybliżenia się do niej; tym samym Ziemia stała się bezpośrednią i stałą sceną boskich cudów w dotychczas nieznanym rozmiarze. Cuda te koncentrują się przede wszystkim na mojej osobie i na moim otoczeniu. Dowodów na to twierdzenie, o ile nie wynikają one już z dotychczas powiedzianego, zamierzam dostarczyć później. W tym miejscu chcę tylko przejściowo zauważyć, że przemiana, jaka przez to nastąpiła, jest związana – właśnie dlatego, że sprzeczna z porządkiem świata – z pewnym złem wynikłym dla samego Boga i możliwe jest też, że towarzyszyły jej inne jeszcze fatalne skutki. Promienie przyzwyczajone do świętego spokoju, jaki panuje na przykład na ziemskich szczytach gór, odczuwają mianowicie nieprzyjemnie i z pewnego rodzaju lękiem fakt, że odbierają one wraz ze mną wszystkie wrażenia słuchowe, np. dźwięk kolei żelaznej.⁴³ Mam następnie podstawy zakładać, że promieniowanie Słońca przejął od opisanego chwili (albo może ćwierć roku później, o czym bliżej w dalszej części) bezpośrednio Bóg, a mianowicie niższy bóg (Aryman); jest on obecnie (od lipca 1894) przez rozmawiające ze mną głosy wręcz ze Słońcem utożsamiany. Wyższy bóg (Ormazd) utrzymał się jeszcze w większym, być może ciągle jeszcze kolosalnym oddaleniu; jego wizerunek widzę pojawiający się w krótkich odstępach czasu we wnętrzu mojej głowy na jej nerwach jako mały, podobny do słońca krążek, który poprzez swoją niewielkość podobny jest prawie do kropki tylko. Być może więc udało się zachować oprócz naszego oświetlanego i ogrzewanego przez Słońce (Arymana) systemu planet jeszcze jakiś jeden, na którym dalsze istnienie stworzenia możliwe jest dzięki wydzielaniu światła i ciepła przez wyższego boga (Ormazda). Natomiast jest dla mnie co najmniej bardzo wątpliwe, czy mieszkańcy wszystkich innych ciał niebieskich, na których, jako należących do innych gwiazd stałych, rozwinęło się życie organiczne, nie muszą zostać poświęceni zagładzie.⁴⁴

⁴³ Używany na określenie tego zjawiska, słyszany przeze mnie niezliczone razy zwrot brzmi: „Myśl o nasłuchiwanie nie podoba nam się”.

⁴⁴ Mam pewne punkty zaczepienia, dzięki którym należałoby się może liczyć z możliwością, że także światło wszystkich stałych gwiazd nie jest ich, jak to zakłada nasza astronomia, własnym światłem, lecz podobnie, jak rzecz się ma w przypadku planet (naturalnie rozumiane *cum grano salis*, jak we wszystkich takich sprawach), światłem zapożyczonym (od Boga; por. wyżej, rozdział I). Głównym punktem odniesienia jest egzystencja słońca porządkowego, o którym

Po czasie, kiedy to stale byłem trzymany w łóżku, nastąpił pod koniec mego pobytu w zakładzie Flechsiga okres, w którym znów miały miejsce regularne spacery w przyzakładowym ogrodzie. Dostrzegałem wówczas sporo cudownych rzeczy. Wcześniej już wspomniałem, że zdawało mi się widzieć na niebie jednocześnie dwa słońca. Pewnego dnia cały ogród wypełniła tak bujna kwiatowa roślinność, że obraz ten tylko bardzo niewiele odpowiadał wspomnieniu o ogrodzie przyuniwersyteckiej kliniki dla nerwowo chorych, obiektu na wskroś prostego, jakie zachowałem z czasów mojej pierwszej choroby; zjawisko to zostało nazwane cudem Flechsiga. Innym razem w mniej więcej pośrodku ogrodu położonym pawilonie widziałem pewną liczbę mówiących po francusku dam; było to zdarzenie na pewno bardzo osobliwe w ogrodzie *męskiego oddziału* publicznej lecznicy dla nerwowo chorych. Nieliczni pacjenci pojawiający się niekiedy oprócz mnie w ogrodzie robili wszyscy bez wyjątku mniej lub bardziej dziwaczne wrażenie. Wydawało mi się kiedyś, że w jednym z nich rozpoznaję mojego krewnego, męża mojej siostrzenicy, obecnego profesora dr. F. w K., który rzucał mi lękliwe spojrzenia, nie zamienił ze mną jednak ani słowa. Ja sam, siedząc w ogrodzie w czarnym płaszczu i w czarnym kapeluszu na krześle połowym, wydawałem się sam sobie kamiennym gościem, który powrócił z dawno minionych czasów do obcego świata.

W międzyczasie nastąpiła godna uwagi przemiana w moim śnie. Podczas gdy w pierwszych miesiącach roku 1894 można było mi zapewnić sen tylko za pomocą najsilniejszych środków nasennych (hydrat chloralu), a i to po części niewystarczająco, w związku z czym na kilka nocy robiono mi zastrzyki z morfiny, w ostatnim okresie mego pobytu w zakładzie Flechsiga – chyba przez kilka tygodni – można było zrezygnować ze wszystkich nasennych preparatów. Spałem, choć częściowo niespokojnie i stale mając mniej lub bardziej ożywione wizje – bez jakichkolwiek sztucznych środków; mój sen stał się snem promieni.⁴⁵ Promienie posiadają bowiem, jak wspomniałem już w przypisie 20b, także między innymi działanie uspokajające ner-

nasza astronomia przecież nic nie wie. Por. poza tym zawierające ograniczenia uwagi z końca suplementu IV.

⁴⁵ Także w czasie mego pobytu w zakładzie Piersona i w początkowym okresie mego przebywania w tutejszym zakładzie (około roku) nie otrzymywałem, o ile dobrze sobie przypominam, środków nasennych. Dla wyjaśnienia, czy zachodzi tu z mej strony pomyłka, trzeba by chyba przejrzeć księgi recept tutejszego zakładu. Od kilku lat znów otrzymuję regularnie środki nasenne (głównie chyba naprzemiennie sulfonal i hydrat anylenu) i zażywam je też spokojnie, choć uważam, że są one dla mojego snu indyferentne. Jestem przekonany, że także bez wszelkich sztucznych środków na sen spałbym dokładnie tak samo dobrze albo źle, jak to się dzieje po ich zażyciu.

wy i wspomagające sen. Twierdzenie to wyda się tym bardziej wiarygodne, że także i zwykłym promieniom słonecznym, choć w nierówno mniejszym stopniu, należy przypisać takie działanie. Każdy psychiatra wie, że pobudzenie nerwów u osób nerwowo chorych nocą znacznie wzrasta, w dzień natomiast, szczególnie podczas późnych godzin przedpołudniowych, występuje zwykle po wielogodzinnym oddziaływaniu promieni słonecznych istotne uspokojenie. W znacznie większym stopniu sukces ten następuje, gdy ciało, tak jak w moim przypadku, odbiera bezpośrednio boskie promienie. By przywołać sen, potrzebna jest wówczas jedynie niewielka ilość boskich promieni; wszystkie te promienie muszą być tylko, od czasu, gdy obok promieni boskich istnieją też promienie pochodne (tzn. prowadzone przez nieczyste lub sprawdzone dusze, Flechsig'a itp.), zjednoczone. Jeśli taki przypadek ma miejsce, to wnet zapadam w sen. Dostrzegłszy to zjawisko w ostatnim okresie mego pobytu w zakładzie Flechsig'a, byłem nadzwyczajnymi trudnościami, z jakimi można mi było do tej pory zapewnić sen, najpierw niezwykle zdumiony; dopiero z biegiem czasu przyczyna tego zjawiska stała się dla mnie jasna.

W moim ciele dało się z biegiem czasu zauważyć, abstrahując od wielokrotnie już wspomnianych zmian w moich narządach płciowych, sporo symptomów chorobowych całkowicie niezwykłego rodzaju. Podczas ich omawiania muszę jeszcze raz powrócić do wspomnianej już w poprzednim rozdziale zagłady świata, co do której na podstawie nawiedzających mnie wizji byłem przekonany, że albo ma ona jeszcze nastąpić w najbliższym czasie, albo już należy do przeszłości. Na podstawie otrzymywanych podszeptów wyrobiłem sobie różne poglądy na temat, jak zagłada ta ma przebiegać. W pierwszym rzędzie zawsze myślałem o zmniejszeniu się słonecznego promieniowania na skutek większego oddalenia Słońca i w konsekwencji o wystąpieniu mniej lub bardziej ogólnego zlodowacenia. W drugim rzędzie myślałem o trzęsieniu ziemi lub czymś podobnym, przy czym nie mogę przemilczeć faktu, że przekazano mi raz informację, zgodnie z którą wielkie trzęsienie ziemi w Lizbonie w roku 1755 miało związek z podobnym do mojego przypadkiem osoby widzącej duchy. Następnie wyobrażałem sobie możliwość, że wieść o tym, iż w nowoczesnym świecie pojawił się narażony ktoś w rodzaju czarownika w osobie profesora Flechsig'a⁴⁶, i że ja sam, tak czy owak znana szerokim kręgom osobistość, nagle zniknąłem, wywołała wśród ludzi strach, trwogę i przerażenie, zniszczyła podstawy religii i spowodowała rozpowszechnianie się ogólnej nerwowości i niemoralności,

⁴⁶ Podano mi też kiedyś nazwisko francuskiego lekarza, brzmiające „Brouardel”, który miał jakoby naśladować profesora Flechsig'a.

wskutek której na ludzkość spadły potem niszczące zarazy. Ostatniemu wyobrażeniu sprzyjała przede wszystkim okoliczność, że przed dłuższy czas dużo mówiło się o prawie jeszcze nieznanach w Europie chorobach: trądzie i dżumie, które jakoby miały się szerzyć wśród ludzkości i których ślady widoczne były także na moim ciele. Nie chcę z całą pewnością twierdzić tego ostatniego z nich; mogło tu chodzić co najmniej tylko o błahe zaczątki tej choroby, jako że nie posiadam niepodważalnych wspomnień o poszczególnych należących doń symptomach. Zachowałem jednak w pamięci nazwy „różnych form”, w jakich trąd miał jakoby występować. Podane zostały mi nazwy *lepra orientalis*, *lepra indica*, *lepra hebraica* i *lepra aegyptiaca*. Jako laik medycyny nigdy wcześniej nie słyszałem o tych wyrażeniach i nie wiem też, czy odpowiadają one przyjętym w naukach medycznych pojęciom na określenie danych form choroby. Wspominam o nich tutaj również i dlatego, by odeprzeć przypuszczenie, iż chodzi tu tylko o wywołane przez moje własne nerwy złudzenia zmysłowe; gdyż jak miałbym wpaść na takie pojęcia, nie mając nigdy żadnej wiedzy na temat odmian wspomnianej choroby? Za tym, że musiały kiedyś znajdować się we mnie jakieś zarodki trądu, przemawia okoliczność, że przez jakiś czas zmuszony byłem do powtarzania pewnych dziwnie brzmiących formuł zaklęcia, jak: „Jestem pierwszym trupem trądu i prowadzę trupa trądu”⁴⁷ – zaklęcia, które związane było, o ile dobrze rozumiałem, z faktem, iż ludzie, którzy zachorowali na trąd, musieli uważać się za skazanych na śmierć i pomagać sobie wzajemnie podczas zakopywania do ziemi w celu sprowadzenia jeszcze jako tako znośnej śmierci. Natomiast symptomy należące do dżumy miałem na moim ciele kilka razy w stopniu dość znacznym. Chodziło tu o różne formy dżumy: dżumę błękitną, dżumę brunatną, dżumę białą i dżumę czarną. Biała dżuma była formą najobrzydliwszą; z dżumą brunatną i z dżumą czarną wiązały się wyziewy ciała, które w przypadku pierwszej wydzielały zapach gliny, drugiej zaś sadzy. Przy czarnej dżumie były one kilka razy tak mocne, że wypełniony był nimi cały mój pokój. Jeszcze w pierwszym okresie mego pobytu w tutejszym zakładzie, latem 1894, dostrzegłem także słabe ślady dżumy brunatnej. Dżuma uznawana była przez duszę za chorobę nerwów, a w konsekwencji za „świętą chorobę”; czy była ona jakoś spokrewniona z występującą od czasu do czasu dżumą dymieniczą, nie wiem. Wszak i w przypadku dżumy skończyło się na mniej lub bardziej wyraźnych sygnałach, do całkowitego rozwoju symptomów chorobowych nigdy nie doszło.

⁴⁷ O ile sobie dobrze przypominam, zrobiłem to na polecenie wewnętrznych głosów także kilka razy głośno w obecności strażnika R., na co ten naturalnie miał jedynie współczujący uśmiech.

Przyczyny należy doszukiwać się w tym, że symptomy te musiały zostać wygaszone później przez czyste promienie. Rozróżnia się bowiem promienie „złe”⁴⁸ i „dobre”; te pierwsze nosiły w sobie ładunek zawierający trupi jad lub jakąś inną powodującą gnicie substancję, wносиły więc do ciała jakieś zarodki choroby albo wywoływały w nim jakieś inne niszczące działanie. „Dobre” (czyste) promienie leczyły szkodę wyrządzoną przez złe.

Inne procesy w moim ciele miały jeszcze ściślejszy związek z rzeczami nadprzyrodzonymi. Już we wcześniejszych rozdziałach zauważyłem, że promienie (boskie nerwy) narażone na działanie siły przyciągania tylko niechętnie się jej poddają, bo prowadzi to do utraty ich własnej egzystencji, jest więc sprzeczne z instynktem samozachowawczym. Zawsze więc podejmowane były próby zlikwidowania przyciągania, innymi słowy – uwolnienia się od moich nerwów. Jedynym radykalnie skutecznym sposobem w tym celu byłoby wyleczenie mojej choroby nerwowej poprzez zapewnienie wystarczająco długiego snu. Decyzja o tym nie mogła być jednak zapaść albo zapadała niezbyt konsekwentnie, gdyż w tym celu pierwsze promienie uczestniczące w tym procesie musiałyby zawsze dokonać z samozaparciem poświęcenia samych siebie, do czego właśnie nie posiadały one albo zdolności, albo zdecydowania woli.

Wypróbowywano więc z biegiem czasu wszelkie inne możliwe sposoby, okazało się jednak, że ze względu na naturę sprawy wszystkie one nie nadawały się do tego celu wcale. Zawsze miarodajna tutaj była myśl, by mnie „poniechać”, tzn. opuścić, a w tym czasie, o którym teraz mówię, sądzono, że można to osiągnąć przez odmęczyżnienie mnie i poświęcenie mojego ciała na dziwkę, czasem zaś pojawiała się także chyba myśl, że można do tego doprowadzić przez uśmiercenie i później przez zniszczenie mego umysłu (uczynienie mnie głupim).

W sprawie prób odmęczyżnienia dokonano jednak wkrótce spostrzeżenia, że stopniowe wypełnianie mojego ciała żeńskimi nerwami rozkoszy ma działanie dokładnie odwrotne, że powstająca w moim ciele tak zwana rozkosz duszy raczej wzmacnia siłę przyciągania. Dlatego też wkładano mi do głowy w owym czasie po wielekroć *skorpiony*, malutkie podobne do raka lub pająka stwory, które miały za zadanie dokonać w mojej głowie jakichś zniszczeń. Miały one charakter dusz, były więc istotami *mówiącymi*; w zależności od miejsca, z którego pochodziły, rozróżniano skorpiony

⁴⁸ Czasownik *sehren* posiada, jak się wydaje, staroniemieckie korzenie, które oznaczały tyle co „szkodzić”. W obecnej mowie zachował się on jedynie w słowie *unversehrt* (nieuszkodzony), w języku podstawowym jest natomiast używany do tej pory.

„aryjskie”⁴⁹ i „katolickie”; te pierwsze były nieco większe i mocniej zbudowane. Skorpiony te wychodziły jednak regularnie z mojej głowy, nie uczyniwszy mi żadnej szkody, po tym jak stwierdziły czystość moich nerwów i świętość moich przekonań – jeden z niezliczonych triumfów, które przeżyłem w podobny sposób także wiele razy w późniejszym czasie. Próbowano następnie, właśnie dlatego, że świętość moich przekonań posiadała zbyt wielką siłę przyciągania dla dusz, sfałszować mą duchową indywidualność w najprzeróżniejszy sposób. „Jezuici”, czyli chyba dusze zmarłych jezuitów, po wielokroć starali się włożyć do mej głowy inny „nerw przeznaczenia”, przez który miało zostać zmienione moje poczucie tożsamości; wewnętrzne ścianki mojej czaszki wyłożono inną „membraną mózgową”,^{49a} by zmazać wspomnienia o moim własnym „ja”. Wszystko bez jakiegokolwiek trwałego sukcesu. Próbowano wreszcie zaczernić moje nerwy, wczarowując w moje ciało zaczernione nerwy innych (zmarłych) ludzi, prawdopodobnie zakładając, że czerń (nieczystość) tych nerwów udzieli się moim własnym nerwom. W odniesieniu do tych zaczernionych nerwów chcę podać kilka nazwisk noszonych przez osoby, które bez wyjątku miały rzekomo znajdować się w „piekle Flechsig’a”, co naprowadza mnie na przypuszczenie, że profesor Flechsig musiał posiadać jakąś władzę rozporządzania danymi nerwami. Byli wśród nich niejaki Bernhard Haase – tylko przypadkowo nazywający się tak samo jak mój daleki krewny, zły człowiek, który popełnił jakieś przestępstwa, morderstwa lub coś w tym rodzaju; dalej niejaki R., mój kolega ze studiów i stowarzyszenia, który, jako że nie czynił dobrze i prowadził dość rozpustne życie, wywędrował do Ameryki i padł, o ile wiem, w tamtejszej wojnie secesyjnej w 1864 lub 1865 roku⁵⁰; wreszcie niejaki Julius Emil Haase; ten robił mimo swych zaczernionych nerwów

⁴⁹ Wyrażenia „aryjski” („aryjczycy” to, jak wiadomo, inne określenie ludów indogermańskich) używano w tym czasie w ogóle bardzo często; był też „aryjski” bógostan itp. W ogólności wyrażenie to służyło określeniu istniejącego u dużej części dusz *narodowo-niemieckiego* kierunku, który chciał zachować dla narodu niemieckiego pozycję narodu wybranego przez Boga, w przeciwieństwie do dążeń o zabarwienie katolickim i sławistycznym, jakimi wypełniona była inna część dusz.

^{49a} Jako laik w dziedzinie medycyny nie posiadałem wcześniej także żadnej wiedzy na temat membran mózgowych; wyrażenie to zostało mi przekazane przez głosy po tym, jak zjawisko to sam dostrzegłem (odczułem).

⁵⁰ Wspomniany wyżej przypadek R. to jedna z tych okoliczności, na podstawie których wysnuwam domniemanie, że kompetencje władzy profesora Flechsig’a jako zarządcy boskiej prowincji (por. wyżej) rozciągały się aż do Ameryki. To samo można chyba powiedzieć o Anglii; mówiono wielokrotnie, że odebrał angielskiemu biskupowi prowadzonych przezeń „16 angielskich promieni”, które powierzone zostały mu jednak pod wyraźnym warunkiem, że można ich użyć tylko w wojnie, jaka byłaby prowadzona w celu zapewnienia Niemcom niepodległości.

wrażenie bardzo szacownej osobistości. Był on chyba podczas zamachu we Frankfurcie długoletnim członkiem korporacji studenckiej, potem zaś lekarzem praktykującym, o ile dobrze usłyszałem, w Jenie. W przypadku tym szczególnie interesujące było to, iż dusza owego Juliusa Emila Haase była w stanie udzielać mi dzięki nabytym w życiu naukowym doświadczeniom nawet jeszcze pewnych medycznych porad; podobnie rzecz się miała, co chciałbym przy tej okazji dodać, także w przypadku duszy mojego ojca. Z obecności zaczerwionych nerwów w moim ciele nie wynikł żaden trwały sukces; z czasem zanikły, nie zmieniawszy niczego w jakości moich własnych nerwów.

Z czasu mego pobytu w zakładzie Flechsig'a mógłbym opowiedzieć jeszcze niektóre inne dziwne rzeczy. Mógłbym opowiedzieć o zdarzeniach, na podstawie których mogę przypuszczać, iż wierzenie ludowe, że błędne ogniki są duszami zmarłych ludzi, jest w wielu, jeśli nie wszystkich przypadkach prawdą; mógłbym opowiedzieć o „*zmiennych zegarach*”, czyli duszach zmarłych heretyków, które przez stulecia były podobno przechowywane w średniowiecznych klasztorach pod szklanymi kloszami (przy czym zdarzało się czasem coś na podobieństwo mordu duszy), a które obwieszczały, że ciągle jeszcze żyją, za pomocą wibracji związanej z nieskończonej monotonią i smutno brzmiącym brzęczeniem (ja sam doznałem takiego wrażenia na drodze połączenia nerwów) itp., itp. Chcę jednak, by się zbyt długo nie rozwlekać⁵¹, zakończyć niniejszym sprawozdanie o moich przeżyciach i wspomnieniach z czasu mego pobytu w zakładzie Flechsig'a.

⁵¹ Do tego dochodzi jeszcze refleksja, że chodzi tu w przeważającej części o wizje, których *obrazy* wprawdzie istnieją w mojej głowie, lecz których opis *za pomocą słów* jest niezmiernie trudny, po części wręcz niemożliwy.

Rozdział VIII. Osobiste przeżycia podczas pobytu w zakładzie dr. Piersona. „Sprawdzone dusze”

Z opowieści poprzednich rozdziałów wywnioskować można, że podczas ostatnich miesięcy mego pobytu w zakładzie Flechsig'a znajdowałem się pod wrażeniem najprzeróżniejszych obaw co do niebezpieczeństw, które zdawały się zagrażać mojemu ciału lub mojej duszy ze względu na niedający się przerwać kontakt z promieniami, i które częściowo przyjęły całkiem namacalną formę. Najgorsze wydawało mi się wyobrażenie, że moje ciało miałoby doświadczyć po planowanej przemianie w żeńskie stworzenie seksualnego wykorzystania, tym bardziej że przez jakiś czas była mowa nawet o tym, że w tym celu mam zostać oddany strażnikom zakładu. Poza tym główną rolę odgrywała obawa, że zostanę „poniechany”, tak że właściwie każdego wieczoru udawałem się do łóżka w mojej celi pełen wątpliwości, czy następnego dnia w ogóle da się ją otworzyć. Przerazającym obrazem, którym moja fantazja po tym, o czym rozmawiała ze mną głosy, była i musiała być pochłonięta, było to, że nocą jestem wyprowadzany z mojej celi, bym w środku nocy został utopiony.

Dlatego też gdy pewnego dnia (około połowy 1894) wczesnym rankiem pojawiło się w mojej celi trzech strażników z podręczną walizką z zapakowanymi w niej moimi nielicznymi efektami, i gdy zapowiedzieli oni, że mam się przygotować do odjazdu z zakładu, najpierw pojawiło się odczucie uwolnienia od pobytu w miejscu, gdzie groziła mi nieokreślona ilość niebezpieczeństw. Nie wiedziałem, dokąd podróż ta ma mnie doprowadzić, uznałem jednak za niewarte trudu pytanie o to, gdyż wymienionych strażników w ogóle nie uważałem za ludzi, lecz za „pobieżnie wytworzone postaci”⁵².

⁵² Także w związku z wymienionym powyżej strażnikiem R. miałem wizję, według której miał on sobie jakoby odebrać życie w drodze do „zjedzenia zła” (Thonberg koło Lipska).

Cel podróży wydawał się być dla mnie obojętny i odczuwałem wówczas tylko jedno, a mianowicie że w żadnym innym miejscu nie może mi się dziać gorzej niż mi się działo w zakładzie Flechsig, i że w związku z tym każda zmiana może stanowić tylko poprawę. W towarzystwie strażników pojechałem dorożką do Dworca Drezdeńskiego, nie zobaczywszy już więcej profesora Flechsig. Ulice miasta Lipsk, którymi jechaliśmy, w szczególności przejazd przez plac Augusta, robiły na mnie osobliwie obce wrażenie; nie było na nich, o ile sobie dobrze przypominam, żadnych ludzi. Przyczyną mogły być wczesna poranna godzina i specyficzne oświetlenie; prawdopodobnie pociągiem, jakim podróżowałem, był pociąg odchodzący o godzinie wpół do szóstej rano. Byłem wówczas jednak, przeżywszy miesiące pełne cudów, mniej lub bardziej skłonny uważać za cud wszystko, co zobaczyłem. Nie wiedziałem więc też, czy nie powinienem był także na przykład ulic miasta Lipsk brać za teatralne kulisy, w rodzaju tych, jakie księżę Potiomkin prezentował cesarzowej Rosji Katarzynie II podczas jej podróży przez jałowy kraj, by wywołać u niej wrażenie przejazdu przez kwitnącą krainę. Na Drezdeńskim Dworcu ujrzałem co prawda dużą ilość ludzi robiących wrażenie pasażerów kolei żelaznej. Jeśli się komuś zdaje, że jazda na dworzec i następująca po niej podróż kolejną powinna była już wówczas gruntownie uwolnić mnie od przekonania o zajściu wielkiej przemiany ludzkości, to muszę wtąpić, że w mym nowym miejscu przeznaczenia wkrótce znów otoczył mnie świat cudów z tak osobliwymi zjawiskami, że wrażenia z podróży albo szybko znów uległy rozmyciu, albo pozostawiły mi wątpliwości co do ich interpretacji. Podróż kolejną przebiegała z, przynajmniej według mnie, niezwykłą dla pociągu osobowego prędkością; znajdowałem się w owym czasie w takim nastroju, że byłem w każdej chwili gotów (gdyby tego ode mnie zażądano) położyć się na torach albo – podczas jazdy przez Łabę – wskoczyć do wody. Po wielogodzinnej jeździe opuściliśmy pociąg na stacji, która miała być, jak się dowiedziałem później, stacją Coswig; tam przejął nas konny zaprzęg, który zawiózł nas podczas trwającej według mojego odczucia około pół godziny jazdy do mojego nowego miejsca przeznaczenia. Jak dowiedziałem się także dopiero po latach, miał to być Prywatny Zakład Lecznicy dla Umysłowo Chorych dr. Piersona; wówczas poznałem ten zakład tylko pod podaną mi przez głosy nazwą „kuchni diabła”. Na koźle powozu zajął miejsce główny strażnik zakładu, który pojawił się na dworcu, by mnie zeń odebrać. Nazywano go, o ile dobrze pamiętam, Marx. Wkrótce wypowiem się na temat jego istniejącej wówczas identyczności z duszą W. Sam zakład, stosunkowo mały budynek stojący pośrodku pięknego parku, robił wrażenie całkowicie nowego. Wydawało się, że wszystko dopiero co zostało wykończone; farby olejne na stopniach schodów jeszcze całkiem nie wyschły. Trzej

strażnicy z zakładu Flechsig, którzy mi towarzyszyli, wkrótce doń powrócili, tak że już nigdy więcej ich nie widziałem. Miałem czas rozejrzeć się po moim nowym miejscu pobytu.⁵³

Chciałbym podjąć tu próbę nakreślenia także rzutu i szkicu zakładu Piersona („kuchni diabła”), gdyż wydawało mi się wówczas, że z jego przestrzennych relacji jestem w stanie wyciągnąć pewne wnioski. Budynek, w którym zostałem przyjęty, był – o ile sobie dobrze przypominam – jednopiętrowy, tzn. składał się z parteru i piętra. W pewnym oddaleniu, oddzielony przez park, leżał drugi budynek, który miał stanowić żeński dom zakładu. Piętro budynku, w którym zamieszkałem, wyglądało w rzucie mniej więcej tak:

park

pokój mieszkalny a	pokój mieszkalny b	klatka schodowa	pokój mieszkalny f	pokój mieszkalny	pomieszczenie dziedzińca (w dalszej części zwane „zagrodą”)
świetlica (stanowiąca jednocześnie jadalnię) c		korytarz			
pokój mieszkalny d	pokój mieszkalny e	różne pokoje mieszkalne, także ustęp			

Dolna kondygnacja podzielona była nieco inaczej; posiadała ona m.in. pokój kąpielowy, poza tym wydawało mi się, że składa się tylko z nielicznych większych pomieszczeń; w kierunku pomieszczenia dziedzińca prowadziły drzwi do kilku stopni prowadzących do łaźni.

Czas, jaki spędziłem w zakładzie Piersona, był tym czasem, w którym według mego osądu działy się najbardziej szalone ekscesy z cudami. Gdyż

⁵³ Jeszcze teraz jest dla mnie, jeśli próbuję pojąć rzeczy naturalnie po ludzku, niezrozumiałe, dlaczego właściwie – tymczasowo, na 8 do 14 dni – zostałem przewieziony do zakładu leczniczego dr. Piersona. Jeśli została podjęta decyzja o przeniesieniu mnie z Lipskiej Kliniki Przyuniwersyteckiej do tutejszego Okręgowego Zakładu Leczniczego (Sonnenstein), to logiczniejsze byłoby chyba zrealizować je bez pośrednich przystanków, a jeśli w Sonnenstein nie można było przygotować od razu odpowiednich pomieszczeń do przyjęcia mnie, przedłużyć jeszcze mój pobyt w lipskim zakładzie o 8 do 14 dni, zamiast powierzać nadzór nad tak przecież niebezpiecznym pacjentem, jakim wówczas byłem, prywatnej lecznicy.

tylko jako ekscesy mogę postrzegać wszystkie cuda, które nie stanowią tworenia w trwałych i sensownych celach, lecz są pustymi igraszkami, nawet jeśli być może zapewniają promieniom chwilową rozrywkę. W żadnym innym czasie nie produkowano tak rozrzutnie „pobieżnie wytworzonych ludzi”, jak wówczas. Podstawy, na których opieram to stwierdzenie, wyczytać będzie można z poniżej opisanych zdarzeń.

Zacznę najpierw od opisu mych zewnętrznych warunków życia, jakie kształtowały się na nowym miejscu pobytu. Nie przydzielono mi żadnego określonego salonu, za sypialnię służyło mi pomieszczenie oznaczone w powyższym szkicu literą „b”. W ciągu dnia przybywałem najczęściej w ogólnym pomieszczeniu świetlicy i jadalni, do którego stale przychodzili i z którego wychodzili inni rzekomi pacjenci zakładu. Wydawało się, że zatrudniono strażnika specjalnie do pilnowania mnie, w którym zdawało mi się rozpoznawać po być może przypadkowym podobieństwie posługacza sądowego, który podczas mego sześciotygodniowego wykonywania zawodu w Dreźnie przynosił do domu akta; będę go nazywał „posługaczem sądowym”, jako że nie dowiedziałem się jego nazwiska. Naturalnie uznawałem, że był on – jak wszystkie inne widziane przez mnie ludzkie postaci – „pobieżnie wytworzony”. Jeszcze i teraz nie mogę się przekonać do błędności tego założenia, jako że wydaje mi się, iż dokładnie pamiętam, jak widziałem w jasne wówczas czerwcowe poranki więcej niż tylko raz, że ten właśnie „posługacz sądowy”, śpiący w innym łóżku w tym samym pokoju, co ja, kończy się, czyli *stopniowo* znika, tak że potem jego łóżko było puste, a ja nie zauważyłem, by wstawał i otwierał drzwi w celu opuszczenia pokoju. „Posługacz sądowy” miał zresztą także zwyczaj wkładania niekiedy mojego ubrania. Jako rzekomy medyczny kierownik zakładu pojawiał się czasem – najczęściej w godzinach wieczornych – mężczyzna, przypominający mi na skutek pewnego podobieństwa dr. med. O., u którego w Dreźnie zasięgałem porady; rozmowa tego pana, który zawsze pojawiał się w towarzystwie naczelnego strażnika, którego jeszcze bliżej opiszę i w którym muszę domyślać się obecnie dr. Piersona, ograniczała się regularnie do kilku nic nie znaczących słów. Do ogrodu zakładu, wspomnianego powyżej parku, wszedłem tylko jeden jedyny raz, a mianowicie w dzień mego przyjazdu, i spacerowałem tam około godziny; widziałem podczas tego spaceru kilka dam, wśród nich panią pastorową W. z Fr. i moją matkę, oraz kilku panów, między innymi radcę sądowego K. z Drezna, który miał nieforemnie powiększoną głowę. Nawet gdybym spróbował wmówić sobie teraz, że zostałem wówczas wprowadzony w błąd przez tylko powierzchowne podobieństwo, to i tak jest to zbyt mało, by wyjaśnić odebrane wówczas przeze mnie wrażenie, jako że za zrozumiałe mógłbym uznać występowanie takiego podobieństwa w dwóch lub trzech

przypadkach, ale nie fakt, że – co wyniknie z poniżej opisanego – prawie wszyscy pacjenci zakładu, a więc co najmniej kilka tuzinów ludzi, nosili cechy mniej lub bardziej zaprzyjaźnionych ze mną w życiu osób.

Po owym jedynym spacerze we właściwym ogrodzie przebywanie na świeżym powietrzu – chyba jedną lub dwie godziny każdego przedpołudnia i po południu – miało miejsce jeszcze tylko we wspomnianym wyżej pomieszczeniu dziedzińca albo „zagrodzie”. Był to pusty, wysypany piaskiem plac w kształcie kwadratu o boku mniej więcej 50 m, otoczony murem, na którym nie rósł żaden krzew ani krzak, gdzie poza jedną albo dwiema drewnianymi ławkami najprymitywniejszego rodzaju nie było żadnego innego miejsca do siedzenia. Do zagrody tej spędzano za każdym razem jednocześnie 40–50 ludzkich postaci, których – sądząc po ich wyglądzie – nie mogłem i nie mogę ciągle jeszcze uznać za rzeczywistych pacjentów prywatnego zakładu leczniczego dla umysłowo chorych. Do takich zakładów przyjmowani byli zwykle przecież w ogólności tylko lepiej sytuowani pacjenci, a chorzy w stanie demencji lub bardziej ogłupiali tylko w drodze całkowitego wyjątku. Tutaj widywałem natomiast same tylko osobliwe postacie, wśród nich pokrytych sadzą mężczyzn w płóciennych kitlach. Prawie wszyscy milczeli nieomal bez wyjątku i trwali prawie bez ruchu; tylko nieliczni zwykli byli wydawać od czasu do czasu pewne oderwane dźwięki, między innymi mężczyzna, którego uważałem za radcę sądowego W., i który nieustannie wołał jakąś pannę Hering („śledź”). Nigdy podczas tych pobytów w „zagrodzie” albo też wewnątrz zakładu nie słyszałem wymiany zdań wśród rzekomych pacjentów, która by choćby w przybliżeniu posiadała charakter rozsądnej rozmowy, jakie zwykle są toczone w tego rodzaju zakładach przez łżej chorych pacjentów. Pacjenci pojawiali się przy wejściu do świetlicy, jeden po drugim, całkowicie bezgłośnie i tak samo bezgłośnie oddalali się, nie dostrzegając się, jak się wydawało, wzajemnie. Przy czym wielokrotnie widziałem wraz z innymi, jak niektórzy z nich podczas pobytu w świetlicy zmieniali głowy, tzn. nie opuszczając pokoju i będąc pod moją obserwacją, nagle paradowali z innymi głowami. Liczba pacjentów, jaką widywałem w zagrodzie i w świetlicy częściowo (przede wszystkim w zagrodzie) jednocześnie, częściowo jednego po drugim, nijak nie miała się do wielkości zakładowych pomieszczeń, na ile były one dostępne dla mojego wzroku. Nie było – i według mojego przekonania nie jest możliwe – że te 40–50 osób, które były spędzane do zagrody równocześnie ze mną i po sygnale dawanym do powrotu za każdym razem znów cisnęły się do drzwi domu, w domu tym wszystkie mogły znaleźć posłania na noc; dlatego też byłem wówczas i ciągle jeszcze jestem zdania, że mniejsza lub większa część z nich zawsze musiała pozostawać na zewnątrz,

by się potem, zgodnie z tym, kim byli, czyli „pobieżnie wytworzonymi postaciami”, w krótkim czasie rozplynąć.

Na pierwszym piętrze zakładu, które zamieszkiwałem, było w porywach w ogóle tylko cztery do sześciu łóżek; parter, przez który musiałem przechodzić za każdym razem w drodze do zagrody i z niej wracając, i na którym najczęściej roiło się od ludzkich postaci, mógł z trudem, nawet jeśli znajdowało się tam coś w rodzaju wspólnej sypialni, zapewnić schronienie na noc większej ilości ludzi niż 10–12. A do tego wszyscy przebywający w zagrodzie ludzie w liczbie 40–50 musieli być w stanie większej lub mniejszej demencji, gdyż nie zamknięto by raczej osób lżej chorych i niestanowiących zagrożenia dla swego otoczenia w takiej pustej zagrodzie i nie odebrano by im przyjemności spaceru w rzeczywiście istniejącym zakładowym ogrodzie, czyli w wyżej wspomnianym parku. Z osób w zagrodzie, które sobie przypominam, chcę wymienić dr. Rudolpha I. z Lipska, kuzyna mojej żony, który zastrzelił się już w 1887 roku; podobieństwo było (za wyjątkiem nieco mniejszego obwodu głowy) tak uderzające, że wszelkie wątpliwości odnośnie jego tożsamości muszę uznać za wykluczone. Kursował on stale ze stosem gazet lub innych papierów, których używał jednak tylko po to, by sporządzać sobie na twardych kamiennych ławkach bardziej miękką podkładkę; dalej główny prokurator B., który stale przyjmował unieżenie pochyloną postawę, nieomal żebrzącą, w której pozostawał bez ruchu. Niektórych z obecnych głosy nazwały tymi postaciami, w których osiedli jakoby (ucieleśnili się) „ze względu określającego czwarty i piąty” (należało uzupełnić słowo, którego nie rozumiałem dokładnie, coś jakby „wymiar”)⁵⁴ i jego podziemne antypody (zakopcone postaci w płóciennych fartuchach). We wnętrzu zakładu widziałem m.in. radcę tajnego, dr. W., w podwójnej postaci – jednej doskonałej i tylko nieco podupadłej, jaka miała mu podobno zostać przyznana na czas wędrówki duszy, następnie przewodniczącego senatu, dr. F., radcę sądowego, dr. M., adwokata W. z Lipska (mego przyjaciela z czasów młodości), mego siostrzeńca Fryca itp. W jednym z panów, który, jak się zdawało, zajmował pokój położony po drugiej stronie schodów z wcześniej zamieszczonego szkicu, i którego dostrzegłem chyba już przy moim przyjeździe na dworcem w Coswig, gdy przechadzał się tam i z powrotem, jakby kogoś szuka-

⁵⁴ „Ze względu na określającego” było inną nazwą Bożej wszechmocy, nadawanej „przednim przywódcom kolumn”, tzn. jakimś podrzędnym instancjom Bożej wszechmocy (por. przypis 12.). Podane liczby oznaczały kolejność stopni do góry. Wymieniany później „przedni przywódca kolumny”, nazywany także „poniżej zlagodzenia”, co do którego muszę zakładać jego pewnego rodzaju identyczność z członkiem zarządu tutejszego zakładu, nosił liczbę 14. Najwyższą liczbą, którą później według mojej pamięci jeszcze usłyszałem, było 480.

jąc, wydawało mi się rozpoznać niejakiego pana O. z Mecklemburga, przelotnego znajomego z podróży do Warnemünde. Jego pokój był cały wyłożony dziwnymi, najczęściej czerwonymi (na papierze) obrazami i wypełniony tym specyficznym zapachem, który już w rozdziale I nazwałem „szatańskim smrodem”. Raz z okna zauważyłem mego teścia na drodze prowadzącej do zakładu; w tym samym czasie zresztą posiadałem w moim ciele pewną ilość jego nerwów, po których zachowaniu rozpoznałem podczas rozmowy w połączeniu nerwowym doskonale usposobienie mojego teścia. Wielokrotnie zdarzało się też, że widziałem pewną ilość osób (4–5), kiedyś nawet kilka dam, wchodzących po przejściu przez świetlicę głównie do narożnych pokoi „a” i „d” z powyższego szkicu, by w nich potem najprawdopodobniej zniknąć.⁵⁵ Pokoje te, jak widać na szkicu, nie mają żadnego innego wyjścia niż tylko właśnie przez świetlicę. Gdy potem ja sam, nie opuściwszy ani raz świetlicy, zaglądałem przez otwarte drzwi, albo nie było tam nikogo, albo była tam jeszcze tylko jedna jedyna osoba, w narożnym pokoju „d”; głównie była to osobistość nazywana przeze mnie radcą tajnym dr. W., który leżał w łóżku, wystroiwszy się uprzednio we wszelkiego rodzaju jedwabne wstęgi itp.; wówczas mówiono o tym „cudowanie”.

„Cudowano” nie tylko przy postaciach ludzkich, ale też na przedmiotach nieożywionych. Choćbym się teraz nie wiem jak sceptycznie zachowywał podczas weryfikacji moich wspomnień, nie mogę jednak wymazać z pamięci pewnych wrażeń, że przemianie ulegały także części stroju na ciele widzianych przeze mnie ludzi, potrawy na moim talerzu podczas jedzenia (np. pieczeń wieprzowa zamieniała się w pieczeń cielęcą albo odwrotnie) itp. Pewnego razu widziałem – w biały dzień – z okna, jak bezpośrednio przed murami budynku, w którym mieszkałem, powstaje przepyszny kolumnowy ryzalit, jakby cały budynek miał zostać przemieniony w pałac wrózek; obraz ten zniknął później znów, podobno dlatego, że na skutek kontrecudu Flechsig-a i W. nie udało się doprowadzić do końca cudu boskiego. W mojej pamięci jeszcze i dziś obraz ten stoi w całej swej wyrazistości.

Na szczególną wzmiankę zasługuje naczelny strażnik zakładu. Już w dniu mego przyjazdu głosy powiedziały mi o nim, że jest identyczny z jednym z moich współmieszkańców – v.W.; miał on podobno podczas jakiejś przeprowadzanej na mój temat urzędowej ankiety świadomie lub nieumyślnie mówić o mnie nieprawdziwe rzeczy, oskarżył mnie zwłaszcza o onanizm; niejako

⁵⁵ Słyszałem przy tym wielokrotnie także specyficzne rżenie, związane z „odstawieniem” (rozpłynięciem się) „pobieźnie wytworzonych ludzi”.

w charakterze kary za to powierzono mu teraz jako „pobieżnie wytworzone-
mu człowiekowi” obsługę mojej osoby.⁵⁶

Wydaje mi się całkiem wykluczone, że miałbym sam wpaść na myśli tego rodzaju, jako że z panem v.W., którego miałem zaszczyt poznać zresztą w ogóle tylko powierzchownie, nigdy nie miałem żadnych niesnasek i nigdy nie odczuwałem na niego żadnej złości. Wrogo do naczelnego strażnika próbowały mnie nastawiać głosy; już w pierwszy dzień zażądano, bym zwracał się do niego, opuszczając obraźliwie tytuł szlachecki; na początku nie miałem żadnych do tego skłonności, potem jednak zrobiłem to raz, by pozbyć się naciskających głosów. Kiedyś podczas jakiejś późniejszej okazji spoliczkowałem go też; nie pamiętam już bliżej, jakim kierowałem się naka-
zem – wiem jedynie, iż zażądały tego ode mnie głosy, gdy skierował się on do mnie z jakąś niestosowną pretensją, a one tak długo wyszydzały mój rze-
komy brak odwagi, aż posunąłem się do tego czynu. Już w rozdziale I wspo-
mniałem o tym, że u naczelnego strażnika dostrzegałem – nie zawsze, tylko w pewnych okolicznościach – właściwe dla diabłów czerwone zabarwienie
twarzy i rąk; zgodnie z tym, o czym opowiem później, nie mam wątpliwości
co do tego, że posiadał on naprawdę przynajmniej częściowo nerwy v.W.

Podczas mego – zresztą przecież krótkiego – pobytu w zakładzie dr.
Piersona („kuchni diabła”) nie podjąłem się żadnego – ani umysłowego,
ani fizycznego – zajęcia; całe dni zajmowały mi niemal wyłącznie rozmowy
z głosami i przyglądanie się cudownym rzeczom, które działy się w moim
otoczeniu. Zdecydowanie jaskrawo w pamięci zapisał mi się fakt, że nie od-
bywało się nic w rodzaju wspólnych posiłków; przypominając sobie moje
poszczególne posiłki, pamiętam, że nakrywano dla mnie stół w świetlicy;
zwykle przebywał w niej w tym samym co ja celu najwyżej jeden albo dwóch
pacjentów. Pamiętam, że raz wyrzuciłem podane mi jedzenie (smażoną
kiełbasę) przez okno, być może rozbijając przy tym szybę; nie przypominam
sobie dokładnie, co mną wówczas powodowało.

Dusze utrzymujące ze mną nerwowy kontakt w zakładzie Flechsig'a uda-
ły się za mną do mojego nowego miejsca pobytu (towarzyszyły mi one także
w drodze); przede wszystkim dusza samego Flechsig'a, która zresztą utwo-

⁵⁶ Wydaje się, że taka – zresztą jeśli jest w tym jakaś część prawdy, na pewno dość łagodna – forma kary była wedle pojęcia dusz w ogóle najlogiczniejsza. Kilka razy twierdzono o profes-
sorze Flechsigu, że wyrządzone mi krzywdy będzie on musiał odpokutować, usługując mi w po-
staci „pobieżnie wytworzonej” sprzątaczkii. Osoba, która w swym życiu popełniła jakiś grzech,
musiała przyjąć upokorzenie połączone z lekkim szyderstwem; z tego wynikała też nazwa
„psiarczyk”, nadana pobieżnie wytworzonemu mężczyźnie, któremu powierzono usługiwanie
Żydowi Wiecznemu Tułaczowi, i którą to nazwę otrzymywali podczas pierwszego okresu mego
pobytu w tutejszym zakładzie ówcześni pielęgniarze, w szczególności pielęgniarz M.

rzyła w charakterze swych posiłków w wypowiedzianej Bożej wszechmocy walce coś w rodzaju świty popleczników z mniej lub bardziej zaprzyjaźnionych, ciągnących w ślad za nią dusz. Do świty tej należała oprócz wspomnianych już w rozdziale V „braci Kasjopei” także grupa, która wówczas otrzymała nazwę „pracujących do przodu”; składała się ona z duszy Daniela Fürchtegotta Flechsig (istniejącej w dwóch postaciach), duszy sędziego G. i z należącego niegdyś do Bożej wszechmocy przedniego przywódcy kolumny, „ze względu na określającego pierwszy”, czyli pewnego rodzaju renegata, który podporządkował się wpływowi Flechsig. „Wiszący po Kasjopeję” (tzn. dusze byłych członków należących do Corps Saxonia) zniknęli w czasie mego pobytu w zakładzie Piersona; zostali wciśnięci „silną ręką” z powrotem do grobów, a zdarzenie to widziałem oczyma mojej duszy i słyszałem wówczas lamenty (rodzaj jęczenia), jakie dusze te wydawały podczas rzecz jasna dla nich niepożądanego zdarzenia, na skutek którego traciły one wydłużoną szczęśliwość. Wytworzyła się za to pewna ilość innych dusz; stało się to głównie na drodze podziału dusz, co było z kolei, jak przypuszczam, nadużyciem zapoczątkowanym przez duszę Flechsig. Gdyż nawet jeśli fizyczna możliwość podziału duszy, o której wspomniałem już w rozdziale I (przypis 6.), istniała prawdopodobnie już wcześniej, to z możliwości tej, na pewno i w ludzkim odczuciu raniącej, nie można raczej było, jak długo nienaruszony był porządek świata, skorzystać. Nie byłoby żadnego uzasadnionego powodu, by jednej części duszy z pewną ilością nerwów pozwolić wznieść się do błogostanu, a jej inną część przenieść w stan mający stanowić karę. Uważam raczej, że można zakładać, iż wcześniej respektowana była naturalna jedność ludzkiej duszy, czyli w przypadku na przykład nadmierne zacernionych nerwów, gdzie oczyszczenie wszystkich wymagałoby zbyt wielkich nakładów ze strony czystych promieni, oczyszczano tylko niewielką część nerwów (pozwalano więc danej duszy ludzkiej przebywać w stanie szczęśliwości tylko przez krótszy czas – por. rozdział I), a pozostałe nerwy pozostawiano po prostu w grobie, by zgniły. Dusza Flechsig wprowadziła jednak, jak powiedziałem, podział duszy, głównie po to, by całe sklepienie niebieskie wypełnić częściami duszy, tak by boskie promienie, przywoływane przez siłę przyciągania, napotykały wszędzie jakiś opór. Obraz, jaki się w związku z tym rysuje w mojej głowie, jest opisać słowami niezwykle trudno; wydaje się, że sklepienie niebieskie w całym obwodzie obsypane było pochodzącymi chyba z mego ciała nerwami, których boskie promienie nie są w stanie przeskoczyć lub które przynajmniej stanowiły dla nich mechaniczne przeszkody, podobnie jak obłożonej twierdzy bronią wały lub rowy. Dusza Flechsig rozszczepiła się w tym celu na dużą ilość części; przez pewien czas części tych było chyba 40–60, wśród nich wiele całkiem małych, skła-

dających się prawdopodobnie z jednego nerwu; dwie większe części duszy nazwane zostały „wyższy Flechsig” i „średni Flechsig”; pierwsza odznaczała się czasami dzięki wchłonięciu boskich promieni większą czystością, która to czystość jednak nie utrzymywała się długo. W podobny sposób było potem także 20–30 części duszy v.W., a nawet wspólna dusza Flechsiga i v.W., do której później może jeszcze wrócić.

Odnosnie przyczyn, jakie doprowadziły do wystąpienia na niebie (oprócz duszy Flechsiga) duszy v.W., mogę jedynie wyrazić przypuszczenia, które jednak są na pewno bardzo bliskie prawdzie. Dla wszystkich „sprawdzonych” dusz (Flechsiga itp.) duża siła przyciągania, która powstała w moim ciele przez wysokie natężenie nadmiernie pobudzonych nerwów, była że tak powiem podstawowym warunkiem ich egzystencji, tzn. ja sam byłem dla nich jedynie środkiem do celu, jakim było przechwycenie sprowadzanych przez siłę przyciągania boskich promieni, którymi się potem przystrajały jak paw obcymi piórkami, uzyskiwały moc czynienia cudów itp. Dlatego utrzymanie pewnego prawa do dysponowania moim ciałem było dla nich ważne. Jak długo przebywałem w lipskim zakładzie, tak długo prawo to mogło być wykonywane poprzez powiązanie z istniejącym jeszcze jako człowiek (albo „pobieźnie wytworzony człowiek”; muszę pozostawić bez odpowiedzi pytanie, kim był on w tamtym czasie) profesorem Flechsigiem. Wraz z moim przeniesieniem do zakładu Piersona („kuchni diabła”) wpływ ten przestał istnieć, faktyczne prawo do dysponowania moim ciałem przysługiwało odtąd personelowi zakładu, w szczególności naczelnemu strażnikowi zakładu. Wydaje się, że to było dla duszy Flechsiga powodem, by wyciągnąć z ciała naczelnego strażnika kilka – w rzeczywistości należących do v.W. – nerwów do nieba lub do błogostanu, by za pomocą tych nerwów i ich oddziaływania na naczelnego strażnika ponownie zapewnić sobie utracone wpływy.

Na samym początku miały to być jedynie trzy nitki nerwów v.W., kiedy jednak raz dotarła do nich świadomość ich niebiańskiej egzystencji i jednocześnie możliwości czynienia cudów, skompletowały się one poprzez wyciągnięcie większej ilości nerwów v.W. (z grobu, jak musiałem wówczas założyć) w dość pokaźną duszę. Także i tutaj chodziło naturalnie o nieoczyszczone nerwy; innymi słowy na niebie przygotowana została druga „sprawdzona dusza”, wypełniona jedynie egoistycznym dążeniem do samozachowania i w przeciwieństwie do Bożej wszechmocy sprzecznego z porządkiem świata wykonywania cudów; w tym niecnym celu nadużyła ona siły przyciągania moich nerwów na boskie promienie. Ogólnie rzecz biorąc, uznała ona kierownictwo duszy Flechsiga, która nadal pozostała – że tak powiem – intelektualnym przywódcą całej rebelii przeciwko Bożej wszechmocy; w przeciwieństwie do innych tworzących świtę Flechsiga dusz, zachowała ona

jednak pod niektórymi względami pewną samodzielność. Pozwoliła się na przykład, jak już wspomniałem, przeznaczyć na zakrojony na szeroką skalę podział duszy, potem jednak znów chodziła swymi własnymi drogami.

Przez dołączenie tej drugiej „sprawdzonej duszy” moje położenie stało się przede wszystkim jeszcze znacznie trudniejsze, gdyż i ta dusza cudowała ze mną w dla mojego ciała częściowo bardzo dokuczliwy i szkodliwy sposób, o czym opowiem bliżej w dalszej części. Z drugiej strony jednak zdarzały się wówczas i pocieszne momenty, który chwilowo wnosily do mojego posępnego życia, że tak powiem, powiem komizmu. Że były to rzeczywiście nerwy v.W., którym w ten sposób udało się uzyskać coś w rodzaju niebiańskiej władzy, wynika dla mnie bez wątpienia z faktu, że wielokrotnie rozmawiałem z duszą v.W. o jej wspomnieniach z życia, od jej czasów studenckich, od Corps Miśnia aż po znanego jej jeszcze dobrze kelnera B. w szynku w Eutritzsch pod Lipskiem. I właśnie wówczas wielce komiczne wrażenie robiło istniejące jak zwykle wzajemne odpychanie profesorskiej pychy u jednej, a arystokratycznej dumy u drugiej, i to mimo zawartego przez obydwie dusze – Flechsiga i v.W. – przymierza przeciwko Bożej wszechmocy. Dusza v.W. roiła o „ładzie pod wodzą rodu v.W. i przysługującym mu prawie pierworódtwa”, jaki chciała wprowadzić w niebie i na czym chciała zasadzić swe „panowanie nad światem”, zaś na duszy w gruncie rzeczy niesympatycznego, nastawionego liberalnie i nacjonalistycznie profesora Flechsiga nie zostawiała suchej nitki. Dusza Flechsiga natomiast była przekonana o swej intelektualnej wyższości nad duszą v.W. i w tym poczuciu spoglądała na duszę v.W. z pogardą. Dusza v.W. także prezentowała poza tym arystokratyczne maniere, np. okazywała mi najwyższy szacunek po stwierdzeniu, że przy jedzeniu prowadzę widelec do ust lewą dłonią, można było po niej poznać duże zainteresowanie dla dobrze zorganizowanej *table d'hôte*, ale też wykazywała większy talent organizacyjny niż dusza Flechsiga, lepiej gospodarując zdobytymi promieniami, dlatego też zwykle prezentowała bardziej strojną szatę z promieni i przez jakiś czas utrzymywała formalny „skład promieni” (jeszcze teraz mogę określić kierunek na niebie, w którym magazyn ten się znajdował).

Z innych nadprzyrodzonych wrażeń, jakich doznałem podczas mego pobytu w zakładzie Piersona, chciałbym wymienić jeszcze kilka. Długimi ruchami (obraz ten trudno opisać, można by to było porównać może do tzw. babiego lata, ale nie w postaci pojedynczych nici, lecz pewnego rodzaju bardziej zwartej tkaniny) przyfruwiała do mnie tzw. szczęśliwość poświęty księżycowej, która miała przedstawiać żeński błogostan. Istniały dwa jej rodzaje: jedna słabsza, druga silniejsza; w tej pierwszej można by się może dopatrywać dziecięcego błogostanu. Po wspomnianych już w poprzednich

rozdziałach doniesieniach o zagładzie świata następowały inne, które odnosiły się do kwestii możliwości ponownego przywrócenia do życia stworzenia; czasem mówiono, że ożywione zostać może stworzenie do ryb, innym razem zaś, że do ssaków niższego rzędu itp. Muszę pozostawić bez odpowiedzi kwestię, na ile u podłoża tych doniesień leżała tylko obawa o przyszłość, a na ile były one realne. Muszę natomiast przypuszczać, że na jakimś ciele niebieskim faktycznie została podjęta próba stworzenia nowego świata ludzi („nowych ludzi ze schreberowskiego ducha”, jak od tamtej pory nazywano ich niezliczone razy, używając tego zwrotu najczęściej drwiąco), prawdopodobnie przy użyciu pewnej części moich nerwów. Kwestia, jak pozyskany został potrzebny do tego czas, pozostaje spowita mrokiem; chcąc nie chcąc, musiałem wówczas i muszę teraz myśleć o wspomnianym w przypisie 36. przedstawionym w dziele du Prela (w suplementie, o ile się nie mylę) wyobrażeniu, zgodnie z którym różnica przestrzenna oznacza jednocześnie różnicę z czasie. Ci „nowi ludzie ze schreberowskiego ducha” – fizycznie dużo mniejszej postury niż nasi ziemscy ludzie – podobno doszli już do zasługującego na uwagę stopnia kulturowego rozwoju, m.in. hodując odpowiadające rozmiarom ich ciała niewielkie bydło; ja sam stałem się dla nich podobno jako ich „bohater narodowy”, że tak powiem, przedmiotem boskiego uwielbienia, więc moja fizyczna postawa (w szczególności w „zagrodzie” zakładu Piersona) nie ma jakoby dla ich wiary żadnego znaczenia. Ich dusze, jakie po śmierci wspięły się do błogostanu, stały się już podobno promieniami o dość znacznej sile.

Że rzecz ta zawiera jakąś część prawdy, wnioskuję stąd, iż w owym czasie miałem w swym ciele, a mianowicie w podbrzuszu⁵⁷, „boga” lub „apostoła” tychże niewielkich ludzików jako duszę, tzn. prawdopodobnie uosobienie pozyskanych z błogostanu promieni. Ów mały „bóg” lub „apostoł” odznaczał się w szczególności wyraźny sposób od wszystkich innych dusz dzięki stanowiącemu podstawową cechą mojego własnego charakteru – nie mogę tu nie pochwalić samego siebie – praktycznie roztrópnemu pojmowaniu rzeczy, tak że rozpoznałem w nim w pewnym stopniu moją krew. Zresztą także i dla tego małego „boga” lub „apostoła” – jak także w wielu innych przypadkach, np. swego czasu w związku z duszą mojego ojca, duszami jezuitów itp., uczyniono – by mnie zdezorientować – fałszywy odpowiednik; fałszerstwa te

⁵⁷ Wystąpiło tu zjawisko obserwowane przeze mnie także w wielu innych jeszcze przypadkach, że zaprzyjżnione dusze zawsze ciągnęły raczej w okolice narządów płciowych (do brzucha itp.), gdzie nie szkodziły wiele albo wcale i poza tym nie stanowiły prawie w ogóle żadnej dokuczliwości, podczas gdy dusze nastawione bardziej wrogo zawsze dążyły do głowy, której chciały wyrządzić jakąś szkodę, w szczególności osiedlały się w bardzo dokuczliwy sposób przy lewym uchu.

zwykle dostrzegałem bardzo prędko, jako że w oparciu o całe usposobienie danej duszy dało się łatwo odróżnić prawdziwą od fałszywej. Mówiono wówczas także wiele o „zasadzie odnawiania promieni”, tzn. o zasadzie – której przykładem byli jakoby „mali ludzie ze schreberowskiego ducha” – że nowe promienie wywodzą się z *wiary* byłych ludzi. Takie wyobrażenie zdaje się stać w pewnej zgodzie z informacjami zamieszczonymi powyżej, w rozdziale I, w przypisie 6., o powstawaniu „przedsionków niebios”.

Dusza Flechsig była w owym czasie przywódcą „dwóch słońc”, między innymi także tego słońca, które dostarczało dziennego oświetlenia. Trudno opisać słowami obraz siedzącej w pewnym sensie za słońcem przewodzącej duszy, jaki mam w głowie. Przywództwo słońca miało zostać powierzone także czasowo duszy v.W., która jednak wykazała ogólnie niewielkie skłonności w tym kierunku.

Rozdział IX. Przeniesienie do zakładu Sonnenstein. Zmiany w ruchu promieni. „System zapisywania”. „Doziemne uwiązanie”

Z zakładu dr. Piersona – „kuchni diabła” – zostałem (po trwającym w sumie 8 do 14 dni pobycie tamże) pewnego dnia – jak się później dowiedziałem miał to być 29 lipca 1894 roku – przewieziony do tutejszego zakładu leczniczego w Sonnenstein pod Pirną. Nie znam powodów mego przeniesienia; wówczas wydawało mi się, że trzeba się tu dopatrywać związku ze znacznie rosnącym w ostatnich dniach mego pobytu w „kuchni diabła” wpływem duszy v.W., dla którego chciano w jakiś sposób stworzyć przeciwwagę. Przed moim odjazdem wziąłem jeszcze ciepłą kąpiel, jedyną w zakładzie dr. Piersona. Potem pojechałem w towarzystwie „posługacza sądowego” zaprzęgiem (jak podczas przyjazdu) na dworzec w Coswig, gdzie wypilem filiżankę kawy i stamtąd koleją, nie opuszczając wagonu, przez Drezno do Pirny. Postaci ludzkie, które widziałem podczas jazdy i na dworcu w Dreźnie, uważałem za wyczarowanych „pobieźnie wytworzonych ludzi” i nie poświęcałem im szczególnej uwagi, jako że już wówczas miałem dość wszelkich cudów. W moim przekonaniu umacniały mnie mówiące głosy; dusza Flechsig’a mówiła, używając wymyślonego przez siebie wyrażenia, o „skamieniałym”⁵⁸ Dreźnie, przez które przejeżdżaliśmy. Z dworca w Pirnie przyjechałem w zaprzęgu po dość wyboistej drodze do tutejszego zakładu. Że były to Pirna i Sonnenstein, dokąd zostałem przywieziony, uświadomiłem sobie dopiero po okresie dłuższym niż rok, gdy to kiedyś przy jakiejś okazji będąc w zwykłe tylko

⁵⁸ *Amongst the fossils* na „wśród pobieźnie wytworzonych ludzi” było także innym ulubionym przez duszę Flechsig’a wyrażeniem, w którym odzwierciedlała się jego skłonność do zastępowania wyrażen z języka podstawowego, służących do określania rzeczy nadprzyrodzonych, przez jakieś nowocześnie brzmiące i dlatego graniczące ze śmiesznością zwroty. I tak z upodobaniem mówił on o „zasadzie telegrafii świetlnej”, by nazwać wzajemne przyciąganie się promieni i nerwów.

w nielicznych przypadkach dostępnym dla mnie „muzeum” (świątlicy) tutejszego zakładu, zobaczyłem na ścianie wizerunki dawnych władców Saksonii. W czasie mego przyjazdu głośno nazywały moje miejsce pobytu „diabelskim zamkiem”. Pokoje, które mi przydzielono, były tymi samymi pokojami, które zamieszkują także obecnie – nr 28 na pierwszym piętrze skrzydła położonego nad Łabą wraz z przylegającą sypialnią. Inny salon posiadałem tylko kilka razy całkiem chwilowo z powodu jakichś zmian wyposażenia; natomiast za sypialnie – o czym wspomnę jeszcze później – służyły mi mniej więcej przez dwa lata nie przeznaczona właściwie dla mnie sypialnia, ale izolatki, w szczególności ta położona na parterze krąglego skrzydła, o nr 97. Pokoje zrobiły na mnie po moim pierwszym wejściu do nich trochę biednawe w porównaniu z dość elegancko wyposażonymi pomieszczeniami w zakładzie Piersona wrażenie. Wspomnieć chcę jeszcze, że mniej więcej przez rok *nie* miałem z okien mego pokoju tego widoku, jaki teraz rozpościera się dość szeroko na dolinę Łaby. Wówczas stało tu jeszcze kilka gęstych kasztanów, w międzyczasie ściętych do niewielkich pniaków, które jednak w tamtym czasie prawie całkowicie zasłaniały widok, tak że również i z okien nie byłem w stanie prawie nic dostrzec ze zdarzeń świata zewnętrznego.

Czas mego pobytu w zakładzie Sonnenstein mogę podzielić na dwa okresy, z których ten pierwszy zachował jeszcze poważny i święty, czasem straszny charakter, jaki cechował moje życie w ostatnich dniach mego pobytu w zakładzie Flechsig'a i przez pobyt w zakładzie dr. Piersona, drugi okres natomiast stawał się coraz bardziej zwyczajny (by nie powiedzieć pospolity). Ten pierwszy okres obejmował mniej więcej rok, okres drugi utrzymuje się do dziś, tyle tylko, że w ostatnim czasie wrażenie pospolitości doznało pod niektórymi względami złagodzenia. W pierwszym okresie cuda miały ze względu na ich fizyczne i duchowe działanie częściowo okropną i groźną naturę, tak że jeszcze długo przepełniony byłem najpoważniejszymi lękami o moje życie, moją męskość, a później o mój rozum; w drugim okresie cuda przybierały – co prawda stopniowo i nie bez pojedynczych nawrotów – coraz bardziej niewinny (by nie powiedzieć błahy i dziecinny), choć także częściowo jeszcze nieprzyjemny charakter.

W pierwszym okresie ciągle jeszcze żyłem w przekonaniu, że mam do czynienia nie z rzeczywistymi ludźmi, lecz z „ludźmi pobieżnie wytworzonymi”⁵⁹. Także i obecnie nie mogę tego nazwać moją omyłką; raczej muszę po tym wszystkim, czego doświadczyłem wówczas i co przeżywam jeszcze codziennie dzisiaj, dopuścić możliwość, że miałem tu rację, innymi słowy mówiąc, że tak zwane igraszki z ludźmi dopiero stopniowo przeszły w taki

⁵⁹ Na skutek czego prawie całkowicie powstrzymywałem się od mówienia.

stan, w którym teraz, patrząc z zewnątrz, robią wrażenie, jakby ludzkość nie została poddana żadnej przemianie. By umożliwić w pewnym stopniu zrozumienie tej nieco trudnej do pojęcia i także dla mojej świadomości nie całkiem przejrzystej myśli, muszę najpierw opisać stosunki w moim zewnętrznym otoczeniu podczas pierwszego roku mego pobytu w tutejszym zakładzie. Już chyba w dzień mego przyjazdu poznałem z zakładowych lekarzy podczas przeprowadzonego w pokoju kąpielowym (na parterze) fizycznego badania członka zarządu, pana radcę tajnego medycyny, dr. Webera, i lekarza pomocniczego, pana dr R., najpierw jednak obydwu tylko jako osoby, a nie z nazwiska; jak się nazywają, dowiedziałem się przypadkowo przy jakiejś okazji dopiero po upływie jednego roku lub więcej. Panowie ci składali mi od tej pory codzienne wizyty. Oprócz nich widywałem tylko czasowo głównego pielęgniarza R., kilku innych pielęgniarzy i w międzyczasie nieobecnego Sch.; M. był tym pielęgniarzem, któremu szczególnie powierzono opiekę nad mną.

Wydawało się, że nie było wówczas jeszcze żadnych innych pacjentów w zakładzie; przynajmniej na zamieszkanym przeze mnie korytarzu, przy którym leżało w sumie dziewięć pokoi, nie widziałem żadnego z nich; dopiero po upływie dłuższego czasu widywałem niekiedy pacjenta nazywanego księciem I...sky i drugiego, radcę dworu B., którego było głównie słyhać przez grę na skrzypcach. Także podczas codziennych spacerów w przykładowym ogrodzie byłem przez pierwsze miesiące *zawsze sam*, jedynie z dwoma lub trzema pielęgniarzami (wyżej wymienionymi); z tej wielkiej ilości innych pacjentów, z których teraz widzę czasem w ogrodzie razem ze mną do 80 i 100 równocześnie, wówczas nie widywałem ani jednego. Pielęgniarki głosy nazywały „psiarczykami” (por. wyżej – przypis 39.); że posiadali oni właściwość „pobieżnie wytworzonych ludzi” (a więc właściwie dusz), muszę wnioskować stąd, że utrzymywali oni ze mną połączenie nerwowe, podczas którego słyszałem (nie głośno, lecz w mowie nerwów) często wyrażenia należące do języka podstawowego, w szczególności okrzyki pielęgniarza Sch., którego osoba znajdowała się w innym pokoju, służące w języku podstawowym do wyrażania zdziwienia: „do pioruna” i „do diaska”. M. i Sch. odkładali także, by „się odstawić”, część swych ciał jako zgniłą masę do mego ciała; M. osiadał wielokrotnie jako tak zwany wielki nerw (pewnego rodzaju galaretowata masa o wielkości mniej więcej wiśni) w moim ramieniu, przez co mógł brać w pewnym sensie udział, jak i inne promienie i nerwy, w moim myśleniu i w moich wrażeniach zmysłowych. „Psiarczykom” w ich właściwości dusz dana była także moc czynienia cudów; podczas określonych poszczególnych zdarzeń była mowa o „cudach psiarczyków”, którym mieli oni zawdzięczać swe powstanie.

W zakładzie Sonnenstein odwiedzała mnie w dłuższych – chyba wielomiesięcznych – odstępach moja żona. Gdy zobaczyłem ją podczas takiej wizyty po raz pierwszy, wchodzącą do mojego pokoju, byłem jak skamieniały; przecież już od dawna byłem przekonany, że nie ma jej wśród żywych. Założenie to opierałem – tak samo jak w przypadku innych ludzi – na całkowicie pewnych wskazówkach, według których ponowne pojawienie się mojej żony także i teraz pozostaje dla mnie pod pewnymi względami nierozwiązaną zagadką. Miałem – także i tutaj pewność moich wspomnień nie dopuszcza żadnych wątpliwości co do obiektywnego realizmu tego zdarzenia – po wielekroć w ciele nerwy należące do duszy mojej żony albo też odczuwałem je z zewnątrz, gdy zbliżały się do mojego ciała. Te części duszy były całkowicie wypełnione pełną oddania miłością, jaką zawsze okazywała mi moja żona; były to jedyne nerwy, które za pomocą należącego do języka podstawowego zwrotu „zostawić mnie”⁶⁰ dawały mi do zrozumienia, że są gotowe zrezygnować ze wszelkiego dalszego istnienia i zakończyć swą egzystencję w moim ciele.

Podczas osobistych wizyt mojej żony w Sonnenstein uważałem przez długi czas, że za każdym razem jest ona *ad hoc* „pobieżnie wytworzona” i dlatego rozplywa się być może już na schodach albo bezpośrednio po opuszczeniu zakładu; mówiono, że jej nerwy po każdej wizycie są znów „kapslowane”. Przy jednej z tych wizyt – chyba w dzień moich urodzin w 1894 roku – żona przekazała mi wiersz, który, ze względu na porywające działanie, jakie wywarł on wtedy na mnie, chcę tu zamieścić w całości. Brzmiał on tak:

*Nim dany pokój będzie Ci,
Prawdziwy pokój Boży,
Pokój, jakiego w zwykłe dni,
Nigdy Ci los nie stworzy,
Trzeba, by swym ramieniem Bóg
Zadał Ci czułą ranę,
Byś wołał, szukał nowych dróg,
Litości wołał Pana.
Trzeba, by z głębi duszy Twej
Krzyk się wydobył wielki,
By ciemność wypełniła Cię
Jak przed stworzeniem wszelkim.*

⁶⁰ Podany zwrot można by było, po uzupełnieniu go do gramatycznie pełnego wyrażenia, oddać mniej więcej tymi słowami: „Proszę – władzę nad promieniami, która chce mnie odciągnąć z powrotem – pozwolić mi spokojnie oddać się sile przyciągania nerwów mojego męża, jestem gotowa roztopić się w ciele mego męża.”

*Trzeba, by Cię całego ból
Zjadł straszny i głęboki,
By żadna więcej gorzka łza
Nie rosła w twoim oku.
A gdy wypłaczesz się już dość
I braknie Ci już siły.
Przyjdzie do Ciebie wierny gość,
Od Boga pokój miły.*

Wiersz, którego autora nie znam, zrobił na mnie dlatego takie osobliwe wrażenie, że często występujący w nim zwrot „Boży spokój” jest wielokrotnie przedtem i potem słyszany przeze mnie *określeniem z języka podstawowego na spowodowany przez promienie sen*. Trudno mi było wówczas sądzić, że była to kwestia przypadku.

W komunikacji z promieniami, jaką moje nerwy utrzymywały już długi czas, jak też w związanych z nią stosunkach w niebie, nastąpiły podczas pierwszych tygodni mego pobytu w Sonnenstein (na początku lipca 1984) pewne zmiany, mające, jak się zdawało, zasadnicze znaczenie dla całego od tego momentu minionego okresu. Opisanie tych zmian słowami jest znów niezmiernie trudne, gdyż chodzi tu o rzeczy, dla których brak wszelkich analogii z ludzkiego doświadczenia, i które także przeze mnie dostrzegane były po części oczyma duszy⁶¹, po części zaś domyśliłem się ich po ich działaniu, tak więc wyobrażenie, jakie powstało u mnie na temat tych zdarzeń, pokrywa się z pełną prawdą być może tylko w przybliżeniu. Już w poprzednim rozdziale opowiedziałem o tym, że szczególnie przez podział dusz ilość istniejących na niebie „sprawdzonych” dusz i ich części znacznie wzrosła. Wśród tych dusz odznaczała się nadal dusza Flechsig, która dzięki swym egzystującym w dwóch rozmiarach postaciom (jako „wyższy Flechsig” i „średni Flech-

⁶¹ Wyrażenie „widzieć oczyma duszy”, którego użyłem już w innym miejscu (rozdział VIII), zachowam także i w tym miejscu, gdyż w naszym ludzkim języku nie udaje mi się znaleźć innego, bardziej odpowiedniego. Jesteśmy przyzwyczajeni do myślenia, że wszystkie wrażenia, jakich dostarcza nam świat zewnętrzny, przekazywane są nam przez tak zwane pięć zmysłów, w szczególności odczucia związane ze światłem i dźwiękiem – przez oczy i uszy. W zwykłych warunkach to się pewnie zgadza. Natomiast w przypadku człowieka, który tak jak ja wszedł w kontakt z promieniami i którego głowa jest na skutek tego, że tak powiem, oświecona, wyobrażenie takie jest niewystarczające. Ja odczuwam zjawiska świetlne i dźwiękowe, które promienie projektują bezpośrednio na mój *wewnętrzny* system nerwowy, i do ich odbierania nie potrzebuję zewnętrznych narządów wzroku i słuchu. Pewne zdarzenia mogę widzieć także z zamkniętymi oczami i słyszałbym je też, o ile chodziłoby, jak w przypadku głosów, o wrażenia słuchowe, także wówczas, gdyby na przykład można było zamknąć moje uszy hermetycznie przed wszystkimi dźwiękowymi wrażeniami.

sig”) zachowała jeszcze przez długi czas i w dość dużym stopniu swą ludzką inteligencję; z biegiem lat traciła ją jednak coraz bardziej, tak więc teraz już od długiego czasu nie powinny już egzystować nawet skąpe resztki jej poczucia świadomości. Ja zaś z mojej strony kierowałem się zawsze pragnieniem przyciągnięcia tych dusz i części dusz, by w ten sposób spowodować wreszcie rozplątanie się tychże, wychodząc chyba z całkiem słusznego założenia, że po wyeliminowaniu wszystkich znajdujących się pomiędzy mną a Bożą wszechmocą jako instancje pośrednie „sprawdzonych” lub nieczystych dusz nastąpi samoistne, zgodne z porządkiem świata, rozwiązanie konfliktu czy to poprzez moje wyleczenie na skutek służącego całkowitemu uspokojeniu nerwów snu, czy też – co wydawało mi się w późniejszym czasie konieczne do uwzględnienia – poprzez zgodne z porządkiem świata odmeńczyżnienie w celu stworzenia nowych ludzi. W przeciwieństwie do tego natomiast „sprawdzone” dusze wypełniało dążenie, by utrzymać się na swej zdobytej nieprawą drogą, powiązanej z mocą czynienia cudów pozycji, i po każdym zbliżeniu próbowały się ponownie oddalić, podsyłając na przemian coraz więcej innych dusz i części dusz.

Gdy pewnej nocy – chyba czwartej lub piątej po moim przyjeździe do Sonnenstein – udało mi się, zresztą po bezmiernym umysłowym wysiłku, chwilowo przyciągnąć do siebie wszystkie nieczyste („sprawdzone”) dusze, tak że wystarczyłoby gruntowne „przykrycie promieniami”, by poprzez leczący nerwy sen spowodować moje wyleczenie i zniknięcie nieczystych dusz (do czego jednak nie doszło ze względu na brak zdecydowania z wcześniej już wspomnianych powodów), dusza Flechsig’a podjęła specjalne działania organizacyjne, by zapobiec powrotowi takiego niebezpieczeństwa dla jej egzystencji, jak i dla egzystencji innych nieczystych dusz. I tak wpadła ona na pomysł *mechanicznych umocnień*, o których technicznej stronie mogłem uzyskać odpowiednio do natury rzeczy tylko przybliżone wyobrażenie. Takie mechaniczne umocnienia wprowadzone zostały najpierw w luźniejszej formie, którą nazwano „przywiązywaniem promieni”, przy czym słowa „promienie” użyto tu chyba w szczególnym, także i dla mnie nie całkiem zrozumiałym znaczeniu. Mogę tylko opisać obraz, jaki widziałem oczyma mojej duszy: dusze wisiały na pewnego rodzaju wiązkach prętów (które można by porównać do różg u rzymskich liktorów) w taki sposób, że różgi rozchodziły się u dołu, tworząc stożek, zaś wokół górnych ich czubków owijały się nerwy duszy. Gdy także i luźniejsza forma uwiązywania nie stanowiła już pewnej ochrony przeciwko zagrożeniu rozplątania się wskutek działania siły przyciągania, wybrano po pewnym czasie jeszcze bardziej wytrzymałą formę, która otrzymała nazwę „umocnienia doziemnego”. Jak już sama nazwa mówi, miało tu miejsce uwiązanie do jakiegoś oddalonego ciała niebie-

skiego, tak że od tej pory możliwość całkowitego rozpuszczenia się w moim ciele na skutek siły przyciągania była wykluczona, jako że dzięki w ten sposób stworzonemu mechanicznemu umocnieniu powrót był zawsze możliwy. Gdy „średni Flechsig” po raz pierwszy zastosował ostatnią formę umocnienia, w regionach królestwa Bożego zaczęło najpierw panować przekonanie, że takie naruszające porządek świata zachowanie nie może być tolerowane. Dlatego też zmuszono „średniego Flechsiga” do ponownego odwiązania się. Przy późniejszym powtórzeniu eksperymentu nie znaleziono jednak już wystarczająco dużo energii do podobnej interwencji; pozwolono na przywiązanie, z którego korzystały od tamtej pory nie tylko wszystkie pozostałe części duszy Flechsiga, ale też wszystkie inne dusze ze świty tegoż, w szczególności dusza v.W., a w końcu i Boża wszechmoc. I w ten to sposób „doziemne umocnienie” stało się trwałym urządzeniem, które istnieje po dziś dzień i które doprowadziło do dalszych konsekwencji, a dokładnie do „systemu zapisów”, który jeszcze przedstawię. Nie zaprzeczam, że wyobrażenie, iż moje znajdujące się na Ziemi ciało jest powiązane napiętymi nerwami z innymi ciałami niebieskimi, jest dla człowieka, przy uwzględnieniu wchodzących w grę odległości, prawie nie do pojęcia; mimo to nie mogę jednak po codziennych doświadczeniach ostatnich sześciu lat żywić żadnych wątpliwości co do obiektywnej prawdziwości tej okoliczności.

Wspomniany system zapisu to fakt, jaki z całą pewnością będzie trudno uczynić choć w pewnym stopniu zrozumiałym dla innych ludzi. Każdy dzień dostarcza mi przytłaczających dowodów na jego realność, a jednak i dla mnie należy on do obszaru rzeczy niepojętych, jako że cel, który mu przyświeca, każdy znający ludzką naturę od samego początku uznać by musiał za nieosiągalny. Przy czym chodzi tu o byt doraźny, w przypadku którego trudno mi podjąć decyzję, czy powód jego stworzenia wynika z fałszywej (sprzecznej z porządkiem świata) woli, czy też z nieprawidłowego myślenia.

Prowadzone są *Księgi i inne zapiski*, w których już od lat notowane są wszystkie moje myśli, wszystkie powiedzenia, wszystkie moje przedmioty codziennego użytku, wszystkie inne rzeczy będące w moim posiadaniu lub znajdujące się w pobliżu mnie, wszystkie osoby, z którymi obcuje itp. Kto zajmuje się notowaniem, nie mogę także z całą pewnością powiedzieć. Jako że nie mogę sobie wyobrazić, iż Bożej wszechmocy brak jakiegokolwiek inteligencji, przypuszczam, że zapisywaniem zajmują się istoty przebywające na odległych ciałach niebieskich, którym nadano człowieczą postać podobnie do „pobieżnie wytworzonych ludzi”, jednak całkowicie pozbawiono rozumu, a którym przez mijające je promienie wciśnięte zostały w dłoń pióra w celu zupełnie mechanicznego zapisywania odpowiednich rzeczy tak, by późniejsze promienie mogły rzeczy zapisane znów odczytać.

Aby umożliwić zrozumienie celu całego tego urządzenia, muszę poczynić szerszą dygresję. U podstaw wszystkich zamachów, jakie były przez lata czynione na moje życie, moją cielesną integralność, moją męskość i mój umysł, leżała i ciągle jeszcze leży ta sama myśl, a mianowicie taka, by znów wyjść spod wpływu znacznie przewyższającej wszystko dotychczasowe siły przyciągania moich nadmiernie pobudzonych nerwów. Z początku planowano w tym celu – prawdopodobnie mając świadomość leżącej u podstaw porządku świata tendencji (według rozdziału IV) – moje „odmęczyźnienie”. Odmęczyźnienie to nie miało przy tym jednak w zamiarze odnowienia ludzkości na zasadach zgodnych z porządkiem świata, lecz miało mi tym przysporzyć tylko wstydu, bo w dziwny sposób zakładano albo może próbowano okłamywać samego siebie, że odmęczyźnione ciało utraci siłę przyciągania promieni. Jeszcze długo po moim przyjeździe do zakładu w Sonnenstein pokutowała, jeśli wolno mi tak powiedzieć, w głowach dusz myśl moim odmęczyźnieniu. Mniejsze części duszy Flechsig, które znajdowały się daleko ode mnie i dlatego czasem przez dłuższy czas nie miały kontaktu z moimi nerwami, zwykle były wielokrotnie, niby zdziwione, zapytywać: „Czyżby on jeszcze nie był odmęczyźniony?” Boskim promieniom zdawało się nierzadko, że mogą mnie ze względu na podobno zbliżające się odmęczyźnienie wykpiwać jako „Miß Schreber”; jedno z często wówczas używanych, powtarzanych do zmęczenia powiedzeń brzmiało: „Bo ma Pan przecież zostać przedstawiony jako osoba oddana lubieżnym rozpustom”⁶² itp., itp. Ja sam odczuwałem oczywiście zagrożenie odmęczyźnieniem przez

⁶² Pojęcie „przedstawiania”, tj. nadawania jakiejś rzeczy lub osobie innego pozoru, niż jest on zgodny z jej rzeczywistą naturą (nazywając rzecz po ludzku – „falszowania”), odgrywało i odgrywa ciągle jeszcze w kręgu wyobrażeń dusz w ogóle wielką rolę. I tak także później mówiono przy określonych okazjach wielokrotnie: „Będzie Pan mianowicie przedstawiony jako ateista, jako ten, który popełnił mord na duszy” (por. wyżej – rozdział II) itp. Moim zdaniem takie wyobrażenie trzeba powiązać z faktem, że Bóg posiadał o żyjącym człowieku z reguły tylko zewnętrzne wrażenie, promienie zaś, nawiązujące z jakimś człowiekiem połączenie nerwowe, uzyskiwały ponadto podczas każdego „widzenia” (każdej chwili) tylko jedno jedyne wrażenie. Tylko tak mogę sobie wytłumaczyć całkowitą niezdolność do rozumienia człowieka jako żyjącego organizmu, której oczywiste dowody przedstawię jeszcze później. Być może próbowano sobie dlatego – zawsze w krytycznym położeniu, w jakie popadła Boża wszechmoc przez istnienie „sprawdzonej” duszy Flechsig – wmawiać, że gdy się o jakimś człowieku poweźmie *wyobrażenie* inne niż odpowiadałoby ono jego rzeczywistemu usposobieniu, to możliwe będzie *traktowanie* takiej osoby zgodnie z takim wyobrażeniem. Cała ta sprawa jest więc praktycznie zupełnie bezwartościowym samooszustwem, jako że człowiek dysponuje oczywiście w swym rzeczywistym zachowaniu i szczególnie w ludzkiej mowie środkami, które pozwalają mu na podkreślenie jego rzeczywistej specyfiki w odróżnieniu od zamierzonego „przedstawienia”.

długi czas, szczególnie jak długo była mowa o seksualnym wykorzystaniu w niecnym celu mego ciała przez innych ludzi, jako groźącą mi hańbę.

Dlatego też nerwy żeńskie lub nerwy rozkoszy, które już masowo wtargnęły do mojego ciała, nie mogły zyskać przez okres dłuższy niż rok żadnego wpływu na moje zachowanie i sposób myślenia. Tłumiłem każde ich poruszenie, mobilizując moje męskie poczucie honoru; mogłem to robić także dzięki świętości religijnych wyobrażeń, jakie mnie prawie bez wyjątku opanowywały. Właściwie obecności żeńskich nerwów stawałem się wręcz świadom tylko wówczas, gdy przy pewnych okazjach były one sztucznie przez promienie wprawiane w ruch, by spowodować ich strachliwe pobudzenie, a mnie „przedstawić” jako człowieka drżącego w kobiecej strachliwości. Z drugiej strony siła mojej woli nie mogła zapobiec temu, że szczególnie podczas leżenia w łóżku moje ciało przejmowało uczucie rozkoszy, które, będąc tzw. rozkoszą duszy – jak brzmi używane przez dusze określenie tego zjawiska, tj. rozkoszą, jaka duszom wystarcza, przez ludzi jest jednak odczuwana tylko jako ogólna fizyczna błogość bez właściwego seksualnego podniecenia – posiadała zwiększoną siłę przyciągania promieni (por. wyżej – rozdział VII, pod koniec).

Gdy zjawisko to występowało z biegiem czasu coraz wyraźniej, Bóg mógł sobie być chyba uświadomić, że odmęzczyźnienie jako środek do „poniechania” mnie, tj. do uwolnienia się od przyciągającego działania moich nerwów, na nic się nie zda. Dlatego pojawiła się myśl, by „zachować mnie po męskiej stronie”, ale – w gruncie rzeczy znów obłuda – nie po to, by mi przywrócić moje zdrowie, lecz by zniszczyć mój umysł albo mnie ogłupić. Nie wzięto wówczas pod uwagę możliwości, że nawet nerwy idioty, które raz zostały wprawione w stan silnego chorobliwego podniecenia, zachowają swe przyciągające właściwości, o ile naturalnie będą one w stanie odczuwać jeszcze ból, rozkosz, głód, zimno itp. Gromadzono więc na moim ciele nieprzerwanie, dzień po dniu i godzina po godzinie, trupi jad lub substancje gnilne, których nosicielami były promienie, by mnie wreszcie nimi przygnieść i pozbawić mnie rozumu. W jednym z kolejnych rozdziałów opowiem o szkodach, jakie czyniono na moim ciele przejściowo, ale po części w niezwykle groźny sposób.

Mam powody przypuszczać, że trupi jad lub substancje gnilne pochodziły z tych samych ciał niebieskich, do których się przywiązywano i gdzie promienie były, że tak powiem, załadowywane trupim jadem lub gnilnymi substancjami, lub które wchłaniały w locie. Pewnej części promieni nadano postać wyczarowanych ptaków, o czym opowiem obszerniej później. Wystąpiło przy tym wówczas zjawisko, że znajdujące się jeszcze na niebie sprawdzone dusze i pewne pozostałości przedsińków niebios, które zachowano, by się nimi

w pewnym stopniu obwarować, utraciły całkowicie swą inteligencję, nie posiadały więc już w ogóle żadnych własnych myśli. Z drugiej strony w naturze promieni leży chyba to, że jak tylko znajdą się w ruchu, muszą mówić; frazę wyrażającą tę prawidłowość – „Proszę nie zapominać, że promienie muszą mówić” – słyszałem moimi nerwami niezliczone razy. W rzeczywistości jednak już od lat w konsekwencji braku własnych myśli nie umieją one w zasadzie mówić o niczym innym, jak tylko o swych własnych cudach, w odniesieniu do których podsuwa się moim nerwom na zasadzie fałszerstwa odpowiednie myśli wyrażające obawy (np. „gdyby tylko moje palce nie były sparaliżowane” albo „gdyby tylko moja rzepka w kolanie nie była zaczarowana”), a także za każdym razem przeklinać to zajęcie, które właśnie chcę rozpocząć (np. „gdyby tylko ustała ta przeklęta gra na fortepianie”, jak tylko zasiadam do fortepianu, albo nawet „żeby wreszcie ustało to przeklęte czyszczenie paznokci”, jak tylko zabieram się do czyszczenia moich paznokci). Do tego posiadają one jeszcze tę bezgraniczną czelność – nie mogę użyć tutaj żadnego innego wyrażenia – przypuszczać, że te fałszywe bzdury miałbym wyrazić głośno w pewnym sensie jako własne myśli, a więc w taki sposób, że bezpośrednio po frazie „żeby tylko ustało to przeklęte granie na fortepianie” następuje pytanie: „Dlaczego nie powie Pan tego (głośno)?”, po czym znów pada zafałszowana odpowiedź: „Chyba dlatego, że jestem głupi”, albo „Bo się boję pana M.” (por. już wcześniejszy rozdział V, przypis 26.). Oczywiście zdarzają się także fazy, gdzie nie da się niczego powiedzieć ani o skierowanych przeciwko mojej osobie cudach, ani kiedy promienie, które mogą czytać moje myśli, nie mogą rozpoznać żadnego „zamyśłu” podjęcia tej czy innej czynności, innymi słowy – kiedy oddaję się niemyśleniu, szczególnie nocną porą, kiedy śpię lub w dzień zażywam chwilowo spokoju, albo kiedy nie myśląc, spaceruję w ogrodzie itp. Do wypełnienia tych przerw (tj. by promienie także i podczas tych przerw miały coś do powiedzenia) służy wówczas właśnie zapisany materiał, a więc w istocie rzeczy moje wcześniejsze myśli, a obok nich tylko nieliczne własne, stale powtarzające się dodatki, składające się z mniej lub bardziej bezsensownych, częściowo także uwłaczających powiedzeń, wulgarnych wyzwisk itp. Próbkę tych powiedzeń zamieszczę być może, by czytelnikowi dać przynajmniej ogólne pojęcie o tym, jaki bezsens muszą znosić moje nerwy już od lat, jako załącznik do niniejszej pracy.

Uwłaczające powiedzenia i wyzwiska mają bowiem na celu nakłonienie mnie mimo wszystko do głośnego mówienia i tym samym uniemożliwienie mi snu w nadającym się najlepiej do tego czasie; w niedopuszczeniu do snu kulminuje się mianowicie oprócz rozkoszy cała w swych właściwych celach całkowicie niejasna polityka dusz. Ponadto zapisywanie służy jeszcze jednemu trikowi, który z kolei polega na zupełnym niedocenianiu ludzkiego my-

ślenia. Sądzone, że poprzez zapisywanie można będzie wyczerpać u mnie możliwe zapasy myśli, tak że wreszcie będzie musiał przyjść moment, kiedy to nie pojawią się u mnie żadne nowe myśli; wyobrażenie takie jest naturalnie całkowicie absurdalne, jako że ludzka myśl jest niewyczerpywalna i na przykład czytanie książki, gazety itp. stale pobudza powstawanie nowych myśli. Wspomniany zręczny chwyt polegał na tym, że jak tylko powracała jakaś już kiedyś przeze mnie pomyślana myśl (nawroty takie są oczywiście przy licznych myślach całkiem nieuniknione, np. choćby rano myśl „chcę się umyć” albo podczas gry na fortepianie „to piękny fragment” itp.), „ładowano” ją po zarejestrowaniu danego rdzenia myśli na przebiegający akurat promień („to już kiedyś” *scilicet* zapisaliśmy), przez co promienie stawały się w nieopisany sposób niewrażliwe na przyciągające działanie omawianej właśnie myśli.

Muszę zrezygnować z prób jeszcze jaśniejszego niż powyżej przedstawienia systemu zapisywania i jego konsekwencji; komuś, kto sam nie doświadczył tego na własnych nerwach, nie uda mi się przecież umożliwić całkowitego zrozumienia. Mogę tylko zapewnić, że system zapisywania i pojawianie się tego „to już kiedyś” przy nawrocie jakiejś wcześniejszej myśli rozwinęło się do duchowej tortury, z powodu której ciężko cierpiałem przez lata, i do której mogłem się dopiero krok po kroku w pewnym stopniu przyzwyczaić; moja cierpliwość poddawana była przez to próbom, na jakie chyba jeszcze żaden człowiek zwłaszcza w tak trudnych zewnętrznych warunkach (ograniczenie wolności itp.), w których oprócz tego musiałem żyć, nie był narażony.⁶³ Wresz-

⁶³ Były czasy, kiedy to nie umiałem sobie pomóc inaczej, jak tylko głośno mówiąc lub w inny sposób hałasując, żeby tylko zagłuszyć tę równie bezsensowną, co bezwstydną gadaninę głosów i zapewnić moim nerwom chwilowy spokój. Dla lekarzy, którzy nie znali prawdziwego kontekstu, mogło się to wydawać szalem i prowadziło do odpowiedniego leczenia, jakie mi aplikowano przez lata przynajmniej w nocy. Że w wyrażeniu „duchowa tortura” nie leży żadna przesada, można wywnioskować z tego faktu, iż w czasie, kiedy spałem w izolatce (1896–1898), większość nocy coraz więcej spędzałem poza łóżkiem, niekiedy tłukąc pięściami w zamknięte okiennice albo wówczas, gdy okiennice zostały usunięte, stojąc przy otwartym oknie w zimowym chłodzie -8 i -10°R tylko w koszuli, drżąc z zimna na całym ciele (tym bardziej, że naturalne zimno jeszcze było wzmocnione cudem oziębienia), albo błędząc po całkowicie przez okiennice zaciemnionej celi, raniąc sobie głowę jej niskim sklepieniem, a wszystkie te stany i tak uznawałem za bardziej znośne niż leżenie w łóżku, w którym, o ile sen nie nadchodził, nie dało się wytrzymać.

Muszę być przygotowany na to, że ktoś wtrąci, pytając, dlaczego nie przedstawiłem wszystkich tych rzeczy lekarzom w formie skargi już wcześniej? Mogę odpowiedzieć na to tylko pytaniem, czy dano by mi jakąkolwiek wiarę po opisanie tych związanych z nadprzyrodzonymi okolicznościami zdarzeń? Już teraz musiałbym uznać za wielki triumf mej dialektycznej zręczności, gdybym za pomocą niniejszej, przybierającej rozmiary naukowego dzieła, pracy osiągnął taki sukces, że u lekarzy pojawiłyby się wątpliwości, że pokręciliby oni głową, dopuszczając możliwość, że może jednak w moich rzekomych urojeniach i złudzeniach zmy-

cie muszę jeszcze dodać, że podczas zamieszczonego powyżej opisu nieco się pod względem czasowym wysunąłem wprzód. Tak musiało się stać dla zachowania wątku; w rzeczywistości niektóre opisane zdarzenia należą częściowo do dużo późniejszego okresu, jak na przykład gra na fortepianie, o której przez jeszcze prawie rok od mego przybycia do Sonnenstein nie mogło być w moim przypadku mowy.

słowych jest jakieś ździebko prawdy. Bo już przy próbie tylko ustnej dyskusji raczej nie mógłbym liczyć na to, że ktoś będzie miał cierpliwość już choćby tylko wysłuchać mego dłuższego wykładu; za jeszcze mniej warte trudu uznano by chyba przemyślanie nad tymi rzekomymi bzdurami. Do tego dochodzi jeszcze to, że w pierwszym okresie mego tutaj pobytu uważałem lekarzy tylko za „pobieżnie wytworzonych ludzi” i byłem zdania, że na ich decyzje wywierają wpływ wrogo do mnie nastawione promienie – szczególnie pod ostatnim względem jest to wyobrażenie, które muszę zachować jako odpowiadające prawdzie, choć sami lekarze sobie tego z pewnością zgodnie z naturą rzeczy uświadomić nie mogą. Ponadto wrogie nastawienie promieni (tj. Boga) ustaje, jak tylko uzyskują pewność, że rozplyną się, odczuwając rozkosz dusz w mym ciele, albo ja jestem w stanie dowieść niezniszczalności, beznadziejności polityki skierowanej na jego unicestwienie. Na ten temat jeszcze szerzej w dalszej części.

Rozdział X. Osobiste przeżycia w Sonnenstein. „Zakłócenia” jako zjawiska towarzyszące ruchom promieni. „Manipulowanie nastrojami”

W pierwszych tygodniach mego pobytu w zakładzie Sonnenstein (w lipcu lub sierpniu 1894) wydarzyły się według mego przekonania jakieś ważne zmiany ze Słońcem. Jak już wcześniej, omawiając nadprzyrodzone sprawy, tak i tutaj muszę się ograniczyć do przekazania odczuwanych przeze mnie wrażeń, a w kwestii pytania, o jakie obiektywne zdarzenia chodziło przy tych zmianach, mam co najwyżej śmiałość wyrazić moje przypuszczenia. Pamiętam, że wówczas przez dłuższy czas istniało mniejsze w swej zewnętrznej postaci słońce. Było ono, jak już wspomniałem pod koniec rozdziału VIII, prowadzone najpierw przez duszę Flechsigą, później jednak przez duszę, której nerwy muszę uznać za identyczne z nerwami członka zarządu niniejszego zakładu, tajnego radcy dr. Webera. Pisząc te słowa, jestem w pełni świadom, że wszyscy inni ludzie uznają je tylko za czystą bzdurę, jako że tajny radca dr Weber, jak mam okazję także sam przekonywać się codziennie, przebywa jeszcze wśród żywych. Mimo to odczuwane wrażenia są dla mnie tak niezachwiane, że nie mogę odrzucić niepojętej dla ludzi i dającej się wyjaśnić tylko jako rzecz nadprzyrodzona możliwości, że tajny radca dr Weber już raz pożegnał się z życiem i wzniosł się ze swymi nerwami do błogostanu, potem jednak, tak jak pozostała część ludzkości, powrócił do życia.^{63a} To małe słońce zostało potem (prawdopodobnie po wyczerpaniu jego zasobów promieni) zastąpione przez inne. Przez wiele dni i nocy odbierałem przy tym najcudowniejsze i najwspanialsze wrażenia; moim zdaniem chodziło wówczas, jak już wspomniałem w przypisie 12., rozdział I, o ten moment, kiedy to pochłonięte

^{63a} Por. w kontekście właśnie powiedzianego i innych zastrzeżenie w słowie wstępnym.

zostały przednie regiony królestwa Bożego i po raz pierwszy na scenie pojawił się tylne regiony królestwa Bożego.

Wydaje mi się, że mam prawo sądzić, iż wówczas i *tylko* wówczas widziałem Bożą wszechmoc w jej doskonałej czystości. Nocą – i była to noc, o ile sobie dobrze przypominam, jedyna – pojawił się wyższy bóg (Aryman). Pełny blasku obraz jego promieni stał się – podczas kiedy leżałem w łóżku, ale nie śpiąc, lecz znajdując się w stanie czuwania – widoczny dla oczu mojej duszy (por. przypis 61.), odbił się na mym wewnętrznym systemie nerwowym. Równocześnie odebrałem jego mowę; ta jednak nie była – jak to było przed tym zdarzeniem i po nim bez wyjątku w przypadku gadania głosów – cichym szeptem, lecz rozbrzmiała silnym basem jakby bezpośrednio przed oknami mojej sypialni. Wrażenie było potężne i chyba każdy, kto nie był tak jak ja zahartowany przeciwko najokropniejszym wrażeniom powiązanych z cudami, mógł być zostać wystraszony do szpiku kości. Wszystko zdawało się być obliczone na szerzenie obaw i trwogi, a słowo „ścierwo” – w języku podstawowym pojęcie będące w zupełnie powszechnym użyciu, jeśli chodziło o to, by skazanemu na zagładę człowiekowi dać odczuć boską władzę i boski gniew – padało często. Wszystko, co zostało powiedziane, było autentyczne, nie były to, jak później, wyuczone na pamięć frazy, lecz bezpośredni wyraz rzeczywistego odczuwania.

Dlatego też wrażenie, jakie odczuwałem, było w całości przeważające części nie trwożliwym lękiem, lecz podziwem dla wspaniałości i doniosłości; stąd też i oddziaływanie na moje nerwy było – mimo czasem zawartych w słowach wyzwisk – dobroczynne. I dlatego też nie mogłem się powstrzymać, by – gdy „sprawdzone dusze”, przez chwilę trzymające się płochliwie z dala, po pewnym czasie znów odważyły się podejść bliżej – dać wyraz mym odczuciom, mówiąc: „O, jaka czystość” w stosunku do majestatu boskich promieni i „O, jaka podłość” w stosunku do sprawdzonych dusz. Boskie promienie czytały przy tym moje myśli, ale nie – jak to miało miejsce od tamtego czasu bez wyjątku – fałszywie, lecz dobrze, wprawiły je także same w ich słownej postaci w metrum⁶⁴ odpowiadające naturalnym poruszeniom

⁶⁴ Drgania ludzkiej duszy występują według pewnej regularnej intonacji, którą chyba najlepiej mogę określić przez użycie wyżej podanego wyrażenia „metrum”. Kwestię, czy chodzi tu może o to samo zjawisko, które Kräpelin nazywa pod koniec rozdziału VI cytowanego dzieła (6 wydanie) tom I, str. 117, „tykaniem Carotispulses (pulsu Carotis?)”, muszę tu pozostawić nierozstrzygniętą, gdyż nie znam sensu użytego przezeń określenia. Najłatwiej podporządkowują się tej intonacji słowa czterosylabowe, ale też sześciosylabowe. Dlatego też także w przypadku stosowanych w zapisanym materiale fraz do wyuczenia się na pamięć, których celem było oddalenie się od moich nerwów, wybierane były i wybierane są ciągle jeszcze takie słowa, które w możliwie największym stopniu przeciwstawiają się tej intonacji, np. mój własny tytuł „przewodniczący” (senatu).

ludzkich nerwów, tak że z tego wszystkiego odnosiłem mimo okropnych zjawisk towarzyszących uspokajające wrażenie i wreszcie zapadłem w sen.

Na następny dzień i może jeszcze w jeden lub dwa kolejne dni (a mianowicie w dzień mego pobytu w ogrodzie) zobaczyłem wyższego boga (Ormazda), tym razem jednak nie oczyma mojej duszy, lecz mymi fizycznymi narządami wzroku. Było to słońce, ale nie słońce w jego zwykłej, znanej wszystkim ludziom postaci, lecz otoczone srebrzyście lśniącem morzem promieni, które, jak już zaznaczyłem w przypisie 19. rozdziału I, zajmowało mniej więcej szóstą do ósmej części nieba. Nie liczby są tu oczywiście ważne; by ustrzec samego siebie przed niebezpieczeństwem przesady, uznam w zgodzie z moimi wspomnieniami także, iż mogło ono zajmować tylko dziesiątą lub dwunastą część nieba. Widok cechowała jednak tak czy inaczej tak obezwładniająca okazałość i wspaniałość, że lękałem się spoglądać nań bez przerwy, a próbowałem jak najwięcej odwracać oczy od tego zjawiska. Jest to jedna z tych wielu niepojętych dla mnie rzeczy, że w owym czasie egzystowali jakoby obok mnie już także inni ludzie, a w szczególności pielęgniarz M., który sam był znajdował się wówczas w moim towarzystwie, jak się zdawało pozostawał całkowicie nieczuły na to zjawisko. Wówczas jego obojętność nie dziwiła mnie właściwie, bo uważałem go za „pobieżnie wytworzonego człowieka”, prowadzącego jedynie wyimaginowane życie, i dlatego oczywiście nie mógł mieć zrozumienia dla wszystkich wrażeń, które u myślącego człowieka musiały wywołać najwyższe zainteresowanie. Na pytanie jednak, jak mam wytłumaczyć sobie fakt, że tak fenomenalne zjawisko mogło przejść bez pozostawienia śladu na nim (jeśli miałbym go uznać za prawdziwego człowieka) i na wielu tysiącach innych ludzi, którzy przecież w tym czasie musieli je widzieć także z innych miejsc, nie umiem odpowiedzieć. Oczywiście inni ludzie od razu wyciągną z rękawa hasło czystego „złudzenia zmysłów”, któremu ja rzekomo uległem. Niezachwialność moich wspomnień czyni jednak takie wytłumaczenie dla mnie subiektywnie wykluczonym, tym bardziej, że zjawisko to powtarzało się przez wiele kolejno po sobie następujących dni i każdego poszczególnego dnia utrzymywało się przez wiele godzin. Nie sądzę także, że myli mnie moja pamięć, gdy dodam jeszcze uwagę, że to bardziej lśniące słońce przemawiało do mnie tak, jak to się miało w przypadku słońca wcześniej i jak jest od tamtej pory nieprzerwanie aż do dziś.

Po kilku dniach cudowne zjawiska, o których mówiłem poprzednio, minęły; Słońce przybrało tę postać, którą od tamtej pory zachowało⁶⁵ bez

⁶⁵ Zresztą Słońce i teraz przedstawia dla mnie inny obraz, niż zachowałem go z czasów przed moją chorobą. Jego promienie bledną przede mną, gdy mówię doń głośno, zwrócony

dalszych przerw. Także i głosy znów posługiwały się podczas mówienia cichym szeptem. Wydaje mi się, że przyczyną tej zmiany było, iż w tym czasie także i Boża wszechmoc dała się nakłonić do zapoczątkowanego przez duszę Flechsiga „doziemnego uwiązania”. Gdyby dopływ czystych promieni mógł trwać dalej swobodnie, jak to się działo podczas wyżej opisanych dni i następujących po nich nocy, musiałyby nastąpić moim zdaniem w krótkim czasie albo moje wyleczenie, albo być może także odmężczyźnienie przy równoczesnym zapłodnieniu. Jako że ani jedno, ani drugie nie było pożądane, a kierowano się błędnym wyobrażeniem, że za każdym razem można będzie w krótkim czasie uwolnić się od siły przyciągania moich nerwów na drodze „poniechania”, to poprzez uwiązanie wprowadzono środki hamujące dopływ czystych promieni. Jak niewiele trwałych sukcesów przyniosła ta polityka, wyniknie z dalszej części.⁶⁶

w jego kierunku. Mogę spokojnie patrzeć w Słońce i oślepia mnie ono tylko w bardzo niewielkim stopniu, podczas gdy za mych zdrowych dni trwające kilka minut patrzenie w Słońce byłoby dla mnie, jak chyba i dla innych ludzi, całkowicie niemożliwe.

⁶⁶ Przy powyższym opisie występowania tylnych regionów królestwa Bożego w ich czystej postaci trzymałem się ściśle wyobrażenia, jakie sobie wówczas (w lipcu lub sierpniu 1894) wytworzyłem na podstawie doznanych wrażeń, i od tamtej pory wyobrażenie to przez lata zachowałem. Rozmyślając o tym obecnie, dochodzę do przekonania, że popełniłem wówczas błąd o tyle, że wydawało mi się, iż podczas owych zdarzeń nocą miałem do czynienia tylko z niższym bogiem (Arymanem), zaś podczas zjawisk za dnia tylko z wyższym bogiem (Ormazdem). Omyłkę tę można wyjaśnić w ten sposób, że nie znałem wówczas jeszcze cech charakterystycznych, na podstawie których *teraz* mogę po trwających przez lata kontaktach dokładnie rozpoznać, czy dochodzą do mnie promienie Arymana i głosy Arymana, czy też promienie Ormazda i głosy Ormazda: imię „Aryman” zostało mi podane najpierw i stosownie do tego uznałem wszystkie napływające wyżej opisanej nocy promienie za promienie wychodzące od niższego boga Arymana. Jako że jednak przez wszystkie od tego momentu minione lata *nigdy* nie było okresu, w którym niższy bóg i wyższy bóg nie występowali zawsze w krótkich odstępach czasu naprzemiennie, muszę uznać za prawdopodobne, że tak było także i przy pierwszym pojawieniu się tylnych regionów królestwa Bożego, i że w zjawiskach dziejących się zarówno pierwszej nocy, jak i następujących dni udział brali na przemian niższy i wyższy bóg. W związku z tym chcę jeszcze wspomnieć o tym, że niższy bóg (Aryman) i wyższy bóg (Ormazd) muszą być pojmowani, mimo występującej pod pewnymi względami jedności, jako istoty inne od Bożej wszechmocy, istoty, które – każda z nich osobno – także we wzajemnych stosunkach posiadają swój nadzwyczajny egoizm i nadzwyczajny instynkt samozachowawczy i dlatego też zawsze dążą do zaślania się drugim. Widzę to wyraźnie przy lekturze zapisków po obu stronach, o czym jeszcze bliżej opowiem w dalszej części (por. także treść powyższego przypisu 37.). Do konfliktu zwykle zgodnych interesów mogło także i tu dojść oczywiście tylko dlatego, że poprzez wtargnięcie obcych, nieczystych elementów („sprawdzonych” dusz) zanieczyszczona została czystość zgodnych z porządkiem świata stosunków, a stosownie do tego wzmocniona niezgodnie z porządkiem świata siła przyciągania jednego jedyne go człowieka urosła do prawdziwego zagrożenia dla regionów Bożego królestwa.

Życie zewnętrzne, jakie prowadziłem podczas niniejszym omawianego przeze mnie czasu – pierwszych miesięcy mego pobytu w zakładzie Sonnenstein – było ponad miarę jednostajne. Pomijając codziennie przed i po południu odbywane przeze mnie spacerunki w ogrodzie, głównie siedziałem cały dzień bez ruchu na krześle przed moim stołem, nawet nie podchodziłem do okna, z którego zresztą i tak widać było tylko zielone drzewa (por. wyżej); nawet w ogrodzie czas spędzałem najchętniej siedząc w tym samym miejscu i tylko od czasu do czasu byłem właściwie wbrew mojej woli nakłaniany przez pielęgniarki do przechadzek. Co prawda jednak nawet gdybym wykazywał jakiejkolwiek skłonności do zajmowania się czymkolwiek, brakowałoby mi prawie całkowicie okazji ku temu; w owym czasie wszystkie schowki w obydwu przeze mnie zamieszkałych pokojach były trzymane zamknięte, a klucze zabrane, tak że pozostała mi do dyspozycji tylko jedna jedyna szuflada komody z kilkoma szczotkami i tym podobnymi rzeczami. Materiałów piśmiennych nie posiadałem; wszystkie moje przedmioty użytkowe (odzież, zegar, portfel, nóż, nożyczki itp.) mi odebrano, w moim pokoju znajdowało się może tylko cztery albo pięć książek, które od biedy mógłbym być czytać, gdybym odczuwał skłonność do czytania. Główna przyczyna mojego bezruchu leżała jednak nie w istniejącym co prawda faktycznie braku przedmiotów umożliwiających jakiejkolwiek zajęcie, lecz w tym, że absolutną pasywność uważałem niejako za swój religijny obowiązek.

Takie wyobrażenie nie powstało we mnie samo z siebie, lecz zostało wywołane przez rozmawiające ze mną głosy, potem w samej rzeczy jednak przez dłuższy czas było ono przeze mnie zachowywane aż do chwili, kiedy dostrzegłem bezcelowość takiego zachowania. Że całkowity bezruch był ode mnie w ogóle przez głosy wymagany (często powtarzanym wobec mnie hasłem było: „Żadnego nawet najmniejszego ruchu”) trzeba zaś według mego przekonania postrzegać w kontekście faktu, że Bóg nie umiał, że tak powiem, obchodzić się z żyjącymi ludźmi, lecz był przyzwyczajony do obcowania ze zwłokami lub co najwyżej ze znajdującymi się we śnie (śniącymi) ludźmi. Stąd właśnie wynikło to wręcz niesłychane żądanie, bym ja sam zachowywał się w pewnym stopniu jak zwłoki, oraz szereg jeszcze innych mniej lub bardziej głupich oczekiwań. Jak tylko wyczarowany zostanie w pobliżu mnie jakiś dźwięk, co dzieje się czy to przez mówienie albo inne oznaki życia ze strony ludzi, czy to przez trzeszczenie ścian, skrzypienie podłóg itp., nieustannie z niewielkimi tylko przerwami, nazywa się to, w dziwnym pomieszczeniu pojęć, odczuwanym przeze mnie jako uciążliwe „zakłócenie” i wtłacza się we mnie, pobudzając moje nerwy do odpowiadających tym słowom drgań, fałszywą, powracającą każdego dnia wielokrotnie frazę: „Gdybyż tylko te przeklęte zakłócenia ustały”, podczas gdy w rzeczywistości

dźwięki te wręcz odwrotnie, wywołują u promieni tak zwane myśli słyszenia i odbierane są przez nie, oddziałując na nie odstraszająco, podczas gdy ponadto – za panowania zgodnych z porządkiem świata stosunków – żadnemu człowiekowi oczywiście nigdy by nie przyszła do głowy myśl, by np. mowę innych ludzi uznawać za nieprzyjemne dla niego zakłócenie.⁶⁷

Wydaje mi się, że wolno mi doszukiwać się przyczyn powstania całego tego zupełnie opacznego sposobu pojmowania we wspomnieniach o procesach, które były regularnymi zjawiskami towarzyszącymi nerwowym połączeniom nawiązywanym ze śpiącym (śniącym) człowiekiem. Takim połączeniem nerwowym stwarzano przejściowe powiązanie pomiędzy boskimi promieniami a nerwami danego człowieka; połączenie takie tworzone oczywiście tylko na krótki czas, na przykład w celu inspiracji w temacie rzeczy dotyczących zaświatów (por. rozdział I), innego zapłodnienia poetyckiej fantazji itp. By nie ulec na trwałe sile przyciągania określonych nerwów, która to siła mogła stać się dla Boga niebezpieczna, trzeba było się znów uwolnić po osiągnięciu celu; dlatego właśnie wyczarowywano niewielkie dźwięki (tzw. zakłócenia, jak się je wobec mnie nazywa), przez co odwracana była w innym kierunku uwaga śpiącej, być może właśnie budzącej się osoby, a ten krótki czas odwróconej uwagi wystarczał przy nieznanym się w najwyższym podnieceniu, jak moje, nerwach na zakończenie nerwowego połączenia i na wycofanie się od danego człowieka. Przy łatwości takiego odwrotu nie mogło być nawet mowy o jakimkolwiek poważnym zagrożeniu dla Boga, o ile chodziło o jedynie umiarkowane pobudzone nerwy. Wspomnienie o tych zdarzeniach przeniesiono teraz na stosunek ze mną, nie uwzględniając jednak faktu, że moje powiązania z boskimi promieniami stały się już od dawna ze względu na bezmiernie wzmocnioną siłę przyciągania moich nerwów nierozwiązywalne.

Wymagany ode mnie bezruch pojmowałem jako mój obowiązek, który spoczywa na mnie zarówno w interesie samozachowania, jak i wobec Boga, by go uwolnić z opresji, w jaką był popadł za sprawą „sprawdzonych” dusz. Doszedłem do przekonania – zresztą chyba faktycznie niepozbanionego podstaw – że straty promieni rosły, gdy poruszałem się z większą częstotliwością (także gdy przez pokój szedł ciąg powietrza), a przy świętej bojaźliwości, jaką odczuwałem jeszcze wówczas wobec boskich promieni, mając

⁶⁷ Wiąże się z tym dla mnie jednak bądź co bądź nieprzyjemny stan o tyle, że – jak już wspominałem w rozdziale VII – każde słowo (na skutek wynikającego z czarowania pobudzenia odpowiednich ludzkich nerwów) wypowiedane niedaleko mnie odbieram równocześnie z uczuciem bólu, który przez mającą jednocześnie miejsce próbę odsunięcia się (doziemnie umocnionych) promieni wyraża się jako czasami bardzo nieprzyjemne szarpanie w głowie.

świadomość ich wysokich celów i jednocześnie niepewność, czy istnieje faktycznie jakaś wieczność, czy też promienie mogą się nagle skończyć, uważałem za moje zadanie zapobiegać, o ile zależało to ode mnie, każdemu marnotrawieniu promieni. Wyrobiłem sobie także pogląd, przy równoczesnym wpływie wyrażających swe zdanie głosów, które w tym sensie nieustannie do mnie przemawiały, że ściąganie „sprawdzonych” dusz w celu ich całkowitego rozpuszczenia w moim ciele, a tym samym odbudowania boskiego jednowładztwa na niebie, będzie łatwiejsze, jeśli utrzymam moje ciało w stałym spoczynku. I tak dokonałem przez wiele tygodni i miesięcy niemal niewiarygodnego poświęcenia i powstrzymywałem się przed prawie każdym zajęciem poza rozmową z głosami; posunęło się to tak daleko, że nawet nocami, które wydawały się szczególnie ważne, gdyż wchłaniania „sprawdzonych” dusz można było najprędzej spodziewać się we śnie, nie odważyłem się zmieniać mego położenia w łóżku. Ofiarę tę ponosiłem, ponieważ wprawdzie już otrzymałem kilka próbek „połowicznej zjadliwości” polityki Bożej wszechmocy uprawianej przeciwko mnie, nie mogłem jednak jeszcze wówczas uwierzyć w faktyczną złą wolę Boga wobec mnie.

Zmiana w tych stosunkach nastąpiła dopiero mniej więcej pod koniec roku 1894 albo z początkiem roku 1895, a mianowicie prawie równocześnie z tym cudownym zjawiskiem, które przez część głosów dostrzegających leżącą w nim niesprawiedliwość nazywane było „przeklętym robieniem nastroju”. Stale podejmowanym dążeniem do odsunięcia się ode mnie („poniechania” mnie) przeciwstawiała się mianowicie przede wszystkim świętość mojego sposobu myślenia, która musiała oddziaływać przyciągająco na wszystkie bardziej czyste dusze i promienie, oraz głęboka powaga pojmowania przeze mnie mojej relacji z Bogiem i własnej życiowej sytuacji. Dlatego też zaczęto cudami fałszować mój nastrój, by zapewnić sobie wrażenie człowieka lekkomyślnego, oddającego się tylko przyjemnościom chwili (by mnie jako takiego „przedstawić”, por. wyżej – przypis 62.). Wywieranie cudami takiego wpływu na nastrój jest, jak nauczyło mnie doświadczenie, *możliwe*, ale nie umiem podać bliższego wyjaśnienia, jak to jest; by umożliwić czytelnikowi choćby przybliżone wyobrażenie sobie tego procesu, mogę posłużyć się tylko porównaniem, przypominając, że jak wiadomo również zażycie morfiny ma działanie powodujące także u dręczonego fizycznym bólem albo znajdującego się stanie duchowego niżu człowieka zmianę nastroju na stosunkowo pogodny albo przynajmniej obojętny.

Z początku opierałem się oddziaływaniu „robienia nastroju” (cudowi fałszowania nastroju); z czasem jednak uznałem za wygodne poddawanie się jego wpływowi, gdyż zauważyłem, że w istocie rzeczy czułem się subiektywnie mniej nieszczęśliwy, a także dlatego, że i tak musiałem sobie na dodatek

powiedzieć, iż przy całej świętości mego sposobu myślenia i przy wszystkich moich pełnych poświęceń wysiłkach wspierania Boga w zwalczaniu „sprawdzonych” dusz nie osiągnąłem żadnych znaczących wyników. Zacząłem postrzegać moje położenie z większą obojętnością, przypominałem sobie *carpe diem* Horacego, próbowałem w miarę możliwości wyciszyć troski o przyszłość i żyć, korzystając ze wszystkiego, co życie jeszcze mi miało do zaoferowania. Znalazło to wyraz między innymi w ponownym rozpoczęciu palenia cygar na przełomie 1894 i 1895 roku, od którego się długo całkowicie powstrzymywałem. Z drugiej strony właściwy cel, jaki promienie chciały osiągnąć „robieniem nastroju”, nie został osiągnięty w ogóle. Siła przyciągania utrzymywała się niezależnie od odmienionego nastroju, czułem się jedynie już nie tak bardzo nieszczęśliwy, jak kiedyś. Potwierdziła się więc także i tutaj zasada, działająca przy prawie wszystkich sprzecznych z porządkiem świata cudach, wyrażona słowami poety w odniesieniu do manifestacji tej siły, „która stale zamierza zło, a czyni dobro”.

Rozumie się właściwie samo przez się, że moje wcześniej opisane zachowanie nie mogło być wówczas dobrze oceniane przez moje otoczenie, w szczególności przez lekarzy i pielęgniarzy, o ile chcę założyć, że byli oni już wtedy prawdziwymi ludźmi. Jako że nic nie wzbudzało mojego zainteresowania i nie przejawiałem żadnych duchowych potrzeb, nie mogli oni widzieć we mnie nikogo innego, jak tylko człowieka, który popadł w senne otępienie. A przecież rzeczywistość była o niebo oddalona od pozorów; żyłem w świadomości – i także teraz trwam w przekonaniu, że ta świadomość pokrywała się z prawdą – że muszę rozwiązać najtrudniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek zostało postawione człowiekowi, i że prowadzę świętą walkę o najwyższe dobra ludzkości. Mylące pozory odwrotności spowodowały jednak niestety ogromną ilość niegodności w traktowaniu mojej osoby, z powodu których ciężko cierpiałem przez lata i podczas których czasami wydawało się, że całkowicie zapomniano o mojej społecznej pozycji i wysokim urzędzie, jaki sprawowałem. Zdarzało się wielokrotnie, że pielęgniarz M. wrzucał mnie podczas kąpieli, jaką chciałem zakończyć w odpowiednim czasie, z powrotem do wanny, albo rankiem, gdy nadszedł czas wstawania i chciałem się podnieść z łóżka, z nieznanym mi powodem znów do łóżka, albo w dzień, gdy siedząc przy stole, właśnie miałem zapaść w drzemkę, wybudzał mnie ze snu skubaniem za brodę, albo wyczesywał mi w łazience włosy gęstym grzebieniem i to w czasie, gdy ciągi promieni robiły głębokie bruzdy w mojej głowie (por. następny rozdział). Podczas posiłków zwykły był przez jakiś czas zawiązywać mi serwetkę jak małemu dziecku pod brodę. Cygara wyliczano mi pojedynczo, sztuka po sztuce, w określonych porach dnia; dopiero po upływie kilku lat osiągnąłem taki stan, że rankiem wkładano do

mego etui na cygara za każdym razem cały dzienny zapas na raz, a jeszcze później oddano mi do dyspozycji i na zapas całą skrzynkę zawierającą sto cygar. Kiedyś musiałem znieść policzek od innego pielęgniarza. W niektórych przypadkach stawiałem faktyczny opór przy wspomnianych upokorzeniach, na przykład wówczas, gdy chciano z mojej zamykanej z zewnątrz sypialni usunąć przed pójściem spać nocnik albo zamiast tejże sypialni na noc znów przydzielić jedną z urządzonych dla szaleńców cel. Później zaniechałem stawiania oporu, gdyż prowadziło to jedynie do bezcelowych brutalnych scen; milczałem i cierpiałem.

Naturalnie nic nie jest mi tak dalekie, jak chęć, by opowieściami o doznanych niegodnych sposobach traktowania zadenuncjować pielęgniarza M. lub innych u ich przełożonych. Wykroczenia, jakich dopuszczał się czasem M., zapisuję na konto jego niedostatecznego wykształcenia; w późniejszych latach usługiwał mi on też w zasadzie ku mojemu pełnemu zadowoleniu, choć zawsze pozostał ślad pewnej sobiepańskości, do której był on kiedyś przywykły. Nie mogłem jednak zrezygnować z zamieszczenia informacji o takich posunięciach, by zaznaczyć ogrom zniewag, jakie przez lata musiałem znosić przy najgłębszym ranieniu mojego zawsze żywego poczucia honoru.

Do całości obrazu mego życiowego położenia w pierwszym okresie mego pobytu w zakładzie Sonnenstein brak jeszcze opisu czynionych przeciwko mnie cudów, który zamierzam zamieścić w następnym rozdziale.

Rozdział XI. Uszkodzenie cudami spójności ciała

Od samego początku mych powiązań z Bogiem aż do dnia dzisiejszego ciało moje było nieustannie przedmiotem boskich cudów. Gdybym chciał szczegółowo opisać każdy z tych cudów, mógłbym samymi tylko opisami wypełnić całą książkę. Mogę powiedzieć, że nie ma chyba jednego członka albo narządu mego ciała, który by nie był przejściowo uszkodzony na skutek cudu, jednego mięśnia, którym by nie szarpano, by w zależności od charakteru zamierzonego efektu wprowadzić go w ruch albo unieruchomić. Jeszcze po dziś dzień cuda, które przeżywam w każdej godzinie, mają takie właściwości, że każdego innego człowieka musiałyby wprowadzić w stan śmiertelnego przerażenia; tylko dzięki trwającemu lata procesowi przyzwyczajania się dotarłem do etapu, w którym nie dostrzegam większości z tych cudów, traktując je jako drobnostki. W pierwszym roku mego pobytu w zakładzie Sonnenstein cuda te miały jednak tak groźną naturę, że prawie nieprzerwanie sądziłem, iż muszę obawiać się o moje życie, moje zdrowie i mój rozum.

Stan, gdzie promienie służą w istocie do tego, by jednemu jedyemu człowiekowi czynić szkody na jego ciele albo płatać mu figle w odniesieniu do przedmiotów, którymi się on zajmuje – w ostatnim czasie coraz częstsze stają się bowiem i takie niewinne cuda – trzeba w całości uznać za niezgodny z porządkiem świata. Gdyż promienie mają za zadanie tworzenie, a nie niszczenie i dziecinne zabawy. Dlatego też wszystkie cuda, jakie były skierowane przeciwko mnie, w dłuższej perspektywie chybiają celu; co nieczyste promienie zniszczyły lub uszkodziły, czyste promienie muszą znów odbudować lub wyleczyć (por. wcześniejszy rozdział VII, przypis 48.). Nie oznacza to jednak, że przynajmniej przejściowo wyrządzane są zasługujące na uwagę, budzące wrażenie największych zagrożeń szkody, albo że mogą z tego wyniknąć bolesne stany.

Zgodne z porządkiem świata wydawały się być jeszcze najbardziej te cuda, które zdawały się być jakoś powiązane z odmężczyźnieniem, jakie miało być przeprowadzone na moim ciele. Należały do tej grupy cudów zwłaszcza rozmaite przeobrażenia mych *narządów płciowych*, sporadyczne przypadki występujące (szczególnie w łóżku) jako zapowiedź rzeczywistego wciągnięcia członka, częściej jednak – gdy w procesie tym uczestniczyły przeważnie nieczyste promienie – jako zmiękczenie tegoż zbliżone do prawie całkowitego rozpuszczenia się; dalej wyciągnięcie czarami włosów zarostu, zwłaszcza wąsów, wreszcie *zmiana całej postaci* (zmniejszenie rozmiaru ciała), polegająca prawdopodobnie na koncentracji kręgów pleców i może także substancji kostnej ud. Ostatni, czyniony przez niższego boga (Arymana), cud był regularnie przezeń zapowiadany towarzyszącymi mu słowami „Czy Pana trochę pomniejszę?”; sam mam przy tym wrażenie, jakby moje ciało zmniejszyło się o jakieś sześć do ośmiu centymetrów, czyli że zbliżyło się do żeńskich rozmiarów.

Bardzo różnorodne były te cuda, którym podlegały organy wewnętrzne klatki piersiowej i jamy brzusznej. Najmniej mogę powiedzieć na temat *serca*; pamiętam tylko, że miałem raz – a mianowicie jeszcze za czasów mego pobytu w Lipskiej Klinice Uniwersyteckiej dla Nerwowo Chorych – inne serce.⁶⁸ Moje płuca natomiast były przez długi czas przedmiotem gwałtownych i bardzo groźnych ataków. Z natury mam bardzo zdrowe piersi i płuca; cudami jednak płuca moje tak zostały poturbowane, że wydawało mi się jakiś czas, iż muszę się poważnie obawiać śmierci na skutek suchot. Wielokrotnie cudem umieszczano w moich płucach tak zwanego płucnego robaka, o którym nie mogę powiedzieć, czy był istotą podobną do zwierzęcia, czy też stworzeniem posiadającym duszę; wiem tylko, że jego pojawienie się powiązane było z piekącym bólem w płucach, takim, jaki – wyobrażałem sobie – towarzyszy zapaleniu płuc. Moje płaty płucne były chwilami prawie całkowicie w zaniku, nie umiem powiedzieć, czy w wyniku działalności płucnego robaka, czy na skutek cudów innego rodzaju; miałem wyraźne odczucie, że moja przepona znajduje się całkiem wysoko w piersi, prawie bezpośrednio pod krtanią, i że między nimi znajdują się tylko niewielkie

⁶⁸ Będzie to, jak cała moja opowieść o czynionych z moim ciałem cudach, brzmieć dla wszystkich ludzi ponad miarę dziwnie i pewnie będą oni skłonni uznawać ją tylko za wytwór chorobliwie pobudzonej fantazji. Wobec tego mogę tylko zapewnić, że prawie żadne wspomnienie z mojego życia nie jest dla mnie pewniejsze niż opowiedziane w tym rozdziale cuda. Gdyż cóż pewniejszego może być dla człowieka, niż to, czego doznaje i doświadcza na własnym ciele? Nie można być może wykluczyć drobnych pomyłek odnośnie nazw wymienianych organów, co wynikać może z mej tylko niefachowej anatomicznej wiedzy; wydaje mi się jednak, że w gruncie rzeczy trafiłem w tym względzie we właściwe pojęcia.

resztki płuc, którymi prawie nie mogłem oddychać. Zdarzały się dni, kiedy podczas przechadzek w ogrodzie musiałem niejako zdobywać płuca każdym oddechem; gdyż to jest właśnie ta cudowna rzecz, że promienie, jako że tworzenie leży w ich naturze, nie mogą postępować inaczej, niż dostarczyć cierpiącemu ciału rzeczy najkonieczniejszych do jego przetrwania.

Mniej więcej w tym samym czasie większa lub mniejsza część moich *zeber* była niekiedy całkowicie roztrzaskana, zawsze z takim skutkiem, że roztrzaskane części znów były po jakimś czasie odtwarzane. Jednym z najszkaradniejszych cudów był tzw. cud zwężenia piersi, który przeżyłem co najmniej kilka tuzinów razy; wówczas to cała klatka piersiowa była ściskana tak, że powstające na skutek kłopotów z oddychaniem uczucie ucisku udzielało się całemu ciału. Cud zwężenia piersi występował także jeszcze sporadycznie w latach późniejszych, jednak w gruncie rzeczy należał on – jak i inne tutaj opisane cuda – do drugiej połowy 1894 i mniej więcej pierwszej połowy 1895 roku.

Jeśli zaś chodzi o żołądek, to już podczas mojego pobytu w zakładzie Flechsig'a wspomniany w rozdziale V wiedeński lekarz chorób nerwowych wczarował mi zamiast mego zdrowego naturalnego żołądka tak zwany żydowski żołądek dużo gorszej jakości. I później cuda skierowane były z upodobaniem przeciwko żołądkowi, częściowo dlatego, że dusze nie chciały pozwolić mi na związaną ze spożyciem potraw zmysłową przyjemność, po części zaś dlatego, że dusze w ogóle uważały się za coś lepszego niż niemogący się obejść bez ziemskiego pożywienia człowiek i dlatego spoglądały na całe jedzenie i picie z pewną pogardą.⁶⁹ Często zdarzało się, że żyłem przez dłuższy lub krótszy czas bez żołądka i niekiedy także pielęgniarkowi M., o czym pamięta jeszcze być może, wyraźnie mówiłem, że nie mogę jeść, bo nie mam żołądka. Czasem wyczarowywano mi żołądek, że tak powiem, *ad hoc* przed posiłkiem. Czyniła to zwłaszcza dusza v.W., która wobec mnie przynajmniej w niektórych jej postaciach przejawiała bardziej przyjacielskie nastawienie. Nie było ono co prawda nigdy trwałe; wyczarowany dla mnie, zresztą tylko gorszej jakości, żołądek, odbierała mi dusza v.W. w drodze cudu z reguły jeszcze podczas tego samego posiłku „z powodu zmienionego nastawienia”; duża zmienność jest zresztą w ogóle istotną cechą charakteru dusz, może za wyjątkiem całkiem czystych boskich promieni. Spożyte potrawy i napoje rozlewały się wówczas bez przeszkód do jamy brzusznej i ud;

⁶⁹ Było to takie uczucie, powodowany którym np. Komandor w *Don Juanie* tam, gdzie występuje on przeciwko Don Juanowi jako duch zmarłego, odmawia spożycia proponowanego mu posiłku, mówiąc: „Wiedz, że wstrętne mi są ziemskie potrawy itp.”

wyrazistość tego doznania nie pozostawia dla mnie, mimo że wszystko to brzmi tak niewiarygodnie, żadnych wątpliwości.

U każdego innego człowieka musiałyby naturalnie powstać przez to stany ropiejące kończące się nieuchronną śmiercią; dla mnie jednak rozprzestrzenianie się na wpół przetrawionych potraw nie było wcale szkodliwe, bo wszystkie nieczyste substancje w moim ciele znów były wysysane przez promienie. W konsekwencji tego później wielokrotnie jadłem bez żołądka, nie odczuwając żadnej troski; w ogóle przyzwyczailem się stopniowo do całkowitej obojętności w stosunku do wszystkiego, co działo się z moim ciałem. Także i teraz żywię przekonanie, że jestem odporny na wszelkie naturalne wpływy chorobowe; zarodki chorób powstają we mnie tylko na skutek działania promieni i są potem tak samo przez promienie usuwane. Mam wręcz poważne wątpliwości, czy w ogóle jestem, jak długo trwa obcowanie z promieniami, śmiertelny, czy na przykład nie mógłbym przyjąć najmocniejszej trucizny bez znacznej szkody dla mego życia i zdrowia.⁷⁰ Bo cóż innego mogą zdziałać trucizny, niż zniszczyć jakieś ważne narządy lub powodować rozkład krwi? Obydwie te rzeczy przytrafiły mi się za sprawą promieni i bez trwałych szkodliwych skutków już niezliczone razy.⁷¹

Z innych wewnętrznych organów chcę jeszcze tylko wspomnieć przełyk i jelita⁷², które były przerwane lub znikwały wielokrotnie, następnie krtań, którą więcej niż raz zjadłem częściowo z posiłkami, i wreszcie powróżek nasieny, przeciwko któremu wyczyniano częściowo bardzo bolesne cuda, głównie po to, by stłumić powstające w moim ciele uczucie rozkoszy. Ponadto muszę jeszcze wspomnieć o cudzie obejmującym całe podbrzusze, tak zwanym *gniciu podbrzusza*. Cud ten pochodził regularnie od duszy v.W. w jej najmniej czystej postaci, która dlatego też – w odróżnieniu od innych części duszy v.W. – otrzymała nazwę „zgnilizny podbrzusza v.W.” Dusza ta wprowadzała z doskonałą bezwzględnością do mego brzucha substancje gnilne powodu-

⁷⁰ Nie potrzeba pewnie nadmieniać, że jest to tylko hipotetyczne rozważanie i że ani trochę nie myślę przeprowadzać naprawę takich eksperymentów na moim ciele, podczas których nie obyłyby się przynajmniej bez silnych bólów.

⁷¹ Jako drobny dowód prawdziwości mego założenia, że stałem się, że tak powiem, nienaruszalny, chcę przytoczyć fakt, iż podczas gdy za moich zdrowych dni każdej zimy zwykł mnie być nawiedzać trwający wiele dni silny katar, przez sześć lat mego pobytu tutaj prawie nigdy nie miałem prawdziwego kataru. Gdyby teraz chciały się wytworzyć w naturalny sposób kataralne zapalenia śluzówki nosa – na czym przecież chyba polega istota kataru – to promienie natychmiast napłynęłyby w takiej ilości do chorej części ciała, że katar zostałby stłumiony już w zarodku.

⁷² Cudami sprowadzano na mnie także wielokrotnie dość groźne skręty kiszek, które jednak zwykle mijały po krótkim czasie.

jące gnicie podbrzusza, tak że więcej niż raz zdawało mi się, iż będę musiał zgnić na żywo, i odór zgnilizny wydobywał się z mych ust w najwstrętniejszy sposób. Dusza v.W. liczyła przy tym na to, że gnicie podbrzusza zostanie usunięte przez boskie promienie, co też działo się zawsze dzięki posiadającym całkiem specyficzną, odpowiadającą temu celowi, właściwość promieniom, które wciskały się w moje jelita jak klin i wysysały zgniliznę. Zdawało się, jakby boskie promienie działały w instynktownej świadomości, że byłoby dla nich na wskroś obrzydliwe musieć dać się przyciągać przez gnijące ciało. Wyobrażenie to powracało w wielokrotnie powtarzanym haśle, że chce się mnie poniechać przynajmniej „o zdrowym ciele”; naturalnie i to wyobrażenie znów cechowała zwykła niejasność, bo w sposób oczywisty nie zadano sobie trudu dowiedzenia się, czy i na skutek czego właściwie nerwy „poniechanego” ciała miałyby utracić swą siłę przyciągania.

Najgroźniejsze wydawały się mi samemu te cuda, które w jakikolwiek sposób były skierowane przeciwko rozumowi. W pierwszym rzędzie chodziło przy tym o głowę; w drugiej linii w grę wchodził podczas pewnego (chyba trwającego kilka tygodni) okresu mniej więcej jesienią 1894 także rdzeń kręgowy, który wówczas uważany był obok głowy za siedzibę rozumu. Dlatego też próbowano mi osuszyć rdzeń kręgowy, co wykonywane było przez tak zwanych małych ludzi, których włożono mi w stopy. O tych „małych ludziach”, zdradzających pewne pokrewieństwo z omawianym już w rozdziale VI zjawiskiem o tej samej nazwie, opowiem więcej w dalszej części; z reguły było ich zawsze dwóch, „mały Flechsig” i „mały v.W.”, a ich głosy słyszałem także w moich stopach. Osuszanie miało taki skutek, że zwłaszcza podczas spacerów w ogrodzie rdzeń kręgowy wydobywał się ze mnie przez usta niekiedy w dużej ilości w postaci małych chmur. Można sobie wyobrazić, jaką troską napełniały mnie takie zdarzenia, gdyż nie wiedziałem wówczas jeszcze, czy tym samym faktycznie jakaś część mego rozumu nie ulatnia się w powietrzu. Wyprawianie cudów przeciwko mojej głowie i nerwom głowy odbywało się w bardzo różnorodny sposób. Próbowano wyciągać mi nerwy z głowy, przez jakiś czas nawet (podczas nocy) przenieść je do głowy śpiącego w pokoju obok M. Próby te skutkowały (pomijając troskę o rzeczywistą utratę moich nerwów) niemiłym uczuciem napięcia w głowie. Wyciąganie udawało się zawsze tylko w bardzo umiarkowanym stopniu, zdolność inercji moich nerwów okazywała się bowiem mocniejsza i na w pół wyciągnięte nerwy powracały po zawsze krótkim czasie znów do mojej głowy. Bardzo znaczne spustoszenia czyniły w moje czaszce tak zwane ciągi promieni, zjawisko trudne do opisanego, z którego mogę opisać tylko działanie, że moja czaszka była przez nie w często powtarzających się razach jakby piłowana w różnych kierunkach. Bardzo często miałem – a dzieje się tak też i teraz w okreso-

wych nawrotach codziennie – odczucie, że cała pokrywa mojej czaszki stała się cieńsza, a dzieje się tak według mnie dlatego, że materiał kostny mojej czaszki częściowo rozsypuje się chwilowo na proch pod niszczącym działaniem promieni, potem jednak jest znów wiązany przez promienie, zwłaszcza podczas snu. Można sobie wyobrazić, że przez wszystkie te zdarzenia muszą powstawać bardzo nieprzyjemne odczucia, gdy się pomyśli, że są to promienie – gdzieś w punktach wyjścia w jakiś sposób mechanicznie przywiązane – jakiegoś całego świata, które ciągną za jedną jedyną głowę i próbują ją rozerwać i rozbić w sposób, jak to się dzieje chyba przy ćwiartowaniu.

W czasie, o którym obecnie mówię, próbowano następnie wielokrotnie pokryć moje nerwy jakąś szkodliwą substancją; wydawało się, że cierpi na tym rzeczywiście naturalna zdolność nerwów do drgań, tak że ja sam miałem czasem wrażenie chwilowego ogłupienia. Jeden z używanych wówczas środków nosił nazwę „trucizny intoksykacyjnej”; nie umiem powiedzieć, czym on był, patrząc pod kątem jego chemicznej natury. Od czasu do czasu zdarzało się, że na drodze cudu przenoszono płyny pobrane z przyjętych przeze mnie pokarmów na moje nerwy głowy, tak że były one powleczone pewnego rodzaju kłajstrem, przez co cierpiała chwilowo zdolność myślenia; dokładnie przypominam sobie, że stało się tak raz z kawą.

Czyniono (i czyni się ciągle jeszcze) cuda z moimi mięśniami, by mi przeszkadzać we wszystkich ruchach lub ewentualnie tych zajęciach, które właśnie chciałem wykonać. I tak na przykład próbuje się sparaliżować moje palce, gdy gram na fortepianie albo piszę, a gdy spaceruję po korytarzu albo ogrodzie, próbuje się przysporzyć szkód mojej rzepce kolanowej, tak bym przestał móc chodzić. Skutki tego polegają w tej chwili przynajmniej prawie zawsze na pewnym utrudnieniu danego zajęcia lub umiarkowanych bólach przy chodzeniu.

Prawie nieprzerwanie cel cudów stanowią moje *oczy* i służące do ich zamykania i otwierania *mięśnie powiek*. Oczy były ważne od dawien dawna, gdyż promienie, które same w sobie wyposażone są w niszczącą siłę, po zobaczeniu czegoś tracą swą ostrość w stosunkowo krótkim czasie i umierają w moim ciele. Przedmiotem widzenia mogą być albo wrażenia wzrokowe (oczne), które promienie odbierają za pośrednictwem moich oczu, gdy te są otwarte, albo częściowo obrazy, które przy użyciu ludzkiej wyobraźni mogą wywoływać dowolnie na mym wewnętrznym systemie nerwowym, tak że stają się one w pewnym stopniu widoczne dla promieni. Do procesów tego ostatniego rodzaju, które w języku dusz nazywają się ludzkim „kreśleniem”, wróćę jeszcze w innym kontekście. Tutaj wspomnę tylko, że już bardzo wcześnie próbowano zamykać mi oczy wbrew mojej woli, właśnie

po to, by mnie pozbawić wrażeń wzrokowych i zachować niszczącą ostrość promieni, przy czym dążenie to utrzymało się także przez wszystkie minione od tego momentu lata. Zjawisko to da się zaobserwować u mnie prawie w każdym dowolnym momencie; kto zechce sobie zadać trud uważnego patrzenia, dostrzeże, że moje powieki, nawet podczas rozmowy z innymi ludźmi, nagle opadają lub zamykają się, co w naturalnych warunkach nie zdarza się u żadnego człowieka. By zachować wówczas oczy mimo to otwarte, muszę dokonać pewnego wysiłku woli; jako że jednakże nie zawsze jestem zainteresowany utrzymaniem moich oczu otwartych, więc z wygodnictwa chwilowo pozwalam na ich zamknięcie.

Wyczynianie cudów z moimi oczami było w pierwszych miesiącach mego tu pobytu dziełem „małych ludzi”, którzy posiadali podobne cechy do tych wspomnianych przeze mnie wyżej, przy omawianiu cudów z rdzeniem paciierzowym. Ci „mali ludzie” byli dla mnie jednym z najbardziej dziwnych i także dla mnie samego pod pewnym względem najbardziej zagadkowych zjawisk; po niezliczonych przypadkach, kiedy to widziałem „małych ludzi” oczyma mojej duszy⁷³ i słyszałem ich głosy, nie żywię najmniej wątpliwości co do obiektywnej realności wspomnianych wydarzeń. Najbardziej dziwne było właśnie to, że dusze lub ich poszczególne nerwy przybierały w pewnych warunkach i w pewnych celach formę małych ludzkich postaci (jak już wcześniej wspomniałem, wielkości mniej więcej kilku milimetrów) i jako takie grasowały częściowo we wnętrzu mojego ciała, a częściowo na jego powierzchni. Te, które zajmowały się otwieraniem i zamykaniem oczu, stały nad oczami w brwiach i ciągnęły stąd powieki cienkimi jak pajęczyna nićmi w zależności od nastroju w dół lub w górę. Także i tutaj byli z reguły „mały Flechsig” i „mały v.W.”, oprócz nich niekiedy „mały człowiek”, który wywodził się z wówczas jeszcze istniejącej duszy Daniela Fürchtegotta Flechsiga. Gdy czasami nie chciałem pozwolić na opuszczanie i podciąganie moich powiek i przeciwdziałiałem temu, wywoływało to zwykle niezadowolenie „małych ludzi” i witane było przez nich okrzykiem „Ścierwo!”. Gdy od czasu do czasu ścierałem ich z moich oczu gąbką, było mi to liczone przez promienie jako pewnego rodzaju zbrodnia przeciwko boskiej mocy czynienia cudów. Wycieranie miało zresztą tylko całkiem tymczasowy skutek, bo „mali ludzie” pojawiali się wnet znowu. Inni „mali ludzie” zbierali się w owym czasie prawie zawsze w dużej liczbie na mojej głowie. Tam nazywani byli „mały-

⁷³ Oczywiście nie można fizycznym okiem dostrzec tego, co się dzieje we wnętrzu własnego organizmu i w pewnych częściach powierzchni zewnętrznych, np. na głowie czy na plecach, można zaś to zrobić oczyma duszy, o ile – tak jak w moim przypadku – potrzebne do tego oświetlenie wewnętrznego systemu nerwowego jest dostarczane przez promienie.

mi diabłami”. Spacerowali wręcz po mojej głowie i powodowani ciekawością biegli zawsze tam, gdzie można było zobaczyć coś nowego z powodowanych na mojej głowie przez cuda zniszczeń. Brali w pewnym stopniu udział także w moich posiłkach, podkradając mi dla siebie często ze spożywanym przez mnie potraw oczywiście minimalną część; wówczas robili wrażenie nieco nabrzmiących, ale jednocześnie bardziej ospałych i w swej postawie mniej szkodliwych. Część „małych diabłów” brała udział także w często na mojej głowie czynionym cudzie, który chciałbym teraz dodatkowo opisać. Był to – obok cudu zwężenia piersi – chyba najohydniejszy ze wszystkich cudów; używane do jego nazwania określenie brzmiało, o ile sobie dobrze przypominam „maszyna ściskania głowy”. We wnętrzu mojej czaszki powstała bowiem na skutek wielu ciągów promieni itp. mniej więcej w środku, prawdopodobnie nie z zewnątrz, ale z wewnątrz widoczna głęboka szczelina albo cezura. Po obu stronach tej szczeliny stały „małe diabły” i kręcąc czymś w rodzaju gwintownicy, ścisnęły moją głowę w pewnego rodzaju tłoczni, tak że głowa moja czasami przybierała wydłużony do góry, gruszkowaty kształt. Robiło to wszystko na mnie bardzo groźne wrażenie, tym bardziej że wiązało się niekiedy także z bardzo dotkliwymi bólami. Chwilami śruby luzowano, ale najczęściej tylko „bardzo byle jak”, tak że ściśnięcie zwykle utrzymywało się przez jakiś czas. Biorące w tym udział „małe diabły” wywodziły się najczęściej z duszy v.W. Czas, w którym występowały „mali ludzie” i „małe diabły”, obejmował mniej więcej kilka miesięcy; potem zniknęli, by już nigdy więcej nie powrócić. Moment ich zniknięcia zbiega się chyba w przybliżeniu z pojawieniem się tylnych regionów królestwa Bożego. Przy moich oczach ciągle wprawdzie dzieją się cuda w sposób wyżej opisany przez zamykanie i otwieranie, ale od prawie sześciu lat dzieje się tak za sprawą nie „małych ludzi”, lecz bezpośrednio promieni, które wprawiają w ruch odpowiednie mięśnie. By uniemożliwić mi swobodne zamykanie i otwieranie oczu, pomniejszono mi kilka razy w drodze cudu w niewielkim stopniu mięśnie znajdujące się w powiekach i nad nimi, i służące właśnie do ich poruszania. Sukces był jednak także i tu tylko przejściowy, gdyż utracona masa mięśni – z już dotychczas wielokrotnie wspomnianego powodu – była zawsze wnet znów odbudowywana.

Oprócz rzeczy, które opisałem powyżej, a które dotyczyły kości żeber i czaszki, także mój układ kostny był przedmiotem różnorodnych cudów. W kościach stóp, zwłaszcza w okolicy pięty, wywoływano cudem często próchnicę, która powiązana była z bardzo dokuczliwymi bólami; na szczęście były to bóle, przynajmniej w ich największym natężeniu, niezbyt długotrwałe. Podobnym cudem był tak zwany *tyłkowy cud*; podczas tego cudu najniższe kości kręgosłupa znajdowały się w chyba także podobnym do próchnicy, bolesnym stanie. Celem było uniemożliwienie mi siedzenia albo leżenia. W ogóle zresztą nie dopuszczano, bym dłużej znajdował się w jakiejś określonej pozycji albo oddawał się jakiemuś zajęciu; gdy szedłem, próbowano mnie zmusić do leżenia, a gdy leżałem, spędzić z postania. Wydawa-

ło się, że promienie nie mogą nijak zrozumieć, iż człowiek, który w końcu faktycznie istnieje, *gdzieś przecież musi być*. Dla promieni (dla Boga) stałem się, dzięki konieczności poddawania się sile przyciągania moich nerwów, niewygodny, niezależnie od tego, w jakim położeniu albo w jakiej pozycji się znajdowałem, albo czym się zajmowałem. Że stało się tak właściwie bez mojej winy, nie chciano właśnie przyznać, lecz stale próbowano przerzucić na mnie winę na drodze „przedstawiania”.⁷⁴

Wydaje mi się, że dzięki niniejszemu rozdziałowi udało mi się przedstawić mniej więcej pełny obraz cudów, które ze względu na swój charakter zmuszony byłem uznać za bardziej istotne. Liczne inne cuda (częściowo odnoszące się do mojego ciała, częściowo do znajdujących się w pobliżu mnie przedmiotów), które działy się wówczas równoległe do omówionych cudów albo występowały dopiero w następnych okresach, będę wymieniał jeszcze wielokrotnie w dalszej części mojej pracy.

⁷⁴ Ja zaś ze swej strony jestem wystarczająco sprawiedliwy, by nie twierdzić także, że moralna wina w normalnym znaczeniu leży po stronie Boga (por. uwagi z końca rozdziału V i zamieszone pod koniec drugiej serii suplementów). Pojęcie winy albo grzechu jest pojęciem ludzkim, którego się nie da zastosować w jego właściwym sensie w stosunku do – dzięki swej specyfice różnych od ludzi – dusz. Nie można bowiem właśnie oczekiwać od dusz ludzkich cnót wytrwałości, zdolności do wyrzeczeń itp.

Rozdział XII. Treści wypowiedzi głosów. „Poglądy dusz”. Język dusz. Dalszy ciąg osobistych przeżyć

Gadanina głosów była, jak już wspomniałem w rozdziale XI, już w owym czasie przeważnie nieprzerwanym rozbrzmiewaniem fraz, na które składały się w męczących nawrotach powtarzane powiedzenia, które ponadto przez opuszczanie poszczególnych słów lub nawet zwrotów nosiły coraz bardziej cechy gramatycznej niedoskonałości. Jednakowoż występowała wówczas jeszcze pewna ilość powiedzeń, co do których warto podjąć ich szczególne omówienie, gdyż mogą one w sposób interesujący naświetlić cały system wyobrażeń dusz na ich pojmowanie ludzkiego życia i ludzkiego sposobu myślenia. Do powiedzeń tych należą zwłaszcza te, w których ja sam – mniej więcej od czasu mego pobytu w zakładzie dr. Piersona – otrzymałem nazwę „księcia piekiel”. Mówiono niezliczone razy np. „Boża wszechmoc podjęła decyzję spalenia księcia piekiel żywcem”, „za utratę odpowiada książe piekiel”, „wołamy *victoria* nad pokonanym księciem piekiel”, potem jednak także przez pewną część głosów: „Schreber jest, nie, to Flechsig jest prawdziwym ‘księciem piekiel’” itp.

Kto mnie znał kiedyś w mym wcześniejszym życiu i miał przy tym sposobność obserwować mój chłodny i trzeźwy sposób myślenia, uwierzy mi chyba, iż nigdy sam z siebie nie wpadłbym na pomysł, by zastosować do siebie tak fantastyczną nazwę jak „książe piekiel”, tym bardziej, że kontrastowała ona w tak szczególnie sposób z niedostatkiem mego zewnętrznego życia i licznymi ograniczeniami wolności, którym podlegałem. Moim zdaniem u podstaw wyrażenia „książe piekiel”, którego tylko omyłkowo użyto w stosunku do mojej osoby, leżała pierwotnie abstrakcja.

W regionach królestwa Bożego panowała chyba od dawien dawna świadomość, że porządek świata, choć wielki i wspaniały, nie jest całkiem pozbawiony achillesowej pięty, bo siła przyciągania ludzkich nerwów, działająca na

nerwy boskie, zawierała w sobie ziarno niebezpieczeństwa dla regionów Bożego królestwa. Niebezpieczeństwa te mogły się w niektórych czasach wydawać bardziej groźne, gdy gdzieś na Ziemi albo też na innym ciele niebieskim zauważano wzrost nerwowości lub moralnej zgnilizny. Aby uzyskać dokładniejsze wyobrażenie o zagrożeniach, dusze uciekły się najprawdopodobniej do personifikacji, podobnie jak znajdujące się w naiwnym stadium rozwoju ludy próbują sobie przybliżyć zrozumienie idei bóstwa przez tworzenie wizerunków bożków. Za „księcia piekieł” dusze uważały więc prawdopodobnie tę niesamowitą siłę, jaka może rozwinąć się z moralnego upadku ludzkości lub ogólnego nadmiernego nerwowego pobudzenia na skutek zbyt szybkiego wzrostu cywilizacji we wrogą dla Boga postać. Wydawało się, że po tym, jak siła przyciągania moich nerwów wywierała coraz bardziej nieodparty wpływ, tenże „książę piekieł” stał się w mojej osobie rzeczywistością. Dlatego widziano we mnie wroga, którego trzeba będzie zniszczyć wszystkimi środkami stojącymi do dyspozycji boskiej władzy; nie chciano uznać, że było wręcz przeciwnie, że byłem najlepszym przyjacielem *czystych* promieni, od których mogłem oczekiwać już choćby mego wyleczenia lub jakiegoś innego zadowalającego rozwiązania konfliktu. Łatwiej było się oswoić z myślą, że trzeba będzie dzielić swą władzę z nieczystymi „sprawdzonymi” duszami – prawdziwymi wrogami Boga, niż pozwolić na wyobrażenie sobie uczucia zależności od jednego jedyne go człowieka, na którego spoglądano dotychczas z dumną świadomością niedostępnej władzy.

Inną grupę powiedzeń, zawierających pewne merytoryczne znaczenie, stanowiły te, w których była mowa o „poglądach dusz”. Także i tu kryły się godne uwagi i wartościowe myśli. Poglądy dusz w ich pierwotnym znaczeniu to według mojego osądu nieco wyidealizowane wyobrażenie, jakie dusze wytworzyły sobie na temat ludzkiego życia i myślenia. Dusze były przecież duchami zmarłych ludzi. Jako takie żywo interesowały się nie tylko swą własną ludzką przeszłością, ale także losami ich pozostałych jeszcze na ziemi krewnych i przyjaciół oraz wszystkim, co działo się z ludzkością, o czym mogły dowiedzieć się albo na drodze nerwowego połączenia, albo też chyba, jeśli chodzi o zewnętrzne wrażenia, bezpośrednio się przyglądając (por. rozdział I). Pewne życiowe zasady i pewne życiowe poglądy zostały w mniej lub bardziej określonej formie wyrażone słowami. Chcę tu zacytować przykładowo tylko kilka takich zdań. „Nie myśleć o określonych częściach ciała” brzmiała zasada życiowa, która widocznie miała wyrażać myśl, że normalnej ludzkiej kondycji odpowiada, o ile człowiek nie ma żadnych powodów wynikających z jakiegoś odczuwania bólu, nieprzypominanie sobie swych poszczególnych części ciała. „Nie na pierwsze żądanie” brzmiała inna, która oznaczała, że rozumny człowiek nie daje się nakłaniać do działania w tym

lub w owym kierunku przez każdy impuls danej chwili. „Sprawa rozpoczęta musi być ukończona” to formuła, w której znalazła swój wyraz myśl, że człowiek powinien doprowadzić do wytyczonego celu to, czego się podjął, mimo utrudniających to zadanie wpływów itp.

W procesie myślowym człowieka rozróżniano „myśli-decyzje” – inicjatywę ludzkiej woli do podjęcia jakiejś określonej czynności, „myśli-życzenia”, „myśli-nadzieje” i „myśli-obawy”. „Myślą-zastanowieniem” określano znane być może także psychologom zjawisko, które nakłania człowieka bardzo często, by dany kierunek albo daną chęć, do których w pierwszej chwili odczuł skłonność, po kolejnym zastanowieniu się, które wywołuje automatycznie pojawienie się powodów do zwątpienia, zmienić albo decydując się na odwrotność, albo przynajmniej częściowo. „Ludzką myślą-przypomnieniem” zostało nazwane to zjawisko, zgodnie z którym człowiek mimo woli odczuwa potrzebę silniejszego odcisnięcia na świadomości jakiejś ważnej powstałej w nim myśli poprzez wnet następujące jej powtórzenie. Bardzo charakterystycznymi formami „ludzkiej myśli-przypomnienia”, które pozwalają dostrzec, jak głęboko jest ona zakorzeniona w procesie ludzkiego myślenia i odczuwania, są np. występujące w wierszach refreny (powtarzające się wersy) i pojawiające się także w muzycznych kompozycjach powtórzenia, gdzie regularnie jakaś melodia, zawierająca przemawiające do ludzkiego odczuwania uosobienie idei piękna, jest w tym samym utworze muzycznym powtarzana nie raz, lecz po wielokroć. Bardzo duży obszar zajmowały w poglądach dusz wyobrażenia odnoszące się do stosunku obydwu płci i stosownych do nich zajęć, gustów itp. I tak na przykład łóżko, ręczne lustro i grabie uznawane były za żeńskie, bambusowe krzesło i łopata za męskie, z gier zaś szachy za męskie, damka za żeńskie itp.

Dusze dokładnie wiedziały, że mężczyzna w łóżku leży na boku, kobieta na plecach (w pewnym stopniu jako „ulegająca część” stale znajdując się w położeniu odpowiednim do spółkowania); ja, który w mym wcześniejszym życiu nie zwracałem na to uwagi, dowiedziałem się tego dopiero od dusz. Z tego, co wyczytałem na ten temat np. w *Ärztliche Zimmerymnastik* (23. nakład, strona 102), także i lekarze nie są chyba w tym temacie zorientowani. Dusze wiedziały następnie, że męska chuć pobudzana jest widokiem żeńskiej nagości, nie dzieje się tak jednak odwrotnie, albo też żeńska chuć pobudzana jest przez męską nagość tylko w dużo mniejszym stopniu, być może żeńska nagość oddziałuje jednakowo na obie płcie. I tak na przykład widok rozebranych męskich ciał, np. podczas pokazów pływackich, pozostawi obecną żeńską publiczność raczej w stanie seksualnej obojętności (z którego to powodu dopuszczenie jej słusznie nie jest uznawane za moralnie gorszące, jakby się to działo w przypadku obecności mężczyzn podczas żeń-

skich pokazów pływackich), podczas gdy przedstawienie baletowe wywołuje u obydwu płci pewne seksualne podniecenie. Nie wiem, czy te zjawiska znane są szerszym kręgom i uznawane za prawdziwe. Ja ze swej strony po poczynionych od chwili poinformowania o nich obserwacjach oraz dzięki temu, czego dowiedziałem się przez zachowanie moich własnych nerwów rozkoszy, nie mogę żywić żadnych wątpliwości co do prawdziwości mających miejsce, według poglądów dusz, stosunków w tym względzie. Naturalnie jestem świadom tego, że zachowanie moich własnych (żeńskich) nerwów rozkoszy nie może być samo w sobie dowodem, gdyż znajdują się one wszystkie bez wyjątku w męskim ciele.

Przy częściach ubioru („narzędziach”, jak brzmi ich nazwa w języku podstawowym) rozróżnienie między męskimi i żeńskimi pojawiło się w gruncie rzeczy samo z siebie; za szczególnie charakterystyczny symbol męskości dusze uznały „buty” (z wysokimi cholewkami). Dlatego też powiedzenie „zdjąć buty” oznaczało dla dusz to samo, co odmęzczyźnienie.

Tych kilka krótkich spostrzeżeń daje być może przybliżone wyobrażenie o tym, jakie pojęcie wiązało się zgodnie z jego pierwotnym znaczeniem z wyrażeniem „poglądy dusz”. Dotyczące tego wyjaśnienia – które zresztą wszystkie uzyskałem w pierwszych okresach mojej choroby – zawdzięczam częściowo wyraźnym informacjom, częściowo zaś innym dokonany podczas kontaktu z duszami spostrzeżeniom. Zyskałem dzięki temu wgląd w istotę ludzkiego procesu myślowego i ludzkiego odczuwania, którego mógłby mi pozazdrościć niejeden psycholog.

Całkiem inne znaczenie wiąże się z powiedzeniami zawierającymi zwrot „poglądy dusz” w czasie późniejszym. Uległy one degradacji do pustych frazesów jedynie, którymi próbowano przy całkowitym braku własnych myśli (por. rozdział IX) zaspokoić potrzebę mówienia. „Proszę nie zapominać, że jest pan zobowiązany do stosowania się do poglądów dusz” i „no bo to teraz było według poglądów dusz za dużo” – brzmiały stale powracające puste frazesy, którymi byłem od lat i jestem ciągle jeszcze w sposób wręcz nieznośny dręczony przez tysiąckrotne ich powtórzenia. Ostatnia fraza, będąca prawie regularnie odpowiedzią w sytuacji, gdy nie wiadomo, co powiedzieć po pojawieniu się u mnie jakiejś nowej myśli, pozwala także ze względu na swą stylistycznie mało wykwintną formę zaobserwować degradację; prawdziwy język podstawowy, tzn. wyraz rzeczywistych odczuć dusz w czasie, gdy nie było jeszcze wyuczonych na pamięć frazesów, odznaczał się także i w swej formie szlachetną elegancją i prostotą.

O pewnych innych powiedzeniach o pod kątem merytorycznym dość znaczącej treści będę mógł ze względu na kontekst wspomnieć dopiero w następnym rozdziale.

Moje zewnętrzne warunki życiowe kształtowały się, jak już stwierdziłem pod koniec rozdziału X, od mniej więcej pierwszej połowy roku 1895 przynajmniej pod niektórymi względami znośniej. Najważniejszą rzeczą było to, że zacząłem zajmować się w ten czy inny sposób. Odmawiałem jednak jeszcze wówczas prowadzenia korespondencji z rodziną, zwłaszcza z moją żoną, do której chciał mnie kilka razy nakłonić pielęgniarz M. Ciągle jeszcze nie wierzyłem w realność ludzkości poza zakładem, uważałem raczej wszystkie widziane przez mnie ludzkie postaci, zwłaszcza moją żonę podczas jej wizyt, za „pobieżnie wytworzone” tylko na krótki czas, tak że sugerowane mi pisanie listów byłoby tylko komedią, w której nie chciałem uczestniczyć. Natomiast od podanego czasu pojawiała się niekiedy okazja do gry w szachy (z innymi pacjentami lub z pielęgniarkami) i do gry na fortepianie. Gdy już raz albo dwa zagrałem podczas wizyt mojej żony na stojącym w świetlicy lub w bibliotece zakładu fortepianie, wstawiono mniej więcej wiosną 1895 pianino do mojego pokoju, bym mógł go stale używać. Uczucie, jakie miałem podczas podjęcia zajęć uprawianych przeze mnie za moich zdrowych dni, mogę najlepiej opisać cytatem z Tannhäusera:

Pomiędzy wczoraj a dziś opadła na mnie gęsta mgła zapomnienia.
Zniknęły wszystkie moje wspomnienia i muszę pamiętać jeszcze tylko o jednym, że nie miałem nadziei, iż jeszcze kiedyś Was spotkam,
jeszcze kiedyś Was ujrę.

Jeden jedyny raz zagrałem na fortepianie, za usilną namową mojej żony, w zakładzie Flechsig, mianowicie patrząc w nuty leżącej tam przypadkiem arii z Haendlowskiego *Mesjasza* „Wiem, że Zbawiciel mój żyje”. Mój stan był wówczas taki, że grałem z pełnym przekonaniem, iż moje palce dotykają klawiszy fortepianu po raz ostatni w życiu. Szachy i gra na fortepianie to od chwili ich ponownego podjęcia dwa moje główne zajęcia w minionym mniej więcej pięcioletnim okresie. Zwłaszcza gra na fortepianie posiadała i posiada nadal dla mnie nieocenioną wartość; muszę powiedzieć, że trudno mi sobie wyobrazić, jak zniósłbym przez te wszystkie lata przymus myślenia ze wszystkimi towarzyszącymi mu zjawiskami, gdybym nie opanował umiejętności gry na fortepianie. Podczas grania bezsensowna gadanina rozmawiających ze mną głosów jest zagłuszana⁷⁴, jest to – obok ćwiczeń fizycznych – jedna z najbardziej adekwatnych form tzw. myśli-niemyślenia, której chciano mnie

Przypis 74. pojawia się w wydaniu oryginalnym z 1903 dwa razy – przyp. wydawcy.

⁷⁴ Taką samą przysługę oddają mi, jako że przecież nie można stale grać na fortepianie, zegary z pozytywką i (w ogrodzie) harmonijki ustne, o których dostarczenie poprosiłem ostatnio (wiosną 1900) moją rodzinę.

oszustwem pozbawić, a która to pojawia się podczas gry na fortepianie jako „muzyczna myśl-niemysłenie”. Jednocześnie podczas gry promienie zawsze muszą przynajmniej raz doznać wzrokowego wrażenia, patrząc na moje ręce lub na nuty, z których gram, dzięki czemu w końcu nie udaje się ze względu na uczucie, jakie można wkładać w grę na fortepianie, żadna próba „przedstawienia” przez robienie nastroju i tym podobne. Gra na fortepianie stanowiła więc i ciągle jeszcze stanowi jeden z głównych powodów przeklinania.

Trudności, jakie mi są przy tym czynione, są nie do opisanania: paraliż palców, zmiana kierunku patrzenia, bym nie mógł znaleźć odpowiednich nut, kierowanie palców na złe klawisze, przyspieszanie tempa przez zbyt wczesne poruszanie mięśni moich palców są jeszcze i dziś codziennymi zjawiskami. W samym fortepianie cudem zrywano mi (na szczęście w ostatnich latach znacznie rzadziej) bardzo często struny, w 1897 roku rachunek za zerwane struny wyniósł nie mniej niż 86 marek.

Jest to jeden z tych nielicznych punktów, gdzie wydaje mi się, iż mogę przedstawić także i dla innych ludzi przekonujący dowód na prawdziwość cudów, o których twierdzę, że mają miejsce. Nieuważni obserwatorzy mogą może być skłonni przypuszczać, że winę za zrywanie strun ponoszę ja sam przez nierozsądne walenie w fortepian; także moja żona na przykład wypowiedziała się wobec mnie w tym sensie, być może po odpowiednim zaprezentowaniu jej przez lekarzy swych na to poglądów. Wobec takiego zarzutu twierdzę – i jestem przekonany, że każdy biegły w tej kwestii przyzna mi rację – że zerwanie strun fortepianu przez samo uderzanie w klawisze, choćby to czynić nie wiem jak gwałtownie, nie jest absolutnie możliwe. Małe młoteczki, które są połączone z klawiszami i całkiem luźno uderzają w struny, nie mogą na nie nigdy wyrzucić takiej siły, by je zerwać. Niech no ktoś spróbuje uderzyć w klawisze choćby nawet młotkiem lub kawałkiem drewna; rozbije wówczas może klawisze, ale nigdy nie uda mu się zerwać w ten sposób strun. Fakt, że pękanie strun występuje w ostatnich latach coraz rzadziej (od czasu do czasu zdarza się to jeszcze), można wytłumaczyć jedynie tym, że usposobienie promieni (Boga) wobec mnie stało się na skutek stale rosnącej rozkoszy duszy (o czym bardziej wyczerpująco później) bardziej przyjazne, i że zostały one (promienie) zmuszone przez inne jeszcze dla nich bardziej nieprzyjemne okoliczności, w szczególności tak zwane wycie, dostrzegać w grze na fortepianie jeszcze dla wszystkich stron najmiłszy sposób wypełniania czasu.

Nie mogę odmówić sobie, by w tym kontekście nie wspomnieć jeszcze o innym cudownym zdarzeniu, które jednakowoż miało miejsce we wcześniejszych czasach, i także i dla mnie, który widziałem przecież wiele cudów, należy do najbardziej zagadkowych rzeczy z tych, które przeżyłem. Przypominam sobie mianowicie, że pewnego dnia, przypadającego jeszcze na okres

mojego bezruchu (a więc latem lub jesienią 1894), podjęto próbę wyczarowania w moim pokoju całego (Blüthnerowskiego) fortepianu; podobno miał to być cud v.W. Jestem w pełni świadom, jak obłądnie brzmi to oświadczenie, dlatego sam sobie muszę postawić pytanie, czy nie wystąpiło u mnie zmysłowe złudzenie. Wszelako istnieją okoliczności, które bardzo utrudniają mi przyjęcie takiego założenia. Pamiętam dokładnie, że zdarzenie miało miejsce w jasny dzień, podczas gdy siedziałem na krześle lub kanapie; dokładnie widziałem, jak powstaje właśnie (nawet nie kilka kroków ode mnie) pociągnięta brązową politurą powierzchnia fortepianu. Niestety, moje zachowanie wówczas w stosunku do cudownego zjawiska było negujące; nie chciałem, tym bardziej, że zobowiązałem się do całkowitej pasywności, nic wiedzieć o cudach, które mnie wszystkie napawały wstrętem. Po fakcie żałowałem czasami, że nie sprzyjałem cudowi (nie „udobruchałem” go, jak brzmi to wyrażenie w języku podstawowym), by zobaczyć, czy rzeczywiście może on zostać ukończony. Było i jest mianowicie regułą prawie bez wyjątków, że wszystkie cuda spełniają na niczym albo ich realizacja jest bardzo utrudniona, gdy przeciwstawiam im moją zdecydowaną wolę. Muszę więc pozostawić nierozstrzygniętą kwestię, jaki stan rzeczy istniał w przypadku opowiedzianego właśnie zdarzenia; jeśli w grę wchodziło faktycznie zmysłowe złudzenie, to przy tak bezpośredniej bliskości rzekomo widzianego przedmiotu byłoby to na pewno złudzenie rodzaju najbardziej osobliwego ze wszystkich.

Podczas spacerów w ogrodzie, jak też podczas pobytu w pokoju, prawie codziennie czynione były i jeszcze są skierowane przeciwko mnie cuda gorąca i zimna, obydwa w taki sposób, by uniemożliwić powstające dzięki rozkoszy duszy naturalne uczucie zadowolenia ciała; cudem chłodzi się np. moje stopy, a rozgrzewa twarz. Proces fizjologiczny wygląda moim zdaniem tak, że w przypadku cudu zimna krew wypierana jest z członków, przez co powstaje subiektywne uczucie zimna, zaś w przypadku cudu gorąca dzieje się odwrotnie, krew jest pompowana do twarzy i do głowy, które ogólnie lepiej czułyby się w chłodniejszych warunkach. Jako że już od czasów mej młodości przyzwyczajony jestem do znoszenia gorąca i zimna, zawsze niewiele robiłem sobie z tych cudów, poza sytuacją gdy podczas leżenia w łóżku cudem oziębiano mi stopy. Wręcz przeciwnie, sam byłem bardzo często zmuszony szukać chłodu lub gorąca. Zwłaszcza w pierwszych latach mojego pobytu w tutejszym zakładzie, gdy rozkosz duszy jeszcze nie osiągnęła tego natężenia, jaki posiada teraz, był to częstokroć konieczny środek, by odciągnąć promienie do marznących części ciała, w szczególności rąk i stóp, i w ten sposób ustrzec głowę przed zamierzonymi szkodliwymi działaniami. Często zdarzało się, że w tym celu zimną trzymałem przez kilka minut dłonie przy

oblodzonych drzewach albo obejmowałem nimi śniegowe kule tak długo, aż mi prawie kostniały.

Z tego samego powodu nocą wystawiałem przez jakiś czas (chyba wiosną lub jesienią 1895 roku) stopy przez kraty otwartego okna, by poddać je działaniu zimnego deszczu; jak długo to czyniłem, tak długo promienie nie mogły osiągnąć głowy, na której oczywiście najbardziej mi zależało, i dlatego – pomijając uczucie chłodu w stopach – czułem się całkowicie dobrze.⁷⁵ Wolno mi chyba przypuszczać, że wieści o takim moim zachowaniu doszły jakoś do uszu lekarzy i stało się to bodźcem do działania, które w najwyższym stopniu wywołało moje niezadowolenie. Zostałem na kilka dni wykwaterowany ze zwykłe przeze mnie zamieszkanego pokoju, a po powrocie zobaczyłem, że w oknach mojej sypialni kazano zamontować ciężkie drewniane okiennice, które na noc zamykano, że od tej chwili w mojej sypialni panowały całkowite ciemności i także raniem postępująca jasność dnia nie miała prawie żadnego dostępu. Lekarze pewnie oczywiście nie mają pojęcia, jak dotkliwie odczułem ten ich krok w mojej i tak bezmiernie trudnej samoobronie przed ukierunkowanymi na zniszczenie mojego rozumu zamiarami. Z drugiej strony można chyba zrozumieć, że ogarnęło mnie głębokie rozgoryczenie, które utrzymywało się przez długi czas.

Przy postawionym przede mną kiedyś zadaniu przekonania nieznanego żyjącego człowieka Boga, że mój potencjał umysłowy zachowałem w stopniu niepominiejszym i korzystam z niego w każdym momencie, było dla mnie światło, jakie jest potrzebne do wykonywania każdego ludzkiego zajęcia, prawie jeszcze bardziej niezbędne niż chleb. Każde pozbawienie mnie oświetlenia, każde przedłużenie naturalnej ciemności oznaczało dla mnie bezmierne utrudnienie mego położenia. Nie chcę się sprzeczać z lekarzami, czy wymierzona mi kara, rozumiana z czysto ludzkiego punktu widzenia jako ochrona mojego zdrowia przed skutkami opacznego działania, musiała być faktycznie uznana za konieczną. Także i tutaj nie mogę się powstrzymać od poczynienia uwagi, iż wydawało mi się, że cel i przedsięwzięte środki nie odpowiadają sobie wzajemnie. Cóż innego mogło mi się być stać, niż że nabyłbym jakiego przeziębienia? Gdyż ochronę przed niebezpieczeństwem wypadnięcia z okna dawały już w wystarczającym stopniu istniejące metalowe kraty, a w kwestii zagrożenia przeziębieniem jedynie można było odczekać, czy istniejąca w człowieku sama z siebie potrzeba ciepła nie powstrzyma-

⁷⁵ Z wyżej wymienionego powodu także działanie zimnego prysznica, którego mogłem – jeden jedyny raz – zażyć w pokoju kąpielowym, było po prostu cudowne. Dzięki niemu całkowicie od razu wyzdrowiałem i byłem wolny od wszelkich groźnych cudownych zjawisk, jakie nawiedzały w owym czasie moją głowę i inne części ciała.

łaby mnie od nadmiernie długiego utrzymywania okna otwartym. Nie były to i nie są decydujące punkty widzenia. Sprawą istotną dla mnie było to, że w lekarzach mogłem dostrzec jedynie narzędzia, w których nerwach pobudzone zostały bodźce do wdrażania decyzji podjętych przez boskie promienie w celu poparcia dla planu skierowanego na zniszczenie mojego rozumu, a lekarze, którym zdawało się, że działają tylko w zgodzie z ludzką rozumą, nie uświadamiali sobie subiektywnie tego faktu. Pogląd ten muszę zachować także jeszcze i teraz, gdyż w każdym słowie, które jest do mnie kierowane nie tylko przez lekarzy, ale i przez innych ludzi, dostrzegam opierającą się na boskiej inspiracji dzięki powiązaniu z dokładnie mi znanym materiałem zapisków przyczynę, co może jeszcze spróbuję wyjaśnić później. Spisując te słowa, nie zamierzam w żadnym wypadku jakiegóż rekryminacji w stosunku do rzeczy zaszłych. Nie żywię do żadnego człowieka złości za to, co się ze mną w dawniejszym czasie działo – większość przeżyć przecież należy już szczęśliwie do przeszłości. Wydawało mi się, że powinienem szerzej opisać zdarzenie z okiennicami, by umożliwić zrozumienie głębokiej nieufności, jaką odczuwałem przez lata w stosunku do lekarzy i jakiej oznaki można być może odnaleźć w moim zachowaniu jeszcze i dziś.

Wspomniane okiennice (jedynie na zamieszkanym przeze mnie skrzydle zakładu) istnieją jeszcze i teraz, już od długiego czasu jednak nie są zamykane. Poza tym podobne okiennice znajdują się w celach urządzonych dla szaleńców na parterze i na pierwszym piętrze okrągłego skrzydła zakładu. W niektórych z tych cel spałem, o czym opowiem później, podczas dwóch lat (1896–1898), przy czym spowodowane zaciemnieniem złe stany mojego zdrowia nastąpiły, jeśli to możliwe, w jeszcze większym natężeniu.

Rozdział XIII. Rozkosz duszy jako czynnik przyciągający. Skutki

Ważny rozdział w dziejach mojego życia, zwłaszcza w historii mego własnego pojmowania przypuszczalnego ukształtowania przyszłości, nakreślony został przez miesiąc listopad 1895 roku. Jeszcze dokładnie pamiętam ten moment; zbiegł się on z wieloma pięknymi późnojesiennymi dniami, kiedy to każdym rankiem tworzyła się na Łabie gęsta mgła. W owym czasie oznaki zniewieścienia mojego ciała występowały w tak dużym natężeniu, że nie mogłem już dłużej uchylać się od uznania immanentnego celu, do którego zmierzała cała ta historia. W nocie bezpośrednio ten moment poprzedzające doszłoby być może, gdybym powodowany jeszcze impulsem męskiego poczucia honoru nie sądził, że powinienem zdecydowanie przeciwstawić moją wolę, do rzeczywistego wciągnięcia męskiego członka, tak blisko ukończenia znajdował się rzeczony cud. W każdym razie rozkosz duszy stała się tak silna, że odczuwałem wrażenie żeńskiego ciała najpierw na ramionach i dłoniach, potem na nogach, na piersi, na pośladkach i wszystkich innych częściach ciała. Opis dotyczących tego procesu szczegółów zachowuję na jeden z późniejszych rozdziałów.

Wystarczyło kilka dni nieprzerwanej obserwacji tych procesów, by wywołać u mnie całkowitą przemianę ukierunkowania mojej woli. Do tej pory ciągle jeszcze liczyłem się z możliwością, że konieczne stanie się kiedyś zakończenie mojego życia samobójstwem, o ile nie stanie się ono już wcześniej ofiarą jednego z licznych cudów; w obszarze rzeczy możliwych leżał – poza odebraniem sobie życia – jeszcze tylko jakiś inny okropny koniec, dotychczas wśród ludzi niespotykanego rodzaju. Teraz uświadomiłem sobie bez najmniejszych wątpliwości, że porządek świata koniecznie żąda odmężczyźnienia, czy mi ono osobiście odpowiada, czy nie, i że dlatego nie pozostaje mi w ramach rozsądku nic innego, jak tylko pogodzić się z myślą o przemianie w kobietę. Jako dalsza konsekwencja odmężczyźnienia mogło wchodzić

w grę oczywiście zapłodnienie przez boskie promienie w celu stworzenia nowej ludzkiej rasy. Zmianę ukierunkowania mojej woli ułatwił mi fakt, że nie wierzyłem jeszcze wówczas w egzystencję ludzkości poza mną, lecz uważałem wszystkie widziane przeze mnie ludzkie postaci tylko za „pobieźnie wytworzone”, tak że o jakiegokolwiek hańbie, jaka by miała leżeć w odemżczeniu, nie mogło być mowy. Te promienie wprawdzie, które kierowały się dążeniem do „poniechania mnie” i zniszczenia w związku z tym mojego rozumu, nie omieszczały wnet skierować – obłudnego – apelu do mojego męskiego poczucia honoru; jedno z pojawiających się od tamtej pory przy każdym wystąpieniu „rozkoszy dusz”, wielokrotnie przy tym powtarzanych powiedzeń brzmi: „Nie wstydy się Pan przed swą małżonką?”, albo jeszcze podlej: „I to ma być były przewodniczący senatu, który daje się p...?” Bez względu na to, jak nieprzyjemne jednak były dla mnie głosy i jak często miałbym powód przy tysiącrotnych powtórzeniach wymienionych powiedzeń dać w jakiś sposób upust mojemu oburzeniu, to i tak nie dałem się na dłuższą metę zbić przez to z tropu i zachowałem to postępowanie, które uznałem kiedyś jako dla wszystkich stron – dla mnie i dla promieni – konieczne i zbawienne.

Od tego czasu z całą świadomością pielęgnowałem mą kobiecość i będę to, jak tylko pozwoli wzgląd na otoczenie, czynił dalej, a inni ludzie, którzy nie znają nadprzyrodzonych powodów mojego zachowania, niech myślą o mnie, co chcą. Chciałbym również poznać człowieka, który postawiony przed wyborem pozostania mężczyzną, ale pozbawionym rozumu, albo stania się inteligentną kobietą, nie wybrałby tego ostatniego. Problem tutaj kształtuje się dla mnie *tak i tylko tak*. Podczas trwania całej tej historii odebrana mi została możliwość wykonywania mego wcześniejszego zawodu, któremu oddany byłem całym moim sercem, do realizowania każdego innego celu męskiej ambicji, do każdego innego użycia mych sił umysłowych w służbie ludzkości. Poza zdarzającymi się od czasu do czasu odwiedzinami i okazjonalną korespondencją pozbawiono mnie nawet kontaktów z moją żoną i pozostałą rodziną.^{75b} Nie martwiąc się o ocenę przez innych ludzi, muszę się kierować jedynie zdrowym egoizmem, a ten nakazuje mi pielęgnowanie kobiecości w sposób, jaki zostanie opisany jeszcze później. Tylko tak jestem w stanie zapewnić sobie znośne fizyczne samopoczucie za dnia,

W wydaniu oryginalnym z 1903 roku brakuje przypisu 75a – przyp. wydawcy.

^{75b} (Dodatek z marca 1903) Także niniejszy rozdział, jak widać to po jego treści, został napisany jeszcze w czasie całkowitej izolacji poza murami zakładu Sonnenstein; dlatego też musiałbym w tej chwili, mimo że najważniejsze myśli nie utraciły swej prawdziwości, zmienić niektóre szczegóły.

a nocą – przynajmniej w pewnym stopniu – sen niezbędny do odpoczynku moich nerwów; *silna rozkosz duszy przechodzi bowiem* – o czym być może wiedzą także nauki medyczne – *we śnie*. Zachowując się w ten sposób, służyć równocześnie dobrze pojmowanym interesom promieni, czyli samego Boga. Jak tylko pozwalam Bogu, który – wychodząc z błędnego założenia o zniszczalności mego umysłu – dąży do sprzecznych z porządkiem świata celów, prowadzić politykę ukierunkowaną odwrotnie, prowadzi to (czego dowiodły mi bezsprzecznie wieloletnie doświadczenia) tylko do głupiego hałasu w składającym się w znacznym stopniu z wariatów otoczeniu. Bliższych informacji na ten temat mogę dostarczyć dopiero później.⁷⁶

W tym samym czasie, w którym doszedłem do opisanego w poprzedzającej części zmienionego poglądu na sprawy, dokonał się także – i to z tych samych powodów – istotny przewrót w niebiańskich stosunkach. Uwarunkowane siłą przyciągania rozpuszczanie się promieni (oddzielonych od całości boskich nerwów) w moim ciele oznaczało dla dotkniętych tym zjawiskiem nerwów koniec ich samodzielnej egzystencji, a więc coś podobnego jak dla ludzi śmierć. Dlatego też właściwie całkiem zrozumiałe było zachowanie Boga, który uruchamiał wszystkie przyciski, by tylko umknąć losowi polegającemu na ginięciu w moim ciele coraz to większej ilości części jego całkowitej masy, i nie przebierał on przy tym w środkach. Przyciąganie traciło jednak swój straszny charakter dla nerwów, gdy i o ile natrafiały one podczas rozpuszczania się w moim ciele na uczucie rozkoszy dusz i mogły w nim ze swej strony uczestniczyć. Odnajdywały one w ten sposób w moim ciele odczucie zastępujące im całkowicie lub przynajmniej w przybliżeniu utracony przez nie błogostan, który chyba polegał także na podobnej do rozkoszy przyjemności (por. rozdział I).

Niestety, istniejące w moim ciele uczucie „rozkoszy duszy” nie zawsze posiadało taką samą siłę; do pełnego wzrostu dochodziło ono raczej tylko wówczas, gdy części duszy Flechsiga i inne części „sprawdzonych” dusz znajdowały się z przodu, dzięki czemu mogło mieć miejsce połączenie wszystkich promieni. Jako że jednak poprzez uwiązanie do ziemi (por. rozdział IX) stworzona została konieczność odsuwania od czasu do czasu siebie, jak też i sprawdzonych dusz, to naprzemiennie pojawiały się zawsze czasy, kiedy roz-

⁷⁶ Szczególna dyskrecja jest pożądana zwłaszcza w obcowaniu z moją żoną, co do której zachowałem całą moją miłość. Mogło się zdarzyć, że w tym względzie zgrzeszyłem zbyt wielką otwartością podczas ustnych rozmów i pisemnych doniesień. Moja żona nie może bowiem oczywiście w pełni zrozumieć biegu myśli; musi być dla niej trudne poświęcanie mi dawnej miłości i poważania, gdy słyszy, że zajmuję się wyobrażeniem oczekującej mnie być może przemiany w kobietę. Mogę nad tym ubolewać, ale zmienić tego nie mogę; także i tutaj powinienem się strzec wszelkiego błędnego sentymentalizmu.

kosz duszy zanikała albo istniała w znacznie słabszym stopniu. Tym samym uwarunkowana jest także okresowość występowania żeńskich cech na moim ciełe, do której jeszcze wrócę szerzej w dalszej części. Tak czy inaczej rozkosz duszy, po tym jak (w listopadzie 1895 roku) nieprzerwany napływ boskich promieni trwał już daleko więcej niż rok, była w pewnych momentach tak obfita, że część promieni zdawała się znajdować upodobanie w rozplywaniu się w mym ciełe. Dało się to zauważyć najpierw u – teraz zgodnie z tym, co powiedziałem w rozdziale VII, pod pewnymi względami utożsamianego ze Słońcem – niższego boga (Arymana), który jako położony *bliżej* uczestniczył w rozkoszy dusz w znacznie większym stopniu, niż pozostały w dużo większym oddaleniu wyższy bóg (Ormazd).

Wydaje się, że aż do mającego miejsce w listopadzie 1895 zwrotu intymniejszy stosunek z Flechsigiem – czy to jako z człowiekiem, czy to jako ze „sprawdzoną” duszą – utrzymywany był tylko ze strony niższego boga (Arymana), tak że – jeśli chcę utrzymać tezę o spisku uwarunkowanym w sposób opisany w rozdziale II – spisek taki rozciągał się najwyżej do udziału niższego boga (Arymana). Bóg wyższy przyjął był w owym czasie poprawną, odpowiadającą porządkowi świata – a w związku z tym względem mnie ogólnie bardziej przyjazną – postawę. Teraz stosunek ten zmienił się na niemal jego odwrotność. Niższy Bóg (Aryman), który, jak już powiedziałem, nie uważał rozpuszczania się za każdym razem wraz z częścią swych nerwów w mym ciełe dzięki napotykananiu w tymże ciełe prawie zawsze rozkoszy duszy za takie zło, rozwiązał bliskie stosunki, jakie – jak się zdawało – istniały dotychczas między nim a „sprawdzoną” duszą Flechsigą, na co ta, posiadając jeszcze dość znaczną część swej ludzkiej inteligencji, wstąpiła w pewnego rodzaju przymierze z wyższym bogiem, który skierował swe wrogie ostrze przeciwko mnie. Sytuacja powstała na skutek mającej wówczas miejsce zmiany w stosunkach stron zachowała się do dnia dzisiejszego.

Zachowanie niższego boga względem mnie jest od tamtej pory w ogólności bardziej przyjazne, zaś zachowanie wyższego boga pozostało dużo bardziej wrogie. Znajdowało to wyraz *częściowo* w charakterze czynionych przez obydwu bogów cudów; cuda niższego boga przyjmowały z biegiem czasu coraz bardziej postać stosunkowo niewinnych psot (por. rozdział XI), *częściowo* w gadaninie pochodzących od obydwu stron głosów. Głosy należące do niższego boga – wprawdzie także nie wyraz prawdziwego odczucia w danej chwili, ale zbieranina wyuczonych na pamięć fraz – były i są wszak w odniesieniu do *formy i treści* tych pochodzących od wyższego boga istotnie różne. Pod względem treści są one najczęściej przynajmniej nie wyzwiskami albo uwłaczającymi powiedzeniami, lecz robią wrażenie pewnego rodzaju – że tak powiem – neutralnych bzdur (np. „Dawid i Salomon”, „sałata i rzod-

kiewka”, „znów mówi się kupki mąki” itp.), a także pod względem formy są dla mnie o tyle mniej uciążliwe, że lepiej przystosowują się do naturalnego prawa człowieka do niemyślenia; z czasem można się przyzwyczaić do tego, by pozwolić tego rodzaju bezsensownym, wymienionym w parantezie powiedzeniom jako formom „myśli o niemyśleniu” rozbrzmiewać w głowie. Oprócz nich niższy bóg dysponował jednak przynajmniej w pierwszych latach po opisanym w niniejszym rozdziale przewrocie pewną liczbą zwrotów, które pod względem merytorycznym posiadały pewne znaczenie i zdradzały po części zupełnie prawidłowe (tzn. odpowiadające moim) poglądy na temat przyczyn konfliktu, sposobów jego rozwiązania i możliwego wyglądu przyszłości. Także i tutaj nie chodziło wprawdzie, jak już mówiłem, o wyraz właśnie w tej chwili powstałego autentycznego odczucia, lecz o wcześniej zesztukowany materiał myślowy, który wygłaszany przez nierozumiejące go głosy (w późniejszym czasie zwłaszcza przez wyczarowane cudem ptaki) rozbrzmiewał w mojej głowie w męcząco jednostajnych powtórzeniach. Lecz nawet takie powiedzenia były dla mnie bardzo interesujące o tyle, o ile sądziłem, że na ich podstawie mogę myśleć, że Bogu nie brak jednak tak całkiem zrozumienia dla wynikających z porządku świata rzeczy koniecznych, co mogłoby się wydawać po pewnych innych spostrzeżeniach. Dlatego też chcę tu wymienić kilka z tych powiedzeń.

Najpierw zaanonsowano mi samą powstałą na skutek wzrostu rozkoszy duszy przemianę w ugrupowaniu stron w często powtarzanej frazie „utworzyły się bowiem dwa stronnictwa”. Wtedy dawano w bardzo różnych formach wyraz myśli, że cała ta uprawiana przeciwko mnie, skierowana na zniszczenie mojego rozumu polityka jest chybiona. Niektóre zdania były sformułowane całkiem ogólnie, bez jakiegokolwiek osobistego odniesienia, jak na przykład „wiedza i zdolności w ogóle nie giną” i „sen musi nastąpić”, dalej: „cały bezsens (tj. bezsens czytania myśli i fałszowania myśli) ustanie” i „trwałe sukcesy są po stronie człowieka”. Inne powiedzenia niższego boga były kierowane częściowo pod moim adresem, częściowo zaś – niejako przesyłane przez moją głowę – pod adresem kolegi, wyższego boga; te pierwsze zwłaszcza w wymienionym już powiedzeniu „Proszę nie zapomnieć, że jest Pan zobowiązany do stosowania się do poglądów dusz”, te ostatnie we frazach: „Proszę nie zapomnieć, że każde przedstawianie jest nonsensem” lub „Proszę nie zapomnieć, że koniec świata jest sprzecznością samą w sobie” albo „Już kiedyś uzależniliście pogodę od myślenia jednego człowieka” lub „Już raz prawie uniemożliwiliście każde święte zajęcie” (tzn. grę na fortepianie czy grę w szachy przez różnorodne utrudniające ich uprawianie cuda). W niektórych – co prawda bardzo rzadkich – przypadkach posuwno się nawet do pewnego rodzaju wyznania winy np. „Gdybym *ja* tylko nie był

umieścił Pana wśród pobieżnie wytworzonych ludzi” albo „Oto są skutki słynnej polityki dusz” lub „I co to będzie z tej przeklętej historii” albo „Gdybyż wreszcie ustały te przeklęte igraszki z ludźmi”. Od czasu do czasu kajało się, a to mianowicie tymi słowami: „Brak nam postawy”, tj. tej postawy, jaką powinniśmy właściwie prezentować w stosunku do każdego dobrego człowieka, a nawet do najnikczemniejszego grzesznika przy zastrzeżeniu zgodnych z porządkiem świata oczyszczających możliwości. Niższy bóg zwykł był wyrażać przez jakiś czas cel całego tego procesu powiedzeniem wymagającym (jak wiele z nich) w mowie dusz gramatycznego uzupełnienia: „Miejmy nadzieję, że rozkosz osiągnie stopień”, to znaczy taki stopień natężenia, przy którym boskie promienie utracą zainteresowanie oddaleniem się i zgodne z porządkiem świata rozwiązanie wyniknie samo z siebie. Mniej lub bardziej równocześnie niższy bóg miał jednak w gotowości także pewną liczbę innych powiedzeń, które mnie, że tak powiem, przejmowały dreszczem grozy, innym słowy oceniały moje wysiłki w celu zachowania mego rozumu jako z góry skazane na niepowodzenie. Mówiono o „kolosalnych siłach” po stronie Bożej wszechmocy i o „beznadziejnym oporze” po mojej stronie i zdawało się, że powiedzeniem „Niech pan tylko nie zapomni, że wieczność nie ma granic” chce mi się przypomnieć o tym, że dla Boga możliwość odsunięcia się jest przestrzennie nieograniczona.

W opisanych powyżej różnych zachowaniach wyższego boga i niższego boga, jak też we frazach tego ostatniego, uwidacznia się wyraźnie prawie nieprzejrzysty splot sprzeczności. Także i dla mnie przy każdej próbie wyjaśnienia tych sprzeczności pojawiają się trudności nieomal nie do pokonania; rzeczywiście zadowalające rozwiązanie byłoby możliwe tylko w przypadku tak pełnego wglądu w istotę Boga, jakiego na skutek ograniczoności ludzkiego zrozumienia nie posiadam także i ja, który przecież w tej dziedzinie rozwinąłem się bez wątpienia nieskończenie dużo bardziej niż wszyscy inni ludzie. Dlatego też chcę się tylko ze wszystkimi obwarowaniami, jakie wynikają z niedoskonałości ludzkiego aparatu poznawczego, poważyć na kilka nieśmiałych uwag w tym względzie. Przede wszystkim nie mogę naturalnie zakładać, że wyższy bóg stoi pod kątem moralnym albo intelektualnym na niższym stopniu niż bóg niższy. Jeśli mimo to ten ostatni zdaje się przewyższać tego pierwszego zarówno pod względem słusznego rozpoznania rzeczy osiągalnych, jak też zgodną z porządkiem świata postawą, można to, jak sądzę, złożyć na karb *większego oddalenia* ode mnie, w jakim znajduje się wyższy bóg w porównaniu z niższym.

Niezdolność do pojmowania ludzkiego bytu jako żyjącego organizmu była widocznie wspólna dla niższego i wyższego boga, jak długo znajdowali się obydwa w *większym oddaleniu*; w szczególności zdają się obydwa tkwić

w dla człowieka niemal niezrozumiałym błędzie, sądząc, że wszystko to, co dochodzi do nich z nerwów człowieka w moim położeniu dopiero w olbrzymiej części na skutek fałszowania myśli przez promienie, należy uznawać za przejawy własnego procesu myślowego danego człowieka, oraz że każda – choćby nie wiem jak krótkotrwała – przerwa w myśleniu i związany z tym stan, w którym promienie nie odbierają określonych sformułowanych słowami myśli z nerwów człowieka, oznacza wygaśnięcie jego intelektualnych zdolności w ogóle, albo – jak się to zwykle wyrażać za pomocą ludzkiego, najwidoczniej błędnie zrozumianego⁷⁷ zwrotu – *wystąpienie głupoty*. I tak Bóg zdaje się w obydwu postaciach skłaniać do błędnego wyobrażenia, że powstającą na skutek drgań nerwów mowę nerwów (por. rozdział V, na wstępie) należy uznawać za rzeczywisty język ludzi, tak że zwłaszcza chyba nie ma możliwości odróżnić, czy – jako że pewne pobudzenie nerwów ma miejsce także u śpiącego i śniącego człowieka – odbierane są przejawy działalności umysłowej śpiącego, czy też używającego swej zdolności do myślenia, znajdującego się w całkowitej świadomości człowieka. Omawiam tu naturalnie ciągle tylko *mój* przypadek, tj. przypadek, że Bóg za pomocą promieni nawiązał i utrzymuje z jednym jedynym człowiekiem stały, niedający się przerwać kontakt. Wszystkie te wspomniane błędne wyobrażenia⁷⁸ zdają się znikać dopiero wówczas, gdy Bóg znajdzie się bliżej mnie i nagle dostrzeżę na podstawie mojego zachowania, moich zajęć, być może także na podstawie moich rozmów z innym ludźmi itp., że ma do czynienia ciągle jeszcze z tym samym, umysłowo całkowicie sprawnym człowiekiem.

Wydaje się, że ze względu na jakieś istniejące w boskiej istocie cechy niemożliwe jest dla niego wyciąganie z doświadczeń nauk na przyszłość. Gdyż dokładnie w ten sam sposób powtarzają się już od lat dzień w dzień takie zjawiska, zwłaszcza przy każdej przerwie w moim myśleniu (pojawieniu się tak zwanej myśli-niemyślenia), to jest już po pierwszym widzeniu (rzuceniu okiem) próby wycofania się i przypuszczenie, że właśnie popadłem w idiotyzm, które zwykle wyrażane jest w niemądrej frazie „Niech on teraz (*scil.*

⁷⁷ Także u idioty nie następuje przecież oczywiście całkowite wygaśnięcie procesów myślowych, lecz pojawiające się w zróżnicowanym stopniu chorobliwe ich zredukowanie lub przemiana.

⁷⁸ Wyobrażenia te związane są być może z faktem, że w zgodnych z porządkiem świata warunkach Bóg obcuje tylko z duszami, które albo wzniosły się już do przedsionków niebios, albo znajdują się jeszcze w procesie oczyszczania (por. rozdział I), a oprócz tego czasami ze śpiącymi ludźmi, którzy jako tacy (podczas snu) także oczywiście nie używają głośnej (ludzkiej) mowy. W kontaktach z duszami między sobą jedyną formą przekazywania informacji albo myśli była faktycznie powstająca przez drgania albo wibracje nerwów (dlatego tylko szepcząca) mowa nerwów.

myśli albo powie), przyznając, że jestem głupi”, po czym następują w banalnej monotonii jak w katarynce inne niesmaczne powiedzenia: „Dlaczego nie powie Pan tego (głośno)”, „Ależ naprawdę, jak długo jeszcze (*scil.* będzie się Panu udawała obrona przeciwko mocy promieni)” itd., itd., aż od nowa przystąpię do jakiegoś zajęcia, świadczącego o istnieniu mych nieosłabionych sił umysłowych.

Także i dla mnie niezwykle trudna do rozstrzygnięcia jest kwestia, jak należy tłumaczyć sobie tę niezdolność Boga do wyciągania nauk z doświadczenia. Może rzecz tę należy sobie przedstawiać tak, że uzyskane słuszne przekonanie jest przekazywane za każdym razem tylko przednim wierzchołkom nerwów, które jednak są już – że tak powiem – skazane na rozplyniecie się w moim ciele, i że natomiast te oddalone miejsca, z których inspirowana jest akcja odwrotu, nie uczestniczą lub uczestniczą w danym zdarzeniu w niewystarczającym dla zmiany ich przekonań stopniu.⁷⁹ Właśnie dlatego żywię wielkie wątpliwości, czy fakt, iż niższy bóg włączył, jak wyżej opisałem, do zbioru wypowiedzianych przez pochodzące od niego głosy zwrotów także pewną ilość trafnych myśli, ma jakąkolwiek praktyczną wartość. Gdyż dla mnie myśli te nie są w ogóle niczym nowym, a wyższy bóg, któremu zgodnie z formą oznajmia się zawarte w nich prawdy, prawdopodobnie w ogóle nie jest w stanie wziąć ich sobie do serca, tj. nadać swemu praktycznemu działaniu jakiś inny niż zwykle przezeń obrany kierunek. Być może więc także niższy bóg, który wcześniej niż wyższy bóg słusznie pojmuje stan rzeczy, daje się kierować jedynie myśli, że promienie coś przecież muszą mówić (por. rozdział IX) i że wszak lepiej jest, gdy treść rzeczy mówionych – choćby nawet w powtórzeniach bez końca – składa się z czegoś, co brzmi rozsądnie, a nie z czystych bzdur i podłości. U mnie samego myśl, że Bóg niczego nie może się z doświadczeń nauczyć, pojawiła się już dawno w pisemnych notatkach⁸⁰, formułowana wielokrotnie na przykład tak: „Każda próba wy-

⁷⁹ Innego wyjaśnienia można by się było podjąć w następujący sposób: Można by powiedzieć: uczenie się, tj. przechodzenie z niższego stopnia wiedzy do jej wyższego stopnia, jest pojęciem ludzkim, które daje się zastosować tylko w odniesieniu do istot, których wiedzę da się jeszcze uzupełnić. W przypadku istoty, do której cech – jak u Boga – od samego początku należy wszechwiedza, nie może w związku z tym w ogóle o uczeniu być mowy. Wyjaśnienie to jednak jawi mi się samemu jako trochę sofistyczne, gdyż właśnie nie istnieje wszechwiedza Boga w absolutnej doskonałości, a zwłaszcza w odniesieniu do pojmowania żyjącego człowieka.

⁸⁰ Zapiski te zawarte są w małych notatkach, które założyłem już przed kilkoma laty i w których zamieszczałem w formie niewielkich szkiców – opatrując je bieżącym numerem i datą – rozważania na temat uzyskanych wrażeń, przypuszczalnego rozwoju spraw w przyszłości itp. W razie, co uważam za prawdopodobne, gdyby moje „Myśli osobliwe” – niniejsza praca – kiedyś miały stać się źródłem poznania przy tworzeniu całkiem nowego systemu religijnego, w zapiskach wspomnianych notatników znaleźć można będzie chyba wartościowe

chowawczego działania skierowana na zewnątrz musi być poniechana jako nierokująca nadziei”, i każdy kolejny dzień z minionego od tamtej pory czasu potwierdził mi słuszność tego poglądu. Jednocześnie jednak uważam – jak już wcześniej w przypadku podobnych okoliczności, także i tutaj – znów za wskazaną ochronę czytelnika przez nasuwającymi się automatycznie nieporozumieniami. Ludzie religijnie nastawieni, którzy poza tym wypełnieni są wyobrażeniem o wszechmocy, wszechwiedzy i wszechogarniającej dobroci Boga, uznają na pewno za niepojęte, że Bóg miałby się naraz objawić jako tak mała istota, którą nawet jeden poszczególny człowiek przewyższa pod względem moralnym i intelektualnym. Wobec tego chcę z naciskiem podkreślić, że moją przewagę pod obydwohoma względami należy rozumieć tylko w *całkiem relatywnym* sensie. Zgłaszam pretensje do takiej przewagi tylko z zastrzeżeniem, że chodzi tu o sprzeczny z porządkiem świata stosunek, powstały przez nawiązanie trwałego i nierozwiązywalnego połączenia nerwowego z jednym pojedynczym człowiekiem. Pod tym względem jestem właśnie tą rozumniejszą i jednocześnie lepszą stroną. Człowiek bowiem zna swą własną naturę, a w moim przypadku dochodzi jeszcze ponadto nabyta podczas trwającego przez lata obcowania z duszami także tak gruntowna znajomość ich charakteru, jakiej nie posiadał dotychczas żaden inny człowiek. Bóg natomiast nie zna żywych ludzi i zgodnie z wielokrotnie dotychczas przedstawianym poglądem znać go nie potrzebował. Nie kłóci się z tym w żadnym wypadku fakt, iż pod wszystkimi innymi względami, dotyczącymi rzeczy nadprzyrodzonych, takich jak powstanie i rozwój całego świata, uznaję wieczną mądrość i dobroć Boga.⁸¹

Na koniec tego rozdziału niech jeszcze znajdzie się miejsce na uwagę, że teraz, po upływie prawie pięciu lat, rozwój wypadków posunął się tak daleko, że także i wyższy bóg osiągnął pod względem prezentowanej wobec

ich uzupełnienie. Można będzie zobaczyć, jak krok po kroku docierałem coraz bardziej do prawidłowego zrozumienia rzeczy nadprzyrodzonych. Wiele z tych zapisków będzie wszak dla innych ludzi niezrozumiałych, gdyż robiłem je na początku tylko w tym celu, bym sam jaśniej mógł spojrzeć na odnośne stosunki, i ponieważ nie zawierały one jeszcze w owym czasie tych wyjaśnień, których inni ludzie będą potrzebować.

⁸¹ Choć o pewnych właściwościach Boga musiałem się w powyższej części wyrażać ostrożnie, to o pewnych innych kwestiach, należących do najtrudniejszych problemów od czasów, kiedy człowiek zaczął myśleć, śmiem sądzić z dużą dozą pewności. Mam na myśli zwłaszcza stosunek Boskiej wszechmocy do ludzkiej wolnej woli, czyli tzw. doktrynę predestynacji. Kwestie te są dla mnie dzięki będącym po części moim udziałem objawieniom albo innym zdobytym przeze mnie wrażeniom tak, chciałbym rzec, jasne, jak słońce. Uwzględniając duże zainteresowanie, jakie wiąże się z tymi kwestiami, znajdę gdzieś w odpowiednim miejscu w dalszej części mojej pracy sposobność przedstawienia zdobytej przeze mnie wiedzy na ten temat przynajmniej w jej podstawowych zarysach.

mnie postawy ten etap, do którego niższy bóg dotarł już w chwili opisanego w tym rozdziale zwrotu. Także i cuda wyższego boga zaczynają przyjmować taki niewinny charakter, jaki był właściwy już dotychczas przeważającej części cudom niższego boga. By podać tylko kilka przykładów, chcę wymienić rozsypywanie popiołu mojego cygara na stole albo na fortepianie, brudzenie moich ust lub mych dłoni jedzeniem podczas spożywania posiłków, i tym podobne. Satysfakcji przysparza mi fakt, że taki rozwój spraw przewidziałem już przez lata. Na dowód tego chcę tu zamieścić odpowiedni zapisek z moich wyżej wymienionych notatek (nr XVII z 8 marca 1898 roku) w dosłownym brzmieniu.

Najpierw wyrazimy tylko jako przypuszczenie pogląd, że być może dojdzie kiedyś do takiej sytuacji, że nawet tylny Ormazd utraci zainteresowanie zakłóceniami rozkoszy, tak jak utracił je od dwóch i pół roku stopniowo tylny Aryman, tak że przez ludzką fantazję obleczona blaskiem i uszlachetniona wewnętrzna rozkosz przysporzy większej podniety niż zewnętrzne sprzeczne z porządkiem świata p...enie.

By zrozumieć ten zapisek, potrzebne są pewne wyjaśniające uwagi. „Tylny” Aryman i „tylny” Ormazd (z początku nie przeze mnie, lecz przez głosy) byli nazywani niższym bogiem i wyższym bogiem zawsze wtedy, gdy i o ile każdy z nich przez przesuwanie drugiej strony przeniósł się, że tak powiem, do drugiej potyczki, co powtarza się codziennie niezliczone razy. Pod pojęciem „wewnętrznej rozkoszy” rozumiana jest tu powstająca w moim ciele rozkosz dusz. Wyrażenie „sprzeczne z porządkiem świata p...enie” odnosi się do tego, że zgodnie z moimi spostrzeżeniami wchłanianie substancji gnilnych w czyste promienie wiąże się dla tych ostatnich z pewnego rodzaju odczuciem rozkoszy. Fakt, że wybrałem słowo „p...enie”, wynika nie z istniejącej u mnie skłonności do ordynarnego sposobu wyrażania się, lecz z tego, iż słów „p...yć” i „p...enie” musiałem tysiące razy wysłuchiwać od innych i dlatego użyłem tego wyrażenia w powyższej notatce skrótowo, stosując je raz odwrotnie do sprzecznego z porządkiem świata zachowania promieni.

Rozdział XIV. „Sprawdzone dusze”; ich losy. Osobiste przeżycia, ciąg dalszy

O bok opisanych w poprzedzającym rozdziale wydarzeń dokonały się częściowo w tym samym czasie, częściowo podczas następnego roku do dwóch, jeszcze pewne inne przemiany w niebiańskich stosunkach, które same w sobie posiadały mniejsze znaczenie, jednak dla przedstawienia kompletnego obrazu muszą być poruszone choćby pokrótce. Chodzi tu głównie o losy „sprawdzonych dusz”. Były one przez jakiś czas, jak wcześniej wspomniałem, na skutek podziału dusz bardzo liczne. Duża ich część nie zajmowała się prawie niczym innym, niż tylko uczestniczeniem w tzw. ruchach okrążających – manewrze wymyślonym przez główne postaci duszy Flechsigą, którego cel polegał na napadaniu od tyłu zbliżających się, niespodziewających się niczego złego promieni, by zmusić je do poddania się. Obraz tego zjawiska zachowuję ciągle jeszcze wyraźnie w mej pamięci; z bliższego opisu słowami muszę zrezygnować; nie umiem także powiedzieć, czy zjawisko to należy do czasów przed, czy po „doziemnym uwiązaniu”.

W każdym razie duża liczba „sprawdzonych części dusz” stała się wreszcie uciążliwa także i dla samej Bożej wszechmocy. Gdy mnie samemu udało się już przyciągnąć dość znaczną ich część, wówczas także i Boża wszechmoc urządziła pewnego dnia wielką obławę, w konsekwencji której od tego momentu dusza Flechsigą egzystowała jeszcze tylko w jednej lub dwóch postaciach, dusza v.W. zaś ostała się jeszcze tylko w jednej jedynej postaci. Ta ostatnia zrezygnowała później podobno także dobrowolnie z uwiązania; siedziała później jeszcze przez jakiś czas – mniej więcej przez rok – u mnie głównie w ustach i oczach, nie naprzykrzając mi się zbyt, a nawet dostarczając mi pewnej rozrywki, kiedy to mogłem uprawiać z nią pewnego rodzaju wymianę myśli, podczas której prawie zawsze ja byłem stroną dającą, a dusza v.W. stroną przyjmującą. Przypominam

sobie jeszcze z pewną dozą humoru na wskroś pocieszne wrażenie, jakie powstawało, gdy ta pod koniec całkowicie bezmyślna i ograniczona tylko do wrażeń wzrokowych dusza szukała w pewnym stopniu razem ze mną, tj. wyglądała przez moje oczy,⁸² jak tylko ja szukałem jakiegoś przedmiotu w moim otoczeniu. Około roku 1897 dusza von W. zniknęła wreszcie ostatecznie, prawie niezauważalnie także i dla mnie samego. Pod koniec tak przyzwyczaiłem się do jej towarzystwa, że gdy pewnego dnia, nie myśląc o niej przez dłuższy czas, uświadomiłem sobie jej zniknięcie, czułem się zobligowany do zagrania na fortepianie z okazji jej odejścia marsza żałobnego z *Sinfonia eroica* Beethovena.

Mizerne resztki duszy Flechsig'a istnieją (gdzieś uwiązane) ciągle jeszcze; utraciła ona jednak – mam pewne podstawy, by to zakładać – już dawno swą inteligencję, tj. stała się również całkowicie bezmyślna, tak że jej niebiańska egzystencja, którą zdobyła dzięki sprzeciwieniu się Bożej wszechmocy, nie zapewnia jej pewnie już prawie żadnej satysfakcji – po raz kolejny jeden ze świetnych dowodów na sprawdzanie się porządku świata, dzięki któremu nie może ostać się na dłużej nic, co powstało stworzone w sprzeczności z tymże.

Wcześniejsze „sprawdzone dusze” zeszyły były – poza jednym niewielkim wyjątkiem – ze sceny i taki stan utrzymuje się do dziś. Wspominając to zdarzenie, nie mogę odmówić sobie zamieszczenia jeszcze kilku uwag na temat po części bardzo dziwnych nazw, jakie posiadały one aż do chwili ich zniknięcia. Nawet jeśli dla innych czytelników nie będzie to szczególnie interesujące, to dla mnie zachowanie tych nazw w pamięci i utrzymanie świeżości wspomnień o najczęściej pełnych trwogi i strasznych zdarzeniach, jakie się dla mnie z tym wiążą, jest ważne. Cała opozycja przeciwko Bożej wszechmocy, składająca się z części dusz Flechsig'a i von W. oraz ich innych stronników (pracy do przodu itp.) przez długi czas nazywała się partią „No cóż”. Ta dość trywialna nazwa wzięła się stąd, że dusza Flechsig'a przywykła do odpowiadania na wszystkie pytania o to, co stanie się z tą całą „przeklętą historią” (gdyż przynajmniej Boża wszechmoc zdawała zdawać sobie sprawę, że chodzi tu o z gruntu źle pokierowaną sprawę), zawsze drwiąco-objętym „no cóż”. Odpowiedź ta jest natomiast niezwykle typowa dla charakteru dusz; dusze bowiem nie znają zgodnie ze swą naturą trosk o przyszłość, lecz zadowolają się każdorazowo obecną przyjemnością. Przełożone na język ludzki, oznaczałoby „No cóż” duszy Flechsig'a – tyle co „Przyszłość nie obchodzi mnie ani za grosz, jeśli tylko w tej chwili czuję się dobrze”. Dlatego

⁸² Moje oczy miały przy tym osobliwy, mógłbym powiedzieć – zaszklony – wyraz. Sama obecność duszy v.W. uwidaczniała mi się jako pewien rodzaj wodnistej masy pokrywającej moje gałki oczne.

też, gdy pod koniec z duszy Flechsig'a pozostały jeszcze tylko dwie części, nazywano tę położoną dalej „tylnym Flechsigiem”, tę bliższą zaś – w swej inteligencji zresztą już istotnie słabszą – środkową „partią no cóż”.

Z części duszy v.W. wspomniałem już wcześniej „zgniliznę podbrzusza v.W.”; posiadała ona chyba najbrudniejsze nerwy, zachowywała się też w związku z tym wobec mnie najbardziej nikczemnie, zaś wobec Bożej wszechmocy wykazywała naiwną zuchwałość, przejawiającą się w pewnych klasycznych powiedzeniach, niedopasowanych do ruchów moich nerwów i do odpowiadającego zwyczajom promieni metrum, takich jak: „W pewnym stopniu to już nie do wytrzymania”, „Niech Pan pozwoli” itp. (ostatnie, gdy usuwano ją z jej pozycji). Wisiała zawsze w mojej sypialni, podczas gdy leżałem w łóżku, na pozór bezpośrednio przy leżącej naprzeciwko ścianie. Jeśli chodzi o podłość, zbliżoną postawę posiadał v.W. „W południe”, który nosił to miano, gdyż twierdzono o nim wówczas, że obsługiwał on posiłki, zwłaszcza obiady. Nieco bardziej przyzwoity, częściowo roztropany, choć także chwilami zmienny, charakter posiadały dwie inne postaci duszy v.W.: „Owszem” v.W. i „Oj, do cholery”, obydwie nazwane ze względu na używane przez nie często powiedzenia. W szczególności powiedzenie „Oj, do cholery” było jeszcze pozostałością języka podstawowego, w którym słów „Oj, do cholery, to trudno powiedzieć” używano za każdym razem, gdy do świadomości dusz dochodziło jakieś zjawisko nie do pogodzenia z porządkiem świata, np. „Oj do cholery, to trudno powiedzieć, że dobry Bóg daje się p...”.

Bardzo dla mnie niebezpieczną, choć w gruncie rzeczy niewielką częścią duszy v.W. była przez dłuższy czas część zwana ze względu na wykonywany wyłącznie przez nią cud „Bicz v.W.” Wymachiwała ciągle w mojej czaszce małym biczem, przez co powstawały w niej dość znaczne spustoszenia i czasami także bardzo dotkliwe bóle.

W czasie mojego pobytu w zakładzie dr. Piersona („kuchni diabła”) istniała jeszcze jedna postać duszy v.W., do której utworzenia musiano użyć chyba niektórych z moich własnych nerwów, gdyż nosiła ona miano „mały v.W.-Schreber”. Ta część duszy była najbardziej dobrotliwa ze wszystkich; czasem udawały jej się nawet (w swych cudach) tak zwane krople złota, będące cudem wykonywanym poza tym tylko przez samą Bożą wszechmoc, podczas którego rozlewał się jak balsam w wyraźnie przeze mnie odczuwalny sposób na uszkodzone części mojej głowy, części czaszki itp., jakiś płyn, tak że – za jednym razem – występowało bezpośrednio lecznicze działanie.

Moje życie zewnętrzne biegło w czasie po opisanym w rozdziale XIII zwrocie wprawdzie już nie tak bardzo jednostajnie, jak wcześniej w okresie bezruchu, jednak niosło z sobą ciągle jeszcze stosunkowo mało urozmaiceń, jak to bywa w przypadku pobytu w zakładzie. Największą część mego czasu

poświęcałem nadal na grę na fortepianie i na szachy; skarbnica nut, którą dysponowałem podczas wykonywania pierwszej czynności, urosła z czasem niemało dzięki prezentom od moich bliskich.

Jako że z początku zaopatrzony byłem jedynie w kilka kredek, później także w inne materiały piśmiennicze, zacząłem robić pisemne notatki; warunki, w jakich żyłem, były tak żałosne, że przez długi czas jak największego skarbu strzegłem ołówka i gumki do ścierania. Notatki składały się najpierw tylko z bez związku zapisanych poszczególnych myśli i haseł; później – począwszy od 1897 roku – zacząłem prowadzić uporządkowane dzienniki, do których wpisywałem wszystkie moje przeżycia; przedtem – jeszcze w roku 1896 – musiałem ograniczać się do skąpych zapisków w kalendarzu. Jednocześnie już wówczas podejmowałem pierwsze próby stworzenia brudnopisu moich pamiętników, co do których już wówczas powziąłem plan ich spisania. Zawarte są one w brązowym zeszycie zatytułowanym „Z mojego życia” i służyły mi podczas pracy nad niniejszymi „Pamiętnikami” jako mile widziane wsparcie dla mojej pamięci. Jeśli by się ktoś zainteresował bliżej tym – prowadzonym stenograficznie – brulionem, znajdzie tam jeszcze kilka haseł, których nie ująłem w moich „Pamiętnikach/Myślach osobliwych”, i które mogą czytelnikowi dać wyobrażenie o tym, że treść mych objawień była jeszcze nieskończenie bogatsza niż ta, którą mogłem zamieścić w przecież ograniczonych objętościowo „Pamiętnikach”. Wreszcie w specjalnie do tego celu przeznaczonych małych notatnikach B, C i I zapisywałem – od późnej jesieni 1897 – wspomniane już w przypisie 61. (80.) obserwacje i szkice.

Od zawsze wielką trudność sprawiało mi (i sprawia częściowo jeszcze dziś) przyjmowanie posiłków, które odbywało się do Wielkiej Nocy tego roku (1900) zawsze w moim pokoju. Żaden człowiek nie ma pojęcia, z jakimi przeszkodami musiałem walczyć, gdyż podczas jedzenia stale czyniono w mych ustach cuda; także głupie pytania były wówczas bezwzględnie stawiane: „Dlaczego nie powie Pan tego (głośno)?” itd., a przecież głośne mówienie jest dla człowieka mającego pełne usta bez mała niemożliwością. Moje zęby były w ciągłym niebezpieczeństwie; często zdarzało się też, że niektóre z nich łamały się za sprawą cudów. Podczas jedzenia aplikowano mi często cuda gryzienia się w język. Włosy wąsów prawie regularnie wsuwano mi podczas posiłków do ust tak, że już choćby z tego powodu musiałem się zdecydować w sierpniu 1896 na ich zgolenie. Rezygnacja z wąsów stała się jednak koniecznością także i z innej przyczyny, choć tak mało podobałem się sam sobie i podobam – za dnia – z gładko ogoloną twarzą. W związku z opisanymi w rozdziale XIII okolicznościami konieczne jest dla mnie wyobrażanie sobie siebie dzięki mej fantazji przynajmniej w nocy jako żeńską istotę, a dla takiej iluzji wąsy stanowiłyby naturalnie przeszkodę prawie nie

do pokonania. Jak długo jadałem sam, tak długo musiałem prawie zawsze podczas posiłków grać na fortepianie albo czytać, gdyż także i podczas jedzenia było stale wskazane, bym dostarczał znajdującemu się w oddaleniu Bogu⁸³ dowodu na integralność moich sił umysłowych; gdy nie chciałem tego robić, nie pozostawało mi nic innego, jak tylko spożywać posiłki na stojąco lub przechadzając się.

W trwającym dwa i pół roku okresie od maja 1896 do grudnia 1898 nocy – chronologicznie wyprzedzam tu nieco wypadki – spędzałem, jak już wcześniej wspomniałem, nie w przeznaczony dla mnie właściwie, znajdującej się obok mego salonu sypialni, lecz w izolatkach dla szaleńców na parterze i pierwszym piętrze okrągłego skrzydła zakładu. Do dziś niezrozumiałe są dla mnie powody tego zarządzenia. W rzeczy samej doszło w pierwszych latach mojego pobytu w niniejszym zakładzie parę różnych razy do rękoczynów między mną i innymi pacjentami zakładu, kilka razy także z pielęgniarkami. Zanotowałem sobie wszystkie poszczególne przypadki; zgodnie z moimi zapiskami chodzi o 10 do 12 zdarzeń, z których ostatni miał miejsce 5 marca 1898 roku, i podczas których zresztą – przynajmniej jeśli chodzi o innych *pacjentów* – ja byłem zawsze stroną zaatakowaną.

Później jeszcze znajduję sposobność omówienia głębszych przyczyn, które wywoływały brutalne sceny tego rodzaju. W każdym razie nie mogę założyć, że lekarze uznali mnie na podstawie tych przecież odosobnionych zdarzeń za człowieka w ogóle popadającego w szaleństwo, bo przecież mieli jednocześnie okazję zaobserwować, że w ciągu dnia zachowuję się przyzwoicie, spokojnie i całkowicie odpowiednio do stopnia mego wykształcenia, zajmując się nieustannie grą na fortepianie, rozgrywaniem szachowych partii, później także czytaniem książek i gazet. Mogło się zdarzyć, że nocą od czasu do czasu prowadziłem głośne rozmowy, do czego ze wspomnianych w przypisie 46. (63.) powodów byłem niekiedy zmuszony; możliwe było więc, że inni śpiący na tym samym korytarzu albo nade mną pacjenci mieli niekiedy powody do skarg na mnie. Ale także i tu nie chodziło w żadnym przypadku

⁸³ Po uwagach zamieszczanych już wcześniej wielokrotnie, np. w przypisie 19. o hierarchii regionów królestwa Bożego, czytelnik mógł, mam nadzieję, uzyskać przynajmniej jako takie pojęcie, co rozumiem pod wyrażeniem „znajdujący się w oddaleniu Bóg”. Boga trzeba sobie bowiem wyobrażać nie jako istotę ograniczoną przestrzennie zarysami ciała, jaką jest człowiek, lecz jako *wielość w jedności i jedność w wielości*. Nie są to dowolne twory wyobraźni mojego umysłu, lecz na takie przypuszczenia pozwalają mi określone faktyczne wskazówki w postawionym tu pod znakiem zapytania związku, np. (to jest dla wyrażenia „znajdujący się w oddaleniu Bóg”) że w owym czasie, kiedy obowiązywał jeszcze prawdziwy język podstawowy, każdy z przednich przywódców promieni zwykł był mówić o nadchodzących po nim boskich promieniach lub przedstawicielach Boga jako o „Oddalonym, który jest mną”.

o zakłócenia spokoju, które powtarzałyby się co noc albo choćby w większą część nocy, a na dodatek podobne ekscesy musiałem znosić nierzadko ze strony innych pacjentów, a ponadto moja sypialnia jest wszak od innych pomieszczeń sypialnych dość oddzielona.

I tak muszę niestety uznać za karę ponad miarę dziwną, że za wyjątkiem kilku nielicznych nocy kazano mi spać *pełne dwa i pół roku* w celach urządzonych dla szaleńców, w których nie miałem do dyspozycji nic poza żelazną ramą łóżka, nocnym naczyniem i pościelą, i które ponadto przez większą część czasu zaciemniane były całkowicie ciężkimi drewnianymi okiennicami. Powtarzam, że jestem na wskroś daleki od tego, by podnosić jakiegokolwiek skargi odnośnie przeszłości; tylko że nie mogę przyjąć innego punktu widzenia niż ten, że współdziałała tu pewna *vis inertia*, która zadowalała się jakimś kiedyś ustalonym, choćby nie wiem jak nie do zniesienia stanem, nie zdając sobie sprawy z tego, czy powody, dla których zastosowano daną karę, rzeczywiście ciągle jeszcze istnieją.

Sądzę, że mogę spokojnie twierdzić, iż żadnego innego pacjenta zakładu nie spotkało nic nawet w przybliżeniu podobnego; zamknięcia w celach występują chyba w przypadkach okresowo występujących napadów szału, trwają jednak zwykle, o ile wiem, zawsze najwyżej tylko kilka tygodni.

Tak więc, choć nie mam w najmniejszym stopniu zamiaru nadawać zamieszonym poniżej opisom znamion osobistej surowości, to jednak zobrazowanie, jak niewypowiedzianie cierpiałem podczas owych pobytów w izolacie, należy do pełnego obrazu historii moich cierpień. Mój sen jest – jak wynika z zamieszczonych już wcześniej informacji – zależny wyłącznie od konstelacji niebiańskich stosunków; jak tylko Bóg usuwa się, co zdarza się okresowo z reguły na pół dnia lub na kilka godzin, sen jest dla mnie wręcz niemożliwy. Jeśli muszę trwać w stanie czuwania, bezsensowna gadanina głosów w mojej głowie powoduje zgoła nieznośne duchowe tortury, do których ponadto od ponad roku dochodzą wnet w mniejszym lub większym natężeniu w dalszej części opisane wycia, o ile nie jestem w stanie przekonać oddalonego Boga, który uważa, że zidiociałem, o tym, że jest wręcz przeciwnie.

Jak miałem się jednak do tego zabrać podczas bezsennych nocy w celi, w której brakowało mi światła i wszelkich innych przedmiotów nadających się do uprawiania jakiegokolwiek zajęcia? Pozostawanie w łóżku było po prostu niemożliwe, chodzenie w kółko po ciemnej celi zaś, w samej tylko koszuli i boso, gdyż kapci także mi nie zostawiono, było oczywiście ponad miarę nudne, oprócz tego zimą było mi jeszcze dotkliwie zimno, a ponadto z powodu ranienia mej głowy o niskie sklepienie celi nie było to bezpieczne. Potrzeba matką wynalazku i tak podczas omawianych lat sięgałem do wszelkich możliwych środków, by tylko spędzić czas w jakiś znośny sposób. Czasami

godzinami wiązałem guzy w czterech rogach mej chustki do nosa, po czym je znów rozwiązywałem, oraz częściowo z łóżka, częściowo chodząc po pokoju, przedstawiałem, głośno mówiąc, jakieś wspomnienia z mojego życia, liczyłem często po francusku – gdyż były kierowane do mnie również pytania, czy mówię jeszcze „obcymi językami”, popisywałem się moją wiedzą z dziedziny historii i geografii, np. wymieniałem wszystkich rosyjskich gubernatorów i francuskie departamenty itp., itp. Na mówienie głośno zdecydowałem się oczywiście niechętnie, gdyż tym samym rezygnowałem ze snu, często jednak nie pozostawał mi żaden inny wybór. Bardzo dotkliwie odczuwałem wówczas brak zegarka i zapafek; budząc się bowiem nocą po dłuższym lub krótszym śnie, nie mogłem przecież wiedzieć, w jakim czasie żyję i jakie zachowanie powinienem wybrać jeszcze na resztę nocy.

Gdy pod koniec okresu pobytów w celi nie zamykano już okiennic, oddałem się obserwacji firmamentu⁸⁴ i na podstawie gwiazdnej mapy, którą za każdym razem studiowałem w ciągu dnia, mogłem, całkiem jak ludy naszych praczasów, w miarę dobrze określać nocne godziny. Jak długo zamykano okiennice, nieomal raniłem sobie często dłonie, waląc w nie pięściami; raz zrzuciłem także poluzowaną już za sprawą cudu okiennicę całkiem na dół, przy czym górna poprzeczna część w taki sposób została cudem ciśnięta na moją głowę, że ona i klatka piersiowa zalane były krwią. Trochę lepiej kształtowały się warunki podczas ostatniego okresu mych pobytów w izolatkach, a to dzięki temu, że za każdym razem zabierałem do celi małą blaszaną skrzynkę, w której zwykle przechowywałem różne drobiazgi: ołówek, papier, tzw. *pocket-chess-board* (kieszonkowe szachy) itp., za pomocą których zapewniałem sobie przynajmniej w lecie od chwili nastąpienia dziennej jasności jakieś zajęcie. Taki stan musiałem, jak już mówiłem, znosić dwa i pół roku, w gruncie rzeczy tylko dlatego, że ludzie nie raczyli uznać istnienia nadprzyrodzonych okoliczności.

⁸⁴ Wszystko to w tej osobiwej, jeszcze niepowstałej w żadnym innym człowieku świadomości, że to właśnie gwiaździste niebo jest tym miejscem, skąd pochodzą cuda tak wielokrotnie mi szkodzące.

Rozdział XV. „Igranie z ludźmi i z cudami”. Wołania o pomoc. Mówiące ptaki

Jakiś czas po opisanym w rozdziale XIII przewrocie, a więc mniej więcej pod koniec 1895 lub na początku 1896 roku, poczyniłem szereg doświadczeń, które nakłoniły mnie do poddania moich dotychczasowych wyobrażeń o „pobieżnie wytworzonych ludziach”, „igraszkach z ludźmi” i tym podobnych krytycznej weryfikacji, w rezultacie której wyrobiłem sobie przynajmniej częściowo odbiegający od poprzedniego pogląd.

Przypominam sobie zwłaszcza trzy wydarzenia, które uderzyły mnie w związku z rzeczami, jakie do tej pory uważałem za prawdziwe i słuszne, a mianowicie po pierwsze udział w 1895 roku w mającej miejsce w rodzinie zarządu zakładu, tajnego radcy dr. Webera, bożonarodzeniowej wymianie prezentów, następnie nadejście adresowanego do mnie, opatrzonego miejscowym stemplem pocztowym listu od mojej szwagierki, mieszkającej w Kolonii nad Renem i wreszcie – 10 maja 1896 – uroczysty pochód dzieci podczas święta z okazji dwudziestopięciolecia Pokoju Frankfurckiego, któremu przyglądałem się z moich okien, jak przechodził jedną z położonych pod nimi przedmiejskich ulic Pirny. Po tych wszystkich i podobnych wydarzeniach – wkrótce doszła także regularna korespondencja i czytanie gazet, które wówczas otrzymywałem od członków mojej rodziny – nie mogłem już dłużej żywić wątpliwości, że prawdziwa ludzkość egzystuje w podobnej liczbie i przestrzennym rozmieszczeniu, jak wcześniej. Wynikła stąd natomiast trudność, jak mam pogodzić ten fakt z moimi wcześniejszymi, wskazującymi na pozór na odwrotność spostrzeżeniami. Trudność ta istnieje jeszcze i dziś, i muszę wyznać, że w gruncie rzeczy stoję tu przed nierozwiązaną i prawdopodobnie dla człowieka także nierozwiązywalną zagadką.

Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że moje wcześniejsze wyobrażenia nie były li tylko czystymi „urojeniami” i „zmysłowymi złudze-

niami”; także bowiem i obecnie odbieram jeszcze codziennie i wielokrotnie wrażenia dające mi pełną jasność, że – by zacytować Hamleta – źle się dzieje w państwie duńskim, czyli tutaj w stosunkach między Bogiem a ludzkością. Jak jednak rozwijał się istniejący obecnie stan, czy stało się tak skokowo, czy stopniowo, i na ile obok spowodowanych ingerencją promieni (cudami) przejawów życia udzkiego mają jeszcze miejsce autonomiczne, niepoddające się wpływowi promieni, pozostaje także i dla mnie niestety pytaniem bez odpowiedzi.^{84b} Jest dla mnie całkiem pewne, że wyrażenia i powiedzenia o „pobieżnie wytworzonych ludziach” i o „igraszkach z ludźmi”, pytania: „I co się teraz będzie działo z tą całą przekłętą historią?” itp., jak też gadanina o „nowej rasie ludzkiej ze schreberowskiego ducha” nie powstały w mojej głowie, lecz zostały w nią wprowadzone z zewnątrz. Już choćby na tej podstawie musiałbym zakładać, że u podstaw związanych z tym wyobrażeń leży coś rzeczywistego, że wiążą się z tym jakieś historyczne zdarzenia. Przez ostatnie sześć lat nieprzerwanie odbierałem doznania – a ma to miejsce także i teraz jeszcze codziennie i wiele razy na dzień – które potwierdzają w bezsprzeczny sposób przekonanie, iż wszystko to, co jest w pobliżu mnie mówione i czynione przez ludzi, wynika z działania cudu, i znajduje się w bezpośrednim związku z przybliżaniem się promieni oraz przeplatającymi się z tym zbliżaniem dążeniami do ponownego oddalenia się.

Już w rozdziale VII wspomniałem, że każde słowo, które jest do mnie lub niedaleko mnie wypowiedane, każdy nawet niewielki dźwięk związany z ludzką działalnością, np. otwieranie zamków drzwi na moim korytarzu, szcęknięcie klamki przy drzwiach mojego pokoju, wejście doń pielęgniarza itp., odczuwam jednocześnie z ciosem w moją głowę, powodującym pewien ból. Ból ten przejawia się jak gwałtowne szarpnięcie w moją głowę, które, jak tylko Bóg przeniósł się na nadmierne oddalenie, wywołuje bardzo nieprzyjemnie odczucie i za każdym razem – takie mam przynajmniej uczucie – jest związane z oderwaniem części substancji kostnej mojej czaszki. Jak długo ja sam – w moim pokoju albo w ogrodzie – mówię głośno do Boga, wszystko wokół mnie ogarnia śmiertelna cisza; na tak długo bowiem Bóg nie przejawia skłonności do oddalania się, gdyż znajduje się on wówczas pod bezpośrednim wrażeniem manifestacji czynności życiowych człowieka, który posiada pełnię władz umysłowych; czasem również i ja odnoszę wrażenie, jakbym poruszał się wśród chodzących zwłok, tak całkowicie inni ludzie zdają się naraz tracić zdolność wypowiedzenia

Przypisu 84a. w wydaniu oryginalnym z 1903 roku brak – przyp. wydawcy.

^{84b} Por. ponadto słowo wstępne.

choćby jednego jedynego słowa⁸⁵. Ta sama sytuacja ma miejsce, gdy moje spojrzenie spocznie na jakiejś żeńskiej istocie. Jak tylko jednak odwrócić swój wzrok albo pozwolę na dziejące się za sprawą cudu zamknięcie moich oczu, albo też gdy przejdę od głośnego mówienia do milczenia, nie podejmując jednocześnie żadnej umysłowej czynności, innymi słowy oddaję się niemyśleniu, występują natychmiast, najczęściej w tym samym widzeniu (w tej samej chwili) znajdujące się we wzajemnym stosunku zjawiska, a mianowicie:

1) jakiś dźwięk w moim otoczeniu, najczęściej polegający na napadzie obłąkanych, z których przecież się ono w przeważającej części składa;

2) w mojej osobie wystąpienie cudu wycia, podczas którego moje służące do oddychania mięśnie są przez niższego boga (Arymana) wprowadzane w ruch w taki sposób, że jestem zmuszony wydać wyjący dźwięk, o ile nie poświęcę szczególnie dużego wysiłku na jego stłumienie; w obecnej chwili wycie powtarza się tak szybko i często, że wynika stąd dla mnie stan prawie nie do zniesienia, zwłaszcza kiedy nocą leżenie w łóżku staje się niemożliwe;

3) zerwanie się wiatru, choć nie bez wywierania nań wpływu pozostałej sytuacji meteorologicznej, w przypadku którego jednak nie można przerwoczyć związku pomiędzy występowaniem krótkich uderzeń wiatru a przerwami w mojej umysłowej czynności;

4) nawoływanie „pomocy” przez oderwane dalej od całej masy nerwy, co brzmi tym żałośniej, na im większą odległość Bóg odsunął się ode mnie, a więc im dłuższa jest droga, którą nerwy te najwidoczniej muszą przemierzyć, znajdując się jednocześnie w jakimś lękowym stanie.

Wszystkie te zjawiska powtarzają się każdego dnia po stokroć, więc wraz z upływem czasu obserwowałem je z doskonałą regularnością tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy razy. Przyczynę tego stanu wspomniałem już dotychczas wielokrotnie. Przy każdym ustaniu mojej umysłowej aktywności Bóg

⁸⁵ Trochę inaczej sytuacja wygląda przy posiłkach, które od Wielkiej Nocy tego roku (1900) spożywam przy stole rodzinnym zarządcy zakładu, tajnego radcy dr. Webera, tutaj zwłaszcza z takiego powodu, że prowadzona jest tu stała, przerywana tylko niewielkimi paузami, rozmowa. Omówione w tekście zjawiska występują w ogóle nie zawsze całkiem równomiernie i podlegały na przestrzeni lat pewnym przemianom, które wiążą się przede wszystkim ze wzmogoną rozkoszą duszy. Niektóre ze wspomnianych zjawisk cofają się przejściowo, by mogły zająć ich miejsce inne, których nie dało się zaobserwować we wcześniejszych latach w ogóle albo tylko rzadko. Dotyczy to zwłaszcza tzw. wycia, o którym jeszcze bliżej opowiem. Podstawowa przyczyna pozostaje jednak zawsze ta sama – mianowicie, jak widać, nieodparta pokusa Boga, by się oddalić, jak tylko nie ma w moim ciele uczucia rozkoszy duszy albo moja mowa lub jakieś inne zajęcie nie dostarczają bezpośredniego dowodu na istnienie człowieka znajdującego się w pełnym posiadaniu swych sił umysłowych.

uznaje natychmiast, że moje intelektualne umiejętności wygasły, nastąpiło oczekiwane przezeń zniszczenie umysłu⁸⁶ („idiotyzm”), a tym samym pojawia się możliwość odwrotu.

Rozpoczyna się więc akcję odwrotu i w tym celu cudem wywołuje się „zakłócenie” w opisanym w rozdziale X, sensie. Jest to dźwięk ad. 1. Jednocześnie niższy bóg cudem wywołuje zawsze niemal natychmiast tzw. wycie (ad. 2); wydaje się, że wycie to ma dwa cele, a mianowicie: z jednej strony zapewniane jest na drodze „przedstawiania” wrażenia człowieka wyjącego w pewnym stopniu z idiotyzmu, z drugiej zaś strony dzięki powstałemu przez wycie dźwiękowi tłumi się wewnętrzne głosy, generowane przez wyższego boga w celu większego oddalenia się, aby niższy bóg, który, jak się zdaje, ma przynajmniej pół na pół świadomość konieczności pozwolenia na dalsze przyciąganie, mógł przy tym liczyć na zjednoczenie wszystkich promieni i tym samym na powstanie w moim ciele rozkoszy duszy, czyli innymi słowy, zabezpieczyć się przed możliwością, że rozplynie się w moim ciele *bez rozkoszy duszy*. Większa odległość pociąga za sobą (ad. 3) natychmiast powstanie wiatru (por. rozdział I). Jednak wyższy Bóg dostrzega wnet, że oczekiwane ustanie działania siły przyciągania moich nerwów po raz kolejny nie nastąpiło, że działa ona dalej w tym samym nasileniu; powstający przez to w oddzielonych jako pierwsze częściach boskich nerwów strach wyraża się (ad. 4) u nich jako autentyczne odczucie w okrzyku „pomocy”. Zagadką pozostaje dla mnie, jak wiele innych, kwestia, że wołania o pomoc podobno nie są słyszane przez innych ludzi:⁸⁷ odczucie słuchowe, jakie uderza w moje ucho – wiele setek razy każdego dnia – jest tak wyraźne, że o złudzeniu zmysłów nie może tu być absolutnie mowy. Po autentycznych wołaniach o pomoc następuje za każdym razem natychmiast wyuczona na pamięć fraza „Gdybyż te przekłete wołania o pomoc ustały”.

Że wszystkie przejawy życia ludzi w pobliżu mnie, zwłaszcza ich mowa, są skutkiem cudu (oddziaływania promienia), uwidacznia się wyraźnie dla mnie także w treści rzeczy mówionych. Znów muszę uczynić szeroką dygresję, by umożliwić zrozumienie tego zdania. Jak już wspomniałem w rozdziale IX, Bóg oszczędził podczas doziemnego uwiązywania (por. rozdział IX) oprócz egzystujących wówczas jeszcze sprawdzonych dusz pewne pozostałości wcześniejszych „przedsionków niebios”, a więc dawnych ludzkich

⁸⁶ Że jest to cel, do którego się dąży, przyznano wcześniej całkiem otwarcie w pochodzącej od wyższego boga, słyszanej przeze mnie niezliczone razy: „Chcemy Panu zniszczyć umysł”. W ostatnim czasie fraza ta jest używana rzadziej, gdyż ciągle powtarzana, staje się pewną formą „myśli-niemyślenia”.

⁸⁷ Por. uwagę zamieszczoną w IV części suplementów, pierwsza seria pod koniec.

dusz, które dostały szczęśliwości, w tym celu, by podczas warunkowanego przez przyciąganie moich nerwów zbliżenia móc je załadować trupim jadem, wysłać niejako naprzód w charakterze forpoczty i w ten sposób spowolnić przyciąganie dla samych boskich promieni. Oprócz tego sądzono przy tym chyba także, że stopniowo uda się mnie przytłoczyć, tj. zabić albo zniszczyć mój umysł, masą trupiego jadu, jaki dzień po dniu zbiera się na moim ciele. Rzeczone nerwy (pozostałości „przedsionków niebios”) występują od lat w konsekwencji jakiegoś cudownego powiązania, które najwidoczniej wynika z głębi istoty Bożego tworzenia, i dlatego nie może być wyjaśnione bliżej także przeze mnie, w postaci wyczarowanych ptaków. Tylko sam fakt, że w przypadku tych tkwiących w ptakach nerwów chodzi o pozostałości (pojedyncze nerwy) byłych dusz ludzkich, które dostały błogostanu, jest dla mnie na podstawie tysięcy, od lat powtarzających się codziennie spostrzeżeń, całkowicie bezsprzeczny.

Poszczególne nerwy należące do tej grupy poznaję dokładnie po barwie brzmienia ich od lat znanych mi głosów, wiem dobrze, których z bezsensownych, wyuczonych na pamięć powiedzeń mogę od każdego z nich oczekiwać, w zależności od tego, czy są one przesyłane z obozu niższego boga, czy też z obozu wyższego boga (wyczarowane przez tego czy tamtego). Ich właściwość jako dawnych ludzkich nerwów wynika w sposób oczywisty stąd, że wyczarowane ptaki, *wszystkie bez wyjątku*, za każdym razem po całkowitym wyładowaniu transportowanego przezeń trupiego jadu, tj. kiedy wyrecytowały (że tak powiem) wryte w ich pamięci frazy, dawały wyraz powstającemu w nich prawdziwemu uczuciu zadowolenia, jakie im w tej chwili było dane, słowami „Przekłęty facet”⁸⁸ albo „Oj, trochę cholera”, a więc w ludzkim języku, w jedynych słowach, które jeszcze w ogóle znają dla wyrażenia autentycznego odczucia. Tego, co mówiły przedtem, czyli na pamięć wyuczonych fraz – by zachować to naturalnie tylko w przenośnym sensie rozumiane wyrażenie – nie rozumieją w najmniejszym stopniu; recytują je monotonicznie, nie znając znaczenia poszczególnych słów; pod względem inteligencji stoją w rozwoju właśnie nie wyżej niż jakieś inne naturalne ptaki.

Nie umiem powiedzieć, jak to się dzieje, że ich nerwy wprawiane są w drgania, dzięki którym wymawiane – lub raczej właściwie wyszeptane – przez nie dźwięki odpowiadają ludzkim słowom, z których składają się wyuczone na pamięć frazy; technicznej strony tego zjawiska nie mogę wyjaśnić bliżej, przypuszczam, że także dlatego, iż chodzi tu o sprawy dla ludzi

⁸⁸ Słowa „Przekłęty facet” nie mają tu w żadnym razie złośliwego wydźwięku, lecz są – wręcz przeciwnie, jak to już się też miało w przypadku języka podstawowego – raczej wyrazem radosnego uznania i podziwu.

w ogóle niepojmowalne, bo nadprzyrodzone.⁸⁹ Oddziaływanie natomiast jest mi dzięki trwającym lata doświadczeniom bardzo dobrze znane; polega na tym, że nerwy wyczarowanych ptaków, jak długo zajmują się recytowaniem wyrytych w pamięci (wyuczonych na pamięć) fraz, są nieczułe na wszelkie odczucia, jakie inaczej miałyby podczas wchodzenia w moje ciało, zwłaszcza na rozkosz duszy i wrażenia wzrokowe, tak jakby wchodziły we mnie z zawiązanymi oczami, a ich naturalna zdolność odczuwania byłaby w jakiś sposób wstrzymana. Jest to bowiem także i cel całej tej historii, a także i powód, dlaczego z biegiem lat – odpowiednio do wzrostu natężenia rozkoszy duszy – coraz bardziej powolnie tempo, w którym wyuczone na pamięć frazy są wypowiedane: wchodzące we mnie głosy jako nośniki trupiego jadu mają dzięki temu zachować jak najdłużej jego niszczącą moc. Występuje przy tym jednak niezwykle osobliwe zjawisko, mające wielki wpływ także i na zasięg szkód, jakie odpowiednie głosy i promienie wyrządzają w moim ciele.

Sensu wypowiedanych przez nie słów wyczarowane ptaki, jak już wspominałem, nie rozumieją; posiadają jednak, jak się wydaje, naturalną wrażliwość na równobrzmiennność dźwięków. Dlatego też, jak tylko recytując wyuczone na pamięć frazy, usłyszą – *albo* w pochodzących ode mnie samego drganiach moich nerwów (moich myśli), *albo* w dźwiękach pochodzących z mojego otoczenia – słowa, które są podobne lub zbliżone w *brzmieniu* do wypowiedanych (recytowanych) przez nie słów, wytwarza się w nich stan zaskoczenia, na skutek którego wpadają one, że tak powiem, w pułapkę równobrzmienności, tj. z zaskoczenia zapominają resztę fraz, które jeszcze powinny wyrecytować, i nagle rozplływają się w *autentycznym* odczuciu.

Równobrzmiennność nie musi być, jak już mówiłem, doskonała; wystarczy – jako że sens słów nie jest przez ptaki przecież rozumiany – że usłyszą one podobnie brzmiące dźwięki; nie ma to więc dla nich wielkiego znaczenia, czy wypowiedane są choćby – by podać kilka przykładów:

„Santiago”, czy „Chicago”,
„chęć Państwo”, czy „chrześcijaństwo”,
„duszności”, czy „długości”,

⁸⁹ (Napisane dopiero po kilku dniach po sporządzeniu powyższego tekstu) Być może w grę wchodzi tu podobny proces, jak ten, który próbowano według rozdziału XI przeprowadzić z moimi własnymi nerwami, a odczuwany przeze mnie jako chwilowe oglupienie lub przejściowe ograniczenie umysłowej sprawności. Można by sobie wyobrazić, że poleczenie ptasich nerwów trupim jadem pozbawia je naturalnej zdolności do drgań, czyli naturalnego odczuwania, i oddziałuje na nerwy w pewnym stopniu rozciągająco, tak że są one w stanie wytwarzać jeszcze tylko wydłużone drgania, które odpowiadają wypowiedanym zwłaszcza w ostatnim czasie niezwykle powoli ludzkim słowom.

„Aryman”, czy „a, nie mam”,
„rewident je”, czy „ewidentnie”,
itp., itp.⁹⁰

Pojawiająca się dzięki temu możliwość dezorientowania przeze mnie rozmawiających ze mną ptaków przez dowolne dorzucanie podobnie brzmiących słów musiała mi służyć często jako rozrywka w normalnie nieznośnej jałowości gadaniny głosów i dostarczać mi w rzeczy samej nieco osobliwej zabawy. Choć teraz brzmi to dość żartobliwie, sprawa ta miała jednak dla mnie bardzo duże znaczenie i ma je częściowo także jeszcze teraz. Bowiem wyższy i niższy bóg, obydwaj znający równie dobrze jak ja tę specyficzną właściwość wpadania w pułapkę tak samo brzmiących dźwięków, zagrywając tą właściwością na przemian jak atutem we wzajemnych rozgrywkach. Obydwaj dążą do odsunięcia się i wyparcia do przodu tego innego; ponieważ jednak przez to, że ptaki dają się zawsze nabrać na równobrzmiennność, przez co za każdym razem zwiększa się siła przyciągania oddziałująca na danego boga, do którego obozu należą dane głosy, wyższy bóg ze szczególnym upodobaniem nakazuje znajdującym się w moim otoczeniu osobom wypowiadać takie słowa, które należą do materiału zapisków i głosów niższego boga, i odwrotnie, podczas gdy ja, któremu zależy na zjednoczeniu wszystkich promieni, a więc na równomiernym przyciąganiu, próbuję temu przeciwdziałać. Także i tutaj mógłbym przytoczyć tak liczne przykłady, jak liczne są ziarenka piasku nad morzem.

By wymienić tylko kilka z nich, wspomnijmy, że do materiału zapisków *niższego* boga należały m.in. „światło elektryczne” i „kolej żelazna”, jak też – w podanym w rozdziale XIII kontekście – „kolosalne siły” i „beznadziejny opór”. Wyższy bóg każe natomiast podczas rozmów prowadzonych w mojej obecności – także przy obiadowym stole zarządu zakładu – mówić, z wręcz frapującą, a tym samym wykluczającą każdą myśl o przypadku częstotliwością, o „elektrycznych pociągach”, uznawać wszystko za „kolosalne” i opowiadać przy każdej odpowiedniej i nieodpowiedniej okazji o „perspektywach”. Dla mnie opisane zdarzenia stanowią – oprócz wielu innych – niepodważalny dowód, że *nerwy ludzi, którzy używają tych słów, są do tego zmuszane* – oczywiście bez świadomości tychże ludzi – *przez oddziaływanie promieni* (cuda), innymi słowy są dowodem na rzeczywiste istnienie tzw.

⁹⁰ Wymienione powyżej przykłady zasięgnąłem z rzeczywiście używanego materiału zapisków i rozmów; m.in. „rewidentem” nazywano jednego z wcześniejszych pacjentów tutejszego zakładu, którego wcześniej często wspomniano. Liczbę przykładów mógłbym zwiększyć dowolnie do setek lub tysięcy, chcę jednak poprzestać na przykładach powyższych.

igraszek z ludźmi, o których niższy bóg zwykł był we wcześniejsze lata mówić niezliczone razy. Także i tu mam świadomość, jak niewiarygodnie muszą brzmieć opisane tutaj przeze mnie rzeczy dla innych ludzi; potwierdzające je doświadczenia jednak są moim udziałem każdego dnia i każdej godziny, w każdym miejscu i przy każdej sposobności w tak przytłaczającej mnogości, że wszelkie wątpliwości co do obiektywności opisanych okoliczności są dla mnie wykluczone. Zamierzam później jeszcze przytoczyć dotyczące ich bliższe szczegóły.

W odniesieniu do wyczarowanych ptaków muszę jeszcze coś dodać: daje się tu zauważyć godne uwagi zjawisko, że poszczególne zaangażowane tu nerwy dusz występują w zależności od różnic w porach roku w postaci różnych ptasich gatunków. Te same nerwy znajdują się wiosną w ciałach zięb i innych ptaków śpiewających, latem w postaciach jaskółek, a zimą jako wróble i wrony. Tożsamość odpowiednich dusz wynika dla mnie bez jakiegokolwiek w tym względzie wątpliwości ze znanej mi bardzo dobrze barwy dźwięku ich głosów, jak też z zawsze i jednostajnie słyszanych od nich, że tak powiem, wbitych im do głowy⁹² powiedzeń.

Po takich rozważaniach nasuwa się samo z siebie pytanie, czy mogą one posiadać w ogóle podlegające kontynuacji życie, czy też są wyczarowywane z dnia na dzień albo przynajmniej w pewnych dłuższych odstępach czasu. Pytanie to mogę tylko zadać, ale odpowiedzieć na nie nie potrafię. Widzę, że wyczarowane ptaki jedzą i wypróżniają się, jak inne naturalne ptaki; możliwe więc jest, że wywołany cudem stan utrzymuje się przez przyjmowanie pożywienia przez jakiś czas; wiosną obserwowałem kilkakrotnie budowę gniazd, co zdaje się sugerować możliwość rozmnażania się. Z drugiej jednak strony jest dla mnie na podstawie ich mowy pewne, że pod niektórymi innymi względami nie są naturalnymi ptakami. Ich liczba jest bardzo znaczna, prawdopodobnie idąca w setki, tak że nie poważę się na podanie jakiejś określonej cyfry. Ze względu na wypowiedane przez nie kwestie dzielą się na dwie grupy, z których jedna różni się od drugiej wyraźnie w za-

W wydaniu oryginalnym z 1903 r. brakuje przypisu 91. – przyp. wydawcy.

⁹² Wybrane wyrażenie „wbite do głowy”, na które wpadłem dopiero w dalszej części mojej pracy, zdaje mi się lepiej wyrażać charakter zjawiska, niż używane wcześniej wyrażenia „wyczone na pamięć” lub „wkute”. W przypadku ostatnio wymienionych wyrażenia można by ciągle jeszcze pomyśleć o przyjmowaniu do świadomości *sensu* słów, a u wyczarowanych ptaków o tym właśnie nie może być mowy. Względem wbitych im do głowy powiedzeń język ich nie znajduje się nawet na poziomie języka papugi, która powtarza raz wyczone słowa powodowana własną inicjatywą, w więc pewnego rodzaju postanowieniem woli. Wyczarowane ptaki zaś muszą recytować wbite im do głowy powiedzenia bez żadnego względu na czas i okoliczności, i niezależnie od tego, czy chcą tego, czy też nie.

leżności od tego, od którego boga pochodzą wypowiedane przez nie słowa – od niższego czy od wyższego.

Do grupy niższego boga należy zwłaszcza dusza w ptasiej postaci, która jest mi prawie zawsze najbliższa, i dlatego już od lat inne głosy zwykły ją nazywać moim „małym przyjacielem”. Pojawia się wiosną najczęściej jako dzięcioł albo kos, w lecie jako jaskółka, a w zimie jako wróbel. Nadaną jej żartobliwą nazwę „picus, dzięcioł” inne głosy utrzymują także wówczas, gdy występuje jako kos, jaskółka albo wróbel. Znam dokładnie poszczególne, z biegiem czasu występujące w coraz większej liczbie powiedzenia, którymi jest ona wypełniana, by je potem stale powtarzając, wypowiadać, i sporządzałem już często, jak w przypadku innych wyczarowanych ptaków, ich wykazy, które zawsze okazywały się sprawdzać. Dużej liczbie innych ptasich dusz nadałem dla żartu w celu ich odróżnienia dziewczęce imiona, gdyż ze względu na ich ciekawość i skłonność do rozkoszy można je najlepiej porównać do małych dziewczynek. Imiona te zostały po części przechwycone także przez boskie promienie, po czym zachowane do nazywania danych ptasich dusz. Do wyczarowanych ptaków należą wszystkie szybciej fruujące ptaki, a więc zwłaszcza wszystkie ptaki śpiewające, następnie jaskółki, wróble, wrony itp.; *z ptaków wymienionych gatunków nie widziałem w czasie minionych lat ani choćby jednego egzemplarza, który by nie mówił*. Także podczas obydwu wycieczek wozem, jakie przedsięwziąłem latem tego roku (1900)⁹³, towarzyszyły mi one przez całą drogę aż do celu mojej wycieczki. Natomiast znajdujące się na dziedzińcu tutejszego zakładu gołębie *nie* mówią, tak samo jak nie mówi zamknięty w tutejszym mieszkaniu służbowym kanarek oraz kury, gęsi, kaczki, które widziałem częściowo na leżących poniżej zakładu posesjach, częściowo na wymienionych dwóch wycieczkach w mijanych przeze mnie wówczas miejscowościach; muszę więc zakładać, że w ich przypadku chodzi o proste, naturalne ptaki. Całe to zjawisko ma w sobie coś tak cudownego i baśniowego, że z największym zainteresowaniem poobserwowałbym świat ptaków w innych częściach kraju, gdyż nie

⁹³ Wcześniej, a więc bez mała przez sześć lat, nie wyszedłem poza mury zakładu.

W wydaniu oryginalnym z 1903 r. brak przypisu 93a. – przyp. wydawcy.

mogę naturalnie zakładać, że leżące w większej odległości lasy liściaste itp. pozbawione są całkowicie wszelkich ptasich mieszkańców.^{93b}

^{93b} (Dodatek z marca 1903) Mówienie wszystkich wolno latających ptaków utrzymywało się nieprzerwanie także w latach minionych, podczas których wielokrotnie zmieniałem miejsce pobytu, i ma miejsce po dziś dzień. Ponadto zamiast wyrażenia „wyczarowane ptaki”, którego używałem w powyższym tekście, preferowałbym wyrażenie „mówiące ptaki”. Wcześniej wydawało mi się, że mówienia ptaków nie można wyjaśnić inaczej, jak tylko faktem, że ptaki te były *jako takie* wyczarowywane, tzn. były za każdym razem na nowo tworzone. Po wszystkich moich dotychczasowych doświadczeniach wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że chodzi tu o powstałe w drodze naturalnego rozmnażania ptaki, w których ciała wszczepiono lub wszczepia się za każdym razem na nowo w jakiś nadprzyrodzony sposób istniejące jeszcze skąpe resztki „przedstonków niebios”, a więc dusz ludzkich, które dostały błogostanu. Co do tego jednak, że dusze te (nerwy) znajdują się w ptasich ciałach (może obok właściwych dla danych ptaków ich własnych nerwów, a w każdym razie bez wcześniejszego poczucia tożsamości), nie żywię z przedstawionych w tekście powodów ciągle żadnych wątpliwości.

Rozdział XVI. Przymus myślenia. Jego formy i zjawiska mu towarzyszące

Po opisaniu w poprzednich rozdziałach, jaki przemianom podlegało moje zewnętrzne życie wraz z upływem lat i jakie zjawiska powodowała wojna eksterminacyjna, prowadzona przez boskie promienie przeciwko mnie, chcę teraz przedstawić jeszcze kilka dalszych informacji na temat – także wielokrotnie zmienianych – form, w jakich przejawiał się trwający jednocześnie nieprzerwanie przymus myślenia. Pojęcie przymusu myślenia przedstawiłem już w rozdziale V, mówiąc, że zawiera on w sobie nakaz do ustawicznego myślenia, przez co cierpi naturalne prawo człowieka do umysłowego odpoczynku, do okresowego wypoczynku od czynności myślenia, polegającego na niemyśleniu, albo, jak brzmi wyrażenie w języku podstawowym, niepokojona jest „podstawa” człowieka. Za sprawą oddziaływania promieni moje nerwy wprawiane są w drgania, odpowiadające pewnym ludzkim słowom, których wybór nie wynika z mojej wolnej woli, lecz jest mi narzucony przez wywierane przeciwko mnie zewnętrzne wpływy. Obowiązuje przy tym od samego początku system niedopowiadania, tj. drgania, w które wprawiane są moje nerwy i wytwarzane nimi słowa, nie zawierają w znacznej przewadze zamkniętych, ukończonych myśli, lecz tylko ich fragmenty, przez co przed moimi nerwami stawia się w pewnym stopniu zadanie jakiegoś ich sensownego uzupełnienia. W naturze nerwów bowiem leży, że w chwili, gdy wprowadzane są doń jakieś słowa bez związku, jakieś rozpoczęte frazy, starają się one odruchowo znaleźć to, czego brak jeszcze, by powstała ukończona myśl, która może zadowolić ludzki umysł.

System niedopowiadania wykształcał się coraz bardziej z biegiem lat, im bardziej duszom zaczynało brakować własnych myśli. Szczególnie często nerwom moim narzucane są od wielu lat w tysięcznych powtórzeniach tylko pojedyncze spójniki albo zwroty przysłówkowe, które są przeznaczone do wprowadzania zdań względnych; wówczas to moje nerwy mają za zadanie

wypełnienie tych zdań względnych wystarczającą dla myślącego umysłu treścią. I tak od lat nerwy moje słyszą każdego dnia po stokroć powtarzane bez żadnego związku słowa „czemuż to?”, „dlaczego, bo”, „dlaczego, bo ja”, „chyba że”, „w odniesieniu do niego” (tj. w sprawie mojej osoby należy teraz powiedzieć albo pomyśleć to lub owo), następnie choćby całkiem bez sensu wprowadzane w moje nerwy „O tak”, wreszcie pewne fragmenty wcześniej w całości wypowiedzianych powiedzeń, np.:

1. „No to teraz chcę się”,
2. „Powinni oni bowiem”,
3. „Nad tym chcę się”,
4. „Chyba już przecież musi”,
5. „No bo to teraz”,
6. „Brak nam teraz”, itp.

By dać czytelnikowi przynajmniej ogólne pojęcie o pierwotnym znaczeniu tych urwanych w połowie powiedzeń, chcę teraz dodać do każdego z podanych od 1. do 6. przykładów uzupełnienie, które wcześniej faktycznie było wypowiedziane, teraz jednak go brak, przez co moim nerwom przypada zadanie ich uzupełniania. Powiedzenia te powinny właściwie brzmieć:

Nr 1. No to teraz chcę się pogodzić z tym, że jestem głupi;

Nr 2. Powinni oni bowiem zostać przedstawieni jako ateści, jako osoby oddane lubieżnym rozpustom itp.;

Nr 3. Nad tym chcę się najpierw zastanowić;

Nr 4. Chyba już przecież musi być krucha ta pieczeń wieprzowa;

Nr 5. No bo to teraz zgodnie z poglądem dusz było za wiele;

Nr 6. Brak nam teraz myśli przewodniej, tj. nam, promieniom, brakuje myśli.

Mało gustowne powiedzenie o wieprzowej pieczeni (ad. 4.) wynika w szczególności stąd, że ja sam kiedyś posłużyłem się przed laty w mowie nerwów przenośnym wyrażeniem „kruchej pieczeni wieprzowej”. Wyrażenie to zostało potem przejęte i wprowadzone do stale powtarzającej się części materiału mówionego. „Pieczeń wieprzowa” ma się odnosić do mnie samego, a wyrażona tym powiedzeniem treść ma oznaczać, że mój opór przeciwko atakom promieni, których celem jest zniszczenie mojego rozumu, musi być już przecież w końcu wyczerpany.

Powód niedopowiedzeń jest ten sam, który występuje także w przypadku wszystkich innych zachowań Boga wobec mnie; podejmowana jest próba uniknięcia w ten sposób konieczności rozplywania się w moim ciełe na skutek działania siły przyciągania. Jak długo panowały jeszcze stosunki mniej więcej zgodne z porządkiem świata, tj. przed uwiązaniem do promieni do ziemi (por. rozdział IX), wystarczała każda zgodność odczucia w jednym

jedynym spojrzeniu (chwili), by spowodować zeskoczenie wolno wiszących pod niebem dusz do moich ust, a tym samym zakończenie ich samodzielnej egzystencji; proces ten, jak już wspomniałem w rozdziale VII, przeżywałem wówczas faktycznie w bardzo licznych przypadkach. Taki sam skutek miały jednak także czyste „racjonalne rozważania”, o ile dusze wyrażały je w gramatycznie poprawnej formie. Jeszcze teraz gramatycznie poprawne wyrażenie dowolnej myśli wiodłoby bez przeszkód do mnie, tak że umierające w ten sposób (choć uzyskujące zdolność do wycofania się) promienie zwiększyłyby chwilowo rozkosz duszy mojego ciała. Niedopowiedzenia mają prawdopodobnie takie działanie, że dusze są przez nie zatrzymywane niejako w połowie drogi, po czym uzyskują zdolność do odsuwania się, zanim przyczynią się do pomnożenia rozkoszy duszy w moim ciele; nie osiąga się jednak w ten sposób udaremniania działania siły przyciągania w pełni i na trwałe, wydaje się natomiast, że ma miejsce dzięki temu przynajmniej pewne spowolnienie.

Trudno sobie wyobrazić, jakie umysłowe wysiłki narzucał mi przez lata przymus myślenia, zwłaszcza we wspomnianych zaostreniach, i jakich mi przysparzał duchowych mąk. Podczas pierwszych lat nerwy moje odczuwały faktycznie nieodparty przymus znalezienia zadowalającego ludzki umysł uzupełnienia dla każdego zaczętego zdania względnego, dla każdej niedokończonej frazy⁹⁵, trochę tak, jak w normalnych ludzkich kontaktach zwykło się zawsze dawać odpowiedź na zapytanie innej osoby. By umożliwić w jakimś stopniu zrozumienie tego, jak dzieje się taki przymus sam w sobie dzięki naturze ludzkich nerwów, chcę się posłużyć pewnym przykładem. Proszę sobie wyobrazić taki przypadek, że rodzice albo opiekunowie są obecni podczas organizowanego dla ich dzieci w szkole egzaminu. O ile śledzą egzamin ten z uwagą, udzielają w duchu automatycznie odpowiedzi na każde postawione pytanie, choćby tylko w formie: „Nie wiem, czy dzieci będą to wiedzieć?” Nie istnieje przy tym oczywiście ani dla rodziców, ani dla opiekunów żaden umysłowy przymus; wystarczy, by odwrócili swą uwagę od przebiegu egzaminu i zwrócili ją ku czemuś innemu, co dzieje się w otoczeniu, by ustrzec swe nerwy przed każdym wysiłkiem w tym kierunku. I tu leży właśnie istotna różnica pomiędzy podanym przykładem a moim przypadkiem. Stawiane pytania albo wywołujące przymus do wykonywania funkcji myślowych partykuły pytające są w taki sposób kierowane do moich wprawianych przez promienie w odpowiednie drgania nerwów,

W wydaniu oryginalnym z 1903 r. brak przypisu 94. – przyp. wydawcy.

⁹⁵ Umiejętność czynienia tego, jak wymaga to wzburzenie nerwów, natychmiast w pierwszym spojrzeniu (chwili), nazywano „zdolnością odpowiadania w pierwszym wejrzeniu”.

że nie mogą one w żadnym razie uniknąć zmuszającego ich do myślenia pobudzenia. Muszę jednakowoż pozostawić bez rozstrzygnięcia kwestię, czy wybrany przeze mnie sposób nazwania problemu, mianowicie że moje nerwy są wprawiane w odpowiednie drgania przez promienie, całkowicie trafnie oddaje charakter zjawiska; odczuwany przeze mnie bezpośredni proces wygląda tak, że mówiące głosy (ostatnio więc w szczególności głosy gadających ptaków) wchodzi jako *wewnętrzne głosy* w moją głowę jak długie nici i wywołują w niej dzięki trupiemu jadowi, który zrzucają, bolesne, pełne napięcia odczucie.

Przeciwieństwo do tych wewnętrznych głosów stanowią głosy zewnętrzne, które słyszę zwłaszcza od ptaków, gdy docierają do mnie z zewnątrz z ptasich gardeł. W każdym razie w obydwu przypadkach moje nerwy nie mogą uniknąć odbierania dźwięków wypowiedzianych słów, tym samym więc pojawia się samo z siebie pobudzenie nerwów, które, o ile chodzi o pytania lub niedokończone myśli, zmusza do dalszego myślenia. Przynajmniej w pierwszych latach konieczność dalszego myślenia, odpowiadania na postawione pytania, stylistycznego uzupełniania rozpoczętych fraz itp. była dla moich nerwów całkowicie nieodparta; dopiero z biegiem lat udało mi się krok po kroku przyzwyczaić moje nerwy (moją „podstawę”) do przekształcania przynajmniej części wypowiedzianych słów i powiedzeń przez proste ich powtarzanie w pewną formę „myśli-niemyślenia”, a więc do ignorowania pobudzenia, które samo w sobie zmuszałoby do kontynuowania myśli. Tak czynię teraz już od długiego czasu ze spójnikami i zwrotami przysłówkowymi, które proszą się właściwie o rozbudowanie ich w jakieś pełne zdania względne. Jeśli np. słyszę „dlaczego, bo ja”, albo „chyba że”, powtarzam dane słowa możliwie długo, nie zadając sobie trudu szukania uzupełnienia sensu w związku z powstałymi we mnie wcześniej myślami.

W taki sam sposób postępuję, gdy – co zdarza się setki razy dziennie – słowami „gdyby tylko moje” próbuje się zmusić moje nerwy do generowania jakichś myśli – obaw, których w rzeczywistości wcale nie mam, lecz które są mi na zasadzie fałszowania podsuwane. Najczęściej wiadomo mi – jako że z reguły ma miejsce równocześnie odpowiedni cud, który odczuwam moim ciałem – jakich uzupełnień się ode mnie „oczekuje”; ma nastąpić odpowiednie uzupełnienie: a to „gdyby tylko moja rozkosz duszy nie była zakłócana”, a to „gdyby tylko moje buty nie były zaczarowane”, a to „gdyby tylko mój nos, moje oczy, moja rzepka kolanowa, pokrywa mojej czaszki itp. nie były poddane działaniu cudu”.

Ale ja nie czuję się zmuszony do uzupełniania słowami tego kończącego się tylko na fałszowaniu myśli idiotyzmu, lecz zadawałam się, przyzwyczajwszy moje nerwy do tłumienia występującego w danej chwili podniecenia,

możliwie długim powtarzaniem słów „gdyby tylko moje”, nie dodając do nich niczego więcej. W normalnej rozmowie każdy człowiek zagadnięty przez innego słowami „gdyby tylko moje”, miałby w gotowości jedynie odpowiedź „Co ma Pan właściwie na myśli” albo wyzwisko służące do odparcia molestowania. Taki sposób działania co najmniej trochę utrudniają mi jednak promienie dzięki regularnie wówczas pojawiającemu się „Tośmy już mieli”, którego skutek został już przeze mnie opisany w rozdziale IX, pomijając już fakt, że na dłuższą metę byłoby nie do wytrzymania wprawianie nerwów w ruch tylko po to, by mogły odpowiadać przez cały dzień na powyższą kwestię pytaniem „Co ma Pan właściwie na myśli” albo wybrać jakieś wyzwisko.⁹⁶

Naruszenie wolności ludzkiego myślenia, lub – dokładniej mówiąc – niemyślenia, stanowiące istotę przymusu myślenia, zaostrzyło się jeszcze z biegiem lat przez to, że głosy mówią w coraz wolniejszym tempie. Ma to związek z większą rozkoszą duszy mojego ciała oraz – mimo całego zapisywanego – niezmiernie skąpego materiału słownego, jaki promienie mają do dyspozycji w celu przemierzenia ogromnych odległości, dzielących ciała niebieskie, przy których są one zawieszane, od mojego ciała.

Ktoś, komu nie dane było tak jak mi przeżyć i jeszcze przeżywać tego zjawiska, nie jest prawie w stanie wyobrazić sobie stopnia spowolnienia.

⁹⁶ Tylko wówczas, gdy ktoś sobie wyobrazi, że jeden człowiek miałby, używając zwykłej, ludzkiej mowy, zachowywać się w stosunku do drugiego tak, jak czyniły to i czynią jeszcze w stosunku do mnie przez lata promienie, posługując się mową nerwów, może on uzyskać przybliżony obraz tego, jakie bezmierne naruszenie pierwotnego ludzkiego prawa leży w przymusie myślenia i w jaki przekraczający wszelkie ludzkie pojęcie sposób obciążana jest w związku z tym moja cierpliwość. Wyobraźmy sobie tylko taki przypadek, że jakiś człowiek staje naprzeciw drugiego i molestuje go przez cały dzień powiedzeniami bez związku, jakich używają promienie w stosunku do mnie („Gdyby tylko moje”, „No to już chyba”, „Powinien Pan bowiem” itp.). Cóż w końcu innego mógłby uczynić zagadywany, niż wyrzucić zagadującego z odpowiednimi wyzwiskami za drzwi? Zgodnie z tym powinno właściwie także i mi przysługiwać prawo ochrony mej głowy przed obcymi natrętami. W stosunku do promieni nie jest to jednak możliwe, bowiem nie jestem w stanie powstrzymać ich wynikającego z boskiej mocy czynienia cudów oddziaływania na moje nerwy. (Głośna) ludzka mowa, która jako *ultima ratio* pozostaje jako środek do obrony praw gospodarza domu, nie może być przecież używana zawsze, częściowo przez wzgląd na otoczenie, częściowo wreszcie dlatego, że stałe głośne mówienie uniemożliwiłoby każde rozsądne zajęcie, częściowo wreszcie dlatego, że wykluczałoby ono nocą możliwość korzystania ze snu. Na tym opierają się też próby nakłonienia mnie do głośnego mówienia przez stawianie pytania: „Dlaczego nie powie Pan tego (głośno)?”, albo przez uwłaczające powiedzenia (por. rozdział IX). Zresztą ostatnio, poznawszy coraz lepiej przedmiotowe zależności, nie wahałem się stosować coraz gorliwiej głośnego mówienia w razie odpowiednich okoliczności częściowo podczas rozmów z moim otoczeniem, częściowo w samotności.

„Ależ oczywiście” wypowiedziane „a-a-a-a-a-l-e-e-e-e-e-ż o-o-o-o-o-ocz-y-y-y-y-y-wi-i-i-i-i-ście-e-e-e” albo „Dlaczego Pan nie sr...?” wypowiedziane „Dla-a-a-a-a-cze-e-e-e-e-go-o-o-o Pa-a-a-a-n nie-e-e-e sra-a-a-a-a?” zajmują za każdym razem może 30 do 60 sekund, zanim zostaną wypowiedziane do końca. Każdy człowiek, który nie rozwinąłby w sobie tak jak ja pomysłowości w stosowaniu odpowiednich środków obrony, musiałby odczuwać nerwową niecierpliwość, przez którą wręcz wyskakiwałby ze skóry; przykładem, który może byłby w stanie przedstawić spowodowane tym zaniepokojenie nerwów, choć w znacznie słabszym natężeniu, jest wyobrażenie sobie, że sędzia lub nauczyciel słucha stale jąkającego się, umyślowo ograniczonego świadka lub ucznia i nie jest w stanie, mimo wszelkich wysiłków, skłonić go do wyraźnego wypowiedzenia tego, co zapytany właściwie chce lub powinien powiedzieć.

Do różnych środków obrony należą przede wszystkim gra na fortepianie i czytanie książek lub gazet – o ile pozwala na to stan mojej głowy – przy których giną w końcu także i najbardziej rozciągnięte głosy; na te pory dnia, kiedy nie jest to zbyt dopuszczalne, jak na przykład w nocy, albo gdy odmiana w wykonywanych zajęciach staje się duchową potrzebą, znalazłem odpowiedni sposób radzenia sobie w przypominaniu sobie wierszy. Nauczyłem się na pamięć wielkiej ilości wierszy, zwłaszcza ballad Schillera, dłuższych fragmentów dramatów Schillera i Goethego, ale też arii operowych i frazsek, m.in. o Maxie i Moritzu, ze Struwwelpetera (postać ta nosi w polskim tłumaczeniu imię Staś Straszydło – przyp. red.) i baśni Spektera, które sobie wówczas przepowiadam *verbotenus* po cichu. Nie jest tu oczywiście ważna sama w sobie poetycka wartość tych wierszy; każda – choćby nie wiem jak niepozorna – rymowanka, nawet sprośna, jest ciągle jeszcze złota warta w porównaniu z potwornymi idiotyzmami, jakich w przeciwnym razie musiałyby wysłuchiwać moje nerwy.

Także przy recytowaniu wierszy muszę jednakże walczyć z pewnymi trudnościami, które źle się odbijają na skuteczności tej czynności; za sprawą cudów wyczynia się z moimi nerwami takie rzeczy, że myśli pierzchają i w danej chwili nie jestem w stanie przypomnieć sobie dalszego ciągu wyuczonych przeze mnie na pamięć wierszy albo też, jak tylko znów udało mi się recytacją dłuższych wierszy zmusić do milczenia najdłuższe wewnętrzne głosy i tym samym osiągnąć opierający się na zjednoczeniu wszystkich promieni stan silnej rozkoszy dusz, niższy bóg sięga po opisany w poprzednim rozdziale cud wycia, tak że przechodzi mi ochota na dalsze ciche recytowanie wierszy albo też odebrana mi zostaje fizyczna możliwość recytacji. Dlatego też jestem zmuszony do okresowej zmiany systemów, dokładnie tak, jak na zewnątrz (przez Bożą wszechmoc) są organizowane coraz to nowe systemy

spowalniania przyciągania albo niedopuszczania do zjednoczenia promieni, potrzebnego do snu lub pełnej rozkoszy duszy. W ostatnim czasie uważam za znakomite ciągle ciche liczenie aż do jakiejś dowolnie wysokiej liczby, co jednak na dłuższą metę jest też bardzo nudne. Jeśli, co jeszcze teraz zdarza się nierzadko, występują znaczne cielesne bóle lub utrzymujące się stany wycia, to jako ostatni środek pozostaje już tylko głośne przeklinanie, do czego muszę się od czasu do czasu uciekać, co jednak, mam ufną nadzieję, będzie konieczne w przyszłości coraz rzadziej.

Wszystkie te opisane powyżej zjawiska podlegały z biegiem lat pewnym przeobrażeniom, a także i teraz zmieniają się w zależności od stopnia napięcia w danej chwili rozkoszy duszy albo rozmiarów oddalenia, w jakie udał się Bóg. Ogólnie rzecz ujmując, potwierdzają się tu dzień po dniu coraz bardziej te prognozy, które w tym temacie przedstawiłem już przed laty; za dowód na to niech posłuży poniższy wycinek z mojego niewielkiego szkicu XIII ze wspomnianego w przypisie 61. notatnika B.

16 stycznia 1898

Na razie, tj. podczas lat lub dziesięcioleci, które mogą jeszcze upłynąć do odemęczyźnienia, kierunek naszej polityki jest w ogólnych zarysach jasny. *Jest całkowicie bezsprzeczne, że z każdym rokiem, z każdym dniem, z każdym tygodniem, będzie nam łatwiej*, przy zastrzeżeniu pewnych nawrotów, mających związek z tym, że na zewnątrz nie ma koniecznego zrozumienia i chyba nigdy nie będzie za sprawą układu w Bożych królestwach i charakteru dusz, i że w związku z tym ciągle jeszcze czynione są słabe próby uchylecia się od zgodnego z porządkiem świata rozwiązania.”

Ze względu na jego charakterystyczne znaczenie muszę wyżej wspomnianemu pytaniu „Dlaczego to Pan nie sr...?” poświęcić jeszcze kilka uwag, choć temat, jaki zmuszony jestem przy tym poruszyć, jest mało subtelny. Jak wszystko inne bowiem w moim ciele, także i potrzeba opróżniania się jest wywoływana przez cuda; dzieje się tak poprzez przesuwanie kału w moim jelicie wprzód (czasem też do tyłu), a gdy na skutek już wcześniej mających miejsce opróżnień nie ma wystarczającej ilości materiału, rozsmarowywane są na mym tylnym otworze przynajmniej te istniejące jeszcze niewielkie resztki zawartości jelita. Chodzi tu przy tym o cud wyższego boga, który każdego dnia powtarza się co najmniej kilka tuzinów razy. Wiąże się z tym dla człowieka wręcz niepojęte, a dające się wyjaśnić całkowitą nieznaną jakością żywego człowieka jako organizmu przez Boga jego wyobrażenie, że „sr...e” jest w pewnym stopniu ostatnią rzeczą, tj. sprowadzając cudami potrzeby sr...a, osiąga się cel zniszczenia rozumu i może nastąpić ostateczne

wycofanie się promieni. By dotrzeć do źródeł powstania tego wyobrażenia, trzeba – jak mi się wydaje – pomyśleć o zaistnieniu pomyłki w odniesieniu do symbolicznego znaczenia aktu wypróżniania, że mianowicie ta osoba, która nawiązała z boskimi promieniami związek odpowiadający mojemu, jest w pewnym sensie uprawniona do tego, by „sr...ć na cały świat”.

Jednocześnie jednak uwidacznia się przy tym także cała perfidia⁹⁷ stosowanej wobec mnie polityki. Prawie za każdym razem, gdy ulegam cudowi wypróżnienia, wysyła się jakąś inną osobę – dając do tego bodziec nerwom danego człowieka – z mojego otoczenia do ustępu, by przeszkodzić mi w wypróżnianiu; jest to zjawisko, które obserwowałem od lat tak niezliczone tysiące razy i tak regularnie, że wykluczona jest każda myśl o przypadku. W stosunku do mnie samego jednak na pytanie „dlaczegoż to Pan nie sr...?” kontynuuje się postępowanie, udzielając świetnej odpowiedzi „Bo chyba jestem głupi, albo co”. Pióro broni się prawie przed zapisywaniem takich przerażających nedorzecznosci, że Bóg faktycznie w swymi wynikającym w nieznamość ludzkiej natury zaślepieniu posuwa się tak daleko, by zakładać, że może istnieć człowiek, który – co przecież umie robić każde zwierzę – jest tak głupi, że nie może „sr...ć”. Gdy zaś w przypadku potrzeby rzeczywiście się wypróżniam – do czego służy mi z reguły, jako że ustęp znajduje prawie zawsze zajęty, wiadro – to za każdym razem wiąże się to z niezwykle silnym wytwarzaniem rozkoszy duszy. Uwolnienie od presji, jaką wywołuje znajdujący się w jelitach kał, skutkuje bowiem dla nerwów rozkoszy intensywnym uczuciem przyjemności; tak samo rzecz się ma przy oddawaniu moczu. Z tego powodu podczas wypróżniania się i sikania promienie były zawsze i bez jakiegokolwiek wyjątku zjednoczone, i z tego właśnie powodu podejmowane są stale próby odwoływania cudem, choć najczęściej na próżno, potrzeby wypróżnienia lub sikania, gdy tylko zabieram się do tych naturalnych funkcji.

⁹⁷ Używając tu wyrażenia „perfidia”, nie będę chyba musiał przypominać przedstawianych już wcześniej wielokrotnie (rozdział V, pod koniec, dalej rozdział XI, przypis 74., rozdział XIII) itd. toków myślowych, zgodnie z którymi Bóg działa wobec mnie w stanie – co prawda przez niego samego stworzonym – obrony koniecznej, i dlatego uważa się za wyniesionego ponad wszelkie ludzko-moralne względy.

Rozdział XVII. Kontynuacja poprzedniego rozdziału. Znaczenie „rysowania” w języku dusz

Na podstawie zawartych w poprzednim rozdziale opisów czytelnik uzyskał pewnie wrażenie, że próby, jakim byłem poddawany przez przymus myślenia, pod wieloma względami przekroczyły dalece rozmiar wyzwań, jakim zwykle musi sprostać ludzka odporność i ludzka cierpliwość. By jednak całkiem trzymać się prawdy, muszę dodać, że z drugiej strony wystąpiły tu pewne zjawiska, w których przynajmniej niekiedy mogłem znaleźć pewnego rodzaju rekompensatę za dziejące mi się krzywdy. Pomijając wiedzę na temat spraw nadprzyrodzonych, jaką zdobyłem z biegiem lat i której teraz za żadne skarby świata nie chciałbym już wymazać z mej pamięci, mam na myśli duchowo inspirujące działanie, jaki miał na mnie przymus myślenia. Właśnie rzucanie bez związku w moje nerwy słów, wyrażających stosunki przyczynowo-skutkowe albo jakieś inne zależności („dlaczego tylko”, „dlaczego bo”, „dlaczego, ponieważ ja”, „chyba że”, „przynajmniej” itp.) zmusiło mnie do przemyślenia wielu rzeczy, obok których człowiek zwykle przechodzi nieuważnie, a tym samym przyczyniło się do pogłębienia mojego myślenia. Każde podjęcie jakiejś ludzkiej czynności w pobliżu mnie, które widzę, każda obserwacja przyrody w ogrodzie albo z mego okna pobudza we mnie pewne myśli; gdy potem słyszę w niedługim czasie jakieś wprowadzane do moich nerwów „dlaczego tylko” albo „dlaczego bo”, to jestem przez to zmuszony – albo przynajmniej w dużo większym stopniu niż inni ludzie skłonny – do rozmyślań nad przyczyną lub celem danego zjawiska.

By zacerpnąć tylko kilka przykładów z całkiem codziennych zdarzeń, wspomnę, że właśnie w te dni, kiedy spisuję te słowa, w przykładowym ogrodzie powstaje nowy budynek, a w jednym z sąsiadujących z moim pokojów przestawiany jest piec. Gdy przyglądam się związanym z tym pracom, przychodzi mi do głowy oczywiście automatycznie myśl: ten mężczyzna albo

kilku robotników robią teraz to czy tamto; gdy równocześnie z powstaniem tej myśli wprowadzane są do moich nerwów jakieś „dlaczego tylko” lub „dlaczego bo”, to jestem przez to w sposób tylko z trudem możliwy do odparcia przymuszany do zdania sobie sprawy z przyczyny i celu każdego poszczególnego kroku. Oczywiście podobne rzeczy zdarzały się w trakcie minionych lat tysiącrotnie; zwłaszcza czytanie książek i gazet inspirowane coraz to nowe myśli. Występujący jednocześnie przymus uświadamiania sobie przy każdym myślowym procesie stosunku przyczynowo-skutkowego doprowadził mnie krok po kroku do takiego zrozumienia istoty rzeczy w odniesieniu do prawie wszystkich zjawisk przyrody, w odniesieniu do prawie wszystkich manifestacji ludzkich działań w dziedzinie sztuki, nauki itp., niż zwykły ją być zdobywać człowiek, który – jak większość ludzi – nie uznaje rozmyślenia nad zwykłymi doświadczeniami codziennego życia za godne wysiłku. W wielu przypadkach, zwłaszcza w odniesieniu do procesów uczuciowych, wcale nie jest łatwo znaleźć na pytanie („Dlaczego to”) o przyczynę odpowiednią, zadowalającą ludzki umysł odpowiedź; w większości tych przypadków, np. przy zdaniach „Ta róża pięknie pachnie” albo „Ten wiersz posiada wspaniały poetycki język”, albo „To doskonały obraz”, albo „Ten utwór muzyczny jest nadzwyczaj melodyjny”, samo pytanie o przyczynę powinno właściwie być odebrane wręcz jako niestosowne. Mimo to głosy pytanie takie we mnie generują i dają mi tym samym bodziec do myślenia, od którego nauczyłem się dopiero krok po kroku, jak już mówiłem, przynajmniej częściowo uchylać, jako że nieustanne myślenie staje się męczące. Ktoś, kto wierzy w stworzenie świata przez Boga, może oczywiście przedstawić jako pierwszą przyczynę wszystkich rzeczy i wszystkich zdarzeń powód: „Bo Bóg stworzył świat”. Po między tym faktem jednak a poszczególnymi życiowymi zdarzeniami i zjawiskami leży nieskończona liczba ogniw pośrednich, których przynajmniej częściowe uświadamianie sobie zapewnia w wielu przypadkach ogromnie interesujące zajęcie. Szczególnie wiele zajmowałem się, zainspirowany przymusem myślenia, zagadnieniami etymologicznymi, które cieszyły się moim zainteresowaniem także już wcześniej, za moich zdrowych dni.

Na koniec tych wywodów zamieszczę jeszcze przykład, który być może przyczyni się do lepszego zobrazowania tego, co zostało właśnie powiedziane. Wybiorę bardzo proste zdarzenie, a mianowicie takie, że spotykam znanego mi człowieka, który zwię się Krawiec. Gdy go widzę, pojawia się naturalnie mimowolna myśl: „Ten człowiek nazywa się Krawiec” albo „To jest pan Krawiec”. Po ukształtowaniu się tej myśli w moich nerwach rozbrzmiewa wówczas na przykład „Dlaczego to” albo „Dlaczego bo”. Gdyby takie pytanie zostało w takim kontekście skierowane przez kogoś do innego człowieka podczas normalnych ludzkich kontaktów, odpowiedź brzmiałaby

wtedy prawdopodobnie: „Dlaczego! A cóż to za głupie pytanie, ten człowiek nazywa się Krawiec i już.” Zachowanie przynajmniej moich nerwów wobec tak postawionego pytania jednak nie może albo nie mogło polegać na odpiernaniu w taki sposób ataku. Ich spokój został już zakłócony przez pytanie, dlaczego ten mężczyzna jest panem Krawcem albo dlaczego nazywa się Krawiec. W tym przypadku z pewnością bardzo dziwaczne pytanie o przyczynę zajmuje je w konsekwencji – zwłaszcza przy jego wielokrotnym powtórzeniu – wbrew ich woli tak długo, aż uda im się choćby znaleźć jakieś inne zajęcie dla myśli. I tak nerwy moje są najpierw naprowadzane na odpowiedź: Tak, ten mężczyzna nazywa się Krawiec, bo jego ojciec też nazywał się Krawiec. Taka trywialna odpowiedź nie jest jednak w stanie zapewnić moim nerwom prawdziwego uspokojenia. Następuje więc dalszy ciąg rozmyślań o przyczynach, dlaczego w ogóle wprowadzone zostały imienne nazwy wśród ludzi, o formach, w jakich występowały one u różnych ludów, w różnych czasach i o różnych zależnościach (pozycja społeczna, pochodzenie, szczególnie cechy fizyczne itp.), od których przede wszystkim były wyprowadzane. W ten sposób bardzo prosta obserwacja staje się pod presją przymusu myślenia punktem wyjściowym zakrojonej na bardzo szeroką skalę pracy umysłowej, która w większości przypadków przynosi też owoce.

Innym interesującym zjawiskiem związanym z obcowaniem z promieniami, z którego zrodził się przymus myślenia, jest tak zwane rysowanie, wspomniane już przeze mnie pobieżnie w rozdziale XI. Żaden człowiek poza mną nie wie chyba, a jest to fakt nieznaný także nauce, że dzięki pozostałym w nerwach wrażeniom ludzie noszą w pewnym sensie w *formie obrazów* w sobie wszystkie wspomnienia, jakie przechowywane są jeszcze w ich pamięci. Obrazy te są w moim przypadku dzięki zapewnianemu przez promienie oświetleniu wewnętrznego systemu nerwowego zdolne do dowolnej reprodukcji, na czym właśnie polega istota rysowania. Oto jak wyraziłem tę myśl wcześniej w innej formie (w moim niewielkim szkicu XLIX z 29 października 1898 roku):

„Rysowanie (w znaczeniu obowiązującym w języku dusz) jest świadomym użyciem ludzkiej wyobraźni w celu wytwarzania obrazów (a mianowicie głównie obrazów ze wspomnień) w głowie, które to obrazy są potem przeglądane przez promienie.”⁹⁸ Jestem w stanie tworzyć obrazy wszystkich wspo-

⁹⁸ Interesujące będzie być może poznanie dalszego ciągu wspomnianego wyżej „niewielkiego szkicu”, traktującego o rysowaniu w znaczeniu obowiązującym w mowie ludzkiej; dlatego też zamieszczę go tu poniżej.

Rysowanie w ludzkim sensie to przedstawianie jakichś przedmiotów na płaszczyźnie (w odróżnieniu od materialnego, plastycznego przedstawiania), *bezbarnie* (w odróżnieniu od malarstwa; można też powiedzieć, że malowanie to rysowanie w kolorach), polegające *albo*

mnień z mojego życia, osób, zwierząt, roślin, innych rzeczy ze świata przyrody i przedmiotów codziennego użytku wszelkiego rodzaju z takim skutkiem, że są one widoczne w mojej głowie, albo w zależności od moich zamiarów także poza nią, zarówno dla moich własnych nerwów, jak też dla pozostających z nimi w kontakcie promieni tam, gdzie chcę mieć pewność, że odpowiednie rzeczy będą dostrzeżone. Umiem tak robić ze zjawiskami pogodowymi i innymi zdarzeniami; mogę na przykład spowodować błyskawice albo deszcz – szczególnie skuteczny rysunek, gdyż wszystkie zjawiska pogodowe, a zwłaszcza błyskawice, uznawane są przez promienie za manifestację boskiej mocy czynienia cudów; mogę na przykład kazać zapłonąć domostwu stojącemu pod oknami mojego mieszkania itp., itp. Wszystko to naturalnie tylko w mojej wyobraźni, jednak tak, że promienie, jak mi się zdaje, zyskują przy tym wrażenie, jakby przedmioty i zjawiska, o których mowa, istniały naprawdę. Mogę siebie samego „narysować” w innym miejscu, niż się faktycznie znajduję, np. siedząc przy fortepianie, wyobrazić sobie siebie jednocześnie w damskim przebraniu, stojącego przed lustrem w pokoju obok; mogę, co z podanych w rozdziale XIII powodów jest dla mnie bardzo ważne, kiedy leżę nocą w łóżku, stworzyć sobie samemu i promieniom wrażenie, że moje ciało wyposażone jest w żeńskie piersi i żeńskie narządy płciowe. Dorysowywanie żeńskiego tyłka do mojego ciała – *honny soit gui mal y pense* – stało się dla mnie przyzwyczajeniem w takim stopniu, że czynię to prawie przy każdym schyleniu się. Sądzę, że mogę zgodnie z tym słusznie nazwać „rysowanie” w przedstawionym powyżej znaczeniu w pewnym sensie odwróconym czynieniem cudów. Właśnie tak, jak promienie projektują na mój system nerwowy (zwłaszcza we śnie) obrazy, które chcą zobaczyć, tak ja jestem odwrotnie w stanie przedstawiać promieniom z mojej strony obrazy, co do których zamierzam przekazać im odpowiednie wrażenia.

na czystym *kopiowaniu* (rysowanie z natury), tj. odtwarzaniu przedmiotów faktycznie widzianych w świecie zewnętrznym, podczas którego ludzka siła wyobraźni nie jest używana, *albo* na tworzeniu obrazów przedmiotów nieistniejących jeszcze w świecie zewnętrznym, albo w celach czysto artystycznych (przedstawianie piękna, by sprawić radość sobie i innym ludziom), albo w celach praktycznych, tj. tak, by potem wytworzyć naprawdę przedmioty odpowiadające tym obrazom (model, szkic budowlany itp.), w tym ostatnim przypadku więc pozwalanie na działanie siły wyobraźni (fantazji od φαντασία). (...) [Tu następują rozważania odnoszące się do niemieckiego wyrażenia *Einbildungskraft* – siła wyobraźni, gry słowne, nieprzetłumaczone na język polskie – przyp. tłum.].

Stylistyka tego niewielkiego szkicu pozostawia jeszcze nieco do życzenia, jako że sporządzając powyższe zapiski, nawet w przybliżeniu nie myślałem o tym, że będę kiedyś mógł żywić pragnienie zapoznania z ich treścią także innych ludzi.

Chyba żaden człowiek, który nie przeżył wszystkiego tego, co ja musiałem przeżyć, nie może sobie wyobrazić, pod jak wieloma względami umiejętność „rysowania” zyskała dla mnie dużą wartość. W nieskończonej jałowości mego tak jednostajnego życia, w duchowych męczarniach, jakich przysparzała mi idiotyczna gadanina głosów, była mi ona, prawie codziennie i w każdej godzinie, prawdziwą pociechą i prawdziwym pokrzepieniem. Jak wielką radość sprawiała mi możliwość przywoływania przed oczy mojej duszy krajobrazów ze wszystkich moich podróży, czasem – przy korzystnym zachowaniu promieni – tak zaskakująco wierne naturze, że ja sam, a chyba także i promienie, mieliśmy nieomal to samo wrażenie, że widoki te faktycznie znajdowały się tam, gdzie chciałem je widzieć.

W chwili, gdy zapisuję te słowa, czynię – niejako na próbę – starania, by kazać pojawić się na horyzoncie sylwetce Matterhorna – tam mniej więcej, gdzie w naturze leży piękne wzgórze pod Dittersbach – i przekonuję się, że udaje mi się to do pewnego stopnia zarówno z otwartymi, jak i zamkniętymi oczyma. W podobny sposób „rysowałem” w trakcie minionych lat niezliczone razy postaci znanych mi osób, wchodzących do mojego pokoju, spacerujących po ogrodzie albo wszędzie tam, gdzie je chciałem widzieć⁹⁹, bądź też obrazy, które gdzieś widziałem, zwłaszcza humorystyczne z ulotek. Podczas bezsennych nocy często rewanżowałem się w pewnym stopniu promieniom za straszenie mnie przez nie ich cudami, kaząc z mej strony pojawiać się w moim pokoju albo w mojej izolatce wszelkim możliwym postaciami, poważnym i wesołym, zmysłowo pobudzającym albo napawającym lękiem; zapewniana mi w ten sposób rozrywka była bardzo ważnym środkiem do pokonywania czasem wręcz nieznośnej nudy. Podczas gry na fortepianie zwykły mi bardzo często towarzyszyć rysunki; zwłaszcza podczas grania z wyciągów fortepianowych urządzam całe przedstawienie danej opery albo jej poszczególne części, prezentując – czasem z zaskakującą dokładnością – oczom mojej duszy przebieg akcji, występujące osoby, scenerię itp. Jako że mam do czynienia zwykle z wyczarowanymi ptakami, sprawiam sobie nierzadko przyjemność i przywołuję do mojej głowy obraz ich własnego wizerunku w żartobliwy sposób, tak że na przykład jest on zjadany przez kota, itp. itp. Oczywiście „rysowanie” w przedstawionym sensie związane jest z dość znacznym wysiłkiem umysłowym, warunkiem do jego uprawiania jest w związku z tym co najmniej znośny stan głowy oraz odpowiednio dobry nastrój; jeśli te wstępne warunki istnieją, to radość dzięki temu osią-

⁹⁹ Sprawiam na przykład – wszystko jedno za dnia, czy nocą – że przez mój pokój przechodzą Napoleon albo Fryderyk Wielki, z mojej szafy wychodzi cesarz Wilhelm I w szacie koronacyjnej itp., itp.

gnięta, zwłaszcza w przypadku udania się zamierzonych obrazów, jest niekiedy naprawdę wielka. Oprócz czysto rozrywkowego zadania „rysowanie” ma dla mnie jeszcze inne, nie mniej istotne znaczenie. Widzenie obrazów działa na promienie, jak już wspomniałem w rozdziale XI, oczyszczająco, rozpuszczają się potem we mnie bez w innym przypadku istniejącej niszczącej ostrości. Właśnie dlatego podejmowane są z reguły próby zamazywania przez kontrcudą powstałych na skutek mego rysowania obrazów; tymczasem także i tu odnoszę najczęściej zwycięstwo, tj. zamierzone przeze mnie obrazy pozostają w przypadku użycia mojej zdecydowanej woli widoczne dla mnie i dla promieni, choć często stają się wówczas mniej wyraźne albo pojawiają się tylko w wyblakłej postaci. Podczas gry na fortepianie jestem zmuszony uciekać się do jednoczesnego rysowania także i z tego powodu, że tylko w ten sposób mogę osiągnąć przynajmniej w miarę poprawną grę, że dzięki zapewnionej mi przez to życzliwości promieni zwykle występujące cuda zakłócające grę ulegają pewnemu ograniczeniu.

Jako jedno nie nieważne zjawisko towarzyszące przymusowi myślenia muszę wreszcie jeszcze wspomnieć to, że wszystkie dźwięki, jakie do mnie dobiegają, zwłaszcza te dłużej trwające, jak turkot pociągów, odgłos pracy parowca, muzyka ewentualnych koncertów itp., słowa wprowadzane przez moją głowę przez głosy, jak też te słowa, w które ja samodzielnie ubieram moje myśli za pomocą odpowiednich drgań nerwów, zdają się mówić.

Chodzi tu naturalnie – w odróżnieniu od mowy słońca i wyczarowanych ptaków – o subiektywne odczucie: brzmienie wypowiedzianych lub przeze mnie konstruowanych słów udziela się odbieranym przeze mnie od pociągów, parowców, skrzypiących butów itp. wrażeniom słuchowym; nie mam zamiaru twierdzić, że pociągi, parowce itp. naprawdę mówią, tak jak się to ma w przypadku słońca i ptaków. Zjawisko to odbierane jest jednak właśnie przez promienie jako szczególnie uciążliwe, jako że – zgodnie z tym, o czym wspominałem wcześniej (rozdział VII) – przyzwyczyły się one w najbardziej od świata odległych regionach, stanowiących wcześniej miejsce ich pobytu, do najbardziej świętego spokoju i wszystkie dźwięki powodują w nich strach. Zdania „gdybyż tylko te przeklęte pociągi przestały wreszcie gadać”, „gdybyż te przeklęte parowce przestały gadać” itp. należały w związku z tym przez długi czas do stałych powiedzeń. Używanie tych powiedzeń nie przynosiło naturalnie najmniejszego skutku w praktyce. Wydaje się, że wyobrażenie, iż wystarczy bardzo często wyrażać *słowami* życzenie, by jakiś zły stan rzeczy zniknął, a to nastąpi, leży w ogóle w osobliwości charakteru dusz. Także i ode mnie, gdy na przykład wywołuje się cudami fale gorąca na moją twarz albo sprawia, że marzną mi stopy, nieustannie oczekuje się, że *powiem* głośno: „żebyż tylko ustało to przeklęte gorąco” albo „gdybym tylko tak

nie marzył w stopy”, podczas gdy ja jako człowiek praktyczny przedkładam naturalnie zamiast tego mycie twarzy zimną wodą albo nacieranie moich stóp w celu ich rozgrzania. Na pytanie, czy taką osobliwość charakteru dusz należy nazwać jego słabością, powinno się odpowiadać z dużą ostrożnością: zgodnie z *odpowiadającymi porządkowi świata* warunkami bytu dusze istniały po to, by odczuwać przyjemność, a nie były powołane do – jak człowiek lub inne stworzenia na Ziemi – działania w życiu praktycznym. Dla mnie mówienie pociągów i inne dźwięki byłyby same w sobie dość obojętnymi zjawiskami; na znaczeniu zyskały tylko dlatego, że w moich rękach zjawisko to przybrało postać środka władzy nie do przecenienia w stosunku do fałszowania myśli przez promienie. Jako że, wysilając mą energię woli, mogę, wykluczwszy wszelkie powodowane z zewnątrz drgania, wywołać na krótki czas dowolne drgania moich nerwów, „panuję nad wszelkimi dźwiękami”, jak brzmi wyrażenie, na pewien czas jestem więc w stanie przy przejeździe obok pociągów, parowców itp. narzucić promieniom pewne formy „myśli-niemyślenia” i zapewnić tym samym moim nerwom chwilowy spokój.

Rozdział XVIII. Bóg i procesy tworzenia; samoródtwo; wyczarowane owady. „Kierowanie spojrzenia”. System sprawdzania

Choć w poprzedzających rozdziałach wiele opowiadałem o boskich cudach, to miało to miejsce dotychczas przeważnie ze szczególnym ukierunkowaniem; wspominałem o nich w kontekście ich szkodliwego wpływu na moje ciało i utrudnień, jakie powodowały one podczas wykonywania przeze mnie jakiejś wybranej czynności. Prawdopodobnie chodzi tu o całkowicie nienormalne stosunki, które powstały tylko dzięki temu, iż sam porządek świata rozpadł się w swych istotnych częściach. W docelowym przeznaczeniu boskich promieni leży nie zwalczanie jakiegoś pojedynczego człowieka i jakieś czynności niszczące jego ciało, lecz tworzenie. Ta właściwa promieniom funkcja, tworząca moc czynienia cudów przez Boga, przejawia się także i obecnie pod wieloma względami w sposób dla mnie widoczny i nie chcę zaniedbać przedstawienia tutaj wyobrażeń w tej materii, jakie posiadałem w oparciu o odnośne spostrzeżenia. W samej rzeczy jednak ważę się tu podjąć najtrudniejszy temat, jaki chyba kiedykolwiek zajmował ludzki umysł, i muszę od razu na samym początku podkreślić, że uważam się za zdolnego do poczynienia tylko niewielu uwag o niekompletnym, aforystycznym charakterze. Właściwa tajemnica stworzenia także i dla mnie pozostaje w gruncie rzeczy zamkniętą księgą; poniżej mogę przedstawić tylko przeczucia i domysły, jakie pojawiły się u mnie na ten temat.

Jak już wcześniej (rozdział I, przypis 11.) wspominałem, wydaje mi się, że istotę boskiego stworzenia można nazwać w ten sposób, iż jest to częściowo wyzbywanie się samych siebie przez promienie, które wysyłane są ze świadomą wolą, by w świecie zewnętrznym wytwarzać jakieś rzeczy. Bóg *chce*, żeby coś powstało, i wysyłając promienie z tą wolą, sprawia, że *chciana rzecz się bez problemu pojawia*. Jest to stosunek, który Biblia wyraża w tak znamienity sposób słowami: „Bóg powiedział: Niech stanie się światło, i nastąpiła

jasność”, bliższych związków umysł ludzki nie jest w stanie pojąć. Wydaje się jednak przy tym, że boska moc twórcza nie jest całkiem pozbawiona ograniczeń, całkiem wolna od pewnych warunków wstępnych, które polegają chyba głównie na przestrzennym stosunku do tego ciała niebieskiego, na którym twórcza moc ma się rozwinąć, zwłaszcza na stopniu oddalenia.

By stworzyć gotowego człowieka – akt twórczy, który, jak sądzę, wolno mi zakładać, przed niepamiętnymi czasy istotnie kiedyś miał miejsce – potrzebne było, jeśli mogę tak powiedzieć, niezwykle wyężenie sił, całkowicie wyjątkowe zbliżenie do danego ciała niebieskiego, które jako trwałe stan byłoby zupełnie nie do pogodzenia z własnymi warunkami egzystencji Boga albo z opieką nad całą pozostałą częścią wszechświata.

To samo, co mówi się o człowieku, obowiązuje naturalnie także dla każdej wyższej formy życia zwierzęcego, która w odróżnieniu od istniejących już dotychczas niższych form musiała zostać stworzona. Można by sobie więc wyobrazić, że całość stworzenia na jakimś ciele niebieskim nie jest, jak sądził Darwin, powstawaniem nowych gatunków przez stopniowe ich przekształcanie, lecz następującymi po sobie aktami tworzenia, dzięki którym za każdym razem tworzony jest nowy rodzaj, jednak nie bez nawiązania do poprzednio istniejących, służących niejako za model, rodzajów. Każdy rodzaj mógłby być stwarzany tylko w jednym albo niewielu jednostkach, które zostały obdarowane przy przyjściu na świat darem możliwości rozmnażania się i które w związku z tym w korzystnych warunkach mogły powielać się do dowolnie dużej liczby. Rozumie się samo przez się, że przy tworzeniu nowego rodzaju musiały istnieć zawsze przesłanki, które pozwalały mu się utrzymać na stałe; fizyczne warunki danego ciała niebieskiego (temperatura, rozłożenie powietrza i wody itp.) musiały być w odpowiednim stopniu zaawansowane i musiały się tam znajdować wystarczające ilości roślin i niższych form zwierzęcych, które mogły służyć wyższym formom za pokarm. Ukoronowanie całego stworzenia jednak stanowił człowiek, dla którego – jako istoty podobnej do Boga i po śmierci znów w Boga przemienianej (por. rozdział I, przypis 11.) – wymyślony był od samego początku plan stworzenia.

Do naukowego wypracowania kosmogonicznego poglądu, który w powyższych zdaniach zasugerowałem tylko w nielicznych zgrubnych zarysach, brak mi prawie wszystkich przesłanek. Niemal całkowicie brak mi naukowych środków pomocniczych; w większości danego mi do dyspozycji czasu brak mi odpowiedniej zdrowotnej formy, gdyż pracując, narażony jestem nieustannie na rozpraszające myśli i w inny sposób szkodzące mej głowie cuda, które często wręcz uniemożliwiają ciągłą pracę umysłową nad tak trudną dziedziną; wreszcie potrzebny byłby być może umysł bystrzejszy niż

mój, by rozwiązać ogromne zadanie całkowicie naukowego podbudowania tego poglądu.

Dlatego też w następnej części będę się musiał w większości zadowolić opisaniem tych spostrzeżeń, które naprowadziły mnie na wyżej zobrazowany pogląd. Cel moich starań może polegać tylko na tym, by czytelnikowi przekazać wrażenie, że nie ma on do czynienia li tylko z pustymi urojeniami mózgu biednego umysłowo chorego człowieka (przez ludzi jestem w tej chwili za takiego uznawany), lecz z rezultatami, które wynikły z całkiem szczególnych – dla innych ludzi niedostępnych – doświadczeń, poczynionych podczas wieloletnich, dojrzałych przemyśleń, i które, choć być może nie zawierają we wszystkich swych fragmentach pełnej prawdy, zbliżone są do prawdy bez porównania dalej, niż wszystko to, co inni ludzie o tym przedmiocie myśleli i pisali na przestrzeni tysięcy.

Najważniejsze z tych spostrzeżeń polega na tym, że od lat doświadczałem i także teraz codziennie wielokrotnie doświadczam w pobliżu mnie bezpośrednio powstawania (tworzenia) przez boskie cuda zwierząt co najmniej niższego rzędu. Zgodnie z tym doszedłem do niezachwianego przekonania, że faktycznie istnieje samorództwo (rozmnażanie bez rodziców, *generatio aequivoca*), ale nie w tym znaczeniu, z którym zwykł te wyrażenia łączyć materialistyczny kierunek nauki, że mianowicie nieorganiczne substancje łączą się ze sobą przez jakiś przypadek w taki sposób, że ze związku tego powstaje zorganizowana (ożywiona) istota, lecz w znaczeniu zupełnie od tego różnym, że przy powstawaniu tej istoty chodzi o świadome celu manifestacje boskiej woli lub mocy twórczej. Zwierzęta w ten sposób tworzone należą w zależności od różnic w porach dnia i roku do różnych gatunków; najczęściej wchodzi w grę oprócz pająków owady wszelkiego rodzaju, zwłaszcza muchy, komary, osy, pszczoły, trzmiele, mrówki, motyle, nocne ptaki, skorki, mole itp., itp. Zwierzęta te pojawiają się w pobliżu mnie stale przy całkowicie określonych okazjach i w całkiem określonej kolejności, mianowicie – jak opierając się na częstotliwości takich zjawisk, nie mogę już mieć nawet najmniejszych wątpliwości – nie jako już istniejące od kiedyś, a tylko przypadkowo znajdujące się w moim pobliżu, lecz jako za każdym razem od nowa tworzone istoty. Mogę na przykład z całkowitą pewnością liczyć na to – i w związku z tym przepowiadać – że gdy siedzę w ogrodzie na ławce i, jako że wówczas moje oczy zamknięte są przez cud, w konsekwencji za każdym razem mającego w krótkim czasie miejsce zjednoczenia promieni musiałbym zapaść w sen, *wnet pojawi się jakaś mucha, osa albo trzmiel, albo także i chmara komarów*, by mi w tym spaniu przeszkadzać. Cuda te pochodzą obecnie jeszcze od niższego boga (Arymana); zaczyna mi się jednak wydawać, że takie stosunkowo niewinne cuda czynione są w ostatnim czasie także przez wyższego boga (Ormazda),

jako że, jak już wcześniej wspomniałem, także i jego wrogie mi nastawienie zmniejsza się bardzo na skutek stale rosnącej rozkoszy duszy.

Na to, że nie są to przypadkowo do mnie lecące, lecz zawsze z mojego powodu nowo stworzone istoty, mam wręcz przytłaczający ogrom najbardziej obowiązujących i dla mnie przekonujących dowodów. Kwestia, czy takie przekonanie jestem w stanie wpoić także i innym ludziom, jest obecnie oczywiście jeszcze sporna. W tej chwili nie przykładam także do tego największej wagi. Tymczasem nie mam zamiaru robić propagandy dla mojej wiary w cuda i dla moich wyobrażeń o boskich sprawach; ograniczę się raczej do tego, by przedstawić moje przeżycia i doświadczenia, w niezachwianym oczekiwaniu, iż całościowy obraz cudownych zjawisk, które można zaobserwować na mojej osobie i które *prawdopodobnie w przyszłości będą występowały coraz wyraźniej*, przetrze także u innych ludzi drogę do zrozumienia prawdy, nawet jeśli do tego czasu miałyby przeminąć jeszcze lata. Jako że jednak muszę się przygotować na zarzut, że w fakcie, iż w pewnych okresach w pokoju latają muchy, na świeżym powietrzu osy itp., nie ma nic niezwykłego, że jest to więc tylko moje chorobliwe urojenie, by w przypadku wszystkich tych zjawisk wierzyć w boskie cuda, które mają jakiś związek z moją osobą, chciałbym przedstawić przynajmniej kilka z najważniejszych wskazówek, dzięki którym przekonanie wręcz odwrotne stało się dla mnie w konsekwencji trwających lata powtórzeń opisanych zjawisk niezachwianą pewnością. Bowiem za każdym razem, gdy pojawia się owad z wymienionych gatunków, dzieje się także jednocześnie z moimi oczami cud *kierowania wzroku*; jest to ten cud, który dotychczas nie został przeze mnie wspomniany, który jednak od lat pojawia się z najprzeróżniejszych okazji całkiem regularnie. Promienie chcą widzieć właśnie to, co im się podoba, a do tych rzeczy należą przede wszystkim albo żeńskie istoty, dzięki którym pobudzone jest odczuwanie rozkoszy, albo ich własne cuda, których widok zapewnia im zgodnie z uwagami zamieszczonymi już w rozdziale I radość z wytworzonych przez nie same rzeczy. Nadaje się więc moim oczom przez odpowiednie oddziaływanie na moje oczne mięśnie ten kierunek, w którym mój wzrok *musi* paść na właśnie dopiero co stworzone rzeczy (w innym przypadkach na jakąś żeńską istotę).

Co do obiektywizmu tego procesu nie mam po jego tysiącrotnym powtórzeniu najmniejszych wątpliwości, jako że z własnej inicjatywy nie odczuwałbym najmniejszej chęci zaszczycania moją szczególną uwagą każdej muchy, każdej osy i każdego motyla itp., które by się przypadkowo pojawiły w pobliżu mnie. Można dać chyba wiarę temu, że muszę sobie uświadamiać, czy moje oczy są w opisany sposób, że tak powiem, odwracane za jakimś dla mnie samym w sobie obojętnym przedmiotem albo czy kieruję je sam dobrowolnie na jakiś dla

mnie interesujący punkt z mojego otoczenia¹⁰⁰. Do tego dochodzi jednak jeszcze fakt, że także i rozmawiające ze mną głosy czynią dane zjawiska za każdym razem przedmiotem swych tylko dla nich przeznaczonych rozmów. Dzieje się tak w różny sposób, *albo* przez podsuwanie moim nerwom pewnych sfalszowanych „myśli-obaw” lub „myśli-życzeń”, np. „gdybyż tylko te przekłete muchy zniknęły”, „gdybyż tylko te przekłete osy zniknęły” itd., *albo* wprowadzaniem w życie występującego za każdym razem – także i w innych przypadkach – zamiaru egzaminowania. Tak to już jest, że Bóg nie może, jak już zauważyłem w rozdziale III na ten temat, uwolnić się od wyobrażenia, że w każdej danej chwili, jak tylko nastąpi u mnie niemyślenie, tj. z moich nerwów nie wychodzą sformułowane słowami myśli, popadam w stan całkowitego ogłupienia („zidiocenia”); ma on jednak mimo to chęć upewnienia się, czy założenie to jest faktycznie słuszne i czy tym samym nadszedł wyczekiwany czas, w którym to możliwe będzie ostateczne oddalenie się promieni.

Forma tego egzaminowania jest wielce osobliwa i dla każdego, dla kogo ludzka natura jest znajoma, niemal nie do pojęcia. Każe się osobom z mojego otoczenia, pobudzając ich nerwy, wypowiadać pewne słowa, a mianowicie te najbardziej zwariowane, ze szczególnym upodobaniem do jakichś uczonych okrucich (jeśli to możliwe, pochodzących z obcych języków), jakimi dysponują one jeszcze ze swych wcześniej nabytych wiadomości, i przykłada się niejako do mojego ucha, wprowadzając do moich nerwów słowa: „przyjęto” (*silicet* do świadomości lub do wiedzy); a więc, by posłużyć się przykładem, przez jakiegoś obłąkanego wypowiedane są bez jakiegokol-

¹⁰⁰ Takie cuda kierowania wzroku są czynione, jak już podkreśliłem w tekście, właśnie także i przy innych okazjach; ostatnio, kiedy to postawa promieni wobec mnie stała się w ogóle przyjaźniejsza, czasem nawet w taki sposób, że dzieje się tak jedynie w dla mnie korzystnym sensie. Doświadczam np. prawie codziennie, że szukając wśród moich książek jakiejś jednej albo wśród moich nut jakiegoś szczególnego zeszytu, albo jakiegoś innego małego przedmiotu (igły, nożyczek do cygar itp.), którego człowiek nie zauważyłby natychmiast z powodu niewielkich rozmiarów, mój wzrok kierowany jest za sprawą cudu (przewracanie oczu) na ten szukany przedmiot. To w swym obiektywizmie dla mnie całkowicie bezsprzeczne zjawisko posiada moim zdaniem *najwyższe zasadnicze znaczenie dla zrozumienia boskich cech i sił*. Wynika stąd bowiem *po pierwsze*, że promienie (co dla mnie jest pewne i z tysiąca innych jeszcze powodów) *mogą czytać w moich myślach* (gdyż inaczej nie mogłyby wiedzieć, czego właśnie w tej chwili szukam), i *po drugie*, że za każdym razem są świadome tego, gdzie się szukany przedmiot znajduje, innymi słowami miejsce, gdzie znajduje się jakiś przedmiot, może być przez Boga za pomocą światła słonecznego dostrzeżone w sposób nieporównywalnie doskonalszy i pewniejszy niż przez człowieka za pomocą jego zmysłu wzroku. Nie jest do tego w żadnym razie potrzebne pełne dzienne oświetlenie; wystarcza także i słabsza emisja światła, jaka ma miejsce także i nocą; właśnie w półmroku albo w pełnych ciemnościach nocą często ułatwia mi się w ten sposób znajdowanie szukanych przedmiotów przez ukierunkowanie wzroku.

wiek związku słowa „racjonalizm” i „socjaldemokracja”, a równocześnie głosy kierują do mnie słowa „przyjęto”, sprawdzając, czy następuje jeszcze u mnie zrozumienie tych słów, tj. czy jeszcze wiem, co te słowa znaczą.

Wyobrażenie, że wystąpiło u mnie zgłupienie, jest z każdym razem tak uporczywe, a stopień natężenia zakładanej u mnie głupoty tak wielki, że dzień po dniu od nowa pojawiają się wątpliwości, czy znam jeszcze osoby z mojego otoczenia, czy mam jeszcze pojęcie o codziennych zjawiskach przyrody, przedmiotach artystycznych i użytkowych, innych procesach, ba, nawet czy wiem, *kim jestem i kim byłem ja sam*. Służące celowi sprawdzania słowa „przyjęto” rozbrzmiewają w związku z tym same po mającej razem z ukierunkowaniem wzroku miejsce wskazówce na dane zjawiska albo przedmioty, by podać jeszcze kilka dalszych przykładów, w moich nerwach w taki sposób, że muszę uczestniczyć w słuchaniu „tajny radca – przyjęto”, „kierownik (naczelnny pielęgniarka) – przyjęto”, „pieczeń wieprzowa – przyjęto”, „kolej żelazna – przyjęto”, przede wszystkim także „I ten uważa się za byłego przewodniczącego senatu – przyjęto” itd., itd. To wszystko dzieje się od lat, dzień po dniu, godzina po godzinie w tysięcznych powtórzeniach. *Incredibile scriptu*, chciałbym sam dodać, a wszystko to jest jednak faktycznie prawdą, choć inni ludzie nie będą mogli pojąć myśli o tak totalnej niezdolności Boga do właściwej oceny żyjącego człowieka, i choć także i ja potrzebowałem po niezliczonych poczynionych w związku z powyższym obserwacjach tak długiego czasu, bym przyzwyczaiał się do tej myśli.

W podobny sposób sprawdzająco wygląda więc procedura przy pojawianiu się wyczarowanych owadów. O obecnej porze roku (początek września) są na przykład podczas moich spacerów w ogrodzie szczególnie liczne motyle. Dlatego też prawie bez wyjątku następuje przy pojawieniu się motyla *po pierwsze* ukierunkowanie spojrzenia na daną, najwidoczniej dopiero co stworzoną istotę, *po drugie* zaś rozbrzmiewają w moich nerwach wypowiedane do nich słowa „motyl – przyjęto”, tj. uważano, że jest możliwe, iż nie wiem już, co to jest motyl, i w ten sposób zapytywano mnie, czy pojęcie „motyl” dociera jeszcze do mojej świadomości.

Powinienem sądzić, że powyższe uwagi muszą nawet najbardziej trzeźwo myślącemu czytelnikowi narzucać wrażenie, iż dzieją się ze mną jednak całkiem dziwne rzeczy. Można by być może tylko wątpić, czy ja *mogę i chcę* powiedzieć prawdę, tj. czy nie jestem na przykład skłonny do przesady albo czy nie ulegam omamom. Wobec takich uwag niech mi będzie wolno stwierdzić o mnie samym, że – niech każdy myśli o moich pozostałych umysłowych zdolnościach, co chce – bezwarunkowo roszczę sobie pretensje do dwóch

W wydaniu oryginalnym z 1903 roku brak przypisu 100a – przyp. wydawcy.

cech: mianowicie, po pierwsze, do niezłomnego umiłowania prawdy, i – po wtóre – do więcej niż przeciętnego natężenia daru obserwacji, i że istnienie tych dwóch cech nie będzie podane w wątpliwość przez nikogo, kto mnie znał za mych zdrowych dni, albo kto chciałby poświadczyć teraz całe moje postępowanie.

W odniesieniu do wyczarowanych zwierząt niższego rzędu (owady itp.) podkreślałem już powyżej, że można tu zaobserwować pewne różnice w zależności od pory roku i dnia.

Także i Bóg nie może tworzyć wszystkiego w dowolnym czasie. Miara jego twórczej siły jest raczej zależna od – istotnych dla powstawania pór roku i pór dnia – stosunków pomiędzy Słońcem a Ziemią i, jak mi się zdaje, nawet od danych warunków pogodowych. Trzeba sobie tu przypomnieć, że zgodnie z moimi wcześniej przedstawionymi wyobrażeniami (rozdział I i rozdział VII, przypis 44.) Słońce nie może być właściwie postrzegane jako obcy dla Boga czynnik władzy, lecz że w pewnym sensie musi być utożsamiane z samym Bogiem, tj. jawi się jako najbliższej Ziemi położone narzędzie jego twórczej mocy. Innymi słowy: Bóg może zawsze stworzyć tylko to, do czego stworzył sobie możliwości w kiedyś urządzonych przestrzennych warunkach między sobą samym a danym ciałem niebieskim i uwarunkowaną przez to emisją światła i ciepła. Zgodnie z tym motyle pojawiają się tylko za dnia, osy, pszczoły i trzmiele przede wszystkim w szczególnie ciepłe dni, ptaki nocne, komary i mole natomiast wieczorem, kiedy to są one ponadto – jak w każdym innym przypadku – przyciągane przez światło lampy.

Na pytanie, czy w ich przypadku rzecz się ma podobnie, jak z omawianymi w rozdziale XV wyczarowanymi (mówiącymi) ptakami, trudno odpowiedzieć.^{100b} Już w wymienionym wyżej rozdziale zauważyłem, że także i mówiące ptaki należą zawsze do tych ptasich gatunków, które zwykły u nas występować w zależności od różnic w porach roku. W każdym razie jednak istnieje istotna różnica, polegająca na tym, że w mówiących ptakach, co muszę przyjmować z podanych już wcześniej powodów, tkwią pozostałości różnych dusz ludzkich, co nie ma miejsca w przypadku wyczarowanych owadów. Brzmienie wprowadzanych w moją głowę głosów udziela się wprawdzie, gdy jakaś osa albo mucha dłużej lata w moim pobliżu, bzyczeniu nazwanego zwierzęcia, tak że zdaje się ono mówić. Jest to jednak, tak jak w przypadku innych, wspomnianych pod koniec rozdziału XVII dźwięków (kolej żelazna, parowiec itp.) bez wątplenia tylko subiektywne odczucie. W przypadku owadów natomiast występuje inna interesująca okoliczność, stanowiąca kolejne potwierdzenie mojego przypuszczenia, że chodzi o nowo

^{100b} Por. w tym temacie przypis 93b, str. 163.

stwarzane istoty. W zależności od *nastawienia*, jakie przepełnia Boga względem mnie, pojawiają się bowiem w zmieniający się całkiem regularnie sposób *bardziej* uciążliwe albo *mniej* uciążliwe istoty. Nastawienie to jednak, jak już wcześniej zostało powiedziane, określane jest stopniem natężenia istniejącej rozkoszy duszy i odległością, na jaką Bóg się odsunął; im bardziej się oddalił i im mniejsza rozkosz duszy, tym mniej przyjaźnie zachowuje się on wobec mnie. Okresy przyjaznego i nieprzyjaznego nastawienia występują, zmieniając się szybko wielokrotnie w ciągu każdego poszczególnego dnia. Podczas tych ostatnich pojawiają się w związku z tym np. nocą skorki, pająki i tym podobne, za dnia osy, trzmiele itp., innymi słowy zwierzęta, których obecność szczególnie człowiekowi przeszkadza, wywołuje obrzydzenie albo – przez ukłucia – ból, w pierwszych zaś muchy, mole, motyle itp., które przeze mnie nie są prawie w ogóle odbierane jako uciążliwość.

W związku z powyżej omawianymi sprawami muszę wreszcie jeszcze wspomnieć o tak zwanym *cudzie strachu* jako o zjawisku związanym prawdopodobnie także z twórczą mocą Boga czynienia cudów. „Cuda strachu” – pochodzące nie ode mnie, ale od głosów wyrażenie wynikające z przynajmniej pierwotnie zamierzonego działania – są czynione w pobliżu mnie od lat w najprzeróżniejszych formach.

W latach wcześniejszych pojawiały się niekiedy, gdy leżałem w łóżku – nie śpiąc, lecz w stanie czuwania – rozmaite dziwaczne, chciałoby się powiedzieć podobne do smoków, postaci, w bezpośredniej bliskości przy moim łóżku, dość duże, w przybliżeniu tak duże, jak moje łóżko, i tak blisko, że prawie mogłem ich dotknąć moimi rękami. Do kategorii „cudów strachu” należą prawdopodobnie także „czarne niedźwiedzie”, a w każdym razie „białe niedźwiedzie”, które zgodnie z tym, co zauważyłem w rozdziale VI, często widywałem podczas pobytu w zakładzie Flechsiga. Cuda strachu w postaci nagle pojawiających się czarnych cieni występowały od lat i występują także i teraz, za dnia i w nocy, gdy przechadzam się po korytarzu, podczas gry na fortepianie itp., w pobliżu mnie, niekiedy przybierając podobną do człowieka postać. Cuda strachu albo coś podobnego jestem w stanie nawet dowolnie prowokować, gdy trzymam mą dłoń przed białą powierzchnią, na przykład pomalowanymi na białą drzwiami albo obłożonym białą glazurą piecem; widać wówczas całkiem osobliwe zniekształcenia cieni, wywołane prawdopodobnie przez zupełnie szczególne zmiany w pochodzącej od słońca emisji światła. Że w przypadku wszystkich tych zjawisk nie chodzi o tylko subiektywne odczucia („omamy wzrokowe” w sensie psychiatrii Kräpelina), nie mam najmniejszych wątpliwości, gdyż za każdym razem przy pojawieniu się cudu strachu moja uwaga jest w drodze ukierunkowania spojrzenia (przekręcania oczu) jeszcze szczególnie na to zjawisko naprowadzana. Dzieje się

tak zwłaszcza podczas gry na fortepianie, kiedy to moje myśli zgodnie z moją własną wolą chętniej przebywałyby przy wrażeniach wzrokowych pochodzących od nut albo przy wywołanych piękną muzyką odczuciach, a kiedy to moje oczy są naraz w taki sposób odwracane, że moje spojrzenie musi paść na wytwarzany na drzwiach albo gdzieś indziej w pobliżu mnie cień. Żywie przypuszczenie – tylko o tym może tu być oczywiście mowa – że „cuda strachu” należy postrzegać jako pierwsze początki boskiego tworzenia, które w pewnych okolicznościach mogłyby się zagęszczać w „pobieżnie wytworzonych ludzi” albo inne trwałe stworzenia. Ich napawające mnie lękiem *działanie* utraciło naturalnie swą moc podczas trwającego całe lata procesu przyzwyczajania się; teraz odczuwam je najwyżej jeszcze jako dokuczliwość, gdy mojej uwadze nagle w podany wyżej sposób narzucony zostanie inny kierunek niż ten, gdzie mogłem oglądać te przedmioty, które mnie rzeczywiście interesują.

W następnym rozdziale wyłuszcę jeszcze kilka innych punktów dotyczących natury Boga i istoty boskiego tworzenia.

Rozdział XIX. Kontynuacja poprzedniego rozdziału. Boska wszechmoc i ludzka wolna wola

Gdy w poprzednim rozdziale wyrażałem przekonanie, że samoródtwo (płodzenie bez rodziców) faktycznie ma miejsce i jako uzasadnienie zdobytego przekonania opowiedziałem o moich spostrzeżeniach odnośnie wyczarowanych owadów, to powyższe twierdzenie wymaga jednak pewnego ograniczenia, by zabezpieczyć się przez źle zrozumianym odbiorem. Ograniczenie takie mogę chyba wyrazić najlepiej zdaniem: samoródtwo znów istnieje na naszej Ziemi, od czasu, kiedy nastąpiły warunki sprzeczne z porządkiem świata, podczas gdy prawdopodobnie wcześniej przez wiele tysięcy lat nie było mowy o samoródtwie na naszym ciełe niebieskim. „Samoródtwo” jest w gruncie rzeczy niczym innym, jak tylko słownym określeniem tego, co ja – w zgodzie z językiem Biblii i innych źródeł religijnego przekazu – nazwałem stworzeniem przez boski cud.

Zdobyte przeze mnie podstawowe przekonanie o stosunku Boga do dzieła stworzenia wygląda więc tak, że Bóg wykonywanie przez siebie cudów na naszej Ziemi – jak prawdopodobnie na każdym ciełe niebieskim, które osiągnęło odpowiednio wysoki stopień rozwoju – przeprowadzał tylko tak długo, aż wraz ze stworzeniem człowieka osiągnięty został cel dzieła stworzenia. Od tego momentu stworzony przez siebie świat organiczny pozostawił on w pewnym stopniu samemu sobie, ingerując weń jeszcze najwyżej tylko od czasu do czasu w wyjątkowych przypadkach (por. rozdział I). Swą działalność ograniczył od tego momentu tylko do innych ciał niebieskich i przywoływania dusz zmarłych ludzi do błogostanu; on sam zaś oddalił się na niebotyczne odległości.¹⁰¹

¹⁰¹ Wydaje mi się, że pamiętam, iż wcześniej gdzieś w jakimś źródle naszej religii przeczytałem zdanie: „Pan udał się – *silicet* po ukończeniu dzieła stworzenia – w podróż”, zdanie, które zawierałoby obrazowe przedstawienie zasugerowanego przeze mnie stanu rzeczy. Przed długi czas przypuszczałem, że zdanie to znajduje się gdzieś w Biblii, musiałem się jednak po

Nie może być moim zamiarem dostarczenie właściwego naukowego uzasadnienia tego bazowego poglądu; nie zamierzam napisać naukowego dzieła o historii rozwoju wszechświata, referuję jedynie tylko to, co przeżyłem i czego doświadczyłem, sugerując przy tym wnioski, które zgodnie z uzyskanym dotychczas przeze mnie stopniem poznania można by być może wyciągnąć. Potwierdzenia mego bazowego poglądu oczekuję przede wszystkim po kolejach moich własnych osobistych losów, bo kiedyś później nadejdzie chyba taki moment, gdy także inni ludzie nie będą już mogli dłużej uchylać się od uznania faktu, że moja osoba stała się centralnym punktem dla boskich cudów. Naukowe rozbudowanie tylko zasygnalizowanych przeze mnie wniosków i ich być może konieczne zweryfikowanie w niektórych szczegółach musiałbym wówczas powierzyć innym ludziom. W myśl tego stwierdzenia oddaję się teraz kontynuacji rozpoczętego tematu.

Zakładam więc, że całość dzieła stworzenia na jakimś ciele niebieskim polegała na kolejnym następowaniu po sobie poszczególnych aktów tworzenia, podczas których w ogólności da się zauważyć rozwój od niższych form życia organicznego do form wyższych. Ostatnia myśl nie jest, jak wiadomo, niczym nowym, lecz mniej lub więcej należy do zasobów intelektualnych wszystkich tych ludzi, którzy w ostatnich czasach zajmowali się procesami z dziedziny historii rozwoju. Kwestią sporną jest tylko pytanie, czy przy tym rozwoju należy zakładać działanie ślepego przypadku, który w osobiwy sposób doprowadza do powstawania coraz doskonalszych rzeczy, czy też trzeba uznać „inteligentną przyczynę” (Boga), która ze świadomą wolą dąży do powstawania wyższych form. Istnienie pewnej „celowości” (Du Prel) muszą przyznać nawet tacy badacze, którzy w pozostałych sprawach są skłonni wyjaśniać „uporczywość deistycznych wyobrażeń” tylko istniejącą u większości ludzi słabością procesów myślowych. Dla mnie, co wynika z całej treści niniejszej pracy, egzystencja żywego Boga stała się bezpośrednią pewnością. W związku z tym mogę próbować przedstawić stosunek pomiędzy Bogiem a stworzonym światem w świetle doznanych przeze mnie częściowo nadprzyrodzonych wrażeń pod zupełnie nowym kątem widzenia.

Wobec pytania, czy także same ciała niebieskie (gwiazdy stałe, planety itp.) zostały stworzone przez Boga, staję, jak już wspomniałem w rozdziale

zdobyciu jej egzemplarza przekonać, że nie występuje ono przynajmniej tam, gdzie go szukałem – w Mojżeszowym doniesieniu o stworzeniu świata. Na pytanie, czy znajduje się ono gdzieś indziej, będą być może mogli odpowiedzieć teolodzy. Ja sam mam odczucie, że zdanie to nie jest w żadnym razie powstałym w mojej głowie sformułowaniem odpowiedniej myśli. Jeśli więc nie miałyby się ono znaleźć w naszych religijnych źródłach, musiałbym założyć, że usłyszałem je kiedyś przy jakiejś zapomnianej okazji od głosów.

I, tak samo mało wiedząc, jak w gruncie rzeczy wszyscy inni ludzie; dlatego muszę uznać możliwość, że w nebularnej hipotezie Kanta i Laplace'a jest jakaś część prawdy. W odniesieniu do świata organicznego sądziłbym raczej, że pojawia się konieczność zakładania bardzo istotnej różnicy w procesie tworzenia pomiędzy światem roślinnym z jednej, a światem zwierzęcym z drugiej strony. Ponieważ można sobie wyobrazić, że choćby minimalne cząstki boskich nerwów (promieni) przyjmują podczas przemiany narzuconej im przez akt tworzenia formę *duszy zwierzęcia*, które, jak nisko na drabinie rozwoju by się ono nie znajdowało, ma co najmniej *jedną* cechę wspólną z boskimi promieniami, a mianowicie samoświadomość. Zaś prawie nie do pojęcia jest, przynajmniej dla człowieka, przypuszczenie, że boskie promienie miałyby się rozchodzić w roślinach, które, nawet jeśli w pewnym sensie są żywe, to jednak są istotami nieobdarzonymi samoświadomością. W związku z tym trzeba być może brać pod uwagę możliwość, że do stworzenia świata roślinnego wystarczył w pewnych korzystnych warunkach sam odbłask rozmieszczanych promieni, padający na Ziemię za pośrednictwem światła słonecznego, tak że zbliżenie się Boga, jakie nastąpiło w celu stworzenia na Wenus zorganizowanego świata zwierzęcego, przyniosło jednocześnie taki skutek, że na mniej wówczas jeszcze rozwiniętej Ziemi powołany został do życia przynajmniej świat zewnętrzny. W tej chwili nie dysponuję żadnymi boskimi inspiracjami do prowadzenia rozmyślań wyżej przedstawionego rodzaju, w związku z czym pogubiłbym się tylko być może w bezowocnych spekulacjach, przy których każdy posiadający wykształcenie z dziedziny nauk przyrodniczych badacz mógłby mi dowieść namacalnie moich pomyłek, gdybym jeszcze dalej snuł wątek tych rozmyślań. W sposób dużo bardziej pewny mogę zakładać, że zdolność przemieniania się w zwierzęta wszelkiego rodzaju, w ostatnim rzędzie także ludzi, wytwarzania tych stworzeń z samych siebie, leży jako latentna zdolność w boskich promieniach w pewnym stopniu w ich rdzeniu.

Dysponuję tu różnymi na wskroś godnymi uwagi doświadczeniami i spostrzeżeniami. Trzeba wspomnieć przede wszystkim o tym, że promienie (nerwy) wyższego boga, ciskane niejako do mnie na skutek działania siły przyciągania, same przedstawiały przez długi czas i w niezwykle wielkiej ilości przypadków w mojej głowie obraz ludzkiej postaci. Dzięki szczęśliwemu przypadkowi jestem w stanie, zamiast przedstawiać słowny opis, odesłać czytelnika do rzeczywiście istniejącego rysunku, który odpowiada z wręcz zaskakującą dokładnością obrazowi, który często widywałem w mojej głowie. W tomie V „Sztuki współczesnej” (Berlin, Wydawnictwo Richard Bong) znajduje się reprodukcja obrazu Pradilli „Korowód miłości” (oryg. „Liebesreigen” – przyp. tłum.); w lewym górnym rogu tego obrazu widać kobietą postać, która zniża się w dół z wyciągniętymi ramionami i złożony-

mi dłońmi. Wystarczy tylko zamienić tę postać na męską, by uzyskać dość dokładny obraz tego zjawiska, w formie którego nerwy wyższego boga – jak już wspominałem w bardzo licznych przypadkach – przedstawiają się w mojej głowie podczas schodzenia w dół. Głowa, pierś i ramiona można było dokładnie rozróżnić; ramionami postaci te wymachiwały przy tym na obie strony, jakby owe nerwy chciały przedrzeć się przez jakąś utrudniającą im przybliżenie przeszkodę – obleczenie wówczas przez duszę Flechsig'a sklepienia niebieskiego nerwami (por. rozdział VII). Promienie niższego boga (Arymana) tworzą w mojej głowie często obraz ludzkiej twarzy, mianowicie w taki sposób, że (jak tylko pojawia się rozkosz duszy) dany człowiek zdaje się oblizywać, podobnie chyba jak zwykli to robić od czasu do czasu ludzie, którym coś szczególnie dobrze smakuje, innymi słowy – gdy są pod wrażeniem zmysłowej przyjemności.

Muszę w tym kontekście powrócić teraz jeszcze raz do wielokrotnie wspomnianego w poprzednich rozdziałach (rozdziały VI i XI) zjawiska „małych ludzi”. Pisałem, że zaobserwowałem w bardzo wielkiej liczbie przypadków, iż w pewnych warunkach dusze (promienie) występowały w mojej głowie albo na jakiejś innej części ciała w postaci miniaturowych ludzi. Nasuwa się tu przypuszczenie, że zdolność do przemiany w pewnych okolicznościach w ludzką postać albo do stawania się człowiekiem należy uznać za jedną z cech leżących w najgłębszej istocie promieni. W kontekście tego punktu widzenia pada też zupełnie inne światło na znane słowa Biblii: „Stworzył człowieka na podobieństwo swoje”. Staje się prawdopodobne, że tym słowom Biblii można by przypisać pewne dosłowne znaczenie, jakiego człowiek dotychczas chyba nie odważył się im przyznawać.

Zgodnie z tym człowiek był przypuszczalnie najwyższą istotą, jaką Bóg w ogóle mógł stworzyć. Wszystkie inne stworzone przezeń istoty stanowiły tylko nieskończenie długi łańcuch przygotowań, dzięki którym Bóg zmierzał do ostatniego celu, stworzenia człowieka. Stworzenie samego tylko człowieka byłoby naturalnie niedorzecznością, jako że człowiek w procesie przetrwania związany jest z istnieniem licznych form zwierzęcych niższego rzędu, które służą mu częściowo za pożywienie, częściowo zaś do innych celów. Zdolność stworzenia człowieka zawierała jednak – jako większa – zdolność do tworzenia niższych form zwierzęcych, jako mniejszą. Człowiek mógł więc zostać stworzony dopiero wówczas, gdy przygotowana była podstawa do jego pojawienia się. W długim szeregu form zwierzęcych, które zostały stworzone przed nim, nie można nie rozpoznać coraz większego zbliżenia do budowy człowieka.

Wraz ze stworzeniem każdego rodzaju Bóg kończył przypuszczalnie akt tworzenia *w odniesieniu do tego rodzaju*; wraz ze stworzeniem człowie-

ka ukończone zostało całe dzieło stworzenia. Każdy poszczególny rodzaj otrzymywał dzięki wcześniej stworzonym warunkom bytu, dzięki zdolności do rozmnażania się i dzięki stałemu istnieniu ciepła słonecznego możliwość zachowania swego gatunku. W jakiej mierze udawało się to poszczególnym rodzajom i w dalszej konsekwencji jednostkom do nich należącym, zależało od odporności gatunków i zręczności jednostek, nie podlegało jednak bezpośredniemu wpływowi Boga.

Do rzeczy powyżej omówionych chcę jeszcze dołączyć kilka zastrzeżonych wcześniej (rozdział XIII, przypis 81.) uwag na temat stosunku Boskiej wszechmocy i wszechwiedzy do ludzkiej wolnej woli¹⁰³. Kwestia, czy Bóg zna przyszłość, i jak da się pogodzić odpowiedź twierdząca z bezspornie istniejącą wolną wolą człowieka, zajmował ludzi od dawien dawna. Aby zyskać właściwy punkt widzenia, trzeba sobie uzmysłowić fakt, że dla Boga w pewnym sensie nie ma ani przeszłości, ani przyszłości; dla siebie samego Bóg nie musi oczekiwać od nadchodzących czasów ani szczególnych szczęśliwych okoliczności, ani nieprzyjanych losów; pozostaje on taki sam przez wszystkie czasy; zawiera się to w pojęciu wieczności. Jeśli pytanie to postawi się jednak tak, czy Bóg może znać przyszłość *stworzonych przezeń istot* – rodzajów i jednostek – to pytanie to najlepiej da się przedyskutować na podstawie przykładów. Zapytam więc: Czy istnieje Boska wszechwiedza w odniesieniu do przyszłości w tym sensie, czy Bóg może z góry wiedzieć także:

1) jakiego wieku dożyje każdy z wielu milionów ludzi żyjących na Ziemi?

2) czy i jakiego poszczególnego komara uda się pająkowi w określonym czasie złapać w utkaną przezeń sieć?

3) jaki z setek tysięcy numerów losów na loterii wygra?

4) na jakich warunkach zostanie kiedyś zawarty pokój w toczonej właśnie przez Japonię i europejskie potęgi wojnie przeciwko Chinom?

Sądzę, że wyborem powyższych przykładów dość dokładnie utrafiłem ten ton, w którym zgodnie z moją wiedzą scholastyczna filozofia średnio-

W wydaniu oryginalnym z 1903 r. brak przypisu 102. – przyp. wydawcy.

¹⁰³ Wyjaśnienia na temat stosunku Boga do ludzkiej wolnej woli odgrywały istotną rolę już podczas jednej z pierwszych wizji, jakie w ogóle (a więc około marca 1894 r.) miałem – o ile dobrze pamiętam, w *pierwszej wizji*, w której Bóg mi się, jeśli mogę tak powiedzieć, ujawnił. Niestety, szczegóły umknęły w przeważającej części mojej pamięci z powodu długiego czasu, który od tamtej pory upłynął, i pod wpływem wrażeń, jakie pozostawiły później po sobie masowo występujące wizje. Pamiętam tylko jeszcze, że przed południem w dniu, który po tej wizji nastąpił, przekazałem profesorowi Flechsigowi treść tej wizji i odbyłem z nim ustną rozmowę na temat jej przedmiotu.

wieczą w rzeczywistości traktowała pytanie o predestynację i kwestie z tym związane. Właściwie wystarczy tylko te pytania postawić, by dostrzec absurdalność, jaka leżałaby w twierdzącej na nie odpowiedzi. We wszystkich wybranych przykładach chodzi o pytania, które dla zainteresowanych jednostek (ewentualnie narodów) są sprawą najważniejszą, czasem wręcz sprawą życia i śmierci; dla Boga wszystkie one są w pewnym sensie tak samo mało znaczące. Wszystkie stworzone przezeń rodzaje (a tym samym pośrednio wszystkie należące do nich jednostki) wyposażył on w warunki potrzebne do ich przeżycia; w jakim stopniu wykorzystają one te warunki i jakie dzięki nim osiągną rezultaty, zależy od tych istot, w związku z czym nie może być odgadnięte przez Boga z góry.¹⁰⁴ Nie wyklucza to naturalnie możliwości, że Bóg wyższym przezeń stworzonym formom, a więc zwłaszcza zachowaniu ludzkiego gatunku jako całości i jako jej poszczególnych części, poświęcił więcej zainteresowania i dlatego w odpowiednich przypadkach ingerował wyjątkowo także później jeszcze swymi cudami. Jednak również i w tym przypadku nie dałoby się założyć, że trwałe sukcesy mogłyby być zagwarantowane samymi już tylko zastosowanymi przez Boga środkami władzy.

Wszystko, o czym pisałem dotychczas w niniejszym rozdziale, odnosi się do okoliczności zgodnych z porządkiem świata. Z powodu mojego przypadku w stosunkach tych nastąpiła sięgająca głęboko przemiana, której zasięgu nie mogę także i ja ogarnąć całkowicie. Przez to, że Bóg został zmuszony do przybliżenia się do Ziemi i do pozostania w jej (względnie dużej) bliskości, Ziemia stała się miejscem – być może pociąga to za sobą zaniedbanie innych ciał niebieskich, a w każdym razie ustanie tworzenia nowych błogostanów – stałego czynienia cudów przez Boga. Wydaje się, że promienie nie mogą wytrwać w stanie całkowitej beczynności; tworzenie (czynienie

¹⁰⁴ Uważam natomiast, by prześledzić jeszcze dalej przykład ad. 3), że istnieje *in abstracto* możliwość, iż Bóg mógłby wyznaczyć numer, na który padnie w loterii wielki los. Odpowiednio do wielu cudów, które zaobserwowałem częściowo na mojej osobie, częściowo na osobach z mojego otoczenia, nie byłoby więc dla niego niemożliwe, by skierować wzrok tego człowieka (sierotki), którego zadaniem jest ciągnięcie losów z urny, i nadać jego mięśniom taki kierunek, by wyciągnięty został właśnie los wybrany przez Boga. Bóg w każdym razie wie na pewno, w którym miejscu znajduje się każdy poszczególny los w urnie. Wnioskuje to ze wspomnianych już w przypisie 100. zdarzeń, kiedy to Bóg najwidoczniej wie, gdzie leży szukany przeze mnie, przez wzgląd na swe niewielkie rozmiary nie od razu dostrzegalny przez ludzkie oko, przedmiot. Taki loteryjny (by ze względów na zwięzłość użyć tego wyrażenia) cud nie zostałby jednak przypuszczalnie nigdy uczyniony, ponieważ Bogu brakuje jakiegokolwiek motywacji, by uruchamiać swą moc czynienia cudów tylko w tym celu, żeby jakimś poszczególnemu człowiekowi mogło przypaść w udziale niezwykle szczęście bez jakiegokolwiek zasługi z jego strony. Innymi słowy, Bóg nie może wprawdzie w tym i podobnych przypadkach znać przyszłości, mógłby ją jednak, o ile zaistnieje wystarczający powód, do pewnego stopnia kształtować.

cudów) leży po prostu w ich naturze; po tym, jak wypełnianie należących do nich zgodnie z porządkiem świata zadań przynajmniej tymczasowo stało się niemożliwością, moc czynienia cudów kieruje się na inne rzeczy, przy czym jednak najczęściej występują tylko bezcelowe manifestacje mocy, którym brak trwałych skutków.

Cuda czynione są w pierwszym rzędzie na mojej osobie i na wszystkich przedmiotach, którymi się zajmuję; cuda czynione są na wszystkich manifestacjach życia ludzi, którzy znajdują się w moim pobliżu, kiedy to ich nerwy są wprawiane przez oddziaływanie promieni w ruch, by mogli oni mówić, wykonywać wszystkie naturalne funkcje, by mogli kaszleć, kichać, łącznie nawet ze wzdęciami i opróżnianiem się itp.; cuda czynione są też na żyjących zwierzętach w moim otoczeniu, kiedy to, jak zyskałem pewność podczas poczynionych obserwacji, także rzenie koni, szczekanie psów itp. wywołwane jest przez odpowiednie oddziaływanie na nerwy tych zwierząt. Cuda czynione są wreszcie także poprzez tworzenie na nowo zwierząt niższego rzędu (wspomnianych w poprzednim rozdziale owadów itp.). Wszystko to właściwie bez celu, jako że żywe zwierzęta i ludzie posiadałyby zdolność do odpowiedniej manifestacji życia i bez tego, a nowo stworzone owady należą do gatunków, które i bez tego istnieją w licznych egzemplarzach, i nie chodzi tu o powołanie do życia nowych rodzajów.

W związku z tym używanie mocy czynienia cudów kończy się w każdym działaniu względem mnie bezcelowym dręczeniem, względem innych ludzi i zwierząt zaś pustymi igraszkami. Dla Boga opisany stan jest – jak już wcześniej zauważyłem – również związany z przykrymi okolicznościami, bo trwająca za każdym razem tylko krótko radość ze stworzenia nowych rzeczy zmienia się szybko w stany lękowe, podczas których oderwane od całości na skutek siły przyciągania nerwy schodzą do mnie w dół, wołając „pomocy”. Czy i jak byłoby możliwe przekształcenie tego dla wszystkich uczestników niemiłego stanu znów w normalne, zgodne z porządkiem świata koleje, mogą zgodnie z naturą rzeczy tylko wyrażać przypuszczenia, co do których być może pod koniec tej pracy zaprezentuję jeszcze kilka rozmyślań.

Rozdział XX. Egocentryczne poglądy promieni w odniesieniu do mojej osoby. Dalszy rozwój osobistych losów

W związku z niezdolnością Boga do zrozumienia żywych ludzi jako organizmu, a zwłaszcza do właściwej oceny ich procesów myślowych, muszę dodać jeszcze jeden punkt, który pod wieloma względami stał się dla mnie ważny. Punkt ten mogę określić krótko w ten sposób, że wszystko, co się dzieje, odnosi się do mnie. Pisząc poprzednie zdanie, jestem całkowicie świadom tego, że innym ludziom siłą rzeczy przyjdzie tu do głowy myśl, że mają do czynienia z moim chorobliwym urojeniem; ponieważ wiem bardzo dobrze, że właśnie skłonność odnoszenia wszystkiego do siebie, do wiązania wszystkiego, co się dzieje, z własną osobą, to zjawisko często pojawiające się u umysłowo chorych. W rzeczywistości jednak w moim przypadku jest wręcz odwrotnie. Po tym, jak Bóg wszedł w wyłączny kontakt nerwowy ze mną, stałem się dla niego w pewnym sensie człowiekiem jako takim albo jedynym człowiekiem, wokół którego wszystko się kręci, do którego wszystko, co się dzieje, musi się odnosić i który w związku z tym także ze swego punktu widzenia powinien wszystkie rzeczy odnosić do siebie.

Ten na wskroś opaczny pogląd, który był dla mnie na początku całkowicie niezrozumiały i do którego uznania za fakt zostałem zmuszony dopiero przez wieloletnie doświadczenia, uwidacznia się dla mnie przy każdej sposobności i przy najprzeróżniejszych okazjach. Kiedy np. czytam gazetę, uważa się, że zawarte w niej myśli są moimi własnymi myślami; kiedy gram na fortepianie jakąś pieśń albo wyciąg fortepianowy jakiejś opery, uważa się, że tekst tej pieśni albo opery za każdym razem wyraża moje własne odczucia. Jest to ta sama naiwna niewiedza, dzięki której niekiedy niewykształcone osoby odwiedzające teatr wyobrażają sobie, że to, co jest mówione przez aktorów, oddaje ich własne odczucia, i że aktorzy faktycznie są przedstawianymi osobami. Na mnie może to mieć oczywiście czasem tylko

rozbawiające działanie, kiedy na przykład podczas grania arii z *Czarodziej-
skiego fletu* „Ach czuję, że znikło na zawsze szczęście miłości” albo „Ze-
msta piekieł wrze w moim sercu, wokół mnie płoną śmierć i rozpacz” słyszę
w mojej głowie głosy, które wychodzą z założenia, że właśnie faktycznie na
zawsze utraciłem moje szczęście, jestem ogarnięty rozpaczą itp. Proszę jed-
nak nie doceniać z drugiej strony także tego sprawdzianu cierpliwości,
któremu byłem poddawany przez trwający lata przymus wysłuchiwania tych
okropnych idiotyzmów, polegający na dorzucaniu przy okazjach opisanego
rodzaju pytań „Dlaczego nie powie Pan tego (głośno)?” i „Przyjęto”. Jest to
tak niesamowita niedorzeczność, że przez długi czas miałem wątpliwości,
czy mam ją rzeczywiście zapisać na rachunek samego Boga, czy też raczej
na rachunek jakichś innych podrzędnych bezmyślnych istot, które na odda-
lonym ciele niebieskim zostały stworzone podobnie do „pobieżnie wytwor-
zonych ludzi”, by można je było stamtąd stosować przy obsłudze zadań
związanych z zapisywaniem i odczytywaniem.

Powody dla „za i przeciw” często rozważałem w mych „małych szkicach”,
gdzie każdy, kto interesowałby się szczegółami, może obszerniej o tym prze-
czytać. Tymczasem jednak skłaniam się, nie wypowiadając się ostatecznie,
do poglądu, że to sam znajdujący się na dużej odległości Bóg jest tym, który
wydaje polecenia zadawania wyżej opisanych głupich pytań, a więc on sam
znajduje się w leżącym u podstaw całego tego działania błędzie.¹⁰⁵ Dochodząca
tu do głosu niewiedza ludzkiej natury i ludzkiego umysłu nie jest w gruncie
rzeczy większa niż ta, która występuje także w przypadku innych zjawisk, przy
których muszę uznawać, że Bóg w nich uczestniczy, np. w traktowaniu kwestii
wypróżniania się, jeśli wolno mi się tu w ten sposób streścić (rozdział XVI, pod
koniec), w założeniu, że myślenie o niczym jest identyczne z idiotyzmem, że
mowa nerwów jest właściwą mową ludzi (rozdział XIII) itp., itp.

Że Bóg w kontekście powstałych względem mnie sprzecznych z porząd-
kiem świata okoliczności nie może rościć pretensji do nieomyślności, wy-
nika dla mnie bez wątpienia z faktu, że był to w każdym razie on sam, który
określił całą wytyczną prowadzonej przeciwko mnie polityki i zorganizował
znajdujące się w związku z nią systemy zapisu, niedopowiadania, doziemne-
go umocowania itp. Polityka ta jednak zdąża do niemożliwego celu. Wpraw-
dzie mniej więcej przez rok i ja, jak już wcześniej wspomniałem, w mojej
ówczesnej całkowitej nieznajomości działania cudów i przy przekraczających

¹⁰⁵ Jeszcze powyżej (rozdział IX) wypowiadałem się w myśl wręcz odwrotnego przekonania. Są to jednak właśnie te punkty, co do których zgodnie z naturą rzeczy nie mogę mieć całkowicie stałych poglądów, dlatego także i teraz waham się, w zależności wrażeń popierających raz jeden, raz drugi pogląd.

wszelkie ludzkie doświadczenie okropnościach, jakie mi w związku z tym wyrządzano, sądziłem, że muszę obawiać się o mój rozum. Co najmniej od pięciu lat stało się jednak dla mnie całkowicie jasne, że porządek świata także i Bogu nie daje do ręki środków do zniszczenia jakiegokolwiek człowieka jego rozumem. Bóg natomiast daje się kierować także jeszcze i teraz przeciwnym poglądem, pokrywającym się z wyobrażeniem możliwości „poniechania mnie”, i nieustannie organizuje nowe odpowiadające temu systemowi systemy, dostarczając mi prawie w tej samej formie dzień po dniu dowodów na to, że uwolnienie się od błędnego wyobrażenia jest dla niego dzisiaj tak samo niemożliwe, jak było przed laty. Tym samym nie uważam jednak, co chcę także i tu znów podkreślić, za nie do pogodzenia z tym, co powiedziałem powyżej, iż Bóg w przynależnej mu właściwie według porządku świata sferze swego działania jest przepełniony wieczną mądrością.

Żądanie, by wszystko, co się dzieje, a zgodnie z tym także i wszystko, co mówią inni ludzie, odnosić do mnie, kierowane jest do mnie zwłaszcza podczas moich regularnie odbywających się spacerów po ogrodzie tutejszego zakładu. Dlatego też pobyty w przyzakładowym ogrodzie od zawsze były dla mnie szczególnie trudne; związane są z tym także brutalne sceny, do których niekiedy we wcześniejszych latach dochodziło pomiędzy mną a innymi pacjentami zakładu. Znajdująca się w moim ciele rozkosz duszy stała się już od dawna tak silna, że będąc warunkiem snu zjednoczenie wszystkich promieni zawsze dokonywane jest w przeciągu najkrótszego czasu; dlatego też nie można mnie już od lat zostawić dłużej niż na dwie minuty siedzącego spokojnie na ławce, na której – zwłaszcza w przypadku ewentualnego zmęczenia na skutek poprzedniej mniej lub bardziej bezsennej nocy – zapadłbym w sen, lecz trzeba uciekać się wówczas natychmiast do tak zwanych „zakłóceń” (por. rozdział X), które umożliwiają promieniom ponowny odwrót. „Zakłócenia” te wykonywane są bądź to w bardziej niewinny sposób, kiedy to w sposób opisany w rozdziale XVIII wyczarowywane są owady, bądź to także i w taki sposób, że każe się odzywać do mnie innym pacjentom zakładu albo robić im jakiś hałas, najlepiej bezpośrednio w pobliżu mnie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że także i tu chodzi o wywołane cudem pobudzenie odpowiednich ludzkich nerwów, gdyż za każdym razem występuje wcześniej (rozdział VII i XV) opisane zjawisko, że wypowiedane słowa odbieram równocześnie z wykonanym w moją głowę ciosem o mniej lub bardziej bolesnych skutkach.

Jako że pacjenci¹⁰⁶ składają się przeważnie z szaleńców o niskim stopniu wykształcenia i grubiańskim sposobie myślenia, z reguły wypowiedane są

¹⁰⁶ Ich nazwiska są oczywiście także wszystkie „zapisywane”.

wówczas ordynarne przezwiska, które zgodnie z zamiarami promieni powinienem odnieść do mnie. W pojedynczych przypadkach kazano mnie nawet bez jakiegokolwiek poprzedzającej wymiany zdań faktycznie napaść, jak się to zdarzyło na przykład ze strony pewnego dr. D., podczas gdy ja spokojnie z innym panem grałem w szachy. Ja ze swej strony od zawsze kierowałem się dążeniem do ignorowania, jeśli było to możliwe, ciskanych we mnie obelg jako pochodzących od osób obłąkanych. Jednakże możliwość ignorowania ma przecież swe granice; jeśli – co wcześniej zdarzało się bardzo często, a i teraz zdarza się nierzadko – obłąkani zbyt mocno nadepną mi na odcisk albo mimo okazywanej im milczeniem pogardy nie ustają w dokuczliwych wyzwickach, nie pozostaje mi niekiedy, jeśli nie chcę być posądzony o tchórzostwo, nic innego, jak tylko słowna odpowiedź. Jako że w takich okolicznościach zwykle jedno słowo pociąga drugie, dochodziło we wcześniejszych latach do prawdziwych bójek, podczas których zresztą – mimo że równocześnie wykonywane były gwałtownie cuda zwłaszcza na mojej rzepece kolanowej w celu uczynienia mnie niezdolnym do walki – jeszcze za każdym razem miałem satysfakcję powalenia agresora na ziemię.

Od kilku lat udawało mi się szczęśliwie unikać otwartych bójek, jednakże także i teraz podczas każdego spaceru w ogrodzie potrzebne są nadzwyczajne ilości taktu i opanowania z mojej strony, by zapobiec prawdziwym skandalicznym scenom. Ponieważ metoda napuszczania na mnie za każdym razem obłąkanych z uwłaczającymi powiedzeniami trwa jeszcze i teraz, równocześnie głupia gadanina głosów „Przyjęto”, „Dlaczego nie powie Pan tego (głośno)?”, „Bo jestem głupi” albo też „Bo się boję” itp., pozwala mi ciągle jeszcze na odgadnięcie zamiarów Boga, bym te uwłaczające powiedzenia odnosił do siebie.

Dlatego też by zachować w miarę możliwości spokój i przyzwoitość, i jednocześnie dostarczyć Bogu aktualnego dowodu na integralność mojego umysłu, uczyniłem już od lat mym zwyczajem, by podczas popołudniowych spacerów za każdym razem zabierać do ogrodu moją szachownicę i przynajmniej większą część czasu spędzać na grze w szachy. Realizowałem ten plan także i zimą, kiedy to gra w szachy odbywała się na stojąco, zawsze z krótkimi tylko przerwami spowodowanymi najsurowszymi mrozami; jak długo gram w szachy, panuje stosunkowy spokój. Na podobne nieprzyjemności jestem narażony także i w moim pokoju, do którego ustawicznie, jako tak zwane zakłócenia, ma miejsce bezsensowne wchodzenie innych pacjentów; związek z rzeczami nadprzyrodzonymi nie pozostawia dla mnie i tutaj żadnych wątpliwości.

Wszystkie te zdarzenia w połączeniu z innym rozważaniami pozwoliły mniej więcej przed rokiem dojrzeć we mnie decyzji, by zabiegać o zwolnienie mnie z tutejszego zakładu w przewidywalnej przyszłości. Bo to jest właśnie tak,

że powinienem się znaleźć w gronie ludzi wykształconych, a nie obłąkanych; jak tylko poruszam się wśród kulturalnych ludzi, jak np. przy stole zarządu zakładu, przy którym przyjmuję posiłki od Wielkiej Nocy tego roku (1900), nie występują niektóre ze spowodowanych cudami złych stanów, w szczególności tak zwane krzyki, ponieważ w takich przypadkach mam sposobność, by uczestnicząc w prowadzonej na głos rozmowie, zaprezentować wobec Boga moje niepomnieszzone zasoby umysłowe. Jestem wprawdzie chory nerwowo, nie cierpię jednak w żadnym wypadku na żadną chorobę umysłową, która by mnie czyniła niezdolnym do kierowania własnymi sprawami (§ 6 Niemieckiego Kodeksu Prawa Cywilnego), albo by na mocy prawa porządku publicznego należało mnie przetrzymywać w zakładzie wbrew mojej woli.¹⁰⁷

Dlatego też dowiedziawszy się przypadkowo przed laty, że już pod koniec 1895 roku zarządzono tymczasową kuratelę nad moją osobą, jesienią zeszłego roku sam poruszyłem kwestię, by odpowiednie urzędy zechciały zdecydować, czy kuratelę tę należy przekształcić w kuratelę stałą, czy też znieść. Na podstawie sporządzonej przez tutejszą dyrekcję zakładu opinii i po mającym miejsce w styczniu tego roku (1900) sądowym przesłuchaniu Sąd Rejonowy w Dreźnie wydał jednak w marcu tego roku, wbrew moim oczekiwaniom, niekorzystną dla mnie formalną decyzję o ubezwłasnowolnieniu. Jako że musiałem jednak uzasadnienie tej decyzji uznać za nietrafne, zaskarżyłem ją skierowanym zgodnie z odpowiednimi postanowieniami Regulaminu Procesów Cywilnych przeciwko Królewskiej Prokuraturze przy Sądzie Krajowym w Dreźnie powództwem o uchylenie ubezwłasnowolnienia. Decyzja Sądu procesowego, Królewskiego Sądu Krajowego w Dreźnie, jeszcze nie zapadła, nastąpi jednak przewidywalnie jeszcze w ciągu tego roku. Mogę sobie oszczędzić bliższych informacji o dotychczasowym przebiegu procesu, ponieważ akta Królewskiego Sądu Rejonowego i Królewskiego Sądu Krajowego w Dreźnie zapewniają pełną wiedzę na ten temat, jeśli materiał procesowy kiedykolwiek miałby wzbudzić zainteresowanie także szerszych kręgów. W dołączonych do tych akt moich prezentacjach zawarte są jednakże niektóre wywody, poruszające mój religijny krąg wyobrażeń.

Prawie niezauważalnie wątek niniejszego rozdziału odwiódł mnie znów od rozważań o boskiej naturze do moich teraźniejszych spraw. W związku

¹⁰⁷ Na początku tego roku napisałem artykuł o warunkach, pod jakimi osoby chore umysłowo mogą być przetrzymywane w zakładach publicznych wbrew ich woli, po czym starałem się o przyjęcie go przez jakieś prawnicze czasopismo. Niestety, redakcje tych gazet, do których zwracałem się w związku z tą sprawą, odrzuciły artykuł ze względu na brak miejsca lub z innych powodów. Na wypadek gdyby doszło do opublikowania drukiem niniejszej pracy, zamierzam być może zamieścić wspomniany artykuł jako suplement (patrz str. 267) tego wydania.

z tym chcę dołączyć jeszcze kilka uwag na ten temat. Moje zewnętrzne warunki życia kształtują się w ostatnim czasie zwłaszcza także ze względu na sposób, w jaki jestem traktowany ze strony administracji zakładu, znacznie korzystniej, chciałbym powiedzieć – bardziej godnie człowieka, chyba w nie-małym stopniu pod wpływem wrażeń doznanych podczas lektury mych pi-semnych prac, że może jednak w moim przypadku ma się do czynienia ze zjawiskami leżącymi poza obszarem zwykłego naukowego doświadczenia. Mój stan fizyczny jest trudny do opisanie; w ogólności zmienia się on prędko od silnego fizycznego zadowolenia do wszelkich mniej lub bardziej bolesnych i przykrych stanów. Uczucie fizycznego zadowolenia wynika z w pewnych okresach mocno rozwiniętej rozkoszy duszy; jest ona nierzadko tak silna, że zwłaszcza podczas leżenia w łóżku potrzeba tylko niewielkiego natężenia wyobraźni, by zapewnić mi zmysłową przyjemność, gwarantującą dość dokładne przecucie przyjemności seksualnej odczuwanej przez kobietę podczas spółkowania.

Do tego punktu wrócę szerzej w następnym rozdziale. Po drugiej stronie występują zaś, na skutek cudów przeciwko mnie czynionych, naprzemiennie ze stanami wyżej opisanymi (zwłaszcza przy każdym ponownym oddaleniu się Boga) wszelakie bolesne stany, pojawiając się prawie bez wyjątku całkiem nagle i prawie tak samo regularnie po krótkim czasie znikając. Poza już wcześniej wymienionymi zjawiskami mają miejsce m.in. ischiatyczne bóle, skurcze łydek, paraliże, nagle uczucie głodu itp.; wcześniej nierzadkie były lumbago i bóle zębów. Postrzał bywał przez jakiś czas (gdy sypiałem jeszcze w izolatce) niekiedy tak silny, że mogłem się podnieść z łóżka tylko wydając jednocześnie – pół na pół zamierzony w tym celu – okrzyk bólu; także bóle zębów bywały niekiedy tak mocne, że uniemożliwiały każde umysłowe zajęcie. Jeszcze teraz mam nieprzerwanie do czynienia z pewnego rodzaju bólami głowy, które bez wątpienia nie są znane żadnemu innemu człowiekowi i prawie nie można ich porównywać ze zwykłymi bólami głowy. Są to ciągnące i szarpiące bóle, powstające przez to, że uwiązane doziemnie promienie próbują za każdym razem, gdy rozkosz duszy osiągnęła pewien stopień natężenia, znów uskutecznić odwrót. Prawie jednocześnie w takich przypadkach następujący cud krzyków powoduje przy częstszym powtarzaniu także bardzo nieprzyjemne wstrząsy głowy; jeśli ma on miejsce w czasie, gdy jem, muszę bardzo uważać, bym nie wypluł zawartości ust. Raptowne zmiany w stanie zdrowia powodują, że stan ogólny należałoby właściwie nazwać szalonym, a to tym bardziej, że także moje otoczenie składa się głównie z osób obłąkanych, które naturalnie ze swej strony mają swój wkład w dzianie się rozmaitych nierozumnych rzeczy.

Rzadko jest dla mnie możliwe wytrzymanie dłużej przy jednym i tym samym zajęciu; bardzo często wystąpienie bólu głowy podczas dłuższego czytania, pisania itp. zmusza mnie do zmiany zajęcia. Niejednokrotnie jestem skazany na spędzanie czasu na drobnostkach; pod względem fizycznym moje samopoczucie jest podczas nich (oprócz gry na fortepianie) najlepsze. Dlatego też w poprzednich latach musiałem się wielokrotnie zajmować mechanicznymi pracami, klejeniem, kolorowaniem obrazków i tym podobnym; całkiem szczególnie godne polecenia są, patrząc z punktu widzenia żeńskiego fizycznego samopoczucia, takie prace, które leżą w kompetencji kobiet, a więc sycie, wycieranie kurzu, ścielenie łóżka, mycie naczyń itp., tj. kiedy stan mojej głowy wyklucza każde inne, bardziej odpowiadające umysłowym potrzebom zajęcia. Mój sen nocą jest w ogólności znacznie lepszy niż wcześniej; już wcześniej wspominałem, że na skutek ustawicznych krzyków (występujących na przemian z wielką rozkoszą) chwilami nie mogę wytrzymać w łóżku. Dlatego też także i w tym roku opuszczałem poszczególne razy łóżko już o północy albo o pierwszej i przy sztucznym oświetleniu (o które teraz zadbano), lub w pełni lata bez niego, przesiadywałem wiele godzin aż do rana; od godziny trzeciej albo czwartej było to konieczne chyba prawie w trzeciej części nocy. Mój nocny spoczynek często niepokoją sny, w przypadku których ze względu na ich tendencyjne treści („zachowanie po męskiej stronie” w odróżnieniu od „żeńskich uczuć”) wydaje mi się, że rozpoznaję niejednokrotnie wpływ promieni. Tylko wyjątkowo sny miewają teraz jeszcze charakter prawdziwych wizji, tzn. właściwą dla wizji intensywność wrażeń.

Gadanina głosów stale się zmienia i nawet w stosunkowo krótkim czasie, kiedy to zajęty jestem pisaniem niniejszej pracy, doznała już ponownie rozmaitych zmian. Prawie nie słyszę wielu z wcześniej używanych powiedzeń, szczególnie tych, które przypominały jeszcze jakoś „myśl-niemysłenie”. Od opisu zawartego w rozdziale XVI wzmógł się także jeszcze stopień spowolnienia mówienia, tak że mówienie głosów trzeba by określić w niemałej części jeszcze tylko jako syczenie w mojej głowie, w którym być może nawet nie rozróżniałbym już żadnych pojedynczych słów, gdybym – muszę powiedzieć na moje nieszczęście – na skutek zgodnych z działaniem pamięci przypomnień nie wiedział prawie zawsze z góry, jakich bezsensownych powiedzeń należy oczekiwać.

Uważam za prawdopodobne, że przemiany opisanego wyżej rodzaju, które wszystkie mają związek z rosnącą rozkoszą duszy, jak też – z tego samego powodu – zmiany w przeciwko mnie czynionych cudach, będą w przyszłości występowały jeszcze dalej.

Jako najbardziej uciążliwe odbieram – oprócz czasem niedostatecznie dobrej kondycji głowy – krzyki, które mnie nawiedzają już od dwóch albo

trzech lat i które w ostatnim roku rozwinęły się niekiedy do prawie nieznośnego utrapienia. Nie mam śmiałości przepowiadać, czy w tej sprawie należy oczekiwać w przyszłości poprawy; złagodzenie wyżej opisanych stanów nastąpiłoby wszakże, jak wydaje mi się na podstawie wcześniej zasygnalizowanych powodów, gdybym mógł przebywać poza niniejszym zakładem.

Rozdział XXI. Błogostan i rozkosz duszy w ich wzajemnej relacji. Skutki wynikające z niej dla własnego zachowania

Nie podjąłem dotychczas prawie żadnej próby właściwego udowodnienia realności cudów, o których twierdzę, że mają miejsce, oraz prawdziwości moich religijnych wyobrażeń. Jednakże w mojej fizycznej kondycji znajduje się mnogość argumentów, abstrahując od wielokrotnie wspomnianych krzyków¹⁰⁸, tak że – jak zakładam – badanie mojego ciała pod kątem widocznych na nim cech żeńskich musiałyby już teraz oddziaływać przekonująco na innych ludzi. Dlatego też poświęcę temu przedmiotowi w niniejszym rozdziale szczególne omówienie, które chcę poprzedzić dotyczącymi tego samego tematu informacjami przekazanymi już dyrekcji tutejszego zakładu częściowo w formie wycinków, częściowo zgodnie z ich pełną treścią.

Po wydaniu przez Królewski Sąd Rejonowy w Dreźnie pod datą 13 marca tego roku (1900) decyzji o moim ubezwłasnowolnieniu skierowałem 24 tego samego miesiąca do dyrekcji tutejszego zakładu prezentację, w której przedstawiłem jej niektóre z istotniejszych punktów widzenia, na których zamierzam oprzeć mój wniosek o uchylene decyzji o ubezwłasnowolnieniu, jaki ma być przeze mnie złożony – w międzyczasie już złożony. Jako powód ich przedstawienia podałem przy tym, że dyrekcja zakładu będzie prawdopodobnie zywana jeszcze w związku z przyszłym procesem do ponownego wypowiedzenia się w formie opinii i że musi mi zależeć na tym, by przedsta-

¹⁰⁸ Napady krzyków rozwinęły się teraz (luty 1901, kiedy przypis ten jest uzupełniany) codziennie rano, gdy wstając, wychodzę z łóżka, ubieram się i myję albo kiedy (także w łazience) obnażam moje ciało, do tak szalonych scen, że moim zdaniem każdy kształcony człowiek, jaki znalazłby się w pobliżu mnie, musiałby zyskać przekonanie, że nie dzieją się ze mną rzeczy naturalne. O tych porach dnia są w moim otoczeniu niestety tylko niewykształceni pielęgniarze albo osoby chore umysłowo. Nie uważam za nieprawdopodobne, że z biegiem czasu znów nastąpi zmiana tego zjawiska.

więc jej mój własny pogląd dotyczący natury mojej choroby, tak by już przed sporządzeniem nowej opinii można było ukierunkować lekarskie obserwacje na pewne specjalnie przeze mnie określone punkty. Ze wspomnianej prezentacji z 24 marca tego roku chciałbym tu uwzględnić następujący ustęp:

„Jestem naturalnie daleki od zamiaru przekonywania innych ludzi na drodze rozumowego wyjaśniania o prawdziwości moich rzekomych ‘urojeń’ i ‘złudzeń zmysłowych’. Wiem, że przynajmniej chwilowo byłoby to możliwe jedynie w bardzo ograniczonym stopniu. Przyszłość zadecyduje, czy późniejsze, leżące poza granicami wszelkiego ludzkiego doświadczenia przemiany mojej fizycznej kondycji same z siebie przyniosą kiedyś potwierdzenie. Już teraz chcę zadeklarować tylko jedno:

że w każdej chwili byłbym gotowy poddać moje ciało dowolnym lekarskim badaniom, by skonstatować, czy nie jest słuszne moje twierdzenie, iż całe moje ciało od czubka głowy po pięty przepelnione jest nerwami rozkoszy, jak to się dzieje poza tym jeszcze tylko w przypadku dorosłego kobiecego ciała, podczas gdy u mężczyzny, przynajmniej o ile mi wiadomo, nerwy rozkoszy znajdują się jedynie na narządach płciowych i w ich bezpośredniej bliskości.

Gdyby badanie takie potwierdziło słuszność moich twierdzeń i gdyby jednocześnie nauki medyczne zostały zmuszone do wyznania, iż brak jakiegokolwiek ludzko-naturalnego wyjaśnienia dla tego rodzaju zjawiska występującego na męskim ciele, to chyba moje ‘urojenie’, iż ciało moje podlega w obszernej mierze oddziaływaniu boskich cudów, musiałyby przedstawić się także szerszym kręgom w istotnie innym świetle”.

Po tej pierwszej prezentacji nastąpiła z mojej strony 26 marca druga, którą poniżej zamieszczam w dosłownym brzmieniu.

„Nawiązując do mej prezentacji z 24 tego miesiąca, pozwalam sobie przedstawić Dyrekcji Zakładu prośbę. Ze wspomnianej prezentacji można rozpoznać, pod jakimi punktami widzenia muszę przykładać wagę do rozprzestrzeniania się nerwów rozkoszy w moim ciele zarówno w odniesieniu do mych religijnych wyobrażeń, jak też w odniesieniu do mego postępowania wobec wydanej przez sąd rejonowy decyzji o ubezwłasnowolnieniu.

Zgodnie z tym byłoby ważne dla mnie, by dowiedzieć się:

1) czy nauka o nerwach uznaje istnienie nerwów (nerwów rozkoszy lub nerwów wrażliwości, zgodnie z zasłyszonym przeze mnie ostatnio z ust pana radcy tajnego dr. Webera wyrażeniem, czy też jak by nie brzmiała inna ich naukowa nazwa), których szczególna funkcja polega na tym, że są one nośnikami odczucia rozkoszy?

2) czy to prawda, co twierdę, że tego rodzaju nerwy rozkoszy u kobiet znajdują się na całym ciele, u mężczyzn zaś tylko na narządach płciowych i w ich bezpośrednim sąsiedztwie, czy więc w tym twierdzeniu wyraziłem uznany przez naukę o nerwach fakt, czy też zgodnie z obecnym stanem wiedzy tej nauki moje twierdzenie było niepoprawne?

Najbardziej wdzięczny byłbym za taką formę wyjaśnienia, która albo nastąpiłaby pisemnie, albo polegałaby na wypożyczeniu mi jakiegoś dzieła traktującego naukowo o nauce o nerwach, z którego mógłbym następnie sam poczynić ekscerpty.

Ze szczególnymi wyrazami szacunku (tu następuje podpis)”

Po drugiej prezentacji nastąpiła wreszcie pod datą 30 marca tego roku trzecia, której brzmienie wyglądało tak:

„W związku z moją skierowaną 26 tego miesiąca do Dyrekcji Zakładu prośbą dotyczącą tzw. nerwów rozkoszy, pan radca tajny dr Weber był tak dobry i wczoraj wieczorem porozmawiał ze mną ustnie na ten temat oraz przekazał mi na pewien czas na zasadzie wypożyczenia dwie należące do zakładowej biblioteki książki.

Ponownie wracam do poruszonych kwestii, a to nie tylko ze względu na me osobiste zainteresowania, lecz także dlatego, ponieważ przypuszczam, że obserwacje, jakie można by poczynić na moim ciele, przyczyniłyby się być może do wzbogacenia nauki na tym obszarze.

Jeśli dobrze zrozumiałem pana radcę tajnego dr. Webera, nauka o nerwach nie uznaje właściwie egzystencji specjalnych nerwów będących nośnikami uczucia rozkoszy; sprzeciwił się on także pogładowi, że można takie nerwy, jak zresztą w ogóle jakieś nerwy, *wyczuć* przez zewnętrzną dotyk. Z drugiej strony wydawało się, że nie chce on podawać w wątpliwość faktu, że odczuwanie rozkoszy – wszystko jedno, z jakiego fizjologicznego powodu – jest większe u kobiet niż u mężczyzn, obejmuje całe ciało i że szczególnie kobiecie piersi uczestniczą w całkiem szczególnie wybitnym stopniu w odczuwaniu rozkoszy. Moim zdaniem fakt ten można by wyjaśnić jedynie tylko w taki sposób, że istnieją jakieś organy (czy się je nazwie ścięgna, nerwy czy jeszcze inaczej), które u kobiet pokrywają ciało w większym stopniu niż u mężczyzn. Dla mnie jest teraz subiektywnie pewne, że moje ciało – według mego wielokrotnie przedstawianego poglądu na skutek boskich cudów – wykazuje takie organy w taki sam sposób, jak to ma miejsce poza tym tylko w przypadku żeńskiego ciała. *Czuję*, kiedy wywieram lekki nacisk dłonią na dowolne miejsce mego ciała, pod powierzchnią skóry tworzy o podobnej do nici lub powrozów budowie; znajdują się one zwłaszcza na mojej piersi, tam gdzie u kobiet znajduje się biust, tutaj z taką cechą szczególnie, że czasami na ich końcach można dostrzec podobne do węzłów

zgrubienia. Wywierając na ten twór nacisk, zwłaszcza myśląc o czym kobiecym, jestem w stanie wywołać odpowiadające kobiecemu odczuciu rozkoszy. Nawiasem mówiąc, nie czynię tego z lubieżności, lecz jestem do tego w pewnych okresach zmuszany, gdy chcę sobie zapewnić sen albo ochronę przed w innym razie prawie nieznośnymi bólami.

Dokładnie takie same nitkowe albo powrózkowe twory wyczułem (po tym, jak moja uwaga została już skierowana na ten punkt) przy okazji jakiejś wizyty na ramieniu mojej szwagierki i w związku z tym przypuszczam, że istnieją one w każdym kobiecym ciele w taki sam sposób.

Sądzę, że wolno mi przypuszczać, iż to te twory zapewniają kobiecej skórze taką samą specyficzną miękkość, która z reguły daje się zauważyć także na moim ciele.

Muszę jeszcze dodać, że w żeńskich cechach występujących na moim ciele ma miejsce pewna okresowość, i to ostatnio w coraz bardziej skracających się odstępach. Wszystko, co kobiece, oddziałuje na nerwy Boga przyciągająco; dlatego też jak tylko ma nastąpić oddalenie ode mnie, podejmowana zostaje próba powstrzymania cudami występujących na moim ciele żeńskich symptomów; ma to taki skutek, że nazywane przeze mnie „nerwami rozkoszy” twory są przesuwane bardziej do wewnątrz, nie są więc już tak wyraźnie wyczuwalne na powierzchni skóry, moje piersi nieco się spłaszczają itp. Gdy jednak po niedługim czasie znów następuje konieczność przybliżenia, „nerwy rozkoszy” (by zachować to wyrażenie) znów się pojawiają, moje piersi rosną itp. Okresowość ta występuje zwykle ostatnio już po upływie kilku minut. Dyrekcja Zakładu zechce na pewno docenić fakt, że w wyżej przedstawionych objaśnieniach dbam obok moich osobistych spraw także o poważne naukowe interesy; mam więc też nadzieję, że ustrzeże mnie to przez poglądami, iż odkrywając wyżej opisane, moim zdaniem związane z nadprzyrodzonymi sprawami okoliczności, poruszyłem coś, czego jako mężczyzna powinienem się wstydić.

Z wyrazami szczególnego szacunku (tu następuje podpis)”

Do treści wyżej cytowanych pism dołączam jeszcze kilka dalszych uwag.

Nie wątpię naturalnie, że informacje przekazane mi przez pana radcę tajnego dr. Webera podczas wspomnianej na początku prezentacji z 30 marca tego roku rozmowy odpowiadają teraźniejszemu stanowi nauki w dziedzinie wiedzy o nerwach. Jednocześnie nie mogę się powstrzymać, z całą tą skromnością, do której zobligowany jest w takich sprawach laik, przed wyrażeniem przekonania, że w przypadku opisanych przeze mnie dających się zauważyć na moim ciele nitkowych lub powrózkowych tworów chodzi o *nerwy*, czyli że

jednak istnieją specjalne nerwy rozkoszy, których specyfika polega na przenoszeniu odczucia rozkoszy. Decydujące są przy tym dla mnie z jednej strony rozważania, że twory, o których mowa, nie są według ich pochodzenia niczym innym, jak dawnymi boskimi nerwami, które przechodząc do mojego ciała, prawie nie utraciły swych właściwości jako nerwy, z drugiej zaś strony okoliczność, że właściwie w każdym dowolnym momencie mogę poprzez lekki nacisk na owe twory *faktycznie odebrać* wywołane przez to odczucie rozkoszy. Niech mi wolno więc będzie zachować w dalszej części nazwę: „nerwy rozkoszy”.

Wypełnianie mojego ciała nerwami rozkoszy na skutek ustawicznego napływu promieni lub boskich nerwów trwa już ponad sześć lat bez jakiegokolwiek przerwy. Nie powinno więc dziwić, że moje ciało przepelniają nerwy rozkoszy w takim stopniu, jak by to z trudem mogło mieć miejsce w przypadku podobnego zjawiska występującego w jakiejś żeńskiej istocie. Zewnętrzne uwidacznianie się ich podlega, jak już podkreśliłem w mej prezentacji z 30 marca tego roku, regularnie powracającej okresowości, w zależności od tego, czy Bóg odsunął się na dalszą odległość, czy też – z braku myśli, których promienie muszą u mnie szukać – jest zmuszony znów się przybliżyć.

W czasie zbliżenia moje piersi robią wrażenie dość pełnych piersi kobiecych; zjawisko to może być *dostrzeżone własnymi oczami* przez każdego, kto chce mnie obserwować. Jestem więc w stanie przedstawić naoczny dowód. Jednak nie wystarczyłaby tu pobieżna informacja w danym momencie, lecz wspomniany obserwator musiałby zadać sobie trud spędzenia w pobliżu mnie mniej więcej dziesięciu minut albo kwadransa. W takim przypadku każdy musiałby zauważyć naprzemienne pęcznienie i zmniejszanie się piersi. Na ramionach i w dołku sercowym pozostaje naturalnie owłosienie, które istnieje u mnie zresztą w umiarkowanym stopniu; także brodawki piersi zachowują swą odpowiadającą męskiej płci wielkość. Pomijając to jednak, mam śmiałość odważnie twierdzić, że każdy, kto zobaczyłby mnie stojącego przed lustrem z odsłoniętą górną częścią korpusu (tym bardziej, jeśli iluzja poparta byłaby jakąś damską ozdobą), odebrałby niekwestionowane wrażenie, że patrzy na *górną część ciała kobiety*. Nie omieszkał także wyjaśnić, że podczas pobytu poza zakładem może *sam bym ich nie zainicjował*, ale pozwoliłbym na poczynienie odpowiednich obserwacji każdemu specjalście, który chciałby je poczynić niepowodowany jedynie czystą ciekawością, lecz nakłoniłoby go do tego naukowe zainteresowania. Jeśli czegoś podobnego, jak dalej twierdzę, jeszcze nigdy nie można było obserwować na męskim ciele, to wydaje mi się, że dostarczyłbym w ten sposób dowodu, który także u poważnych ludzi musiałby wzbudzić poważne wątpliwości, czy wszystko to, co dotychczas uznawano u mnie za urojenia i złudzenia zmysłowe, nie jest prawdą, czy zgodnie z tym moja cała wiara w cuda i opisy, jakich do-

konywałem w celu wyjaśnienia rzucających się w oczy zjawisk związanych z moją osobą i z moim ciałem, nie opierają się na prawdzie.

Umożliwione dzięki istnieniu nerwów rozkoszy pielęgnowanie kobiecych uczuć uważam za moje prawo i w pewnym sensie za moje zobowiązanie. Potrzebne będzie bardziej wyczerpujące objaśnienie, bym nie utracił przez to wyznaczenie szacunku innych ludzi, na których opinii mi zależy.

Jest chyba niewielu ludzi, którzy wyrosli w tak surowych, moralnych zasadach jak ja, i którzy przez całe swoje życie, zwłaszcza także pod względem seksualnym, narzucili sobie powściągliwość odpowiadającą tymże zasadom, w takim stopniu, jak to miało miejsce u mnie. Nie jest to więc niska zmysłowość, którą trzeba by brać u mnie pod rozwagę jako sprężynę napędzającą; naturalnie dużo bardziej wolałbym móc zaspokoić mą męską ambicję, gdyby to było jeszcze możliwe; także podczas obcowania z innymi ludźmi nigdy nie daję odczuć seksualnej lubieżności. Jak tylko jednak – jeśli wolno mi się tak wyrazić – jestem sam na sam z Bogiem, staje się dla mnie koniecznością działanie wszystkimi wyobraźalnymi środkami, jak też przy pełnym użyciu mych sił umysłowych, w szczególności mojej wyobraźni, w tym kierunku, by boskie promienie odbierały ode mnie w miarę możliwości bez przerwy albo – jako że tego człowiek po prostu nie może – przynajmniej o pewnych porach dnia wrażenie, że mają do czynienia z pławiącą się w lubieżnych doznaniach kobietą.

Już we wcześniejszych fragmentach tej pracy zwracałem wielokrotnie uwagę na bliskie związki istniejące między rozkoszą a błogostanem. Rozkosz można rozumieć jako tę część błogostanu, która jest człowiekowi i innym żywym stworzeniom przyznawana w pewnym stopniu z góry. Jak prorocza wizja, w przypadku której można by myśleć o boskich inspiracjach, nastraja mnie np. schillerowska poezja w jednej z jego pieśni: „Rozkosz oddana była robactwu, a cherubin stoi przed Bogiem”. Istnieje tu jednak istotna różnica. *Duszom* dane jest rozkoszne odczuwanie albo nieprzerwana szczęśliwość w pewnym stopniu jako cel sam w sobie, *człowiekowi* i innym żywym stworzeniom natomiast tylko jako *środek do zachowania gatunku*. W tym leżą też dla człowieka moralne ograniczenia rozkoszy. Nadmiar rozkoszy pozbawiłby człowieka zdolności do wypełniania innych należących do niego zadań; uniemożliwiłaby mu ona osiągnięcie kiedykolwiek wyższego stopnia duchowej lub moralnej doskonałości; doświadczenie uczy wręcz, że z powodu lubieżnej rozpusty ginęli nie tylko liczni pojedynczy ludzie, ale marniały nawet całe narody. *Dla mnie tego rodzaju moralne ograniczenia rozkoszy już przestały istnieć, odwróciły się one w pewnym sensie w swoje przeciwieństwo*. By nie być źle zrozumianym, muszę tu dodać, że mówiąc o pielęgnowaniu rozkoszy, które że tak powiem stało się moim obowiązkiem, nigdy nie mam na myśli cielesnej pożądliwości w stosunku do innych ludzi (kobiet) ani tym

bardziej seksualnych kontaktów z nimi, ale muszę sobie wyobrazić samego siebie jako mężczyznę i kobietę w jednej osobie, odbywającego stosunek płciowy z samym sobą, podejmując ze sobą samym jakieś – być może w innym przypadku uznawane za sprośne – działania, których celem jest seksualne podniecenie itp., przy czym oczywiście wykluczone są wszelkie myśli o onanii lub tym podobnym.

Ostatnio opisane zachowania stały się dla mnie przez wystąpienie sprzecznych z porządkiem świata stosunków, kiedy to Bóg się do mnie zbliżył, wręcz konieczne; pod tym względem mogę, jak paradoksalnie by to nie zabrzmiało, zastosować do mnie słowa krzyżowców pierwszej wyprawy krzyżowej „Dieu le veut” („Bóg tak chce”). Stało się tak, że Bóg jest nierozzerwalnie przywiązany do mojej osoby przez przyciągającą moc moich nerwów, która już od dawna jest nie do pokonania; każda możliwość uwolnienia się od moich nerwów – co jest celem prowadzonej przez samego Boga polityki – jest, poza takim przypadkiem, że dojdzie jeszcze do odmężczyźnienia, wykluczona na resztę mojego życia. Z drugiej strony Bóg żąda odpowiadającej w zgodnych z porządkiem świata warunkach bytu dusz stałej przyjemności; moim zadaniem jest dostarczanie mu jej w formie najobfitszego wytwarzania rozkoszy dusz, na ile tylko leży to w granicach możliwości w kiedyś utworzonych sprzecznych z porządkiem świata stosunkach; jeśli przy tym dostanie mi się jakaś część zmysłowych przyjemności, mam prawo przyjąć ją, traktując to jako niewielkie zadośćuczynienie za bezmiar cierpień i wyrzeczeń, jakie są mi zadawane od lat; stanowi ona niewielką kompensatę za wielokrotne bóle i nieprzyjemności, które muszę znosić jeszcze i teraz, zwłaszcza w czasie, gdy rozkosz duszy ustępuje. Jestem świadom tego, że nie naruszam tu żadnego moralnego obowiązku, lecz czynię jedynie to, co w danych, sprzecznych z regułami okolicznościach jest nakazem rozsądku; na temat stosunku do mojej żony odsyłam w szczególności do przypisu 76. w rozdziale XIII, w którym poruszyłem już ten temat.

Oczywiście nie jest dla mnie możliwe pławić się przez cały dzień albo nawet tylko przez jego większą część w lubieżnych wyobrażeniach i kierować moją fantazję w tę stronę. Natura ludzka nie byłaby po prostu w stanie tego robić; człowiek nie jest bowiem urodzony tylko do rozkoszy i dlatego czysta rozkosz jako jedyny cel życia musiałaby się wydawać okropna tak mnie, jak i wszystkim innym ludziom. Z drugiej strony nieustanna czynność umysłowa, nieprzedzielana żadnymi przerwami praca nerwów rozumu, czego oczekują ode mnie promienie na drodze przymusu myślenia, jest tak samo mało zgodna z ludzką naturą. Dlatego też sztuka prowadzenia życia w tym zwariowanym życiowym położeniu, w które popadłem – nie mam tu na myśli warunków panujących w moim zewnętrznym otoczeniu, lecz absurdalny

i spreczny z porządkiem świata charakter powstałej pomiędzy Bogiem a mną relacji – polega na tym, by znaleźć odpowiednią do sytuacji drogę pośrednią, po której obydwie strony, Bóg i człowiek, będą się mogły poruszać jeszcze najznośniej, tzn. umieranie boskich promieni nastąpi możliwie podczas udziału w istniejącej w moim ciele rozkoszy duszy i przez to stanie się dla nich przyjemniejsze, ja natomiast oprócz od czasu do czasu – a zwłaszcza nocami – koniecznego spokoju moich nerwów rozumu zachowam także zdolność podejmowania zajęć odpowiadających, przynajmniej w pewnym stopniu, duchowym potrzebom.

Dla obydwu stron nie obejdzie się tu bez mało przyjemnych stanów, kiedy to każda z nich zmuszona będzie do sprzecznego z jej naturą zachowania. Rozkosz duszy nie występuje bowiem zawsze w pełnej obfitości, lecz w regularnych odstępach czasu niekiedy zanika, częściowo dlatego, że Bóg wprowadza w czyn akcję wycofywania się, częściowo dlatego, że nie zawsze mogę oddawać się pielęgnowaniu rozkoszy. Po drugiej stronie każde umysłowe zajęcie, które zaczynam, a jeszcze w większym stopniu każde oddanie się należącemu mi się na podstawie naturalnego prawa niemyśleniu (zwłaszcza podczas spacerów), wiąże się dla mnie z mniejszym lub większym poświęceniem dobrego fizycznego samopoczucia. Wolno mi za to, w tych spokojnych przerwach w myśleniu, których człowiek przecież potrzebuje, a więc zwłaszcza nocą, by przywołać sen, ale także za dnia w pewnych jego porach, na przykład po głównym posiłku, kiedy pojawia się potrzeba poobiedniego spoczynku, albo wczesnym rankiem po obudzeniu się w łóżku, wprowadzić się przez pielęgnowanie rozkoszy w wyżej opisany sposób w znośne fizyczne stany albo w przekraczającą je zmysłową błogą przyjemność.

Słuszność tego poglądu potwierdzona została trwającymi lata doświadczeniami; wydaje mi się, że na podstawie uzyskanych wrażeń wolno mi wypowiedzieć zdanie, że Bóg nigdy nie zdecydowałby się na odwrót (przez co moje fizyczne samopoczucie najpierw się za każdym razem pogarsza), lecz poddawałby się bez żadnego oporu i z trwałą jednostajnością sile przyciągania, gdybym mógł *zawsze* odgrywać leżącą w seksualnych objęciach ze mną samym kobietę, gdyby mój wzrok *zawsze* spoczywał na żeńskich istotach, gdybym mógł oglądać *zawsze* tylko kobiece obrazy itp.

Nie chcę tu pominąć faktu, że słuszność opisanego poglądu została wyraźnie uznana także przez niższego boga (Arymana), który swego czasu ujął w materiał zapisków, używanych do mówienia promieni, pewną ilość powiedzeń zalecających mi odpowiednie zachowania. Zwłaszcza powiedzenia „Rozkosz stała się bogobojna” i „Niech się Pan wzburza tylko seksualnie” słyszałem wcześniej bardzo często od pochodzących od niższego boga głosów. Bo jest tak, że wszystkie moralne pojęcia są w relacji pomiędzy Bogiem

a mną postawione na głowie. Rozkosz jest wprawdzie dla ludzi pod względem moralnym dozwolona, o ile jest ona uświęcona węzłami małżeńskimi i w ten sposób powiązana z celem prokreacji, nigdy jednak nie była uważana dla niej samej za szczególnie godną uznania. W stosunkach pomiędzy Bogiem a mną natomiast rozkosz stała się właśnie „bogobojna”, tj. należy ją uważać za ten środek, za pomocą którego jeszcze najprędzej znaleźć będzie można zadowalające rozwiązanie powstałego (wbrew porządkowi świata) konfliktu interesów.

Jak tylko pozwolę na powstanie przerw w moim myśleniu, nie zajmując się jednocześnie pielęgnowaniem rozkoszy – co naturalnie jest do pewnego stopnia nieuniknione, bo człowiek nie może ani nieustannie myśleć, ani nieustannie generować rozkoszy – następują za każdym razem już wcześniej opisane nieprzyjemne stany: krzyki i jakieś cielesne bóle mojej osoby; grubiańskie hałasy wśród obłąkanych w moim otoczeniu i okrzyki „pomocy” po stronie Boga. Dlatego też rozsądek nakazuje mi wypełniać przerwy w moim myśleniu (innymi słowy – okresy wypoczynku od zajęć intelektualnych) jeśli to możliwe pielęgnowaniem rozkoszy w stopniu, w jakim można w ogóle tego od człowieka oczekiwać.

Rozdział XXII. Rozważania końcowe. Spojrzenie w przyszłość

Dotarłem do końca mojej pracy. Przedstawiłem, wprawdzie na pewno niewyczerpująco, ale przynajmniej w takim zakresie moje doznane w trakcie mojej trwającej obecnie już nieomal siedem lat choroby nerwowej przeżycia i doświadczenia oraz nadprzyrodzone wrażenia, jakich doznałem w tym czasie, by umożliwić zrozumienie moich religijnych poglądów i wyjaśnić pewne osobliwości mojego zachowania. Pozostało mi jeszcze tylko rzucić okiem na przyszłość.

„I co to będzie z tą przeklętą historią?” oraz „Co się stanie ze mną? Powinien ten¹⁰⁹ *silicet* powiedzieć albo pomyśleć – tak brzmią pytania, które od lat wypowiedane są przez promienie, wielokrotnie powtarzane przez nie w mojej głowie, i które, nawet jeśli nigdy nie oddają mojej prawdziwej myśli, lecz opierają się na jej fałszowaniu, to przecież pozwalają w każdym razie dostrzec fakt, że także i Bóg ma świadomość, że dzieje się gruntownie źle pokierowana rzecz. Odpowiedzi, których promienie sobie na te pytania same udzielają, tj. podkładają je fałszywie moim nerwom („Nowi ludzie ze schreberowskiego ducha” albo „tego nie wiem, ten powinien” itp.), są tak dziecinne, że nie ma potrzeby dłużej się przy nich zatrzymywać. W odniesieniu do mojego własnego poglądu chciałbym zauważyć co następuje.

Nie jest oczywiście możliwe dokładne przewidzenie, co się stanie ze mną i w jaki sposób można będzie kiedyś naprowadzić na zgodne z porządkiem świata tory ten sprzeczny z porządkiem świata stan, w jakim znajduje się Bóg prawdopodobnie wobec całej Ziemi na skutek przyciągającej siły moich

¹⁰⁹ Pod pojęciem „ten” w wymienionym wyżej i w wielu innych podobnych powiedzeniach rozumiem się naturalnie mnie samego. Należałoby tu uzupełnić być może dalszą część „ten człowiek, który nas (promienie) jako jedyny interesuje”. Że nie wymienia się tu mojego imienia, zdaje się wynikać z pewnej nadgorliwości, bo przecież ciągle podtrzymywana jest iluzja, że wreszcie musi nadejść ten moment, w którym ja sam nie będę świadom swojej tożsamości.

nerwów. Chodzi tu o powikłania, dla których nie tylko brak analogii z ludzkiego doświadczenia, ale też nigdy nie były przewidziane w porządku świata. Kto chciałby w związku z tym oddawać się bezpodstawnym przypuszczeniom o przyszłości tych okoliczności? Pewna jest dla mnie tylko jedna negatywna rzecz, a mianowicie taka, że nigdy nie może dojść do zamierzonego przez Boga zniszczenia mojego intelektu. W sprawie tego punktu mam, jak już wyjaśniłem powyżej (rozdział XX), od lat całkowitą jasność, i tym samym usunięte zostało dla mnie główne niebezpieczeństwo, jakie zdawało się grozić mi w pierwszym roku mojej choroby. Bo cóż może być okropniejszego dla człowieka, tym bardziej dla człowieka wybitnie utalentowanego w wielu kierunkach, jakim mogę się nazwać bez czczego samochwalstwa, niż perspektywa utraty rozumu i zatracenia się w idiotyzmie? Wszystko, co jeszcze może mi się przydarzyć, wydaje mi się w związku z tym mniej lub bardziej nieważne, po tym, jak dzięki wieloletnim doświadczeniom uzyskałem pewne przekonanie, że wszystkie próby w tym kierunku są z góry skazane na niepowodzenie, bo porządek świata nawet samemu Bogu nie daje do ręki środków pozwalających na zniszczenie ludzkiego intelektu.

W trakcie minionych lat jednak zajmowałem się dużo również kwestią przypuszczalnego wyglądu mojej przyszłości także w kierunku pozytywnym. Przez wiele lat po opisanym w rozdziale XIII przewrocie w moich własnych poglądach żyłem w pełnym przekonaniu, że musi wreszcie kiedyś dojść u mnie do rzeczywistego odmężczyźnienia (przemiany w kobietę); zwłaszcza jak długo sądziłem, że pozostała ludzkość zginęła, wydawało mi się, że to rozwiązanie jako przygotowanie do odnowienia ludzkości będzie bezwarunkowo pożądane. W rzeczy samej także i teraz uważam za bezsprzeczne, że takie rozwiązanie samo w sobie należałoby uznać za najbardziej odpowiadające najgłębszej istocie porządku świata. Procesy odmężczyźnienia w celu odnowienia ludzkości miały, jak już opisałem w rozdziale V, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa faktycznie wielokrotnie miejsce we wcześniejszych okresach historii wszechświata, czy to na naszej Ziemi, czy też na innych ciałach niebieskich. Na odmężczyźnienie wskazuje też niedwuznacznie niemała część wykonywanych na mojej osobie cudów (por. rozdział XI, na wstępie), jak też wypełnienie mojego ciała nerwami rozkoszy. Na temat tego, czy na skutek podjętych przez Boga po pojawieniu się sprawdzonych dusz niezgodnych z porządkiem świata kroków (doziemne uwiązanie itp.) dojdzie jednak do rzeczywistego odmężczyźnienia, nie śmiem przedstawić zdecydowanego przypuszczenia co do przyszłości, tym bardziej jeszcze, że właśnie dopiero co musiałem zrewidować moje wcześniejsze wyobrażenia dotyczące zagłady pozostałej ludzkości. Możliwe jest więc, ba – prawdopodobne, że przebieg całej tej sprawy sprowadzi się do istnienia do końca mo-

jego życia silnie zarysowanych kobiecych cech, a ja dokonam kiedyś żywota jako mężczyzna.

Tym samym na pierwszy plan wysuwa się pytanie, czy w ogóle jestem śmiertelny i jaka przyczyna śmierci jest w moim przypadku możliwa. Na podstawie całej mojej zdobytej doświadczeniem mojego ciała wiedzy na temat odbudowujących mocy boskich promieni (por. wcześniejsze wywody) muszę i teraz jeszcze uznać za prawdopodobne, że wykluczone są u mnie jako przyczyny warunkujące śmierć wpływy jakichś chorób albo nawet zadające mi gwałt zewnętrzne ingerencje. Zakładając, że wpadłbym gdzieś do wody albo chciałbym, o czym oczywiście nawet w przybliżeniu nie myślę, przestrzelić sobie głowę lub pierś, to prawdopodobnie chwilowo wystąpiłyby symptomy odpowiadające śmierci przez utopienie albo stanowi nieświadomości po w innym przypadku śmiertelnej ranie postrzałowej. Czy jednak, jak długo trwa obcowanie z promieniami, nie miałyby miejsca ponowne ożywienie, czy nie zostałaby pobudzona praca serca, a tym samym obieg krwi, czy nie zostałyby uleczone zniszczone wewnętrzne narządy i kości, to pytanie, na które po mych wcześniejszych przeżyciach prawie nie odważyłbym się odpowiedzieć przecząco. Bo przecież w pierwszych latach mojej choroby żyłem wielokrotnie przez pewien czas bez najważniejszych wewnętrznych organów albo w warunkach ich ciężkiego uszkodzenia, jak też z mocno zniszczonymi częściami układu kostnego, które w innych przypadkach są uznawane za niezbędne do kontynuacji życia. Przyczyny, które wówczas za każdym razem prowadziły do odbudowania zniszczeń, istnieją także i teraz, w związku z czym przeto prawie nie umiem sobie wyobrazić śmiertelności działania zdarzeń opisanego rodzaju. To samo dotyczy wszystkich naturalnych wpływów chorobowych. W związku z tym wydaje mi się, że jako przyczyna mojej śmierci w grę może wchodzić tylko zjawisko zwane powszechnie starczym osłabieniem. Jak wiadomo, także i dla nauki niejasna jest kwestia, jak się przedstawia rzecz ze śmiercią z powodu starczego osłabienia. Można wprawdzie opisać zewnętrzne zjawiska, które przy tym występują, nie udało się jednak, o ile wiem, zgłębić właściwie działającej przyczyny. Na pytanie, dlaczego w ogóle człowiek musi umrzeć po osiągnięciu pewnego wieku, nie ma jeszcze w tej chwili niezawodnej odpowiedzi. Jak się zdaje, wszystkim stworzonym istotom przydzielono tylko jakąś określoną miarę sił żywotnych, po których wyczerpaniu organy służące do utrzymania życia odmawiają dalszego działania. Mógłbym więc sobie z łatwością wyobrazić, że także i promienie, mogące wprawdzie naprawiać jakieś powstałe na posiadającym jeszcze żywotne siły ciele szkody, samej siły życia uzupełniać nie mogą.

Inna strona rozważań dotyczy pytania, co w przypadku mojej śmierci – jeśli wolno mi się tak wyrazić – stanie się z Bogiem. Zgodnie ze wszyst-

kim, co powiedziałem dotychczas, nie ma wątpliwości, że cały ten stosunek, w jaki wszedł Bóg teraz w odniesieniu do naszej Ziemi i do żyjącej na niej ludzkości, opiera się na szczególnych związkach, jakie powstały pomiędzy Bogiem a moją osobą. Jeśli moja osoba przez śmierć odpadłaby z gry, to w stosunku tym musiałaby nastąpić z pewnością jakaś zmiana; nie śmiem twierdzić, czy podziałaby się ona w jakiś dla innych ludzi w ogóle dostrzegalny sposób. Być może konieczne będzie, pod przymusem potrzeby, podjęcie decyzji o powrocie do odpowiadających porządkowi świata kroków (zniesienie doziemnego uwiązania, zupełne spacyfikowanie istniejących jeszcze pozostałości sprawdzonych dusz itp.), do których dotychczas nie można było znaleźć energii woli. Tylko tą drogą Bóg mógłby się moim zdaniem przywrócić znów do stanu, w którym możliwe byłoby wypełnienie przezeń należących do niego zgodnie z porządkiem świata zadań, zwłaszcza podjęcie dzieła ponownego utworzenia błogostanu. Prawie za zrozumiałe samo przez się chciałbym po wieloletnich związkach, jakie panowały pomiędzy Bogiem a mną, uznać, że do pierwszych nerwów, jakie przyjęte byłyby do szczęśliwości, należałyby także i moje. O szczegółach kroków, jakie Bóg musiałby podejmować po mojej śmierci, nie mogę wypowiadać się tym bardziej, że przecież i o działaniach sprzecznych z porządkiem świata, których zaniechanie wchodziłoby tu w grę, zgodnie z naturą rzeczy uzyskałem tylko mniej lub bardziej nieokreślone wyobrażenia.

Co się tyczy zaś mojego życia aż do mojej ewentualnej śmierci, to wydaje mi się, że uda mi się w obrębie przewidywalnego czasu bez szczególnych trudności osiągnąć pewną poprawę mych zewnętrznych warunków życiowych, zniesienie ubezwłasnowolnienia, wypisanie z tutejszego zakładu itp. Na dłuższą metę inni ludzie nie będą mogli się dłużej uchylać od uznania, że bez względu na to, jak się ma rzecz z moimi „urojeniami”, nie mają oni w każdym razie w przypadku mojej osoby do czynienia z umysłowo chorym zwykłego pokroju.

Nie zapewniłoby mi to jednak rekompensaty za to, co w *ostatnich siedmiu latach* wycierpiałem i czego musiałem się wyrzec. Dlatego też mam uczucie, że w moim przyszłym życiu musi mnie oczekiwać jeszcze jakies *wielkie i świetne zadośćuczynienie* – nie ze strony ludzi, lecz w pewnym stopniu wynikające z samego wewnętrznego musu okoliczności. Już w czasie mojego pobytu w zakładzie Flechsig, kiedy z jednej strony uzyskałem pierwszy wgląd w cudowną harmonię porządku świata, z drugiej zaś strony moja osoba doznawała najgłębszych upokorzeń i dzień w dzień zdawała się być zagrożona najokropniejszymi niebezpieczeństwami, twierdziłem wobec promieni, że musi istnieć równoważąca sprawiedliwość, że nie może być tak, że moralnie nieskalany, stojący na gruncie porządku świata człowiek miałby

zginąć w prowadzonej przeciwko niemu przez wrogie siły walce, paść niewinną ofiarą za grzechy innych. Twierdzenie to, dla którego miałem wówczas tylko niewielkie punkty zaczepienia i które wobec tego wynikało wówczas, powiedziałbym, raczej z subiektywnych odczuć, potwierdziło się już teraz z biegiem lat w sposób przekraczający moje oczekiwania. Szala zwycięstwa przechyla się coraz wyraźniej na moją stronę, prowadzona przeciwko mnie walka traci coraz bardziej właściwy jej wcześniej nienawistny charakter, także moje fizyczne samopoczucie i inne zewnętrzne warunki życia kształtują się na skutek trwającego ciągle przyrostu rozkoszy duszy coraz znośniej. I tak sądzę, że nie mylę się, przypuszczając, że w końcu powieje mi jeszcze całkiem wyjątkowa palma zwycięstwa. Na czym to będzie polegać, na ten temat nie śmiem snuć przypuszczeń. Tylko jako możliwości, które wchodziłyby tu pod rozagę, wymienię na przykład jednak jeszcze dokonane odmężczyźnienie z takim skutkiem, że w drodze boskiego zapłodnienia z mego łona wyszłoby potomstwo, albo na przykład inną konsekwencję, że z moim imieniem wiązać się będzie sława, nie dana tysiącom ludzi o niewspółmiernie większych intelektualnych talentach. Myśli takie mogą się jawić innym ludziom jako fantastyczne, chimeryczne, wobec ciągle jeszcze mizernych i pod względem wolności ograniczonych warunków życia wręcz śmieszne. Że takie myśli *muszą* mnie nachodzić, zrozumiałby tylko ten, kto znałby cały wymiar cierpień, jakie musiałem znosić podczas minionych lat. Gdy sobie uświadomię, jakie ofiary narzucono mi przez utratę szacownej pozycji zawodowej, przez faktyczne rozwiązanie szczęśliwego związku małżeńskiego, przez wyrzeczenia wszystkich życiowych przyjemności, przez fizyczny ból, duchowe męki i okropności całkowicie nieznanego rodzaju, to tworzy się przed moimi oczami obraz męczeństwa, które w całości mogę porównać ze śmiercią przez ukrzyżowanie Jezusa Chrystusa. Z drugiej strony uwagi domaga się niesamowite tło obrazu, na którego pierwszym planie znajduje się moja osoba i moje losy osobiste. Jeśli to prawda, że dalsze istnienie całego stworzenia na naszej Ziemi opiera się tylko na szczególnych kontaktach, jakie Bóg ze mną nawiązał, to nagroda zwycięstwa za wierne wytrwanie w trudnym boju o zachowanie mojego rozumu i o oczyszczenie Boga może polegać tylko na czymś całkowicie nadzwyczajnym.

To naprowadza mnie na ostatnią myśl, która mnie jeszcze będzie w niniejszej pracy zajmować. Uważam za możliwe, wręcz za prawdopodobne, że przyszły rozwój mej osobistej doli, rozpowszechnienie mego religijnego kręgu wyobrażeń i waga powodów, jakie będą napierały, opowiadając się za ich słusnością, doprowadzą do przewrotu w religijnych poglądach ludzkości, który w dziejach nie miał sobie równych. Nie mogę nie doceniać niebezpieczeństw, które mogą wynikać z zachwiania się wszystkich istniejących

systemów religijnych. Ufam jednak w zwycięską moc prawdy, która będzie miała siłę, by znów wyrównać chwilowe, powstałe na skutek religijnego zamętu w umysłach szkody. Jeśli nawet skorygowaniu będzie musiało ulec wiele z dotychczas uznanych za prawdziwe – w szczególności chrześcijańskich – poglądów religijnych, to rosnąca w ludzkości pewność, że istnieje żywy Bóg i dalsze trwanie duszy po śmierci, będzie miała tylko błogosławione działanie. I tak kończę wyrazem nadziei, by w myśl tego o sukcesie mojej pracy zechciały zadecydować przychylne gwiazdy.

**Suplementy, część pierwsza
(październik 1900–czerwiec 1901)**

I. O cudach (październik 1900)

Wymierzone przeciwko mnie cuda trwają naturalnie nieustannie. Przy czym z wcześniej już wielokrotnie wymienianych powodów im dłużej to trwa, tym bardziej na pierwszy plan wysuwa się ich stosunkowo niewinny, psotny charakter. Jako dowód na to niech posłuży taki przykład.

5 października 1900 zostałem przez balwierza, jak to już często się wielokrotnie zdarzało, skaleczony. Podczas spaceru, który potem nastąpił, pozdrawiam asesora rządowego M.; ten natychmiast po powitaniu kieruje wzrok na całkiem nierzucające się w oczy, przykryte kawałkiem gąbki mniej więcej tej wielkości **O** skaleczenie i pyta o przyczynę, na co ja mu wówczas zgodnie z prawdą odpowiadam, że skaleczył mnie golibroda.

To niewielkie zdarzenie jest dla mnie, znającego głębsze powiązania, niezwykle interesujące i pouczające. Skaleczenie było, co do czego nie żywię po licznych podobnych zjawiskach żadnej wątpliwości, rezultatem boskiego cudu, a mianowicie cudu pochodzącego od wyższego boga. Poruszył on pośpiesznie, potrzebując „zakłócenia” w wielokrotnie już wcześniej omawianym znaczeniu tego słowa, ręką golibrody przez odpowiednie oddziaływanie na odpowiednie mięśnie, które to poruszenie spowodowało powstanie skaleczenia.

Że asesor rządowy M. natychmiast zagaił temat tej drobnej ranki, wynika stąd, iż Bóg (w panujących względem mnie niezgodnych z porządkiem świata warunkach) z upodobaniem sprawia, by dziejące się ze mną cuda stawały się przedmiotem rozmów; łechtana jest w ten sposób właściwa promieniom próżność¹¹⁰. Oddziaływanie cudem na asesora rządowego M. miało w oczywisty sposób podwójną postać, po pierwsze na jego oczne mięśnie,

¹¹⁰ Zjawisko całkiem podobne jak w przypadku ludzi. Także ludzie będą się czuli zawsze przyjemnie poruszeni, gdy jakiś produkt ich pracy i starań, ich pilności itp. zostanie przez innych obdarzony uwagą.

tak że zauważył on w ogóle ranę i kawałeczek gąbki nad moimi ustami, a poza tym na jego nerwy (jego wołę), tak że zainspirowało go to do pytania o powód skaleczenia. Samo postawione mi pytanie brzmiało mniej więcej tak: „Co Pan tam ma przy ustach?”

Podobne obserwacje poczyniłem niezliczone razy w odniesieniu do wszelkich niewielkich zabrudzeń, które wyczarowywano u mnie podczas jedzenia albo na ustach, albo na dłoni, albo też na obrusie i serwecie. Zupełnie szczególnie często ma to miejsce podczas wizyt mojej żony i mojej siostry, kiedy np. w ich obecności spożywam kakao. Plamy z kakao pojawiają się wówczas za sprawą cudu na moich ustach, mojej dłoni, moim obrusie lub mojej serwecie, a moja żona i siostra nigdy nie omieszkają uczynić tych zabrudzeń przedmiotem – naturalnie utrzymanej w tonie łagodnego wyrzutu – uwagi.

Doświadczenia podobnego rodzaju czynię także często podczas posiłków przy stole zarządu zakładu lub przy innych okazjach. Częstokroć podczas tych pierwszych rozpadał się bez jakiegokolwiek niedelikatnego ruchu na dwoje talerz albo ciskane były niespodziewanie na podłogę jakieś przedmioty znajdujące się w rękach obsługujących osób, innych obecnych albo w moich (np. jedna z moich figur szachowych, moje pióro, nożyk do cygar itp.) tak, że o ile były one tłukące, rozbijały się w naturalny sposób. We wszystkich tych przypadkach w grę wchodzi cuda; powstałe szkody stają się w związku z tym ze szczególnym upodobaniem, czasem nawet dłuższy czas później, przedmiotem specjalnej rozmowy w moim otoczeniu.

II. O stosunku inteligencji boskiej do ludzkiej (11 października 1900)

Wydaje mi się, że wolno mi wyrazić stwierdzenie, iż boska inteligencja jest równocześnie co najmniej równa sumie wszystkich ludzkich inteligencji, jakie istniały w minionych ludzkich generacjach. Ponieważ Bóg pochłania w siebie po śmierci człowieka wszystkie jego nerwy, jednoczy w sobie całość inteligencji, odrzucając (stopniowo) wszystkie te wspomnienia, które były interesujące tylko dla danej poszczególnej istoty i dlatego nie można ich brać pod uwagę jako części składowych inteligencji o ogólnej wartości.

Nie żywię na przykład żadnych wątpliwości co do tego, że Bogu znane jest pojęcie kolei żelaznej, jej istoty i celu. Skąd Bóg zdobywa taką wiedzę? Bóg sam w sobie ma (w zgodnych z porządkiem świata warunkach) tylko *zewnątrzne pojęcie* o toczącej się kolei żelaznej, jak też o wszystkich innych zdarzeniach na świecie; możliwe by było zasięgnięcie poprzez połączenie nerwowe z jakąś obeznaną z koleją osobą bliższych informacji o celu i funkcji zjawiska. Nie było chyba jednak raczej żadnego powodu ku temu. Z biegiem czasu do Boga przybywały nerwy całych ludzkich pokoleń, którym znane było pojęcie kolei żelaznej. Tym samym wiedza o istocie kolei została nabyta przez samego Boga.

Czy należy przeto zakładać, że Bóg czerpie całą swą mądrość z inteligencji minionych ludzkich pokoleń? W oczywisty sposób wszystko przemawia przeciwko twierdzącej odpowiedzi na to pytanie. Jeśli sam Bóg stworzył człowieka najpierw jak inne stworzenie, to nie można przypuszczać, że jego inteligencja pochodzi tylko od inteligencji ludzkiej. Nie da się inaczej, jak tylko zakładać istnienie pierwotnej boskiej mądrości w odniesieniu do pewnej – zwłaszcza dotyczącej samego procesu tworzenia – sfery. Jednakże być może nie kłóci się z wyżej powiedzianym przypuszczenie, że posiadane także przez Boga bez wątplenia przekonania we wszystkich sprawach dotyczących ludzkich instytucji, ludzkiego życia duchowego, ludzkiej mowy itp.

zdobył on dopiero poprzez przyswojenie sobie niezliczonych ludzkich nerwów. To ostatnie przypuszczenie nasuwa się prawie nieodparcie na skutek takiej mianowicie okoliczności, że Bóg posługiwał się wobec mnie ludzką, w szczególności niemiecką mową (tak jak wcześniej w zgodnych z porządkiem świata warunkach używał w kontaktach z duszami języka podstawowego), a to także i wówczas, gdy następowały okrzyki „pomocy”, albo gdy niższy bóg Aryman daje – bądź też w związku z tym ostatnim dawał – słowami „miło mi” wyraz prawdziwego odczucia, uczestnicząc w rozkoszy duszy.

III. O igraszkach z ludźmi (styczeń 1901)

Wodniesieniu do tak zwanych igraszek z ludźmi (por. rozdział VII, a zwłaszcza rozdział XV „Pamiętników”) krąg mych obserwacji poszerzył się znacznie od spisania moich „Pamiętników”. Od tego czasu podejmowałem byłem liczne, ostatnio prawie codzienne, spaceru i mniejsze lub większe wycieczki do miasta i okolic Pirny, kilka razy odwiedziłem tamtejszy teatr, jak też przyzakładowy kościół w celu uczestnictwa w Mszy świętej, a raz nawet udałem się w podróż do Dreżna, by odwiedzić moją żonę. Widywałem przy tym naturalnie wielką ilość ludzi, w Dreźnie cały wielkomiejski ruch. Uświadomiłem sobie wówczas bez wątpienia, że – co musiałem uznawać także już wcześniej za prawdopodobne – oprócz manifestacji życia ludzi (i zwierząt) znajdujących się pod wpływem promieni są też przejawy życia niezależne od wpływu promieni (por. rozdział XV „Pamiętników”, gdzie nazywałem to zjawisko jeszcze niewyjaśnioną kwestią)¹¹¹. Kiedy np. słucham w teatrze przedstawienia albo w kościele kazania, nie może mi przychodzić do głowy myśl, by twierdzić, że każde słowo wypowiedane na scenie przez aktorów albo na ambonie przez duchownego wywołane zostało przez oddziaływanie na zasadzie cudu na nerwy teje osoby; nie mogę oczywiście żywić żadnych wątpliwości co do tego, że przedstawienie w teatrze albo msza w kościele przebiegałyby w całości tak samo także wówczas, gdybym ja we własnej osobie nie brał w nich udziału. A jednak moje spostrzeżenia przy okazji takich i podobnych zdarzeń dały mi pewność, że moja obecność w takich przypadkach nie pozostaje jednak bez wpływu na manifestacje życia innych ludzi, że po to, by wprowadzić niezbędną do odwrotu „zakłócenia” (por. rozdziały X i XV),

¹¹¹ Fakt, że kwestia ta jawiła mi się wcześniej jako niejasna, oraz w ogóle cały powyższy fragment staną się może w pewnym stopniu lepiej zrozumiałe, jeśli się weźmie pod uwagę, iż przez sześć lat zamknięty byłem za murami zakładu, gdzie – abstrahując od krótkich wizyt lekarskich i sporadycznych wizyt członków rodziny – widywałem tylko osoby chore umysłowo i niewykształconych pielęgniarki.

w jakiś sposób oddziałuje się cudami na osoby znajdujące się w pobliżu mnie. Najmniej jednak rzucało się to w oczy właśnie podczas moich wizyt w teatrze i w kościele. Przyczyna leży w tym, że Bóg przy takich okazjach w pewnym stopniu sam był w teatrze i w kościele (tj. w drodze połączenia nerwowego brał udział we wszystkich wrażeniach słuchowych i wzrokowych, jakich doznawałem podczas przedstawienia teatralnego i Mszy świętej), i wrażenia te wzbudziły zainteresowanie zawsze żądnych widowiska promieni w tak wysokim stopniu, że tendencja do odwrotu występowała być może jedynie w narzuconym przez zewnętrzne okoliczności niezbędnie koniecznym, minimalnym stopniu. Mimo wszystko także i tutaj nie obywało się całkiem bez „zakłóceń”, które jednak przejawiały się najczęściej jedynie w pojedynczych cichych słowach osób przebywających w kościele lub w teatrze, albo w napadach kaszlu u aktorów, albo poszczególnych osób z teatralnej publiczności lub z kościelnej gminy i tym podobnych.

Co do tego, że przyczyna opisanych wyżej zjawisk wynikała z czynienia cudów, nie miałem przy tym całkowicie żadnych wątpliwości, a to dzięki bólowi, za każdym razem występującemu w mojej głowie równocześnie (por. rozdział XV „Pamiętników”) i częściowo dzięki pojawiającym się następnie głosom. Podobne rzeczy przeżywam bez wyjątku za każdym razem, kiedy wychodzę na ulice miasta Pirny albo w jego okolice, do sklepów, kiedy do nich wchodzę, do restauracji, które odwiedzam; nawet całkiem mi obce osoby, które są przypadkowo obecne w tym samym pomieszczeniu w gospodach okolicznych wsi w tym samym czasie, co ja, wypowiadają głównie w takich przypadkach w swych rozmowach takie słowa, które mają związek ze wspomnianym w rozdziale IX materiałem zapisków. Nie chcę wszakże pominąć milczeniem także faktu, że materiał zapisków obejmuje teraz chyba już przeważającą większość wszystkich występujących w ludzkiej mowie słów. Dlatego też myśl o czystej przypadkowości nasuwa się sama; stałe powtarzanie się pewnych słów jednakże rzuca się w oczy również i teraz wystarczająco wyraźnie, by nie pozostawiać żadnych wątpliwości co do zamierzonego pobudzenia nerwów ludzkich do używania tychże właśnie słów. Równie wyraźnie rzuca się w oczy bezdźwięczna cisza, która zwykła następować w pewnych okolicznościach (por. rozdział XV „Pamiętników”) w moim otoczeniu, zwłaszcza kiedy gram na fortepianie i jednocześnie czytam tekst danego utworu muzycznego, wypowiadam więc tworzące jego treść słowa w języku nerwów, albo kiedy z uwagą czytam jakąś książkę, gazetę, jakiś fragment z moich „Pamiętników” lub w drodze wyjątku czasem głośno śpiewam. Wydawałoby się, że także i wówczas powinno nadal trwać np. przemieszczanie się pielęgniarzy na korytarzu, spieszących do swych zwykłych spraw, wychodzenie pacjentów z ich pokoiów itp. Nie zdarza się

to jednak prawie nigdy, natomiast z całkowitą regularnością natychmiast w pierwszym spojrzeniu (chwili), gdy tylko kończę dane zajęcie, tj. przechodzę w stan niemyślenia, albo gdy uwarunkowane zjednoczeniem promieni wysokie natężenie rozkoszy duszy czyni koniecznym odwrót, a tym samym potrzebne jest w tym celu „zakłócenie”. Nie umiem sobie tego wytłumaczyć inaczej, jak tylko w taki sposób, że dane osoby posiadają tak czy inaczej zdolność do takich manifestacji życia, jednak w danym momencie nie odczuwałyby do nich skłonności, o ile poprzez oddziaływanie promieni nie zostałyby w nich pobudzona decyzja do podjęcia jakiejś czynności w pobliżu mnie, do opuszczenia pokoju, otwarcia mojego (ze strony pacjentów *bardzo często* bez żadnego celu).

IV. O halucynacjach (luty 1901)

Pod pojęciem halucynacji rozumie się, o ile wiem, bodźce nerwowe, dzięki którym odbierający je człowiek, znajdujący się w chorobliwym nerwowym stanie, wierzy, że odbiera wrażenia z jakichś zdarzeń rozgrywających się w zewnętrznym świecie, w innych przypadkach zwłaszcza dostępnych dla zmysłów wzroku i słuchu, które to zdarzenia jednak w rzeczywistości nie mają miejsca. Zgodnie z tym, co przeczytałem na ten temat na przykład u Kräpelina („Psychiatria”, tom I, strona 102 nn szóstego nakładu), zdaje się, że nauka odrzuca dla wszystkich halucynacji możliwość istnienia rzeczywistego ich tła. Według mojego zdania jest to przynajmniej w takim uogólnieniu zdecydowanie nieprawidłowe. Także i ja nie podaję w wątpliwość faktu, że w bardzo wielu, jeśli nie w większości przypadków, rzekomo dostrzegane przedmioty i zdarzenia istnieją tylko w wyobraźni osoby mającej dane przywidzenie. Bez wątpienia rzecz ma się tak na przykład w przypadku znanym także i mi jako laikowi, że osobie cierpiącej na *delirium tremens* wydaje się, iż widzi ona choćby „ludziki” albo „myszki”, które w rzeczywistości nie istnieją. To samo można założyć dla wielu innych omawianych przez Kräpelina omamów wzrokowych i słuchowych (por. tom I, str. 145 nn szóstego wydania). Znaczne wątpliwości wobec takiego, że tak powiem, racjonalistycznego albo czysto materialistycznego pojmowania pojawiają się jednak w tych przypadkach, gdzie ma się do czynienia z głosami „nadprzyrodzonego pochodzenia” (por. Kräpelin, tom I, str. 117 szóstego wydania). Z całą pewnością mogę naturalnie tylko twierdzić, że w moim przypadku przy omawianych bodźcach nerwowych faktycznie wchodzi w grę działające z zewnątrz przyczyny; w związku z tym jednak logiczne jest, że z poczynionych na mnie samym doświadczeń mogę wysnuwać przypuszczenie, iż także w wielu innych przypadkach rzecz ma się (albo miała) podobnie, tzn. może także w przypadku innych ludzi te rzeczy, które inni ludzie skłonni są zwykle pojmować tylko jako subiektywne bodźce nerwowe

(zmysłowe złudzenia, halucynacje albo – niefachowo mówiąc – urojenia), mogą jednak, choć w dużo słabszej niż w moim przypadku mierze, polegać na obiektywnej przyczynie, innymi słowy mówiąc – może tu występować wpływ nadprzyrodzonych czynników.

By myśl tę uczynić zrozumiałą, spróbuję jeszcze trochę bliżej opisać te wrażenia wzrokowe i słuchowe, które odbieram jako „głosy”, „wizje” itp. Podkreślam przy tym na nowo, jak już to uczyniłem w innym miejscu (rozdział VI „Pamiętników”), że nie waham się w najmniejszym stopniu twierdzić, iż za warunek wystąpienia wszystkich tego rodzaju zjawisk należy uznać istnienie chorobliwie pobudzonego systemu nerwowego. Ludzie, którzy szczęśliwie cieszą się zdrowymi nerwami, nie mogą (przynajmniej z reguły)¹¹² mieć „złudzeń zmysłowych”, „halucynacji”, „wizji” czy jakiego innego wyrażenia by nie użyć dla nazwania tych zjawisk; należałoby w związku z tym z całą pewnością życzyć sobie, by wszyscy ludzie pozostali wolni od przeżywania zjawisk omawianego rodzaju; prawdopodobnie czuliby się oni wówczas w większości przypadków subiektywnie dużo lepiej. Nie oznacza to jednak, moim zdaniem, w żadnym razie, że wynikającym z chorobliwej kondycji systemu nerwowego zdarzeniom w ogóle brak obiektywnej rzeczywistości, tj. że należy je uznawać za bodźce nerwowe, którym brak wszelkiej zewnętrznej przyczyny. I właśnie dlatego nie mogę przyłączyć się do wyrażanego przez Kräpeliną w różnych miejscach jego dzieła (np. tom I, str. 112, 116, 162n szóstego wydania) zdziwienia, że „głosy” itp. posiadają najczęściej dużo bardziej przekonującą władzę nad halucynacjami wzrokowymi i słuchowymi niż „wszystkie słowa płynące z otoczenia”. Bo tak to już właśnie jest, że człowiek o zdrowych nerwach jest w stosunku do osoby odbierającej na skutek chorobliwego stanu nerwów nadprzyrodzone wrażenia można powiedzieć *duchowo* ślepy; dlatego też nie będzie on mógł tak samo przekonać wizjonera o nierealności wizji, jak na przykład człowiek posiadający zmysł wzroku nie da sobie mówić ślepcowi, że kolory nie istnieją, że niebieskie nie jest niebieskie, czerwone – czerwone itp. Po tym wstępie informuję jak następuje o naturze rozmawiających ze mną głosów i będących moim udziałem wizji.

„Głosy” wyrażają się u mnie jako bodźce nerwowe, które – jak już podkreślałem w „Pamiętnikach” – z jednym jedynym wyjątkiem jednej jedynej nocy na początku lipca 1894 r. (rozdział X, na początku) – mają zawsze charakter *cicho szepczących dźwięków* o brzmieniu określonych ludzkich słów. Pod względem treści, a zwłaszcza ze względu na tempo mówienia, doznawały one z biegiem lat najprzeróżniejszych przemian. Najważniejsze rzeczy o tym

¹¹² Jako możliwy wyjątek uświadamiam sobie na przykład takie przypadki, w których zgodnie z biblijnymi sprawozdaniami słyszymy o zdarzeniach podobnych do wizji.

przekazałem już w „Pamiętnikach”; dominują wśród nich, zwłaszcza na skutek stylistycznej niekompletności używanych powiedzeń, czyste głupoty i znaczna ilość przekleństw oraz wyzwisk, które są obliczone tylko na zdenerwowanie mnie, tj. mają mnie nakłonić do złamania koniecznego w pewnych okresach dla snu milczenia. Nawet jeśli – podobno zgodnie z Kräpelinem, tom I, str. 116 szóstego wydania – denerwujące głosy są odbierane przez inne osoby mające halucynacje słuchowe¹¹³, to w moim przypadku należy podkreślić okoliczność, która, jak mi się wydaje, wyróżnia mój przypadek spośród wszystkich innych w całkowicie charakterystyczny sposób, że w ogóle nie można dostrzec związku między występującymi u mnie bodźcami zmysłowymi a doświadczanymi chyba przez innych ludzi halucynacjami, w związku z czym trzeba wnioskować o istnieniu całkiem różnej od tego przyczyny. Zakładam, choć oczywiście nie mogę mieć dokładnej wiedzy na ten temat, że w przypadku innych ludzi chodzi tylko o okresowe głosy, halucynacje występują więc jedynie tylko w mniej lub bardziej rozległych, przerywanych stanami, w których głosy się nie odzywają, pauzach. W moim przypadku natomiast pauzy w gadaniu głosów nie występują nigdy; od początków mojego powiązania z Bogiem – z jednym wyjątkiem pierwszego tygodnia, kiedy to oprócz okresów „świętych” zdarzały się także „nieświęte” (por. rozdział VI „Pamiętników”, pod koniec) – a więc od niemal siedmiu lat *nie doświadczyłem* – oprócz snu – *nigdy ani jednego jedyne momentu, kiedy to nie słyszałbym głosów*. Towarzyszą mi one w każdym miejscu i przy każdej okazji; rozbrzmiewają dalej także wtedy, gdy rozmawiam z innymi ludźmi; trwają nieprzerwanie również wówczas, gdy zajmuję się z dużą koncentracją innymi rzeczami, np. czytam książkę lub gazetę, gram na fortepianie itp., tyle tylko, że jak długo ja sam rozmawiam głośno z innymi ludźmi albo w odosobnieniu sam ze sobą, są one zagłuszone przez mocniejsze brzmienie wypowiedzianych słów i na tak długi czas nie są chwilowo dla mnie słyszalne. Natychmiastowe podjęcie znanych mi dobrze fraz, czasem w wyrwanym z ich środka dźwięku, pozwala mi również w takich przypadkach odgadnąć, że rozmowa toczyła się

¹¹³ Fakt, że – jak donosi Kräpelin w tomie I, str. 116 szóstego wydania – denerwujące głosy są traktowane przez niektóre nawiedzone przez halucynacje osoby jako głosy pochodzące od chrząkających świni, wyzywających albo szczekających psów, piejących kogutów itp., wynika według mnie z tego samego zjawiska, o którym wspomniałem pod koniec rozdziału XVII „Pamiętników” podczas omawiania subiektywnych odczuć pozornie mówiących statków parowych, kolei żelaznej itp. Pod tym względem chodzi tu najwidoczniej tylko o czyste współbrzmienie pochodzących z zewnątrz dźwięków słyszanych równocześnie z głosami odbieranymi jako nerwowe bodźce, tak że dźwięki te zdają się odtwarzać słowa wypowiedziane przez głosy. Odróżnić od tych zjawisk trzeba chyba przynajmniej w moim przypadku naprawdę mówiące głosy ptaków, słońca itp.

w międzyczasie dalej, tj. że bodźce zmysłowe albo nerwowe drgania, za pomocą których wywoływany jest odpowiadający głosom słabszy efekt dźwiękowy, trwały dalej także podczas mojego głośnego mówienia.

Przy czym zwolnienie tempa mówienia, o którym pisałem już w rozdziale XX „Pamiętników”, nasiliło się w minionym od tamtego czasu okresie w sposób przekraczający niemal wszelkie wyobrażenia. Przyczynę takiego stanu rzeczy podałem już wcześniej; im bardziej wzrastała rokosz duszy mojego ciała – a rośnie ona prędko i stale na skutek trwającego nieprzerwanie napływu boskich nerwów – tym bardziej konieczne jest, by głosy mówiły coraz wolniej, aby za pomocą skąpych, stale powracających fraz¹¹⁴, jakie stoją do dyspozycji, pokonać olbrzymie odległości, jakie dzielą punkty wyjścia od mojego ciała. Syczenie głosów można w związku z tym najlepiej porównać z efektem dźwiękowym, jaki daje odgłos sypiącego się w klepsydrze piasku. Poszczególnych słów najczęściej w ogóle nie mogę już odróżnić albo mógłbym je odróżnić jedynie przy najbardziej wytężonej koncentracji. Naturalnie nie zadaję sobie jednak najmniejszego trudu, by to czynić, staram się wręcz przeciwnie – rzeczy mówione, jeśli to możliwe, ignorować. Nie mogę jednak uniknąć tego, że kiedy usłyszę poszczególne słowa z dobrze mi znanej frazy, natychmiast automatycznie pojawia się wspomnienie na skutek tysięcy jej powtórzeń dobrze mi znanego dalszego jej ciągu i wówczas „automatycznie pojawiająca się ‘myśl-przypomnienie’” – jak nazywa się to zjawisko w języku dusz – powoduje kontynuowanie drgań moich nerwów aż do zakończenia tej frazy. Z drugiej strony nadmierne spowolnienie tempa, które na początku i przez dłuższy czas odczuwane było przeze mnie jako zwiększenie nerwowej niecierpliwości (por. rozdział XVI „Pamiętników”), zapewnia mi coraz większą ulgę. Jak długo słuchałem i musiałem słuchać głosów bez mojej woli, często trwające sekundy opóźnienie oczekiwanego dalszego ciągu było dla mnie ponad miarę nieprzyjemne; po zwiększeniu się spowolnienia tempa jeszcze bardziej, tak że – jak już wspomniałem – głosy przekształciły się w przeważnie niezrozumiałą syk, mogłem się przyzwycząić do tego, że jeśli nie uprawiam jakiegoś zajęcia (gry na fortepianie, czytania, pisanie itp.), które i tak zagłusza głosy, *liczę* po prostu stale w języku nerwów 1, 2, 3, 4 etc., i w ten sposób zapewniam sobie przerwy w myśleniu (tzw. myśl-niemyślenie). Dzięki temu osiągam przynajmniej taki skutek, że teraz musi zostać wypowiedziane wyzwisko, które rozbrzmiewa do mojego ducho-

¹¹⁴ „Gdyby nie popełnił Pan mordu na duszy”; „teraz chyba już będzie kruchy”; „i to ma być były przewodniczący senatu”; „i nie wstydzi się Pan” *scil.* przed Pańską małżonką; „czemu nie powie Pan tego” *scil.* głośno?; „mówi Pan jeszcze” *scil.* obcymi językami?; „no teraz to już było” *scil.* zgodnie z poglądami dusz za dużo itp., itp.

wego ucha wyraźnie i które spokojnie pozwalam następnie wprogramować w dowolnym powtórzeniu do moich nerwów. Pojawiające się w takich przypadkach zwykle przewisko jest tak ordynarne, że nie chcę go powierzać papierowi; jeśli by ktoś był tym zainteresowany, może je odczytać z moich wielu rozproszonych zapisków. Jak tylko „wewnętrzne głosy” zostały zmuszone w wyżej opisany sposób do milczenia, do mego ucha rozbrzmiewają z *zewnątrz* na skutek znów koniecznego przybliżenia promieni jakieś dowolne słowa z gardeł rozmawiających ze mną ptaków. Oczywiście obojętne dla mnie jest, jakie treści one wyrażają; każdy zrozumie, że po trwającym lata przyzwyczajaniu się nie mogę się już czuć urażony, gdy jakiś ptak, którego czasem karmię, woła (a raczej szepcze) do mnie „Czy nie wstydzi się Pan” (przed swoją małżonką”) itp. W wyżej opisanej sytuacji potwierdza się znów doskonale zdanie, że każda bzdura doprowadzona do krańcowości osiąga kiedyś taki etap, kiedy sama się unicestwia – jest to prawda, którą sam niższy bóg (Aryman) zwykł był już przed laty wyrażać w wielokrotnie powtarzanym prawidło „Każda bzdura unieważnia się sama”.

Podobnie jak *bodźce słuchowe* (głosy, halucynacje słuchowe), także i *bodźce wzrokowe* (halucynacje wzrokowe) są w moim przypadku wprawdzie nie całkiem, ale jednak w przybliżonym stopniu tak samo stałe. Oczywiście mojej duszy widzę promienie, które w tym samym czasie są nośnikami głosów i przeznaczonych do zrzucenia na moje ciało trupiego jadu, jako wydłużone włókna ciągnące się do mojej głowy z jakiegoś niezmiernie daleko położonego miejsca na horyzoncie. Zobaczyć je mogą *tylko* oczy mojej duszy wówczas, gdy za sprawą cudu moje oczy są zamykane albo kiedy zamykam je sam dobrowolnie, a znaczy to, że odbijają się na moim systemie nerwowym w opisanej postaci jako długie liżące moją głowę nici. To samo zjawisko odbieram w odpowiedni sposób oczyma mego ciała, gdy trzymam oczy otwarte, tj. widzę wówczas te nici, to jakby zbliżały się one do mojej głowy z jakiegoś jednego albo wielu miejsc na horyzoncie, to jakby się od niej znów oddalały. Każde oddalenie jest związane z wyraźnie odczuwanym, czasami bardzo intensywnym bólem w mojej głowie.¹¹⁵ Wciągnane do mojej głowy włókna – jednocześnie nośniki

¹¹⁵ Często także innych części ciała, w zależności od tego, czy trupi jad jest zrzucany przez inne promienie gdzieś indziej niż w głowie. Wchodzą przy tym w grę właściwie wszystkie pozostałe części ciała na przemian; czasem brzuch wypełniany jest nieczystościami (dzieje się tak zawsze z towarzyszeniem pytania: „Dlaczego Pan nie sr...?”), tak że powstaje przymus wypróżnienia, który czasami rośnie aż do gwałtownej biegunki; czasem pojawia się klucie w płucach, w powrózku nasiennym, paraliż palców (zwłaszcza podczas gry na fortepianie i pisania), czasami mniej lub bardziej gwałtowne bóle w dolnych członkach (rzepka kolanowa, udo, puchnięcie stóp tak, że aż buty cisną), kiedy maszerują itp., itp. Zresztą nie wszystkie cuda wynikają ze zrzucania trupiego jadu, lecz są – bez stosowania tego ostatniego – w wielu

głosów – zakreślają potem w mojej głowie okrężne ruchy, które mogę porównać najlepiej z takim zjawiskiem, jakby moja głowa była drażniona od wewnątrz za pomocą szlifierki.

Można sobie łatwo wyobrazić, że zjawiska te wiążą się z bardzo nieprzyjemnymi odczuciami; właściwy fizyczny ból jest jednak przynajmniej teraz – już od szeregu lat – sprawą uboczną. Człowiek może się przecież w kwestii fizycznego bólu przyzwyczaić do wielu rzeczy, które mogłyby ponad miarę albo wystraszyć osobę, albo wydawać jej się prawie nie do wytrzymania, gdy odczuwałaby je na ciele po raz pierwszy. I tak odczucia bólu, które nie oszczędzają mnie całkowicie w żaden dzień i które występują regularnie na przemian ze stanami rozkoszy, nie są przynajmniej w ostatnim czasie tak gwałtowne, by mi poważnie przeszkadzały w podjęciu jakiejś umysłowej czynności, spokojnej rozmowy z innymi ludźmi itp. Dużo bardziej uciążliwe są dla mnie krzyki, które występują jako regularne zjawisko towarzyszące odwrotowi promieni, po pierwsze dlatego, że uważam za niegodne, iż muszę wyć na skutek czynionego przeciwko mnie cudu w pewnym stopniu jak dzikie zwierzę, a następnie dlatego, że przy utrzymującej się powtarzalności krzyki te wywołują bardzo nieprzyjemne – w pewnym stopniu także zasługujące na nazwę bolesnych – wstrząsy głowy. Mimo to jestem skazany na to, by w pewnych okresach pozwalać wydobywać się krzykom, o ile nie przekraczają one pewnej miary, zwłaszcza nocą, kiedy to w innym czasie odpowiednio do ich odparcia środki: głośnie mówienie, gra na pianinie itp. nie mogą lub mogą być stosowane tylko w ograniczonym stopniu. Krzyki mają dla mnie wówczas tę zaletę, że wszystko, co w dalszym ciągu mówione jest w mojej głowie, jest zagłuszone hałasem samych krzyków, tak więc wkrótce pojawia się znów zjednoczenie wszystkich promieni, które w odpowiednich okolicznościach prowadzi do ponownego zaśnięcia albo przynajmniej umożliwia mi wczesnym rankiem, kiedy zbliża się czas wstawania, a ja jeszcze jednak nie mogę wejść do mojego pokoju ze względu na dziejące się w nim konieczne przygotowania, polegające na wietrzeniu, sprzątaniu itp., pozostawanie w łóżku w czasami cieleśnie niezwykle przyjemnym stanie.

Pod każdym względem jednak musi mną kierować *celowa myśl*, która właśnie dla promieni jest jak się zdaje całkowicie niezrozumiała, dla człowieka jednak nieskończenie ważna, tzn. w każdym danym momencie muszę stawiać sobie pytanie: Chcesz teraz spać, czy też wykonywać jakieś inne zajęcie albo załatwić jakąś naturalną potrzebę, np. wypróżnić się itp.? Do osiągnięcia każdego celu potrzebne jest mi z reguły zjednoczenie wszyst-

przypadkach, jak przy zamykaniu oczu, wszystkich przejawów paraliżu itp. oczywistym bezpośrednim przejawem mocy promieni.

kich promieni, nawet do opróżniania, ponieważ – jak już wcześniej wspominałem (rozdział XXI „Pamiętników”, pod koniec) – mimo że wiele się mówi o „sr...”, podejmowane są próby, by za każdym razem, gdy ma rzeczywistość dojść do wypróżnienia, powstrzymać cudem przymus wypróżnienia ze względu na powstającą przez zaspokojenie go rozkosz duszy. Dlatego też muszę, kiedy nadchodzi czas spania, opróżniania się itp., pogodzić się chwilowo z trwającymi czasem nawet przez dłuższy czas złymi stanami, jak na przykład krzyki, by osiągnąć w danym przypadku pożądany, dla ogólnego dobrego fizycznego samopoczucia konieczny cel; w szczególności opróżnianie, do którego próbuje się cudami nie doprowadzić, osiągam najlepiej w taki sposób, że siedzę na wiadrze przed fortepianem i tak długo gram, aż mogę się najpierw wysikać, a potem – z reguły z pewnym wysiłkiem – także naprawdę opróżnić. Nawet jeśli wszystko to brzmi tak nieprawdopodobnie, jest to faktycznie prawda; dzięki grze na fortepianie wymuszam za każdym razem ponowne zbliżenie się promieni, które próbowały się ode mnie oddalić, i w ten sposób pokonuję opór, który przeciwstawiono mojemu wysiłkowi, by się wypróżnić.

W odniesieniu do zjawisk wzrokowych (halucynacji wzrokowych) muszę jeszcze dodać kilka interesujących rzeczy. Najpierw muszę zauważyć, że liżące moją głowę, pochodzące najprawdopodobniej od Słońca albo może jeszcze od licznych innych oddalonych ciał niebieskich, włókna promieni zbliżają się do mnie nie po prostej linii, lecz w pewnego rodzaju pętli albo paraboli, podobnie chyba jak podczas zawodów Rzymian rydwany okrążały *meta*. Pętlę tę lub parabolę wyraźnie widziałem w mojej głowie (z otwartymi oczami na samym niebie); dlatego też funkcjonujące jako nośniki głosów włókna, chociaż jak się zdaje przynajmniej częściowo pochodzą od Słońca, nie zbliżają się z tego kierunku, gdzie Słońce naprawdę znajduje się na niebie, ale z kierunku mniej lub bardziej przeciwnego. Wydaje mi się, że wolno mi powiązać to zjawisko z omawianym wcześniej (rozdział IX „Pamiętników”) „doziemnym uwiązaniem”. Bezpośrednie przybliżanie się promieni musi być powstrzymywane albo przynajmniej spowalniane przez jakąś mechaniczną przeszkodę, bo inaczej promienie strzelałyby w moją stronę na skutek już dawno nadmiernie zwiększonej siły przyciągania moich nerwów, co powodowałyby zalewanie mojego ciała stale rozkoszą duszy, innymi słowy Bóg, jeśli wolno mi tak powiedzieć, w ogóle nie mógłby utrzymać się na niebie. Pojawiają się przy tym, teraz w stosunkowo krótkich odstępach czasu, jasne punkty światła w mojej głowie albo przy otwartych oczach na niebie. Jest to to zjawisko, które wcześniej (rozdział VII, przypis 44. „Pamiętników”) nazwałem „słońcem Ormazda”, ponieważ byłem zdania, że te świetlne punkty należy uznać za odbicia jakiegoś niezmiernie bardzo odda-

lonego ciała niebieskiego, które właśnie na skutek swego niezmiernego oddalenia przybiera dla ludzkiego wzroku, tak jak gwiazdy, postać maleńkiej tarczy świetlnej albo kropki światła. Po niezliczonych obserwacjach tego samego rodzaju, które czyniłem dalej z biegiem lat, jestem skłonny nieco skorygować ten pogląd. Wydaje mi się, iż mogę teraz zakładać, że punkty świetlne są raczej częściami promieni, oderwanymi od całościowej masy nerwów wyższego boga (Ormazda), które po wyczerpaniu załadowanych trupim jadem *nieczystych* włókien promieni wysyłane są do mnie na dół zawsze najpierw przed *czystymi* boskimi promieniami. Pogląd ten opieram na fakcie, że te świetlne punkty odbieram najczęściej równocześnie z występującymi jako wrażenie słuchowe wołaniami o pomoc, tak że muszę zakładać, iż wołania o pomoc pochodzą właśnie od tych wysyłanych w jakimś stanie lękowym promieni wyższego boga, które dla oka przedstawiają się dzięki ich czystości jako świetlne zjawiska. Nie żywię najmniejszych wątpliwości co do tego, że chodzi tu o nerwy wyższego boga, a to z powodów, których przedstawienie prowadziłoby tu za daleko. Wydaje mi się, że znalazłem teraz również zadowalające wyjaśnienie faktu, że wołania o pomoc słyszalne są tylko dla mnie, nie dla innych ludzi (por. rozdział XV „Pamiętników”). Prawdopodobnie zachodzi tu zjawisko podobne jak podczas telefonowania, tj. rozpostarte w kierunku mojej głowy włókna promieni działają podobnie do drutów telefonicznych, tak że sam w sobie niezbyt donośny efekt dźwiękowy wydawanych, jak się zdaje, w znacznej odległości wołań o pomoc, może być odbierany *tylko przeze mnie* w taki sam sposób, jak tylko podłączony do linii telefonicznej odbiorca, ale nie dowolne osoby trzecie, znajdujące się między punktem wyjścia a miejscem docelowym, może słyszeć słowa wypowiedane do telefonu.

V. O naturze Boga (marzec i kwiecień 1901)

Moje przeżycia w ciągu ostatnich siedmiu lat i niezliczone manifestacje boskiej mocy czynienia cudów, jakich doświadczyłem tak na sobie samym, jak i na moim otoczeniu podczas tych przeżyć, skłaniały mnie w trakcie tych lat nader często do zastanowienia się nad pytaniem, jak trzeba by sobie wyobrazić, że tak powiem, przestrzenne warunki egzystencji Boga. Najważniejsze rzeczy na ten temat opisałem w moich „Pamiętnikach”, w rozdziale I. Po dokonaniu jednak odpowiednich spostrzeżeń, o których mowa w poprzednim rozdziale, zrezygnowałem z założenia, że istnieje osobne słońce Ormazda, którego istnienie wcześniej sugerowałem (rozdział VII). Chciałbym natomiast przynajmniej jako hipotezę zachować wyobrażenie, że dostarczająca powietrza i światła moc naszego Słońca i wszystkich innych gwiazd nie jest właściwie ich specyficzną cechą, lecz *w jakiś sposób pochodzi od Boga*. Analogię w odniesieniu do planet należałoby skonstruować jednak tylko z największą ostrożnością. Gdyż bez najmniejszej wątpliwości jest dla mnie pewne, że Bóg rozmawia ze mną tylko za pośrednictwem Słońca, i także za jego pośrednictwem dokonuje dzieła stworzenia i cudów. Całkowitą masę nerwów boskich albo promieni można by sobie wyobrazić jako rozproszoną tylko na pojedyncze punkty nieba albo – naturalnie jeszcze bardziej oddaloną niż te najdalej leżące ciała niebieskie z widzianych najostrożniejszymi teleskopami – wypełniającą całą przestrzeń. To drugie założenie wydaje mi się bardziej prawdopodobne; zdaje mi się być ono wręcz postulatem zarówno wieczności, jak też ogromnych przejawów mocy, która działa ciągle jeszcze ogólnie ze względu na twórcze czyny, jak też – w zaistniałych obecnie sprzecznych z porządkiem świata warunkach – na poszczególne żyjące istoty, oddziałując na nie cudami. Samo oddziaływanie cudami jest dla mnie po tysiącrotnych doświadczeniach rzeczą absolutnie pewną, co do której prawdziwości nie może być najmniejszych wątpliwości; w pozostałych kwestiach powyższych spostrzeżeń może naturalnie chodzić

tylko o pobieżnie zarysowane myśli, którym ja sam przypisuję jedynie wartość hipotezy i spisuję tylko dlatego, by przyszłym pokoleniom dać bodziec do dalszych rozmyślań.

W istocie rzeczy zachowałem moje wcześniej powstałe przekonanie o niezdolności Boga do właściwej oceny żyjącego człowieka (rozdział V, XIII i XX „Pamiętników”) w sprzecznych z porządkiem świata warunkach, jakie powstały względem mnie przez nawiązanie kontaktu nerwowego z jednym jedynym człowiekiem. Moje poczynione od tego czasu doświadczenia potwierdziły tylko moje stwierdzenia. Podtrzymuję zwłaszcza, że Bogu, który w normalnych warunkach utrzymuje kontakty tylko z duszami i – w celu pobrania ich nerwów – ze zwłokami, wydaje się, iż może mnie traktować jako duszę lub ewentualnie jako zwłoki, całkowicie ignorując wynikające z istnienia żywego ciała potrzeby, narzucać mi cały sposób myślenia i odczuwania, ich mowę itp., żądać ode mnie stałego odczuwania przyjemności albo stałego myślenia itp., itp.

Z tego wynikają te niezliczone nieporozumienia, które muszę zakładać po stronie Boga, stąd zrodziły się nieomal nieznośne duchowe męki, które musiałem znosić przez lata. Jak długo Bóg *widzi* coś za moim pośrednictwem (uczestnictwo w moich wrażeniach wzrokowych), jak tylko obecna w moim *ciele rozkosz* duszy umożliwia *odczuwanie przyjemności*, albo też jak długo moja aktywność umysłowa skutkuje *myślami wyrażonymi w słowach*, na tak długo Bóg jest w pewnym stopniu zaspokojony, na tak długo skłonność do oddalenia się ode mnie albo nie występuje wcale, albo występuje już tylko w takim minimalnym stopniu, który w swych okresowych nawrotach uwarunkowany jest, co muszę zakładać, utworzeniem przed laty sprzecznych z porządkiem świata urządzeń (doziemne uwiązanie itp.). Nieustanne odczuwanie przyjemności albo nieustanne myślenie nie jest jednak przecie dla człowieka możliwe. Jak tylko oddaję się niemyśleniu, nie pielęgnując jednocześnie rozkoszy we wcześniej podanym znaczeniu, natychmiast następuje oddalanie się promieni z mniej lub bardziej nieprzyjemnymi dla mnie zjawiskami towarzyszącymi (odczuwanie bólu, krzyki i do tego jeszcze jakiś hałas w pobliżu mnie). Regularnie zamyka mi się za sprawą cudu również oczy, by pozbawić mnie wrażeń wzrokowych, jako że w przeciwnym razie utrzymałyby one swe przyciągające oddziaływanie na promienie.

Przybliżanie następuje teraz na skutek stałego wzrostu rozkoszy duszy, unicestwiającej „wewnętrzne głosy”, w stale skracających się odstępach czasu. W zależności od charakteru zorganizowanych na zewnątrz „systemów” często wchodzi w grę jedynie minuty. Wówczas pojawiają się właśnie stany rozkoszy, które podczas leżenia w łóżku musiałyby doprowadzić do snu; w żadnym razie nie jest jednak w ten sposób zawsze zapewniana odpo-

wiadająca potrzebom ludzkiej natury *dlugość* snu; jeszcze i teraz zdarzają się noce, kiedy budzę się po krótkim śnie i skazany jestem na krzyki. Jeśli trwają one przez dłuższy czas, nie prowadząc do ponownego zaśnięcia, stawiam sobie oczywiście pytanie, czy nie byłoby lepiej wyjść z łóżka i zająć się czymś, może nawet zapalić cygaro. Miarodajny musi być wówczas dla mnie oczywiście czas, jaki w danej chwili panuje. W samym środku nocy albo przy panującym dotkliwym chłodzie decyduję się niezwykle niechętnie na opuszczenie łóżka; jeśli zbliża się już początek dnia i wydaje mi się, że na tę konkretną noc spałem przynajmniej jako tako wystarczająco długo, wstanie nie jest dla mnie żadną znaczną ofiarą; poza łóżkiem czuję się wówczas z reguły bardzo dobrze; *jeśli* już jednak wstaję, podejmuję decyzję o rezygnacji ze snu aż do ewentualnego powrotu do łóżka. Samo wstawanie może być wprowadzone w życie tylko przy towarzyszeniu gwałtownego, chwilami jeszcze bardzo mocnego bólu; przed Bożym Narodzeniem bóle te były przez pewien czas tak intensywne (o charakterze lumbaga), że mogłem się podnieść w łóżku i wstać tylko z pomocą pielęgniarza, który wówczas spał na moją prośbę w przylegającym pokoju.¹¹⁶

¹¹⁶ (Dodatek z czerwca 1901) W tym czasie, kiedy dopisują te słowa, zjawiska te znów uległy zmianie; bezpośrednio po opuszczeniu łóżka pojawiają się paralize w górnej części ciała (łopatka itp.) i ud, które nie są wprawdzie bardzo bolesne, ale mimo to tak intensywne, że najpierw odczuwam wszędzie skurcze i prawie nie mogę iść prosto. Zjawisko to jest jednak jak wszystko, co wynika z działania cudu, zupełnie przejściowe; z reguły już po kilku krokach odzyskuję zwykły chód i jestem wówczas w ciągu dnia zdolny do dość okazałych marszrut; w ostatnim czasie kilkakrotnie podejmowałem wycieczki ze wspinaczką na Porsberg, Bärenstein itp. Mogę tylko żywo ubolewać nad tym, że wszystkie te zdarzenia nie stają się przedmiotem wnikliwych naukowych obserwacji; kto zobaczyłby mnie rano podczas wstawania, z całą pewnością nie mógłby pojąć, że ten sam człowiek w ciągu dnia może podjąć każdy fizyczny wysiłek. Mimo to rozumiem, że lekarze, których wielokrotnie pisemnie zapraszałem do poczynienia obserwacji rozgrywających się przy moim łóżku wydarzeń, nie byli skłonni ruszać tej sprawy. Bo cóż w końcu powinni zrobić wówczas, gdyby nie mogli oprzeć się wrażeniu, iż dzieje się coś cudownego, czego nie da się pogodzić ze zwykłymi ludzkimi doświadczeniami? Gdyby tylko chcieli oni jedynie wyrazić możliwość, iż chodzi tu o cuda, musieliby się może obawiać ośmieszenia się przez kolegami po fachu, przez bezwyznaniową prasę i całym trendem naszych czasów, niesprzyjającym wierze w cuda. Ponadto odczuli by przypuszczalnie wobec rzeczy, które musiałyby wydać się im niewytłumaczalne, pewną bojaźń; zobowiązanie więc do bliższych badań jest ich powinnością jeszcze o tyle mniej, że jeśli rzeczywiście w grę miałyby wchodzić cuda, nauka medyczna nie jest ani powołana, ani zdolna do wyjaśnienia związku tych zjawisk.

Bardzo dziwne rzeczy działy się ze mną również wówczas, gdy od początku tego miesiąca zacząłem kąpać się w Łabie, najpierw w basenie dla nieumiejących pływać, potem także wczoraj (21.6.) po raz pierwszy w Łabie dostępnej dla wprawnych pływaków. Podczas kąpieli w basenie pojawiały się – zawsze szybko przechodząc – dość energiczne paralize; nie obawiam się ich jednak, jako że obejmują one zawsze tylko poszczególne członki, a ja jestem tak wprawnym

Niezwykle interesująca jest dla mnie kwestia, czy Bóg, który nawiązał ze mną wyłączny kontakt nerwowy, i na skutek tego ja stałem się jedynym człowiekiem absorbującym jego zainteresowanie, utrzymał także zdolność widzenia i spostrzegania tylko w odniesieniu do mnie i tego, co się dzieje w moim bezpośrednim otoczeniu. Nie mam jeszcze odwagi odpowiedzieć na to pytanie; ale możliwe jest chyba, że doświadczenia, jakie jeszcze poczynię w przyszłości, zapewnią mi solidne podstawy na potwierdzenie lub zaprzeczenie tego pytania. Emisja światła i ciepła przez Słońce bez wątpienia udziela się ciągle jeszcze całej Ziemi; nie uważam jednak za całkowicie wykluczone, że związane z tym widzenie ogranicza się na skutek nadanego promieniom, tj. całej masy boskich nerwów, w moją stronę kierunku właśnie tylko na to, co dzieje się ze mną i w moim bezpośrednim pobliżu – podobnie jak zwykło się było mówić o polityce zagranicznej Francuzów jeszcze długo po zakończeniu wojny, że niejako hipnotycznie spogląda ona w kierunku dziury w Wogezach. Samo Słońce nie jest istotą żyjącą albo widzącą, ale pochodzące od niego światło jest lub było tylko środkiem, za pomocą którego Bóg uzyskał wgląd we wszystko to, co się wydarzyło na ziemi. Cuda czynione są jednak tylko na mojej osobie i w moim bezpośrednim pobliżu. Ostatnimi dniami otrzymałem znów kilka oczywistych dowodów na taki stan rzeczy, których przytoczenie w tym miejscu jest – moim zdaniem – warte zadania sobie trudu. Dzień 16 marca – wydaje mi się, że się co do tej daty nie mylę – był pierwszym dniem w tym roku, kiedy przy jasnym świetle słonecznym panowała właściwie wiosenna temperatura. Przed południem udałem się do ogrodu, gdzie z reguły spędzam teraz tylko pół godziny albo trzy kwadransy, jako że pobyt w ogrodzie – chyba że mam okazję do prowadzenia głośniejszej rozmowy, która ze względu na składające się prawie tylko z obłąkanych otoczenie prawie nigdy się nie pojawia – najczęściej kończy się nieomal nieprzerwanymi krzykami. Poprzednia noc była bardzo zła, byłem

pływakiem, że w razie potrzeby mogę, przede wszystkim płynąc na plecach, obyć się chwilowo bez jednego ramienia albo nogi, albo bez obydwu, a ponadto paraliż te wprawdzie utrudniają nieco użycie dotkniętych nimi członków, nigdy jednak nie uniemożliwiają go całkowicie. Podczas wczorajszej kąpieli w otwartej Łabie dały się zauważyć zwłaszcza nadmierne przyspieszenie oddechu na skutek cudu oraz, kiedy siedziałem na pływającym na wodzie wale, także wywołane cudem drżenie całego ciała, natomiast objawy paraliżu pojawiały się w mniejszym stopniu, ale później podczas kilku kąpieli w otwartej Łabie znów były mocno zauważalne. Wszystkie te rzeczy podlegają stałym przemianom i przypuszczalnie będą w przyszłości słabły coraz bardziej. Ja wiem bardzo dokładnie, czego mogę oczekiwać po mojej sprawności i dlatego też mimo tych wszystkich zjawisk nie obawiam się kąpieli w głębokiej wodzie; można sobie jednak wyobrazić, że w człowieku muszą zrodzić się dziwne odczucia, kiedy musi być on podczas pływania w głębokiej wodzie w każdej chwili przygotowany na to, że na skutek cudu pojawi się jakieś utrudnienie w fizycznych ruchach.

więc mocno zmęczony. W związku z tym usiadłem na ławce, gdzie – co robię teraz z reguły zawsze podczas okresów, w których nie oddaję się żadnemu zajęciu – liczyłem (w mowie nerwów) 1, 2, 3, 4, by zagłuszyć pojawiające się wewnątrz głosy. Moje oczy zamknęły się za sprawą cudu i po krótkim czasie zaczął nadchodzić sen. Wówczas – a zdarzenie to powtórzyło się w krótkim, trwającym od wstania z ławki mniej więcej pół godziny pobycie w ogrodzie trzy razy pod rząd na różnych ławkach – bezpośrednio przed moją twarzą pojawiła się osa, by mnie, jeśli akurat zasypiałem, ze snu wybudzić. Sądzę, że wolno mi twierdzić, iż były to jedyne osy, jakie tego dnia w ogóle się pokazały, gdyż przemieszczając się pomiędzy siedzeniem na ławkach, nie zauważyłem żadnej. Tym razem osy były cudem wyższego boga (Ormazda), co mogę przypuszczać, opierając się na niepodlegających wątpliwości podstawach, których przedstawianie tutaj do niczego by nie prowadziło. Jeszcze w zeszłym roku wyczarowywane one były przez niższego boga (Arymana); cuda wyższego boga miały wówczas znacznie bardziej wrogi charakter (napuszczanie na mnie obłąkanych itp.). Po południu dnia następnego pojawiły się, kiedy podczas mojego wyjścia do sąsiedniej miejscowości Ebenheit siedziałem w ogrodzie tamtejszej gospody, w odpowiedni sposób wielokrotnie przed moją twarzą pojedyncze igrające w powietrzu komary; miało to miejsce także i tym razem tylko bezpośrednio w pobliżu mnie.

Dzisiejszego przedpołudnia (19 marca), kiedy to panują podobne warunki pogodowe, jak 16 marca, postanowiłem w pewnym stopniu sprowokować podczas spaceru w ogrodzie cud z osami. Usiadłem na jednej z ławek, po czym wkrótce pojawiły się zwykłe zjawiska: zamykanie oczu i krzyki, a ja z mojej strony liczyłem po cichu, czekając na to, co nastąpi. Tym razem „zakłócenie” przebiegało w inny sposób: podczas gdy siedziałem spokojnie na ławce i tylko od czasu do czasu wydawałem z siebie wywołany cudem krzyk, zbliżył się do mnie jeden z pacjentów, którego wcześniej nie mogłem być zauważyć, ponieważ moje oczy zostały oczywiście znów zamknięte za sprawą cudu, i dał mi bez żadnego powodu z mojej strony dość mocnego kuksańca w ramię, na co ja naturalnie wstałem i odparłem niegrzeczność paroma głośnymi słowami. Pacjenta tego w ogóle wcześniej nie znałem, jego nazwisko, brzmiące G., poznałem dopiero po mającym wkrótce miejsce wypyтaniu pielęgniarsza. To niewielkie, samo w sobie posiadające bardzo małe znaczenie, wydarzenie może jednocześnie posłużyć za dowód olbrzymich wymagań, jakie były przez lata stawiane podczas pobytu w przyzakładowym zakładzie pod adresem mojego taktu i opanowania, bo już wcześniej (rozdział XX „Pamiętników”) wspominałem, iż słowne i czynne ataki na mnie tego rodzaju zdarzały się wcześniej bardzo często i głębsza ich przyczyna, czyli oddziaływanie promieni, zawsze była ta sama.

W różnych miejscach wspominałem o „braku myśli przewodniej” u promieni i o okoliczności, że promieniom brakuje myśli. To konkretne wyobrażenie nie powstało u mnie spontanicznie, lecz opiera się na wypowiedziach, które docierały i docierają do mnie od samych głosów; także jeszcze i teraz słyszę prawie co dwie minuty po odbębnieniu innych niesmacznych fraz powiedzenie: „No i teraz brak nam przewodniej myśli”. Myśl ta musi mieć u swych podstaw coś rzeczywistego i dlatego uważam za godne wysiłku przedstawić w kilku sprawach istniejący w tej kwestii stan rzeczy. Braku myśli przewodniej u promieni nie należy w żadnym razie rozumieć w ten sposób, że to sam Bóg utracił swą pierwotną mądrość albo że została ona w jakikolwiek sposób pomniejszona; gdyby tak było, nie mógłby on już przecież posiadać zdolności do pobudzania nerwów ludzi z mojego otoczenia do jakichś decyzji, nakłaniać ich za sprawą cudu do wypowiedzi odpowiadających ich stanowi wiedzy itp., nie mógłby czynić ze mną, a wszystko to dzieje się faktycznie także i teraz bez przerwy, cudu kierowania wzroku, prób egzaminacyjnych (por. rozdział XVIII „Pamiętników”) itp., itp.

Dlatego też wydaje mi się, że wolno mi przypuszczać, iż tę samą mądrość, która od zarania właściwa była Bogu, posiada teraz w tym samym stopniu (i chyba względem żywego człowieka z takimi samymi ograniczeniami) całkowita masa promieni, o ile stanowi ona masę *w stanie spoczynku*, a wyobrażenie związane z wyrażeniem „brak myśli przewodniej” odnosi się jedynie do promieni znajdujących się w – wynikającym z siły przyciągania moich nerwów sprzecznym z porządkiem świata – ruchu w stosunku do jednego jedyne go człowieka. Pod tym względem muszę przypomnieć, że nigdy nie miałem wyłącznie *bezpośredniego kontaktu* z boskimi promieniami albo nerwami, lecz że zawsze pomiędzy Bogiem a mną znajdowały się tak zwane instancje pośrednie, których oddziaływanie musiało być zawsze najpierw eliminowane, zanim dotrzeć do mnie mogły czyste boskie promienie. Były to, i częściowo jeszcze są, „sprawdzone dusze”, których liczba była wcześniej bardzo duża (por. rozdział VIII i XIV „Pamiętników”), i te pozostałości byłych „przedsionków niebios”, które oszczędzono w celu spowalniania przyciągania, i które – jak muszę przypuszczać – są identyczne z pewnymi nerwami tych ptaków, które od tamtego czasu nieustannie ze mną rozmawiają jako „mówiące ptaki”.

Wszystkie te pośrednie instancje, a więc także istniejące jeszcze pozostałości sprawdzonej duszy profesora Flechsig’a i tkwiące w ptasich ciałach resztki „przedsionków niebios”, całkowicie straciły swą wcześniejszą, odpowiadającą ludzkiej albo jeszcze ją być może przewyższającą inteligencję; stały się one zupełnie bezmyślne. Ten proces można by w pewnym stopniu porównać do tego, co w ludzkim życiu nazywa się „zapominaniem”. Także

i człowiek nie jest w stanie zachować na zawsze w swej pamięci wszystkich doświadczanych w życiu wrażeń; wiele z nich – zwłaszcza te mniej ważne – szybko znika. Podobna okoliczność, tylko w jeszcze dużo większym natężeniu, zdawała i zdaje się zachodzić w przypadku takich dusz, które zamiast, jak by to odpowiadało zgodnemu z porządkiem świata przeznaczeniu dusz zmarłych ludzi, dołączyć się do Boga i tym samym – jedynie przy stopniowej utracie pewnych osobistych wspomnień – stać się częścią boskiej inteligencji, splatają się, że tak powiem, jako osobne dusze bez związku z Bogiem, co jest procesem w ogóle nieprzewidzianym w porządku świata, a jedynie tylko spowodowanym poprzez niezgodne z porządkiem świata ukształtowanie się związku powstałego pomiędzy Bogiem a mną. Wszystkie te – być może stopione tylko na jednym jedynym albo kilku nielicznych nerwach – dusze całkowicie utraciły zdolność myślenia i, jak się zdaje, zachowały jeszcze tylko pewną zdolność do odczuwania, która pozwala im na odbieranie udziału w spotykanej przez nie czasami w moim ciele rozkoszy duszy jako przyjemność albo jako rozkosz. Utraciły one także w ten sposób samodzielną zdolność mówienia, z jednym tylko zastrzeżeniem, że ptaki są jeszcze zdolne do wypowiedzania w chwilach (wejrzeniach) uczestnictwa w rozkoszy duszy mojego ciała słów „przeklęty facet” albo „a niech to jako tako”, co jest okolicznością, która mi jednocześnie bezsprzecznie udowadnia, że chodzi o pozostałości dusz, które wcześniej posługiwały się językiem podstawowym.

Prawdziwość odczucia podczas użycia wyżej podanych słów w odróżnieniu od fraz tylko ich nerwom „wbitym do głowy”, które wypowiedają oprócz tego (por. rozdział XV „Pamiętników”, przypis 92.), rozpoznają bez wątpienia po różnicy po pierwsze w oddziaływaniu – autentyczne głosy nie przysparzają mi ani bólu, ani żadnych innych szkód, lecz przyczyniają się do zwiększenia rozkoszy duszy, po drugie zaś po *brzmieniu* i zwłaszcza *tempie* mówienia. Prawdziwe słowa rozbrzmiewają bardzo szybko, z charakterystyczną dla wszystkich nerwów prędkością, i odróżniają się od tych wbitych do głowy fraz tym wyraźniej, im wolniejsze staje się tempo tych ostatnich. Jednak także i te same w sobie bezmyślne nerwy muszą coś wypowiedać, by spowolnić tempo przybliżania się. Jako że im samym brakuje myśli, a w tych miejscach (ciałach niebieskich, „ziemiach”), z których odbywa się ich załadowanie trupim jadem, nie ma istot myślących (istoty te, które jednocześnie zajmują się zapisywaniem, można sobie wyobrazić jako podobne do ludzi postaci z rodzaju „pobieżnie wytworzonych ludzi” albo jakkolwiek inaczej), będąca sama w sobie w bezruchu masa całkowita boskich nerwów może im w przypadku każdego przybliżenia przekazać albo wbić do głowy do wypowiedzenia jedynie tylko to, co odczytuje się u mnie jako nierozwinięte jesz-

cze myśli (z reguły przy przekłamaniu ich odwrotność), albo to, co można powiedzieć o cudach, które każdorazowo są czynione na mojej osobie, albo trzeba sięgnąć do wcześniejszego zapisanego materiału (z reguły moje wcześniejsze własne myśli), albo wreszcie można – jeśli wszystko inne już zostało odklepane, a u mnie nie można znaleźć nic, poza niemyśleniem – jeszcze tylko szukać pomocy w ostatniej frazie „brak nam teraz myśli przewodniej”, po czym znów następuje pytanie: „Dlaczego nie powie Pan tego” *scil.* „głośno” itp., itp. Tak mniej więcej wygląda obraz, jaki wyrobiłem sobie o po tysiącokroć powtarzanym „braku myśli przewodniej” u promieni; może tu chodzić oczywiście tylko o przypuszczenia, jako że człowiekowi nie jest w tej sprawie, jak w przypadku wszystkich innych nadprzyrodzonych okoliczności, dany pełen wgląd w prawdziwy stan rzeczy; wydaje mi się jednak, że tym, co powiedziałem powyżej, przynajmniej w przybliżeniu trafiłem w sedno.

Nie brak mi wskazówek, że sam Bóg (albo – by oprócz tego użyć innego, prawdopodobnie oznaczającego dokładnie to samo wyrażenia – całkowita masa znajdujących się w stanie spoczynku promieni) zachował wyższą inteligencję, a wręcz przypuszczalnie mądrość nieskończenie przekraczającą wszelką ludzką inteligencję. W grę wchodzi tutaj zwłaszcza pewna ilość nie autentycznych, lecz przeznaczonych do „wbicia do głowy” albo „wyuczenia na pamięć” powiedzeń niższego boga (Arymana), które częściowo wymienione zostały już wcześniej (por. rozdział XIII i rozdział XXI „Pamiętników”) i do których jeszcze raz powracam w aktualnym kontekście („Nadzieja, że rozkosz duszy osiągnie pewien stopień”, „trwałe sukcesy są po stronie ludzi”; „wszystkie bzdury niszczą się same”; „proszę podniecać się tylko seksualnie”; „rozkosz stała się bogobojna” itp., itp.)¹¹⁷. Muszę przyznać, że zawarte w tych powiedzeniach prawdy dostrzegłem jako takie częściowo nawet dopiero po latach, zaś moja postawa wobec nich była przynajmniej na początku bardzo sceptyczna. Należy do nich między innymi powiedzenie, które przed laty (już chyba w 1894 albo 1895 r.) wyszło wielokrotnie powtarzane niejako w charakterze dyrektywy co do mojego zachowania od niższego boga: „Niech i tak będzie, jeśli chodzi o mnie, musi odbyć się losowanie”. Miało to oznaczać, że powinienem się wyzybyć wszelkiej troski o przyszłość i – chyba ufając wieczności – spokojnie zawierzyć koleje mojego osobistego losu rozwojowi spraw, który nastąpi sam z siebie. Wówczas nie byłem jeszcze w stanie uznać rady, bym w stosunku do wszystkiego, co się ze mną dzieje, zajmował obojętne sta-

¹¹⁷ Powiedzenia te nie są zresztą już od dłuższego czasu przez głośnie używane, jako że wszystkie stają się podczas nieustannego powtarzania formami „myśli-niemyślenia” i dlatego nie mogą już służyć celowi spowalniania przyciągania; wszystkie je jednak zachowałem w mojej pamięci i dlatego też od czasu do czasu przypominam je sobie przez świadome odtwarzanie.

nowisko „niech i tak będzie”, za odpowiednią, i muszę przyznać, że patrząc na to z ludzkiego punktu widzenia, było to zupełnie naturalne.

W owym czasie niebezpieczeństwa, jakie mi za sprawą cudów zagrażały wielokrotnie w ciągu dnia, były jeszcze zbyt okropne, a szkody wyrządzone mojemu ciału zbyt straszliwe (por. rozdział XI „Pamiętników”), bym mógł zdobyć się na uczucie całkowitej obojętności w stosunku do tego wszystkiego, co w przyszłości ma się ze mną stać. Troskę o przyszłość człowiek ma, szczególnie w niebezpiecznych sytuacjach, we krwi. Z biegiem czasu jednak przyzwyczajenie i pewność co do najważniejszego punktu, że nie muszę się w żadnym razie obawiać o mój rozum, doprowadziły do tego, bym przyswoił sobie w odniesieniu do przyszłości pogląd prawie całkowicie wyrażony powiedzeniem „niech i tak będzie”. Także i teraz muszę wprawdzie przeżywać przykre okresy; także i teraz zdarzają się pojedyncze noce i dni, w które na skutek krzyków, duchowych męczarni spowodowanych gadaniną głosów i od czasu do czasu pojawiającego się dodatkowo fizycznego bólu, prawie – że tak powiem – nie mogę wytrzymać. Jednak przykrości te nie trwają długo; polegają zwykle na tym, że wobec po raz kolejny dostrzegalnie zwiększonej rozkoszy duszy mojego ciała dochodzi do dalszego zaostrzenia stosowanych względem mnie systemów w związku z rozmieszczeniem rozmawiających ze mną głosów albo włókien promieni, w związku z organizacją gadaniny głosów itp., a to wszystko w celu wywołania spowolnienia przyciągania, umożliwienia odsunięcia się na większą odległość i – jeśli to możliwe – niedopuszczenia do zjednoczenia wszystkich promieni, które musi prowadzić do rozkoszy i snu. Cel ten jednak tak naprawdę nigdy nie jest osiągnięty na jakiś dłuższy czas; wzrost rozkoszy duszy wnet pokonuje także i te zaostrzenia, i wówczas następują dla mnie przez pewien czas najczęściej jeszcze przyjemniejsze fizyczne i duchowe stany. Podobnie jak z powiedzeniem „niech i tak będzie”, rzecz się ma według mnie z innym zdaniem, a mianowicie: „Każda nedorzeczność unicestwia się sama”. W owym czasie, gdy zdanie to słyszałem jeszcze od głosów (a było to szereg lat temu, teraz nie słyszałem już go od pewnego czasu) nie mogłem się dać łatwo przekonać co do jego słuszności. Przypomniałem sobie, że nedorzeczność panowała zarówno w historii pojedynczych ludzi, jak też całych narodów niekiedy przez bardzo długi czas i czasem prowadziła do katastrof, których skutki nie zawsze mogły zostać usunięte w następującym po nich czasie. W stosunku do mojej osoby jednak doświadczenia wielu lat doprowadziły mnie do uznania słuszności tego stwierdzenia; człowiek, który – tak jak ja – może powiedzieć o sobie, że w pewnym sensie *wieczność jest mu poddana*, może spokojnie pozwalać na dzianie się wszelkich nedorzeczności, zakładając z całą pewnością, iż kie-

dyś musi przecież nadejść taki moment, kiedy to nedorzecznosc się wyczerpie i znów zapanują same z siebie rozsądne warunki.

Zatrzymałem się nieco dłużej przy omawianych powyżej powiedzeniach, ponieważ miały one dla mnie wielką wartość jako dowody na to, iż wielka boska mądrość rozpoznała już przed laty pewną zawartą w tych (jak i w wielu innych) punktach prawdę, która dla mnie stała się jasna dopiero dużo później. Nieskończenie trudne jest dla mnie w dalszym ciągu pytanie, jak mogę pogodzić tę wielką mądrość z uwidaczniającą się w innych sytuacjach niewiedzą, z – jak uczy doświadczenie – całkiem błędnym zorganizowaniem prowadzonej wobec mnie całościowej polityki itp.¹¹⁸ Pytanie to zajmuje moje myśli od lat prawie nieustannie, chociaż będę chyba musiał sobie powiedzieć, że prawdopodobnie już nigdy nie znajdę na nie pełnej odpowiedzi, i że kwestia ta będzie dla mnie zawsze zawierała element zagadkowości. Gdyż muszę tak czy inaczej obstawać przy tym, że w tych sprzecznych z porządkiem świata stosunkach, jakie powstały pomiędzy Bogiem a mną, Bóg nie zna żywego człowieka. Przynajmniej wcześniej musiał on uważać za możliwe zniszczenie mojego rozumu i ogłupienie mnie; być może wychodził on przy tym z założenia, że i tak ma do czynienia z prawie już zidiociałym, być może także moralnie niegodnym człowiekiem, i być może wyobrażenie to jednocześnie – powiedziałbym – złagodziło wyrzuty sumienia, które w innym przypadku musiałyby powstać przy prowadzonej przeciwko mnie polityce. Ta nieznamość mojego duchowego i moralnego stanu prawdopodobnie utrzymywała się we wcześniejszych latach, kiedy oddalanie się i ponowne przybliżanie występowały zawsze w większych odstępach, przez dłuższe okresy czasu.

Teraz na skutek szybkiego wzrostu rozkoszy duszy okresy te stały się dużo krótsze; niewiedza ustąpi prawdopodobnie bardzo niedługo lepszemu zrozumieniu zagadnienia. Mimo to istnieje jednak w przypadku dusz skłonność nie do pokonania, by oddalić się, jak tylko choć przez jedną jedyną chwilę nie mogą one odczuwać w moim ciele przyjemności odpowiadającej ich zgodnym z porządkiem świata warunkom bytu (błogostan), albo gdy nastąpi wynikająca z wcześniej kiedyś już podjętych działań organizacyjnych konieczność oddalenia się, choć właściwie można by powiedzieć, iż oddalenie takie nie rokuje jakiegokolwiek wartego wzmianki trwałego sukcesu, ale że wkrótce i tak musi nastąpić zbliżenie, podczas którego promienie są

¹¹⁸ Błędnosc ta została uznana przecież także, jak już wspominałem w rozdziale XIII „Pamiętników”, przez samego niższego boga (Arymana) powiedzeniem: „Takie są oto skutki słynnej polityki dusz”.

zrzucać do mnie na dół z towarzyszeniem wydawanych przez nie wołań o pomoc, a więc w stanach lękowych.

Zjawisko to można wyjaśnić tylko powołując się na tak właśnie różny od ludzkiego charakter dusz. Męska pogarda dla śmierci, jakiej oczekuje się od człowieka w pewnych życiowych sytuacjach, jak na przykład od żołnierza, a zwłaszcza od oficera w czasie wojny, nie jest cechą właściwą dla dusz. Pod tym względem przypominają one małe dzieci, które nie mogą ani nie chcą choć przez chwilę zrezygnować z łakoci – rozkoszy duszy; zasada ta zdaje się obowiązywać przynajmniej odnośnie do tych promieni, od których jako od najbardziej zaangażowanych zależy najpierw decyzja o odwołaniu. Wynika stąd, że Bóg jawi się mi prawie we wszystkich rzeczach, jakie dzieją się względem mnie, po utraceniu przez cuda częściowo ich wcześniejszego strasznego działania, przeważnie śmiesznie albo dziecinnie. Stąd też wynika takie moje zachowanie, że często jestem zmuszony w ramach samoobrony, czasem nawet wyrażanymi głośno słowami, odgrywać rolę „prześmiewcy Boga”; muszę to czasami czynić, by tę oddaloną instancję, która dręczy mnie stanami wywołującymi krzyki, bezsensowną gadaniną głosów itp. przywołać czasem do świadomości, że ma do czynienia na pewno nie ze zidiociałym, ale całkowicie opanowującym całą sytuację człowiekiem. W sposób najbardziej zdecydowany jednak muszę podkreślić, że chodzi tu tylko o epizod, który, mam nadzieję, osiągnie swój koniec wraz z moją śmiercią, że w związku z tym prawo szydzenia z Boga przysługuje tylko mi, a nie innym ludziom. Dla innych ludzi Bóg pozostaje twórcą Nieba i Ziemi, przyczyną wszelkich rzeczy i zbawieniem dla ich przyszłości, któremu – choć niektóre z tradycyjnych religijnych wyobrażeń wymagają pewnej korekty – należy się uwielbienie i najwyższa cześć.

VI. Rozważania na temat przyszłości

Różne

(kwiecień i maj 1901)

Tezy, jakie przedstawiałem w rozdziale XXII „Pamiętników”, dotyczące zadośćuczynienia, jakie mnie oczekuje, i nagrody, jakiej mogę oczekiwać za wycierpiane bóle i wyrzeczenia, przybierają, jak się wydaje na podstawie najnowszych spostrzeżeń, coraz bardziej konkretną postać. Sądzę, że już teraz po upływie niewielu miesięcy mogę nieco wyraźniej powiedzieć, w jakim kierunku wynagrodzenie to nastąpi. W tej chwili jednak życie moje jest jeszcze dziwną mieszkanką stanów rozkoszy, bolesnych odczuć i innych nieprzyjemności, do których oprócz własnych krzyków zaliczam idiotyczny hałas, jaki wielokrotnie jest generowany w moim pobliżu. Każde słowo, jakie wypowiedane jest w jakiejś rozmowie ze mną, jest jeszcze związane z ciosem zadany mojej głowie; wywołane tym bolesne odczucia mogą w pewnych okresach, tj. kiedy promienie oddalają się w swym odwrocie na zbyt dużą odległość, uzyskać dość wysoki stopień nasilenia i w związku z tym, zwłaszcza po poprzedzających je mniej lub bardziej bezsennych nocach, działać w znacznym stopniu wyczerpująco, tym bardziej, kiedy dochodzą do tego jeszcze inne spowodowane cudami bóle, np. bóle zębów.

Z drugiej strony codziennie pojawiają się powracające wielokrotnie okresy, kiedy, że tak powiem, pławię się w rozkoszy, tj. całe moje ciało przenika nieopisane, odpowiadające żeńskiemu odczuwaniu rozkoszy wspaniałe samopoczucie. Nie jest przy tym wcale konieczne, bym kierował moją fantazję w stronę spraw związanych z życiem płciowym; także przy innych okazjach, np. kiedy czytam szczególnie porywające miejsce jakiegoś literackiego utworu, kiedy gram na fortepianie jakiś szczególnie pod względem estetycznym dla mnie pociągający utwór muzyczny albo podczas wycieczek w okolice znajduję się pod wrażeniem szczególnego piękna przyrody, rozkosz duszy wynikająca z odczuwanej przyjemności nierzadko prowadzi do chwil, które odczuwam, że tak powiem, jako przedsmak błogostanu. W obecnym cza-

się chodzi tu jednak tylko o krótkotrwałe odczucia, i właśnie w trakcie ich trwania sprowadzane są na mnie cudem bóle głowy lub zębów, by od samego początku nie pozwolić na powstanie w końcu nieodparcie oddziałującego na promienie uczucia rozkoszy. Na pytanie, jak się czuje przy tym wszystkim *cały* człowiek, czasem trudno odpowiedzieć; niekiedy odczuwam od stóp aż po szyję najwyższą rozkosz, a w tym samym czasie głowa może znajdować się w dość niedobrym stanie.

Przyszły rozwój wypadków będzie, co mogę, jak mi się zdaje, przepowiedzieć na podstawie wieloletniego doświadczenia, coraz bardziej zbliżał się to takiego rozwiązania, że odczucia bólu będą się zmniejszały, a stany rozkoszy i błogości będą przeważały. Bo rozkosz duszy przybiera stale na sile, w związku z czym odczuwanie rozkoszy będzie się stawało coraz bardziej dominującym wrażeniem, jakie promienie będą odczuwały podczas wchodzenia w moje ciało; dlatego już teraz bardzo często się nie udaje (a przypuszczalnie w przyszłości będzie udawało się jeszcze rzadziej) zadawanie mojemu ciału rzeczywistego bólu. Istnieje wprawdzie *chęć*, jak dowiaduję się bez cienia wątpliwości od równocześnie mówiących do mnie głosów, np. zaczarowania moich oczu, tj. wstrzyknięcia do nich trupiego jadu, albo spowodowania u mnie bólu zębów, tj. zrzucenia trupiego jadu w moich zębach itp.; coraz częściej jednak promienie w ogóle już nie osiągają danych części mojego ciała, bo odczucie rozkoszy wywołane w innych częściach ciała przeważa; przeznaczony dla moich oczu albo moich zębów trupi jad rozładowywany jest więc wówczas nieszkodliwie gdzieś indziej, na przykład na piersi albo na ramionach. Na podstawie powyżej opisanych zdarzeń wydaje mi się, że mogę na być może wcale nie bardzo oddaloną w czasie przyszłość przepowiedzieć, iż w pewnym stopniu z góry będę mógł doznać już za życia tej szczęśliwości, jaka innym ludziom dana jest dopiero po śmierci. Naturalnie wcale nie odpowiada sam w sobie mojemu gustowi fakt, iż błogostan ten jest rozkoszną przyjemnością, do której pełnego wytworzenia potrzebne jest wyobrażenie, iż jest się – albo chce się być – żeńską istotą; muszę jednak poddać się zgodnej z porządkiem świata konieczności, która zmusza mnie do przyzwyczajania się do wyobrażeń tego rodzaju, o ile moje samopoczucie nie ma się przez bóle, wywoływane cudem krzyki i bezsensowny hałas w moim otoczeniu pogorszyć nieomal nie do zniesienia^{118a}. Jako niezwykle dużo znaczące odszkodowanie za odebranie mi możliwości korzystania z moich sił umysłowych w służbie ludzkości w inny sposób i zdobycia tą drogą zaszczytów i sławy, w grę wchodzi poznanie Boga i boskich spraw, które osiągnąłem dzięki nieprzerwanemu kontaktowi z boskimi promienia-

^{118a} Także i tu nieco zmodyfikowałbym to, co wcześniej powiedziałem.

mi. Wolno mi jednocześnie żywić nadzieję, że będę odgrywał rolę tego pośrednika, przez którego osobiste losy rozpowszechniona zostanie owoconie zdobyta przeze mnie wiedza, i że w ten sposób będzie mi sędzone służyć pozostałej ludzkości jeszcze długo po mojej śmierci przy zdobywaniu właściwych poglądów na temat stosunków pomiędzy Bogiem a mną i odkrywaniu religijnych prawd.

Nie umiem oczywiście powiedzieć, jak będą kształtować się te sprawy po mojej śmierci, która przecież kiedyś przypuszczalnie będzie musiała nadejść. Zgodnie z tym, co powiedziałem na ten temat w rozdziale XXII „Pamiętników”, uważam za możliwą właściwie tylko śmierć z powodu starczego uwiązania. Muszę mieć nadzieję, że kiedy już wybije moja ostatnia godzina, nie będę się już znajdował w zakładzie leczniczym, lecz w uporządkowanym rodzinnym domu w otoczeniu moich bliskich, gdyż być może będę wówczas potrzebował opieki, która zapewni mi więcej miłości niż po części opieka w zakładzie. Nie uważam również za wykluczone, iż przy moim łożu bolesti albo śmierci można będzie zauważyć jakieś nadzwyczajne zjawiska, i dlatego też muszę chcieć, by umożliwiono dostęp do niego ludziom z różnych dziedzin nauki, którzy – co może się zdarzyć – będą w stanie wyciągnąć stąd ważne wnioski w odniesieniu do prawdziwości kręgu moich religijnych wyobrażeń. W tej chwili jestem jeszcze dość mocno oddalony od celu mojego zwolnienia; decyzja sądu pierwszej instancji we wspomnianym w rozdziale XX „Pamiętników” procesie o ubezwłasnowolnienie (wyrok sądu krajowego w Dreźnie z 15 kwietnia 1901 r.) zapadła na moją niekorzyść. Nie znam jeszcze uzasadnienia wyroku i dlatego nie jestem w stanie powiedzieć, czy będę tą sprawą zaprzętał głowę wyższym instancjom poprzez złożenie odwołania. Mam w każdym razie pewną ufność, że – nawet jeśli nie w najbliższym czasie, to jednak w ciągu kilku lat – uda mi się uzyskać odwołanie ubezwłasnowolnienia i jednocześnie zwolnienie z tutejszego zakładu.

Do spraw powyżej omówionych dołączę poniżej jeszcze kilka spostrzeżeń, które nie mają z nimi bliższego związku, a zamieszczam je w tym miejscu tylko dlatego, że ze względu na ich niewielkie rozmiary nie chcę im poświęcać osobnego rozdziału.

W trakcie minionych lat wiele myślałem, zainspirowany przeżywanymi przeze mnie nadprzyrodzonymi wrażeniami, o przedmiotach ludowych przesądów. Zobaczyłem je teraz, podobnie jak mitologiczne wyobrażenia innych ludów, w istotnie innym świetle niż wcześniej. Jestem zdania, że u podstaw większości wyobrażeń wierzeń ludowych leży ziarenko prawdy, jakieś przecucie nadprzyrodzonych spraw, które z biegiem czasu pojawiło się u większej liczby ludzi, co prawda tak wielokrotnie zarzucone przez dowolne uzupełnienia ludzkiej fantazji, że tego ziarenka prawdy prawie nie można już

z nich wyłuskać. Gdybym dysponował wystarczającymi zasobami literackich materiałów pomocniczych, spróbowałbym być może przyjrzeć się pod tym kątem większej ilości wypowiedzi ludowego zabobonu.

Z braku pomocy tego rodzaju chcę się ograniczyć do dwóch przykładów. Znany jest przesąd o godzinie duchów, w której to tylko i wyłącznie godzinie duchom wolno kontaktować się z ludźmi i która zmusza je do powracania do swych grobów, jak tylko wybije pierwsza godzina.

Moim zdaniem u podstaw tego zabobonu leży prawidłowe przecucie, że sny nie są li tylko zawsze wibracjami nerwów śpiącego człowieka bez żadnego wpływu z zewnątrz, lecz że wynikają one niekiedy z kontaktu z duszami zmarłych ludzi (*połączenia nerwowego* nawiązanego z jedną z tych dusz, przeważnie z duszą członka rodziny, por. rozdział I „Pamiętników”). Godzina po północy jest jako czas najgłębszego snu uznawana, w pewien sposób słusznie, za czas najbardziej nadający się do tego rodzaju kontaktów. Jako drugi przykład przywołuję do pamięci wyobrażenie, jakie wiąże się powiedzeniem, iż „diabeł wciska się i przez dziurkę od klucza”. Słuszność tego powiedzenia leży moim zdaniem w tym, że istotnie nie istnieje żadna stworzona przez człowieka mechaniczna przeszkoda, która byłaby w stanie powstrzymać promienie przez wejściem. Że tak jest, odczuwam w każdej chwili na moim własnym ciele; żadne – choćby nie wiem jak grube – mury, żadne zamknięte szyby i tym podobne nie są w stanie powstrzymać włókien promieni przez przejściem przez przeszkody we właściwie dla człowieka niezrozumiały sposób i przedostaniem się do dowolnej części mojego ciała, zwłaszcza do mojej głowy.

W razie gdyby niniejsza praca miała zostać opublikowana, mam dokładną świadomość, iż istnieje jedna osoba, która mogłaby się poczuć urażona taką publikacją. Jest to tajny radca prof. dr Flechsig w Lipsku. Wypowiedziałem się na ten temat w piśmie skierowanym pod datą 4 lutego tego roku pod adresem dyrekcji tutejszego zakładu, którego brzmienie zamieszczam dosłownie poniżej.

„Dyrekcji Zakładu wiadomo jest, że noszę się z myślą opublikowania moich pamiętników, i mam nadzieję, że nastąpi to po uzyskaniu zniesienia mego ubezwłasnowolnienia. Długo i intensywnie zajmowały mnie wątpliwości, czy publikacja ta jest dozwolona. Nie mogłem ukryć przed samym sobą, że ze względu na pewne rozdziały moich ‘Pamiętników’ pan radca tajny prof. dr Flechsig w Lipsku mógłby poczuć się zmuszony do złożenia wniosku o ukaranie mnie za obrazę, a może nawet o wycofanie całego wydania jako dowodu na popełnienie karalnego czynu (§ 40 Kodeksu Prawa Karnego). W końcu jednak podjąłem decyzję o podtrzymaniu zamiaru publikacji.

Wiem, że także wobec rady tajnego prof. dr. Flechsig jestem wolny od wszelkiej osobistej animozji. W związku z tym do moich 'Pamiętników' włączyłem jedynie tylko te dotyczące go informacje, które były według mnie niezbędne do zrozumienia całego mojego opisu. W przypadku publikacji skreśliłbym być może w szczególności nieco może uszczypliwy i nie całkiem konieczny dla ogólnego kontekstu przypis. Mam nadzieję, że wówczas także u rady tajnego prof. dr. Flechsig naukowe zainteresowania zepchną na dalszy plan ewentualne osobiste odczucia. Gdyby miało się stać inaczej, to waga, jaką przykładam do rozpowszechnienia mojej pracy przez wzgląd na zamierzone wzbogacenie nauki i wprowadzenie jasności w religijne poglądy, jest tak wielka, że ja sam muszę wziąć na siebie niebezpieczeństwo ukarania za obrazę i utratę majątku grożącą mi przez ewentualną konfiskatę.

Informację tę przekazuję Dyrekcji Zakładu oczywiście nie z tym zamiarem, by prosić ją o wypowiedzenie swojego zdania na temat ewentualnie istniejącej możliwości ukarania mnie za to, lecz jedynie i tylko po to, by także i w ten sposób na nowo udowodnić, jak dojrzałe rozważam z góry podczas podejmowania wszystkich moich działań skutki i jak nie może być w moim przypadku mowy o tym, że jestem człowiekiem, któremu brak zdolności kierowania swymi sprawami.

Sonnenstein, 4 lutego 1901

Z wyrazami głębokiego szacunku" (tu następuje podpis)

Chciałbym tu dołączyć jeszcze kilka uwag.

Naturalnie muszę zakładać, że tajny radca prof. dr. Flechsig pamięta jeszcze przynajmniej w ogólnych zarysach wydarzenia, jakie wiążą się z moim pobytom w kierowanej przezeń przyuniwersyteckiej klinice dla nerwowo chorych w Lipsku. Nie odważę się natomiast twierdzić z całą pewnością, czy kiedykolwiek uświadamiał on sobie także rzeczy nadprzyrodzone, jakie wiążą się z jego nazwiskiem, i w trakcie dziania się których jego nazwisko zostało mi podane przez głosy i wymieniane jest ciągle jeszcze codziennie, choć moje osobiste kontakty z radcą tajnym prof. dr. Flechsigiem dawno już zeszły dla mnie na dalszy plan i dlatego bez zewnętrznego oddziaływania raczej nie wzbudzałyby jeszcze ciągle mojego zainteresowania. Dopuszczam możliwość, iż były i ciągle jeszcze są one dla niego w jego ludzkiej postaci obecne; niejasna pozostaje oczywiście kwestia, jak można mówić w odniesieniu do żyjącego jeszcze człowieka o różnej od niego, znajdującej się poza jego ciałem duszy. Po poczynionych bezpośrednio przeze mnie po tysiącokroć doświadczeniach pewne dla mnie jest, że dusza taka, albo przynajmniej taka część duszy, istniała i ciągle jeszcze istnieje. W związku z tym muszę *uznać za możliwy* także fakt, iż wszystko, o czym opowiadałem w pierwszych rozdziałach moich „Pamiętników”, a co ma związek z nazwiskiem Flechsig,

odnosi się tylko do duszy Flechsig, którą należy odróżnić od noszącego to nazwisko człowieka, a której to egzystencja jest wprawdzie niewątpliwa, jednak w naturalny sposób niewytłumaczalna. Jestem więc całkowicie daleki od tego, by zamierzoną publikacją w jakikolwiek sposób atakować honor żyjącego radcy tajnego prof. dr. Flechsig.^{118b}

^{118b} Zresztą przeglądając wielokrotnie po zakończeniu procesu o ubezwłasnowolnienie moją pracę, skreśliłem w niej, zmieniłem i próbowałem złagodzić środki wyrazu w tak wielu miejscach, że jak sądzę nie może już być mowy o jej obraźliwym charakterze. Mam nadzieję, że w ten sposób bezprzedmiotowe stało się wszystko to, co zostało powiedziane w opiniach, wyrokach pierwszej i drugiej instancji, jak też moich własnych pismach procesowych na temat być może zagrażającej mi kary.

VII. O kremacji (maj 1901)

O żywiony w ostatnim czasie, organizowany w specjalnych stowarzyszeniach ruch na rzecz palenia zwłok budzi we mnie moje własne myśli, których przedstawienie może być dość interesujące. Zastrzeżenia przeciwko takiemu rodzajowi pochówku zwłok, wysuwane przez stronę wiernych kościołowi, zasługują moim zdaniem na najpoważniejsze uwzględnienie. Można bowiem w samej rzeczy postawić pytanie, czy osoba pozwalająca na spalenie swych zwłok nie rezygnuje ze zmartwychwstania w przyszłym życiu albo też czy nie pozbawia się widoków na wieczną szczęśliwość.¹¹⁹ *Także dusza nie jest czymś wyłącznie duchowym, lecz opiera się na materialnym substracie, jakim są nerwy.* Jeśli więc kremacja prowadziłyby do całkowitego zniszczenia nerwów, to tym samym wzniesienie się duszy do błogostanu byłoby wykluczone. Nie śmiem jako laik w dziedzinie fizjologii nerwów twierdzić na pewno, że wyżej przedstawione uwarunkowanie jest słuszne. Jedno tylko nie przedstawia dla mnie żadnych wątpliwości, a mianowicie fakt, iż w tych przypadkach, kiedy ludzkie ciało wydane jest ogniovi na śmierć podczas na przykład pożaru albo średniowiecznego ciałopalenia heretyków i czarownic, sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Śmierć w ogniu jest w takich przypadkach chyba bardziej śmiercią przez uduszenie; nie może być chyba raczej mowy o całkowitym zniszczeniu ciała; prawdopodobnie nawet miękkie części ciała są wówczas najczęściej tylko nadwęglone; na pewno natomiast nie ma miejsca całkowite zniszczenie kości i znajdujących się w nich

¹¹⁹ Jest dla mnie zgodnie z przedstawionymi przeze mnie wcześniej wszystkimi treściami (por. w szczególności rozdział I „Pamiętników”) całkowicie bez wątpienia, że zgodnie z porządkiem świata samym w sobie istnieje jakaś kontynuacja po śmierci albo błogostan. Nie stanowi oczywiście sprzeczności z wyżej powiedzianym fakt, że tak długo, jak długo będzie trwał sprzeczny z porządkiem świata oparty na zasadach wyłączności stosunek pomiędzy Bogiem a moją osobą, nowe utworzenie błogostanu jest moim zdaniem zawieszona (por. w „Pamiętnikach” rozdział II pod koniec i rozdział V pod koniec).

(szczególnie w pokrywie czaszki) nerwów. Nie można więc tych przypadków porównywać do nowoczesnego palenia zwłok, podczas którego metodycznie dąży i prawdopodobnie osiąga się w specjalnych krematoriach w warunkach ekstremalnie wysokich temperatur, odcięcia dopływu powietrza atmosferycznego itp., całkowite zniszczenie wszystkiego tego, co pozostało z człowieka jeszcze po jego śmierci, tak że pozostaje jedynie niewielka kupka popiołu. Dlatego też nie uważam przynajmniej za nieprawdopodobne, że także nerwy ulegają wówczas jakiejś fizjologicznej albo chemicznej przemianie, która wyklucza ponowne ich obudzenie do życia na tamtym świecie.

Rozważaniom tego rodzaju muszą zdecydowanie ustąpić według mnie te estetyczne, sanitarne i społeczno-ekonomiczne względy, jakie przytacza się zwykle na korzyść palenia zwłok. Także pod tym ostatnio wymienionym kątem widzenia domniemane korzyści są chyba niezwykle wątpliwej natury; w szczególności zyski ekonomiczne planowane przez likwidację cmentarzy itp. będą chyba zniwelowane przez olbrzymie koszty, jakie będzie pochłaniała – jeśli wyobrazi się ją sobie jako powszechną instytucję – kremacja zwłok. Prawdopodobnie jeszcze przez najbliższe stulecia nie ma co myśleć o tym, by przeważająca część społeczeństwa miała odrzucić stary zwyczaj grzebania ciał. Nie wydaje mi się prawdopodobne, by nadszedł kiedyś taki moment, kiedy to na przykład każda wieś albo każdy mniejszy okręg będą posiadały własne krematorium. *Zawsze* jednak pozostanie decydująca dla uczuć moralnych kwestia, czy nowoczesna kremacja zwłok da się pogodzić z nadzieją na przyszłe życie w błogostanie.

Wiem dobrze, że jest wielu ludzi, którzy są skłonni przechodzić obok tego pytania dość obojętnie. Nie zawsze chodzi w takich przypadkach tylko o manifestację niewiary, to znaczy o świadomych ateistów. Niechęć do wyobrażenia sobie własnego gnijącego po śmierci ciała spycha u niektórych ludzi wszelkie inne refleksje na dalszy plan; niejasne wyobrażenia o naturze oczekującego w przyszłym życiu bytu są nierzadko źródłem powstawania, szczególnie u pesymistycznie nastawionych osobników, nastrojów, w których wmawiają oni sobie i innym, że dalsze trwanie po śmierci nie znaczy dla nich zupełnie nic, że całkiem odpowiada im fakt, że po śmierci wszystko się skończy i wszystko, co po nich jeszcze zostanie, zniknie tak całkowicie, jak tylko jest to możliwe, by nie stać się po śmierci dla innych ludzi przedmiotem być może tylko połowicznego zainteresowania. Sądzę jednak, że nie mylę się, zakładając, iż takie nastroje nie utrzymałyby się nigdy dłużej, jak tylko do momentu, kiedy nagle okropna śmierć podejdzie rzeczywiście na wyciągnięcie ręki. Jakiejś pociechy, jakiejś nadziei potrzebuje także ten człowiek, który jest złożony być może na długi czas w łożu boleści i nie może już dłużej odrzucać pewności co do zbliżającej się śmierci; cierpienia te mogą stać się

okropniejsze, kiedy umierająca osoba zgodnie z zajęтым przez nią stanowiskiem w sprawach religijnych sądzi, że została pozbawiona wszelkiej nadziei, i tym samym zamyka się także przed pociechą, jaką daje religia. U tych, którzy wydali polecenie spalenia swych zwłok po śmierci, doszłyby być może do tego jeszcze dręczące wątpliwości, czy przypadkiem nie oni sami przyczynili się do tego, że nie może być im dana ostatnia nadzieja. Chwała tym, chciałbym zawołać, którzy w takiej życiowej sytuacji dostrzegają przynajmniej istnienie możliwości odwołania rozporządzenia co do kremacji, jakie wydali za zdrowych dni być może w mniej lub bardziej lekkomyślnym nastroju.

Odpowiedzi na pytanie, czy duchowieństwo może przez wzgląd na pogrążonych w cierpieniu bliskich udzielić błogosławieństwa albo wypowiedzieć słowa pociechy w przypadku spalenia zwłok, będą chyba różne, w zależności od indywidualnych poglądów. Bez wątpienia jestem zdania, że położenie wierzącego duchownego jest w takich sytuacjach niezwykle trudne. Nie będzie się on przecież mógł oprzeć wrażeniu, że osoba, która zarządziła spalenie zwłok, zaprezentowała – podejmując decyzję w kwestii ważnej choćby pod kątem istnienia życia po śmierci – dużą obojętność; dodatkowo chyba wszyscy duchowni mają przynajmniej przecucie przedstawionych przede mną wątpiwości, czy po całkowitym zniszczeniu nerwów błogostan jest w ogóle jeszcze możliwy?

Nie dajmy się też zmylić zarzutowi, że założenie, iż spalenie ciała może mieć jakikolwiek wpływ na możliwość ponownego przebudzenia po śmierci, nie da się pogodzić z wyobrażeniem o Boskiej wszechmocy. Wszechmoc ta nie istnieje bowiem w absolutnej nieograniczoności; nie jest na przykład dla Boga możliwe zapewnienie duszy dziecka albo duszy pławiącego się w grzechu człowieka błogostanu w takim stopniu, w jakim dana ona będzie duszy człowieka dojrzałego, o wadze jednego z naszych Wielkich w dziedzinie sztuki i nauki, albo duszy człowieka stojącego na wysokim moralnie poziomie. Jednak zgodnie z wyżej powiedzianym istnieje możliwość, że człowiek może sobie sam poprzez własne działania odebrać widoki na przywrócenie do życia po śmierci, które to przywrócenie jest mu zgodnie z porządkiem świata zapewnione. Także i tu, jak w innych przypadkach, ludzka wolna wola nie jest anulowana przez Boską wszechmoc (por. rozdział XIX „Pamiętników”), z użycia wolnej woli przez danego człowieka mogą dla niego wyniknąć przeto skutki, których nie będzie mógł unieważnić także i Bóg.

**Suplementy, druga część
(październik i listopad 1902)**

Do spraw wcześniej już przedstawionych mogę dodać w charakterze uzupełnienia już tylko niewiele.

Rzeczy konieczne do zakomunikowania w odniesieniu do moich zewnętrznych warunków życiowych, zniesienie mojego ubezwłasnowolnienia i mającego niedługo nastąpić zwolnienia z zakładu zostały przedstawione już w słowie wstępnym. Przynosi mi satysfakcję fakt, że tym samym w już stosunkowo krótkim czasie potwierdzenie znalazły moje zamieszczone na początku XXII rozdziału „Pamiętników” prognozy.

Cuda i gadanina głosów nadal trwają. Nastąpił jeszcze dalszy postęp w procesie spowalniania głosów, po którym wypowiedzanych słów prawie w ogóle nie da się zrozumieć (por. rozdział XVI „Pamiętników” i IV suplement); to, co w IV suplemente powiedziano na temat ciągłości gadania głosów, obowiązuje w pełnej mierze także i teraz. Jeśli zaś chodzi o cuda, to przyjmują one coraz bardziej niewinny charakter. Tylko od czasu do czasu pojawiają się także jeszcze teraz podczas leżenia w łóżku dość mocne, zwłaszcza w dolnych członkach i na plecach, paraliże i skurcze, które mają mi przeszkodzić we wstawaniu albo w zmianie pozycji w łóżku, albo – w tym samym celu – ostre bóle kości, szczególnie w podudziach. Cierpię natomiast jeszcze często, po wielekroć każdego dnia, na związane z odsuwaniem się promieni, a w związku z tym pojawiające się nagle i wkrótce znów przechodzące szarpiące bóle głowy, które już opisałem w IV suplemente. Są niekiedy jeszcze na tyle mocne, by uniemożliwić mi dłuższe czytanie albo inne tego typu zajęcia. Powstaje przy tym, jak wcześniej – raczej nie tylko subiektywne – odczucie chwilowego zmniejszenia grubości pokrywy czaszki, drażenia jej substancji w bruzdy. Mój sen, uwzględniając mój wiek, można by nazwać w przybliżeniu normalnym; śpiam – przeważnie bez sztucznych środków nasennych – ogólnie rzecz biorąc zadowolająco.

Krzyki jeszcze wprawdzie nie zanikły całkowicie, jednak występują znacznie łagodniej, głównie dzięki temu, że nauczyłem się zapobiegać im coraz bardziej skutecznie, w czasie gdy przysparzałyby mi one poważniejszych nieprzyjemności, tj. wywołałyby u innych ludzi zgorzenie. Pomijając

wcześniej już wspomniane recytowanie wierszy, wystarczy dla Boga m.in., jak się zdaje, także proste *liczenie* w mowie nerwów, by przekonać go o błędności wyobrażenia, iż ma do czynienia z pozbawionym zdolności do myślenia, a więc głupim człowiekiem. Jak długo liczę bez przerwy, tak długo krzyki się nie pojawiają. Jest to dla mnie sprawa szczególnej wagi zwłaszcza nocą, kiedy to powstrzymując krzyki nieprzerwanym liczeniem, z reguły zapadam w sen. Skutek ten nie zawsze jednak można osiągnąć. Wcale nie tak łatwo jest człowiekowi liczyć godzinami. Jeśli więc nie udaje mi się zasnąć nawet dzięki trwającemu dłuższy czas liczeniu, kończę je, a wówczas zwykle natychmiast czyniony jest cud krzyków, które – po częstokroć powtarzane w łóżku – łatwo mogą stać się nieznośne. Dlatego też zdarza się – aczkolwiek znacznie rzadziej – także i teraz, że muszę opuścić łóżko, by poza nim oddać się jakiemuś zajęciu, dzięki któremu można rozpoznać myślącego człowieka. Tak samo dzięki nieustającemu liczeniu udaje mi się powstrzymać krzyki całkowicie albo prawie całkiem wówczas, kiedy znajduję się w miejscach publicznych, w teatrze, w kulturalnym otoczeniu itp., o ile nie prowadzę akurat głośnej rozmowy, w przerwach, jakie są w niej konieczne. Pojawiają się wówczas najwyższej dźwięki, które przez innych ludzi mogą zostać uznane za kaszel, odchrząknięcie albo w najgorszym razie nieco nieobyczajne ziewanie, i dlatego nie mogą stać się powodem do jakiegoś szczególnego zgorzienia. Podczas spacerów na otwartych wiejskich drogach, po otwartych polach itp. natomiast, kiedy akurat nie ma w pobliżu mnie innych ludzi, nie wysilam się, lecz pozwalam wydobywać się krzykom; powtarzają się one niekiedy przez 5–10 minut niemal bez przerwy. Fizycznie czuję się wtedy niezwykle dobrze; jeśli uznaję, że już dość, wypowiadam, także będąc sam, kilka głośnych słów, najlepiej od razu na temat Boga, wieczności itp., by przekonać Boga o błędności wspomnianego już wcześniej często wyobrażenia. Gdyby ktoś stał się niezauważeniem świadkiem wydawanych przeze mnie krzyków, nie mógłby sobie chyba nijak wytłumaczyć związku przyczynowo-skutkowego obserwowanego zdarzenia i pewnie naprawdę sądziłby, że ma przed sobą człowieka obłąkanego. Tyle tylko, że bardzo uważam właśnie na to, czy w pobliżu mnie znajdują się jacyś inni ludzie, a ponadto jestem wówczas całkowicie spokojny co do mojego losu, wiem bowiem, że w każdej chwili wystarczy jedno głośne słowo, bym mógł wykazać się pełną jasnością myślenia.

Jak już wspomniałem, cuda przyjmują, w odniesieniu do ich szkodliwego oddziaływania na moje ciało, coraz niewinniejszą postać; wielokroć jednak czynione są swego rodzaju psoty z moimi przedmiotami codziennego użytku. Mój stan fizyczny jest wprawdzie także i teraz na pewno nie zawsze do pozazdroszczenia; szarpiące bóle głowy, powodowane każdym oddaleniem się promieni, wewnętrzny niepokój wywołany nieustanną gadaniną głosów,

do tego nierzadko przyspieszenie oddechu, drzenie na skutek cudu, przyspieszone bicie serca itp., utrudniają zwłaszcza spokojne zajęcia niekiedy ponad miarę. Niemniej jednak wszystko, co w tym względzie jeszcze muszę znieść, nie jest warte słów w porównaniu ze zniszczeniami mojego ciała, jakie musiałem cierpieć podczas pierwszych lat mojej choroby (por. w tym temacie opisy w rozdziale XI „Pamiętników”).

Taki rozwój wypadków wywołuje jednak we mnie poniekąd sprzeczne uczucia. Podczas gdy z jednej strony mogę sobie tylko życzyć, by moje samopoczucie było niewspółmiernie lepsze niż w latach wcześniejszych, to z drugiej strony muszę powiedzieć, że możliwość przekonania innych ludzi o prawdziwości cudów wydaje się tym słabsza, im mniej cudów pozostawia zewnętrznie dostrzegalne ślady. Ta druga strona powyżej przedstawionej refleksji posiada dla mnie niemal równie wielkie znaczenie, jak pierwsza, gdyż byłbym w stanie dostrzec sens mojego życia prawie tylko wówczas, gdyby udało mi się przedstawić prawdziwość moich tak zwanych urojeń w sposób dla innych ludzi przekonujący i tym samym zapewnić ludzkości lepsze zrozumienie istoty Boga.

Jestem zdania, że podczas pierwszych lat mojej choroby nie byłoby trudne wykazanie podczas nie całkiem powierzchownych badań mojego ciała przy użyciu zwykłych medycznych instrumentów (przede wszystkim niewynalezionej chyba wówczas jeszcze aparatu rentgenowskiego) najbardziej widocznych zmian na moim ciele, zwłaszcza w innych przypadkach mających na pewno śmiertelne skutki obrażeń moich wewnętrznych organów. Teraz będzie to znacznie trudniejsze. Gdyby można było uchwycić fotografią rzeczy dziejące się w mojej głowie, następującego to niezwykle powoli, to – przy nadmiernym oddaleniu – z niezwykłą prędkością *rytmicznego napływania promieni z horyzontu*, to u każdego obserwatora musiałyby zniknąć wszelkie wątpliwości odnośnie mojego kontaktu z Bogiem. Tyle tylko jednak, że ludzka technika nie dysponuje niestety jeszcze odpowiednimi środkami, by stworzyć dostęp do tego rodzaju obiektywnych doznań. Nie ma dla mnie najmniejszych wątpliwości, że nie chodzi tu tylko i jedynie o patologiczne procesy – wewnętrzne nadmierne pobudzenie apercypcyjnych aparatów mózgowych, jak wyraża się tajny radca dr Weber w swojej opinii z 5 kwietnia 1902; zwłaszcza w przypadku boskich wołań o pomoc (por. rozdział II i rozdział XV „Pamiętników” oraz IV suplement, pod koniec), które słyszę setki razy dziennie w krótkich odstępach czasu z pełną wyrazistością, nie może z całą pewnością zachodzić złudzenie zmysłowe. Moja subiektywna pewność co do szczególnego charakteru stosunku, w jakim znajduję się wobec Boga, nie zasadza się przecież tylko na czystych halucynacjach wzrokowych i słuchowych, ale także na zdarzeniach, jakie dzieją się w moim

otoczeniu, z przedmiotami nieożywionymi, z innymi ludźmi i zwierzętami. Wśród przejawów życia innych ludzi mogę dokładnie rozróżnić te, które wynikają z cudów, od takich, w przypadku których nie cud jest ich przyczyną. Naturalnie teraz, kiedy w pewnych okresach mam dość obszerny kontakt z licznymi ludźmi, przeważają te ostatnie; jednak także i te pierwsze – wynikające z cudu – liczą się każdego poszczególnego dnia setkami. Rozpoznaję je w całkowicie w niebudzący wątpliwości sposób:

1) przez szarpnięcia, niekiedy powiązane z dotkliwym bólem odczucie, które powstaje w mojej głowie;

2) przez kierunek spojrzenia (por. rozdział XVIII „Pamiętników”, przypis 100.), kiedy to regularnie moje oczy są skierowywane w to miejsce, z którego wychodzi dana manifestacja życia;

3) przez regularnie związane z tym pytanie egzaminacyjne „przyjęto” (por. rozdział XVIII „Pamiętników”), stawianie którego ma na celu upewnienie się, czy w danej chwili użyte wyrażenia (zwłaszcza odpowiadające wyższemu poziomowi wykształcenia, należące do języków obcych itp.) znajdują jeszcze u mnie zrozumienie.

Fakt więc, że Bóg objawia mi się wielokrotnie codziennie na nowo poprzez głosy i cuda, pozostaje dla mnie niezbitą prawdą.¹²⁰

Choć po zamieszczonych w poprzedzającej części uwagach nie mogę zataić przed sobą, że szanse na udowodnienie cudów, o których twierdzą, że mają miejsce, i na potwierdzenie mojego stosunku z Bogiem z całą pewnością nie zwiększyły się z biegiem lat, to jednak mam nadzieję, że także i w przyszłości pozostanie dość, by naukowemu badaniu dać określone wskazówki. Ogólnie

¹²⁰ Słowo „objawiać się” należy tu (czego chyba nie trzeba by podkreślać) rozumieć w nieco innym niż tradycyjny sensie. Zawsze, gdy mówi się o boskich objawieniach, które zgodnie z religijnymi przekazami miały miejsce, przywołuje się na myśl dobrowolne posłania, jakie były dane od Boga pojedynczym ludziom, którzy jako jego szczególne narzędzia mieli mu posłużyć w celu pouczenia ich o boskich sprawach i rozpowszechnienia nabytej w ten sposób wiedzy wśród innych ludzi. W moim przypadku o tym nie może być mowy. Bóg objawia mi się niezamierzenie, lecz wiedza o jego istocie i jego siłach otwiera się przede mną niezależnie od jego woli i bez żadnego szczególnego w ten sposób zamierzonego celu przez cuda, które czyni on na mojej osobie, i przez głosy, którymi ze mną rozmawia. W pierwszych latach mojego powiązania z Bogiem zdarzały się wprawdzie jeszcze informacje (przekazywane częściowo słowami, częściowo za pośrednictwem wizji), których celem było w oczywisty sposób pouczenie, w przypadku których jednak chodziło także również w głównej mierze tylko o udzielenie mi wytycznych dla mojego własnego zachowania (por. rozdział XIII „Pamiętników”). Od lat tego rodzaju pouczające informacje ustały jednak prawie całkowicie; jeszcze tylko sporadycznie dochodzi w snach do zdarzeń o charakterze wizji, które robią na mnie niekiedy wrażenie zamierzonego pouczenia. W tej chwili jednak nie poważę się na rozstrzygnięcie, czy jest tak rzeczywiście, czy też chodzi tu tylko o grę moich własnych nerwów.

zwracam uwagę na pismo, jakie przedłożyłem Królewskiemu Sądowi Krajowemu II Instancji w procesie o moje ubezwłasnowolnienie jako uzasadnienie złożonego przeze mnie odwołania od wyroku Sądu Krajowego I Instancji, i które oddaję do druku we fragmentach jako załącznik III. Abstrahując od tego, co jeszcze może przynieść przyszłość, podkreślam jako zjawiska charakterystyczne, które trudno by było wyjaśnić na naturalnej drodze:

1) Krzyki, które raczej nie mają nic wspólnego z wybuchami wrzasków chorych na katatonię. W przypadku paranoików – a do niech jestem zaliczany – są one, jak się zdaje, bardzo niezwykłym objawem; opinia radcy tajnego dr. Webera z 5 kwietnia 1902 podaje informację o tylko jednym jedynym przypadku, w którym podobno zaobserwowano podobne symptomy u paranoika.

2) Wywołane cudem zamykanie moich oczu i mające miejsce zawsze na jedną krótką chwilę (spojrzenie) ponowne ich otwarcie, w odniesieniu do którego nietrudno byłoby skonstatować, że nie ma na to wpływu ani moja wola, ani nie jest to spowodowane słabością moich mięśni.

3) Całkowicie nienaturalne przyspieszenie oddechu, które pojawia się w określonych czasach nawet podczas najspokojniejszego zachowania, podczas leżenia w łóżku albo na sofie itp. pozornie bez żadnego uzasadnienia, w sposób najbardziej rzucający się w oczy.

4) Istnienie nerwów rozkoszy we wszystkich częściach mojego ciała, przy którym – mimo częściowo negujących ten fakt wypowiedzi w opinii tajnego radcy dr. Webera z 5 kwietnia 1902 – muszę obstawać jako przy fakcie, jako że wynikające stąd – zwłaszcza przy lekkim nacisku – subiektywne odczucia należą do najmniej wątpliwych doświadczeń, jakie czynię wielokrotnie codziennie, i jako że chwilowe pęcznienie piersi z pewnością nie umknie uwadze podczas wnikliwego badania. W regularnych odstępach czasu, tj. podczas każdego ponownego przybliżenia się promieni, które prowadzi do ich zjednoczenia, rozkosz napływa do mnie tak potężnie, że moje usta wypełnione są całkowicie słodkim posmakiem; podczas leżenia w łóżku obrona przed uczuciem rozkoszy wymagałaby często zupełnie szczególnego wysiłku, jak to może mieć miejsce w przypadku żeńskiej istoty, która oczekuje na wzięcie w ramiona.

Co do zdarzeń z udziałem przedmiotów martwych, chcę ponownie wspomnieć tylko o dwóch: pękaniu strun w moim fortepianie i o tym, co można zaobserwować w przypadku mojego muzycznego instrumentu (symfonion).

Struny mojego fortepianu nie pękają wprawdzie już tak często, jak wcześniej, jednakże zdarzyło się to w ostatnich latach co najmniej sześć razy. Wydaje mi się całkiem pewne, że powodem tego nie jest „bezwzględne traktowanie mojego instrumentu”, co zakłada tajny radca dr Weber w swej opinii z 5 kwietnia 1902. Proszę porównać moje wcześniejsze wywody w rozdziale XII „Pamiętników” i nr I mojego odwołania od wyroku (Załącznik III). Sadzę, że

każdy rzeczoznawca będzie musiał potwierdzić to, co napisałem tam na temat niemożliwości, by doprowadzić do pękania *strun* poprzez gwałtowne uderzenie w *klawisze*.

Wyżej wymieniony symfonion nabyłem, tak jak wcześniej proste pozytywki, harmonijki ustne i tym podobne, by w szczególnych przypadkach zagłuszać trudną do zniesienia gadaninę głosów i w ten sposób zapewnić sobie przynajmniej chwilowy spokój. Przy każdym jego użyciu symfonion staje się przedmiotem cudów, kiedy to wywoływane są na nim tak zwane zakłócenia (por. rozdział X „Pamiętników”), co daje się zauważyć poprzez osobliwie współbrzmiące dźwięki, świszczące odgłosy i kilkakrotne mocne stuknięcia.

Wiele razy zamierzałem zaprosić zakładowych lekarzy i duchownych zakładu jako świadków tych zdarzeń. Że nie może tu chodzić tylko o specyfikę mojego instrumentu muzycznego, wynika w sposób oczywisty stąd, iż zupełnie te same zjawiska występują także w instrumentach muzycznych w restauracjach, kiedy są one nakręcane w mojej obecności przez osoby trzecie albo wprawiane ruch przeze mnie samego przez wrzucenie monety. Niestety podczas moich spacerów jestem prawie zawsze sam, a nie w towarzystwie naukowo przygotowanego obserwatora; takiego mógłbym być często przekonać o słuszności podanej przeze mnie informacji. Nawiasem mówiąc, nie chcę ośmielić się na poczynienie jakichś prognoz, czy te cuda czynione z muzyką można będzie jeszcze obserwować za jakiś czas, gdyż obiekty cudów zmieniają się prawie zawsze. Tym niemniej mam nadzieję, że także i w przyszłości będzie istniała sposobność do tego, by stwierdzić omówione wyżej rzucające się w oczy wydarzenia. Z używanej przeze mnie wcześniej (prostej) pozytywki, by jeszcze o tym wspomnieć, nie mam za sprawą cudu dawno już pożytku; jeszcze teraz można zobaczyć, że jest zepsuta.

Stosownie do tego wszystkiego nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zaferować moją osobę jako obiekt naukowych obserwacji i oceny przez fachowców. Zaproszenie do takowych jest głównym celem, jaki chciałbym osiągnąć przez publikację mojej pracy. W ostatecznym razie muszę mieć nadzieję, że kiedyś można będzie podczas sekcji zwłok skonstatować wiarygodne dowody na specyfikę mojego systemu nerwowego, o ile ich stwierdzenie na żywym ciele podlega, jak mi powiedziano, niezwykłym trudnościom albo jest całkowicie niemożliwe.

Na koniec jeszcze kilka uwag na temat egoizmu Boga, o którym jest mowa w różnych miejscach „Pamiętników” (por. rozdział V, pod koniec, i rozdział X, przypis 66.). Jest dla mnie całkowicie niewątpliwe, że Bóg jest w ramach istniejącego ze mną stosunku opanowany egoizmem. Wydawać by się mogło, że fakt ten może pomieszać uczucia religijne, jako że zgodnie

z powyżej powiedzianym sam Bóg nie jest idealną istotą absolutnej miłości i moralności, jaką sobie zwykle wyobraża większość religii. Mimo to Bóg, pojmowany pod odpowiednim kątem widzenia, nie traci w ten sposób nic ze swej wielkości i doniosłości, które posiada i które w związku z tym muszą być pobożnie przez ludzi uznane.

Egoizm, w szczególności w postaci instynktu samozachowawczego, który niekiedy zmusza do złożenia obcych istot w ofierze własnej egzystencji, jest *konieczną cechą wszystkich istot ożywionych*; jeśli dana istota nie ma sama zginąć, musi ona tak rozumiany egoizm posiadać, w związku z czym nie jawi się on sam w sobie jako coś nagannego. Bóg jest istotą żywą i dlatego też musiałby się chyba kierować egoistycznymi motywami, jeśli pojawiłaby się jakaś inna żywa istota, przez którą powstałyby dla niego jakieś niebezpieczeństwa, albo która mogłaby w jakiś inny sposób zagrozić jego interesom. *Tylko stąd, że w zgodnych z porządkiem świata warunkach nie mogły istnieć i nie istniały takie istoty obok Boga*, wynika fakt, że jak długo warunki te panowały w swej niezmaconej czystości, nie mogło być mowy o egoizmie Boga. W odniesieniu do mnie jednak stosunek ten przybrał inny kształt; przez przywiązanie się na skutek tolerowania sprawdzonych dusz, co prawdopodobnie ma związek z jakimiś zdarzeniami o charakterze mordy na duszy, do jednego jedyne go człowieka, któremu musi się on dać przyciągać, robi to jednak tylko wbrew swojej woli i z wielką odrazą, powstały dla Boga okoliczności, będące warunkiem wstępnym do pojawienia się sterowanych egoizmem działań. Takie egoistyczne działania były podejmowane wobec mnie przez lata z największym okrucieństwem i z największą bezwzględnością, tak jak tylko jakieś drapieżne zwierzę zwykło postępować ze swym łupem. Trwały skutek nie nastąpił jednak, jako że Bóg przeciwstawił się w ten sposób porządkowi świata, tj. swej własnej istocie i swym własnym siłom (por. rozdział V „Pamiętników”, przypis 35.). Zgodnie z wyżej powiedzianym stosunek ten, sprzeczny z regułami, zakończy się, jak zdaje mi się mogę z całą pewnością zakładać, najpóźniej wraz z moją śmiercią. Na razie myśl taka ma dla mnie w sobie coś niezwykle pocieszającego i budującego, że wroga pozycja, na której ustawił się Bóg względem mnie, coraz bardziej łagodnieje i prowadzona przeciwko mnie walka przybiera coraz bardziej pojednawczy charakter, by być może wygasnąć w końcu w całkowitej solidarności. Jest to, jak już mówiłem wcześniej (por. rozdział XIII „Pamiętników”), naturalna konsekwencja stałego wzrostu rozkoszy duszy mojego ciała. Łagodzi ona niechęć do przyciągania; w moim ciele znaleźć można bowiem po krótkiej przerwie ponownie to właśnie, co na skutek przyciągania zostało utracone: błogostan albo rozkosz duszy, innymi słowami – doskonałą przyjemność skazanych na zagładę nerwów. Skracają się przez to okresy pomiędzy po-

nowym przybliżaniem się i tym samym, jak mi się zdaje, Bóg może w coraz to krótszych odstępach czasu poznać, że na nic się nie zdadzą „poniechanie”, „zniszczenie rozumu” itp., i że w związku z tym rzecz polega już tylko na tym, by w sytuacji przymusu, jaka powstała przez przyciąganie, uprzyjemnić sobie wzajemnie życie, tak jak to tylko możliwe. Ja sam przecież nie byłem nigdy, także wówczas, gdy z wcześniej podanych przyczyn od czasu do czasu musiałem odgrywać w głośnych słowach rolę prześmiewcy Boga, wrogo doń nastawiony; byłoby niedorzecznością, gdyby człowiek, który miał okazję poznać Boga, chciał twierdzić o sobie coś takiego.

W związku z tym cała ta sprawa wydaje się stanowić wspaniałą triumf porządku świata, który wolno mi chyba przypisać w skromnej części także mnie samemu. Bo gdzie jak gdzie, ale właśnie także w porządku świata obowiązuje piękna zasada, że wszystkie słuszne interesy współlistnieją w harmonii.

Aneks

W jakich warunkach osobę uznaną za psychicznie chorą można trzymać w zakładzie leczniczym wbrew jej zadeklarowanej woli¹²¹

Odpowiedź na powyższe pytanie następuje z znacznymi trudnościami, jako że istnieje tylko niewiele, albo nie ma na ten temat żadnych wyraźnych prawnych ustaleń, w związku z czym to, co można by nazwać obowiązującym prawem, trzeba przede wszystkim wywodzić od ogólnych zasad.

By sprawę przedstawić jaśniej, posłużę się praktycznym przykładem. Pacjent z sąsiedniego pokoju, asesor rządowy N., nieustannie skarży się na sprzeczne z prawem pozbawienie go wolności, domaga się prokuratora i burmistrza i wydaje mu się, że może od nich oczekiwać interwencji przeciwko pozbawiającej go wolności administracji zakładu.

Obiektywnie patrząc, ma naturalnie miejsce uwięzienie w myśl § 239 Kodeksu Prawa Karnego. O czynie karalnym możemy mówić jednak jedynie wówczas, gdy uwięzienie jest niezgodne z prawem; dlatego też wyłączyć trzeba stąd, jak mówi Oppenhof w swoim komentarzu (jedyna rzecz z literatury poruszającej dziedzinę prawa karnego, którą dysponuję), pozbawienie wolności, które jest rezultatem skorzystania z praw wychowawczych, dyscyplinarnych, praw wynikających z regulaminów wewnętrznych i stosunków służbowych albo skutkiem spełniania jakiegoś obowiązku, np. obowiązku zawodowego z tytułu sprawowanego urzędu i nadzoru. Prokurator albo sędzia śledczy, który osobę karaną albo oskarżoną kieruje zgodnie z obowiązującymi przepisami do aresztu tymczasowego albo aresztu śledczego, tak samo administracja zakładu karnego, która wykonuje sądownie narzuconą

¹²¹ Artykuł ten został napisany na początku 1900 r., a więc w czasie mojej całkowitej izolacji przed światem zewnętrznym, w związku z tym prawie bez żadnej możliwości korzystania z pisemnych źródeł.

karę pozbawienia wolności, nie działają naturalnie niezgodnie z prawem. To samo dotyczy administracji publicznego zakładu leczniczego dla umysłowo chorych, o ile wydaje ona leżącą w ramach swych kompetencji dyspozycję zatrzymania dowiezionej osoby w zakładzie albo zarządza jeszcze dalsze ograniczenia wolności. Przed omówieniem zakresu i granic tej kompetencji trzeba najpierw przyrzeć się bliżej kwestii, jak kształtują się stosunki w prywatnych zakładach leczniczych dla umysłowo chorych.

Przyjęcie do prywatnego zakładu leczniczego i pobyt w nim wynika, o ile nie chodzi o osobę ubezwłasnowolnioną, z – jednoznacznie wyrażonej albo przyzwalającej – woli pacjenta; życzenie członków rodziny również może w pewnych okolicznościach mieć znaczenie, bo chroni administrację zakładu przed zarzutem samowoli; pod względem prawnym nie ma ona jednak sama w sobie żadnego znaczenia. Można wprawdzie wysunąć przeciwko temu twierdzenie, że osoba decydująca się na przyjęcie do prywatnego zakładu leczniczego poddaje się tym samym z góry tym ograniczeniom wolności, które wynikną z regulaminu wewnętrznego albo w innych przypadkach z opinii kierującego się poczuciem obowiązku przekonania prowadzącego lekarza jako działania konieczne dla fizycznego i umysłowego dobra pacjenta. Osoba przyjęta do zakładu będzie się więc musiała godzić na ograniczenie do pewnego stopnia ewentualnych spacerów, nakazanie pobytu wewnątrz określonych pomieszczeń w zakładzie itp., nie mogąc skarżyć się na sprzeczne z prawem pozbawienie wolności, jeśli w przypadku jej innej woli działania te zostaną wprowadzone siłą. Tak samo nie będzie możliwe żądanie przez osobę przyjętą do zakładu, by ją z niego wypuścić, jak tylko taki pomysł przyjdzie jej do głowy; takie życzenia kierownikowi wolno będzie raczej ignorować, jeśli i o ile będzie on zdania, że kierując się poczuciem obowiązku, rozpoznaje w takich życzeniach tylko mające związek z chorym stanem umysłowym pacjenta *wahania jego woli*, i że zrodzone w ten sposób życzenia nie są ostateczne. Inaczej natomiast przedstawia się sprawa, jeśli osoba przyjęta do zakładu, niebędąca osobą ubezwłasnowolnioną, przedstawia swoją wolę uporczywie i w sposób świadczący o dojrzałym namyśle, np. unaoczniając jako cel przeniesienie jej do innego zakładu leczniczego albo oddanie się pod opiekę rodziny. Czysto subiektywne zdanie lekarza prowadzącego, że pacjent, znajdując się w jego rękach, ma lepszą opiekę niż gdziekolwiek indziej, nie uprawnia go do nakładania pacjentowi jakichkolwiek ograniczeń w odniesieniu do wyboru miejsca pobytu na przyszłość. Wyjątek może pojawić się jedynie wówczas, kiedy stan umysłowy pacjenta przybrał taki charakter, na skutek którego jego wolność może stać się niebezpieczna dla niego samego albo dla innych, w szczególności wówczas, kiedy istnieją podejrzenia samobójczych

zamiarów. W takim przypadku lekarz prowadzący ma prawo podjąć w porozumieniu z członkami rodziny pacjenta przygotowania do przeniesienia go do publicznego zakładu leczniczego, a samego pacjenta poddać obserwacji także wbrew jego woli do czasu i podczas przeniesienia, nie narażając się na zarzut sprzecznego z prawem pozbawienia wolności. Wykonuje on wówczas, w pewnym stopniu jako osoba zarządzająca urzędem publicznym, policyjną funkcję i jest tym samym – podobnie jak w przypadku § 127 Regulaminu Postępowania Karnego – tą osobą, która przyłapuje i zatrzymuje sprawcę na gorącym uczynku, co zwalnia go z wszelkiej odpowiedzialności z tytułu prawa karnego.¹²²

Ostateczne przetrzymywanie osób chorych umysłowo, które mogą stanowić zagrożenie dla siebie samych albo dla innych, jest *obowiązkiem publicznych zakładów leczniczych*. Co do tworzenia takowych podjęto ustalenia w formie obowiązujących dla Królestwa Saksonii przepisów wykonawczych, których fragmenty opublikowano w zarządzeniu z 31 lipca 1893 r. (Dziennik Ustaw str. 157nn), a które regulują zamieszczanie umysłowo chorych w krajowych zakładach leczniczych i zakładach opieki.¹²³ W tychże przepisach wykonawczych nie można jednak znaleźć właściwych *sedes materiae* odnośnie do kwestii, jakie przesłanki muszą zaistnieć, by doprowadzić daną osobę do publicznego zakładu leczniczego i ją tam przetrzymywać wbrew jej jasno wyrażonej woli. Sędzia decydujący w sprawie karnej nie mógłby więc, w razie potrzeby, posiłkować się bezpośrednio – aczkolwiek poszczególne ustalenia mogą być brane pod uwagę jako pomoc – tymi przepisami, podejmując decyzję w sprawie, czy ma miejsce sprzeczne z prawem pozbawienie wolności. Przepisy te bowiem podejmują ustalenia co do zakładania i prowadzenia zakładu jako przedsięwzięcia, regulują warunki oddawania osób do zakładu, pojmują jednak pobyt w zakładzie w pierwszym rzędzie jako dobrodziejstwo świadczone przyjmowanej osobie (por. § I pod 4)¹²⁴, strzegą w szczególności

¹²² W wywodach przedstawionych w powyższym tekście kryje się także – choć nie tylko – powód, dla którego prowadzenie przedsięwzięcia „prywatnych domów wariatów” uzależnione jest na mocy § 30 Ustawy o prowadzeniu działalności od uzyskania koncesji, jaką wystawiają wyższe władze administracyjne. Przy faktycznej władzy, jaką trzeba przyznać kierownikom tego rodzaju zakładów nad przyjmowanymi tam osobami, państwo uważa za wskazane zezwalać na ich tworzenie tylko takim osobom, co do których można mieć zaufanie bez zastrzeżeń. Wydanie koncesji nie ma natomiast w żadnym wypadku znaczenia takiego, że nadaje się kierownikom prywatnych zakładów dla umysłowo chorych właściwość stałych organów policji bezpieczeństwa – innymi słowy, że są oni na zawsze wyposażeni w zwierzchnie upoważnienia.

¹²³ W międzyczasie zastąpione przepisami wykonawczymi z 1 marca 1902 (Dziennik Ustaw, str. 39nn).

¹²⁴ W przepisach wykonawczych z 1 marca 1902, § 2.

fiskalnych interesów przy bezpiecznym ściąganiu kosztów utrzymania i dlatego też muszą być uznawane tylko jako zestawienie miarodajnych dla pracowników zakładu przepisów służbowych, które nie posiadają bezpośredniej mocy prawnej. W celu rozstrzygnięcia postawionego na wstępie pytania trzeba raczej powrócić do ogólnych zasad.

Pod takim kątem widzenia umieszczanie osób chorych umysłowo i opieka nad nimi w tworzonych w tym celu zakładach przedstawia się jako rezultat postrzeganej przez państwo jako jego zadania ogólnej troski o dobro publiczne i bezpieczeństwo jego poddanych. Tak samo, jak zapewnia ono – albo w drodze państwowej delegacji gmina – przez szkoły i wyższe uczelnie sposobność zdobycia odpowiedniego umysłowego poziomu, w zakładach wychowawczych dla głuchoniemych i niewidomych troszczy się o to, by osoby szczególnie potrzebujące pomocy uzyskały odpowiednie wykształcenie, utrzymuje szpitale i hospicja w celu zapewnienia opieki w przypadku choroby oraz przytułki dla biednych, przyjmujące osoby potrzebujące wsparcia itp., tak samo w ostatnich czasach¹²⁵ tworzy także publiczne zakłady, których zadanie polega na medycznym leczeniu osób chorych umysłowo, na ich nadzorze i zapewnianiu im opieki. Korzystanie z wszystkich tego rodzaju urządzeń dobroczynnych nie jest jednak z reguły narzucane; zainteresowanym albo ich prawnym przedstawicielom pozostawia się raczej – o ile szczególnie ustawy nie dysponują inaczej, np. w odniesieniu do szkół obowiązku szkolnego – swobodę decyzji, czy chcą z nich skorzystać, czy też nie. To samo dotyczyłoby również publicznych zakładów leczniczych, gdyby w ich przypadku nie łączył się ze stanowiskiem wspierania dobra publicznego równocześnie cel policyjny.

Dlatego też należy dokonać rozróżnienia pomiędzy takimi psychicznie chorymi, w przypadku których zatrzymanie leży w publicznym interesie, a takimi, co do których nie ma takich zastrzeżeń. Do tej pierwszej grupy należą wszyscy ci chorzy psychicznie, którzy na skutek swej choroby mogą stanowić zagrożenie dla siebie samych albo dla innych, a więc zwłaszcza przypadki szału i depresji, o ile te ostatnie pozwalają podejrzewać istnienie samobójczych myśli. Do tej grupy należałoby zaliczyć także ogólnie rzecz biorąc te nieuleczalne przypadki zachorowań, które w Saksonii zostały na

¹²⁵ We wcześniejszych stuleciach chorzy umysłowo byli, o ile mi wiadomo, umieszczani po prostu jako osoby „opętane” w więzieniach albo innych zakładach, przy czym właściwe leczenie chyba prawie w ogóle nie miało miejsca. Muszę pozostawić nierozstrzygniętą kwestię, czy mam rację, czy też się w tym przypadku mylę, ponieważ w moim obecnym miejscu pobytu nie mam dostępu do źródeł pisanych. Osoba znająca zagadnienie w każdym razie łatwo stwierdzi ewentualną pomyłkę. Zresztą według Kräpelina („Psychiatria”, IV wydanie, 1893 str. 230nn; [dodatek z lutego 1901]) podana w tekście informacja zdaje się być w istocie rzeczy trafna.

mocy rozporządzenia z 30 lipca 1893 pod 2¹²⁶ skierowane do krajowego zakładu opieki w Colditz, gdzie chorzy „są głęboko zidiociali i budzą odrazę już samym swym widokiem”. Do drugiej grupy należą wszystkie inne przypadki chorób psychicznych z gatunku tych ciężkich i lżejszych, gdzie mają miejsce w szczególności może tylko sporadyczne urojenia, a o których nie można powiedzieć, że pozostawienie chorego na wolności rodziłoby jakieś niebezpieczeństwa dla niego samego albo dla innych. Choroby psychiczne z rodzaju tych ostatnich chciałbym – wszystko jedno, jak można by było wchodząc tu w grę choroby porubrykować z punktu widzenia psychiatrii – na potrzeby branej tu pod uwagę administracyjno-prawnej kwestii nazwać przypadkami niegroźnych chorób umysłowych.¹²⁷

Państwo ma z punktu widzenia należących do niego zadań, do których zalicza się sprawowanie funkcji policji bezpieczeństwa, zarówno prawo, jak i obowiązek przetrzymywania osób chorych umysłowo, należących do wymienionej jako pierwsza kategorii – *niebezpiecznych psychicznie chorych*, jak będą ze względu na zwięzłość nazywani w dalszej części – w organizowanych w tym celu zakładach także wbrew ich woli.

Powód prawny dla mającego w poszczególnych przypadkach miejsce pozbawienia wolności nie jest w związku z tym inny niż ten, dla którego przykładowo władze policyjne zatrzymują w areszcie osobę znajdującą się na ulicy w stanie nietrzeźwym i przetrzymują ją aż do wytrzeźwienia. Dla pytania o przyczynę prawną nieistotne jest, że w przypadku nietrzeźwości chodzi o stan z natury krótkotrwały, w przypadku zakłóceń równowagi umysłowej natomiast w grę wchodzi z reguły dłużej trwające stany. W związku z tym także i dla dalszej prawnej oceny można zastosować te same rozważania. O dopuszczalności pozbawienia wolności decyduje oczywiście nie zdanie osoby wolności tej pozbawianej, lecz sumienna ocena powołanych do tego władz lub jej organów. Codziennym zjawiskiem jest, że osoba pijana zapewnia aresztującego ją policjanta o swojej całkowitej trzeźwości, mimo to jed-

¹²⁶ W przepisach wykonawczych z 1 marca 1902, § 2, roz. 2 w połączeniu z załącznikiem I pod B (Dziennik Ustaw str. 38 albo str. 64).

¹²⁷ Do niegroźnych chorych umysłowo w wyżej ustalonym sensie autor niniejszej pracy zalicza sam siebie, a twierdzi się o nim, że jest owładnięty religijnymi urojeniami, podczas gdy według jego zapatrywania zawierają one obiektywną, tylko dla innych ludzi nierozpoznawalną prawdę. Sądzi on, że niniejszą pracą udowodnił jednocześnie, że faktycznie istnieją przypadki, kiedy to jasność logicznego, w szczególności jurystycznego myślenia nie jest zmacona rzekomymi urojeniami, i w których to przypadkach nie może być więc mowy o chorobowym zakłóceniu pracy umysłu, wykluczającym swobodne stanowienie woli w kierunku rozsądnego działania w myśl § 104² Niemieckiego Kodeksu Prawa Cywilnego, ani o niezdolności do kierowania własnymi sprawami w myśl § 6 tegoż kodeksu.

nak policjant ma prawo do zatrzymania, jeśli jest – wykonując swe obowiązki – przekonany, że jest inaczej. Tak samo osoby chore psychicznie zwykle twierdzą, że w ich przypadku nie zachodzą żadne zakłócenia psychicznego stanu, że „pozbawia się je wolności wbrew prawu”, że nie ma powodu, by w razie ich zwolnienia obawiać się jakiegoś zagrożenia dla nich samych albo dla innych. Kierownik publicznego zakładu leczniczego działa całkowicie w zgodzie z prawem, gdy osoby te każe nadal przetrzymywać w zakładzie i ewentualnie narzuca im jeszcze dalsze ograniczenia wolności, o ile – opierając się na własnym naukowym doświadczeniu – sądzi, iż ze względu na naturę danej formy choroby ma prawo przypuszczać, iż zagrożenie takowe (mimo twierdzących co innego zapewnień chorego) jednak istnieje. Legalność pozbawienia wolności jest także i w odniesieniu do czasu jego trwania zależna od ciągłości obowiązywania powodu prawnego. Osobę pijaną władze policyjne muszą zwolnić, jak tylko minie stan upojenia alkoholowego, chyba że istnieje jeszcze inny powód przetrzymywania. W taki sam sposób nie można odrzucić żądania zwolnienia osoby przyjętej do publicznego zakładu leczniczego lub jej prawnego przedstawiciela, jeśli choroba została wyleczona albo utraciła ten szczególny charakter, na skutek którego wolność chorego musiała wydawać się niebezpieczna dla niego albo dla innych.

O ile chodzi o tę drugą kategorię – niegroźnie psychicznie chorych w wyżej omówionym sensie – to interes publiczny od samego początku nie nakazuje ich zatrzymania. Jeśli więc zostali oni przyjęci do publicznego zakładu leczniczego, administracja zakładu znajduje się względem nich w gruncie rzeczy w tym samym prawnym stosunku, jaki został przedstawiony wyżej w odniesieniu do kierowników prywatnych zakładów leczniczych. Jeśli zaś istnieje kuratela, własne oświadczenie woli chorego psychicznie, a w szczególności jego żądanie zwolnienia z zakładu, nie wchodzi pod względem prawnym w rachubę. Troska o osobę podopiecznego jest bowiem – także w przypadku kurateli nad osobami pełnoletnimi, o ile wymaga tego cel kurateli – obowiązkiem kuratora lub ewentualnie sądu opiekuńczego (§ 1901 w powiązaniu z §§ 1897 i 1858 Niemieckiego Kodeksu Prawa Cywilnego). Można by jednak uznać za w istocie ciągle jeszcze – mimo zmiany ustawodawstwa według odnośnych przepisów Niemieckiego Kodeksu Prawa Cywilnego – za oddające materię niemieckiego prawa formalnie już niemające mocy prawnej ustalenie punktu II, § 5, ustawy z 20 lutego 1882 („opiekunowie sprawujący kuratelę nad osobami ubezwłasnowolnionymi ze względu na chorobę umysłową i nad osobami wymienionymi w §§ 2–4 muszą troszczyć się o to, by osoby oddane im pod opiekę nie wyrządzały szkód ani sobie, ani innym, i w razie konieczności umieścić je w zakładzie leczniczym albo domu opieki”).

Jeśli więc opiekun i sąd opiekuńczy uznali za konieczne umieszczenie osoby chorej psychicznie w publicznym zakładzie leczniczym, żądanie odwrotne samej osoby chorej psychicznie nie będzie wysłuchane. Jeśli natomiast kuratela nie została ustanowiona albo została później zniesiona, administracja zakładu musi *w przypadku osoby chorej na niegroźną chorobę psychiczną*, stale wyrażającej swoją wolę zwolnienia z zakładu, wychodzić z założenia, że ma do czynienia z osobą zdolną do czynności prawnych i wolę tę respektować, tak jak zostało to przedstawione w odniesieniu do kierowników prywatnych zakładów leczniczych. Nie może ona w szczególności, opierając się na rzekomo uzyskanej z medycznego punktu widzenia lepszej wiedzy o tym, co jest dla osoby przyjętej do zakładu naprawdę lepsze, pominąć prawa tej ostatniej do swobodnego decydowania o miejscu pobytu, zwłaszcza o przeniesieniu do innego zakładu leczniczego albo o całkowitej rezygnacji z leczenia. Gdyby przeciwko temu powstało uchybienie, pozbawienie wolności nabrałoby w samej rzeczy charakteru sprzecznego z prawem pozbawienia wolności. W stosunku do niegroźnie psychicznie chorych kierownik publicznego zakładu leczniczego nie jest bowiem wyposażony w zwierzchnie prawa organem policji bezpieczeństwa, ale przede wszystkim medycznym doradcą, i dlatego też w kwestii pozbawienia wolności nie istnieje między innymi stosunek nimi niż pomiędzy każdym dowolnym lekarzem prywatnym i jego pacjentem.

Jeśli porównuje się rezultaty osiągnięte w powyższych rozważaniach z ustaleniami przepisów wykonawczych z 1893 r., nie powinno się oczywiście sądzić, że w poszczególnych wyraźnych zarządzeniach tychże przepisów znajdzie się potwierdzenie wyciągniętych z ogólnych zasad wniosków. Przepisy wykonawcze nie są bowiem, zgodnie z tym, co zostało na ten temat powiedziane wyżej, w ogóle przeznaczone do regulowania kwestii, pod jakim warunkiem może mieć miejsce pozbawienie wolności przez zatrzymanie w zakładzie osoby doń przyjętej przeciwko jej woli. Wszakże przy autorytatywnym znaczeniu, jakie dzięki instancji, od której wyszły, otrzymują rzeczony przepisy wykonawcze, interesujące jest wykazanie, że nie zawierają w żadnym razie ustaleń, które mogłyby stać się źródłem wątpliwości co do słuszności przedstawionych powyżej zasad. W szczególności wchodzi tu w grę ustalenia zawarte w § 10 przepisów¹²⁸, mówiące o zwolnieniu i udzielaniu urlopu. Znajduje się tam najpierw rozróżnienie, w jakich przypadkach może nastąpić zwolnienie na mocy decyzji dyrekcji zakładu, a w jakich potrzebne jest uzyskanie wcześniejszej decyzji ministerstwa spraw wewnętrz-

¹²⁸ W przepisach wykonawczych z 1902 r., § 42.

nych. Kiedy potem w § 10 pod I¹²⁹ jest mowa o tym, że zwolnienie na skutek decyzji dyrekcji zakładu *może* nastąpić w wymienionych tam pod a, b i c przypadkach, to nie ma to naturalnie wykluczać faktu, że przy zaistnieniu pewnych przesłanek istnieje także odpowiednie *zobowiązanie* dyrekcji zakładu. Zobowiązanie takie pojawia się w pewnych okolicznościach (szczególnie w przypadku wymienionym pod c). „Kompetentną stroną”, która może złożyć wniosek o zwolnienie, może w zależności od okoliczności być albo sam (zdolny do czynności prawnych) pacjent, albo jego prawny przedstawiciel (osoba posiadająca władzę rodzicielską, kurator albo sąd opiekuńczy); „wątpliwości przeciwko żądanemu przez kompetentną stronę zwolnieniu”, które mogą się zrodzić u dyrekcji zakładu, mogą wynikać tylko ze względów bezpieczeństwa, a więc można je wysuwać wówczas, kiedy pacjent prezentuje się według zdania dyrekcji zakładu jako „groźny psychicznie chory” we wcześniej przedstawionym sensie (por. na ten temat także § I pod 2 przepisów wykonawczych).¹³⁰

Jeśli natomiast dyrekcja zakładu musi uznać, że nie zachodzi wyżej wymieniony przypadek, lecz że miejsce ma niegroźna choroba umysłowa, to powinna przychylić się do wniosku także wówczas, gdy ona sama stosownie do swego subiektywnego zdania uznawałaby, że „w celu uleczenia albo poprawy zdrowia pacjenta” (§ I, Ia przepisów wykonawczych)¹³¹ wskazane by było kontynuowanie pobytu w zakładzie. Jeśli chciałaby ona narzucić ten pogląd samemu (zdolnemu do działań prawnych) pacjentowi albo osobom lub władzom powołanym do jego prawnego reprezentowania, przekroczyłaby granice swych kompetencji i dopuściłaby się sprzecznego z prawem czynu pozbawienia wolności.

Ustalenie w § 10, 2 przepisów wykonawczych¹³² wydaje się mieć na celu danie Ministerstwu Spraw Wewnętrznych sposobności do zapobiegania z góry nadużyciom, do jakich dyrekcje zakładu mogłyby być skłonne w tym względzie. W publicznym interesie leży bowiem, by wiara w zgodne z prawem kierowanie publicznym zakładem leczniczym w żaden sposób nie została zachwiana i by nigdy nie pojawił się w praktyce przypadek procesu karnego, jaki należałoby wszcząć przeciwko kierownikowi publicznego zakładu leczniczego

¹²⁹ W przepisach wykonawczych z 1902 r., § 42, pod I a–c zamieniono „może nastąpić” z „trzeba zadysponować”.

¹³⁰ W przepisach wykonawczych z 1902 r., § 1, rozdz. 3.

¹³¹ W przepisach wykonawczych z 1902 r., § I, jest ujęty nieco inaczej chyba tylko ze względów redakcyjnych.

¹³² W przepisach wykonawczych z 1902 r., § 42, pod 2^c.

z powodu niezgodnego z prawem pozbawienia wolności, albo także tylko z tego samego powodu proces cywilny o odszkodowanie.

Dopisek

Dopiero później uwagę autora niniejszego artykułu skierowano na ministerialne zarządzenie z 30 maja 1894 dotyczące umieszczania chorych w prywatnych zakładach dla obłąkanych (Dziennik Ustaw, str. 139 nn), które mu dotychczas, ponieważ znajduje się on sam od końca 1893 r. w zakładach, nie było znane. Według jego zdania z powyższego rozporządzenia nie wynika nic, co byłoby sprzeczne z przedstawionymi w niniejszym artykule poglądami. Rozporządzenie to nie posiada w ogóle (abstrahując od wyznaczania kary pod 9) właściwej mocy prawnej, w związku z czym w razie wystąpienia danego przypadku nie może mieć wiążącego działania na sędziego. W kwestii pozbawiania wolności nie daje ono także w sposób oczywisty większych praw kierownikom prywatnych zakładów dla obłąkanych, niż przysługiwałyby im one stosownie do ogólnych zasad, lecz jedynie dołącza do wynikających z ogólnych zasad obowiązków w tym względzie jeszcze inne (instrukcyjne) zobowiązania, których naruszenie przez kierowników zakładów może prowadzić do zastosowania wobec nich ustalonej w punkcie 9 rozporządzenia *kary policyjnej* i ewentualnie do odebrania udzielonej koncesji. Decydującym i dla sędziego w przypadku ewentualnego oskarżenia o pozbawienie wolności miarodajnym stanowiskiem będzie więc zawsze kwestia, czy i w jakim stopniu kierowników zakładów leczniczych dla umysłowo chorych należy uznawać jednocześnie za państwowe organa porządkowe w odniesieniu do zatrzymywania niebezpiecznych chorych umysłowo osób. Jest tak w przypadku kierowników publicznych zakładów leczniczych – przysługują im w tym zakresie upoważnienia władzy zwierzchniej, dokładnie tak, jak ma się rzecz z urzędnikami wykonującymi na zlecenie kolei żelaznych funkcję policji kolejowej, ale nie (abstrahując od poruszonego powyżej wyjątkowego przypadku tymczasowej opieki do czasu umieszczenia w publicznym zakładzie leczniczym) w przypadku kierowników zakładów prywatnych.

Drugi dopisek

Jak wiadomo, w międzyczasie rozporządzenie ministerialne z 30 maja 1894 r. zostało już znów zastąpione innym rozporządzeniem, a mianowicie dotyczącym umieszczania chorych w prywatnych zakładach, z 9 sierpnia 1900 r. (Dziennik Ustaw, str. 887 nn), a przepisy wykonawcze z 31 lipca 1893

zastąpiono przepisami wykonawczymi dla umieszczania w krajowych zakładach leczniczych i domach opieki dla osób umysłowo chorych z 1 marca 1902 (Dziennik Ustaw str. 39 nn).

Zamieszczone w powyższym artykule treści *dotyczące Saksonii* doznają chyba przez to kilku modyfikacji; nie są to jednak w żadnym razie modyfikacje o znacznym zasadniczym znaczeniu. Przede wszystkim należy po raz kolejny podkreślić, że w przypadku wymienionych rozporządzeń i przepisów wykonawczych nie chodzi o akty ustawodawcze. Jeśli więc sądy musiałyby się kiedykolwiek w jakimś przypadku zajmować kwestią sprzecznego z prawem pozbawienia wolności pod kątem prawa cywilnego albo prawa karnego, nie należałoby traktować tych zawartych w ostatnim rozporządzeniu i nowych przepisach wykonawczych ustaleń w każdym razie jako *jedynie i właściwie* miarodajnych. Jeśli więc na przykład rozporządzenie z 9 sierpnia 1900 r. zawiera w § 6 ustalenie odnośnie tak zwanych dobrowolnych pensjonariuszy prywatnego zakładu dla obłąkanych (tj. takich chorych, którzy zostali przyjęci do zakładu na skutek ich własnej decyzji), że wyrażenie zgody na zwolnienie dobrowolnego pensjonariusza na jego wniosek albo wniosek jego prawnego przedstawiciela musi nastąpić „w każdym przypadku bezzwłocznie”, to jednak nikt nie będzie mógł zakładać, iż każda zwłoka w zwolnieniu musi być postrzegana jako sprzeczne z prawem pozbawienie wolności, które może być podstawą ponoszenia przez kierownika zakładu odpowiedzialności z tytułu prawa karnego albo z tytułu prawa cywilnego. Trzeba sobie tu uświadomić, że rozróżnienie pomiędzy osobami tylko „psychicznie niestabilnymi” a „umysłowo chorymi” jest niezwykle trudne i granica pomiędzy danymi postaciami choroby często jest niemal niezauważalna.

Może się więc z łatwością zdarzyć, że stan osoby „psychicznie niestabilnej”, która udała się do prywatnego zakładu dla obłąkanych z własnej decyzji jako „dobrowolny pensjonariusz”, może się podczas jej pobytu tamże zmienić tak, że natychmiastowe zwolnienie może być dla samego pacjenta niebezpieczne (z powodu samobójczych myśli). Nie można w takim przypadku powoływać się na ustalenie w § 5, roz. 2, rozporządzenia z 9 sierpnia 1900 r., ponieważ traktuje ono tylko o osobach chorych psychicznie i umysłowo niedorozwiniętych, które stanowią „zagrożenie dla *ogółu*”. Czy więc pewna zwłoka w zwolnieniu (w celu zawiadomienia władz policyjnych albo członków rodziny w związku z przeniesieniem do publicznego zakładu leczniczego) powinna być poczytana kierownikowi zakładu prywatnego w każdych okolicznościach za sprzeczne z prawem odebranie wolności? Odpowiedź twierdząca na to pytanie rodziłaby, jak mi się zdaje, znaczne wątpliwości.

Załączniki

**(dokumenty z procesu
o ubezwłasnowolnienie)**

Sonnenstein, 9 grudnia 1899 r.

I. Opinia lekarza sądowego*

Były przewodniczący senatu, doktor prawa, pan Daniel Paul Schreber, zamieszkały w Dreźnie, został oddany na leczenie do tutejszego krajowego zakładu leczniczego 29 czerwca 1894 i przebywa w nim nieprzerwanie po dzień dzisiejszy.

Jak wynika z opinii wystawionej przez tajnego radcę medycznego, profesora dr. Flechsigą z Lipska, przy okazji przewiezienia pacjenta do tutejszego zakładu, pan przewodniczący Schreber przeszedł już w 1884/1885 ciężki atak hipochondrii, wyleczył się z niej, lecz 21 listopada 1893 ponownie trafił do Uniwersyteckiej Kliniki Psychiatrycznej w Lipsku. Na początku swego pobytu w klinice wielokrotnie dawał wyraz hipochondrycznym myślom, skarżył się, że cierpi na zmiękczenie mózgu, że wkrótce musi umrzeć, p.p., jednak już wtedy w obrazie choroby zaczęły pojawiać się także myśli przesładowcze. Ich źródłem były przywidzenia, występujące wówczas u chorego jeszcze, jak się zdaje, bardzo sporadycznie. Równocześnie coraz bardziej uwidaczniał się wysoki stopień hiperestezji, duża wrażliwość na światło i dźwięki. Potem mnożyły się halucynacje wzrokowe i słuchowe, które wraz z zaburzeniami ogólnego samopoczucia opanowały całe jego odczuwanie i myślenie, uważał się za zmarłego i nadgniętego, zadżumionego, mniemał, że na jego ciele dokonuje się wszelkiego rodzaju obrzydliwych manipulacji i – jak sam jeszcze obecnie twierdzi – przeczuwany jedynie Ktoś kazał robić

* Druk opinii I, II i IV (oprócz przypisów 134. i 135.) następuje bez jakiegokolwiek dalszego komentarza. Porównanie z odpowiednimi opisami w „Pamiętniku” i w uzasadnieniu odwołania wykaże bez trudu, że opinie zawierają także *odnośnie faktów* kilka nieprawidłowości, nieścisłości i nieporozumień. Nie przeczę tu w żadnym razie, że przyczyna może w znacznej części leżeć w niewiarygodnych zeznaniach osób trzecich (np. pielęgniarka itd.).

mu jeszcze okropniejsze rzeczy, i to dla uświęconych celów. Te chorobliwe podszepty opanowywały chorego do tego stopnia, że – nieczuły na żadne inne bodźce – siedział godzinami całkowicie oziębiały i nieruchomy (stupor halucynacyjny), innym znów razem nękały go one tak, że pragnął śmierci, w kąpielni wielokrotnie ponawiał próbę utopienia się i żądał „przeznaczonej dla niego dawki cyjanku potasu”. Jego urojenia nabierały stopniowo mistycznego, religijnego charakteru, obcował bezpośrednio z Bogiem, diabły uprawiały z nim swoje igraszki, widział „cudowne zjawiska”, słyszał „świętą muzykę” i w końcu zaczynał wręcz wierzyć, że przebywa w innym świecie.

W tutejszym zakładzie, do którego przeniesiono pana przewodniczącego Schrebera po krótkim pobycie w prywatnym zakładzie doktora Piersona, jawił się na początku zasadniczo taki sam obraz choroby, jak w Lipsku. Silny fizycznie mężczyzna z wyraźnie dostrzegalnymi częstymi skurczami muskulatury twarzy i silnym drżeniem rąk wydawał się początkowo zupełnie niedostępny i zamknięty w sobie, leżał bądź stał nieruchomo z oczyma pełnymi strachu wpatrzonymi gdzieś w dal przed siebie, na skierowane do niego pytania nie odpowiadał wcale bądź jedynie krótko i odmownie. Ta odrętwiała postawa była jednak zdecydowanie daleka od indyferentyzmu, co więcej, cała postać pacjenta wyglądała na bardzo napiętą, rozdrażnioną, naznaczoną wewnętrznym cierpieniem i nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że pozostawał nieprzerwanie pod wpływem intensywnych i nieprzyjemnych przywidzeń i naprawdę je przetwarzał. Pacjent zdecydowanie odmawiał wszelkiego kontaktu i żądał, by zostawić go samego, wręcz by uprzątnąć cały budynek, bowiem obecność pielęgniarki p.p. nie dopuszcza Boskiej wszechmocy, a on pragnie mieć „Boski spokój”. Podobnie jak wszelkiego kontaktu odmawiał też przyjmowania pożywienia, w konsekwencji czego wlewano mu je małymi porcjami, lub przyjmował tylko niektóre lekkie potrawy, przy czym całkowicie odrzucał mięso i tylko z trudem stopniowo udało się go nakłonić do regularnego jedzenia. Jednocześnie – prawdopodobnie celowo – powstrzymywał stolec tak długo, jak tylko mógł, skutkiem czego dochodziło nawet do pobrudzeń.* Przez bardzo długi czas nie dawał się namówić do jakiegokolwiek zajęcia, do jakiegokolwiek lektury, tej ostatniej odmawiał z uzasadnieniem, że każde słowo, które przeczyta, będzie rozgłoszone po całym świecie. Wielokrotnie skarżył się, że ma miejsce „utrata promieni”, że lekarz „niedbale zwrócił promienie”, nie wyjaśniając przy tym dokładniej, co miał przez to na myśli.

W listopadzie 1894 roku odrętwienie powoli zaczęło ustępować, pacjent otwierał się, zaczął się poruszać, artykułował spójne, aczkolwiek krótkie wy-

* Rzekome pobrudzenia znajdują swoje wyjaśnienie w Tym Kimś, o czym można przeczytać w „Pamiętniku”, na końcu rozdziału XVI.

powiedzi w taki sposób, jakby chciał je z siebie wypchnąć, i coraz wyraźniej uwidaczniało się przetwarzanie w urojenia i fantazje wciąż nawiedzających go halucynacji; czuł się krzywdzony przez znane mu wcześniej, a obecne tu w jego przekonaniu osoby (Flehsig, v.W.), roił sobie, że zmieniają one oblicze świata, niszczą boską moc, że dotknęło go ich przekleństwo, twierdził, że osoby te wyciągają myśli z jego ciała itp. W dalszym ciągu z uporem odrzucał książki, coraz częściej za to malował na papierze znaki stenograficzne, zajmował się od czasu do czasu jakąś grą ćwiczącą cierpliwość i zdawał się poświęcać nieco więcej uwagi temu, co się działo w jego najbliższym otoczeniu.

Pobudzenie chorego stopniowo narastało, zakłócało dotychczas znośny sen i w bardzo uciążliwy sposób znajdowało ujście na zewnątrz, zwłaszcza poprzez głośny i utrzymujący się, swego rodzaju napadowy śmiech (zarówno w ciągu dnia, jak i w nocy) oraz gwałtowne uderzanie w klawisze fortepianu. Tego typu zachowanie należało rozumieć jako reakcję na przywidzenia, względnie na wynikające z nich urojenia. Wskazuje na to kilka wypowiedzi pacjenta, że świat jakoby się kończył, że wszystko, co widzi dookoła, jest jedynie złudzeniem, a on sam i otaczające go osoby to jedynie niematerialne cienie. Jednocześnie wciąż jeszcze trzymał się hipochondrycznych myśli; twierdził m.in., że jego ciało jest całkowicie zmienione, jedno z płuc całkowicie zginęło, zaś on sam nie jest w stanie zaczerpnąć wystarczająco dużo powietrza, by utrzymać się przy życiu.

Z czasem noce stawały się coraz bardziej niespokojne, w pacjencie następowała pewna zmiana, dotychczasowe odrętwienie i negatywistyczna postawa zaczęły ustępować miejsca swego rodzaju dualizmowi. Z jednej strony jego reakcja na halucynacje stawała się coraz głośniejsza i intensywniejsza, chory miał zwyczaj stać jakiś czas nieruchomo w ogrodzie w jednym miejscu, patrzeć prosto w słońce, robiąc przy tym dziwaczne grymasy i wykrzykując w stronę słońca nadzwyczaj głośno, wręcz wyjąc, groźby i obelgi. Wielokrotnie powtarzał jedną i tę samą frazę, wołał do Słońca, że się go boi, że się przed nim, przewodniczącym senatu Schreberem, musi ukryć, a siebie samego nazywał chyba także Ormazdem. Innym razem szalał po swym pokoju do tego stopnia, wygłaszał przez jakiś czas przemówienia do „mordercy dusz” Flehsiga, powtarzał w nieskończoność „mały Flehsig”, akcentując ostro pierwszy wyraz, albo wykrzykiwał przez okno, także w nocy, obelgi i tym podobne wyrazy z taką siłą, że mieszkańcy miasta zaczęli przychodzić pod okno i uskarżać się na zakłócanie spokoju. Z drugiej strony w stosunku do lekarzy i innych osób był o wiele bardziej uprzejmy i otwarty niż dawniej, na proste pytania o samopoczucie itp. dawał – aczkolwiek z rezerwą i trochę jakby z góry – adekwatne odpowiedzi, nic nie wspominał o nawiedzających go uciążliwościach, potrafił naprawdę niezłe przez chwilę panować nad sobą,

zaczął wnikliwiej zajmować się lekturą lub grał – tak jak to miało miejsce już wcześniej – w szachy bądź na fortepianie.

Tymczasem nocne hałasowanie wzmagало się, a podawane coraz silniejszej dawki środków nasennych nie były w stanie w wystarczającym stopniu temu zaradzić. W zaistniałej sytuacji, kiedy zwiększanie środków farmakologicznych z obawy przed ich szkodliwym działaniem nie wchodziło w grę, kiedy nieprzerwanie zakłócana cisza nocna w dotkliwy sposób narażała na cierpienie cały oddział, zdecydowano się w czerwcu 1896 roku umieszczać chorego na noc w położonej nieco dalej izolatce i kontynuować ten środek zaradczy przez *szereg miesięcy*.^{*} Pacjent był tym faktem wprawdzie poirytowany, zaakceptował go jednak bez większego oporu, prawdopodobnie zdając sobie sprawę z chorobliwego charakteru swego zachowania i wyjątkowej, dla najbliższego otoczenia niemal nie do zniesienia uciążliwości tegoż.

Przez dłuższy czas w fizycznym zachowaniu pacjenta pojawiały się tylko niewielkie zmiany, nadal utrzymywał się specyficzny, wymuszony i nadzwyczaj głośny śmiech oraz monotonne generowanie z siebie często bardzo niezrozumiałych, obelżywych wypowiedzi powtarzanych w nieskończoność (np. „Słońce to dziwka” itp.), które zdawały się być swego rodzaju antidotum na halucynacje i zaburzenia ogólnego samopoczucia (ból w krzyżu p.p.). Pacjent przyjmował coraz regularniejsze i bogatsze posiłki, przybierał na wadze, spał jednak ciągle bardzo niewiele i już wtedy pojawiły się pierwsze symptomy tego specyficznego urojenia, które w późniejszym czasie rozwinęło się jeszcze bardziej. Często widziano chorego, jak siedział w swoim pokoju rozebrany do połowy, twierdził, że ma już kobiece piersi, z przyjemnością zajmował się oglądaniem ilustracji nagich kobiet, chyba je także rysował, kazał sobie również zgolić wąsy.

Mniej więcej około wiosny 1897 roku można było dostrzec u pacjenta pewną przemianę, kiedy to zaczął prowadzić ożywioną korespondencję ze swoją małżonką oraz innymi członkami rodziny, przy czym nie można pominąć milczeniem faktu, że listy były pisane poprawnie i z polotem, nie zdradzały niczego chorobliwego – wręcz przeciwnie, ujawniały świadomość choroby, kiedy to pacjent rozwodził się, że był pełen lęku, że nie potrafił zmobilizować się do żadnego zajęcia, ale że jest teraz dużo lepiej i że jest wdzięczny za możliwość zapewnienia sobie tak wielu inspirujących rozrywek p.p., przy czym jednak w dalszym ciągu utrzymywały się dawne przekleństwa, śmiech i krzyki, w związku z tym nocne odosobnienie było wciąż nieodzowne.

^{*} Odnośnie do podanego czasu – por. str. 151. (2,5 roku).

Choć pacjent w dalszym ciągu nie przejawiał skłonności do wnikliwej rozmowy, a przy próbie podjęcia takowej wkrótce zdradzał niepokój i zniecierpliwienie, jego twarz zaczynała się wykrzywiać, wydawał z siebie osobliwe krótkie okrzyki i widać było po nim, że życzyłby sobie jak najszybszego zakończenia rozmowy, to zajęcia pacjenta stawały się coraz bardziej zróżnicowane i długotrwałe, i często prawie nie dało się pojąć, jak przy tych nieprzerwanie go nękających, najwyraźniej bardzo intensywnych halucynacjach znajdował spokój i skupienie, by oddawać się takiej umysłowej działalności, rzeczowo wypowiadać się w najprzeróżniejszych kwestiach, a oprócz tego panować nad sobą, ukrywając chwilowo chorobliwy stan, w jakim w danym momencie się znajdował. Również hałaśliwe nocne wybuchy miały coraz łagodniejszy przebieg, tak więc chory mógł ponownie korzystać ze swej zwykłej sypialni i przy zastosowaniu pewnych leków pozostawać w tejże.

Nie wchodząc zbyt głęboko we wszystkie szczegóły przebiegu choroby, należy zwrócić uwagę na fakt, jak w rezultacie z psychozy o początkowo ostrym przebiegu, bezpośrednio obejmującej całość procesów zachodzących w psychice, co można by określić jako obłęd halucynacyjny, coraz bardziej zdecydowanie wynurzał się, by tak rzec – krystalizował się paranoiczny obraz choroby, jaki mamy obecnie.

Obraz ten charakteryzuje się, jak wiadomo, występowaniem mniej lub bardziej utrwalonego, logicznie rozbudowanego systemu urojeń, któremu towarzyszy całkowita sprawność intelektualna i orientacja, zachowana jest logika formalna, brak jest istotnych zaburzeń nastroju i rozpadu osobowości, inteligencja oraz pamięć nie są osłabione, a postrzeganie i ocena zjawisk neutralnych, to znaczy nieobjętych urojeniami, zdają się nie podlegać bezpośrednio żadnym negatywnym wpływom, choć przy współzależności wszystkich procesów zachodzących w psychice całkowicie nietknięte przezeń pozostać nie mogą.

Zgodnie z powyższym pan przewodniczący senatu, doktor Schreber, nie jawi się obecnie – pomijając wyraźne psychomotoryczne objawy, które nawet dla pobieżnego obserwatora mogą wydawać się chorobliwe – jako osoba rozkojarzona czy też z psychicznymi zahamowaniami, jego inteligencja nie jest w jakiś wyraźny sposób upośledzona, jest sprawny intelektualnie, jego pamięć – doskonała, dysponuje znaczną wiedzą, nie tylko w zakresie prawa, ale także w wielu innych dziedzinach i potrafi przekazywać ją w uporządkowanym ciągu myśli, interesuje się wydarzeniami w polityce, nauce, sztuce itd. i stale się nimi zajmuje (choć w ostatnim czasie coś zdaje się coraz bardziej rozpraszać to zainteresowane), tak że bliżej nie poinformowany o jego stanie obserwator nie zauważyłby tu niczego szczególnego. Przy tym wszystkim pacjent jest przepełniony urojeniami, stanowiącymi pewien zamknięty system

i w mniejszym lub większym stopniu utrwalonymi. Zdaje się, że ich jakakolwiek weryfikacja oparta na obiektywnej obserwacji i ocenie rzeczywistości jest niemożliwa, zwłaszcza że halucynacje i iluzje nieprzerwanie odgrywają u niego bardzo ważną rolę i uniemożliwiają normalną ocenę wrażeń zmysłowych. Pacjent zazwyczaj nie głosi swych urojonych idei bądź daje im jedynie wyraz w sposób pośredni, jak bardzo jednak jest przez nie opanowany, wynika częściowo wprost z kilku jego pisemnych wypowiedzi (fragmenty kilku z nich znajdują się w załączniku), a po części z jego zachowania.

Apogeum urojeń pacjenta stanowi przekonanie, że jest on powołany do zbawienia świata i przywrócenia ludzkości utraconej wiecznej szczęśliwości. Doszedł do takiego przeświadczenia, jak twierdzi, bezpośrednio poprzez boskie objawienia, podobnie jak nauczają o tym prorocy; właśnie nerwy bardziej pobudzone (a jego nerwy przez długi czas takie były) mają rzekomo tę właściwość, że działają na Boga przyciągająco, chodzi jednak przy tym o rzeczy, których w ogóle nie da się wyrazić ludzkim językiem bądź też da się to zrobić jedynie z trudem, ponieważ znajdują się one poza wszelkim ludzkim doświadczeniem i tylko jemu właśnie zostały objawione. Najistotniejsze w jego zbawczej misji jest to, że musi najpierw nastąpić jego *przeobrażenie w kobietę*. Nie dlatego, że *chce* się przeobrazić w kobietę – chodzi tutaj raczej o znajdującą swe uzasadnienie w porządku świata „konieczność”, od której on bynajmniej nie może uciec, nawet jeśli osobiście wolałby zachować swą szacowną męską pozycję społeczną. Jednak tak on, jak i cała reszta ludzkości może ponownie zdobyć Tamten Świat nie inaczej, jak tylko poprzez jego przeistoczenie się w kobietę, mające nastąpić na drodze boskich cudów po upływie wielu lat, a być może i wielu dziesiątek lat. Jest pewien, że wyłącznie on stanowi przedmiot boskich cudów, a więc tym samym jest najbardziej zadziwiającym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył na ziemi. Od lat, w każdej godzinie i w każdej minucie, doświadcza tych cudów na swoim ciele; potwierdzają je również głosy, które rzekomo z nim rozmawiają. W pierwszych latach swojej choroby miał doświadczyć takiego zniszczenia poszczególnych organów ciała, jakie u każdej innej osoby już dawno spowodowałyby śmierć. Przez wiele lat żył, jak twierdzi, bez żołądka, bez jelit, niemalże bez płuc, z rozdartym przełykiem, bez pęcherza, z roztrzaskanymi żebrami, czasem zjadał wraz posiłkiem część swojej krtani itd. Za sprawą boskich cudów („promieni”) to, co zostało zniszczone, wciąż odbudowywało się na nowo, i dlatego on, jak długo pozostanie mężczyzną, tak długo będzie nieśmiertelny. Te groźne zjawiska przestały zachodzić jego zdaniem już dawno, za to na pierwszy plan wysunęła się jego „kobiecość”, przy czym chodzi tu o pewien proces rozwojowy, który do swojej całkowitej realizacji potrzebuje prawdopodobnie jeszcze dziesiątek, jeśli nie setek lat, i którego zakończenia nie

przeżyje bodaj żaden z żyjących obecnie ludzi. Pacjent ma wrażenie, że już teraz przeszły masowo do jego organizmu „kobiece nerwy”, z których po bezpośrednim zapłodnieniu przez Boga wyjdą nowi ludzie. Dopiero wtedy będzie prawdopodobnie mógł umrzeć naturalną śmiercią, i odzyskać dla siebie i wszystkich ludzi wieczną szczęśliwość. Tymczasem, jak twierdzi, ludzkim głosem przemawia do niego nie tylko Słońce, ale i drzewa, i ptaki, będące jego zdaniem czymś na kształt „zaczarowanych pozostałości wcześniejszych ludzkich dusz”, i wszędzie wokół niego dzieją się jakieś cudowne rzeczy.

Nie ma chyba potrzeby wchodzić dalej we wszystkie szczegóły tych urojeń, które pacjent przedstawia i motywuje skądinąd w zadziwiająco klarowny sposób i z niezwykle logiczną precyzją; przedstawione opisy powinny wystarczyć, by dać pojęcie o treści występującego u pacjenta systemu urojeń i o jego zmienionym chorobowo postrzeganiu świata. Należy zwrócić może tylko uwagę na fakt, że w zachowaniu chorego, w jego dokładnym goleniu twarzy, w jego radości z faktu posiadania damskich przyborów toaletowych, z wykonywania drobnych, typowo damskich czynności, w skłonności do większego lub mniejszego negliżowania się i przeglądania się lustrze, w przystrajaniu się na kobiecy sposób w kolorowe wstążki, sznureczki p.p. manifestuje się nieustannie szczególnego rodzaju patologiczny charakter jego wizji. Jednocześnie halucynacje przebiegają, jak wynika z powyższego wywodu, z niezmienną intensywnością, i zarówno one, jak i pewne chorobliwe reakcje motoryczne manifestują się w bardzo ekscentrycznych, bezwolnych i automatycznych działaniach. Zgodnie z tym, na co zwraca uwagę sam pacjent, jest on zarówno w nocy, jak i w dzień zmuszany do wydawania z siebie „nienaturalnych wyjących dźwięków”; zapewnia, że nie jest w stanie tego powstrzymać, że chodzi tutaj o boskie cuda, o nadprzyrodzone procesy niezrozumiałe dla innych ludzi, a te wynikające z organicznego przymusu, także i dla otoczenia uciążliwe hałasy występują tak nieuchronnie, że zakłócają w bardzo dotkliwy sposób nocny spokój pacjenta i wymuszają stosowanie środków nasennych.

Tylko w jednym względzie nastąpiła w ostatnim czasie pewna zmiana w postawie pacjenta. Podczas gdy wcześniej – co wynikało być może z silniejszego przeświadczenia o swojej chorobie – przyjmował swój los – ogólnie rzecz biorąc – z pewną rezygnacją, aczkolwiek protestując przeciwko tym czy innym działaniom, i przynajmniej na zewnątrz nie przejawiał żadnego życzenia zmiany swego położenia, zdawał się poświęcać jedynie niewiele zainteresowania swoją prawną i społeczną sytuacją, o tyle w ostatnim czasie energicznie żąda uchylecia kurateli, życzy sobie większej swobody poruszania się oraz bardziej ożywionego kontaktu ze światem zewnętrznym i oczekuje w niedalekiej przyszłości definitywnego powrotu do domowego

zaczysza. Te zamiary pochłaniają go obecnie bez reszty i zepchnęły nawet, jak się zdaje, na dalszy plan kwestię uznania za prawdę jego przedstawionych powyżej urojonych idei.

Czy na skutek wyżej opisanego stanu psychicznego, który należy określić jako paranoję, należy uznać pana przewodniczącego senatu, doktora Schrebera, w świetle prawa za osobę pozbawioną rozumu, podlega decyzji sędziowskiej, jeśli jednak pod wymienionym pojęciem, dalekim od opinii lekarskiej, rozumie się, że pacjent, o którym mowa, nie jest w stanie na skutek psychicznych zaburzeń w sposób obiektywny i niezafałszowany opisywać wszystkich procesów i wydarzeń, oceniać ich stosownie do rzeczywistych okoliczności ani formułować swoich decyzji po swobodnym i rozsądnym namyśle w formie niewymuszonego oświadczenia woli, to jasne jest, że w tym przypadku ze względu na pojawiające się omamy, na związane z nimi i układające się w pewien system urojenia oraz opanowujące pacjenta odruchy bezwarunkowe, takie ograniczenie w obszernym stopniu istnieje i w dalszym ciągu zachodzi.

Z medycznego punktu widzenia nie ma żadnych przeciwwskazań do przesłuchania w sądzie pana przewodniczącego senatu, doktora Schrebera.

Niżej podpisany poświadcza prawdziwość przedstawionych informacji, powołując się na złożoną przysięgę.

L.S.

(podpisany) Dr Weber
zakładowy lekarz rejonowy i lekarz sądowy

Sonnenstein, 28 listopada 1900 r.

II. Opinia zakładowego lekarza rejonowego

Jeśli niżej podpisany tak długo zwlekał ze sporządzeniem żądanej od niego kolejnej opinii o stanie psychicznym byłego pana przewodniczącego senatu, doktora Schrebera, to stało się tak tylko dlatego, że od momentu złożenia pierwszej opinii stan fizyczny wyżej wymienionego nie wykazywał żadnych istotnych zmian, i w związku z tym należałoby powtórzyć tylko wcześniejsze informacje, gdyby nie dało się wyszukać tu i ówdzie nowych punktów widzenia dla oceny istniejącego stanu rzeczy.

Niżej podpisany spodziewał się znaleźć takowe w pisemnych notatkach, jakie pacjent zaczął sporządzać przed kilkoma miesiącami, a które w najbardziej wyczerpujący sposób opisują historię jego wieloletniej choroby, zarówno jej objawy zewnętrzne, jak i rozwój wewnętrzny. Należało potraktować te zapiski z najwyższą uwagą, tym bardziej że pacjent w osobistych kontaktach – ogólnie rzecz biorąc – nie jest zbyt skłonny do przedstawiania swych uwarunkowanych chorobą idei; ich złożony i wyrafinowany charakter nastrocza mu, trzeba przyznać, trudności przy ustnym opisie tych idei. „Pamiętnik nerwowo chorego”, jak autor nazywa swoją rozprawę, jest niezwykle cenny nie tylko z naukowo-medycznego punktu widzenia, jako że pozwala lepiej scharakteryzować ogólny stan omawianej tu choroby; dostarcza jednocześnie kilku praktycznych wskazówek niezbędnych do zrozumienia obserwowanego u pacjenta zachowania. Ukończenie „Pamiętnika” zajęło ze względu na swoją – początkowo trudną do przewidzenia – objętość dość dużo czasu, niżej podpisany otrzymał je zatem dopiero niedawno, po zakończeniu sporządzania kopii.

Biorąc pod uwagę fakt, że na obecnym etapie sprawy należy przede wszystkim położyć nacisk nie na kliniczny opis i ocenę – istniejącego bez wątplenia – fizycznego stanu choroby, lecz na odpowiedź na pytanie, czy chory na skutek owego stanu nie potrafi kierować swoim postępowaniem,

w najogólniejszym tego słowa znaczeniu, niżej podpisany chciał podjąć próbę ustalenia szeregu faktów, na podstawie których sędzia byłby w stanie w tej budzącej wątpliwości kwestii podjąć uzasadniony wyrok. Niżej podpisany chce bowiem z całą mocą podkreślić, jak uczynił to już zresztą w pierwszej opinii, że do kompetencji biegłego lekarza nie należy wydawanie decydującego wyroku w sprawie, czy dana osoba na skutek zaburzeń psychicznych jest zdolna do samodzielnego zajmowania się swoimi sprawami, czy w sensie prawnym posiada zdolność prawną, czy też nie. Zadanie biegłego lekarza powinno się raczej ograniczyć do przedstawienia właściwym organom oceny kondycji fizycznej danej osoby w sposób umożliwiający wyciągnięcie w odpowiednim czasie konsekwencji.

Jeśli żąda się udokumentowania *rzeczywistych* zdarzeń, mogących stanowić dowód, że opiniowana osoba na skutek zaburzeń psychicznych nie jest w stanie prowadzić swoich spraw, względnie – jak to się określa – w postanowieniu dowodowym, przy danej swobodzie dysponowania mogłaby poprzez nierozważne działania narazić na niebezpieczeństwo swoje życie, swoje zdrowie, swój majątek bądź jakiegokolwiek inne żywotne interesy, to oczywiste jest, że bardzo trudne, ba – wręcz niemożliwe – jest dostarczenie faktów dowodowych odnośnie osoby, która od lat ze względu na swój stan psychiczny przebywa w zakładzie zamkniętym, i w związku z tym może jedynie w bardzo ograniczonym zakresie działać samodzielnie i mieć wpływ na kształtowanie swojej sytuacji. W przypadku osoby chorej psychicznie, która porusza się w świecie zewnętrznym i ma bezpośredni kontakt z dotychczasowymi warunkami życiowymi, podczas wykonywania pracy zawodowej, podczas załatwiania służbowych spraw, w życiu rodzinnym, w kontaktach towarzyskich, w zetknięciu z urzędami itd. można zazwyczaj bez trudu znaleźć fakty, które mogą decydująco wpłynąć na odpowiedź na pytanie, czy chory na skutek swego odbiegającego od normy stanu umysłu podejmuje bezcelowe, nierozsądne i opaczne działania, czy też nie. Inaczej się rzecz ma z chorym pozostającym w zamkniętym zakładzie leczniczym. Z natury rzeczy sposób jego życia jest w najdrobniejszych szczegółach określony przez regulamin zakładu, tak nieskończenie różnorodne życiowe wyzwania, przed jakimi staje każdy człowiek, w ogóle nie mają do niego dostępu, jak więc chory zachowałby się w ich obliczu, można się jedynie domyślać na podstawie ogólnego stanu jego zdrowia. Istnieje w określonych przypadkach możliwość wystawienia – by tak rzec – chorego na próbę, może on wówczas pozostawać przez określony czas w obliczu owych wymagań życiowych poza ochroną, jaką daje mu zakład. W rzeczywistości dokonuje się czasem takich eksperymentów, jednak tylko wówczas, jeśli ze względu na osobowość chorego ewentualna kompromitacja nie miałaby większego znaczenia, niżej

podpisany uznał zatem, że ze względu na specyfikę danego przypadku należało – przynajmniej w ograniczonym zakresie – podjąć taką próbę. Zajął to jednak sporo czasu. Po pierwsze pan przewodniczący Schreber nie był dotychczas skłonny poruszać się poza zakładem, po drugie taki eksperyment ze względu na dotychczasową postawę chorego budził pewne wątpliwości. Dopiero po zaskarżeniu postanowienia o ubezwłasnowolnieniu pacjentowi umożliwiono bardziej ożywione kontakty i dopiero stopniowo trzeba było pobudzać w nim pragnienie wyjścia z zamknięcia w jego świecie wewnętrznym i ponownego zbliżenia się do świata zewnętrznego. Ze względu na pewne okoliczności, zwłaszcza zupełnie zrozumiałe obawy rodziny, niektóre przedsięwzięcia nie mogły mieć takiego zasięgu, jak pierwotnie zakładano. I nawet jeśli regularne przyjmowanie posiłków przy rodzinnym stole niżej podpisanego, udział w spotkaniach towarzyskich, wycieczki po najbliższej okolicy, wydłużające się czasem aż do Drezna, do mieszkania jego małżonki, załatwianie drobnych sprawunków w mieście dawały dobrą okazję do obserwacji zachowań chorego w zetknięciu ze światem zewnętrznym, nie dostarczyły jednak dotychczas żadnych przekonujących jednoznacznie w tym albo w innym kierunku wyników. Niżej podpisany uważa jednak, że nie może już dłużej zwlekać ze sporządzeniem żądanej opinii, że musi zadowolnić się dotychczas poczynionymi obserwacjami.

Jeśli prześledzimy przebieg choroby psychicznej pana przewodniczącego Schrebera, to przy obecnym stanie rzeczy dojdziemy do przekonania, że nie ma potrzeby wracać do pierwszych etapów choroby. Mają one niewątpliwie istotne znaczenie dla ogólnego obrazu patologicznego procesu choroby (podobnie jak w przypadku każdego naturalnego zjawiska, które jesteśmy w stanie prawidłowo pojąć dopiero po uwzględnieniu całego jego rozwoju), a zwłaszcza ich ocena przez samego chorego zasługuje na największą uwagę. Jednak w rozwiązaniu aktualnie rozważanej kwestii nie znajdzie praktycznego zastosowania ani analiza owych wcześniejszych stadiów choroby, ani stan, do którego stadia te z biegiem czasu doprowadziły, a który w obecnym czasie zdaje się być stanem mniej lub bardziej ostatecznie uformowanym. Adekwatnie do wcześniejszych uzdolnień pacjenta, jego aktywności umysłowej i rozległej wiedzy, emanacja jego chorobowo zmienionej psychiki nie jest – jak w większości przypadków – prosta, monotonna i łatwo przewidywalna, stanowi raczej tak fantazyjny, nieprawdopodobnie rozwinięty i jednocześnie tak bardzo odbiegający od zwyczajowego myślenia system idei, że nie da się przedstawić go w kilku prostych zdaniach, nie upraszczając przy tym całej jego złożoności, narażając tym samym na niezrozumienie, utrudniając uchwycenie jego specyficznej istoty. Z tego oto, jak i z innego powodu, który wymienię w dalszej części opinii, uważam za stosowne udostępnić Królew-

skiemu Sądowi Krajowemu do wglądu pełną wersję „Pamiętnika” naszego pacjenta, uprzejmie prosząc jednocześnie o jego późniejszy zwrot. Sądzę, że sędzia będzie mógł na jego podstawie, również bez komentarza specjalisty, bez trudu uzyskać jasny obraz psychicznego stanu ich autora.

Fakt, że pacjent we wcześniejszych fazach swej choroby był całkowicie niezdolny do czynności prawnych i nie był w stanie kierować swoimi sprawami bądź też choćby poświęcać im swoją uwagę, można stwierdzić na podstawie już wówczas poczynionych obserwacji i wynika także jednoznacznie z jego własnych opisów. Pacjent był przez bardzo długi czas tak bardzo zaabsorbowany wydarzeniami zachodzącymi w jego świecie psychicznym, na pojmowanie przez niego rzeczy miały tak wyłączny wpływ obrazy halucynacyjne, był tak całkowicie zdezorientowany, jeśli chodzi o czas, ludzi i miejsca, rzeczywistość została wyparta przez całkowicie przekłamany świat fantazji w takim zakresie, jego myśli nie koncentrowały się tak dalece na naturalnych wydarzeniach, jego wola była do tego stopnia zahamowana i ograniczona lub też skierowana na walkę z urojonymi przeciwnościami, jego działania wreszcie zaś tak niedorzeczne i zastanawiające, zarówno te zmierzające do zachowania swojej własnej tożsamości, jak i te odnoszące się do relacji ze światem zewnętrznym, że nie mogło być mowy o wolnym kierowaniu swoim postępowaniem ani o jakiejś rozsądnej refleksji; co więcej – chory był całkowicie zniewolony przemożnym wpływem choroby.

W poprzedniej opinii przedstawiono, jak ostry atak obłądki pana przewodniczącego Schrebera przechodził stopniowo w stan przewlekły, jak ze wzburzonych fal halucynacyjnego obłąkania krystalizował się i umacniał, że tak powiem, osad urojonych wyobrażeń i narzucił obrazowi jego choroby piętno paranoi. Jako że towarzyszące tym procesom bardzo silne wzruszenia stopniowo słabły, a ataki halucynacji o natychmiastowo obezwładniającym i powodującym rozkojarzenie działaniu traciły na sile, chory mógł pogodzić się niejako z ich występowaniem i odnaleźć sposób na uporządkowanie tego, co się działo w jego psychice. Nie znaczy to, że rozpoznał i zaakceptował jako takie prawdziwe wytwory swego zmienionego chorobowo postrzegania zmysłowego oraz systemu powstające na ich podstawie, nie znaczy to, że wznosił się ponad subiektywizm swoich poglądów i był gotów do obiektywnej oceny zjawisk i zdarzeń; do tego zdolny nie był ze względu na stale pojawiające się przywidzenia, na gruncie których jego urojenia musiały utrwalać się wciąż i wciąż od nowa, ale wraz z zanikiem silnych akcentów afektywnych, wraz z powrotem przytomności umysłu i zdolności orientacji nastąpiło pewne rozdwojenie całości wyobrażeń, dominujący zmieniony chorobowo obszar życia psychicznego oddzielił się bardzo wyraźnie od pozostałego, i choć przy organicznie uwarunkowanej jednolitości całej psychiki niena-

ruszalność tego obszaru jest nie do pomyślenia, co więcej, przechodzenie pozornie częściowych zaburzeń na całość funkcji psychicznych jest wręcz nie do uniknięcia, to mogło jednak – tak jak zwykle w paranoi bywa – również i w tym przypadku zdarzyć się, że po ustąpieniu ostrych objawów choroby wyodrębniły się pewne obszary odczuwania i myślenia w stosunkowo niewielkim stopniu dotknięte przez zmiany chorobowe, że w szczególności intelekt nie wykazywał żadnych istotnych słabości, kojarzenie pojęć pod względem formalnym zdawało się przebiegać poprawnie, natomiast ocena rzeczy i sytuacji leżących poza utrwalonymi, zamkniętymi w pewien system urojeniami okazywała się być zwykle niczym niezmacona i trafna.

Nie można jednakże bez zastrzeżeń powiedzieć, że wraz z tą *zmianą* nastąpiła faktyczna *poprawa* ogólnego stanu zdrowia, nawet jeśli zewnętrzny pozor bardzo za tym przemawia, należałoby stwierdzić coś wręcz przeciwnego: dopóki utrzymywały się ostre objawy choroby, dopóty można było mieć nadzieję na pomyślne zakończenie procesu chorobowego. Teraz, kiedy mamy do czynienia z utrwalonym efektem tego procesu, wszelkie nadzieje są płonne. Brakuje również całkowicie, jak już zostało powiedziane, najważniejszego kryterium poprawy, względnie wyzdrowienia, tj. mniej lub bardziej jasnego przekonania samego pacjenta o chorobowym charakterze wcześniejszych zdarzeń – pan przewodniczący, doktor Schreber, pozostawia wprawdzie kwestią otwartą, czy źródłem tego lub owego jego wrażenia zmysłowego mogą być omamy, czy nie, zasadniczo jednak utrzymuje, że system jego urojeń to rzeczywistość, a uznaje najbardziej nieprawdopodobne z opisywanych przez niego zdarzeń za fakty.

Punkt wyjścia tego skomplikowanego systemu urojeń chorego stanowi dość niezwykle ujęcie istoty Boga

(tu następuje prezentacja tegoż „systemu urojeń” w formie zapisanej drobną czcionką fragmentu „Pamiętnika”; można je tutaj pominąć, ponieważ Czytelnik ma dostęp do samego „Pamiętnika”).

Już z tego krótkiego szkicu, a w szczególności z samych zapisków pacjenta, widać wyraźnie, jak bardzo w całym swoim odczuwaniu i myśleniu pacjent do dziś pozostaje pod wpływem przywidzeń i urojeń, i do jakiego stopnia określają one jego postępowanie, skłaniają go po części do obrony, po części jednak do bezgranicznego poddania się procesom patologicznym, i przede wszystkim w jakim wymiarze warunkują one cały jego wypaczony obraz świata oraz ocenę ludzi i rzeczy. Pozostaje jeszcze tylko zbadać szczegółowo, jeśli jest to w ogóle możliwe, na ile stan chorobowy pacjenta uwidacznia się w jego relacjach ze światem zewnętrznym i w zetknięciu z zadaniami życia codziennego, i w jakim stopniu jest to miarodajne.

Na początku należy po raz kolejny podkreślić, że inteligencja oraz formalno-logiczne łączenie myśli nie uległy u pacjenta, jak to ma miejsce często u paranoików, żadnemu *poważnemu* osłabieniu; chory dysponuje szerokim wachlarzem pojęć i potrafi je wyrażać w uporządkowany sposób, wykazuje się również niczym niezmaconą przytomnością umysłu. Niżej podpisany miał przez trzy czwarte roku podczas wspólnego spożywania codziennych posiłków przy rodzinnym stole doskonałą sposobność do rozmowy z panem przewodniczącym Schreberem na wszelkie możliwe tematy. Jakakolwiek dziedzina nie została by poruszona – poza jego urojeniami, rzecz jasna – czy to sprawy dotyczące administracji państwowej i prawa, polityki, sztuki i literatury, życia społecznego, czy czegokolwiek innego, doktor Schreber zawsze wykazywał się żywym zainteresowaniem, głęboką wiedzą, dobrą pamięcią i trafną oceną, zaś w kwestii etycznej prezentował poglądy, z którymi można się było tylko identyfikować. Podobnie podczas lekkiej pogawędki z obecnymi paniami robił miłe i sympatyczne wrażenie, żartując zaś sobie z pewnych spraw, pozostawał zawsze taktowny i subtelny, nigdy podczas swobodnych rozmów przy stole nie poruszał tematów, które należy omawiać wyłącznie podczas wizyty lekarskiej, a nie tamże. Nie można jednak pominąć milczeniem faktu, że pacjent zdawał się czasami być przy stole jakby czymś zaabsorbowany, coś odwracało jego uwagę, a to, co działo się wokół niego, nie docierało do niego w pełni, tak więc zdarzało się, że poruszał temat, który właśnie przed chwilą został omówiony. To zaabsorbowanie odciska swoje wyraźne piętno na zachowaniu chorego – albo patrzy on wówczas tępo przed siebie, albo kiwa się niespokojnie na krześle, robi dziwne miny, chrząka raz ciszej, raz głośniej, raz po raz dotyka twarzy i wyraźnie stara się podnieść powieki, „zaczarowywane” jego zdaniem, tj. za sprawą cudów zamykane wbrew jego woli. Najwyraźniej kosztem wielkiego wysiłku powstrzymuje się od wydawania z siebie „wyjących dźwięków” i tuż po skończonym posiłku słysząc go, jak idąc do swego pokoju, wydaje z siebie te nieartykułowane dźwięki.

Wywołane halucynacjami rozproszenie uwagi i pojawiająca się na skutek tego dziwaczna reakcja okazywały się uciążliwe również przy innych okazjach. Podczas wycieczek po okolicy, podczas udziału w różnych uroczystościach, podczas jakiejś wizyty w teatrze chory mógł wprawdzie powstrzymać *głośne* wybuchy, czasem jednak po grymasach twarzy, pomrukiwaniach, chrząkaniu, krótkim przerywanym śmiechu i po całej postawie można było poznać, że czuł się bardzo zażenowany, zaś podczas jednej z wizyt u swojej małżonki w Dreźnie nie był w stanie stłumić owych dźwięków, tak że trzeba było skinieniem ręki dać znać służącej, by nie zwracała na to uwagi, natomiast sam chory, mimo że wizyta trwała zaledwie kilka godzin, zaczął nalegać na powrót do zakładu.

Te procesy patologiczne mogą zakłócać nie tylko społeczne relacje chorego; mogą dać o sobie znać również i w innych sytuacjach. Królewski Sąd Rejonowy z siedzibą w Dreźnie podał w swym uzasadnieniu postanowienia o ubezwłasnowolnieniu między innymi, że p. Schreber byłby prawdopodobnie w stanie pokierować trudnym postępowaniem sądowym itd. Należy podać to w wątpliwość. Jak pacjent sam podkreśla, „zakłócenia” (prawdopodobnie celowo wywoływane) uniemożliwiają mu poświęcenie się przez dłuższy czas poważnej wyczerpującej pracy umysłowej; stwierdził także podczas przesłuchania, że jego zdaniem niemożliwe jest, by mógł nadal wykonywać swój zawód, „cuda” bowiem, jakie w nim zachodzą, próbują go rozpraszać, tak więc także stałemu obserwatorowi jego zachowania wydaje się, że chyba nawet nie dałoby się pomyśleć o działaniach wymagających pełnej wolności umysłu i koncentracji, jak powyższe.

Wydaje się, że z zewnętrznych objawów najbardziej uciążliwe są od dłuższego czasu przez samego tak nazywane napady krzyków, tj. wyrzucanie z siebie częściowo nieartykułowanych dźwięków, częściowo gróźb i obelg pod adresem wymagowanego wicherzyciela jego spokoju (Flechsiga p.p.). Te głośne wybuchy pojawiają się całkowicie wbrew woli chorego – automatycznie i przymusowo. Potrafi je wprawdzie (choć nie zawsze) stłumić na krótko, mówiąc coś w ożywiony sposób, grając coś *fortissimo* na fortepianie lub przy pomocy innych sztucznych zabiegów, jednak przez większość dnia krzyki rozlegają się w jego pokoju i w ogrodzie, stanowiąc dość duże obciążenie dla najbliższego otoczenia. Także i w nocy, nierzadko przez kilka godzin, zakłóca to spokój całego oddziału, a nawet miasta, ponieważ chory wykrzykuje czasem w tamtą stronę, nie zważając na nic. Właśnie w ostatnim czasie okrzyki te występują w szczególnie gwałtowny sposób, i o tym, jak sam pacjent cierpi z ich powodu, jak bardzo czuje się bezradny i bezsilny wobec tych „cudów”, i jednocześnie zmuszony do podejmowania najbardziej bezsensownych środków obronnych, może zaświadczyć załączony list. Do owych środków obrony należy między innymi przechadzanie się po pokoju na wpół nago (zapewne by wywołać w sobie często wymieniane poczucie rozkoszy) bądź przestawanie przed lustrem w szeroko wykrojonej podkoszulce przystrojonej kolorowymi wstążkami i oglądanie swego biustu, który jego zdaniem przybrał już kobiece kształty. Takim zachowaniem (wcześniej wystawiał również niekiedy za okno nagie nogi) pacjent naraża się na przeziębienia, których skutki z kolei traktuje jak kolejne cuda. Trzeba jednak powiedzieć, że nie jest jego zamiarem szkodzić sobie, porzucił również myśl o samobójstwie, ponieważ uważa, że nawet najgorsze okaleczenia nie są w stanie mu zaszkodzić.

Obecnie chory żywi przekonanie, że owe krzyki po ewentualnym opuszczeniu zakładu może z czasem nie będą tak straszne, wierzy w każdym ra-

zie, że znajdując sobie jakieś oddzielne mieszkanie w ogrodzie, będzie mógł uniknąć sytuacji, w których jego krzyki zakłócałyby spokój współmieszkańców. Jest to jednak błędne przekonanie, ponadto widać wyraźnie, że chory w swoim nadmiernym egoizmie uwarunkowanym chorobą w ogóle nie myśli o tym, jak bardzo naraziłby takim posunięciem swoją żonę na cierpienia – ba, pożycie małżeńskie uczyniłby wręcz niemożliwym, nie wspominając już o tym, że również i teraz obciążanie najbliższego otoczenia swoim zachowaniem nie ma dla niego żadnego znaczenia i uskarża się jedynie na *swoje* cierpienia.

Jak wynika z doniesień małżonki, zdarzają się także inne sytuacje, w których choroba negatywnie wpływa na ich związek małżeński. Chory już dawniej ze względu na przewidywaną w przyszłości utratę męskości podawał żonie pod rozwagę ewentualny rozwód; podobnie teraz przy jakimkolwiek sprzeciwie tejże wobec jego zachowania lub głoszonych przez niego idei natychmiast daje jej do zrozumienia, że może się z nim rozstać. A więc i w tym względzie nie można nie zauważyć, że pacjent działa pod przymusem choroby.

Trudno przewidzieć, czy chory po odzyskaniu upragnionej samodzielności będzie poświęcał wystarczająco dużo uwagi swoim sprawom majątkowym, i czy przy całym swoim zachowaniu będzie je brał pod uwagę, ponieważ nie miał naturalnie już od dłuższego czasu okazji podejmować samodzielnych decyzji w poważniejszych sprawach finansowych. Jak można było zaobserwować, chory nie wykazywał ani jakiegóż szczególnej oszczędności, ani skłonności do rozrzutności; przy zaspokajaniu swoich potrzeb w ogóle nie pytał o pieniądze, natomiast zabezpieczając prawa rodziny w kwestii nakładu opublikowanej przez ojca książki, postępował – jak można było się zorientować – bardzo rzeczowo. W obliczu tak wielkiej misji, jaka obecnie przypadła mu w udziale, sprawy finansowe schodzą wyraźnie na dalszy plan, i wątpię, by dążenie do spełnienia wyrażonych pod koniec swego „Pamiętnika” uwarunkowanych chorobowo pragnień i nadziei na przyszłość oraz dążenie do zapewnienia sobie błogostanu, możliwego tylko po spełnieniu pewnych przesłanek, mogłoby pociągnąć za sobą jakieś szalone ofiary finansowe.

Najważniejszym kryterium oceny zdolności do czynności prawnych pacjenta jest i pozostanie fakt, że nie uznaje on chorobowej natury nawiedzających go podszeptów i wizji, że wszystko to, co przeciętnemu obserwatorowi wydaje się omamem i urojeniem, dla niego jest niepodważalną prawdą i całkowicie uprawnionym motywem do działania. Wynika z tego, że nie da się zupełnie przewidzieć, jaką pacjent w danym momencie podejmie decyzję, czy zapadnie ona i zamieni się w czyn w oparciu o względnie nietknięty chorobą system pojęć lub też pod wpływem chorobowych procesów zachodzących w psychice. Chciałbym tu zwrócić jeszcze szczególną uwagę na pewien

znamienny przykład i między innymi z tego powodu dołączam „Pamiętnik” pacjenta. Jest zupełnie zrozumiałe, że ten ostatni odczuwał potrzebę opisanie historii ostatnich lat swego życia, że chciał utrwalić na piśmie swoje zmysłowe doznania i cierpienia, i przedstawić je tym, którzy w tym czy innym względzie mają prawo być zainteresowani kształtowaniem się jego losu. Chory pragnie zatem jak najszybciej oddać do druku swój „Pamiętnik” (w takiej formie, jaką mamy tutaj przed sobą) i udostępnić go jak najszerszym kręgom czytelników, negocjuje więc, dotychczas oczywiście bezskutecznie, z pewnym wydawcą. Jeśli przejrzymy treść jego tekstu i zauważymy, że zawiera on mnóstwo niedyskrecji dotyczących zarówno jego samego, jak i innych osób, opisane bez najmniejszego zażenowania najbardziej zdumiewające i pod względem estetycznym po prostu nie do przyjęcia sytuacje i zdarzenia, gorszące mocne wyrażenia itd., to nasuwa się pytanie, czy człowiek odznaczający się skądinąd taktem i wyczuciem mógłby podjąć tak kompromitujące go publicznie kroki, gdyby jego światopogląd nie był zafałszowany przez chorobę, gdyby potrafił oceniać zdrowym okiem rzeczywistość i gdyby przecenianie swojej nadrzędnej roli, wynikające z braku świadomości swojej choroby, nie przesłaniało mu granic obowiązujących człowieka w społeczeństwie.

Niech mi będzie wolno poprzestać na niniejszych rozważaniach wraz ze wspomnianymi załącznikami. Zamieszczony w nich faktyczny materiał, choć z wyżej wymienionych powodów niepełny, jest zasadniczo wystarczający, a obecny stan rzeczy rysuje się w nich na tyle wyraźnie, że mogą one moim zdaniem stanowić dokumentację potrzebną do podjęcia przez sędziego decyzji, czy i w jakim stopniu istniejące jeszcze do dziś omamy i przetworzone w pewien system urojenia mają negatywny wpływ na wolne stanowienie o sobie samym pana przewodniczącego doktora Schrebera, czy zniewalają jego myślenie, wolę i czyny, wpływają znacząco na jego nastrój i zachowanie, i czy w związku z tym istniejąca choroba psychiczna, jej rozmiar i intensywność jest wystarczającym powodem, by uniemożliwić choremu kierowanie swoimi sprawami w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Tajny radca medyczny dr Weber,
lekarz zakładowy, rejonowy i sądowy

III. Uzasadnienie zaskarżenia wyroku

W uzasadnieniu złożonego przeze mnie odwołania oświadczam, co następuje:

I. Odnośnie do stanu faktycznego ujętego w zaskarżonym przeze mnie wyroku

Stan faktyczny ujęty w zaskarżonym przeze mnie wyroku nie zawiera zasadniczo nic więcej ponad przedstawienie treści oświadczenia z 16 maja 1900 roku, złożonego onegdaj przez mego adwokata w sądzie procesowym. Z treścią owego oświadczenia mogłem się ogólnie zgodzić, co też uczyniłem w liście z 24 maja 1900, jakkolwiek niektóre prawne wywoły mego adwokata, np. punkt 1 w opisie stanu faktycznego, jak również punkt 2 samego oświadczenia, nie mogły być uznane przeze mnie za trafne. To, co muszę uznać w oświadczeniu za słuszne, wyszło w niemałym stopniu spod mojego pióra, tzn. zostało zaczerpnięte z opisu, jaki 24 marca 1900 przekazałem dyrekcji tutejszego zakładu, a którego odpis, o ile mi wiadomo, znajduje się w aktach sądowych.

Z dwoma punktami opisu stanu faktycznego muszę się jednak stanowczo nie zgodzić. Jednakowoż nie mogę spodziewać się poprawki w opisie stanu faktycznego w myśl § 320 (Regulamin Procesów Cywilnych), ponieważ nie mogę podać w wątpliwość, że mój adwokat podczas rozprawy ustnej faktycznie przedstawił rzeczony wyjaśnienia. Wyjaśnienia mego adwokata opierają się jednakże na daleko idącym niezrozumieniu mego ujęcia sprawy; dlatego też chodziłoby tu raczej o odwołanie zeznań w myśl §290 Regulaminu Postępowania Cywilnych.

A oto dwa rzeczony punkty.

1) Zaraz na początku opisu stanu faktycznego, adekwatnie do odpowiedniego miejsca w oświadczeniu mego adwokata, jest napisane:

„Powód nie zaprzecza, że jest chory umysłowo.”

Jest to nieprawdą; zaprzeczam z całą stanowczością, że jestem chory umysłowo, jeśli pod tym słowem *rozumie się*, jak to zazwyczaj bywa u laików, *zaburzenia umysłowe*. Wyraziłem się na ten temat wystarczająco jasno w moim opisie z 24 marca 1900, przesłanym do Dyrekcji Zakładu.

Wyjaśniłem tam również, że nie zaprzeczam istnieniu choroby umysłowej w *sensie choroby nerwowej*; zwróciłem jednak dobitnie uwagę na różne znaczenia słowa „umysłowo chory” w sensie medycznym i prawnym.

Zgodnie z powyższym, chciałbym złożyć tu jeszcze dokładniejsze wyjaśnienia. Nie zaprzeczam, że mój system nerwowy znajduje się od szeregu lat w stanie choroby. Z całą stanowczością zaprzeczam jednakowoż, że jestem chory umysłowo albo że kiedykolwiek byłem. Mój umysł – tj. funkcjonowanie mojego rozumu – jest tak jasne i zdrowe, jak ma to miejsce u jakiegokolwiek innego człowieka; pozostawał on także – pomijając kilka niewiele znaczących hipochondrycznych wyobrażeń – od początku mojej choroby nerwowej jednakowy. W swej opinii biegły lekarz wymierza więc, zakładając, że jestem chory na paranoję (szaleństwo), cios w oblicze prawdy tak wielki, że już większy być nie może. Pisząc to zdanie, *jestem jak najdalej od tego, by obrażać bieglego; w najmniejszym stopniu nie wątpię, że orzeczenie zostało sporządzone w dobrej wierze*. Nie może mnie to jednak w sytuacji, gdy uznanie mojej zdolności do czynności prawnych stoi pod znakiem zapytania, powstrzymać od tego, by w sposób bezwzględny i otwarty wyrazić moje przekonanie, iż opinia jest – *obiektywnie rzecz ujmując – chybiona*. Jak doszło do tego, że jest ona takiej właśnie treści, będę starał się wyjaśnić w dalszej części mego uzasadnienia.

2) Druga nieprawidłowość znajduje się w punkcie 3b opisu stanu faktycznego, stwierdzającym, iż ja sam jestem głęboko przekonany o samych korzyściach dla mojego zdrowia psychicznego, wynikających z pobytu w zakładzie leczniczym w Sonnenstein. To zdanie znajduje się również w oświadczeniu mego adwokata, ale już ubiegłego lata byłem zmuszony wyrazić moje zastrzeżenia co do jego słuszności; poniżej przedstawiam dosłowny fragment listu napisanego 14 czerwca 1900 roku do mego adwokata.

Ponieważ zdecydowałem się napisać do Pana, nie omieszkam dodać, że wyrażona w moim liście z 24 maja br. zgoda co do treści sporządzonego przez Pana oświadczenia musi ulec pewnym ograniczeniom, czego nie zdecydowałem się zrobić wcześniej ze względu na przekonanie, że nie wnosi to niczego istotnego do prawnej oceny sprawy. Chodzi o fragment, w którym rzekomo wyrażam przekonanie, iż mój pobyt w zakładzie leczniczym może jedynie korzystnie wpłynąć na

mój powrót do zdrowia psychicznego. To nie jest do końca prawdą. Na razie nie naciskam na zwolnienie mnie z zakładu tylko dlatego, że po spędzeniu tu sześciu lat nie ma to już większego znaczenia, czy pobyt tutaj potrwa jeszcze pół roku, czy rok dłużej, a ponadto dlatego, że mój powrót do dawnego domostwa wymagałby pewnych przygotowań odnośnie warunków mieszkaniowych itp. Nie obiecuję sobie natomiast po dalszym pobycie w tutejszym zakładzie żadnych korzyści dla mego zdrowia. W żadnym wypadku nie może tu być mowy o przywróceniu jasności umysłu, ponieważ ta istniała nienaruszona przez cały czas; zaś mojej nadwrażliwości nerwowej nie można pozbyć się żadnymi ludzkimi metodami; ponieważ ma ona związek z rzeczami nadprzyrodzonymi, będzie trwała aż do końca moich dni, chyba że wcześniej nastąpi w moim ciele jakaś zmiana, która otworzy oczy również innym ludziom.

Oczywiście nie jest moim życzeniem spędzić reszty mego życia, zamartwiając się, w zakładzie, gdzie moje zdolności umysłowe leżą niemalże odłogiem i gdzie niemalże całkowicie pozbawiony jestem kontaktu z kształconymi ludźmi, jak i innych przyjemności życiowych. Gdyby ze względu na pewne stany (np. krzyki) moja obecność w miejscach publicznych budziła wątpliwości, umiałbym narzucić sam sobie niezbędne w takiej sytuacji odosobnienie.

Pozostawiam do Pańskiej decyzji, czy uzna Pan za stosowne dołączyć odpis tego listu dla lepszej orientacji sądu do akt sądowych.

Po tym jak sąd – ku mojemu wielkiemu zdumieniu – w uzasadnieniu wyroku końcowego z 13 kwietnia br. kierował się przesłankami, o których – moim zdaniem – w całkowicie poprawnym postanowieniu dowodowym z 15 czerwca 1900 roku nie było najmniejszej wzmianki (postanowienie dowodowe niemalże dosłownie przytacza wersję, jaką sam zaproponowałem w moim liście z 4 kwietnia 1900 – załącznik A oświadczenia z 16 maja 1900), muszę wyrazić moje głębokie ubolewanie, że treść mojego przytoczonego powyżej listu z 14 czerwca nie dotarła do wiadomości sądu. Kwestionowany przeze mnie fragment mógłby się również znaleźć w niezmienionej formie w ujętym w wyroku opisie stanu faktycznego.

II. Odnośnie do podstawy orzeczenia wyroku

Uzasadnienie zaskarżonego przeze mnie wyroku opiera się zasadniczo na – drugiej – opinii pana biegłego z 28 listopada 1900 roku; przeważająca część wyводу została niemal dosłownie przejęta z tejszej opinii, tak więc by

je obalić, będę musiał w gruncie rzeczy ograniczyć się do omówienia kwestii, w jakim stopniu i czy w ogóle treść opinii można uznać za słuszną.

Tylko nieliczne punkty są dopiskami samodzielnie sporządzonymi przez sąd; zanim przejdę do szczegółowego omówienia treści samego orzeczenia, zajmę się właśnie nimi.

Zaakceptować mogę jedynie uwagi zawarte w podstawie orzeczenia wyroku, które mówią, że nie istnieją powody do obaw, że przy danej mi wolności dysponowania moją własną osobą narażałbym na niebezpieczeństwo swoje życie oraz że przytomność mego umysłu jest niezachwiana, a tak zwane stany, w których wydaję z siebie krzyki, można pominąć, ponieważ jedynie policyjne względy nie mogą stanowić uzasadnienia utrzymania w mocy orzeczenia o ubezwłasnowolnieniu.

Inna samodzielna uwaga znajduje się pod koniec podstawy orzeczenia, w zdaniu stwierdzającym, że ulegam omamom, w wyniku czego wydaje mi się, że widzę przed sobą ludzi, których tak naprawdę nie ma („pobieżnie wytworzeni ludzie”). Jeśli ktoś zechciałby zadać sobie trochę trudu i przeczytał uważnie odpowiedni fragment moich „Pamiętników”, musiałby uznać tę uwagę za z gruntu fałszywą, tym bardziej że wyrażona została w czasie teraźniejszym. „Powód *twierdzi*, że widzi przed sobą ludzi” itd. Cała wizja „pobieżnie wytworzonych ludzi” pochodzi z czasów, które od dawna mam już za sobą; utrzymywała się jedynie w pierwszym roku (lub co najwyżej w pierwszych dwóch latach) mego pobytu w tutejszym zakładzie. Zostało to dostatecznie jasno opisane na początku rozdziału XVI moich „Pamiętników”. Pozwolę sobie na dzień dzisiejszy nie wnikać w to, czy u podstaw owej wizji leżały przywidzenia, czy może rzeczywiste wydarzenia. Chodziłoby tu w każdym razie, jak pan biegły – bodajże na ósmej stronie ostatniej opinii (mogę jedynie cytować na podstawie odpisu, jaki mam przed sobą, nie powinno jednak stanowić trudności znalezienie później odpowiednich miejsc w oryginale znajdującym się w aktach sprawy) – słusznie podkreśla, jedynie o wcześniejsze fazy choroby, które dla oceny aktualnego stanu nie mają znaczenia. Teraz wiem już od dawna, że osoby, które przed sobą widzę, nie są „pobieżnie wytworzonymi ludźmi”, lecz ludźmi prawdziwymi, i że muszę się w związku z tym zachowywać wobec nich tak, jak zazwyczaj zachowuje się rozsądny człowiek w kontaktach z innymi ludźmi. Zdanie kończące podstawę orzeczenia wyroku, że ze względu na moje wcześniej istniejące wyobrażenia zachodzi niebezpieczeństwo nierozsądnego działania, traci w tej sytuacji bez wątpienia swoją wartość jako istotny uzasadniający podjętą decyzję argument.

Przejdę teraz do omówienia wydanych opinii lekarskich. Wychodzą one *a priori* z przyjętego w milczeniu założenia, że wszystko, co zapisałem w „Pamiętnikach” bądź też głosiłem przy innej okazji o zaistniałej relacji

między mną a Bogiem, jak też o boskich cudach, jakie dokonywały się na mojej osobie, polega na chorobliwym urojeniu. Gdybym miał wyrazić stan moich prawdziwych uczuć wobec takiego stanowiska, mógłbym to zrobić tylko przy pomocy zawołania, jakie Hus wykrzyknął niegdyś, widząc chłopca niosącego drewno na jego stos: *O sancta simplicitas!* Nie chcę, by zabrzmiało to z mojej strony jak wyraz wyższości wobec pana bieglego; byłoby mi naprawdę przykro, gdyby któreś z moich słów uraziło tajnego radcę pana Webera, do którego ze względu zarówno na jego charakter, jak i zawodowe oraz naukowe kompetencje żywię ogromny szacunek. Wiem również bardzo dobrze, że pan biegły nie mógł postąpić inaczej, jak tylko zmierzyć mój przypadek powszechnie przyjętą miarą wynikającą z naukowego doświadczenia. Z drugiej jednak strony – i mam nadzieję, że wybaczy mi on – muszę wyrazić mój ostry sprzeciw wobec prezentowanego przezeń stanowiska. Muszę to jasno powiedzieć: *niepodważalność poznania przeze mnie Boga i bezwzględna pewność, że mam do czynienia z Bogiem i boskimi cudami, stoi wysoko ponad wszelką ludzką naukę.* Być może brzmi to arogancko; jestem świadomy tego, że przekonanie to nie wynika w najmniejszym stopniu z mojej próżności bądź chorobliwego przeceniania własnej wartości. Pomijając moje bez wątpienia rozliczne uzdolnienia w wielu dziedzinach, nigdy nie ukrywałem, że mają one i swoje wady; nigdy nie rościłem sobie pretensji do bycia pierwszym umysłem narodu; nie jest to wszakże moją zasługą, że na skutek cudownego zrządzenia okoliczności dane mi było wejrzeć w prawdziwą istotę boskich spraw w stopniu niewspółmiernie większym niż jakimkolwiek innemu człowiekowi dotychczas; trzeba dodać, że ten wgląd musiałem przez szereg lat okupywać poczuciem całkowitej utraty szczęścia. Ale tym pewniejsze są dla mnie jego efekty; stały się one w istocie sednem całego mojego życia i muszą nim pozostać, ponieważ Bóg objawia mi się i teraz, wciąż od nowa każdego dnia i godziny, mógłbym nawet rzec – w każdej chwili, czyniąc cuda i przemawiając. Stąd bierze się mój stale pogodny nastrój, jaki mimo wszelkich okropieństw, na jakie jestem wciąż narażony, każdy może u mnie podczas kontaktów z innymi ludźmi, również z osobami niewykształconymi i dziećmi – tylko nie szaleńcami – zaobserwować; stąd wypływa spokojna życzliwość, z jaką wychodzę również do tych, którzy w minionych latach nieświadomie sprawiali mi przykrość; tłumaczy to również, dlaczego tak niezrównanie wielką wagę przykładam do opublikowania moich „Pamiętników”. Gdyby bowiem w ten sposób udało mi się chociażby zasiać wśród ludzi poważne wątpliwości, czy nie dane mi było przypadkiem zajrzeć za ciemną zasłonę, jaka innym ludziom przesłania tamten świat, wówczas moją pracę można by było z pewnością zaliczyć do najbardziej interesujących dzieł, jakie zostały napisane kiedykolwiek od początku istnienia świata.

Nie mogłem sobie odmówić, by – zanim przejdę do omówienia szczegółów – podkreślić moje zasadnicze stanowisko z całą stanowczością, ponieważ zarówno wyrok, jak i opinia biegłego zdają się sobie rościć prawo do traktowania mnie nieco z góry – zresztą, jak sam przyznałem, skądinąd nie bezpodstawnie, bowiem stoją za nimi autorytety państwowe. Oczywiście muszę sobie jednak jasno powiedzieć, że w tej chwili istnieją niewielkie szanse, by udało mi się przekonać innych ludzi do tego mojego zasadniczego stanowiska, a w szczególności by miało ono znaczenie dla rozstrzygnięcia obecnego procesu. Wcześniej uważałem nawet z tego powodu za możliwe i stosowne, by podczas procesu w sprawie mojego zaskarżenia orzeczenia o ubezwłasnowolnieniu nie włączać się do żadnej dyskusji na temat moich rzekomych omamów i urojeń; obawiałem się bowiem – jak podkreśliłem już w moim piśmie do Dyrekcji Zakładu z 24 marca 1900 roku – że odwróci to uwagę sądu od zasadniczego i jedyne podlegającego jego kompetencji pytania, *czy posiadam w praktyce zdolność rozsądnego kierowania moimi sprawami*. Jednak w ostatnim czasie doszedłem do przekonania, że pewnego uznania moich tak zwanych urojeń lub moich religijnych wyobrażeń nie da się uniknąć, i nie chodzi tu jedynie o uznanie ich formalnej strony, czyli ich logicznej spójności i uporządkowanej budowy, ale raczej o kwestię, czy u podstaw mojego systemu urojeń, jak to się z upodobaniem nazywa, nie leży jakieś ziarno prawdy. Czuję się zmuszony do podjęcia próby – może nie nawrócenia na moją wiarę, taka próba miałaby tymczasowo niewielkie szanse na powodzenie – ale uzmysłowienia innym ludziom, a w szczególności sędziom, że spisane w mych „Pamiętnikach” doświadczenia i rozważania nie powinny być traktowane bez zastanowienia jako *quantité négligeable*, jako nic nie znaczące fantazje pomyłonej głowy, których z założenia nie warto czynić przedmiotem dalszych rozmyślań i *ewentualnej obserwacji mojej osoby*. Tylko w ten sposób uda mi się być może wytłumaczyć przed sądem, że tak małowartościowe, a jednak dla ludzi mające decydujące znaczenie refleksje, jak np. взгляд na wrażliwość osób trzecich, obawa przed wyjawieniem tak zwanych tajemnic rodzinnych czy nawet sam strach przed karą odgrywają u mnie bardzo ograniczoną rolę, jeśli w grę wchodzi osiągnięcie świętego celu, który muszę traktować wręcz jako zadanie mojego życia.

W dalszej części mego uzasadnienia przytoczę kilka punktów (i ewentualnie później udowodnię), za pomocą których mam nadzieję wprawdzie nie dowieść prawdziwości opisywanych przeze mnie cudów, ale uczynić je na tyle wiarygodnymi, by zrodziły wątpliwość, zanim z góry zostaną odrzucone jako czysta bzdura, i dopuścić taką ewentualność, że cała wizja mogłaby stać się dla całego świata naukowego punktem wyjścia do dalszych rozważań. Niestety, chodzi tu tylko o kilka nielicznych punktów, które dotyczą najczęściej

pozornie dość mało znaczących wydarzeń; w naturze rzeczy leży bowiem fakt, że niewspółmiernie większą część wrażeń nadprzyrodzonych, których odbieram wręcz bez liku, odbiera tylko moja świadomość, a przez innych ludzi nie są dostrzegane żadne ich zewnętrzne ślady. Wszakże jednak i te nieliczne zjawiska, o których chcę opowiedzieć, mogą wzbudzić pewne zadziwienie u każdego człowieka, który swój osąd wydaje bez uprzedzeń.

1) W moim fortepianie *pękła* z biegiem lat – jak twierdzą, za sprawą cudów – niewspółmiernie wielka liczba *strun*. Było ich w sumie może około 30–40; nie chodzi tu jednak o dokładne liczby; tylko w samym roku 1897 rachunek za pęknięte struny wynosił 86 marek. Samemu faktowi mój procesowy przeciwnik, Królewska Prokuratura, chyba nie zaprzeczy; mógłbym ewentualnie dowieść powyższego przez powołanie na świadka moją żonę, opiekuna Möbiusa, oraz sklep muzyczny C.A.Klemm z Drezna, czy też – jeśli zaszłaby taka potrzeba – potwierdzającą wypowiedź w kolejnej opinii dyrekcji Królewskiego Zakładu Leczniczego. W kwestii mojego założenia, że pęknięcia strun nie mogło spowodować nierozsądne zachowanie z mojej strony (tłuczenie w *klawiszach*), pozwolę sobie odesłać do treści rozdziału XII moich „Pamiętników” (mniej więcej w połowie); by uniknąć powtórzeń, proszę o przeczytanie tego, co tam powiedziałem. Każdy biegły z branży fortepianowej potwierdzi, jak sądzę, fakt, że nikt nie jest w stanie przez samo uderzenie w *klawiszach*, nawet przy użyciu największej siły, spowodować pęknięcia *strun*; prosiłbym ewentualnie o odpowiednią opinię. Jeśli tak jest, że pęknięcia strun fortepianu, o ile w ogóle się zdarzają, są niezwykle rzadkością – mnie nie zdarzyło się wcześniej w całym moim życiu, również nigdy o tym nie słyszałem, by komukolwiek coś podobnego się przytrafiło; być może zdarza się to w salach koncertowych przy silnych wahaniami temperatur w odniesieniu do zbyt mocno napiętych strun *instrumentów smyczkowych*, ale z pewnością nie w odniesieniu do strun fortepianu – *jak wytłumaczyć zatem tak zaskakująco dużą liczbę uszkodzeń tego rodzaju występujących właśnie na moim fortepianie? Czy można myśleć tu o jakiegokolwiek naturalnej przyczynie?*

2) Zupełnie niesamowitym zjawiskiem musiały się wydawać dla całego mego otoczenia od szeregu lat – ale *nie* w pierwszych latach mej choroby – występujące z dużą częstotliwością tak zwane *krzyki*. Istotę tego zjawiska określiłem już w opisie przekazanym Dyrekcji Królewskiego Zakładu 24 marca 1900 roku. Pisałem tam, że moje mięśnie biorące udział w procesie oddychania (a więc zapewne mięśnie płuc i klatki piersiowej) są bezpośrednio za sprawą cudu boskiego wprawiane w taki ruch, że czuję się *zmuszony* wydawać z siebie wycie lub krzyk, o ile nie koncentruję moich sił na ich tłumieniu, co zresztą przy nagłości takich impulsów nie zawsze jest możliwe albo co byłoby możliwe jedynie przy ustawicznym kierowaniu uwagi

tylko w to miejsce. O celu, jaki ma być owym cudem według mnie osiągnięty, można przeczytać w moich „Pamiętnikach” w rozdziale XV, w pierwszej części, ad. 3. W to, że owych krzyków nie symuluję ani nie prowokuję siłą woli – jest to również dla mnie uciążliwość trudna do zniesienia – nie wątpi aktualnie także sam biegły (por. ostanía opinia, str. 28 i 31 posiadanego przeze mnie odpisu); uznaje on, że powstrzymywanie się od wydawania tych ryczących odgłosów kosztuje mnie często bardzo dużo wysiłku i że owe głośne wybuchy krzyku następują całkowicie wbrew mej woli *automatycznie i przymusowo*. Muszę postawić tutaj pytanie: *Czy nauka znalazła jakiegokolwiek zadowalające wyjaśnienie takiego zjawiska? Czy w annałach psychiatrii znajdzie się choć jeden przypadek mówiący o tym, że u człowieka cierpiącego na taką formę choroby umysłowej, jakiej istnienie zakłada się u mnie (paranoja), który jednak odznacza się, jak się jednocześnie zauważa, wysoką inteligencją, niezachwianą przytomnością umysłu, taktownym i subtelnym zachowaniem podczas towarzyskiej rozmowy, etycznie prawidłowymi poglądami itd., którego natura pod żadnym pozorem nie zdradza skłonności grubiaństwa, zaobserwowano tego rodzaju pojawiające się automatycznie wybuchy krzyku albo odgłosy przypominające ryk – które biegły lekarz nazywa, jeśli występują one w łagodniejszej formie, mručeniami, chrząkaniem bądź pojawiającym się z nagłą i urywanym śmiechem. Nie mam oczywiście szerszego dostępu do doświadczeń, jakie zebrano na podstawie obserwacji innych chorych umysłowo, wychodzę jednak z założenia, że na postawione przeze mnie pytania można odpowiedzieć jedynie przecząco. Jeśli moje założenie jest słuszne, to nalegam, by potwierdzono to, uzupełniając opinię lekarską. Nie oczekuję oczywiście, że biegły *pozytywnie* ustosunkuje się do mego objaśnienia, że zachodzące zjawiska polegają na cudach, ale *negatywne* stanowisko wobec faktu, że chodzi tu o wyjątkowy jak dotychczas przypadek, o unikatowe zjawisko na polu psychiatrii, nie pozostałoby moim zdaniem bez wpływu na ocenę mojego przypadku, o ile później przynajmniej nie wykluczono by pewnego stopnia wiary w to, że w moim przypadku trzeba by przynajmniej rozważyć możliwość oddziaływania sił nadprzyrodzonych. Taki punkt widzenia miałby jeszcze większe znaczenie, gdyby biegły mógł następnie potwierdzić, że odgłosy ryczenia prawie nigdy nie pojawiają się podczas zwykłej rozmowy, kiedy przebywam w towarzystwie ludzi wykształconych lub poruszam się poza zakładem na parowcach, w pociągach, w miejscach publicznych, na ulicach miasta itd., lecz dają się zauważyć głównie wtedy, kiedy jestem sam w pokoju lub w przyzakładowym ogrodzie wśród samych szaleńców, z którymi niemożliwa jest żadna rozmowa. Gdyby nauka zmuszona była przyznać, że nie potrafi w dostateczny sposób wyjaśnić tej sytuacji, wówczas nie byłoby innej możliwości, jak tylko przyznać w pew-*

nym sensie rację *mojej* wykładni istniejącego stanu rzeczy. Jak z niej wynika, chodzi właśnie o cuda; wszystkie zjawiska można mianowicie wyjaśnić w ten sposób, że promienie (czyli innymi słowy Bóg) decydują się z reguły tylko wówczas na odwrót, jeśli przestają myśleć o czymkolwiek i jeśli nie mam żadnych wrażeń wzrokowych, tak bardzo przyciągających promienie. Takich wrażeń wzrokowych nigdy nie brakuje na przykład podczas wyjść na ulice miasta, gdzie mogę oglądać okna wystawowe, gdzie przemieszcza się mnóstwo innych osób, szczególnie kobiet, itd. (w sprawie szczegółów – por. moje „Pamiętniki”, rozdział XV, pierwsza część, jak również suplementy III i V do „Pamiętników”, tuż za początkiem ostatniego akapitu).

3) W ostatniej opinii (strona 28 nn posiadanego przeze mnie odpisu) stwierdza się, że – pod czym z pewnymi zastrzeżeniami całkowicie się podpisuję – podczas obiadu wydaję się być od czasu do czasu „czymś zajęty”, patrzę nieruchomo przed siebie (raczej siedzę z zamkniętymi oczyma), wykrzywiam twarz w dziwny sposób i wyraźnie staram się podnieść powieki do góry; tym samym potwierdza się, że wcześniej musiały być one zamknięte, przy czym – i temu nie zaprzeczy zresztą także biegły – otwieranie powiek nie następuje za pomocą rąk lecz z użyciem siły mięśni znajdujących się w powiekach.

Pan biegły zajmuje się tymi „halucynacyjnymi zdarzeniami” i następującą po nich „specyficzną reakcją” jedynie pod kątem tego, na ile rzeczony „patologiczne zdarzenia” mogą zakłócać współżycie w społeczeństwie. Dla mnie mają one o wiele większe znaczenie niż *dostrzegalne dla innych ludzi znaki*, że cała moja muskulatura ulega jakimś wpływom, które można przypisać jedynie pewnej zewnętrznej sile, innymi słowy – boskim cudom. Mógłbym tutaj do tego, co zechciał podkreślić biegły, dodać jeszcze kilka innych spostrzeżeń, np. że od czasu do czasu następuje u mnie *trwająca zaledwie kilka minut głuchota*, że w pewnych momentach – także wtedy, kiedy zachowuję się bardzo spokojnie – pojawia się bardzo silne przyspieszenie oddechu, tak że dosłownie łapię powietrze, a usta rozwierają się przy tym w nienaturalny sposób itd., itd. Każdy, kto obserwuje mnie uważnie, dostrzeże wszystkie te rzeczy; dlatego też uczestnictwo w rozmowie, w możliwie dobrym nastroju i w niewymuszony, naturalny sposób, kosztuje mnie często niezwykle dużo psychicznego wysiłku; żaden człowiek nie może sobie bowiem nawet wyobrazić, co za rzeczy dzieją się wówczas w mojej głowie i na całym moim ciele.

Wiadomym jest mi, że halucynacje, tzn. bodźce słuchowe, według których odbierane są pewne głosy, oraz konwulsyjne drgawki, tzn. skurcze mięśni, szczególnie muskulatury twarzy, nie należą jako zjawiska towarzyszące chorobowym stanom nerwowym do rzadkości. Wydaje mi się jednak,

że mam prawo sądzić, i myślę, że wolno mi będzie liczyć na potwierdzenie tego w formie opinii biegłego, że zachodzące we mnie zjawiska wskazują na tak wyraźne odstępstwa od tego, co dotychczas obserwowano, że nie będzie można postąpić inaczej, jak tylko uznać je, także pod względem przyczyny, za zjawiska specyficznie różne od występujących w innych przypadkach.

O pojawiających się u mnie halucynacjach wypowiedziałem się obszernie w IV części suplementów do moich „Pamiętników”, i tam proszę szukać szczegółów związanych z powyższym. Z opinii biegłego mogę z pewną satysfakcją wywnioskować, że przypisuje on moim halucynacjom pewne znamiona *realności* w tym sensie, że nie zaprzecza w oczywisty sposób, że faktycznie słyszę „głosy” opisane przeze mnie w „Pamiętnikach”. Różnica poglądów polega więc jedynie na tym, czy obiektywne wrażenie słyszenia głosów jest wynikiem chorego funkcjonowania moich własnych nerwów, czy też działa na nie jakaś zewnętrzna przyczyna, innymi słowy, czy moje własne nerwy – by tak rzec – mamiać mnie dźwiękiem jakichś głosów, czy też jakaś istota znajdująca się poza moim ciałem przemawia do mnie tymi głosami. Podobnie w związku z „grymasami”, wykrzywianiem twarzy, zamykaniem oczu itd. nasuwa się pytanie, czy chodzi tu o wynikające z choroby moich nerwów skurcze mięśni, czy też istnieje może jakiś bodziec poza ciałem. *W rzeczy samej stają tutaj naprzeciwko siebie dwa twierdzenia, jedno przeciwko drugiemu.* Racjonalizm z góry wykluczy, rzecz jasna, możliwość istnienia będącego wynikiem boskiego cudu bodźca zewnętrznego. Szczęśliwie w świecie nauki racjonalizm prawie nigdzie nie jest jedynie obowiązującym kierunkiem (...). Mnie jednak, któremu nie chodzi o to, by udowodnić cuda, lecz jedynie o to, by stworzyć odpowiedni klimat, w którym ludzie zaczęliby wierzyć w *możliwość* nadprzyrodzonych oddziaływań w kontekście mojej osoby, w zupełności wystarczyłoby, gdyby biegły zechciał potwierdzić, że omawiane tu zjawiska również i w moim przypadku noszą specyficzne znamiona, zupełnie odbiegające od dotychczasowych naukowych doświadczeń. Zakładam, że opisany przeze mnie rodzaj halucynacji, a w szczególności mówiące nieprzerwanie, niedające w żaden sposób odwrócić swojej uwagi ani uciszyć głosy są czymś niesłychanym, podobnie reakcje mięśni, które zmuszały pacjenta, *wbrew* jego woli (co biegły sam przyznaje), do zamykania oczu, do wydawania odgłosów podobnych do ryczenia itd., które powodowały w pewnym momencie dziwne przyspieszenie oddechu, również wtedy, gdy pacjent zachowywał się spokojnie, itd. nie były, poza moim przypadkiem, nigdy wcześniej obserwowane. Chciałbym, by i to założenie, jeśli nikt nie będzie w stanie go podważyć, zostało w sposób dobitny potwierdzone opinią biegłego. Przy czym zależałoby mi szczególnie na tym, by pan biegły zechciał między innymi potwierdzić, że zamykanie oczu – *wbrew* mej woli – następuje zawsze *natychmiast* w tym mo-

mencie, kiedy przestaję uczestniczyć w jakiejś rozmowie i zaczynam milczeć, czyli innymi słowy, kiedy wdziera się niemyślenie.

4) Na moim ciele, o czym jestem głęboko przekonany, można zaobserwować pewne naukowo niewytłumaczalne zjawiska; w celu potwierdzenia powyższego nie wykluczam ewentualnego złożenia wniosku, gdyby zaszła taka potrzeba, przeprowadzenia badań lekarskich przez lekarzy tutejszego zakładu lub innych, być może wykonanie również – jeśli to możliwe – zdjęć rentgenowskich. Chodzi tu wprawdzie nie wyłącznie – ale głównie – o tak zwane nerwy rozkoszy, co opisałem obszernie w XXI rozdziale moich „Pamiętników”. W ostatniej opinii biegłego (str. 22 posiadanej przeze mnie kopii) znajduje się zresztą fragment, w którym czytamy, iż „twierdziłem odczuwać nerwy rozkoszy w sposób typowy dla kobiecego ciała, choć nauka takiego rozmieszczenia nerwów rozkoszy nie uznaje”. Nawet mnie trudno jednoznacznie określić, czy pan biegły chciał w ten sposób *zreferować* wyłącznie *moje* wypowiedzi na ten temat, czy też przedstawić tu *jego* pogląd, że nauka nie uznaje istnienia szczególnego rodzaju nerwów rozkoszy, które w kobiecym ciele wykazywałyby inne rozmieszczenie niż w męskim. W każdym razie odnoszę wrażenie, że mamy tu do czynienia z nic nie wnoszącą do sprawy *wojną o słowa*. Nie zaprzeczy bowiem nawet sam pan biegły – przynajmniej tak zrozumiałem z naszych rozmów, a oprócz tego uważam to za fakt potwierdzony naukowo – że system nerwowy płci żeńskiej posiada zupełnie inne właściwości, związane z odczuwaniem rozkoszy całego ciała; manifestuje się to na całym ciele, a zwłaszcza w okolicach piersi, zupełnie inaczej niż u płci męskiej.* Jakimkolwiek słowem byśmy tych właściwości nie określili, nie ma to zapewne większego znaczenia; jeśli jako laik użyłem niewłaściwego pojęcia z dziedziny neurologii, to myślę, że fakt ten sam w sobie nie stanowi problemu. A więc twierdzę, że moje ciało, a w szczególności piersi, wykazują właściwości układu nerwowego charakterystyczne dla kobiecego ciała, i jestem przekonany, że badania by to potwierdziły. Jakie wnioski należałoby z tego wyciągnąć, opisałem dokładnie w XXI rozdziale moich „Pamiętników”.

Żeby uniknąć nieporozumień, chciałbym od razu podkreślić (później powrócę jeszcze do tego tematu), że jeśli miałbym złożyć wniosek o rzezione badanie, to zrobiłbym to jedynie *na potrzeby obecnego procesu*, tzn.

* Możliwe pytania, wymagające w tym względzie wyjaśnienia, brzmiałyby: „Z czego w ogóle wynika fizjologiczna specyfika damskich piersi, w szczególności ich pęcznienie w latach rozpoczynającej się dojrzałości?”, „Czy chodzi tu tylko o przyrost masy mięśniowej, nagromadzenie tłuszczu i tym podobne, czy też raczej istotnych cech doszukać się można w specyficznym różnym od męskiego rozwoju *systemu nerwowego kobiecych piersi*?”

w celu odwołania orzeczenia sądowego o ubezwłasnowolnieniu. Po zniesieniu tegoż ubezwłasnowolnienia *zezwoiłbym* wprawdzie powołanym specjalistom na takie badanie, gdyby go ode mnie oczekiwano, nigdy jednak sam nie nakłaniałbym do niego, a tym bardziej nie wydałbym na to ani jednego grosza ze swego majątku.

5) Biegły przyznaje (str. 9. posiadanego przeze mnie odpisu ostatniej opinii), że „emanacja mojej zmienionej chorobowo psychiki” nie jest, jak to się często w takich przypadkach zdarza, uboga i monotonna, lecz jawi się w formie fantastycznie ukształtowanego, złożonego, wyraźnie odbiegający od potocznego toku myślenia systemu idei. Biorąc pod uwagę to spostrzeżenie, noszę się z zamiarem przedstawienia moich „Pamiętników” biegłym, przedstawicielom innych dziedzin, a w szczególności teologom i filozofom, z prośbą o ich opinię. Zrobiłbym to z dwójakiego powodu: po pierwsze, by przekonać sędziów o tym, że moje „Pamiętniki”, jeśli nawet zaskakują dziwacznością swojej treści, to mogłyby stanowić dla szerszych kręgów naukowych znaczący materiał do badań na tym jak dotychczas ciemnym polu i tym samym uzmysłwić, jak bardzo muszę odczuwać potrzebę ich opublikowania. Potem uznałbym za warte zasięgnięcia opinii ludzi nauki, reprezentujących wymienione dziedziny, czy w ogóle jest możliwe, czy z punktu widzenia psychologii ogóle do pomyślenia jest, by człowiek o tak chłodnym, trzeźwo myślącym i racjonalnym usposobieniu, jakim – jak zaświadczaają wszyscy ci, którzy znają mnie z wcześniejszych lat – jestem, a do tego człowiek, który, jak to zostało podkreślone na początku VI rozdziału moich „Pamiętników”, przed chorobą *w ogóle nie wierzył mocno w Boga ani w nieśmiertelność duszy*, miałby, że tak powiem, *wyssać z palca* cały ten skomplikowany system idei z masą szczegółów (np. o mowie dusz, o pojęciach dusz – por. rozdziały I i XII „Pamiętników” itd. itd.), czy też raczej sama z siebie nie nasuwa się myśl, że człowiek, który jest w stanie napisać coś takiego, jak niniejszy tekst, a jednocześnie dochodzi do tak specyficznych wyobrażeń o istocie Boga i życiu duszy po śmierci, musi w rzeczy samej mieć za sobą niezwykle doświadczenia i doznania, niedostępne dla innych ludzi.

Nie chciałbym jeszcze chwilowo składać całkiem formalnie wniosku o sporządzenie takiego rodzaju opinii, jaką opisałem. Nie ukrywam, że spowodowałyby to ogromny nakład czasu i pieniędzy. Dlatego też wolałbym ze zrozumiałych względów, żeby sąd odwoławczy bez tego postanowił odwołać postanowienie o ubezwłasnowolnieniu. Jeśli jednak sąd nie okaże się do tego skłonny – o czym mam nadzieję przekonać się, uczestnicząc osobiście przynajmniej w kilku sesjach ustnej rozprawy – zastrzegam sobie możliwość złożenia takiego wniosku.

Wszystko, co dotychczas zostało powiedziane, było w odniesieniu do kluczowego w całej sprawie pytania, czy na skutek przyjętej u mnie choroby umysłowej posiadam zdolność kierowania swoimi sprawami, czy też nie, jedynie swego rodzaju arabeską.

Zanim zajmę się owym pytaniem, chciałbym wcześniej podzielić się kilkoma spostrzeżeniami dotyczącymi charakterystyki mojej osoby zawartej w opinii. Muszę z wdzięcznością przyznać, że pan biegły był mi – można powiedzieć – przychylny i starał się sprawiedliwie ocenić całą moją wyjątkową osobowość; jestem mu ponadto winny podziękowania za to, że nie żałował trudu, by wnikliwie przestudiować moje „Pamiętniki”, co umożliwiło mu zamieszczenie w swojej opinii w większości trafnych streszczeń najważniejszych moich myśli. Zakradło się przy tym wprawdzie parę nieścisłości i nieporozumień, ale ze względu na kruchość materii nie dało się tego zapewne uniknąć; nie będę tutaj wchodził w szczegóły, ponieważ nie ma to żadnego znaczenia dla przebiegu procesu.

Ogólnie rzecz biorąc, śmiem twierdzić, że pan biegły *poznał mnie właściwie tak naprawdę w przeciągu roku*, tzn. od kiedy regularnie uczestniczę w obiadach jego rodziny, i że jego osąd mojej osoby, po kontynuacji naszych kontaktów przez kolejne pół roku, wypadłby jeszcze korzystniej niż ten z czasów ostatniej opinii. Wcześniej (tzn. przed Wielkanocą 1900) biegły znał, jak sądzę, jedynie patologiczną otoczkę, pod którą kryło się moje prawdziwe życie umysłowe. Nie chciałbym jednak, by te słowa zabrzmiały jak zarzut pod adresem zapewnianej mi wcześniej opieki medycznej w tu-tejszym zakładzie. Przyznaję, że w pierwszych latach mojego pobytu tamże robiłem (nawet jeśli chodziło wówczas tylko o pozory) wrażenie człowieka oziębiałego umysłowo, nieprzystosowanego do kontaktów towarzyskich. Jest dla mnie również zrozumiałe, że lekarze długo podtrzymywali opinię, jaką mogli sobie o mnie na podstawie takiego zachowania wyrobić, nawet wtedy, gdy pod wieloma względami wskazywało ono na zmiany w stanie mojego umysłu. W tak wielkim zakładzie prowadzenie nieprzerwanej szczegółowej obserwacji każdego pacjenta jest po prostu niemożliwe, a w sytuacji, gdy pacjent zamyka się w sobie, jak to było w moim przypadku przez pierwsze lata, może być rzeczywiście trudno zdobyć właściwe wyobrażenie o jego życiu umysłowym we wszystkich jego aspektach. Z drugiej jednak strony nie jest zupełnie prawdą, co stwierdza się w opinii (str. 7 posiadanego przeze mnie odpisu), że jakoby „do tej pory” – czyli do momentu zażądania przeze mnie nowej opinii (czerwiec 1900) – nie wykazywałem chęci wychodzenia poza teren zakładu i że to pragnienie zbliżenia się do świata zewnętrznego musiało być „wzbudzane” we mnie stopniowo. Chodzi tu pewnie o jakiś drobny błąd pamięci. Jestem bowiem w stanie udowodnić, opierając się na

dokumentach, że już w przekazanym osobiście 8 października 1899 roku *expose* przy okazji jego wizyty uskarżałem się memu opiekunowi sądowemu, przewodniczącemu sądu rejonowego, panu Schmidtowi, że od pięciu lat nie wychodzę, jak wielu innych pacjentów, poza mury zakładu choćby na mały spacer. By być całkowicie lojalnym, przekazałem listownie 27 listopada 1899 kopię tego *expose* tajnemu radcy, panu Weberowi. Niemniej jednak minęło od tego czasu 4–6 miesięcy, zanim po raz pierwszy dołączyłem do jego rodzinnego stołu i mogłem wspólnie spożywać posiłki, a także kiedy otrzymałem propozycję wycieczki (samochodowej) po okolicy. Powtarzam raz jeszcze, że nie zamierzam czynić żadnych zarzutów odnośnie do przeszłości; nie mogę jedynie zareagować na twierdzenie, że tylko za moją sprawą nie rozpoznano we mnie odpowiednio wcześniej człowieka w pełni władz umysłowych, który w każdym przyzwoitym towarzystwie potrafi stosownie się zachować. Moim zdaniem byłoby to *już z pewnością możliwe co najmniej na początku 1897 roku*. W każdym razie, zgodnie z tym, co zostało na ten temat powiedziane w orzeczeniu (str. 27 posiadanego przeze mnie odpisu), pan biegły sam doszedł obecnie do przekonania, że nie ma żadnych istotnych przeciwwskazań, bym mógł uczestniczyć w jakichkolwiek spotkaniach towarzyskich czy bywać w miejscach, gdzie zbiera się większa liczba ludzi, jak na przykład teatr, kościół itd. Patologiczne zjawiska (grymasy twarzy, chrząkanie i tym podobne), jakie od czasu do czasu można przy tym zaobserwować, nie są – jak uczy doświadczenie – aż tak dokuczliwe, by mogły stanowić jakieś szczególne obciążenie dla otoczenia.

Do opisu mojego zachowania w relacjach społecznych biegły dołączył jeszcze inny, stając tym samym niejako w opozycji do sądu rejonowego w Dreźnie. Ten bowiem w swoim postanowieniu z 13 marca 1900 roku uznał mnie zdolnym do prowadzenia nawet najtrudniejszych rozpraw, do formułowania wyroków w całkowicie poprawnej formie itd. Zgadzam się z biegłym w zupełności, że opinia wydana przez Królewski Sąd Rejonowy w Dreźnie wymaga pewnych poprawek, chciałbym jednak jeszcze dobitniej, niż to zostało zrobione w opinii, podkreślić, na czym te poprawki miałyby polegać. Jestem zdania, że jeśli idzie o pisemne wyrażanie myśli, jestem w stanie jeszcze teraz podołać wszelkim zadaniom, jakie w sądzie najwyższej instancji stawiałby przede mną wykonywany przeze mnie zawód sędziego; uważam, że także teraz byłbym zdolny sformułować wyrok i wykonać jakąkolwiek inną typową dla zawodu sędziego pracę pisemną, spełniającą najwyższe wymagania. Ponieważ cuda okazują się być wobec myśli wyrażanych na piśmie całkowicie bezsilne; próby sparaliżowania palców, jakie pojawiają się co jakiś czas, także i teraz utrudniają wprawdzie pisanie, ale go nie uniemożliwiają; a próby rozpraszania moich myśli można podczas pi-

sania, gdzie istnieje wystarczająco dużo czasu, by się skoncentrować, łatwo pokonać. To, co *писаłem*, od kiedy w ogóle dostałem materiały piśmienne do dyspozycji i od kiedy zacząłem wykazywać zainteresowanie pisaniem, pozwalało *w każdym momencie*, także w pierwszych latach mojej choroby, rozpoznać we mnie człowieka o całkowicie jasnym umyśle. Nieco inaczej przedstawia się za to kwestia wypowiedzi ustnych. Cuda dziejące się w moich narządach oddychania i aparacie mowy, i dołączające się do tego rozpraszanie myśli, są naprawdę dokuczliwe. Ponieważ równocześnie absorbują mnie halucynacje – słyszenie głosów – zgadzam się z biegłym, że z trudem mógłbym się zdobyć na taką koncentrację umysłu, jaka jest niezbędna podczas prowadzenia rozprawy sądowej czy podczas narady sędziowskiej itd. Nie chodzi przy tym jednakże o brak intelektu, lecz o pewne utrudniające natychmiastową wypowiedź ustną oddziaływania, których źródłem są moim zdaniem cuda, zaś zdaniem biegłego procesy patologiczne.

Tyle względem uzupełnienia ogólnego obrazu mojej osobowości, przedstawionego przez biegłego w swojej opinii orzeczeniu. Teraz należy odpowiedzieć na pytanie, czy zakładane u mnie istnienie choroby umysłowej każe stwierdzić, że nie jestem zdolny kierować swoimi sprawami, to znaczy w praktycznym życiu postępować rozsądnie.

Na wstępie tych rozważań znów pragnę zauważyć, że *ciężar dostarczenia materiałów dowodowych* spoczywa moim zdaniem na moim adwersarzu, czyli Królewskiej Prokuraturze. Ponieważ prawo nie uznaje choroby umysłowej jako takiej za powód do orzeczenia o ubezwłasnowolnieniu, lecz zakłada taki rodzaj choroby umysłowej, która uniemożliwia rozumne kierowanie swoim postępowaniem, zatem ściśle rzecz biorąc na tym, kto *wnosi* o ubezwłasnowolnienie, spoczywa obowiązek dostarczenia sędziemu niezbędnych faktów. Dlatego też nie wystarczy wyrazić dość odważnych obaw, ogólników, że jakoby „jest całkowicie nie do przewidzenia”, czy po przywróceniu mi swobodnego dysponowania swoją osobą i majątkiem działałbym nierozsądnie pod wpływem moich urojeń i omamów, czy też nie, by mnie, człowieka na wysokim poziomie umysłowym i obyczajowym, za jakiego z drugiej strony wszyscy muszą mnie uznać, potraktować w sensie prawnym jak siedmioletnie dziecko. Trzeba było raczej wykazać *w oparciu o faktyczne doświadczenia*, szczególnie z ostatnich kilku lat, że – i w jakiej sytuacji – miałyby się u mnie na skutek moich urojeń i omamów pojawiać skłonność do nierozsądnego działania. Zgoda, że w przypadku osoby zamkniętej w zakładzie nie ma tylu wystarczających okazji do zbierania doświadczeń, co w przypadku osoby przebywającej na wolności. Jednak, po pierwsze, *nie jest moją winą, że przez lata byłem przetrzymywany w zakładzie z pozbawieniem możliwości wychodzenia na zewnątrz*, aż do momentu, gdy zniknął

właściwy powód, czyli zapewnienie bezpieczeństwa mnie i innym ludziom, a po drugie większa swoboda poruszania się, jaką przyznano mi przed rokiem, dostarczyła moim zdaniem wystarczającej ilości dowodów na to, że nie należy obawiać się z mojej strony nierozsądnych działań po całkowitym przywróceniu swobodnego dysponowania swoją osobą i majątkiem. Od tamtej pory setki razy spożywałem z kierownictwem zakładu posiłki przy wspólnym stole, brałem udział w mniejszych lub większych wycieczkach, częściowo pieszo, częściowo parowcem lub koleją, bywałem w różnych publicznych miejscach, sklepach, w kościele, teatrze i na koncertach, nierzadko bez opiekuna zakładu, byłem wówczas z reguły w posiadaniu pewnej – acz skromnej – gotówki. *Nikt w tych wszystkich sytuacjach z pewnością nigdy nie zauważył u mnie najmniejszych oznak nierozsądnego zachowania.* Nigdy nie przyszło mi do głowy, by naprzykrzać się innym ludziom z głoszeniem moich urojeń i wizji; śmiem twierdzić, że damy zasiadające przy wspólnym stole wraz z kierownictwem zakładu nie mają najmniejszego pojęcia o istnieniu tych urojeń i omamów, chyba że dowiedziały się o tym przypadkiem z innego źródła. To, że napomknąłem o tym – częściowo w rozmowie, częściowo w liście – mojej żonie i moim krewnym, jest prawdą. Można to chyba jednak usprawiedliwić dość bliską zażyłością, jaka powinna łączyć małżonków i bliskich członków rodziny, i jaka wręcz nie pozwala na to, by zatajać przed drugą połową to, co wypełnia życie uczuciowe i duchowe. Ale i tutaj informacje nie były przekazywane w jakiś natarczywy sposób, lecz raczej były odpowiedzią na zapytania. *Jedyne*, co może uchodzić w oczach innych za rzecz nieco nierozsądną, to poruszony już zresztą przez biegłego fakt, że spotykano mnie czasem z damskimi ozdobami (wstążki, sztuczne warkocze itp.), rozebranego do połowy, przed lustrem lub gdzieś indziej. Dzieje się tak zresztą tylko wtedy, *kiedy jestem sam*, w każdym razie nigdy, o ile mogę tego uniknąć, w zasięgu wzroku innych osób. Drobne, niezbędne do tego celu zakupy (również przybory do szycia i tym podobne), których dostarczali mi zazwyczaj sami pracownicy zakładu, kosztowały zaledwie kilka marek i ze względów finansowych z całą pewnością nie powinny być brane pod uwagę. Natomiast jeśli chodzi o samo zachowanie, jak niedorzeczne i godne pogardy by się innym wydawało, to mam tutaj swoje *bardzo dobre i ważne powody*. Jest to sposób, w jaki w tym czasie, kiedy potrzebuję psychicznego spokoju – a przecież nie można cały dzień tylko grać na fortepianie, czytać, pisać czy w jakikolwiek inny sposób być czynnym umysłowo – udaje mi się złagodzić tak uciążliwy dla mnie i dla mojego otoczenia stan, w którym wydaję z siebie krzyki. Związek pomiędzy jednym i drugim może wydać się niezbyt jasny; gdyby ktoś był zainteresowany szczegółami, odsyłam do rozdziału XXI moich „Pamiętników”. Dla mnie w każdym razie metoda ta sprawdziła się

przez wiele lat doświadczeń i nie mogę w związku z tym zaakceptować opinii innych ludzi, podającej w wątpliwość, czy takie zabiegi są celowe, czy nie. Nawet jeśli ktoś wychodzi z założenia – czego oczywiście mogę się spodziewać – że wmawiam sobie jedynie korzyści wynikające z takiego zachowania, to i tak w najgorszym razie będzie musiał uznać owo zachowanie za jakiś niezrozumiały kaprys, któremu można jedynie przypisać określenie *absolutnej nieszkodliwości*, poza sytuacją, w której dotyka ono w jakiś sposób moją żonę, czym zajmę się dokładniej nieco później, bowiem nie szkodzi ani mnie, ani innym. O groźbie przeziębienia, o której wspomina biegły, przy normalnej temperaturze pokojowej w ogóle nie może być mowy, czego najlepszym dowodem są wydekoltowane panie.

Opisane powyżej zakładanie damskich ozdób itd. wpłynęło zapewne w znacznym stopniu na kształt opinii, jak i na wyrok w mojej sprawie; dlatego ze swej strony pragnę nieco dłużej zatrzymać się przy tej kwestii. Jest to właśnie ten jeden *jedyny* punkt, odnośnie którego można w sposób uprawniony powiedzieć, a i w przyszłości jeszcze będzie można mówić, że moje zachowanie w stosunku do świata zewnętrznego podlega wpływom moich urojeń i omamów. I w ten oto sposób dochodzimy do zdania w opinii, które według mnie stanowi jego trzon, i z tego też powodu jest głównym przedmiotem mojego zaskarżenia. Na 4 od końca stronie opinii w posiadanej przeze mnie kopii biegły stwierdza:

Najważniejszym kryterium orzeczenia o niezdolności do czynności prawnych pacjenta wciąż pozostaje fakt, że pp. wszystko to, co – obiektywnie rzecz biorąc – jawi się jako urojenia i omamy, jest dla niego (a) niepodważalna prawdą i (b) w pełni uprawnionym motywem do działania.

Pierwszą część powyższej tezy (ad. a) stwierdzającej, że mój tzw. system urojeń jest w moim przekonaniu niepodważalną prawdą, muszę potwierdzić zdecydowanym „tak”, natomiast drugiej części (ad. b), mówiącej o tym, że uznaję moje urojenia za w pełni uzasadniony motyw do działania, sprzeciwiam się jak najbardziej zdecydowanym „nie”. Mógłbym powiedzieć za Jezusem Chrystusem: „Moje królestwo jest nie z tego świata”; moje urojenia dotyczą tylko Boga i zaświatów, nie *mogą* zatem *wywierać żadnego wpływu* na moje zachowanie we wszelkich ziemskich sprawach, jeśli wolno mi się tak wyrazić – pomijając wspomniany już kaprys, który zresztą również odnosi się do Boga i do wrażenia, jakie pragnę na Nim wyrzucić. W jaki sposób pan biegły dochodzi do tak sprzecznej konkluzji, że moje urojenia są dla mnie w pełni uprawnionym motywem do działania, tego nie wiem; sądzę w każdym razie, że powodem takiego założenia nie było ani w moje zachowanie,

ani zapiski z moich „Pamiętników”. W tych ostatnich bowiem wielokrotnie podkreślałem, że to, co w moim zachowaniu może się innym ludziom wydawać dziwaczne, będę praktykował jedynie na tyle, na ile *‘względ na moje najbliższe otoczenie na to pozwoli’* (rozdz. XIII „Pamiętników”, na początku) bądź będąc *‘sam na sam z Bogiem’* (rozdz. XXI „Pamiętników”, około połowy). Moje urojenia i omamy *mogą* w ogóle nie mieć styczności z tym, co prawo rozumie pod pojęciem „kierowanie swoimi sprawami”, tj. ochroną wszystkich życiowych interesów, zwłaszcza tych dotyczących majątku. Jestem zdecydowanie daleki od tego, jak sugeruje biegły, a przed nim po części także i radca prawny pan Thürmer, by poświęcając środki finansowe, podejmować jakiegokolwiek kroki zmierzające do propagowania mojej wiary w cuda, do utwierdzania w przekonaniu o istnieniu moich nerwów rozkoszy czy też wynikającej z faktu ich istnienia poprawy mego zadowolenia w wymiarze materialnym. Jeśli ktoś twierdzi coś podobnego, oznacza to, że w ogóle nie wniknął w moje wewnętrzne życie duchowe, co z kolei nie jest żadnym zarzutem, ponieważ takiego rodzaju wniknięcie jest dla przeciętnego człowieka właściwie w ogóle niemożliwe. Moje przekonanie o poznaniu Boga i spraw boskich jest tak głębokie i niepodważalne, że jest zupełnie obojętne, co inni ludzie myślą o prawdziwości lub prawdopodobieństwie moich wizji. Dlatego też nie zamierzam w tej kwestii robić niczego innego – chyba że dla celów procesowych – jak tylko udostępnić moje przeżycia i rozważania szerszej publiczności, i taką rolę ma spełnić publikacja moich „Pamiętników”; natomiast z pewnością nie będę tego udowadniał ani czynił prawdopodobnym. W tej kwestii moje stanowisko jest bliskie słowom Lutra: „Dzieło człowieka przemienie, dzieło Boskie przetrwa na wieki”. Spokojnie poczekam i zobaczę, czy niewątpliwie prawdziwe zdarzenia wymuszają na innych ludziach przekonanie o słuszności moich urojeń. Podobnie rzecz się ma ze wspomnianym przez pana biegłego „zadowoleniem materialnym”, albo – jak ja to nazywam – z polegającą na rozkoszy duszy poprawą fizycznego samopoczucia. Taka rozkosz, kierowana jakąś wewnętrzną koniecznością, musi chyba spadać na mnie z nieba, i nie potrzebuję nic robić w tym kierunku, ponadto nie potrzebuję (ani nie mógłbym) dojść do jakiegokolwiek istotnej poprawy, prowadząc interesy. Dlatego też nigdy nie przyszedłoby mi do głowy zastępować tych kilku szmatek czy sztucznej biżuterii, z jakich składają się moje tzw. damskie ozdoby, czymś, co może tylko jakiegokolwiek biednej służącej mogłoby się wydać prawdziwym makijażem lub biżuterią. Nie nabyłem i nie wykonałem tych rzeczy bowiem dla własnej przyjemności, lecz by zrobić na Bogu pewne wrażenie, a do tego wystarczą mi w zupełności niemalże bezwartościowe i sztuczne rzeczy.

Ufam, że wszystko to, co odnośnie do mego zachowania w przyszłości zostało wcześniej powiedziane, jest godne wiary, ponieważ nigdy nie dałem powodu, by wątpić w niezłomność mego zamiłowania do prawdy. Tym samym rozwiewają się moim zdaniem wszelkie obawy, jakie mogły towarzyszyć konstruowaniu opinii lekarskiej i wyroku, czy jest „całkowicie nie do przewidzenia”, czy moje urojenia mogłyby skłaniać mnie do nierozsądnych działań w *jakimś bliżej nieokreślonym kierunku*. Zatem do podtrzymania decyzji o ubezwłasnowolnieniu pozostałyby zapewne tylko dwa, w uzasadnieniu wyroku szczególnie potraktowane argumenty, mianowicie troska o to, czy przywrócenie mi dysponowania moją własną osobą i majątkiem nie „zburzyłoby relacji z moją małżonką” oraz czy przez opublikowanie moich „Pamiętników” nie naraziłbym się na publiczną kompromitację bądź też niebezpieczeństwo kary. Chciałbym zająć się teraz tymi argumentami bardziej szczegółowo.

A) Co się tyczy pierwszej obawy, wydaje mi się, że stwierdzeniem, iż swoim nierozsądnym postępowaniem „zburzyłbym relacje z małżonką” wytoczono do boju powody, które wprawdzie w odniesieniu do życia uczuciowego zainteresowanych osób mają ogromne znaczenie, które jednak z punktu widzenia prawa nie mogą być brane pod uwagę jako poważne argumenty w kwestii uznania zdolności do czynności prawnych. Wspólnota małżeńska między mną i moją żoną nie istnieje już w wyniku mojej choroby od lat i w przypadku utrzymania orzeczenia o ubezwłasnowolnieniu na czas nieokreślony taki stan rzeczy utrzyma się najpewniej do końca życia jednego z małżonków. Jeśli uwaga o zburzeniu relacji z moją małżonką miałaby mieć jakikolwiek sens, to tylko w stwierdzeniu, że uczucie szacunku i miłości, jakim moja żona mnie jeszcze darzy, mogłoby ulec zachwianiu lub całkowitemu stłumieniu. Chodzi tu oczywiście o szczególnie delikatną materię, w stosunku do której osoby trzecie, które nigdy nie poznały żarliwości tych relacji małżeńskich, o których mowa, powinny zachować szczególną ostrożność i powściągliwość w wydawaniu wyroków. Przede wszystkim jednak muszę z całą stanowczością podkreślić, że ubezwłasnowolnienie może nastąpić *wyłącznie w interesie osoby ubezwłasnowolnionej*, by chronić ją przed grożącymi niebezpieczeństwami wynikającymi z jej skłonności do nierozsądnego działania, natomiast nigdy po to, by strzec inne osoby, nawet bardzo bliskie, przed jakimikolwiek niedogodnościami, bądź by utrzymać ich stan uczuć, który wprawdzie – zależnie od sytuacji – może mieć znaczenie dla zachowania ich równowagi wewnętrznej, nie należy jednak do relacji społecznych człowieka regulowanych przez *prawo*. *Troska o członków rodziny* (por. przytoczone na wstępie uzasadnienia orzeczenia sądowego rozporządzenie Ministerstwa Sprawiedliwości w Królestwie Saksonii) może być rozpatrywana, obok życiowych interesów osoby podlegającej ubezwłasnowolnieniu, tylko o tyle, o ile taka troska *praw-*

nie obowiązuje osobę, co do której toczy się postępowanie w sprawie ubezwłasnowolnienia, w omawianym tutaj przypadku zatem o tyle, o ile można mówić o *zagwarantowaniu utrzymania na stosownym poziomie*. Nigdy nie uchylałbym się od takiego zobowiązania, szczególnie w kwestii zapewnienia mojej żonie niezbędnych środków do życia w separacji, gdyby zaistniała sytuacja, w której nasze wspólne życie uznano by za niewskazane. Gdybym jednak faktycznie wykazał się tak bezwzględny brakiem poczucia *moralnego* obowiązku względem mojej żony i nie zważał na jej zdrowie, na spokój jej duszy i na jej naturalną kobiecą wrażliwość i odczucia, istniałby w pełni uzasadniony powód, by posiadać niezbyt wysokie mniemanie *o moralnej wartości mojej osoby, w żadnym wypadku nie można by było jednak na podstawie powyższego zakwestionować mojej zdolności do czynności prawnych*. Ponieważ, gdybym faktycznie okazał się tak nieczuły i utrata miłości mojej żony nie byłaby dla mnie równoznaczna z utratą własnego szczęścia, z wygaśnięcia tej miłości nie wynikałaby dla mnie żadna szkoda; poprzez nasze aktualne rozdzielenie moja żona tak czy owak jest niemal całkowicie pozbawiona możliwości *wprowadzenia* swojej miłości w *czyn*, tak by służyła ona w jakikolwiek sposób mojemu psychicznemu i fizycznemu samopoczuciu, już to przez opiekę lub pielęgnację ciała, już to przez wymianę duchowych zainteresowań. Sporadyczne wizyty i prezenty mojej żony nie mogą w związku z powyższym być przedmiotem rozważań w sprawie; te drugie, gdybym tylko mógł zarządzać moim majątkiem, mógłbym bez trudu nabywać sobie sam.

Sądzę, że dowiodłem powyższym, iż to, co w opinii biegłego oraz w wyroku sądu zostało powiedziane na temat „zagrożającego rozpadu moich relacji z małżonką”, „naruszenia wspólnoty małżeńskiej” itp. nie ma w toczącym się obecnie procesie żadnego znaczenia.

By przedstawić się moim szanownym sędziom moralnie w nieco lepszym świetle, niż to wynika z pewnych wypowiedzi biegłego zawartych w opinii czy też z uzasadnienia wyroku, chciałbym dołączyć jeszcze kilka uwag na temat mojego stosunku do żony oraz na temat niedogodności, jakie moje obecne (i ewentualnie moje przyszłe) otoczenie może odczuwać z powodu wydawanych przeze mnie odgłosów. Spora część opinii lekarza biegłego, odnosząca się do mojej relacji z żoną i opierająca się, jak się zdaje, na przeprowadzonych z nią rozmowach, zawiera *poważne nieścisłości*, przy czym niech mi będzie wolno pozostawić kwestią otwartą, czy to moja żona niezbyt dokładnie mnie zrozumiała (co przy tak rzadkich spotkaniach byłoby na wskroś możliwe), czy też pan biegły niezbyt ściśle zrozumiał moją żonę. Nigdy nie nosiłem się z myślą o *rozwodzie* ani nie dałem po sobie poznać obojętności wobec zachowania więzów małżeńskich, jak można by zrozumieć na podstawie toku wypowiedzi w opinii, jakobym miał napomykać, że moja

żona może poprosić o rozwód; cała obszerna korespondencja, jaką z moją żoną prowadziłem przez lata, mogłaby poświadczyć, z jak wielką miłością jestem jej oddany i jak boleśnie odczuwam fakt, że przez moją chorobę i faktyczny rozpad małżeństwa pogрузzyła się w głębokim nieszczęściu, i jak nieustannie współczuję jej takiego losu. Jeśli więc kiedykolwiek omawiałem ewentualność rozwodu, to tylko w tych sytuacjach, kiedy kilkakrotnie mówiłem żonie, że *jeśli* ze względu na opanowującą mnie – dla niej ze zrozumiałych względów niezbyt miłą – wizję, i z powodu wynikającego stąd mego dziwaczego zachowania nie będzie w stanie zachować swej dawnej miłości i szacunku do mojej osoby, to przysługuje jej przecież prawo do wniesienia o rozwód z powodu utrzymującej się od trzech lat choroby umysłowej. Stale jednak dodawałem, że będąc odczuwał z tego powodu głęboki żal; z drugiej strony zaznaczałem jednak z nie mniejszym bólem, że nie będzie miała ona prawa do odsetek majątkowych ani do emerytury wypracowanej przez 28 lat w służbie państwowej (moja żona również posiada swój majątek, jednak większość odsetek, które pobiera, pochodzi ode mnie). Zawsze doskonale rozumiałem, jak wiele zawdzięczam mojej żonie, o czym nie omieszkalem jej powiedzieć, jak również dawałem temu wyraz przy innych okazjach. Jako dowód przytoczę tu przypis 76. do rozdziału XIII moich „Pamiętników”:

Szczególna dyskrecja jest pożądana zwłaszcza w obcowaniu z moją żoną, co do której zachowałem całą moją miłość. Mogło się zdarzyć, że w tym względzie zgrzeszyłem *zbyt wielką otwartością* podczas ustnych rozmów i pisemnych doniesień. Moja żona nie może bowiem oczywiście w pełni zrozumieć biegu myśli; musi być dla niej trudne poświęcanie mi dawnej miłości i poważania, gdy słyszy, że zajmuję się wyobrażeniem oczekującej mnie być może przemiany w kobietę. Mogę nad tym ubolewać, ale zmienić tego nie mogę; także i tutaj powinienem się strzec wszelkiego błędnego sentymentalizmu.

Nie wiem, skąd bierze się założenie, że w stosunku do mojej żony brakuje mi taktu i wyczucia, tak charakterystycznego dla mnie w innych sytuacjach. To *oczywiste* – i zgodnie z tym postępowałem do tej pory – że najchętniej zaoszczędziłbym mojej żonie widoku jakichkolwiek niezręcznych sytuacji; również moje kobiece ozdoby pokazywałem jej z pewną niechęcią i tylko wtedy, gdy nalegała na to kierowana swą kobiecą – wybaczalną – ciekawością. Tak samo *oczywiste* jest to, że nie oczekiwałbym od żony współżycia ze mną, czy tym bardziej nie stosowałbym siły do egzekwowania swych praw małżeńskich w tej kwestii, gdyby doświadczenie pokazało, że współżycie ze względu na tak zwane krzyki i wydawane porykiwania okazało się nie do zniesienia. Pan biegly jest zatem w stosunku do mnie w pewnym stopniu

niesprawiedliwy, kiedy mówi o „chorobliwym wzroście egoizmu”, w wyniku którego miałbym „w ogóle nie myśleć” o tym (!), jak bardzo moja żona musi cierpieć „z powodu tego, co się ze mną dzieje”, i w wyniku którego moja uciążliwość dla otoczenia miałaby nie mieć dla mnie w ogóle żadnego znaczenia, a ja sam miałbym się jedynie uskarżać na swoje złe samopoczucie. Biegły sam przyznaje, że krzyki pojawiają się w sposób wymuszony i automatyczny *wbrew mojej woli*^{*}, moja żona obecnie w ogóle nie cierpi z ich powodu, ponieważ nie mieszka razem ze mną; jeśli jednak po pojęciem „tego, co się ze mną dzieje” rozumie się używanie przeze mnie od czasu do czasu kobiecych ozdób, to – tak jak już wspomniałem powyżej – starałbym się, by moja żona nie była świadkiem takich sytuacji, natomiast w samotności mam ku temu poważne powody. Twierdzenie, jakobym nie zważał na to, że jestem uciążliwy dla otoczenia, oraz że uskarżam się tylko na moje złe samopoczucie, obalam – by nie rozwlekać się za bardzo, przytaczam tylko to jedno – słowami opisu z 16 października 1899 roku skierowanego do dyrekcji zakładu, w którym powiedziałem:

Wciąż nawiedzają mnie krzyki, które już wielokrotnie opisywałem Dyrekcji Zakładu. Występują one o różnej porze i przy różnych okazjach z różnorodną siłą, ich czas trwania jest również zróżnicowany, przybierają jednak czasem takie rozmiary, że sam mam to poczucie, że *pokazując się na korytarzu, nie mogę nie naprzykrzać się pozostałym pacjentom*. Pojawiają się również w ogrodzie, utrzymując się czasem nieprzerwanie w czasie całego spaceru, i wszędzie tam (teraz mogę dodać: i tylko tam), gdzie nie mam możliwości prowadzenia rozmowy z kształconymi ludźmi etc.

Mój zły stan związany z wydawaniem odgłosów ryczenia lub tak zwanych krzykami można zresztą rozpatrywać tylko w aspekcie *policyjnym*. Jak stwierdza się w samym orzeczeniu sądowym, dla sprawy ubezwłasnowolnienia nie ma on żadnego znaczenia. Gdyby w czasie jakiegoś pobytu poza zakładem na skutek mojego ryczenia itd. miało dojść do zakłócenia spokoju, co „w zamieszkałym domu byłoby w ogóle nie do zniesienia”, w przeciwieństwie do pana bieglego nie uważam, by tak to zostało stwierdzone, w związku z czym powinno być to ustalone dopiero przez doświadczone sprawdzenie, wówczas sam miałbym wystarczająco dużo rozumu, by zaakceptować

^{*} Co zresztą nie całkiem się zgadza. Jak długo krzyki polegają na użyciu artykułowanych słów, moja wola nie pozostaje naturalnie niezaangażowana. Jedynie nieartykułowane wycie wywoływane jest często przymusowo i automatycznie. Do używania głośnień uciekam się czasami właśnie tylko dlatego, że nieartykułowane wycie, które nastąpiłoby w innym przypadku, byłoby dla mnie i dla mojego otoczenia jeszcze bardziej uciążliwe.

niewykonalność mego przebywania poza zakładem zamkniętym i *dobrowolnie* do niego powrócić, bez konieczności stosowania jakichkolwiek środków przymusu, z policyjnych względów w pełni uzasadnionych.

B) Drugim „przykładem” na to, w jak wielkim stopniu moje wizje determinują sposób mego zachowania, są – jak twierdzi się w zaskarżonym przeze mnie wyroku – moje „Pamiętniki” oraz chęć ich opublikowania. Nie jest przecież niczym nierozsądnym, że człowiek pragnie udostępnić szerszym kręgom wyniki swojej pracy umysłowej. Każdy wierszokleta po spłodzeniu kilku wersów dąży do wydrukowania swego utworu i każdy to zrozumie, nawet jeśli dla wtajemniczonych krytyków od samego początku oczywisty był brak poetyckiej wartości tego, co zostało zapisane. Tak samo i moje „Pamiętniki” mogą się wydać z początku niektórym czytelnikom niewarte farby drukarskiej, którą trzeba by było na nie przeznaczyć. Jednak niedobrze byłoby, gdybyśmy z góry oceniali, czy dane dzieło nadaje się do publikacji, czy też nie; do wydawania takich wyroków nie są upoważnione największe autorytety w poszczególnych dziedzinach ludzkiej wiedzy, a cóż dopiero poszczególni sędziowie: zdarzało się już nieraz w historii, że jakieś nowe odkrycie, jakiś nowy światopogląd, jakiś nowy wynalazek itp. były wyśmiewane, wyszydzane przez współczesnych i uznawane za wytwór chorej wyobraźni, a zaraz potem trzeba było im przyznać mniej lub bardziej przełomowe znaczenie. Tylko moje „Pamiętniki” – jak poucza mnie Sąd Krajowy I Instancji – nie nadają się do druku, bo obnażyłbym w nich w niesłychany sposób siebie i moją rodzinę, ba – naraziłbym się nawet na postępowanie karne w tej sprawie. Ponieważ posługuję się w nich wielce nieprzyzwoitymi, mocnymi wyrażeniami, zdradzam najintymniejsze tajemnice rodzinne i kieruję pod adresem jeszcze żyjących, bardzo poważanych osób obelżywe określenia, bez zażenowania opisuję podejrzaną sytuację i udowadniam tym jedynie, że zatraciłem całkowicie zdolność rozróżniania tego, co dozwolone i niedozwolone.

W związku z powyższym pragnę na początku zauważyć, że planowana przeze mnie publikacja moich „Pamiętników” może budzić wątpliwości w tym sensie, że koniecznie chciałbym oddać ją do druku *w takiej formie, w jakiej się obecnie znajdują, bez jakichkolwiek zmian*. Pisałem je początkowo bez zamiaru ich opublikowania. Wyraźnie zazaczyłem to w „Słowie wstępnym” (które można przeczytać na końcu „Pamiętników”). Ponieważ owo słowo wstępne zawiera oprócz tego *in nuce* moją replikę (lub raczej jej antycypację) na nieistniejące jeszcze wówczas obiekcje zamieszczone w opinii lekarskiej oraz w wyroku sądowym, pozwolę sobie na zacytowanie go w tym miejscu:

Przy rozpoczęciu tej pracy nie myślałem jeszcze o jej opublikowaniu. Myśl ta nawiedziła mnie dopiero na dalszym jej etapie. Miałem przy tym świadomość, że przeciwko jej publikacji przemawiają pewne wątpliwości; chodzi mianowicie o wzgląd na poszczególne jeszcze żyjące osoby. Z drugiej strony jestem zdania, że dużą wartość dla nauki i dla poznania religijnych prawd mogłyby mieć jakieś obserwacje poczynione przez odpowiednie osoby jeszcze za mojego życia na moim ciele i moich osobistych losach. Wobec tych rozważań wszystkie osobiste względy muszą zamilczeć.

Zgodnie z powyższym, nie można wykluczyć, że w przypadku, gdyby doszło do druku moich „Pamiętników”, poleciłbym wcześniej sprawdzić, które miejsca można byłoby ewentualnie wykreślić bez szkody dla całego kontekstu, które wyrażenia ewentualnie złagodzić itd. Szanse na wydrukowanie mojej pracy nie są zresztą takie małe, jak sądzi pan biegły. Nawet jeśli w opinii lekarskiej (na przedostatniej stronie posiadanego przeze mnie odpisu) można przeczytać, że negocjuję w sprawie publikacji „z pewnym wydawcą, oczywiście jak dotychczas bezskutecznie”, oznacza to, że biegły nie wiedział wówczas jeszcze, że posiadam dwa listy wydawcy (Friedricha Fleischera z Lipska) z 5 listopada oraz 2 grudnia 1900 roku z dość jednoznaczną obietnicą współpracy przy publikacji „Pamiętników” po uprzednim uchynieniu orzeczenia o ubezwłasnowolnieniu.

Musiałbym tylko, w przypadku gdyby „Pamiętniki” wydrukowano w ich obecnej formie *bez żadnych zmian*, nie dopuścić do ośmieszenia któregoś z członków mojej rodziny. Pamięć o moim ojcu i bracie, jak również honor mojej żony, są dla mnie święte. Bardziej niż komukolwiek w podobnej sytuacji leży mi na sercu dobra sława moich bliskich krewnych. Nie napisałem niczego, co mogłoby zniesławić mego ojca lub zaszkodzić opinii mojej żony. Chodzi tutaj zresztą przecież o opisy po części specyficznych *stanów chorobowych*, na podstawie których nigdy nie wolno formułować zarzutów pod adresem innych osób. Co się zaś tyczy niebezpieczeństwa, że przez upublicznienie moich „Pamiętników” mógłbym „obnażyć” i skompromitować *siebie samego*, to biorę to niebezpieczeństwo z pełną świadomością i z pełnym spokojem na siebie. Najgorsze, co mi się może przytrafić, to to, że uzna się mnie za chorego psychicznie, *co wszakże i tak się czyni*. Miałbym więc tak czy owak niewiele do stracenia. Tak naprawdę jednak nie sądzę, bym musiał się obawiać, że ktoś, kto zada sobie trud przeczytania uważnie moich „Pamiętników”, będzie miał po lekturze o mnie gorsze zdanie niż przedtem. Jeśli nawet znaczna część mojej pracy poświęcona jest omówieniu spraw o naturze seksualnej, to nie jest to kwestia mojego gustu i stanu myśli, lecz raczej tego, że opisane sprawy odegrały bardzo dużą

rolę w kontaktach z rozmawiającymi ze mną głosami, a to z kolei wiąże się z tym, że pomiędzy rozkoszą a błogostanem zmarłych dusz istnieje ścisły – dotychczas przez ludzi nierozpoznany – związek (por. rozdział XXI moich „Pamiętników”). Nie można jednak na podstawie powyższego powiedzieć, że wykazałem w ten sposób skłonność do prostych przyjemności; nie można przecież nie zauważyć powagi, z jaką traktuję kwestię obyczajowości i jaka przenika całą moją pracę; nie ma ona niczego innego na celu, jak tylko poznanie prawdy; nikt nie będzie mógł oprzeć się wrażeniu, że wszędzie tam, gdzie negatywnej krytyce musiałem poddać Boga i sprawy boskie, starałem się skrupulatnie wykluczać jakiegokolwiek nieporozumienia mogące zachwiać podstawami prawdziwej religijności (por. koniec rozdziału V „Pamiętników”, przypis 97. do rozdziału XVI „Pamiętników”, suplement V itd., itd.). Jest prawdą, że tu i ówdzie pojawiają się mocne wyrażenia; tylko że te wyrażenia nie zrodziły się w mojej własnej głowie, lecz pojawiają się zawsze tam, o ile pamiętam, gdzie *referując*, przedstawiam treść rozmów pomiędzy mną a słyszananymi przeze mnie głosami. Nie jest moją winą, że owe głosy posługują się zgoła niesalonowymi wyrażeniami; by wiernie oddać dane sytuacje, musiałem je cytować zawsze dosłownie. Na dowód, że używane przez głosy „mocne wyrażenia” nie mogą być mimowolnym produktem moich własnych nerwów, pragnę podać tu jeden przykład: szczególnie nieprzyzwoite słowo zaczynające się na literę p... przeszło przez moje usta w całym moim życiu może z dziesięć razy, podczas gdy w przeciągu ostatnich lat w rozmowach z głosami słyszałem je dziesiątki tysięcy razy. Jak to możliwe, by moje nerwy, nienawykłe do używania takiego słowa, mogły same z siebie, bez nacisku z zewnątrz przywoływać lub podszeptywać je wciąż od nowa? Zresztą moje „Pamiętniki” nie są przeznaczone dla podlotków czy pensjonarek; nikt rozsądny nie będzie mi robił wyrzutów z powodu tego, że nie utrafiłem w ton, który właścicielki pensji mogłyby uznać za stosowny dla swoich podopiecznych. Jeśli ktoś pragnie wydeptywać ścieżki nowej religii, powinien mieć prawo do przemawiania ognistym językiem, tak jak Jezus Chrystus przemawiał do faryzeuszy, Luter do papieża i innych możliwych tego świata. Najlepszym przykładem na to, że po opublikowaniu „Pamiętników” nie skompromituję się przed ludźmi, tj. nie stracę ich szacunku, jest zachowanie samych lekarzy tutejszego zakładu, a tym samego pana biegłego. Nie ulega najmniejszej wątpliwości – i zainteresowani panowie sami przyznają mi po cichu rację – że opiekujący się mną w tutejszym zakładzie lekarze odnoszą się do mnie ze *znacznie większym szacunkiem* od momentu, kiedy poznali treść moich „Pamiętników” i uzyskali tym samym zupełnie inne spojrzenie na moją duchowość i obyczajowość. Myślę również, że w kwestii moralnej oceny przez inne osoby mogę nie tyle stracić, co tylko zyskać.

Zarzuca mi się również, że w stosunku do „jeszcze żyjących i wielce szanowanych osób użyłem obelżywych określeń”. Może się to odnosić tylko wyłącznie do tajnego radcy prof. dr. Flechsiga z Lipska. Ale twierdzenie, jakoby miał używać w stosunku do niego obelżywych słów, jest niewłaściwe; prosiłbym o wskazanie w moich „Pamiętnikach” choćby jednego miejsca, w którym posłużyłem się jakąś obelgą wobec tajnego radcy prof. dr. Flechsiga. Prawdą jest jedynie to, że relacjonowałem pewne zdarzenia, które zgodnie z tym, co przekazały mi przemawiające do mnie głosy, musiałem uznać za prawdziwe, i które, jeśli faktycznie byłyby prawdziwe i miały dotyczyć *człowieka*, tajnego radcy dr. Flechsiga, mogłyby poniżyć go w opinii publicznej, o ile byłyby nieprawdziwe, czyli zawierałyby obelgi. Nie można więc faktycznie wobec powyższego wykluczyć groźby kary. Biorę ją jednak z pełną świadomością na siebie. W celu wyjaśnienia stanowiska najlepiej posłużą dwa z moich wcześniejszych elaboratów, które pochodzą jeszcze z czasów *przed* wydaniem wyroku, względnie z czasów, kiedy nie znałem jeszcze treści opinii biegłego. Udostępniono mi je bowiem w pełnym brzmieniu dopiero w ostatnich tygodniach (początek maja do początku lipca 1901 r.). 4 lutego 1901 skierowałem Dyrekcji Królewskiego Zakładu pismo następującej treści:

Dyrekcji Zakładu wiadomo jest, że noszę się z myślą opublikowania moich „Pamiętników” i mam nadzieję, że nastąpi to po uzyskaniu zniesienia mego ubezwłasnowolnienia. Długo i intensywnie zajmowały mnie wątpliwości, czy publikacja ta jest dozwolona. Nie mogłem ukryć przed samym sobą, że ze względu na pewne rozdziały moich „Pamiętników” pan radca tajny prof. dr. Flechsig w Lipsku mógłby poczuć się zmuszony do złożenia wniosku o ukaranie mnie za obrazę, a może nawet o wycofanie całego wydania jako dowodu na popełnienia karalnego czynu (§ 40 Kodeksu Prawa Karnego). W końcu jednak podjąłem decyzję o podtrzymaniu zamiaru publikacji.

Wiem, że także wobec radcy tajnego prof. dr. Flechsiga jestem wolny od wszelkiej osobistej animozji. W związku z tym do moich „Pamiętników” włączyłem jedynie tylko te dotyczące go informacje, które były według mnie niezbędne do zrozumienia całego mojego opisu. W przypadku publikacji skreśliłbym być może w szczególności nieco może uszczypliwy i nie całkiem konieczny dla ogólnego kontekstu przypis. Mam nadzieję, że wówczas także u radcy tajnego prof. dr. Flechsiga naukowe zainteresowania zepchną na dalszy plan ewentualne osobiste odczucia. Gdyby miało się stać inaczej, to waga, jaką przykładam do rozpowszechnienia mojej pracy przez wzgląd na zamierzone wzbogacenie nauki i wprowadzenie jasności w religijne poglądy, jest tak wielka, że ja sam muszę wziąć na siebie niebezpieczeństwo ukarania za obrazę i utratę majątku grożącą mi przez ewentualną konfiskatę.

Informację tę przekazuję Dyrekcji Zakładu oczywiście nie z tym zamiarem, by prosić ją o wypowiedzenie swojego zdania na temat ewentualnie istniejącej możliwości ukarania mnie za to, lecz *jedynie i tylko po to, by także i w ten sposób na nowo udowodnić, jak dojrzałe rozważam z góry podczas podejmowania wszystkich moich działań skutki i jak nie może być w moim przypadku mowy o tym, że jestem człowiekiem, któremu brak zdolności kierowania swymi sprawami.*

Następnie punkt VI suplementów do moich „Pamiętników” zawiera pod koniec, co następuje:

W razie gdyby niniejsza praca miała zostać opublikowana, mam dokładną świadomość, iż istnieje jedna osoba, która mogłaby się poczuć urażona taką publikacją. Jest to tajny radca prof. dr Flechsig w Lipsku. Wypowiedziałem się na ten temat w piśmie skierowanym pod datą 4 lutego tego roku pod adresem dyrekcji tutejszego zakładu, którego brzmienie zamieszczam dosłownie poniżej (tu następuje powyżej zamieszczony tekst).

Chciałbym tu dołączyć jeszcze kilka uwag.

Naturalnie muszę zakładać, że tajny radca prof. dr Flechsig pamięta jeszcze przynajmniej w ogólnych zarysach wydarzenia, jakie wiążą się z moim pobytom w kierowanej przezeń Przyuniwersyteckiej Klinice dla Nerwowo Chorych w Lipsku. Nie odważę się natomiast twierdzić z całą pewnością, czy kiedykolwiek uświadamiał on sobie także rzeczy nadprzyrodzone, jakie wiążą się z jego nazwiskiem, i w trakcie dziania się których jego nazwisko zostało mi podane przez głosy i wymieniane jest ciągle jeszcze codziennie, choć moje osobiste kontakty z radcą tajnym prof. dr. Flechsigiem dawno już zeszły dla mnie na dalszy plan i dlatego bez zewnętrznego oddziaływania raczej nie wzbudzałyby jeszcze ciągle mojego zainteresowania. Dopuszczam możliwość, iż były i ciągle jeszcze są one dla niego w jego ludzkiej postaci obce; niejasna pozostaje oczywiście kwestia, jak można mówić w odniesieniu do żyjącego jeszcze człowieka o różnej od niego, znajdującej się poza jego ciałem duszy. Po poczynionych bezpośrednio przeze mnie po tysiącokroć doświadczeniach pewne dla mnie jest, że dusza taka, albo przynajmniej taka część duszy, istniała i ciągle jeszcze istnieje. W związku z tym muszę *uznać za możliwy* także fakt, iż wszystko, o czym opowiadałem w pierwszych rozdziałach moich „Pamiętników”, a co ma związek z nazwiskiem Flechsig, odnosi się tylko do duszy Flechsig, którą należy odróżnić od noszącego to nazwisko człowieka, a której to egzystencja jest wprawdzie niewątpliwa, jednak w naturalny sposób niewytłumaczalna. Jestem więc całkowicie daleki

od tego, by zamierzoną publikacją w jakikolwiek sposób atakować honor żyjącego radcy tajnego prof. dr. Flechsiga.

Moje wyjaśnienia zawarte w powyższych pismach wymagają jeszcze niewielkiego uzupełnienia. Wynika z nich chyba w oczywisty sposób, że nosząc się z zamiarem opublikowania moich „Pamiętników”, miałem od samego początku *pełną świadomość* konsekwencji takiego kroku i *to, jak mi się wydaje, ma decydujące znaczenie w odpowiedzi na pytanie o moją zdolność do czynności prawnych*. Jeśli do niewypowiedzianych cierpień, jakie przeszedłem do tej pory, pragnę jeszcze w imię wyższych, dla mnie świętych celów, wziąć na siebie mękę grożącej mi kary, to sądzę, że żaden człowiek nie ma prawa mnie od tego powstrzymać. Nie chcę bowiem, by poznanie Boga, jakie zostało mi dane, przypadło wraz z moim odejściem gdzieś w nicości, a ludzkość straciłaby być może bezpowrotnie możliwość zdobycia właściwego wyobrażenia o tamtym świecie. Zresztą nie jest jeszcze przesądzone, czy rzeczywiście powinienem się spodziewać ze strony tajnego radcy prof. dr. Flechsiga powództwa o zniewagę i czy w istocie doprowadzi ono do wymierzenia mi kary. W każdym razie zmuszony jestem z wyrazami wdzięczności odrzucić przyznaną mi *ochronę*, która ostatecznie skończyłaby się na tym, że, by ochronić mnie przed co najwyżej kilkumiesięcznym więzieniem, zamknięto by mnie najchętniej od razu *dożywotnio* w zakładzie, pozbawiając tym samym wolnego dysponowania własną osobą i majątkiem.

I na tym mógłbym zakończyć uzasadnienie mojego odwołania od wyroku; sądzę bowiem, że udało mi się podważyć wszystkie ważniejsze argumenty, które w opinii lekarza biegłego oraz w wyroku sądowym przemawiały za utrzymaniem postanowienia o ubezwłasnowolnieniu.

Jednak pewne *novum*, jakie pojawiło się podczas pracy nad powyższym pismem w obrazie stanu mojego zdrowia, skłania mnie do napisania jeszcze kilku zdań, ponieważ ma to niejakić znaczenie dla moich przyszłych planów. Żyłem dotychczas w przekonaniu, że podawane mi w zakładzie środki nasenne nie mają żadnego wpływu na mój sen, że mój sen zależy *tylko* od działania promieni (por. przypis 29. do rozdziału VII moich „Pamiętników”). Zalecane mi środki nasenne brałem zawsze tylko dlatego, że w tej kwestii jak we wszystkich innych stosuję się do zaleceń lekarzy. W tym miesiącu przeprowadzono jednak próbę odstawienia środków nasennych przez kilka nocy. Próba przyniosła taki skutek, że podczas owych nocy spałem niewiele albo wcale. Nie można naturalnie wykluczyć, że w grę wchodził przypadek, bo i w innych sytuacjach sypiałem od czasu do czasu źle. W każdym razie muszę się teraz liczyć z możliwością lub prawdopodobieństwem, że przynajmniej

tymczasowo nie będę mógł się obyć bez środków nasennych. Nie podważa to wprawdzie w najmniejszym stopniu mojego głębokiego przekonania, że moja osoba jest przedmiotem boskich cudów, a także tego, że mój sen wynika początkowo ze złączenia się wszystkich promieni. Być może jest tak, że *czas trwania* snu, odpowiadający naturalnym potrzebom ludzkim, można osiągnąć jedynie za pomocą środków farmakologicznych. Jednak prawdopodobnie moje plany co do samodzielnego kształtowania mojej przyszłości będą musiały ulec pewnym zmianom. *Nie należą do tego rodzaju chorych umysłowo, którzy natarczywie domagają się zwolnienia, nie zastanawiając się nad tym, jak ułożyłoby się ich życie poza zakładem ani co oznaczałoby to dla nich i dla ich najbliższego otoczenia.* A i pobyt w zakładzie nie jest przy obecnych układach sam w sobie na tyle nieznośny, bym miał przedkładać samotne życie poza zakładem – w sytuacji, gdybym nie mógł mieszkać z moją żoną – nad obecny stan rzeczy; nie jest np. wcale pewne, czy przy dość często pojawiających się stanach, w których wydaję z siebie krzyki, zatrudniony służący wytrzymałby ze mną długo. W związku z powyższym muszę przyznać bez wahania, że tak długo, jak długo będę potrzebował sztucznych środków nasennych, przebywanie pod opieką lekarską, a więc najprościej w zakładzie, w którym znajduję się już od siedmiu lat, będzie *jedynym słusznym i rozsądnym rozwiązaniem.* O ile, jak sądzę, udało mi się niniejszym dostarczyć nowych dowodów na to, że potrafię na wskroś rozumnie i przytomnie oceniać istniejący stan rzeczy, to z drugiej jednak strony muszę zaznaczyć, że mój pobyt w tutejszej klinice zachowuje charakter środka zaradczego, podjętego ze względów zdrowotnych, na który z *własnej i nieprzymuszonej woli* – tak długo, jak długo nie dołączą się do tego względy policyjne – wyraziłem zgodę, jako człowiek całkowicie rozumny i całkowicie zdolny do kierowania swoimi sprawami. Oprócz tego w grę wchodzi jeszcze kwestia *honoru*; który bowiem człowiek o tak dużym umysłowym znaczeniu, za jakiego, jak sądzę, mam prawo się uważać, potraktowany w sensie prawnym jak dziecko poniżej siódmego roku życia czy pozbawiony możliwości pisemnego dysponowania, a nawet wglądu w stan swego majątku itd., itd., nie odebrałby tego jako coś uwłaczającego jego godności. Z drugiej jednak strony ma to istotne znaczenie *praktyczne.* Z czasem zniknie może konieczność stosowania środków nasennych, krzyki stanowiące przedmiot zarzutów policji mogą ulec złagodzeniu i przestaną być poważnym obciążeniem dla innych osób. Gdybym w takiej sytuacji w przyszłości chciał w którymś momencie zmienić swoje położenie, gdybym np. zechciał przenieść się na próbę do jakiegoś prywatnego zakładu, to obawiam się, że wówczas przy utrzymaniu w mocy ubezwłasnowolnienia musiałbym chodzić z moimi wnioskami od Annasza do Kajfasza, ponieważ administracja zakładu z jednej strony, a moi bliscy,

jak również opiekun i sąd opiekuńczy z drugiej strony, przy czym ci ostatni nie będą oczywiście nigdy dokładnie poinformowani o moim stanie zdrowia, mogą obarczać siebie nawzajem odpowiedzialnością za moje zwolnienie lub jakąkolwiek zmianę mojej sytuacji. Dlatego też bardzo zależy mi na tym, by w tej kwestii mieć do czynienia *jedynie* z administracją zakładu, co do której kompetencji i poczucia obowiązku mam z jednej strony całkowite zaufanie, lecz która – w przypadku przedłużenia wbrew mej woli pobytu w zakładzie – będzie musiała liczyć się z tym, że będę podejmował decyzje *wyłącznie na własną odpowiedzialność* i trzymał się tego stanowiska z całą stanowczością przy jakichkolwiek postanowieniach z ich strony.

Kończąc, chciałbym jeszcze raz wyrazić nadzieję, że ostrość niektórych moich wypowiedzi, jaką przybrały one wbrew moim właściwym zamiarom wobec pana biegłego, nie została przez niego w żadnym razie odebrana jako uwłaczanie dla należnego mu szacunku.

Sonnenstein, 23 lutego 1901 r.

Dr Schreber, (były) przewodniczący senatu

O.I.152/00

IV. Opinia tajnego radcy dr. Webera z 5 kwietnia 1902 r.

Sonnenstein, 5 kwietnia 1902 r.

Do
Sądu Krajowego I Instancji
Królestwa Saksonii
I Wydział Cywilny w Dreźnie

Kiedy na mocy postanowienia dowodowego Wyższego Sądu Krajowego, I Wydziału Cywilnego, z 23 grudnia 1901, poproszono mnie 14 stycznia br. o szczegółową opinię na temat stanu psychicznego przewodniczącego senatu, pana dr. Schrebera, odebrałem to jako niezbyt przyjemne zadanie. Od lat jestem lekarzem powoda; od pewnego czasu jest moim codziennym gościem przy stole, relacje między nami mógłbym ze swej strony określić jako przyjacielskie i pragnąłbym gorąco, by ten ciężko doświadczony człowiek zaznał jeszcze w życiu choć trochę przyjemności, na które – jak sam sądzi – ma prawo po tylu trudach liczyć. Wobec takich oczekiwań, do których powód przykłada ogromną wagę, i od sukcesu których zależy w dużej mierze możliwość korzystania z owych uroków życia, wypada mi oto zgodnie z moim obowiązkiem opisać istniejący stan rzeczy z punktu widzenia medycyny naukowej, przedstawić rzeczy tak, jak widzę je na podstawie swoich obserwacji, i w ten sposób dostarczyć być może materiału, na podstawie którego będzie można potwierdzić zasadność zaskarżonego przez pana Schrebera ubezwłasnowolnienia. W opisywaniu spostrzeżeń, jakie zostały poczynione podczas prywatnych spotkań, jest coś, co łatwo zinterpretować i odebrać jako nadużycie przez lekarza zaufania, i nawet jeśli lekarz jest przed sądem zwolniony z lojalności wobec pacjenta, stosownej we wszelkich innych sytuacjach, to jednak bezceremonialna wypowiedź na temat objawów chorobowych może

być dla tego ostatniego sprawą dość drażliwą i nie wpływać pozytywnie na kształtowanie wzajemnych relacji, opartych na szczerości i zaufaniu, jak to zgodnie z naturą rzeczy powinno być. Choćby biegły lekarz starał się nie wiem jak bardzo zachować w swoich wypowiedziach obiektywizm, nigdy nie uda mu się osiągnąć tego, by chory psychicznie uznał jego poglądy za obiektywnie uzasadnione, chyba że sam chory oceniłby prawidłowo swój stan, ale w ten sposób dowiódłby, że faktycznie chory *nie* jest.

Z tego względu wolałbym, by to inny biegły był autorem dokumentów, na podstawie których miałyby zapaść wyrok; z tego też powodu starałem się w mojej poprzedniej opinii podchodzić do moich kompetencji lekarza biegłego ze szczególną ostrożnością, tak jak ja je pojmuję. Jednak zarówno powód, jak i Prokuratura Królewska uznali taką postawę za nieusprawiedliwioną, natomiast ja jestem przekonany, że powinienem konsekwentnie trzymać się swego postanowienia, nawet jeśli w jednoznacznych przypadkach, a takie występują najczęściej, biegły, by przyspieszyć postępowanie, zazwyczaj sam (i ja nie jestem tu wyjątkiem) na podstawie stwierdzonej choroby lub niedorozwoju umysłowego wyciąga wnioski co do dalszego postępowania. W uzasadnieniu powyższego chciałbym powołać się między innymi na wypowiedź Endemanna (Wprowadzenie do *Studium des B.S.C.*, wydanie III, str. 147ff.). Sądzę także, iż z treści postanowienia dowodowego wolno mi wywnioskować, że Sąd Krajowy Królestwa Saksonii II Instancji nie kwestionuje mojego stanowiska, ponieważ nie oczekuje ode mnie deklaracji rzeczoznawcy, czy powód może ze względu na swą chorobę umysłową kierować swoimi sprawami, czy też nie, lecz jedynie objaśnienia i uzupełnienia mojej wcześniejszej opinii. Ze względu na owo *uzupełnienie* zwlekałem nieco z oddaniem tej opinii, by móc uwzględnić wydarzenia z ostatniego okresu, kiedy to powód mógł się nie tylko swobodniej poruszać, ale przysługiwały mu też większe środki finansowe.

Realizując postanowienie dowodowe, chciałbym zacząć od zawartego w nim pytania, pozycja numer 3, ponieważ ma ono fundamentalne znaczenie i odpowiedź na nie rzuci światło na niektóre kwestie poruszone w pytaniach wcześniejszych.

Mówi się, być może przesadnie, że nie ma dwóch takich samych liści na drzewie. To samo można powiedzieć, być może z jeszcze większym prawdopodobieństwem, o chorobach ludzkiego mózgu, pod warunkiem, że uznamy go za substrat funkcji psychicznych człowieka. Jest to niezwykle skomplikowany aparat, rozwinięty w tak różnym stopniu, że zaburzenia w jego obrębie wykazują się nieograniczoną różnorodnością, że poszczególne odbiegające od normy zjawiska łączą się ze sobą w nieskończonej liczbie kombinacji, a więc zgodnie z tym nie ma dwóch absolutnie identycznych przypadków.

Zrozumie to bez trudu nawet ktoś, kto nie ma doświadczenia z chorobami psychicznymi, jeśli tylko uprzytomni sobie, jak różne są psychiczne osobowości zdrowych ludzi, jak bardzo różnią się one między sobą szybkością i ilością skojarzeń, intensywnością i głębią emocji, energią odruchów woli itd., tak że trudno znaleźć dwie osobowości, które pokrywałyby się ze sobą we wszystkich szczegółach. To oczywiste, że pierwotna osobowość chorego ma istotny wpływ na przebieg procesów patologicznych, że treść i forma urojeń inaczej kształtuje się u człowieka uzdolnionego, posiadającego rozległą wiedzę, stojącego pod względem etycznym na wysokim poziomie, niż u osoby posiadającej z natury swojej nie tak wartościowe, nie tak rozwinięte cechy, osoby niezbyt bystrej. Jeśli uwzględnimy oprócz tego, że w tak czy owak ukształtowanym organizmie mogą nastąpić z kolei różne zaburzenia tej skomplikowanej maszyny, jaką jest ludzka psychika, to powstaje nieograniczone pole do formowania się szczegółów obrazu choroby. Jak rozmaite i różnobarwne są poszczególne przypadki zaburzeń psychicznych, tak wiele można zaobserwować specyficznych i wyjątkowych cech każdego pojedynczego przypadku. Jednak kiedy przyjrzymy się dokładniej tym poszczególnym przykładom w obrębie danego zaburzenia psychicznego, stwierdzimy, że określone cechy układają się w pewne grupy, że nasuwają się określone zespoły chorobowych zjawisk, mniej lub bardziej wyraźnie różniących się od siebie pod względem stopnia rozwoju, przebiegu i sposobu ustępowania, udziału poszczególnych funkcji psychicznych, które pozwalają stwierdzić określoną liczbę form danej choroby, co potwierdzają obserwacje tysięcy przypadków. I o ile barwne i niewyczerpane mogą być poszczególne wersje chorób psychicznych, o tyle najistotniejsze kierunki pozostają stałe, charakterystyczne cechy choroby powtarzają się z niemal zaskakującą jednostajną regularnością.

Wychodząc z tak pojętego naukowego punktu widzenia, nie można powiedzieć, by ten szczególny rodzaj zaburzeń psychicznych, jaki obserwuje się u powoda, nie był znany dotychczas w psychiatrii; przeciwnie – jest to bez wątpienia doskonale znana i dokładnie opisana forma choroby psychicznej, paranoja, i nosi w sobie wszystkie istotne jej cechy. Choć paranoja sama w sobie jest stosunkowo często występującym zaburzeniem psychicznym, nie można oczywiście powiedzieć, że omawiany tu przypadek jest powszechny i zwyczajny, tak jak nie możemy powiedzieć, że sam powód jest zwykłą przeciętną jednostką. Właśnie w paranoi o wiele bardziej niż w innych chorobach istotne znaczenie ma pierwotna osobowość chorego; ma ona decydujący wpływ na formę szaleństwa i tak długo, jak nie nastąpi wtórne (rzadkie w paranoi) upośledzenie umysłowe, wytwory choroby u człowieka o wysokim rozwoju umysłowym, posiadającego rozległą wiedzę, żywo inte-

resującego się problemami naukowymi i światopoglądowymi, obdarzonego bogatą wyobraźnią, z doskonale wyuczoną zdolnością oceniania są wyposażone adekwatnie do stanu umysłu chorego, jeśli jednak chodzi o sposób tworzenia i systematyzowania urojeń, obraz choroby jest w gruncie rzeczy taki sam jak w przypadku osoby, której wyobraźnia nie sięga poza najbardziej trywialne sprawy dnia codziennego.

Już w mojej wcześniejszej opinii opisałem specyfikę jednostki chorobowej, jaką jest paranoja, ze względu jednak na postawione mi pytanie muszę to zrobić pokrótce jeszcze raz. Paranoja jest chorobą przewlekłą. Zazwyczaj rozwija się stopniowo, pod wpływem halucynacji może jednak rozpocząć się dość gwałtownie, by następnie po ustąpieniu ostrych objawów przejść w powoli postępujący proces. Charakterystyczną cechą paranoi jest występowanie urojeń, przy czym nie towarzyszą im zaburzenia nastroju, natomiast istnieje ścisły związek pomiędzy urojeniami a halucynacjami i zafałszowanymi wspomnieniami. Dość szybko następuje fiksacja urojeń i przetworzenie ich w trwały, niekorygowalny i niepodważalny system urojeń, przy czym intelekt, pamięć, porządek i logika procesów myślowych pozostają całkowicie zachowane. W ocenie ogólnego stanu pacjenta nie ma istotnego znaczenia, czy urojenia odnoszą się do kondycji własnego ciała (forma hipochondryczna), czy tematyki politycznej, religijnej, seksualnej lub tym podobnych, charakterystyczne jest natomiast to, że w centrum chorobliwych wizji znajduje się zawsze własna osoba, że zazwyczaj chory interpretuje fakty jako mające na celu szkodzenie mu lub prześladowanie go, a jednocześnie pojawiają się myśli megalomańskie, oraz że najczęściej – przez dłuższy czas – urojenia ograniczają się do jakiejś określonej wizji, a pozostałe dziedziny pozostają raczej nietknięte. Biorąc to pod uwagę, zakładano wcześniej występowanie „częściowego szaleństwa”, i nawet jeśli zaniechano obecnie takiej interpretacji choroby, jaka wynika z takiego określenia, to nie można mu odmówić racji. Wprawdzie każdy system urojeń (ponieważ jego autorem jest odrębne „indywiduum”, ktoś niepodzielny) musi oddziaływać na wszystkie myśli chorego i można by było to udowodnić, gdybyśmy byli w stanie prześledzić całościowo wszystkie procesy myślowe człowieka, w rzeczywistości jednak takie badanie nie jest możliwe i nawet przy bardzo dokładnej obserwacji chorego na paranoję okazuje się w wielu przypadkach, że wpływ systemu urojeń na ocenę rzeczywistości w pewnych grupach treściowych, mających tylko mało istotny i pośredni związek z tym systemem, jest tak niewielki, że z praktycznego punktu widzenia jego wartość jest w zasadzie równa zeru. Łatwiej będzie to zrozumieć na przykładzie psychicznie zdrowego człowieka. Możemy prowadzić z danym człowiekiem przez dłuższy czas ożywione rozmowy na płaszczyźnie naukowej, nie dowiadując się przy tym o jego re-

ligijnych przekonaniach, ponieważ nie mają one większego związku z jego poglądami naukowymi; obydwie grupy treściowe wiodą w jego mózgu jakby osobny żywot. Zawsze następuje jednak taki moment, w którym spostrzegamy, że również te naukowe poglądy ulegają pewnym znaczącym wpływom przekonań religijnych pozostających jak dotychczas w ukryciu, co może się dziać bez udziału świadomości danej osoby. Podobnie rzecz się ma z systemem urojeń paranoika: jeśli nikt nie wywoła go celowo, będzie pozostawał dla osób trzecich całkowicie niedostępny i niewidoczny w zwykłym zachowaniu, podczas gdy tak naprawdę stanowi podstawę całego jego życia umysłowego. Dlatego nie jest to zjawiskiem ani rzadkim, ani dziwnym, że paranoicy przez długi czas być może uchodzą za dziwaków, ale zawsze należycie wykonują swoje obowiązki zawodowe, przepisowo załatwiają swoje interesy, odnoszą nawet sukcesy na polu naukowym, chociaż ich psychika jest mocno zaburzona, a oni sami znajdują się w sidłach często absurdalnego systemu urojeń. Każdy psychiatra z pewnym doświadczeniem zna mnóstwo takich przypadków; ilustrują one we właściwy sposób specyfikę osoby chorej na paranoję. W tych najczęściej przewlekłych przypadkach zdarza się często, że przy w określonej sytuacji chory wypada z toru swego *modus vivendi* ustalonego wobec świata zewnętrznego, na skutek swoich chorobliwych poglądów popada w kolizję z otoczeniem, swoim zachowaniem przekroczy granicę ludzkiej wytrzymałości, zostanie więc uznany za chorego i poddany leczeniu. Jak wynika z doświadczenia, tak się zazwyczaj dzieje, ale nie można też wykluczyć, że wiele przypadków paranoi w ogóle nie trafia do leczenia, lekarze nie są o nich informowani, i być może wie o nich tylko najbliższe otoczenie; przebiegają one w miarę łagodnie, nie nękając zbytnio chorego i nie zakłócając jego życia w społeczeństwie.

Do opisanej powyżej grupy przypadków chorobowych należy bez wątpienia psychoza powoda, manifestująca się w swojej obecnej formie już od szeregu lat, nie rozwijała się bowiem, jak to zazwyczaj bywa, stopniowo i niepostrzeżenie, lecz wyłoniła się z ostrego stanu chorobowego.

Stosując się do pouczenia udzielonego mi przez Sąd Krajowy II Instancji Królestwa Saksonii w postanowieniu dowodowym, bym wziął pod uwagę podanie powoda znajdujące się w aktach sprawy, chciałbym odnieść się teraz do kilku skierowanych przez niego pod moim adresem zarzutów.

Powód sądzi (str. 118), że wydana przeze mnie opinia wychodzi *a priori* z oczywistego założenia, że wszystko to, co zostało przez niego powiedziane na temat kontaktów z Bogiem i boskich cudów dziejących się na jego osobie, polega jedynie na chorobliwej fantazji. Nie jest to prawdą. Pomijając fakt, że nie użyłem chyba nigdzie wyrażenia „fantazja”, to założenie o chorobliwym charakterze idei, o których mowa, nie zostało przyjęte przeze mnie *a priori*,

co więcej – powstało na podstawie analizy historii choroby, z której wynika, iż chorego dotknęła silna hiperestezja, nadwrażliwość na światło i dźwięki, że następnie dołączyły się do tego zmasowane halucynacje i zwłaszcza zaburzenia ogólnego samopoczucia, wypaczając jego postrzeganie, że pod wpływem owych zmysłowych złudzeń rozwinęły się początkowo urojenia prześladowcze i opanowały pacjenta do tego stopnia, że doprowadziły go do prób samobójczych, aż w końcu z tych patologicznych procesów wykrystalizował się ten system idei, który w tak wnikliwy i drastyczny sposób został opisany przez powoda w jego „Pamiętniku” i którego szczegóły zostały przedstawione na tyle, na ile to było możliwe w poprzednich opiniach. Jeśli więc prawny przedstawiciel powoda sugeruje, opierając się na wypowiedziach tego ostatniego, że dla opiniodawcy i sędziego materiałem przesądającym o stwierdzeniu choroby umysłowej była jedynie „wiara w cuda” zawarta w systemie idei powoda, lecz że jest to bezpodstawne, ponieważ wielu ludzi wierzyło już w cuda i nikomu nie przyszło do głowy uznawać ich za chorych umysłowo, to trzeba powiedzieć, że przedstawiciel prawny nie ma racji. W omawianym tu przypadku nie może być mowy o tym, co potocznie nazywa się wiarą w cuda, o naiwnej, celowo lub niecelowo bezkrytycznej teorii, że oto kochany Bóg od czasu do czasu zgodnie ze swą nieograniczoną wolą każe rzeczom przybierać obrót wbrew znanym nam prawom natury albo każe im dziać się ponad nimi. Chodzi tutaj o wizje, które, jak powód sam często podkreśla i jak wynika z samej ich treści, nie wzięły się z pobożnej dziecinnej wiary, lecz powstały bezpośrednio i wbrew temu, w co wierzył wcześniej, w wyniku procesów patologicznych zachodzących w jego mózgu, procesów poświadczonych przez zaburzenia ogólnego samopoczucia i omamy słuchowo-wzrokowe, i są przez to umiejscowione w zupełnie innym obszarze niż owa niewinna „wiara w cuda”. Sam powód nie może oczywiście zrozumieć, że jego halucynacje (w najszerszym tego słowa znaczeniu – należą tu między innymi opisane przez pacjenta skurcze mięśni) są jedynie jego odczuciem subiektywnym, a jego polemika (str. 164nn) dąży przede wszystkim do przedstawienia *jego* halucynacji jako czegoś szczególnego i do uznania realności ich podstaw. Tak czyni jednak każdy cierpiący na halucynacje i musi tak czynić, w przeciwnym razie nie miałby żadnych autentycznych halucynacji. Dla tych ostatnich charakterystyczne jest bowiem to, że dla chorego są one czymś widocznym i rzeczywistym, odznaczają się zmysłową ostrością. Byłoby błędem twierdzić, że cierpiący na halucynacje czuje się tak, *jakby* coś widział lub słyszał – on naprawdę widzi i słyszy, i dyskusja z nim na temat realności jego wrażeń nie miałaby najmniejszego sensu. „Jeśli moje spostrzeżenia są błędne”, powiedział kiedyś pewien chory, „to muszę również wątpić we wszystko, co mi Pan mówi, muszę wątpić w to, że Pana widzę”. Zgłębianie wiedzy o halucynacjach

zająłoby tu zbyt wiele miejsca i nie wnioskoby niczego istotnego do sprawy, należy jedynie wspomnieć, że podczas halucynacji *wewnętrzne* anormalne pobudzenie percepcyjnych aparatów mózgowych powoduje w świadomości danej osoby to, co w normalnych warunkach wywołują bodźce zewnętrzne, mianowicie jakieś spostrzeżenie; zachodzi proces, w którym doznający halucynacji percypuje – można powiedzieć – nie świat, lecz siebie, czyli proces zachodzący w jego ośrodkowym układzie nerwowym. Jednak tej niewspółmiernie wielkiej siły, z jaką przywidzenia opanowują zazwyczaj całą świadomość chorego jako *rzeczywiste* spostrzeżenia, nie da się jedynie wytłumaczyć tym, że zmysły odbierają je w sposób niezwykle wyrazisty i jednoznaczny, lecz również tym, że odpowiadają dominującym kierunkom myślenia i wyrosły na tym samym gruncie, co owe zrazu być może ciemne i niejasne procesy myślowe, wsparte i wzmocnione następnie przez halucynacje. Fakt, że chory doznawał halucynacji i wciąż ich doznaje, nie ulega najmniejszej wątpliwości, a jego halucynacje, względnie iluzje (chorobowo subiektywna interpretacja rzeczywistych wydarzeń) nie różnią się zasadniczo od halucynacji wielu innych chorych, nie mogą się różnić tylko dlatego, że ukształtowały się pod wpływem jego osobowości. Również wyrażona przez niego wątpliwość, czy kiedykolwiek zaobserwowano nieprzerwany ciąg halucynacji, jest nieuzasadniona; powtarzających się w pewnych odstępach czasu jest – nawet jeśli zdarzają się rzadko – wystarczająco dużo.

Równie nieuzasadnione jest twierdzenie, że nigdy do tej pory nie miały miejsca krzyki. U chorych na tak zwaną katatonię automatyczne wyrzucanie z siebie nieartykułowanych dźwięków lub niekończące się powtarzanie słów nie należy do rzadkości, obserwowałem to jednak także u paranoików. I tak oto wśród moich pacjentów znajdował się kiedyś pewien mężczyzna z powszechnie szanowanej rodziny, o nieprzeciętnych przymiotach umysłu, niezwykle wykształcony, którego opanowało między innymi urojenie, że dawni znajomi – rzekomo szczególnie mu nieprzychylni – są zamknięci w pustych ścianach domu, nękają go stamtąd obraźliwymi szyderczymi słowami itd. Ten chory na paranoję człowiek, zachowujący się zawsze poprawnie, bardzo rozmowny i towarzyski, zabawiający rozmówców swym talentem poetyckim, zwykł każdego dnia nieprzerwanie przez pół godziny wyrzucać z siebie wymuszone, nadzwyczaj głośne nieartykułowane dźwięki lub obelgi i robił to wyłącznie w swoim pokoju; nazywał to: „odchrząknąć psychicznie”.

Chciałbym także zaprzeczyć wielokrotnie powtarzanemu przez powoda przekonaniu, jakoby zmienił w ostatnim czasie swoje zdanie na temat jego stanu zdrowia i że przypuszczalnie z biegiem czasu moja opinia ulegnie dalszym zmianom. Nie moja opinia, lecz sam stan zdrowia zmieniał się stopniowo i przechodził różne fazy. Przedstawiłem to już obszernie – i, jak

sądę, wystarczająco jasno – w moich poprzednich ekspertyzach i wydaje mi się, że nie muszę się czuć w obowiązku, by z podobną dokładnością opisywać ponownie przebieg interesującego tu nas stanu chorobowego. Pomiedzy stanem z czasów wcześniejszych, czyli opanowaniem przez niesamowite urojenia hipochondryczne, między ciężkim stuporem halucynacyjnym, zachowaniem negatywistycznym, charakteryzującym się odmową przyjmowania pożywienia, unikaniem wszelkich kontaktów i jakiegokolwiek zajęcia, a postawą terażniejszą, opanowaną, towarzyską, otwartą na wymagania i potrzeby dnia, istnieje ogromna różnica; różnica mająca oczywiście wielkie znaczenie w ocenie ogólnego stanu. O tym, jak znacząca jest zmiana stanu pacjenta, świadczy również między innymi modyfikacja treści i formy halucynacji. O ile wcześniej miały bardzo żywy, afektywny charakter, przebiegały gwałtownie i dlatego ich bezpośrednie skutki były tak silne, to z czasem zaczęły powoli słabnąć, i – jak to wynika z sugestywnego opisu samego pacjenta (por. str. 166nn) – są już tylko zaledwie cichym szelestem, szmerem, który można porównać z odgłosem przesypującego się w klepsydrze piasku, natomiast treść ich jest uboższa i zabawniejsza, prędkość wypowiedzanych w halucynacji słów coraz powolniejsza, „głosy” – stłumione normalną rozmową – wciąż są dla pacjenta uciążliwe i budzą odrazę, ale nie wpływają w tak znaczący sposób na jego odczuwanie i myślenie. Jak już powiedziałem, ostry stan psychozy z gwałtownymi zmianami nastroju już dawno przeszedł w stan chroniczny, z przyływu wzburzonych i mętnych wód ostrego procesu chorobowego wykrystalizował się i utrwalił znany, złożony system urojeń, i tym samym chory pogodził się na swój opisany powyżej sposób z tym, że ów system prowadzi w świecie jego pojęć swój osobny żywot, wprawdzie stanowi znaczną jego część, ale przy braku gwałtownych akcentów afektywnych pole wzajemnego oddziaływania pomiędzy nim a innymi kręgami pojęciowymi, szczególnie tymi obejmującymi życie codzienne, jest względnie niewielkie, wpływ systemu urojeń na inne kręgi pojęciowe spowodowany pobudzeniem odpowiednich odruchów woli nie zawsze jest widoczny.

Nie oznacza to, że taki wpływ jest całkowicie wykluczony, może się on zaznaczyć na jakiejś trywialnej płaszczyźnie i doprowadzić do błędnych przekonań. Chciałbym w tym miejscu, ponieważ sam powód oczekuje jakiejś specjalistycznej opinii na ten temat, poruszyć jego osobliwe, odgrywające w jego systemie urojeń pewną rolę, pojmowanie męskiego i kobiecego ciała.

Jest on zdania, że – w przeciwieństwie do ciała mężczyzny – w całym ciele kobiety, a w szczególności w piersiach, występują „nerwy rozkoszy”, on sam jednak w tej kwestii bardziej przypomina kobietę i dlatego ma odpowiednie odczucia, i nic nie jest w stanie odwieść go od tego przekonania, mimo że w rzeczywistości „nerwy rozkoszy” znajdują się jedynie w genita-

liach, a biust kobiecy swój nabrzmiały kształt zawdzięcza jedynie rozwiniętych gruczołom mlecznym i odkładaniu się tkanki tłuszczowej.

Po tych ogólnych uwagach wywołanych zawartym w postanowieniu dowodowym pytaniem końcowym przejdę teraz do odpowiedzi na pierwsze pytanie, znacznie ważniejsze z praktycznego punktu widzenia.

Niech mi będzie wolno na początku zauważyć, że choremu – biorąc pod uwagę ogólny stan jego zdrowia – przyznawano stopniowo coraz większą swobodę poruszania się. O ile wcześniej zezwalano mu na małe wycieczki w towarzystwie pielęgniarki, na wizyty w restauracjach i miejscach rozrywki, na zakupy w domach towarowych pp., to od lata ubiegłego roku zrezygnowano z opieki. W pobliskim Wehlen zatrzymały się wówczas jego matka i siostra; pan przewodniczący Schreber sam zainicjował i stosownie przygotował ten pobyt. Podczas wizyt rodziny (rozciągających się na większość dnia, odbywanych niemal codziennie przez szereg tygodni) obecność pielęgniarki zdawała się być z oczywistych względów mało wygodna, wręcz przeszkadzająca, nie wspominając już o wynikających z niej kosztach, tak więc zrezygnowano z niej. Ponieważ dyrekcja zakładu nie widziała żadnych niedogodności wynikających z zaniechania stosowanych dotychczas środków ostrożności, nie przywrócono ich także i po wyjeździe rodziny chorego.

Od tamtej pory chory zachował prawo do swobodnego opuszczania zakładu bez żadnych, poza naturalnym zobowiązaniem do przestrzegania regulaminu, ograniczeń i korzystał z niego, wyruszając prawie codziennie na wycieczki, bądź to piesze, bądź statkiem albo koleją, i odwiedzając wszystkie warte obejrzenia miejsca w okolicy, sam lub w towarzystwie tego czy innego zaproszonego przez siebie pacjenta. Chodził również od czasu do czasu na koncerty, do teatru, na publiczne wystawy pp.; wychodził również wielokrotnie, by doglądać swoich rozpraw sądowych, odwiedzał swoją małżonkę, załatwiał drobne interesy w Dreźnie, a ostatnio na zaproszenie swojej rodziny udał się za pozwoleniem dyrekcji zakładu do Lipska; po ośmiodniowej nieobecności powrócił wczoraj z podróży i – jak zorientowałem się z informacji przekazanych mi przez jego siostrę – wizyta ta przebiegła całkiem pomyślnie.

Co się tyczy zachowania powoda we wszystkich tych sytuacjach, to najpierw trzeba przyznać, że nigdy nie zrobił niczego nierozsądnego lub niestosownego, zawsze otwarcie i śmiało mówił o swoich planach oraz zamiarach wychodzących poza ramy dnia codziennego, ewentualnie przed ich podjęciem upewniał się co do zgody dyrekcji, przy tym ostatnim postępował w sposób przemyślany, uwzględniając wszelkie okoliczności, zawsze punktualnie wracał ze swoich wycieczek. Wydaje mi się, że istnieją wszelkie przesłanki ku temu, by wierzyć, że w kontaktach powoda ze światem zewnętrznym nigdy nie pojawiły się żadne trudności. Jedyną wadą nieobec-

ności pracownika zakładu podczas tych kontaktów mogłoby być to, że nie uzyskano żadnej kompetentnej informacji na temat zachowania pacjenta poza zakładem. Jego dane na ten temat nie mogą być jedynym miarodajnym źródłem. Ogromnie ceni sobie prawdę i sędzę, że nigdy nie skłamałby świadomie, nie można jednak nie zauważyć, że nie jest zdolny, co łatwo wytłumaczyć, do obiektywnej oceny zasięgu i skutków swego zachowania. Zdarzyło się na przykład nieraz, że hałaśliwe zachowanie pacjenta w nocy wywołało oburzenie i skargi najbliższej okolicy, on jednak po przedstawieniu mu stosownych zarzutów dotyczących zakłócania spokoju nie chciał w to wierzyć i bagatelizował je. Jeśli mamy świadomość tego, jak głośno pacjent zachowuje się nie tylko w swoim pokoju, ale też i na terenie całego zakładu, i jak ponadto innymi swoimi dziwactwami zwraca na siebie uwagę, to trudno uwierzyć, że w innych miejscach jest w stanie uniknąć *jakiegokolwiek* ekscentrycznego zachowania. I w rzeczy samej tak nie jest.

Opisywałem już wcześniej, jak w towarzystwie, podczas codziennych posiłków i przy kilku innych okazjach można zauważyć doprawdy dziwaczne zjawiska zachodzące w pacjencie. Nawet średnio uważny laik bez z trudu rozpozna w nich coś chorobliwego, nie tylko grymasy twarzy, zamykanie oczu, chrząkanie, utrzymywanie głowy w dziwnej pozycji pp., ale też sytuacje, w których coś zdaje się zupełnie odwracać jego uwagę, jest nieobecny i odległy, tak że nie docierają do niego żadne wypowiedzi najbliższego otoczenia. Ostatnio zdarzyło się również – *właściwie tylko raz* – że nie mógł się przy stole powstrzymać od wydawania z siebie owych znanych „krzyków”, czym wywołał przerażenie szczególnie wśród obecnych przy stole dam. W tym samym czasie w obecności odwiedzającej go właśnie małżonki zachował się tak głośno, że ta natychmiast zmuszona była się od niego oddalić. Ponadto naoczni świadkowie informowali mnie, że powód zaczął się głośno zachowywać w pobliżu zakładu (na schodach), zaś na ulicy wykrzykiwał twarz, zwracając przez to na siebie uwagę. Nie mogę przemilczeć również faktu, że jeden z mieszkańców Pirny zarzucał mi listownie w czerwcu ubiegłego roku, że chorego zachowującego się jak powód wydaję „na pastwę opinii publicznej” – ta insynuacja wydała mi się jednak mocno przesadzona, zapewnienia pacjenta natomiast mocno podważyły jej wiarygodność, tak że wydawała mi się niegodna większej uwagi; zresztą nigdy więcej nie pojawiły się podobne informacje.

Jednakowoż należy liczyć się z tym, że jeśli ogólny stan zdrowia powoda nie ulegnie dalszej poprawie, to po powrocie do domowego zacisza nie będzie mógł on powstrzymać swego anormalnego, motorycznego naporu hałaśliwych, wymuszonych odgłosów, czym będzie zakłócał spokój najbliższego otoczenia. W tym miejscu muszę jeszcze kilka słów poświęcić stosunkowi

powoda do swojej małżonki. Ze zrozumiałych względów powód poczuł się dotknięty moją uwagą na temat jego „chorobliwie rozwiniętego egoizmu”. Byłem jak najbardziej daleki od umniejszania jego etycznych i moralnych uczuć, raczej całkowicie uznaję ich nieosłabioną obecność również w stosunku do małżonki; w wyżej cytowanej wypowiedzi akcent pada na słowo „chorobliwie”, miałem przy tym na względzie jedynie egocentryczny kierunek myśli, który jest właściwy każdemu choremu i który przesuwając to, co się dzieje z jego osobą, w centrum uwagi, nie dostrzega natomiast oddziaływania tych zdarzeń na innych, których cierpienie trudno zmierzyć właściwą miarą. Jakkolwiek by nie było, należy uznać, że przy obecnie istniejących okolicznościach i jak długo nie nastąpi dalsza poprawa, przy obecnym zewnętrznym zachowaniu chorego nie można myśleć (lub można jedynie zakładając u małżonki pewien stopień rezygnacji z samej siebie) o powrocie do związku małżeńskiego, której to rezygnacji małżonka jednak nie będzie w stanie dokonać ze względu na niestabilny stan jej zdrowia.

Od kiedy umożliwiono powodowi swobodne wychodzenie z zakładu, przyznano mu też pewną większą sumę (... marek miesięcznie) kieszonkowego na opłacenie wycieczek i jego drobnych potrzeb. Nie zauważono, by obchodził się z tymi pieniędzmi rozrzutnie i by w związku z tym pieniędzy tych mu nie wystarczało. Nie powstało wrażenie jakiejś wyjątkowej oszczędności, można było jednak zauważyć, że dobrze rozważa każdy wydatek, unika kosztowności i nie skupuje niepotrzebnych rzeczy (poza ozdobami, o których wcześniej była mowa). Wprawdzie zdaje mi się, że z kilku wypowiedzi małżonki można było wywnioskować, iż jej zdaniem pacjent pobiera zbyt wiele pieniędzy; ponieważ jednak nie jest mi znana sytuacja finansowa powoda, trudno ocenić zasadność tej wypowiedzi; sądzę jednak, że przy poczynionych tu wydatkach nie mogło raczej dojść do jakiegoś znacznego przekroczenia dozwolonej kwoty. Sam powód jest w każdym razie doskonale zorientowany w swej sytuacji finansowej i aktualnie nie ma podstaw, by zakładać, że kierując się jakimiś chorobliwym motywem, przekroczy wyznaczoną swoją sytuacją finansową granicę i przy nieograniczonej możliwości dysponowania pieniędzmi zrujnuje swój majątek.

Nie można powiedzieć, by powód nie zważał na swoje zdrowie i narażał je jakimiś samowolnymi działaniami. Przykłada również wagę do czystości i pielęgnacji ciała, je wystarczająco dużo, choć trzeba przyznać, że nie nadzbyt obficie, w picciu zachowuje umiar i dba o to, by przez regularny ruch zachowywać elastyczność i świeżość ciała. Jednak z jego często zmęczonego wyglądu można wywnioskować, że częste i bardzo poważne zaburzenia snu, do przywrócenia którego zresztą bardzo rzadko używa się ostatnio środków farmakologicznych, oraz dające o sobie znać wielokrotnie w ciągu

dnia pobudzenie ruchowe i niepokój odbijają się bardzo niekorzystnie na jego zdrowiu. To, że przy ewentualnej niedyspozycji zaczyna zachowywać się nieracjonalnie, można było zaobserwować dopiero niedawno. Pojawiły się mianowicie (same w sobie niegroźne) zaburzenia trawienia z biegunką i wymiotami; powód uznał to za „boskie cuda” i był tym faktem tak podniekowany, że zamiast leżeć w łóżku i zachowywać wskazaną przy tego typu dolegliwościach ścisłą dietę oraz przyjmować zalecane leki, robił pod wpływem zachodzących w psychice zaburzeń coś (na ile to było możliwe) zupełnie przeciwnego i przedłużał w ten sposób swoją niedyspozycję.

Jak już powiedziałem, powód nie będzie raczej podejmował żadnych kroków, które mogłyby zaszkodzić jego zdrowiu; tak zachowuje się zazwyczaj, ale opisany tu epizod wskazuje na to, że na patologicznym podłożu pewne odruchy są nieprzewidywalne.

Należy uznać, że powzięty przez powoda zdecydowany i wciąż od nowa potwierdzany zamiar opublikowania swoich „Pamiętników” wynika z jego choroby i przejawia niedostatek obiektywnych i rozsądnych przemyśleń. Nie muszę chyba jeszcze raz wchodzić w szczegóły tego tekstu – Sąd Krajowy II Instancji ma do niego wgląd i zapoznał się już zapewne dokładnie z jego treścią. Każdy bezstronny krytyk uznałby wprawdzie ten opis skomplikowanego systemu urojeń za niezwykle interesujący, szczególnie dla specjalisty w tej dziedzinie, jednak publikację mniej lub bardziej pełnej wersji tegoż, ze wszystkimi „niemożliwymi” fragmentami, określiłby jako odrażającą i kompromitującą jego autora. Jakakolwiek dyskusja z tym ostatnim na temat korzyści wynikających z opublikowania jego tekstu nie ma najmniejszego sensu; widzi w niej objawienie pewnej nowej, ważnej dla świata prawdy, i ponieważ powstrzymuje się od ustnego jej propagowania, to chciałby przynajmniej poprzez słowo drukowane umożliwić ludzkości udział w danym mu poznaniu Boga i tamtego świata, zaś „wszelkie wynikające z tego nieprzyjemności wziąć na siebie”.

O tym, co z opisanych powyżej odstępstw od normy należałoby uznać – w myśl postanowienia dowodowego – za „skłonność do nierozsądnego i opacznego działania”, zadecyduje sąd, mnie natomiast niech wolno będzie jako lekarzowi podkreślić, i tym samym zgodzić się z prawnym przedstawicielem powoda, względnie z nim samym, że objawy chorobowe uwidaczniają się obecnie *na zewnątrz* jedynie na dość podrzędnych obszarach, ich zakłócające działanie widać raczej w bardziej intymnych domowych i społecznych kontaktach, ze względu na swój charakter powinny leżeć w gestii co najwyżej opieki społecznej lub policji, ale nie sądu, i nie wydaje się, by jakoś znacząco zagrażały najbardziej życiowym interesom osobistym chorego,

interesom równocześnie, które doskonale może zabezpieczyć interwencja opiekuna prawnego, a więc zdrowie, majątek, dobre imię.

W postanowieniu dowodowym w punkcie b postawiono również pytanie, czy z *natury* choroby umysłowej, o której mowa, niezależnie od obecnego pozytywnego zachowania chorego, wynikają podstawy do obaw, że chory, jak tylko zostanie mu przywrócona zdolność do czynności prawnych, będzie swoim nierozsądnym i niecelowym działaniem narażał na niebezpieczeństwo wymienione wyżej i inne istotne żywotne interesy. Już w poprzedniej opinii zwracałem uwagę na to, że ze względu na naturę tak głęboko sięgającej choroby, jaką jest paranoja, nie da się przewidzieć, czy i jak istniejące chorobliwe myśli wpłyną w danym momencie na działanie chorego; wspomniałem dalej, jak wielu paranoików z ukształtowanym systemem urojeń świetnie funkcjonuje w świecie zewnętrznym i wykonuje swój zawód, aż do momentu, gdy przy jakiejś okazji przez jakieś opaczne działanie ich choroba wyjdzie na jaw; pokazałem również powyżej na przykładzie, jak bardzo zewnętrzne okoliczności mogą wyprowadzić powoda z równowagi, a nawiedzające go chorobliwe podszepty mogą nakłonić go do nieuzasadnionych działań, dlatego też mogę w tym miejscu jedynie powtórzyć, że także i teraz nie można wykluczyć wpływu procesów patologicznych na zachowanie powoda. Skoro pacjent twierdzi (str. 118), że to, co uzyskał poprzez wgląd w prawdziwą istotę boskich spraw, że pewność, iż ma do czynienia z Bogiem i boskimi cudami, stały się sensem całego jego życia, że Bóg objawia mu się teraz każdego dnia i w każdej godzinie poprzez swoje cuda i swe słowa, że z tego właśnie wynika jego wyważony pogodny nastrój, jego życzliwość również wobec tego, co tej życzliwości nie jest godne, itd., to trudno sobie wyobrazić, by ten potężny ukryty strumień myśli i uczuć nie wpływał w żaden sposób na jego postępowanie, zwłaszcza że obecnie niektóre jego działania następują bez jego woli, pod bezpośrednim wpływem „cudów”. Zapewnienia powoda, że „w zasadzie nie pozwala on swym urojeniom wpływać na kształt jego spraw”, niczego tu nie zmieniają, ponieważ z jednej strony wcale nie musi być świadomy takiego wpływu, a po drugie siła oddziaływania choroby może wzrosnąć do takiego stopnia, że nie będzie możliwy jakikolwiek opór. Biorąc więc pod uwagę naturę choroby, nie można dać gwarancji, że po zniesieniu decyzji o ubezwłasnowolnieniu obecność tej choroby nie zagrozi w przyszłości w żaden sposób żywotnym interesom pacjenta. Jednakże należy tutaj jeszcze, także i z medycznego punktu widzenia, zwrócić uwagę na dwa aspekty. Po pierwsze, nasuwa się pewna wątpliwość, czy aby na pewno zwykła *obawa* przed ewentualnością niebezpieczeństwa, *możliwość* ciężkiego zagrożenia, jest wystarczającym uzasadnieniem założenia, że chory nie jest w stanie kierować swoimi sprawami. Po drugie, niebezpieczeń-

stwo zagrażające jego przyszłości nie jest tak wielkie, jak się wydaje, ponieważ krąg myśli urojonych oddzielał się coraz wyraźniej od pozostałych grup treściowych i wiedzy od dłuższego czasu względnie osobny byt, tak że dotychczasowe doświadczenia wskazują na to, iż ocena i dbałość o szereg istotnych żywotnych interesów pozostaje faktycznie poza jakimkolwiek widocznym wpływem tego złożonego systemu urojeń – przeciwnie, przebiega bez zarzutu. Biorąc pod uwagę obecną sytuację, należy stwierdzić, że nie ma powodu przypuszczać, że w najbliższej przyszłości stan psychiczny powoda ulegnie jakimś istotnym zmianom, względnie pogorszeniu, dlatego też przy ocenie ogólnej sytuacji nie trzeba przykładać tak wielkiej jak dawniej wagi do troski o przyszłość.

Tajny radca medyczny (podpisany) dr Weber

V. Wyrok Sądu Krajowego II Instancji Królestwa Saksonii

z 14 lipca 1902

O.I. 152/01 nr 22

Wypis

Ogłoszony 14 lipca 1902

Podpisał: dr Fröster, referent

jako sekretarz sądowy

F.XI 6894/02

Dzień wywieszenia ogłoszenia

14 lipca 1902

podpisał: sekr. Diethe

pisarz sądowy

W Imieniu Króla!

W sprawie

byłego przewodniczącego senatu, dr. Daniela Paula Schrebera, zamieszkałego wcześniej w Dreźnie, obecnie przebywającego w Krajowym Zakładzie Leczniczym Sonnenstein,

jako Powód i składający odwołanie

(przedstawiciel procesowy: adwokat radca prawny Windisch),

przeciwko

Prokuratorowi przy Królewskim Sądzie Krajowym I Instancji w Dreźnie i odtąd Prokuratorowi przy Królewskim Sądzie Krajowym II Instancji w

Dreźnie,

jako pozwany i pozwany w procesie odwoławczym

z powodu zaskarżenia ubezwłasnowolnienia,

pierwszy senat cywilny Królewskiego Sądu Krajowego II Instancji przy współdziałaniu

przewodniczącego senatu Hardrahta

i sędziów Sądu Krajowego II Instancji Vogla, dr. Steinmetza, Nicolai, dr.

Paula

orzeka:

na złożone przez Powoda odwołanie *unieważnia się*, zmieniając wyrok siódmej Izby Cywilnej Sądu Krajowego I Instancji w Dreźnie z 13 kwietnia 1901, decyzję o ubezwłasnowolnieniu Sądu Rejonowego w Dreźnie z 13 marca 1900.

Koszty postępowania łącznie z kosztami powstałymi w instancji odwoławczej nakłada się na kasę państwową.

Opis stanu faktycznego

Powód został na wniosek Prokuratury Królewskiej na mocy decyzji Sądu Rejonowego w Dreźnie z 13 marca 1900 r. *ubezwłasnowolniony* ze względu na chorobę psychiczną. Sędzia Sądu Rejonowego oświadcza, że na podstawie opinii biegłego, tajnego radcy medycznego dr. Webera, którego pacjentem Powód jest od 1894 r., jak też opierając się na wrażeniu, jakie zyskał przy osobistym przesłuchaniu chorego, jest przekonany, że Powód nie jest w stanie korzystać ze swego rozumu, na skutek czego nie jest zdolny do kierowania swymi sprawami. Zdaniem Sądu dr Schreber opanowany jest przez urojenia. Uważa się on za powołanego do zbawienia świata i do przywrócenia mu utraconego błogostanu. Sądzi, że może to jednak zrobić jedynie i tylko wówczas, jeśli wcześniej przemieni się z męczyzny w kobietę. Chory wyobraża sobie, że podczas tej płciowej przemiany stale jest przedmiotem boskich cudów i sądzi, że słyszy, jak rozmawiają z nim ptaki i wiatry, które wzmacniają w nim jego wiarę w cuda.

Sąd uważa, że człowiek pod wpływem takich urojeń i zmysłowych złudzeń nie jest już panem swojej woli, lecz że znajduje się pod wpływem zewnętrznych, niezależnych od własnych chęci oddziaływań, w stosunku do których jest bezsilny i które czynią go niezdolnym do organizowania jego działania według praktycznych, rozsądnych kryteriów.

Powód zaskarżył w drodze procesu decyzję o ubezwłasnowolnieniu w odpowiednim czasie i złożył wniosek o uchylenie ubezwłasnowolnienia. Kwestionuje on, że stwierdzona u niego przez biegłego umysłowa choroba (paranoja) może mu w jakikolwiek sposób uniemożliwić kierowanie jego sprawami. Sąd Rejonowy jakoby nie przedłożył faktycznych podstaw do takiego założenia. Według niego jest czystą *petitio principii*, kiedy mówi się, że człowiek pod wpływem urojeń i złudzeń zmysłowych nie jest panem swej woli. To, co Sądowi jawi się jako urojenia, nie ma – sądzi on – żadnego związku z jego zdolnością do czynności prawnych; w każdym razie jego choroba nie jest według niego z rodzaju takich chorób, które uniemożliwiają mu właściwą ocenę tych wydarzeń ludzkiego życia, jakie w myśl prawa stanowią „jego sprawy”, nawet jeśli pojęcie „sprawy” rozumiane jest w najszerszym

sensie, a więc włączając do nich te, które odnoszą się do życia, zdrowia, wolności, honoru, rodziny, majątku. Uważa on, że we wszystkich tych sprawach jasność jego osądu nie została nijak pomniejszona przez chorobę.

Jest on zdania, że nikt nie może go pomówić o to, że nie zapewnia swemu ciału i swemu *zdrowiu* odpowiedniej pielęgnacji. Przyznaje wprawdzie, że myśli samobójcze nie były mu w pierwszych latach jego choroby obce, jednak twierdzi, że wraz z postęпами w leczeniu i poprawą jego stanu dawno już zniknęły. Dowodem na to, że bardzo mu zależy na osobistej wolności i własnym honorze, jest jego zdaniem właśnie dążenie do tego, by uwolnić się od pęt ubezwłasnowolnienia; twierdzi on, że jego męskie poczucie honoru zostało urażone faktem, że ma być on pod względem prawnym traktowany jak niepełnoletnie dziecko. Ze swoją żoną i swoją *rodziną* znajduje się, jak mówi, na najlepszej stopie i dba także o ich interesy. Uważa wreszcie, że jeśli chodzi o jego sprawy majątkowe, to jest doskonale w stanie zajmować się nimi samodzielnie, a przed oszustwami w interesach może się czuć tak samo zabezpieczony, jak każdy inny człowiek. Przypomina, że Sąd Rejonowy w decyzji o ubezwłasnowolnieniu sam wyraża się korzystnie o Powodzie, twierdząc, że jeszcze i teraz posiada on zdolność przewodniczenia kolegium sędziowskiemu, decydowania w najbardziej powikłanych procesach i wydawania najtrudniejszych opinii prawnych z przekonującym jurystycznym uzasadnieniem. Jeśli tak jest, to według Powoda wręcz absolutnie nie można pojąć, dlaczego miałby się on okazać niezdolny do zawierania prostych transakcji prawnych, jakie niesie ze sobą administrowanie znajdującym się w porządnym stanie majątkiem.

Sąd Krajowy zarządził osobiste przesłuchanie Powoda przez wyznaczonego sędziego i sporządzenie jeszcze jednej opinii przez Dyrektora Królewskiego Krajowego Zakładu Sonnenstein, tajnego radcę medycznego dr. Webera, zwłaszcza pod takim kierunkiem, czy natura choroby Powoda i poczynione na nim w ostatnich latach aż do teraz lekarskie obserwacje stanowią przesłankę do tego, by zakładać, iż w przypadku zniesienia zarządzonego wobec niego ubezwłasnowolnienia Powód może swym postępowaniem zagrozić swemu życiu, zdrowiu, majątkowi albo jakimś innym życiowym sprawom. Wynik osobistego sędziowskiego przesłuchania Powoda znajduje się w protokole (str. 38n), podczas gdy biegły dr Weber spisał należną opinię w formie wyczerpującego pisemnego raportu z 28 listopada 1900 (str. 44–53). Biegły dołączył do niego do wglądu przez Sąd zapiski, które dr Schreber sporządził w noszących tytuł „Pamiętniki nerwowo chorego” dwudziestu trzech zeszytach, opisujące jego religijne wyobrażenia i historię jego choroby.

Sąd Krajowy I Instancji wyrokiem z 13 kwietnia 1901 oddalił skargę dr. Schrebera. Uznaje on w zgodzie z opinią dr. Webera, że wysoka inteligen-

cja Powoda i jego zdolność do formalnie logicznego myślenia nie może być istotnie zmaćona przez jego chorobę umysłową. Mimo to uważa, że istnieje w jego przypadku niebezpieczeństwo nierozsądnego zachowania. Z kopii „Pamiętników” wynika bowiem – a wnioski te potwierdza dr Weber – że Powód podlega w rozległym stopniu zmysłowym złudzeniom i urojeniom, w których centrum znajduje się jego stosunek do Boga i jego wyjątkowa pozycja we wszechświecie. Przez ten system urojeń opanowane jest całe jego odczuwanie i myślenie, ma on wpływ na poglądy i osądy na temat ludzi i rzeczy. W takich okolicznościach nigdy nie wiadomo, jak kształtować się będą decyzje Powoda, jeśli teraz przywrócono by mu wolność działania, czy według stosunkowo niedotkniętego przez jego obłąd kręgu wyobrażeń, czy też pod przymusem istniejących chorobliwych duchowych podniet. Negatywny wpływ tych urojeń na sposób postrzegania dr. Schrebera uwidacznia się w dwóch faktach: w stosunkach z jego żoną, która musi dużo wycierpieć z powodu jego urojenia o oczekującym go odmężczyźnieniu i w stosunku do której w przypadku podnoszenia przez nią zastrzeżeń co do jego pomysłów natychmiast sugeruje, by się z nim rozwiodła. Poza tym Powód opanowany jest przez gorące życzenie opublikowania drukiem swych „Pamiętników”, a do zniesienia jego ubezwłasnowolnienia dąży, jak sam twierdzi, głównie w tym celu, by móc zawrzeć z wydawcą ważną pod aspektem prawnym umowę co do jego dzieła; Sąd jest zdania, że Powód zaszkodziłby tym samym w niesłychany sposób dobremu imieniu swojej rodziny, być może naraziłby się nawet na niebezpieczeństwo ściągania go z tytułu prawa karnego. Fakt, że Powód sam nie jest w stanie tego dostrzec, dowodzi, jak bardzo utracił on na skutek swego zmienionego chorobą światopoglądu właściwą miarę, jaką należy przykładać do życiowych okoliczności, umiejętność rozróżniania pomiędzy rzeczami dozwolonymi i niedozwolonymi.

Powód wniósł odwołanie przeciwko wyrokowi sądu krajowego i ponowił swój wniosek o zniesienie ubezwłasnowolnienia, na co Prokurator poprosił o odrzucenie środków prawnych. Zaskarżony wyrok, do którego się tutaj odnosimy, został odczytany w całości wraz ze wszystkimi wymienionymi w nim pismami i osobiście przez dr. Schrebera sporządzonymi podaniami do sądu i dyrekcji zakładu oraz z treścią akt ubezwłasnowalniających Sądu Rejonowego CJ I 64/99. Odczytanie „Pamiętników” Schrebera zostało za zgodą obydwu stron ograniczone do rozdziałów I, II, XVIII i XIX.

Powód stawiał się podczas rozpraw przed sądem odwoławczym osobiście i zabierał obok swego pełnomocnika procesowego głos wielokrotnie. Od niego pochodzi pewna ilość pism, w których sprzeciwiając się wywiodom pierwszej instancji i leżącej u ich podstaw opinii Webera, uzasadnia swe odmienne poglądy wyczerpująco pod względem faktycznym i prawnym. Ist-

nieje konieczność odesłania do tych pism, które ze względu na ich istotne treści także zostały odczytane. Powód przywiązuje wagę do tego, by formalne omówienie, które on sam osobiście poświęcił spornej sprawie, było przez sędziego również brane pod uwagę podczas rozpatrywania kwestii jego zdolności do czynności prawnych. Sądzi on, że ktoś, kto potrafi prowadzić w pismach procesowych roztropnie, ze znajomością rzeczy i – o ile można brać pod uwagę zdania innych ludzi – taktownie i zarazem dyskretnie tak trudną i powikłaną prawną sprawę, jak ta, do tego można chyba mieć zaufanie, że będzie on także zdolny do rozumnego załatwiania najczęściej dużo prostszych i mniej ważnych spraw obywatelskiego życia.

Z zaprezentowanych przez Powoda wypowiedzi należy podkreślić poniższe.

I

Powód protestuje najpierw przeciwko założeniu, jakoby w pierwszej instancji potwierdził, iż jest lub był chory umysłowo. Przyznaje on jedynie, iż jego układ nerwowy znajduje się od lat w chorobliwym stanie; jego umysł natomiast, tzn. współdziałanie wszystkich jego sił umysłowych, jest jasny i zdrowy, tak jak u każdego innego człowieka. Jeśli biegły zakłada występowanie u niego pewnego rodzaju szaleństwa (paranoja), uznając *a priori* wszystko to, co Powód opowiedział w swych „Pamiętnikach” o intymnych stosunkach pomiędzy nim a Bogiem, za chorobliwą fantazję, wymierza cios w oblicze prawdy. Powód wie oczywiście, że biegły nie mógł postąpić inaczej, jak tylko do jego (Schrebera) przypadku przyłożyć zwykle naukowe doświadczenia, i jest daleki od tego, by chcieć go w jakikolwiek sposób urazić. Dr Weber stoi po prostu na gruncie racjonalizmu, który z góry odrzuca możliwość zdarzania się rzeczy nadprzyrodzonych.

W stosunku do niego Powód reprezentuje zasadniczo odmienne stanowisko: *Pewność poznania przez niego Boga* i bezpośrednie przekonanie, że ma on do czynienia z Bogiem i boskimi cudami, *zdecydowanie przerasta u niego zaufanie do wszelkiej ludzkiej nauki*. Pewność ta stała się centrum jego całego życia i musi tak być, jako że Bóg objawia mu się codziennie po wielekroć na nowo w swoich cudach i w swojej mowie. Z tego wypływa niezamącona pogoda jego (Powoda) nastroju, którą zachował mimo wszystkich przykrości życia i którą każdy w kontaktach z nim może zaobserwować; to właśnie jest źródłem spokojnej zyczliwości, którą okazuje także tym, którzy go w poprzednich latach bezwiednie zranili, i tym też wyjaśnić można dużą wagę, jaką przykłada on do rozpowszechnienia jego „Pamiętników”. Nie ma zamiaru robić propagandy dla swej wiary w cuda, a tym bardziej nie chciałby

na jej rzecz poświęcić ani grosza ze swego majątku. Jedynym celem, jaki chciałby uzyskać dzięki planowanej publikacji, jest wzbudzenie wątpliwości co do tego, że może u podstaw jego „systemu urojeń”, jak się to raczej powszechnie nazywać, leży jakieś ziarno prawdy i że może faktycznie dana mu była łaska zajrzenia za ciemną zasłonę, która innym ludziom przesłania tamten świat. Jest on przekonany, że świat naukowy będzie po publikacji jego dzieła skłonny okazać zainteresowanie jego osobie. Jest mu całkowicie obcy zamiar odgrywania roli proroka nowej religii, sam siebie traktuje jedynie jako obiekt naukowych badań. Poza tym jednak bez względu na to, co sobie inni ludzie myślą o jego wierze w cuda, nikt nie ma prawa dopatrywać się w niej umysłowego defektu, który rodzi dla Powoda konieczność oddania go pod opiekę Państwa. Przecież także zwolenników spirytualizmu nie zwykło się uznawać od razu za umysłowo chorych i ubezwłasnowalniać ich, mimo że ich nadprzyrodzony sposób postrzegania rzeczy także nie jest rozumiany i ogarniany przez zdecydowaną większość ludzi.

II

Nawet jeśli by założyć, że w myśl nauki psychiatrycznej musiałby on zostać uznany za chorego umysłowo, to i tak należałoby mu jeszcze dowieść, że na skutek tego nie jest w stanie kierować swoimi sprawami.

Powód zwraca uwagę na fakt, że biegły odmówił wypowiedzenia się w sposób zdecydowany na temat ostatniego punktu. Stwierdził, że może powiedzieć tylko tyle: jest nie do przewidzenia, czy i w jakim stopniu Powód w przypadku danej mu swobody decydowania być może mógłby być skłonny do podejmowania nierozsądnych działań. Nie można załatwić sprawy za pomocą ogólnych stwierdzeń i niejasnych obaw. Trzeba by było raczej udowodnić na podstawie faktów i w oparciu o rzeczywiste doświadczenia, zwłaszcza z ostatnich lat, że (i w jakim kierunku) wystąpiła u Powoda skłonność do nierozsądnego działania, będąca skutkiem jego „urojeń i zmysłowych złudzeń”.

Przyznaje on, że w przypadku osoby przebywającej w zakładzie nie ma tak wielu okazji do zbierania tego rodzaju doświadczeń, jak w przypadku kogoś innego, znajdującego się na wolności. Biegły, dr Weber, poznawał Powoda bliżej właściwie dopiero od Wielkanocy 1900, od kiedy to mógł on spożywać z nim posiłki przy jednym stole. W międzyczasie nastąpiły istotne zmiany. Od sporządzenia ostatniej opinii upłynął już ponad rok. Podczas tego czasu Dyrekcja Zakładu przyznała Powodowi daleko idącą swobodę przemieszczania się. Podejmował on liczne krótsze i dłuższe wycieczki, był w publicznych miejscach rekreacyjnych, w sklepach, kościołach, teatrach i na koncertach, w ostatnim półroczu bez eskorty pielęgniarsza, będąc w posiadaniu pewnej

gotówki. Powód twierdzi, że przy wszystkich tych okazjach nikt nie zauważył najmniejszych oznak niewłaściwego zachowania. Nigdy nie przyszło mu do głowy naprzykrzać się innym osobom ujawnianiem jego urojeń. Powód sądzi, że ma prawo stwierdzić, iż damy przy rodzinnym stole Zarządu Zakładu nie mają, o ile nie zostały o tym przypadkowo poinformowane z innych źródeł, najmniejszego pojęcia o istnieniu owych urojeń. To prawda, że nawiązywał niekiedy do nich w stosunku do swojej żony, można to jednak dostatecznie wyjaśnić istniejącą między nimi głęboką życiową więzią.

Jedynym punktem, w którym zachowanie Powoda w stosunku do świata zewnętrznego podlega pewnemu wpływowi ze strony jego „urojeń”, i który w oczach innych ludzi może nosić znamiona braku rozsądku, jest podkreślana także przez biegłego, dr. Webera, okoliczność, że obwiesza on niekiedy swoje ciało pewną ilością kobiecych ozdób (wstążkami, sztuczną biżuterią i tym podobnymi). Może to, jak on sam przyznaje, wydawać się wielu ludziom niedorzeczne. Tyle tylko, że ma on do tego swe słuszne powody. W ten sposób bowiem osiąga z reguły znaczne złagodzenie krzyków, które w przeciwnym razie dokuczają zarówno jemu, jak i otoczeniu. A w najgorszym przypadku można się tu dopatrywać czystego dziwactwa, które jest absolutnie niegroźne i nie wiąże się z nim żadne uszczerbki ani dla niego samego, ani dla innych osób.

Aspektu finansowego nie można tu brać pod uwagę; wszystkie te rzeczy kosztowały go, jak twierdzi, nie więcej niż kilka marek.

III

Biegły podkreśla w swej opinii rzecz następującą:

Najważniejszy czynnik dla oceny zdolności do działania pacjenta stanowi fakt, że wszystko to, co obiektywnemu obserwatorowi przedstawia się jako złudzenie zmysłowe i urojenie, dla niego samego jest niepodważalną prawdą i *w pełni słusznym motywem do działania*.

Z pierwszą częścią powyższego stwierdzenia Powód zgadza się bez wahania, podczas gdy w stosunku do części drugiej musi wyrazić bezwarunkowe „nie”. Religijne wyobrażenia, które go przepełniają, nigdy przenigdy nie mogłyby go nakłonić do nierozsądnego działania w życiu praktycznym. Nie mają one całkowicie wpływu na jego zdolność kierowania swymi sprawami i samodzielne dbanie o jego interesy. Powód nie wie, jak dr Weber mógł wyrobić sobie odmienne nastawienie. Powód w każdym razie nie dał swym dotychczasowym zachowaniem żadnego ku temu pretekstu. Nie przychodzi mu do głowy myśl, by ponosić finansowe ofiary w celu poparcia swojej wiary

albo skonstatowania istniejących u niego nerwów rozkoszy. Jego pewność poznania Boga jest tak wielka i niewzruszona, że w gruncie rzeczy jest mu całkowicie obojętne, co inni ludzie myślą sobie o prawdziwości albo prawdopodobieństwie jego wyobrażeń.

Zgłasza on żądanie, by dano wiarę temu jego zapewnieniu w odniesieniu do jego zachowania w przyszłości, ponieważ nigdy nie dał powodu, by wątpić w niezłomność jego umiłowania prawdy. Obawy biegłego, jakoby „zupełnie nie dało się przewidzieć”, w jak dużym stopniu Powód może kiedyś zostać skłoniony przez swe urojenia do nierozsądku, są w związku z tym bezpodstawne. Sąd Krajowy I Instancji uznaje owe obawy za przypuszczalnie uzasadnione jedynie w dwóch punktach: po pierwsze w stosunku małżeńskim z jego żoną, który po zniesieniu ubezwłasnowolnienia może ulec rozpadowi, później zaś przede wszystkim w odniesieniu do planowanego przez niego opublikowania „Pamiętników”, jako że w ten sposób rzekomo by się skompromitował, a nawet naraził na groźbę kary. Tymczasem żaden z tych względów nie może prowadzić do utrzymania w mocy jego ubezwłasnowolnienia.

a) Wspólnota małżeńska pomiędzy nim a jego żoną wygasła na skutek jego choroby już przed wielu laty niemal całkowicie i nie uległaby wznowieniu w przyszłości także w przypadku utrzymania ubezwłasnowolnienia, być może aż do kresu życia jednego z małżonków. Wprawdzie możliwe jest, że powrót na łono rodziny, do którego Powód dąży, może nieść ze sobą niewygodę dla jego małżonki. Nie można tego jednak brać pod uwagę, jako że ubezwłasnowolnienie może nastąpić tylko w interesie samej osoby ubezwłasnowolnianej, by chronić ją przed niebezpieczeństwem wynikającym z jej nierozsądnego działania, nigdy jednak, by ustrzec przed niewygodami inne, choćby nie wiem jak blisko związane osoby. Ma on naturalnie także pewne zobowiązania wobec swojej żony, polegające na tym, że musi jej zapewnić odpowiednie do jej społecznej pozycji utrzymanie. Nigdy nie uchylałby się od wypełnienia tego obowiązku; jest raczej w każdej chwili skłonny wyposażyć swoją żonę w środki potrzebne do osobnego życia, jeśli po jego powrocie z zakładu miałyby się pojawić okoliczności, przez wzgląd na które nie można by było oczekiwać od niej wspólnego z nim życia.

Uwaga biegłego, że zawsze wówczas, gdy małżonka Powoda próbuje protestować przeciwko jego wierze w cuda, wytacza on natychmiast argument, że może się ona rozwieść, wynika w sposób oczywisty z nieporozumienia. Nigdy nie rozważał myśli o rozwodzie ani też nie sygnalizował obojętności wobec kontynuowania małżeńskich więzi. Cała obszerna korespondencja, jaką od lat prowadzi ze swą małżonką, niech będzie dowodem na to, jak serdeczną miłość żywi on jeszcze w stosunku do niej i jak boleśnie odczuwa fakt, iż także i ona jest tak bardzo przez jego chorobę nieszczęśliwa. Zgod-

nie z tym ewentualność rozwodu omawiał z nią jedynie w tym kontekście, że powiedział jej kilka razy, iż jeśli na skutek jego nieszczęsnych krzyków życie z nim miałyby się dla niej stać nieznośne, albo gdyby nie mogła ze względu na jego pewne inne, wynikające z wiary w cuda osobliwe zachowania, zachować wobec niego dawnej miłości i szacunku, wówczas zawsze przecież ma zgodnie z prawem możliwość wzięcia z nim rozwodu.

b) Za drugi przykład na to, jak bardzo sposób postępowania Powoda znajduje się pod presją jego chorobliwych wyobrażeń, sąd I instancji uznaje treść „Pamiętników” Powoda i jego pragnienie ich opublikowania.

Powód nigdy nie zatajał przed sobą faktu, że przeciwko rozpowszechnieniu „Pamiętników” przemawiają pewne wątpliwości i nawet sam je w słowie wstępnym swego dzieła wymienił. Gdyby miało dojść do wydrukowania jego „Pamiętników”, zastrzega sobie możliwość skreślenia w nich tego i owego, i złagodzenia poszczególnych wypowiedzi. Praca jego nie powinna w żadnym razie zostać opublikowana w obecnej formie. Została ona przekazana lipskiej oficynie wydawniczej, z którą nawiązał w sprawie wydania „Pamiętników” na razie roboczy kontakt, tymczasem tylko do wglądu.

Nawet jeśli praca ta pozostałaby całkowicie niezmieniona, Powód musi z całym zdecydowaniem zaprotestować przeciwko stwierdzeniu, że jakoby przez nią mogło zostać narażone na szwank dobre imię członków jego rodziny, co – jak się zdaje – zakłada Sędzia Przewodniczący. „Pamiętniki” nie zawierają według Powoda niczego, co mogłoby zaszkodzić pamięci jego ojca oraz jego brata ani jego żonie. Jeśli natomiast chodzi o niebezpieczeństwo, że poprzez upublicznienie „Pamiętników” Powód skompromituje sam siebie, to bierze on to niebezpieczeństwo na siebie z całą świadomością. Najgorsze, co może mu się przydarzyć, to fakt, że uzna się go za umysłowo nie zrównoważonego, co ma już przecież i tak miejsce. Tak naprawdę sądzi on, że nie musi się obawiać, iż ktoś, kto przeczyta jego „Pamiętniki” z uwagą, będzie miał po lekturze o nim zdanie gorsze niż przedtem. Przez cały czas ważne dla niego było zgłębienie prawdy. W zaskarżonym wyroku przedstawiane są wobec jego pracy zarzuty, że zawiera ona tu i ówdzie gorszące, mocne wyrażenia; i tak jest w istocie. Tyle tylko, że wyrażenia te nie pochodzą od niego samego, lecz pojawiają się jedynie wówczas, gdy Powód przekazuje informacje na temat treści prowadzonych przez niego rozmów z głosami. Nie jego to wina, że głosy te wielokrotnie posługiwały się bardziej niż niesalonowymi wyrażeniami. Ponadto jego „Pamiętniki” nie są przecież przeznaczone dla podłotków albo panien z dobrych domów.

Jest jednak, twierdzi Powód, jedna osoba, która może się poczuć urażona i nawet wszcząć przeciwko niemu postępowanie z powodu obrazy. Jest to tajny medyczny radca, prof. dr. Flehsig w Lipsku. Gdyby nawet tak się

stało, Powód opowiadał przecież także i tu tylko o wydarzeniach, które musiał po przedstawieniu mu ich przez głosy uważać za prawdziwe. Powód jest przekonany, że Flechsig uzna to na jego korzyść i nawet już myślał o tym, by przesłać mu egzemplarz „Pamiętników”, ponieważ sądzi, że tajnego radcę Flechsiga zainteresują pod względem naukowym rozważane w nich problemy. Powód był zawsze całkowicie daleki od tego, by wysuwać zarzuty przeciwko osobistej przyzwoitości Flechsiga. Jeśli jednak opublikowanie jego pracy miałoby wbrew jego oczekiwaniom spowodować dla niego karę za obrazę, to jest on ze względu na słuszny cel gotów wziąć na siebie i tę udrękę, i nikt nie ma według niego prawa mu w tym przeszkodzić.

Prokurator uznaje utrzymanie ubezwłasnowolnienia za prawnie konieczne i ze względu na własny interes samego Powoda za mocno wskazane. Po wypowiedziach dr. Schrebera podczas procesu odwoławczego nie może według niego podlegać żadnej wątpliwości, że cierpi on na paranoję. Równie niewątpliwe jest jednak także to, że na skutek swej choroby nie jest w stanie kierować swoimi sprawami w zgodzie z rozsądkiem, nawet jeśli biegły, zbyt wąsko pojmujący swe kompetencje, nie wypowiedział się na ten temat z pożądaną stanowczością. Jak bowiem dr. Weber słusznie podkreśla, psychiczne procesy wynikają z organicznej jedności i jest nie do pomyślenia, że urojenia nie będą wywierać żadnego wpływu na niedotknięte przez nie bezpośrednio obszary życia duchowego, a fakt, iż Powód wypowiada się ustnie i pisemnie, po części budząc wrażenie posiadania jasnego umysłu, nie powinien nikogo zmylić.

Nie ma potrzeby przytaczać wszystkich zdarzeń, z których wynika, iż Powód nie jest zdolny do kierowania swoimi sprawami. Fakty takiego rodzaju zresztą istnieją. W oczywisty sposób Powód nie jest w stanie ocenić, jak długo musi jeszcze przebywać w zakładzie. Jeśli ubezwłasnowolnienie zostałoby zniesione, prędzej czy później będzie on dążył do tego, by uzyskać zwolnienie z zakładu. W jednym z jego listów do radcy prawnego dr. Thurmera, jego pierwszego pełnomocnika procesowego (str. 68⁷⁴ akt sprawy), pisze on m.in. że

wie dokładnie i lepiej niż jakikolwiek lekarz, co jest dla niego pod względem psychicznym i fizycznym najlepsze, bo chodzi o odparcie negatywnych oddziaływań boskich cudów.

Na tej podstawie widać, że Powód nie posiada właściwej oceny swej choroby i że nie będzie słuchał rad osób trzecich. Do tego dochodzi jeszcze fakt, iż jest on nawiedzany także przez halucynacje, które – według świadectwa dr. Webera – opanowują go niekiedy także w samym środku rozmowy i które odwracają jego uwagę. Widać jasno jak na dłoni, że w przypadku regulowania przez Powoda spraw prawno-majątkowych może się to stać dla

niego zgubne. Zarządzenie majątkiem jego i jego małżonki nie jest proste. Zgodnie z ostatnim, sporządzonym przez przewodniczącego sądu rejonowego w Lipsku, pana Schmidta (str. 177 akt sprawy o ubezwłasnowolnienie), składa się on częściowo z udziałów z parcelach ziemskich, w innej części zaś z praw wydawniczych. Także zachowanie dr. Schrebera wobec jego małżonki budzi uzasadnione wątpliwości, czy będzie on zdolny uwolnić się podczas podejmowania decyzji jej dotyczących od wpływu urojeń, którymi jest opanowany, tak samo jak, mimo składanych przez Powoda w tej sprawie odmiennych zapewnień, nie można odrzucić obawy, iż kierowany ideą powierzonej mu boskiej misji będzie być może czynił wydatki, których zaniechałby, będąc człowiekiem o wolnej woli. Jak bardzo cały sposób myślenia dr. Schrebera opiera się na wypaczonych podstawach, przemawia nie w najmniejszym stopniu także w tej chwili uporczywie podtrzymywany zamiysł opublikowania jego „Pamiętników”.

Powód wyraża sprzeciw wobec wszystkich powyżej przytoczonych wywodów. Poczynione od czasu sporządzenia przez dr. Webera jego ostatniej opinii (29 listopada 1900 r.) obserwacje jego osoby miałyby jakoby dostarczyć dowodów na to, iż mimo jego wszystkich rzekomych urojeń i złudzeń zmysłowych jest jednak całkowicie zdolny do samodzielnego załatwiania swoich finansowych, jak też innych spraw w rozsądny, nakazany mu przez jego prawne interesy sposób. Przekonany jest, że na podstawie tychże doświadczeń dr Weber nie chciałby już teraz obstawać przy zasugerowanych w jego wcześniejszej opinii wnioskach.

Słuszne jest, że zamierza uzyskać w bliższej albo dalszej przyszłości zwolnienie z zakładu. Po kontynuacji pobytu w zakładzie Sonnenstein nie oczekuje on żadnej poprawy w kwestii przywrócenia mu zdrowia. Do tej chwili może jednak upłynąć jeszcze trochę czasu. Jest zwłaszcza zdania, że jak długo nie nastąpi poprawa w sprawie jego krzyków, byłoby chyba dla niego wskazane pozostanie jeszcze jakiś czas w zakładzie, choć poczynił spostrzeżenie, że krzyki pojawiały się zawsze tylko podczas pobytu w zakładzie, prawie nigdy natomiast poza nim, w podróży itp. Krzyki te nie mają jednakże nic do czynienia z akceptacją albo odrzuceniem jego zdolności do podejmowania czynności prawnych. Jedynymi względami, które być może dałyby administracji zakładu na mocy przysługujących jej uprawnień służb porządkowych prawo do zatrzymania go zakładzie wbrew jego woli, są względy społeczno-policyjne. Powtarza on jednak, że nie będzie konieczne stosowanie wobec niego przymusu w tej kwestii, jako że wcale nie będzie opierał się ze swej strony pobytowi w zakładzie, jak długo będzie występowała obawa częstego występowania przykrych krzyków.

Sąd Odwoławczy nakazał decyzją o zebraniu kolejnych dowodów z 30 grudnia 1901 tajnemu radcy medycznemu dr. Weberowi wyjaśnienie i uzupełnienie jego pierwszej opinii pod kątem zaakcentowanych w punktach a, b i c decyzji kierunków i poprosił go szczególnie o informację na temat rodzaju doświadczeń, jakie poczyniono w sprawie zdolności Powoda do samodzielnego i swobodnego poruszania się poza zakładem i do załatwiania swoich spraw. Dr Weber sporządził żadaną opinię (str. 203 nn) pisemnie, powołując się na złożoną przez niego przysięgę, i uzupełnił ją, nakłoniony przez niektóre poczynione przez dr. Schrebera (str. 23 nn) zarzuty przeciwko faktycznym podstawom jego opinii, dodatkowym raportem (str. 231). Obydwie opinie zostały odczytane przez Sądem Odwoławczym.

Powód sądzi, że nowe wypowiedzi zawarte w opinii można interpretować w korzystnym dla niego świetle. Jemu wystarczy już sam fakt, że biegły ma teraz wątpliwości, czy utrzymanie ubezwłasnowolnienia jest konieczne. Podczas ostatnio minionych dwóch lat nie można by mu było dowieść rzeczywiście ani jednego nierozsądnego działania. Nawet natarczywe krzyki, których chwilowe występowanie wywołuje u biegłego jeszcze niepokój, które jednak nigdy nie nabrały poza zakładem takiego charakteru, by mogły zostać uznane za gorszący wybryk albo przeszkadzający hałas, zmniejszyły się w ostatnim czasie. Podczas jego ośmiodniowej wizyty w Lipsku nie wystąpiły, co mogą poświadczyć członkowie jego rodziny, ani razu. Nie mogą być one poza tym tak czy inaczej traktowane jako przejaw jego skłonności do nierozsądnego zachowania, jako że wywoływane są automatycznie, nie zależą więc od jego woli.

Według Powoda nietrafny jest też zarzut, jakoby podczas wspomnianego przezeń przypadku choroby, jaki miał miejsce (biegunka z wymiotami), zachowywał się nieodpowiednio i wzgardził zaleconymi mu lekarstwami. Twierdzi, że stosował się bardzo dokładnie do lekarskich zaleceń (dowód: pielęgniarz Müller), tak samo, jak w ogóle nie można powiedzieć, że Powód nie docenia znaczenia medykamentów albo że je wręcz lekceważy. Coś odwrotnego wynika już choćby z tego faktu, że także podczas okresów bezsenności nie wzbraniał się przed przyjmowaniem środków nasennych.

Ponadto Powód twierdzi, że w ostatnim czasie skwapliwie korzystał z każdej okazji, by podczas spacerów, wycieczek i podróży nawiązywać rozmowę z innymi, częściowo dotychczas obcymi mu ludźmi. Powołuje się on na ich świadectwo. Z wielkiej liczby wchodzących w grę jako świadkowie osób Powód wymienia tymczasem tylko następujące osoby: jego szwagra, kupca Karla Junga w Lipsku i jego żonę, jego najstarszą siostrę, jego szwagra, dyrektora Sądu Krajowego I Instancji w Chemnitz, Krause i jego małżonkę, jego najmłodszą siostrę, jego kuratora, Przewodniczącego Sądu Rejonowe-

go Schmidta w Lipsku i jego małżonkę, radcę sanitarnego dr. Nakonza, adwokata, tajnego radcę prawnego dr. Schilla, lekarza, dr. nauk medycznych Henniga, właściciela oficyny wydawniczej Nauhardta, rozważanego jako wydawca jego „Pamiętników”, wszyscy z Lipska, wreszcie byłego przewodniczącego senatu Thierbacha w Dreźnie i majorów Meißnera i Sandera w Pirnie. Wszystkie te osoby poświadczą, że podczas rzeczonych spotkań miały wrażenie, iż mają do czynienia z całkowicie rozumnym, będącym w stanie sprostać każdemu wymaganiu życia społecznego i zawodowego człowiekiem, u którego jako laicy nie zauważyli nawet najmniejszych oznak choroby umysłowej, nie mówiąc już o takiej chorobie umysłowej, która uczyniłaby go niezdolnym do kierowania swoimi sprawami.

W ostatnim czasie doszedł jeszcze jeden ważny dla oceny jego zdolności do podejmowania czynności prawnych fakt. Aby nakłonić administrację zakładu do zajęcia nieco bardziej zdecydowanego stanowiska w kwestii jego ubezwłasnowolnienia, próbował ją wy badać ostatnio w tym kierunku, czy miałyby jakieś zastrzeżenia przeciwko jego mającemu wkrótce nastąpić zwolnieniu z zakładu. Wprawdzie nie zmierza do uzyskania bezzwłocznego, mającego nastąpić z dnia na dzień zwolnienia. Wzgląd na nadszarpnięte zdrowie jego małżonki, z którą chciałby w dalszym ciągu prowadzić wspólne życie, i wybór odpowiedniego zarówno dla jej, jak i jego potrzeb mieszkania stwarzałyby warunek podjęcia szeregu rozważań i prawno-finansowych przygotowań, których nie dałoby się tak szybko załatwić. Zakłada on także, że administracja zakładu będzie się chciała przed jego zwolnieniem porozumieć najpierw z jego kuratorem, być może również z jego małżonką, przede wszystkim jednak upewnić się, czy zapewniono mu jakieś inne miejsce pobytu. Dlatego też pytanie swoje, skierowane do pana tajnego radcy medycznego, dr. Webera, sformułował w piśmie z 29 maja 1902 w następujący sposób:

czy administracja zakładu sądzi, iż w oparciu o obecny stan rzeczy i pod warunkiem, że kurator i sąd opiekuńczy nie wniosą szczególnych zastrzeżeń co do zwolnienia, że nie natknie się ono także na wyraźną niechęć ze strony jego małżonki, że ponadto będzie on miał zapewnione miejsce pobytu, byłaby, uwzględniając jedyne chyba konieczne do wzięcia pod uwagę względy policyjne i dobra publicznego, skłonna przychylić się do wyrażonej przezeń w dogodnym czasie prośby o zwolnienie.

W odpowiedzi na to pytanie otrzymał od pana tajnego radcy medycznego, dr. Webera, znajdujące się na str. 252^b/253 akt w oryginale pismo z 30 maja 1902 r. o następującej treści:

Dyrekcja zakładu nie miałyby, przy zaistnieniu wspomnianych w Pańskim liście warunków, i jak długo w Pańskim stanie zdrowia nie nastąpi pogorszenie, obecnie *żadnego* powodu, by stać na przeszkodzie Pańskiemu zwolnieniu z zakładu.

Dyrekcja zakładu musi, abstrahując od oczekiwanej lekarskiej porady, brać pod uwagę w przypadku zwolnienia lub próbnego zwolnienia przede wszystkim tylko ewentualne „zagrożenie”, zawierające się w stanie choroby dla samego pacjenta albo dla innych osób. Zagrożenie takie w aktualnym przypadku nie występuje... etc.

Prokurator uznaje korespondencję pomiędzy Powodem i tajnym radcą medycznym, dr. Weberem. Mimo to sprzeciwia się zniesieniu ubezwłasnowolnienia, jako że wbrew wszystkiemu, co Powód wytacza jako argumenty, nie można odrzucić obawy, że da się on zwieść presji urojeń, które go opowiadają, do niemądrych i nierozsądnych działań. I tak na przykład Powód będzie musiał być może ponieść znaczne finansowe ofiary, by zrealizować swój zamiar opublikowania swych „Pamiętników”, jako że zawarcie normalnej wydawniczej umowy jest wykluczone.

W sprawie ostatniego punktu Powód odpowiada:

Wydanie „Pamiętników” ma stosownie do podjętych tymczasem z właścicielem oficyny wydawniczej Neuhardtem w Lipsku ustaleń nastąpić w formie umowy komisyjnej, czyli w tej samej formie wydawniczej, w której ukazała się „Zimmergymnastik” ojca Powoda. W ten sposób ryzyko finansowe, jakie musi on podjąć, ogranicza się do kosztów produkcji w wysokości ... marek. Wydatek ten nie ma większego znaczenia dla całego jego, szacowanego w przybliżeniu na ... marek – majątku. Ponadto powtarza on swe wcześniejsze zapewnienia, iż nie propaguje swej wiary w cuda i nie ma też zamiaru poświęcić na jej rzecz ani grosza ze swego majątku.

Uzasadnienie decyzji

Fakt, że Powód jest umysłowo chory, nie ulega wątpliwości także i dla Sądu Odwoławczego. Sąd oczywiście nie będzie chciał się sprzeczać z Powodem co do istnienia rozpoznanej u niego jako paranoja choroby umysłowej. Powodowi brakuje bowiem zrozumienia dla chorobowych przyczyn jego inspiracji i wyobrażeń. Co do istnienia rzeczy, które dla obiektywnego obserwatora przedstawiają się jako zmysłowe złudzenia i urojenia, żywi on niezłomną pewnością. Jeszcze dziś przecież obstaje przy przekonaniu, że objawia mu się bezpośrednio Bóg i nieustannie dokonuje na nim cudów. Prze-

konanie to jest u niego, jak sam mówi, bez porównania większe niż wszelka ludzka wiedza i nauka.

Stwierdzenie jednak, że Powód znajduje się w stanie chorobowego zakłócenia czynności umysłowych, nie wystarczy w tej chwili do ubezwłasnowolnienia. Jego dopuszczalność Kodeks Prawa Cywilnego w § 6., pkt 1., łączy z jeszcze innym warunkiem, że chory ze względu na swój stan nie jest zdolny *kierować swymi sprawami*. Zatem nie każda umysłowa anomalia prowadzi koniecznie do zaprzeczenia zdolności do czynności prawnych. Nie trzeba uzasadniać zarządzenia ubezwłasnowolnienia wówczas, gdy choroba umysłowa występuje w takim natężeniu, iż osoba nią dotknięta robi wrażenie, jak dziecko poniżej siedmiu lat, niezdolnej do kierowania *wszystkimi* swoimi sprawami. Jeśli natomiast choremu nie została całkowicie odebrana zdolność do rozważnego i rozumnego działania, jeśli jego choroba uniemożliwia mu tylko zajęcie się poszczególnymi sprawami albo określoną grupą spraw, może to wprawdzie stać się powodem do zarządzenia kurateli (§ 1910, roz. 2 Kodeksu Prawa Cywilnego), nigdy jednak do zarządzenia ubezwłasnowolnienia.

Pod pojęciem „sprawy”, o których mówi ustawa w § 6., nr 1, należy – jak słusznie uznaje pierwsza instancja – rozumieć nie tylko sprawy majątkowe.

Pojęcie to obejmuje wszystkie warunki życia, których uporządkowane uregulowanie leży z zakresie zainteresowania porządku prawnego: troska o osobę, którą należy ubezwłasnowolnić, o jej życie i jej zdrowie nie mniej niż troska o jej bliskich i jej majątek. Ubezwłasnowolnienie jest bowiem w pierwszym rzędzie środkiem ochronnym. Ma ono pomóc temu, kto nie umie sam się obronić przez negatywnymi skutkami swego braku zrozumienia i przed wykorzystaniem tegoż braku w niecnym celu przez innych. Jeśli w tym względzie istnieje potrzeba ochrony chorego, wówczas państwo ma obowiązek go chronić. Tyle tylko, że oferowany choremu przez państwo środek ochrony w celu odsunięcia groźących mu z powodu jego bezwolności w kontaktach obywatelskich niebezpieczeństw musi być rzeczywiście odpowiedni i skuteczny. Ubezwłasnowolnienie może mieć miejsce jedynie wówczas, gdy w grę wchodzi takie niebezpieczeństwo dla osoby, której ma dotyczyć ubezwłasnowolnienie, którym skutecznie można zapobiec przez pozbawienie jej prawnej zdolności do prowadzenia interesów (§ 104³ Kodeksu Prawa Cywilnego) i przez ustanowienie kuratora w celu ogólnego dbania o jej sprawy osobiste i majątkowo-prawne (§ 1896; por. memoriał do projektu Kodeksu Prawa Cywilnego, str. 2.).

Czy Powód potrzebuje ochrony w wyżej opisanym sensie, czy też jest w stanie sam kierować swoimi sprawami?

Biegły, dr Weber, nie daje na to pytanie zdecydowanej odpowiedzi w żadnej ze swych dwóch opinii. Nie odpowiada na nie ani bezpośrednio

„tak”, ani „nie”. Wyraźnie widać, że trudno mu się zdecydować. Podczas gdy w zwykłych i bezsprzecznych przypadkach chorobowych zwykle nie ma wątpliwości, by wynikające ze stwierdzonej choroby umysłowej konsekwencje prawne wyciągnąć dla zaoszczędzenia czasu samemu (str. 203^b), w omawianym przypadku przed tym się wzdraga. Ogranicza się do tego, by przedstawić obraz choroby umysłowej Powoda i zestawić te rzeczywiste momenty, w których najbardziej uwidacznia się pomieszane życie duchowe chorego, pozostawiając samemu Sędziemu wyrobienie sobie na podstawie tych opisów opinii na temat, czy Powoda należy uznać za zdolnego do samodzielnego dbania o swe życiowe interesy w obywatelskich kontaktach.

Nie można wnieść zastrzeżeń co do takiej postawy biegłego. W rzeczywistości nie należy do kompetencji lekarskiej opinii współdecydowanie o praktycznej prawnej stronie stwierdzonej u danej osoby psychicznej choroby i jej wpływie na kształtowanie się zdolności do czynności prawnych. Ocena tej kwestii leży wyłącznie w gestii sędziego.

Jako że biegły nazywa obraz chorobowy, jaki przedstawiają urojenia chorego, paranoją, można łatwo ulec pokusie już przez samo to, by uznać kwestię do rozstrzygnięcia za już rozstrzygniętą. Takiego zdania jest Endemann w swym podręczniku (§ 31, str. 136, nr 8, str. 137 [III wydanie]), który deklaruje, iż każdy chory na paranoję nadaje się jako taki do ubezwłasnowolnienia, i któremu już natura tej choroby dostarcza wystarczającego dowodu na to, że dotknięta nią osoba nie jest w stanie zastanowić się rozsądnie nad skutkami swego działania.

To stwierdzenie posuwa się za daleko. Jak podkreśla biegły, dr Weber, autorytet w dziedzinie nauk psychiatrycznych, jest wielu paranoików, którzy mimo ciężkich zaburzeń psychicznych i mimo że ich myśli poruszają się czasami torami najbardziej absurdalnych urojeń, nie są przez swe otoczenie prawie wcale uznawani za chorych, i którzy zajmują się swymi codziennymi interesami porządnie, potrafiąc sprostać w gruncie rzeczy wystarczająco także wymaganiom ich zawodu. Czasem uważa się ich za dziwaków, uznaje za opanowanych osobliwymi pomysłami i urojeniami, z reguły jednak nikt nie myśli o ich ubezwłasnowolnieniu. Tu właśnie widać postęp najnowszego prawodawstwa, że obecnie można tym mniej lub bardziej niegroźnym naturom, mimo ich możliwych do stwierdzenia zaburzeń psychicznych, w pewnych okolicznościach pozostawić jednak konieczną do dalszego prowadzenia ich życiowych spraw prawną swobodę decydowania. Jeśli nawet osoby te znajdują się pod presją natręctw, które w dotkniętej przez nie dziedzinie duchowego życia stwarzają u nich wrażenie niepoczytalności, to nie jest im tym samym odebrana *w ogóle* zdolność do rozsądnego działania. W obszarach wyobraźni leżących z dala od ich urojeń, nienarażonych na ich wpływy,

albo wydanych na pastwę urojeń w mniejszym stopniu, są oni najczęściej w stanie dbać o swoje zawodowe sprawy bez zarzutu. (Por. Krafft-Ebing, budzące wątpliwości stany duchowe, str. 8, a także Samter w artykule Gruchota z roku 1901, str. 3).

Według opinii dr. Webera (str. 206) do tej grupy przypadków chorobowych zalicza się także psychoza Powoda w tej postaci, jaką przyjęła od kilku lat, od chwili przejścia ze stadium ostrego szaleństwa w stadium choroby chronicznej. Prawdą jest chyba, że światopogląd Powoda jest sfalszowany przez urojenia, które nim zawładnęły, iż zajmuje on wobec Boga wyjątkową pozycję, jak też prawdą jest, że dr Schreber ulega złudzeniom zmysłowym w bardzo szerokim zakresie. Przekonanie, że jest on nieustannie przedmiotem boskiej mocy czynienia cudów, stało się dla niego, jak sam przyznaje, centrum życia. Jednakże chodzi tu tylko o *jeden jedyny obszar* duchowego życia Powoda – obszar religijny. Powód, przy braku u niego zrozumieniu jego własnego sposobu myślenia, nigdy nie będzie mógł prawidłowo osądzić tych rzeczy, które są związane z n a s z y m i poglądami na boskie sprawy i n a s z ą wiarą w charakter stosunku człowieka do Boga. Z tego tylko faktu nie wynika jednak, że jego osąd jest zmieniony przez chorobę także we wszystkich innych obszarach duchowego życia człowieka. Religijne uczucia człowieka mogą mieć liczne i znaczące punkty styczności z innymi stronami jego duchowego bytu; mimo to nie można by było powiedzieć, że obejmują one wszystkie te strony jednakowo albo w tym samym natężeniu. Wypełniające wierzącego człowieka religijne przekonania, które także dla osób zdrowych psychicznie stanowią często centrum życia, nie mają we wszystkich dziedzinach życia dość miejsca, by się uaktywnić; dr Weber słusznie zwraca uwagę na fakt, że ktoś może z inną osobą przez długi czas utrzymywać żywy naukowy kontakt, nie dowiadując się niczego na temat jej religijnych przekonań, nie mają one bowiem najczęściej żadnych bliższych związków z jej naukowymi poglądami; obydwie zespoły wyobrażeń prowadzą w jego mózgu w pewnym stopniu osobną egzystencję.

Zgodnie z wypowiedzą biegłego (str. 205^b) podobnie rzecz się ma z systemem urojeń *paranoika*. Dlatego też Królewska Prokuratura niesłusznie zakłada wobec Powoda w oparciu o wywody Endemanna w podanym wyżej źródle: ponieważ znajduje się on pod wpływem urojeń, wszystkie jego myśli poruszają się na z gruntu wypaczonym podłożu, a to musi w konsekwencji rodzić fakt, że wszystkie pochodzące od niego akty woli są mniej lub bardziej zdeterminowane chorobą; przy jedności życia duchowego nie da się uniknąć przenikania obszarów wyobraźni dotkniętych chorobą na obszary z pozoru zdrowe i stosunkowo mało dotknięte systemem urojeń.

Przywołana tu idea jedności psychicznego zdarzenia może odpowiadać naukowemu pogładowi nowoczesnej psychiatrii. Także dla biegłego, dr. Webera, staje się ona punktem wyjścia w jego opinii (str. 47 i 205). Na razie ma ona jednak tylko teoretyczne znaczenie. Wcześniej wyznawano przeciwstawne poglądy; mówiono wówczas z całym przekonaniem o „częściowym obłądnie”, a dr Weber przyznaje temu manifestującemu się w wyżej podanym określeniu pogładowi także jeszcze i dziś pewną słuszność (str. 205^b). Bez względu jednak na to, jakie naukowe i teoretyczne stanowisko przyjmie się wobec tej kwestii, sędzia decydujący w sprawie o ubezwłasnowolnienie musi liczyć się z faktem wynikającym z doświadczenia, że wpływ urojeń, którym owładnięty jest chory na paranoję, zwykle w obywatelskim życiu nie uwidacznia się we wszystkich obszarach tak samo. Dość często ogranicza się on jedynie do „częściowego obłądnu”, kiedy to chorobliwe wyobrażenia koncentrują się na jednej tylko dziedzinie i stanowią pewien rodzaj „osobnej egzystencji”, podczas gdy inne obszary życia pozostają przez nie stosunkowo nietknięte i w żaden sposób nie można w nich dostrzec psychicznych zaburzeń chorego.

Nie można oczywiście odrzucić możliwości przeniknięcia częściowego zaburzenia na wszystkie inne psychiczne funkcje w człowieku. *In thesi* istnieje ona w przypadku każdej postaci psychicznej anomalii. To i nic innego chciał chyba wyrazić także dr Weber, gdy w swej pierwszej opinii (str. 53) stwierdził, że nie jest do przewidzenia, jak kiedyś w danym momencie kształtować się będą decyzje Powoda, jeśli zwróci mu się wolność działania, czy to pod wpływem jego stosunkowo zdrowego kręgu wyobrażeń, czy pod przymusem opanowującej go chorobliwej wiary w cuda.

Do ubezwłasnowolnienia samo tylko to nie wystarczy. Jak Powód słusznie sobie zastrzega, nie można mu odmówić zdolności do czynności prawnych już tylko jedynie na podstawie *podejrzania*, że jego urojenia doprowadzą go być może w tej czy innej dziedzinie do nierozsądnego działania. Zgodnie z prawem potrzebne by tu było raczej pozytywne stwierdzenie, że na skutek choroby umysłowej nie może kierować swymi sprawami (§ 6¹ Kodeksu Prawa Cywilnego). A że tak jest, musi udowodnić osoba składająca wniosek o ubezwłasnowolnienie. Jeśli dowód taki nie może być w sprawie Powoda przedstawiony i jeśli przeprowadzone na drodze służbowej na podstawie § 6₅₃ Regulaminu Postępowania Cywilnych dochodzenie na temat stanu psychicznego chorego nie doprowadziło do pewnego i niewątpliwego rezultatu, wówczas ubezwłasnowolnienia nie można utrzymać.

Można by się było sprzeczać na temat wymagań, jakie trzeba by postawić w stosunku do takiego dowodu. Na pewno nie można się posunąć tak daleko, jak Powód, który chce zezwolić na ubezwłasnowolnienie osoby chorej dopie-

ro wówczas, gdy niebezpieczeństwo nierozsądnego działania byłoby bezpośrednio pewne. Z drugiej strony zaś tak samo nie mogą wystarczyć jedynie obawy. Obawa taka musi przynajmniej przybliżyć się na wyciągnięcie ręki, musi przez fakty albo w inny sposób nabrać cech prawdopodobieństwa.

Tym samym argumentacja przesunięta została na ten obszar, który może dostarczyć właściwej odpowiedzi na oczekującą na rozstrzygnięcie kwestię: na obszar rzeczywistych doświadczeń.

Postępowanie ubezwłasnowolniająca musi stwierdzić, w jakiej mierze urojenia chorego determinują jego postępowanie w życiu społecznym. Czy chory, którego ono dotyczy, może mimo zamięcia umysłu sprostać wymaganiom życia praktycznego, czy też oddziaływania zaburzeń zmysłowych mają tak głęboko sięgający charakter, że utracił on przez to wycucie dla prawdziwości rzeczy i ich rozsądne zrozumienie? Ocenic to można z pewnością jedynie na podstawie doświadczenia. Chory musi rzeczywiście stawić czoła życiowym wyzwaniom, musi – znajdując się w samym środku relacji prawno-handlowych – mieć sposobność radzenia sobie z nimi. Poczynione przy tym obserwacje jego zachowania będą najlepszym próbnikiem dla potwierdzenia prawdziwości jego twierdzeń, że – choć chory – jak każdy inny rozumny człowiek jest w stanie kierować swymi sprawami sensownie i w sposób wskazany dla jego interesów. Charakter choroby umysłowej nie daje biegłemu lekarzowi niezawodnej wskazówki. Pozwala ona tylko na snucie przypuszczeń w tym kierunku. Jak już zostało wykazane, istnienie paranoi nie jest nie do pogodzenia z zachowaniem pełnej zdolności do podejmowania prawnych czynności.

W tej sprawie Sąd podziela pogląd biegłego lekarza. Dr Weber wyraża już w swej pierwszej opinii z 28 listopada 1900 swe ubolewanie, że Powód mógł dotychczas tylko w ograniczonym stopniu, działając samodzielnie poza murami zakładu, ingerować w kształtowanie jego spraw, tak że nie można było jeszcze przeprowadzić dostarczającej miarodajnych doświadczeń próby (str. 45). Dlatego też ograniczał się wcześniej głównie do przedstawiania obrazu choroby, jaki prezentował się wówczas przed oczami obserwującego patologa.

W międzyczasie sytuacja w tym względzie uległa poprawie. Od sporządzenia pierwszej opinii choremu przyznano większą swobodę przemieszczania się. Pozwolono mu nawiązać kontakt z najprzeróżniejszymi kręgami świata zewnętrznego. Miał okazję zaprezentować w obejściu ze swymi bliskimi i z osobami trzecimi, w jakim stopniu urojenia, wypełniające jego duszę, zdobyły panowanie nad jego pozostałymi myślami i uczuciami, i jak dalece mają one wpływ na kształtowanie się stosunków społecznych z innymi ludźmi. Sąd Odwoławczy dysponuje daleko obszerniejszym materiałem do oceny niż ten, który istniał w chwili wydawania wyroku przez pierwszą

instancję. Obserwacje, jakie w tym względzie poczyniono, wypadły jednak zdecydowanie *na korzyść* Powoda.

Sędziowie w postępowaniu odwoławczym poczynili podczas procesowych kontaktów z osobą Powoda *jedno* bezpośrednie spostrzeżenie, a mianowicie takie, że na siły umysłowe dr. Schrebera i jasność jego myśli choroba nie ma *żadnego* negatywnego wpływu. Sposób, w jaki podjął on osobiście walkę przeciwko zarządzonemu przeciwko niemu ubezwłasnowolnieniu, jej przemyślana realizacja, ostrość przeprowadzanych podczas niej logicznych i jurystycznych operacji, rozważa podejmowanych kroków i wreszcie także dystygowana, powściągliwa postawa w opozycji do biegłego i prokuratora – wszystko to stanowi niepodważalny dowód na to, że Powód w tej dziedzinie nie potrzebuje kuratorskiej ochrony, że podczas omawiania jego procesowych spraw jest w stanie dbać o swe interesy całkowicie samodzielnie, lepiej niż uczyniłby to ktokolwiek na jego miejscu.

Nie można oczywiście przykładać zbyt wielkiej wagi do tej strony duchowego życia Powoda. Jak dr Weber sugeruje (str. 50^b), nie raz się zdarza, że u paranoików rozwinięta jest zdolność logicznego myślenia; nie jest ona nieomylnym znakiem, że chory umie podejmować tak samo właściwe oceny także w obszarach życia leżących poza czystymi procesami myślowymi. Tu uzupełnienie mogą stanowić obserwacje, które dr Weber mógł poczynić na temat zachowania Powoda w jego kontaktach ze światem zewnętrznym podczas ostatniego półtora roku i o których opowiedział on w swej drugiej opinii z 5 kwietnia 1902.

Dr Weber musiał już w swym pierwszym raporcie, mimo niewielu doświadczeń, którymi dysponował wówczas z dziedziny życia społecznego dr. Schrebera, uznać, że dotknięty chorobą obszar jego umysłu oddzielił się już dość ostro od innych obszarów; dodał też, że osąd Powoda na temat spraw i zależności oddalonych od utrwalonego systemu urojeń jest najczęściej słuszny (str. 47, 50^b). Wszystko to powtarza w swoim drugim raporcie, kładąc na te rzeczy wzmocniony akcent.

Sam obraz choroby nie uległ żadnym zmianom. Jest on dziś w zasadzie taki sam, jaki był w chwili wydawania decyzji o ubezwłasnowolnieniu. Tyle tylko, że od tego czasu napłynęło dużo materiału wynikającego z obserwacji; na jego podstawie biegły mógł uzupełnić i ewentualnie skorygować swój wcześniejszy sąd, który opierał się na dość skąpych podstawach. Nie można więc mieć żadnych wątpliwości, by w drodze konkluzji dotyczącej oceny stanu umysłowego Powoda w chwili jego wcześniejszego ubezwłasnowolnienia bezpośrednio wykorzystać rezultaty, do których biegły doszedł dopiero w swej późniejszej opinii.

Obecnie dr Weber jest zdania, że urojenia Powoda prowadzą w jego życiu duchowym względnie osobną egzystencję, i że poza opanowanym przez nie bezpośrednio religijnym obszarem, zwłaszcza w życiu codziennym, są *prawie niezauważalne*. Także o złudzeniach zmysłowych, którym Powód nieustannie ulega, biegły twierdzi, że *nie mają one już teraz miarodajnego* wpływu na odczuwanie i myślenie Powoda. Te zjawiska wynikające z choroby, które jeszcze występują, są widoczne na zewnątrz najczęściej jeszcze tylko w stosunkowo *podrzędnych* dziedzinach. Ważniejsze życiowe sprawy uwolniły się spod jej wpływu i są prowadzone bez zarzutu (str. 208^{a/b}, 211^b, 212^b).

By bliżej uzasadnić ten osąd, biegły przytacza szereg rzeczywistych wydarzeń, które po części sam zaobserwował, po części zaś usłyszał o nich od godnych zaufania informatorów, a które także w Sądzie Odwoławczym umocniły przekonanie, że niebezpieczeństwo nieprawidłowego i bezsensownego działania w stosunkach prawnych można uznać za nieomal wykluczone, nie jest w każdym razie tak oczywiste, by uzasadnić utrzymanie ubezwłasnowolnienia.

Od kilku lat Powód jest codziennym gościem przy stole rodziny Zarządu Zakładu, a dla osób uczestniczących w posiłkach nie wynikły z tego dotychczas żadne nieprzyjemności. Wręcz przeciwnie – dr Weber, który ocenia swój stosunek do Powoda jako przyjazny, chwali delikatne wyczucie chorego i jego powściągliwość, która nigdy nie dopuściła go do naprzykrzania się towarzystwu przy stole przez nawiązywanie do jego związanych z wiarą w cuda idei (str. 50^b). Sam dr Schreber jest zdania, że może zapewnić, iż osoby trzecie obecne przy stole, zwłaszcza panie, nigdy nie zauważyły u niego nawet śladu choroby umysłowej. W oparciu o zamieszczone w tym samym źródle informacje dr. Webera na temat kontaktów z Powodem można mu dać wiarę.

Także przebywanie Powoda poza zakładem nie dało żadnego istotnego powodu do reklamacji. Podczas gdy do lata 1900* dr Schreber mógł poruszać się poza budynkiem zakładu głównie tylko w towarzystwie pielęgniarza, towarzystwo to obecnie nie ma miejsca i pozwolono mu na nieograniczone wolne wyjścia z zakładu. Korzystał z nich po to, by podczas prawie codziennych wycieczek na piechotę, statkiem albo koleją odwiedzać częściowo samemu, częściowo w towarzystwie innych osób wszystkie godne uwagi miejsca w okolicy Pirny, a także po to, by bywać na koncertach, w teatrze, na publicznych przedstawieniach itp. Wielokrotnie wybierał się na spotkania, w odwiedziny do swej małżonki albo w celu załatwiania drobnych interesów do Drezna, a ostatnio odbył na zaproszenie rodziny i za zgodą Dyrekcji Zakładu nawet samodzielną podróż

* Nieprawda: do lata 1900 w ogóle nie, bez towarzystwa pielęgniarza od jesieni 1901.

do Lipska, z której powrócił po ośmiodniowej nieobecności, i która – zgodnie z informacją uzyskaną od jego siostry – przebiegła całkiem pomyślnie.

Dr Weber poświadcza ponadto na korzyść Powoda, że *nigdy nie dokonał niemądrego i niewłaściwego* przedsięwzięcia, o wykraczających poza ramy dnia codziennego planach i zamiarach wypowiadał się zawsze *otwarcie i szczerze*, ewentualnie upewniał się co do zgody Dyrekcji Zakładu na nie, podczas wprowadzania ich w życie postępował *z rozmysłem i z roztropnym uwzględnieniem wszystkich okoliczności*. Dr Weber sądzi, że może z tym samym zdecydowaniem zakładać, iż nigdy nie wystąpiły znaczne nieprzyjemności podczas kontaktu Powoda ze światem zewnętrznym.

Kwotami, jakie mu były od mniej więcej roku oddawane do dyspozycji w celu pokrywania kosztów wycieczek i mniejszych potrzeb, miesięcznie 50 marek, Powód umiał gospodarować porządnie, jak to czyni troskliwy pan domu. Nigdy nie zaobserwowano, by pieniądze te roztrwonił i by mu ich na skutek tego zabrakło. Nie sprawiał wrażenia szczególnie oszczędnego, dało się jednak łatwo zauważyć, że dobrze rozważa każdy wydatek, unika rzeczy kosztownych i nie kupuje także (abstrahując od niewielkich kobiecych ozdób) rzeczy niepotrzebnych.

Krótko mówiąc, w całym dotychczasowym zachowaniu Powoda poza zakładem nie uwidocznił się ani jeden fakt, który by mógł dać uzasadniony powód do troski, że chory, posiadając możliwość wolnego decydowania o sobie, może pod wpływem swych urojeń być skłonny do szkodenia swym interesom przez opaczne działania. Praktyczny eksperyment wykazał, że zapamiętanie w wierze w cuda, choć być może stanowi podstawę jego duchowego bytu, nie opanowało jednak Powoda wyłącznie albo w takim stopniu, by odbierać mu zdolność do spokojnego i rozsądnego myślenia na innych obszarach życia. W istocie nigdzie nie dostrzeżono ważnego prawnego interesu Powoda, który by mógł zostać zagrożony przez zniesienie ubezwłasnowolnienia.

Wykluczone jest na przykład, by Powód mógł narazić na niebezpieczeństwo swoje życie. Jednak równie mało grozi ze strony Powoda życiu także innych ludzi, nie można więc brać pod uwagę ubezwłasnowolnienia jako środka ochrony podjętego na rzecz otoczenia chorego. Potwierdzony jest tylko fakt zakłócania spokoju przez „krzyki”, przez które chory jest chwilowo nawiedzany i które mogą być dość często bardzo uciążliwe dla otoczenia, choć Powód zapewnia, iż nie pojawiają się one prawie wcale poza zakładem. Krzyki te, które następują wbrew woli chorego automatycznie i nieodparcie, nie mają jednak nic wspólnego z kwestią ubezwłasnowolnienia. Mogą one czasami, gdyby miały zakłócać spokój sąsiadów, wymagać wkroczenia policji społecznej, nie mogą jednak posłużyć jako uzasadnienie ubezwłasnowol-

nienia, już choćby dlatego, że wybrany środek nie odniósłby tutaj żadnego pozytywnego efektu, byłby nieskuteczny.

Nieistotna jest zaś uwaga Królewskiej Prokuratury, że podczas trwania krzyków i w tych momentach, kiedy uwagę chorego odwracają nawiedzające go halucynacje, jego wolna wola wydaje się przestawać istnieć. Możliwe. Tyle tylko, że nie może to być źródłem niebezpieczeństwa dla Powoda; w powyżej opisanych zjawiskach chodzi bowiem w oczywisty sposób tylko o szybko przemijające zakłócenia świadomości, trwające okamgnienie, podczas którego działanie prawno-handlowe i tak jest samo z siebie niewskazane.

Według opinii dr. Webera stawką nie może być także zagrożenie zdrowia Powoda. Ogólnie rzecz ujmując, umie on dobrze dbać o swoje zdrowie i pilnuje, by nie szkodzić mu jakimiś działaniami (str. 211). Także więc i z tego względu nie jest mu potrzebna kuratorska opieka.

W swym drugim raporcie z 5 kwietnia 1902 r. biegły wymienia w samej rzeczy epizod, kiedy to Powód miał pod wpływem swych duchowych zaburzeń postąpić nierozsądnie w trakcie leczenia choroby (biegunka z wymiotami). Nawet jednak biegły nie przywiązuje już teraz do tego epizodu szczególnej wagi; musi też po zgłoszeniu zastrzeżenia przez Powoda w uzupełnieniu przyznać, że w wyżej opisanym przypadku ten ostatni dostosował się w końcu do lekarskich zaleceń (str. 231^{a/b}). Z pewnością nieprawdą jest, że Powód ze względu na swą wiarę w cuda lekceważy lekarstwa w ogóle. Powód słusznie zwraca uwagę na przyjmowanie przez niego dobrowolnie prawie codziennie we wcześniejszych latach w celu poprawy snu sztucznych środków nasennych (str. 226, 231^b). A nawet jeśli tak było, nie można by było temu zapobiec przez zarządzenie ubezwłasnowolnienia. Nie da się pokonać niechęci chorego do lekarza i apteki, która zresztą w rzeczywistości nie ma miejsca, ani przez odebranie mu zdolności do podejmowania czynności prawnych, ani przez przyznanie mu kuratora.

Większe wątpliwości budziłoby to, gdyby choroba Powoda wymagała dla poprawy jego stanu dłuższego przebywania chorego w zakładzie leczniczym, gdyby jednak istniejące psychiczne zakłócenie nie pozwalało mu zrozumieć takiej konieczności i gdyby chciał uzyskać zniesienie ubezwłasnowolnienia właśnie w takim celu, by – uwolniony od nadzoru kuratora – zrealizować swe zwolnienie z zakładu.

Stosownie do urzędowej informacji, jakiej Dyrekcja Zakładu w Sonnenstein ostatnio udzieliła Powodowi na jego prośbę z 29 br. (str. 252/253), w obecnej chwili nie trzeba mieć obaw w tym kierunku. Dr Weber zasadniczo zgadza się na zwolnienie Powoda z zakładu, pod pewnymi – rozumiejącymi się same przez się – warunkami. Oświadcza on wyraźnie, że nie dostrzega zagrożenia ze strony pacjenta ani dla niego samego, ani dla innych,

i nie pojawiają się u niego także żadne inne wątpliwości, że należałoby przywrócić Powodowi możliwość utrzymywania wolnych kontaktów z ludzką społecznością. Neguje tym samym konieczność sprawowania kuratorskiej opieki nad zdrowiem chorego. Gdyby jednak Sędzia chciał uznać konieczność ubezwłasnowolnienia z wyżej omówionych względów, zaprzeczyłby miarodajnemu osądowi biegłego lekarza i administracji zakładu.

W sprawach majątkowo-prawnych również nie należy się obawiać zagrożenia chorego przez opaczne lub nierozsądne dyspozycje.

Jak oznajmia biegły, dr Schreber jest doskonale poinformowany o jego majątkowych sprawach. Próby z lat ostatnich, zmierzające poprzez przyznanie mu kieszonkowego do przynajmniej częściowego usamodzielnienia go pod względem finansowym, przyniosły na wskroś pozytywne rezultaty, Powód zaś okazał się pod każdym względem troskliwym i oszczędnym gospodarzem. Nie ma żadnych przesłanek po temu, by sądzić, iż w przypadku przywrócenia mu pełnej dyspozycji nad jego majątkiem majątek ten roztrwoni. Dr Weber, znający Powoda najlepiej i umiejący najwłaściwiej ocenić wpływ jego urojeń, zapewnia, iż nic nie wskazuje na to, że Powód z jakichkolwiek wynikających z choroby motywów przekroczy wyznaczone mu przez jego finansowe położenie granice i roztrwoni swój majątek (str. 211).

Pojawiająca się w pierwszej instancji troska, że Powód może pod wpływem swych związanych z wiarą w cuda pomysłów albo z zamiarem jej rozpropagowania uciec się do ogłoszenia naukowego konkursu z nagrodami, była właściwie od samego początku zbyt wyolbrzymiona. Nigdy dotychczas nie uwidoczniła się u Powoda skłonność do narażania się na koszty dla dobra jego wiary w cuda. W związku z tym Sąd Odwoławczy nie ma – zwłaszcza w oparciu o wyżej podkreślone potwierdzające wypowiedzi biegłego – powodu, by nie dawać wiary Powodowi, kiedy zapewnia, że nie ma zamiaru ponosić ofiar na rzecz wspierania swojej wiary w cuda i że nigdy nie przyjdzie mu na myśl, by w tym celu wydać choćby jeden grosz z jego majątku.

Naturalnie nie jest wykluczone, iż mimo tych zapewnień Powód kiedyś nieświadomie w jakimś momencie w swych zachowaniach dotyczących majątku *może* ulec wpływowi opanowujących go fantastycznych wyobrażeń. Możliwość poddania się wpływowi istnieje w przypadku każdej anomalii psychicznej, nawet jeśli nie posiada ona właśnie formy właściwej choroby umysłowej. Dla prawa i porządku prawnego możliwość taką można jednak brać pod uwagę dopiero wówczas, gdy stała się rzeczywistym zagrożeniem. Zagrożenia takiego w omawianym przypadku nie ma. Bezpośredniego oddziaływania religijnych urojeń Powoda na jego zachowanie w stosunku do majątku można dowieść tylko w jednym jedynym punkcie. Na ten punkt zwrócił zresztą uwagę sam dr Schreber. Dotyczy on jego skłonności do

wszelkiego rodzaju drobnych ozdób, którymi jak kobieta od czasu do czasu przystraja swoje piersi, co do których roi sobie, iż przemieniają się one w kobiece. Gdyby był on w pełni normalny umysłowo, nie przysłoby mu naturalnie do głowy wydawanie pieniędzy na tak niemądre rzeczy. Jednakże chodzi tu o drobnostki, których wartość pieniężna jest zbyt mało znacząca, by miała odgrywać rolę przy podejmowaniu tak ważnej decyzji, jaką jest decyzja o przyznaniu lub odebraniu zdolności do czynności prawnych. Nawet przy całkowitym pominięciu faktu, że chory – jak sam zapewnia – stosuje te ozdoby jako pewnego rodzaju duchowe lekarstwo, by sobie z ich pomocą zapewnić uspokojenie ogarniających go wzburzeń nerwowych, można się tu dopatrzeć w najgorszym razie dziwactwa. Jednak nawet zresztą całkiem zdrowi ludzie poświęcają na podobne dziwactwa dość często jeszcze całkiem inne sumy pieniężne.

Poza wątpliwościami znajduje się fakt, że Powód jest w stanie w oparciu o swoje umysłowe zdolności sprostać zadaniu zarządzania majątkiem swoim i swojej żony. Zarządzanie to nie jest tak złożone, jak uważa Prokurator, nawet jeśli uważniej przyjrzy się poszczególnym obiektom, z których składa się (stosownie do spisu, str. 175nn akt Sądu Opiekuńczego) majątek państwa Schreberów. Doskonałego dowodu na swe umiejętności w tym kierunku Powód dostarczył niedawno, kiedy to po upadłości wydawcy Schreberowskiej „Zimmer-Gymnastik” omówił w sporządzonej na prośbę rodziny opinii nastrożającą osobom zainteresowanym wielkie trudności kwestie dalszego handlowego wykorzystania owego dzieła z taką ostrością, jasnością i zrozumieniem rzeczywistych okoliczności, że członkowie jego rodziny nie mieli żadnych wątpliwości co do tego, że należy posłuchać jego propozycji. Tak było według wiarygodnego opisu jego szwagra, kupca Junga w Lipsku (str. 41 i 43 akt o ubezwłasnowolnienie). Zdarzenie to świadczy jednak nie tylko o tym, że dr Schreber posiada techniczne umiejętności do załatwiania tego rodzaju spraw – dowodzi równocześnie, że nie brak mu ani chęci, ani zainteresowania, by poświęcić regulowaniu jego majątkowych stosunków należną handlową uwagę.

Twierdzono, że zagrożone zostały stosunki dr. Schrebera z jego rodziną, że pojawiło się niebezpieczeństwo, iż wspólnota małżeńska z jego żoną ulegnie rozpadowi. Także i tego nie można uznać za prawdę

Jak Powód słusznie podkreśla, wspólnota małżeńska pomiędzy nim a jego żoną ustała na skutek jego choroby psychicznej i uwarunkowanej nią konieczności osobnego życia już od lat tak całkowicie, jak to tylko możliwe. Nie da się przewidzieć, jak ten stosunek mógłby się jeszcze pogorszyć w przypadku zwrócenia Powodowi prawa do wolnego decydowania o sobie. Dr Schreber żywi gorące pragnienie podjęcia wspólnego życia z jego małżonką, jak

tylko otworzy się przed nim możliwość powrotu z zakładu, i spędzenia z nią w odosobnieniu spokojnej wiejskiej posiadłości reszty jego życia. On ze swej strony dąży więc właśnie do *polepszenia* istniejących w małżeństwie stosunków. Czy będzie to w rzeczywistości możliwe, to oczywiście inna kwestia. Idea cudów, którą opanowane jest życie duchowe Powoda i która dla małżonki w intymnych kontaktach prawdopodobnie będzie się uwidaczniała w jeszcze dużo bardziej uciążliwy sposób niż stojące z boku osobie trzeciej, pozwala wątpić, czy szczęśliwe współżycie małżonków jest na dłuższą metę możliwe. Należałoby najpierw jednak podjąć próbę.

Jak by jednak próba ta się nie zakończyła, nie może mieć wpływu na decyzję o tym, czy należy utrzymać ubezwłasnowolnienie. Należy Powodowi bowiem także i tu przyznać rację, że względ na dobre samopoczucie osób trzecich, nawet jeśli są to członkowie najbliższej rodziny, nie może być tu brany pod uwagę. Ubezwłasnowolnienie ma w pierwszym rzędzie dbać o dobro osoby ubezwłasnowolnionej. Niedozwolone jest zarządzanie jej tylko w interesie innych (por. także § 2 M.V.O., postępowanie w sprawie ubezwłasnowolnienia z powodu choroby umysłowej ec. z 23 grudnia 1899 r.).

Ponadto dr Schreber, co można wywnioskować z jego oświadczeń podczas procesu, jest w pełni świadom etycznych obowiązków, jakie wynikają dla niego ze wspomnianych wyżej trudnych stosunków wobec jego żony. Jego umysł nie jest zaburzony w takim stopniu, by nie mógł dostrzec ogromu samozaparcia, jakie jego żona musiałaby mieć czasami podczas wspólnego z nim życia. Gdyby wspólne życie faktycznie okazało się niecelowe, nie stawałoby wobec niej żadnych gniewnych żądań; także i w tym przypadku chce on zapewnić jej wszystko, do czego ma ona w stosunku do niego prawo. Daleko odrzuca on od siebie myśl, że miałby zaniedbać ustawowy obowiązek utrzymania albo z powodu niezadowolenia wobec niej dysponować swym majątkiem na jej niekorzyść. Twierdzi, że istnieje wspólny testament z roku 1886, który tak czy inaczej zabrania mu takich dyspozycji. I, jak bardzo nie należałoby w innych przypadkach z reguły przejawiać ostrożności w ocenie zapewnień osób dotkniętych psychiczną chorobą, wysoka moralna powaga, przepełniająca osobę Powoda i niepomniejszona żadną chorobą, potwierdzona pochwałami także przez dr. Webera rzetelność jego charakteru, która uwidacznia się we wszystkich jego oświadczeniach przed Sądem, pozwalają na danie im wiary bez żadnych wątpliwości.

Tym samym na znaczeniu traci wcześniejsza uwaga biegłego, że dr Schreber w kontaktach ze swą małżonką już teraz niekiedy czyni aluzje do rozwodu, kiedy nie chce ona od razu zgodzić się jego urojeniami. Wydaje się oczywiste, że w przypadku tego doniesienia, u którego podstaw leżą – jak się zdaje – informacje pani doktorowej Schreber, pojawiły się nieporozumienia.

W charakterze komentarza Powód przedstawił na ten temat faktyczne wyjaśnienia, które przedstawiają jego zachowanie wobec małżonki w nienaganym świetle i przeciwko którym nie wystąpił w swej drugiej opinii także dr Weber, który mógł się z tymi wyjaśnieniami zapoznać.

Pozostaje zatem jedynie zarzut, że Powód planowaną publikacją swych „Pamiętników” skompromituje siebie i swą rodzinę, a może nawet wejdzie w konflikt z prawem karnym.

Nikt rozsądny nie zaprzeczy, że upowszechnienie tej pracy budzi poważne wątpliwości. Nawet dr Schreber nie pozostał całkowicie nieczuły na ten pogląd. Jeśli jednak uporczywie obstaje przy publikacji, nie jest to dowód na brak u niego zdolności do wcześniejszego przemyślenia skutków jego działania, lecz jedynie na siłę jego wiary w rzeczywistość nawiedzanych go boskich objawień:

„Po prostu nie mogę chcieć” – zauważa on dosłownie – „by poznanie Boga, jakie stało się moim udziałem, zatraciło się wraz z moją śmiercią i tym samym zniknęła dla ludzkości być może jedyna niepowtarzalna okazja do zdobycia właściwych wyobrażeń o tamtym świecie” (str. 160).

Powód nie trwa w niewiedzy, że mogą powstać dla niego z tego powodu nieprzyjemności. Sprzeciwia się słusznie zarzutowi pierwszej instancji, jakoby w „Pamiętnikach” napisał coś, przez co może powstać uszczerbek na honorze jego rodziny. Z rzeczy takich w jego pracy faktycznie nie można nic znaleźć. Nie można także powiedzieć, że treść „Pamiętników” jest tego rodzaju, że może skompromitować go samego. Praca ta jest wytworem chorobliwej wyobraźni i każdego, kto ją czyta, ani przez chwilę nie opuści wrażenie, że jej autor cierpi na zaburzenia psychiczne. Nie może to jednak z żaden sposób pomniejszyć szacunku ludzi do chorego, tym bardziej, że z drugiej strony z całą pewnością każdy będzie chciał docenić dążenie do prawdy, jakie przenika tę pracę w każdym jej rozdziale. Sam dr Schreber słusznie zauważa, iż najgorsze, co mu się może przytrafić, to chyba to, że uzna się go za obłąkanego, a to ma i tak miejsce. Nie można gorszyć się dosadnymi słowami, jakie znajdują się w tym dziele. Nie należy ich zapisywać na rachunek Powoda – stanowią one jedynie odtworzenie głosów duchów, które we wcześniejszych latach, w czasie najsilniejszych halucynacji, przemawiały do Powoda.

Trzeba o tym pamiętać, jeśli chce się znaleźć odpowiednią skalę do oceny zniesławień w „Pamiętnikach”, z jakimi musi się pogodzić tajny radca medyczny, prof. dr Flechsig, kiedy to zarzuca mu się mord na duszy i wiele gorszych rzeczy. Także i tu Powód nie występuje, mówiąc i działając we wła-

snej osobie, lecz jedynie opowiada o tym, co przekazały mu głosy dziwnych duchów, z którymi – jak sądził – ma kontakt. W chwili pisania „Pamiętników” Powód był na pewno daleki od zamiaru atakowania i chęci świadomego urażenia honoru profesora Flechsig. Tym samym niebezpieczeństwo, że zostanie za to pociągnięty do odpowiedzialności przez Flechsig, nie jest bardzo duże, tym bardziej, że w pracy tej przed jej wydrukowaniem pewne rzeczy mają jeszcze zostać zmienione. Kara w każdym razie wydaje się wykluczona, jako że Powód znajduje się we wszystkich okolicznościach pod ochroną § 51 Kodeksu Prawa Karnego. A nawet jeśli niebezpieczeństwo skazania Powoda z tytułu prawa karnego naprawdę by istniało, nie byłby to wystarczający powód, by odebrać mu zdolność do podejmowania czynności prawnych. Ubezważnowolnienia nie można stosować jako środka powstrzymania osoby, która mimo swego psychicznego defektu jest w innych sprawach na wskroś zdolna do dopilnowania swoich interesów, przed podjęciem jednego odosobnionego działania, by oszczędzić jej na przykład niekorzystnych skutków. Dotyczy to tak samo uwagi Królewskiej Prokuratury na temat niekorzystności umowy z wydawnictwem, którą Powód będzie zmuszony zawrzeć w celu opublikowania swoich „Pamiętników”. Po pierwsze, wcale nie jest tak bezwarunkowo pewne, czy planowana z oficyną wydawniczą komisyjna transakcja faktycznie będzie musiała przynieść Powodowi straty. Jest to niestety dość prawdopodobne. Trzeba jednak w każdym razie wziąć pod uwagę, że ryzyko finansowe, jakie Powód na siebie bierze, nie jest w efekcie w stosunku do całego jego pozostałego majątku tak bardzo wielkie. I nie jest zadaniem ubezważnowolnienia uchronienie go przed tym ryzykiem. Powód całkowicie zdaje sobie sprawę z tego, że wydanie „Pamiętników” może w pewnych okolicznościach obciążyć jego majątek. Nie potrzebuje więc prawnej ochrony, jaką może mu zapewnić ubezważnowolnienie.

Zgodnie z powyższym Sąd Odwoławczy zdobył przekonanie, że Powód jest w stanie sprostać życiowym wyzwaniom na wszystkich omówionych tutaj obszarach życia, a były to te najważniejsze, których regulacja jest zadaniem porządku prawnego. W każdym razie nie znaleziono niczego i nie można uznać za stwierdzony fakt, że na skutek swych urojeń Powód nie jest w stanie kierować swymi sprawami. Musi to prowadzić przy przestrzeganiu stosowanych środków prawnych do zniesienia zarządzonego dla osoby Powoda ubezważnowolnienia bez potrzeby zajmowania się wskazanymi przez niego ostatnimi propozycjami świadków, którzy mogliby wypowiedzieć się w tej sprawie (§ 672 Regulaminu Procesów Cywilnych).

Decyzja w sprawie kosztów wynika z § 673 Regulaminu Procesów Cywilnych.

podpisano: Hardraht, Vogel, dr Steinmetz, Nicolai, dr Paul

Sporządzono

Drezno, 26 lipca 1902

Sekretarz Sądowy
Królewskiego Sądu Krajowego II Instancji
Heinker, asystent biurowy

(L.S.)

W powyższej sprawie procesowej nie wniesiono w ustalonym 1 września 1902 terminie pisma w celu ustalenia terminu w Sądzie Najwyższym (nie. Reichsgericht).

Lipsk, 3 września 1902

Sekretariat Sądowy VI Sądu Najwyższego Schubotz

(L.S.)

VI. Z. 1520/02

Niniejszym poświadczam się, że 1 września 1902 powyższy wyrok uprawomocnił się.

Drezno, 17 września 1902

Sekretarz sądowy Krajowego Sądu I Instancji
Müller, sekretarz